

WOJCIECH ZEMBATY

GŁODNE SŁOŃCE

Ołtarz i Krew



*To jedna z najoryginalniejszych
i najciekawszych pozycji,
jake ukazały się ostatnimi laty.*

Robert M. Wegner



powergraph

WOJCIECH ZEMBATY

GŁODNE SŁOŃCE

Ołtarz i Krew



powergraph

Warszawa 2019

GŁODNE SŁOŃCE. Ołtarz i Krew

ISBN: 978-83-64384-67-7

Wydawca:

Powergraph

ul. Ceglowska 16/2

01-803 Warszawa

tel. 22 834 2519

e-mail: powergraph@powergraph.pl

www.powergraph.pl

Copyright © 2019 by Wojciech Zembaty

Copyright © 2019 by Powergraph

Copyright © 2019 for the cover illustration by iStock

Copyright © 2019 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Redakcja: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Ilustracja na okładce: Niciak, iStock

Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączna dystrybucja:



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 7212519 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Epilog](#)

[Spis postaci](#)

Do tej pory w serii ukazały się:

1. GŁODNE SŁOŃCE. Dymiące Zwierciadło
2. GŁODNE SŁOŃCE. Ołtarz i Krew

Prolog

*Ja wszystkim obcy wśród mojej ojczyzny –
I Śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny.*

Antoni Malczewski, *Maria*

Dni mijały, kamienne dni Dołów, miłosierne i pełne uroku jak śledczy w skórzanej masce. Pełzały po dziecięcej skórze Harana z uporczywością pijawek, spragnione i nieme, nieróżniące się niczym od nocy. Przetaczały się przez niego jak kłody, dni bezświatlne, bezduszne i straszne, wypełnione dławiającym znojem i odurzającym aromatem podziemnej żywicy, a czasem nagłym uniesieniem walki, gorączkowej ucieczki i łowów.

Ciemność z Dołów różniła się od innych, poślednich, gatunków mroku, jak dziki jaguar różni się od domowego kocura. Była wszędzie, rozświeślały ją tylko nieliczne, wykradzione otchłani pochodnie, a także bladawy blask *braazatalu*, którego cenne skupiska niczym próchno jarzyły się w czarnym bezmiarze tego dziwnego świata.

Chłopiec powoli zapominał o złudnych zjawiskach i barwach z Powierzchni. Zamiast tego nadawał znaczenia kolejnym obszarom czerni. Strach był szkarłatny, cielisty i krwawy, podobnie jak groza, tęsknota i boleść, z którymi sąsiadowała zbryzgana odwiecznym złem zieleń, złowroga i jadowita. Radość przychodziła pomarańczowa, zadowolenie i sytość chadzały w barwach sepii, złota jesiennych liści i rumianej czerwieni dojrzałego, chwiejącego się na gałęzi owocu. Nadzieja miała kolor czystego

błękitu. Po roku Haran przestał pamiętać, jak właściwie wygląda ten kolor.

I były też bębny, ciemność tętniła ich drganiem, jakby w czeluściach ziemi pracowało serce jakiejś olbrzymiej i nienawistnej istoty. Zjadacze czekali tam na nich, nie dawali o sobie zapomnieć.

I nigdy nie przestawali polować.

* * *

Drzemiący przy ognisku Haran obudził się nagle. Podrywając się, obalił tubylczego przewodnika, który musnął go, podchodząc do garnka z wieczerzą. Krępy człowieczek o umięśnionych łydkach gramolił się, przestraszony. Ogromny Druazzi już go nie widział. Zrobiwszy kilka niezdatnych kroków, zastygł ze stopą w ognisku, spowity chmurą wzlatujących ku niebu iskier z sosnowych szczap.

Pozostali przewodnicy i tragarze gapili się na niego w milczeniu. Książę Tennok wynajął ich, by towarzyszyli im w uciążliwej podróży z Tollan, stolicy Przymierza, do leżącego na dalekim południu, odgrodzonego wysokimi górami Yugal. W końcu był synem Maczuraia z klanu Turkusowej Włóczni, nie zamierzał powracać do rodzinnego miasta jak jakiś obdartus. Odkąd wkroczyli na rozległe pogórze Gór Mgły, oddzielające parne niziny Yugal od centralnych prowincji Przymierza, ataki tajemniczego stuporu zdarzały się barbarzyńcy coraz częściej.

W powietrzu rozległ się charakterystyczny śwąd przypiekanego ludzkiego mięsa. Przestraszeni tragarze czym prędzej wypchnęli Harana z ogniska, spluwając i łapiąc za amulety w rytualnych gestach, mających odczynić klątwę. Na zostanie świętecznym pieczystym trzeba sobie zasłużyć, żaden z narodów Przymierza nie ofiarowywał swym bogom nieprzygotowanych i nieoczyszczonych specjalnymi rytuałami skazańców. Wielki Druazzi zatoczył się i upadł.

Tennok, który od dziecka odznaczał się dociekliwością godną kapłana i mędrca, zaobserwował, że katalizatorem tych transów z reguły bywało kilka czynników. Ciemność, niepokojące odgłosy, nagły ruch obcego człowieka. Dziś spowodował to dźwięk: w sąsiedniej dolinie zaczęły bić bębny. Może pomogła też szczypta cennego kopalu, kadzidła o specyficznym, nieziemskim zapachu i narkotycznych właściwościach, które książe dyskretnie cisnął w ognisko.

Tennok naprawdę chciał wiedzieć, co jego były niewolnik przeżywa w takich momentach. To musiało być coś znacznie silniejszego niż wynurzające się z pamięci wspomnienia, nawet te najbardziej bolesne, rzucające się na brzegach świadomości jak ślepe potwory z głębin, nieopatrznie podrażnione harpunem. Od wspomnień nie pocisz się przecież i nie szczerzysz zębów, nie dygoczesz i nie robisz pod siebie. Nie wyrrywają ci z gardła warkotu wściekłego wilka i nie każą twym palcom zaciskać się konwulsyjnie niczym szczypce głodnego skorpiona.

Którejś nocy książe obudził się i zobaczył, jak Haran przywiązuje lewą, zniekształconą dłoń do drzewa. Drgała kurczowo, ewidentnie poza jego kontrolą. Barbarzyńca nie chciał powiedzieć, dlaczego to robi, ale twarz miał poharataną i zakrwawioną, jakby głodny jaguar próbował wyłupić mu oczy. Rzucało to nowe światło na naturę nękających dawnego *ursa* koszmarów, które mogły mu wyrządzić realną, fizyczną krzywdę.

Tennoka to nawet bawiło.

Jego dawny niewolnik nosił teraz paradny strój weterana i wyglądał na wielkie panisko. Szamerowany złotem kaftan z kruczych piór, najnowszy krzyk mody w Tollan, opinał jego atletyczną sylwetkę, skrywając blizny i wyniesione z Dołów deformacje. Chłopak nie przypominał już kornego, znękanego *ursa*, niewolnika zastępującego szlachetnie urodzonego właściciela przy ofiarach z bólu i krwi. Podczas ostatniej wojny Haran wziął

do niewoli legendarnego bohatera Tlaskali, Szaratangę, i ocalił życie Quinatza, *tlatoaniego* Przymierza. To dość zasług jak na jednego człowieka, i właśnie dlatego Tennok nie mógł patrzeć na swego dawnego *ursa* bez dziwnej mieszanki zawiści, podziwu i nienawiści.

Tę ostatnią czuł także do samego siebie. Znowu okazał się głupcem. Nic nie stało na przeszkodzie, by przypisał zasługę ze schwytania Szaratangi sobie. W końcu dokonali tego razem, a wielki Druazzi nigdy się nie pchał przed szereg.

Ale mimo tych zmian, w oczach Harana płonęło to samo szaleństwo co wtedy, gdy Tennok wyciągnął go z niewolniczych sztolni, obdarowując młodego barbarzyńcę wątpliwą łaską i statusem *ursa*. Być może ostatnio było z nim nawet gorzej.

Książę przyglądał się nieprzytomnemu barbarzyńcy, ale w jego wzroku próżno by szukać współczucia. Z każdym dniem umacniał się w zamiarach powziętych wobec dawnego przyjaciela. Jego odwieczna pogarda i wstręt do siebie znalazły sobie nowy powód, po czym wezbrały jak przegrodzona tamą rzeka, która szuka nowego koryta. Nie chciał pamiętać, że barbarzyńca już tyle razy uratował mu skórę.

Haran odebrał mu dziewczynę, Haran otrzymał nagrodę za wojenne zasługi ich obu.

I to Harana pozbędzie się, gdy tylko dotrą do Yugał. Obmyślił już wszystko, w snuciu planów od zawsze był dobry. Nie darmo przepędził życie na fantazjach i niespełnionych marzeniach.

Tym razem jednak będzie inaczej. Fantazja przerodzi się w śmierć.

* * *

Tennok nie przestawał myśleć o Citlali. Sprawiało mu to sporo kłopotów, bo gdy tylko dziewczyna pojawiała się w jego myślach, zalewała go

nienawiść. Musiał ukrywać te emocje przed Haranem. Barbarzyńca nie należał do osób szczególnie przenikliwych i domyślnych, lecz nie był też prostodusznym głupcem, na jakiego wyglądał.

Księżę usiłował więc o niej nie myśleć – i oczywiście tym bardziej go nawiedzała. Przede wszystkim bolała go jej zdrada. Bo, nazwijmy rzecz po imieniu, to była pieprzona zdrada. I nieważne, że dziewczyna nie składała mu żadnych obietnic, ba, ofiarowała mu zaledwie jeden spacer, parę wzgardliwych spojrzeń i kilka złośliwych żarcików. To nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się przeznaczenie oraz tęsknota i miłość Tennoka. Cidlali powinna, musiała należeć do niego. Zamiast tego wołała się gzić z jego parszywym niewolnikiem. To jakby napluła Tennokowi w twarz.

Teraźniejszość nie dawała się ścierpieć, przeszłość wyglądała fatalnie. A przyszłość, ostoja marzycieli i głupców? Na samą myśl o spotkaniu z Irdaną robiło mu się niedobrze. Matka z pewnością każe mu zdać raport z dokonań i sukcesów w Tollan. Pocieszał się, że wszystko mogło pójść gorzej. Mógł uciec i okryć się hańbą, zdezerterować podczas kampanii w Tlaskali. Mógł poszczać się ze strachu na oczach króla i dworu. Mógł dostać hysterii. Zamiast tego dochrapał się munduru Jaguara i jakoś odznaczył w swojej pierwszej bitwie. To nie w kij dmuchał, prawda? Tennok powtarzał to sobie przez całą drogę do domu, niczym zziębnięty żebrak, który chucha i podsyca wątki płomyczek, osłania go dłońmi przed wiatrem i deszczem. Coś ci się jednak udało, frajerze. Miał dziwną pewność, że Maczurai nie oczekiwał po nim nawet tego. Z drugiej strony, osiągnięcia księcia nie były na tyle imponujące, by cokolwiek między nimi naprawić.

Przemierzali żyzne równiny wielkiej kotliny Synn, otoczonej półkolem uśpionych wulkanów z odległymi, ośnieżonymi szczytami, białymi jak lotki piór. Mijali związkowe miasta Przymierza, drzemiące nad brzegiem jeziora Texoco, pstrokate poletka *chinampa* i stare groble usypane na kościach

demonów.

Potem zaczęły się lasy, góry spowite mgłą, krainy starożytnych, nieujarzmionych plemion zazdrośnie strzegących swych dolin. Podróż wlokła się niemiłosiernie i książę z zazdrością myślał o dawnych Białoskórych, którzy podróżowali na grzbietach oswojonych zwierząt. Wielkie czworonogi przetrwały co prawda Klątwę, ale objęto je w imperium ścisłą reglamentacją, podobnie jak stalową broń, zamorskie rozwiązania inżynieryjne, alkohol i złote monety.

Czerwony Kapłan, Szurukan, powiedział kiedyś, że gdyby ulec jakimkolwiek wpływom i zgubnym podszeptom wrogów, otworzyłoby to tamę i nieubłaganie, niespostrzeżenie zmieniło ich w Białoskórych, tak jak stało się z niektórymi ludami z północy. I właśnie dlatego Tennok, bądź co bądź książę, miał teraz pęcherze na stopach, a wieczorem wyciągał spomiędzy palców u nóg napęczniałe, tłuste od krwi pijawki. Przeklęte klechy powinny umieścić je na swoich sztandarach.

Haran także wydawał się nieswój. A przecież miał powody do świętowania. W przeciwieństwie do Tennoka naprawdę stał się bohaterem tłumów. Ocalił władcę Odrodzonego Przymierza. Wdzięczny Quinatzin osobiście wyzwolił go z haniebnego statusu. W dodatku dzikusowi udało się odbić Tennokowi dziewczynę, choć trzeba przyznać, że to Citlali o wszystkim zdecydowała.

Mimo to z każdym dniem podróży Haran wyraźnie przygasał.

Barbarzyńca nigdy nie był szczególnie rozmowny, teraz jednak zaczął przypominać ducha. Któregoś ranka zaciekawiony Tennok postanowił wybadać, co się z nim dzieje i dołączył do niego w marszu.

— Nie cieszysz się, że zobaczysz rodzinę? — zapytał, jakby radość z takiego spotkania była czymś oczywistym. Jakby on sam cieszył się na spotkanie z okrutnym tyranem, swoim ojcem. I matką, którą można straszyć

niegrzeczne dzieci. Jakby w ogóle potrafił zrozumieć radości normalnych ludzi.

Olbrzym łypnął na niego smutno.

— Moja matka... Przecież ona nawet nie wie, że jestem wśród żywych. To może ją zabić.

Typowe. Biedny dureń przecenia pozytywne uczucia innych, zamiast uważnie przyjrzeć się swoim, pomyślał książę. Haran urodził się prawy i myśli, że wszyscy są tacy. Właśnie na tym polega głupota dobrych.

— Nie zawiadomiłeś jej?

— Niby po co? Przecież po tym, jak wyszedłem z Dołów, od razu zostałem twoim *ursem*. Każdego dnia mogłeś zużyć moją krew — mruknął Druazzi.

Tennok wbił wzrok w zakurzoną drogę.

— To już nieaktualne — mruknął.

Zresztą, wcale nie zmuszał Harana do jakichś szczególnych poświęceń. Krew budziła w nim wstręt. Celował w dręczeniu samego siebie, ale raczej w duchu.

Haran pokiwał głową.

— Ale się porobiło, nie? Wracamy do domu jak równi sobie. Kumple. Kto by pomyślał?

Na pewno nie ty, dzikusie. Wy przecież nie myślicie, chciał wysyczyć Tennok, ale ugryzł się w język. Niestety, naprawdę stali się równi, tyle że Haran był wyższy od niego o głowę.

* * *

Niewidziane przez kilka miesięcy Yugal wydawało się Haranowi stare. Jakby wsunąć głowę do zatęchłej, zapyziałej izby, w której straszy zastałe powietrze. Jednocześnie miasto skurczyło się, pretensjonalne niczym dziecko

przebrane według kaprysu dorosłych.

Haran nie czuł się szczególnie zdziwiony ani rozczarowany. Gdyby powrócił do domu i odkrył tam prawdę, dobro i piękno, uznałby, że właśnie postradał zmysły.

Dotarli do bramy warownej prowadzącej do Górnego Miasta. Pękate baszty zerkwały na nich szyderczo, mrugając rzędami okienek strzeleckich. Barbarzyńca zastygł, wpatrzony we wrota, w których skończyło się jego dzieciństwo. To tutaj Pęcherz przywołał do porządku strażników, nie wiedząc, że zaprowadzi ich to wprost do piekła. Harana i Tennoka nikt oczywiście nie indagował, stroje Jaguarów sprawiały, że strażnicy stawali na baczność.

Najdziwniejsze w powrotach nie są zmiany, lecz zrozumienie, że podczas naszej nieobecności życie bezwstydnie toczyło się dalej. Przed bramą kłębił się ten sam tłum uchodźców, handlarzy, wyrugowanych z ziemi chłopów i objuczonych ubitą zwierzyną Druazzi; już samo to zakrawało na kpinę. Ot, życie trwało, nie dbając, że w głębiach pod nim płoną ognie piekielne.

Druazzi odwrócił się i popatrzył na Tennoka, który także wydawał się zamyślony.

— No to wróciliśmy.

— Co zamierzasz? Pewne odwiedzisz Leśną? — Księżę wskazał na schodzące do mętnej rzeki rudery i nędzne lepianki. Gnieździli się tam wygnani z puszczy Druazzi.

Mieszkańcy spali w tych ubogich schronieniach tylko podczas deszczu, ich codzienne zajęcia zaś, czyli mielenie mąki, gotowanie i wyprawianie skór, a także sortowanie odpadków i padliny niesionej przez rzekę, toczyły się na zaśmieconych podwórkach. Nazwa dzielnicy już dawno przestała być aktualna. Nie rosło tam wiele drzew. Co najwyżej smętne kikuty i zbutwiałe, przegniłe chaszczce.

Dalej za rzeką kuliły się jeszcze nędzne zagajniki i sparszywiałe, dotknięte plagami poletka. Jeżeli cokolwiek tu kwitło i miało się świetnie, to chyba szara choroba. Od leniwie płynącej Mys biła woń porażki i opuszczenia. Jakby stara rzeka toczyła swe wody z przyzwyczajenia, resztką sił, już dawno straciwszy wiarę, że gdziekolwiek w oddali jest morze.

Barbarzyńca potrząsnął grzywą i popatrzył spode łba na stojących przy bramie strażników. Wyglądał jak wygłodniały drapieżnik.

— Nie dziś. Poszukam oberży w Górnym Mieście. Może koło targu? Widzę, że już chcesz się ode mnie uwolnić... panie. Boisz się, że przyniosę ci wstyd na pokojach? — zakpił.

Księżę popatrzył na niego dziwnie. Po chwili uśmiechnął się rozbajająco i poklepał byłego urusa po plecach.

— Przestań. Pamiętam, co razem przeszliśmy — powiedział.

Haran zatrzymał się w pierwszej napotkanej gospodzie i zabrał ostro do picia. Karczma była obskurna, kukurydziane badyle na klepisku jak w niewolniczych barakach, a usługujące dziewczki miały wyślizgane ciała, twarde oczy i szare uśmiechy. Urzekła go jednak nazwa. Zamierzał nawalić się „Pod Zagojonym Kikutem”.

* * *

Tennok rzeczywiście cieszył się, że uwolnił się wreszcie od towarzysza. Obecność Harana była jak jątrzący cierń, dotkliwe wspomnienie porażki.

Na widok Górnego Miasta, ze stożkiem centralnego wzgórza, gwałtownie uciętym w połowie, obwarowanym bastionami i zrytym sztolniami Dołów, niczym zdewastowana termitiera, księżę uświadomił sobie, jak bardzo to miejsce go ukształtowało. Gdyby przyszedł na świat w gwarnej kupieckiej faktorii, w której cała tajemnica istnienia sprowadza się do fałszowania towarów i wyłudzenia kredytów, z pewnością wyrósłby na kogoś innego.

Być może dużo mądrzejszego. Za to starożytne Yugal skrywało mnóstwo sekretów. W przeciwieństwie do odbudowanego, wskrzeszonego z popiołów Tollan, pamiętało mityczne czasy poprzedzające Klątwe. I nigdy nie stało się miastem Kruzów.

Nawet jego rodzina, dumny klan Turkusowej Włóczni, przy szerniałych ze starości miejskich murach wydawała się zaledwie chwilową naroślą, lizajem niewartym uwagi. Poczł ciężar wieków, w których cieniu dorastał. Kochał wygrzebywać z tego majestatycznego śmietniska okruchy starożytnej wiedzy. Odległe początki Yugal, zbudowanego przez zapoteckich budowniczych, były jednym z tych przeoczonych i zapoznanych okruchów historii. Ich podupadli, pogrążeni w niewiedzy potomkowie wciąż zapełniali ulice i place targowe miasta. Fascynowali Tennoka, podobnie jak inne kultury z zasnutych mgłą tajemnicy epok poprzedzających Klątwe.

Współcześni Krurowie byli dziećmi zaginionych i zamęczonych rodziców, o których niewiele wiedzieli. Ocalili z Klątwy, przejęli od nich bogów i narzędzia, techniki uprawy roli i budowania piramid. Nawet nazwy plemion, skrzykniętych w szalejącym chaosie i śmierci. Mówimy tym samym językiem, myślał Tennok, lecz nasz świat jest już zupełnie inny. Białoskórzy zaszczepili w nim poczucie kruchości i nietrwałości oraz cień nieuchronnej zagłady, którą w ostatniej chwili odsunęła Klątwa. Krwawe piętno.

Kapłani twierdzili wprawdzie, że Prawdziwi Ludzie już przed najazdem wydeptali potrójną ścieżkę: ofiary, bólu i krwi, ale Tennok podejrzewał, że to Klątwa ugruntowała tyranie kapłanów. Niestety, o tych zamierzonych czasach trudno się było czegokolwiek dowiedzieć. Historia dzieliła się na tę Przed Klątwą i na tę z Naszego Cyklu. Między nimi nie było równowagi. Błahe graniczne wojny z Wielkim Tikal i Taraskami, Otomi czy Tlaszkalą opisane zostały przez kruzańskich uczonych w dziesiątkach opasłych tomów. Podobnie jak nowożytna historia Inków, a nawet koczowniczych plemion

z północnych równin. Początki ich własnych dziejów niknęły w głębokim mroku.

Oficjalną, uznaną wiedzę o Latach Klątwy zawarto w świętym eposie *Tlazemotal*, zwanym *Kroniką ocalenia*. Ta księga kapłańska skupiała się na peregrynacjach bóstw i przeszkodach, jakie musiał pokonać Tezcatlipoka, żeby pokonać szatańskiego boga deszczu, Tlaloca, pod którego podszył się niesławny wódz Białoskórych. Ten, Którego Imienia Nigdy Nie Wymawiano. Księga była właściwie hymnem dziękczynnym. Subtelnie podkreślała zasługi płynące ze składania ofiar i konieczność bezwarunkowego posłuszeństwa bogom. I klerowi. Próżno szukać w niej opisów taktyki bitew, oblężeń i polityki w latach Pierwszego Przymierza.

Wspomnieć należy jeszcze wyklętą, zakazaną *Ontologię Klątwy*, autorstwa Yagazpina Bluźniercy, którego pobożni kapłani literalnie i z dużym wysiłkiem utopili w jego własnej, zatrutej herezją krwi. Lecz do tego niesławnego dzieła Tennok nigdy nie próbował dotrzeć. Aż tak mu życie nie zbrzydło.

Książę ocknął się z zamyślenia, gdy coś upadło przed nim na pokrytą pyłem ulicę, wzbijając kurz. Zakaszłał i zamrugał zakłopotany, widząc sylwetkę człowieka. Zorientował się, że to bijący czołem o ziemię wojownik. Na pikowanej, bawełnianej zbroi nosił niebiesko-czarne barwy Turkusowej Włóczni.

Tennok nie wiedział, co począć. Do tej pory figurował na szeptanych listach znaczenia i wpływów jako niezbyt znacząca pozycja. Gdy starsi bracia zginęli, demolując ustalone hierarchie statusu i dziedziczenia, niezwłocznie wyjechał z miasta. Teraz wystarczył mu rzut oka na oblicze żołnierza, pełne czci i łapczywej, pochlebczej nadziei, żeby zrozumieć, że czasy spokoju minęły. Maczurai się starzał, a jego ludzie przelali na Tennoka część oddania i zwierzęcego strachu, które łączyli z osobą władcy Yugal.

Książę chrząknął i machnął dłonią, nakazując wojownikowi powstać. Wokół nich zdążył się zgromadzić zaciekawiony tłum.

Tennok uświadomił sobie, że ma na sobie paradny mundur Jaguara. Posypały się pierwsze, nieśmiałe wiwaty. Fama o ich zwycięstwach i pojmaniu słynnego Szaratangi dotarła najwyraźniej aż tutaj. Tennok zatęsknił za swoimi książkami. Co gorsza, te manifestacje sympatii wydawały się szczere. Jakby ci ludzie nawet po wiekach ucisku nie stracili wiary, że trafi im się dobry, sprawiedliwy władca.

Pozwalał się klepać i szturchać i tylko uśmiechał się, zakłopotany. Świadomość własnej sławy była naprawdę dziwna.

Na szczęście czołobitny żołnierz szybko oprzytomniał. Skrzyknąwszy dwóch podkomendnych, brutalnie i skutecznie uutorował Tennokowi drogę przez tłum. Ściagały ich radosne okrzyki. Książę zatęsknił za anonimowym gwarem stolicy, w której był tylko jednym z tysiąca trutniów z rodowodem. Westchnął i ruszył za swymi ludźmi.

Cóż. Przynajmniej kopniaki i razy, którymi żołdacy hojnie szafowali, tym razem nie zostały wymierzone w niego.

Na Wzgórzu było znacznie przestronniej, chyba że ktoś zapuścił się na cuchnący niewolniczą niedolą targ. Tennok nie miał takiego zamiaru. Podziękował eskorcie i czym prędzej zanurkował w labirynt uliczek i wciśniętych w nie pałaców szlachty. Zapotecka architektura Wzgórza, ukształtowana w górskich dolinach, miała w sobie coś owadziego. Zwłaszcza haremy możnych, które Tennok nazywał Wylęgarniami.

W końcu dotarł do siedziby Turkusowej Włóczni, odnowionej i przebudowanej podczas jego nieobecności. Władza nad miastem popłaca, pomyślał. Strażnicy nie robili mu żadnych trudności. Ze wstrętem sunął krętymi korytarzami, mijając cele, w których spało, wyło i srało potomstwo jego ojca. Lokalni władcy, podobnie jak wielcy królowie, mnożyli się na

potęgę. Synowie wzmacniali siłę rodu, obsadzali urzędy w administracji i w wojsku. Uprzywilejowani, ale też najbardziej zagrożeni, wiedzieli bowiem, że w razie upadku miasta wrogowie zadbają o to, by nikt z rodu panującego nie przeżył. To dlatego krewniacy tworzyli najbardziej lojalne wojska każdego klanowego wodza.

Tennok zawsze przejmował się rozwojem swojego młodszego rodzeństwa. Regularnie pisywał w tej sprawie do matki. Na razie wszystko szło dobrym torem, Kazelqin i Nacetuhotl pozostali okrutnymi półgłówkami, rozkochanymi w przemocy i łowach. Cieszył się, że budzą w nim pogardę, przyzwyczał się do tego uczucia. Latami przyglądał się ich brutalnym twarzom, pochylał nad zamęczonymi kotami i zatłuczonymi psami.

W tej kwestii niewiele się zmieniło. W matczynych listach czytał o skatowanych *ursach* czy buntowniczych wioskach Druazzi, które – w pancernej asyście zbirów – bracia pacyfikowali jeszcze przed swą pierwszą polacją. Za każdym razem widział w tych młodych demonach idealnych dziedziców Maczuraia i oddychał z ulgą. Dostałby zawału, gdyby zobaczył któregoś z kapłańskim kalendarzem lub książką.

Maczurai gorąco zachęcał swoich synów do odwagi i okrucieństwa. Na tym polu Tennok potężnie go rozczarował. Za to młodszy synowie rozwijali się bez zarzutu. Gruboskórni, wściekle aktywni drapieżcy, stworzeni do sprawowania władzy i zadawania bólu. Bezwzględna, zwierzęca witalność wylewała się z nich wszystkimi porami skóry, nieskrępowana namysłem, współczuciem ani chwilą słabości. Nawet strach ich się nie miał, gdyż mogli odczuwać go tylko w stosunku do Maczuraia, który jedynie zachęcał ich do bezkarnego okrucieństwa.

Tennok porównywał się z braćmi od lat. Być może najbardziej różniło go od nich zdrowie. W dzieciństwie bez przerwy chorował i kwękał, a przykład braci nauczył go nie ufać silnym i zdrowym. Dopiero potem zrozumiał, że

ich bezwzględna przewaga jest jego tarczą. Od tej pory trzymał kciuki za ich powodzenie i zdrowie. Wiedział, że gdy tylko osiągną wiek męski i Maczurai oficjalnie namaści ich na swoich następców, klan Turkusowej Włóczni wreszcie machnie ręką na niewydarzonego i tchórzliwego Tennoka.

Ojciec może nie zgodzi się, żeby jego wybrakowany syn został pożałowania godnym uczonym albo poetą, ale na pewno pozwoli Tennokowi wycofać się z pozycji, którą zajął po wypadku starszych braci.

Księżę jej nienawdził, podobnie jak polowań, uroczystości rodzinnych i patriotycznych. Nienawdził rywalizacji, przemocy i potwierdzania statusu, zestawu niesympatycznych zachowań, które wypełniały egzystencję każdego szlachcica. Pragnął łagodności, która w twardym świecie Kruzów oznaczała desperacką, wręcz samobójczą brawurę. Z trybu życia arystokracji najbardziej odpowiadała mu dieta i tym był gotów się zadowolić. A niech tam, poświęci się.

Niech inni dyszą i rozpychają się łokciami, roztaczając miraż bohatera z ogromnym kutasem. Miał to gdzieś. Niech skrzeczą na kupach gnoju i okładają się po gębach pyłami. Gdy Citali dała mu kosza, pozbył się złudzeń. Jeżeli to konieczne, może uchodzić nawet za cipę.

Na początek zajrzał do sali ćwiczeń i ujrzał tam dzieciaki z klanu, tłukące się pod okiem instruktora drewnianymi mieczykami. Nowy mistrz miecza, młodszy następca Catehumotla, w ten sam sposób pastwił się nad jakimś niezdatnym chłopaczkiem, prychnając z irytacją i źle maskowaną pogardą. Niezdarny malec zaciskał zęby, budując w sobie wiarę, że kiedyś zostanie mistrzem.

Po upokorzeniu słabeusza instruktor przedstawił mu przykład do naśladowania. Był to krzepki, dziewięcioletni dzieciak o zadartym nosie i zadowolonym uśmiechu, w którym Tennok rozpoznał Nacetuhotla. Kazelqin też dostał swoją porcyjkę pochwał. Jego bracia zdążyli zmęźnieć

przez te kilka miesięcy, ale z pewnością nie zmieniły im się charakterki. Tennok wycofał się z ulgą.

Zbliżając się do komnaty matki, poczuł, jak jego nogi nagle stają się ciężkie. Wspomnienia z dzieciństwa zacisnęły się na jego sercu niczym kajdany.

Dziwne. Irdana chroniła go, jak umiała, przed prawdziwym okrucieństwem pałacowych przewrotów i czystek, przed zakusami skrytobójców, sadystów i zdeterminowanych rywalek. Jeżeli w ogóle w dzieciństwie miał w pałacu sprzymierzeńców, to matka na pewno się do nich zaliczała. Mimo to z każdym krokiem czuł się mniejszy i słabszy. Jakby ktoś wcisnął go z powrotem do klatki, z której już dawno wyrósł. Jakim cudem przeżył, jakim cudem to on stał się tym najstarszym? Cóż, na pewno pomogło, że miał wyjątkową matkę.

Siedziała w fotelu, zaczytana. Była wykształcona i nie wstydziła się tego, powtarzając, że dobra żona potrafi zainteresować męża także wtedy, gdy nie rozkłada nóg. Na widok pierwородnego starannie zwinęła tom, zaznaczając czytany fragment zakładką ze skóry dziecka.

Nie była zaskoczona, Tennok powiadomił ją listownie, że przyjedzie. Obrzuciła taksującym spojrzeniem jego mundur i leciutko zagryzła wargi. Brak oficerskich szlifów? A może wolałaby mundur Orła? Książę odnotowywał każdy grymas, każdy gest matki, nawyk, od którego się nie wyzwolił. Od małego wyłapywał nastroje rodziców niczym nietoperz niesłyszalne dźwięki.

Nawet kiedy nie było warto.

— Opowiadaj — poprosiła, uśmiechając się lekko, gdy pocałował ją w policzek, jak zawsze pachnący lawendą.

Usiadł przy niej na niewielkim, niższym niż fotel krześle, posłusznie przyjął pucharek z pianką kukurydzianą. Dobrze, że nie zawiązała mu pod

szyją wielkiej serwety.

— Walczyłem w bitwie i ocaliłem króla. Mogło być gorzej — odparł z nonszalancją i lekceważeniem, które sporo go kosztowały.

Niech nie myśli, że mu zależy.

Wystrzegał się okazywania Irdanie uczuć, gdyż wiedział, że nie omieszka pogmerać w nich jakimś stosownym szpikulcem. Mimo to gdy zdawał jej relację ze swoich poczynań – cenzurując niektóre fragmenty – jego puls przyspieszył, a w głosie pobrzmiwały nerwowe tony. System wracał do starych kolein, to działo się mimowolnie.

Gdy doszedł do ceremonii wręczenia odznaczeń i tego, jak jego prywatny *urs* został cesarskim gwardzistą, matka ściągnęła brwi i z gniewnym sykiem zacisnęła długie, wypielęgnowane palce, jak pręty żelaznej klatki.

— Czyli to ta... kreatura ukradła ci sławę? — zapytała słodko.

Książę wzruszył ramionami.

— Nic podobnego. Wszyscy wiedzą, że brałem w tym udział.

— Ach tak, wszyscy wiedzą. No pewnie. Czyli kto? Garstka żołnierzy? A co wie dwór? O czym rozprawia ulica?

— Nie wiem. Może ich zapytaj? — rzucił ze złością.

Gniew był nieodłącznym elementem ich rozmów i w jakiś sposób wiązał się również z upokorzeniem i hańbą.

— Nieważne, co się wydarzyło, lecz to, co mówią o tym ludzie. Stwarzają nas opinie innych, bez tego nie istniejemy. Naprawdę tak trudno to pojąć?

— Nie wiem. W dzieciństwie nie miałem zbyt wielu kolegów, nie pamiętasz? — wymamrotał.

— Ten *urs*, którego *tlatoani* powołał do gwardii... jest od nas, prawda? — spytała. Najwyraźniej niechęć klóciła się w jej duszy z dumą, że stworzenie bądź co bądź wyhodowane w jej własnej stadninie, czy chlewni,

zyskało uznanie w stolicy. Nawet jeśli duma nie miała szans.

Irdana była kruzańską arystokratką w każdym calu, staromodną, podejrzliwą i dumną, pełną bezinteresownej niechęci do bliźnich. Jakiegokolwiek osiągnięcia „nowych ludzi” drażniły ją, niczym postępy robali, które mnożą się i w końcu opanują kuchnię. Niewolnicy liczyli się zaś jeszcze mniej od nich.

— Znalazłeś go w Dołach, prawda? — spytała z wystudiowaną bez troską.

— W pewnym sensie — rzucił, uśmiechając się półgębkiem. Tak jakby ktokolwiek odważył się tam zejść.

— Podobno ci, którzy przeżyją tam dłużej niż miesiąc, przetrwają wszystko. To nie lada ironia, że ty, potomek wielkiego rodu, zostałeś ograbiony z należnych ci zasług przez... — Irdana zawahała się, w pałacowych rozmowach nie pojawiał się bowiem temat kopalni — ... przez monstrum, które stworzyła nasza rodzina — dokończyła z zadumą.

— Te, jak je nazwałeś, stworzenia są tylko spektakularnym odpadem. Odpryskiem naszych działań, nie ich celem — zauważył Tennok.

— Aha. Więc odpad został bohaterem. Dlaczego nie ty?

No tak, przecież we dwóch, razem, pojмали tamtego Tlaszkalanina.

Może dlatego że jeden walczył i odwalił całą robotę, a drugi prawie się zesrał ze strachu?

— To polityka, matko. *Tlatoani* pragnął pokazać szlachcie, że sam podejmuje decyzje. Celowo zagrał im na nosie. Przy okazji pokazał prowincjom, że każdy może się wybić. Teraz to już naprawdę każdy — dodał gorzko, zdumiony własną niechęcią.

— Stać cię na więcej — powiedziała z naciskiem.

Słyszał ten tekst przez całe życie, zawsze tak niewzruszony i zimny. Jakby była kapłanką tajnego kultu, którego najświętsze misterium polegało

na gnojeniu Tennoka, syna Maczuraia, oczywiście tylko dla jego wielkiego, niewysłowionego dobra.

Religii się nie kwestionuje, chyba że całkiem straciło się wiarę. A Tennok, syn Maczuraia, przy swym całym, z trudem wypracowanym, cynizmie wciąż wierzył, że kiedyś zasłuży na miłość.

— Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Chyba w to nie wątpisz?
— Chciał jeszcze dodać, że osiągnąłby więcej, gdyby nie ten przekłety barbarzyńca, ale ugryzł się w język. Nie należy okazywać słabości.

— Wiesz, że Kazelqin wziął dwóch jeńców w wyprawie przeciwko Wolnym Druazzi? Jego pierwsze prawdziwe trofea. Twój ojciec miał łzy w oczach, gdy tłum oklaskiwał zwycięzców.

Wzruszające, pomyślał ponuro Tennok. Zaraz się popłaczę.

— O co ci chodzi, matko?

— O nic, zastanawiam się tylko, co zamierzasz z tym zrobić. Z tego, co mówisz, wynika, że to ty zasłużyłeś na awans. Pochodzisz ze znakomitego rodu, twoje wykształcenie i trening cię do tego predestynują — ostatnie słowo wymówiła z naciskiem, jakby chodziło o kosmiczne fatum, które ona, Irdana, odczytała z biegłą pewnością wyroczni.

Tennok wpatrywał się w nią z nienawiścią. Jak dobrze wynajdywała w nim słabość!

— Gdybyś został cesarskim gwardzistą, twój ojciec byłby z ciebie dumny. A ta bezczelna dziwka, Hasfedda, pożółkłaby z zawiści.

Tu cię boli, cholero. Kolejna młodsza rywalka.

Irdana zawsze musiała z kimś walczyć. Całe życie rywalizowała z innymi kobietami z haremu. Powody były tu tylko pretekstem, nienawiść jego matki – zawsze bezinteresowna i czysta, jak okrucieństwo natury. Albo uwaga bogów. Matka-Śmierć. Tennok nie był dla niej oparciem w tej walce.

Czasami zastanawiał się, jakby wyglądało jego życie, gdyby starsi

synowie Maczuraia nie zmarli. Dziwnym trafem te ponure żniwa urwały się właśnie na nim, choć każdy z tamtych chłopców był silniejszy i dzielniejszy od niego. Musiał żyć, żyć na wyrost i w ohydny lęk. A teraz znowu okazał się za cienki. Książę zwiesił głowę i zgarbił się na twardym krześle, nerwowo skubiąc skórki przy paznokciach. Zawsze goiły się, gdy opuszczał rodzinny dom, a gdy wracał, znów zamieniały się w jątrzące ranki.

Nie widział przed sobą żadnego manewru, żadnego dobrego ruchu. Matka miała rację. Jak zwykle. Gdy ojciec dowie się o awansie jego niewolnika, rozdepcze swego niewydarzonego dziedzica jak pluskwę.

Tennok rozejrzał się bezradnie po znajomej, teraz jakby skurczonej komnacie i poczuł, jak cała wątpliwa, wysilona radość uchodzi z niego niczym gaz z pękniętego pęcherza. A, właśnie.

— Jest jedna sprawa... — zaczął, czując się jak człowiek, który zabłądziwszy na bagnach, prosi o pomoc kajmana — ... ten *urs*, Haran, dużo gadał o swoim przybranym ojcu. Mówi ci coś imię – a właściwie przezwisko – Pęcherz?

Irdana stężała, a potem powoli, bardzo powoli pokiwała głową.

— Razem służyli. To on połamał twemu ojcu nos.

Tennok rozdziawił usta.

— Zawsze myślałem, że Maczurai był... no wiesz, niepokonanym bohaterem.

— O tak. — Uśmiezek matki wydawał się tak zimny, że można by transportować w nim kraby na targ. — Mordowanie kobiet i dzieci z pewnością wymaga wielkiego hartu. Nie mówiąc już o zbiorowych gwałtach... na demonach.

— O czym ty mówisz? Skąd wiesz to wszystko? — Książę poczuł narastającą złość.

Matka nienawidziła ojca od lat, podobnie jak on. Ale zdrowa nienawiść

to jedno, kłamstwa to co innego.

— Wybacz, synu — Irdana zmitygowała się, odruchowo pocierając bladą bliznę na czole. — Pomówmy o czymś innym. Powiedz mi, co się teraz nosi w Tollan. Twój ojciec wciąż nie pozwala mi odwiedzić stolicy i obawiam się, że zaczynam wyglądać jak obdarta Druazzi...

* * *

Rozstawszy się z matką, książę ruszył do sali tronowej. Strzegący dostępu strażnicy nie próbowali go zatrzymać. Usłużny, zgięty w ukłonach szambelan, Myngus, skierował Tennoka na podwórze, gdzie mieściło się zejście do kopalń.

Dziwnego, kwaśnego fetoru Dołów nie sposób było z czymkolwiek pomylić. Cuchnęły jak uperfumowana przez ekscentrycznego bogacza kloaka, w której ktoś urządził rzeźnię. Maczurai stał pośród nadzorców i ochroniarzy, ze splecionymi na piersiach ramionami, sękatymi jak stare drzewa. Potężny i niewzruszony, górował nad ludzką mierzwą. Samą obecnością zaprowadzał ład w tłumie przerażonych Tlaskalan i Tikalczyków, a także dezertarów z kruzańskiej armii, którzy kłębili się przy zejściu do Dołów, czekając na powrót windy.

Tłum rozstał się przed nim niczym mętne, szemrzące morze i Tennok poczuł narastające w gardle wzruszenie, kulę wrzącego, kipiącego błota. Nigdy tego nie rozumiał, emocje zaskakiwały go i dezorientowały. Przełknął ślinę i ruszył w stronę ojca, powłócząc ciężkimi nagle nogami. Maczurai zobaczył go, drgnął, po czym jak gdyby nigdy nic wrócił do instruowania głównego nadzorcy, Hagotla.

Tennok poczuł, jak ostry ból przeszywa mu wnętrzności. Pojął, że Maczurai lekceważy go z wyrachowania. Że ma tu czekać, przed tymi ludźmi, osiąść na przypisanym mu w hierarchii miejscu jak opadająca

drobinka kurzu. Żeby mu się we łbie nie przewróciło. Żadnych cudownych pojednań nie będzie.

Zakotłowała się w nim złość, ale przede wszystkim na siebie. Na co liczył? Że stary rzeźnik porwie go w ramiona, a potem ucałuje w oba policzki?

Władca Yugal odprawił wreszcie nadzorcę i uśmiechnął się do księcia zdawkowo.

— Widzę, że dali ci mundur. I chyba go nie zaszczesałeś ze strachu, choć w tym smrodzie trudno cokolwiek powiedzieć. Zdumiewasz mnie, chłopcze.

— I nawzajem, ojcze. Nie pamiętam tutaj takiego ruchu — odparł Tennok, zaskoczony chłodnym spokojem własnego głosu.

Może wreszcie przestawał być dzieckiem.

— Wojna, synu. Wojna. Każda kampania to zamówienia na smar i kolejne tłuste kontrakty. A potem dostawa więźniów.

Ściszywszy głos, Maczurai nachylił się do ucha Tennoka:

— Zamierzam ograniczyć bydłakom racje żywności i wody. Przerób mamy taki, że nie opłaca się karmić. I tak swoje wykopią, nim zdechną.

— Myślałem, że większość jeńców dostaje Czerwona Świątynia.

— Nie tym razem, młody. Quinatzin testuje nerwy kapłanów, licząc na to, że przyciśnięty Szurukan uczyni coś bardzo głupiego. No, ale dość polityki. Opowiedz, jak było w Tollan.

Dalszy ciąg rozmowy odbył się w prywatnym gabinecie ojca. Tennok przysiągł sobie, że będzie rozmawiać z nim inaczej niż dotychczas i nie pozwoli Maczuraiowi się poniżyć. Wpatrywał się w ojca bezczelnie, szukając śladów zniedołężnienia i nadciągającej starości, czegokolwiek, co dałoby mu jakąś przewagę. Ale stary, rozwalony na ozdobnym zydlu, jakby siedział na ławie żołnierskiej tawerny, beztroski i dobrze odżywiony, nie odsłonił żadnego słabego punktu. Poza tym księcia rozpraszały pewne szczegóły.

Takie jak naga, śniada ślicznotka, młodsza od Tennoka, która wyjrzała z przylegającej do gabinetu sypialni, wycierając sterczące piersi i szczebiocząc do Maczuraia zalotnie, że woda niedługo wystygnie. A może chodziło o dobiegające zza kotary śmiechy jej koleżanek?

W końcu, tak jak tyle razy wcześniej, chłopak poddał się energii ojca, czując, że w tym domu potrafi tylko dryfować.

Maczurai wysłuchał relacji w skupieniu, nie przerywając ani nie komentując. Jakby naprawdę cieszył się, że wreszcie jego spotkanie z synem tak wygląda. Że może dzielić z nim męskie sprawy. Aż wstał z ławy i dopytując o szczegóły starcia z Tlaskalanami, wykonał kilka szermierczych kroków, odtwarzając walkę. Jakby nie mógł usiedzieć na miejscu.

Tennok nigdy nie widział go takim. Rysy ojca wyostrzyły się, nadając mu wyraz jastrzębia, jeżeli ktoś kiedyś widział jastrzębia z wyłamanym dziobem. Maczurai wyglądał jak stary drapieżca, który znów złapał ślad krwi – ślad zaschniętego wspomnienia.

Oczywiście, w raporcie Tennoka zabrakło jego beztroskiej degrengolady... i aktów bezprzykładnego mazgajstwa. Właściwie to skupił się na budujących anegdotkach z wojska.

Gdy zaczął mówić o kłopotach z Haranem, ojciec w skupieniu podrapał się w zabliznioną ruinę nosa. Wyglądało to naprawdę ohydnie i Tennok po raz setny zastanowił się, czemu stary nie kryje tych zniszczeń pod maską.

— Mam wtrącić skurwiela do lochu? O to mnie prosisz? — odezwał się w końcu.

— To może być trudne. Druazzi ma mocne plecy.

— Jak mocne?

— Jak Quinatzin. *Tlatoani* niedawno go przyjął do gwardii.

Maczurai zagwizdał cicho. Mało kto mógł otwarcie wtrącić do lochu

jednego z Zabójców Gwiazd. Nawet siepacze Czerwonej Świątyni ścierali się z nimi po cichu, a poza Czerwonym Kapłanem nikt w Odrodzonym Przymierzu nie mógł się mierzyć z królem.

— Nie mogę opowiedzieć się po stronie kapłanów. Quinatzin kupuje ode mnie *braazatal*, a Szurukan... stary sęp najchętniej zasypałby moje kopalnie. Chyba musisz załatwić to sam. Dopadnij go, jak się wytoczy pijany z gospody. I zabij. W młodości zawsze wyzywałem ich, jak byli pijani. Podejmują wtedy fatalne decyzje. — Maczurai uśmiechnął się do wspomnień.

— Nie dam mu rady, ojczu. To najlepszy szermierz, jakiego widziałem — wyznał Tennok cicho.

Chciał dodać, że sam Maczurai miałby z Haranem kłopoty, ale ugryzł się w język. Władca Yugal mógłby źle znieść zrównanie go z byłym niewolnikiem, nawet jeśli ów niewolnik był tęgim rębaczem.

— Czemu w ogóle przychodzisz z tym do mnie? Dawniej nigdy mi się nie zwierzałeś — w głosie ojca zabrzmiało poczucie winy. Jakby przelotne spotkania dwa razy do roku mogły stwarzać okazję do zwierzeń.

— Bo chodzi o honor rodu. Barbarzyńca obraził Turkusową Włócznie, kradnąc mojego jeńca. Powiedział, że to on go pojmał — wypalił Tennok, patrząc Maczuraiowi w oczy.

Wcale nie miał wrażeń, że kłamie. To, że księżę sam poprosił Harana o pomoc, nie miało większego znaczenia. Umysł potrafi wygładzić takie sprzeczności. Z chwilą gdy Haran odbił mu Citali, stał się wrogiem, a wróg nie zasługuje na sprawiedliwość i litość. Liczyło się tylko, że odebrał mu chwałę. I teraz przyjdzie mu za to zapłacić. Tennok planował to od tak dawna, że zdążył uwierzyć we wszystkie, prawdziwe i urojone, powody, dla których barbarzyńca powinien zdechnąć.

Haran musi zginąć.

— Wzięłeś jeńca? Naprawdę? — Ojciec spojrzał na niego uważnie. Nagle szybkim, gibkim wypadem fechtmistrza sięgnął po kosmyk zwisający z tyłu głowy Tennoka. — W takim razie zapomniałeś się ostrzyć.

Książę zeszywniał, upokorzony.

— Mówię ci, że oszukał mnie własny *urs*. Przypisał zasługę sobie — powiedział z uporem.

— I oficerowie dali mu wiarę? Bełkot niewolnika przeciwko słowu szlachetnie urodzonego?

— Wierzy mu sam Quinatzin. *Urs* ocalił mu życie.

Maczurai nie był już rozbawiony. Kurczowo zacisnął pięści.

— Kogo właściwie pojmałeś? Jakiegoś wojownika czy może obozowego ciurę?

To budujące, jakie mniemanie miał o nim własny ojciec. Tennok zmusił się, żeby patrzeć mu w oczy.

— Szaratangę. Dopadłem Lwa Labiryntu.

Maczurai zamrugał. A potem zaczął się śmiać, tubalnie i dudniąco, z głębi rozłożystej piersi. Klepnął Tennoka w ramię, niemal obalając go na ziemię.

— No, rozbawiłeś mnie. Te wszystkie książki... bajeczki, które całe życie pochłaniasz, na coś się jednak przydały. Teraz układasz swoje. Szaratanga, a niech mnie!

— Był prawie sam, dorwaliśmy go w Labiryncie. Przetraściłem mu nogę. Wypatrzyłem, w jaki sposób utyka, a potem trafiłem go w czuły punkt. Cahuotl nauczył mnie dość — warknął Tennok.

Książę, czerwony na twarzy, nie spuszczał z ojca wzroku. Po raz pierwszy zobaczył w nim niepewność.

— Ty nie kłamiesz — sapnął zdumiony wojownik. — I mówisz, że oszukał cię jeden z moich? Kundel z Dołów, który się wybił?

— Nie pierwszy lepszy, ojcze. Ten *urs* ma w sobie krew Białych Diabłów. Jego ojciec był kiedyś *aszkatlim* Druazzi. Nazywali go Pęcherz.

Twarz Maczuraia zadrgała. Milczał, bezwiednie drapiąc nieregularne brzegi blizny, w której miejscu powinien być nos. Nagle jego brutalne oblicze stężało.

— Motłoch czasem potrafi człowieka zaskoczyć. Ale popełniasz błąd, dając się takiemu czemuś obrazić. To tak, jakby uraził cię pies — sarknął. — Poczekaj tu. Z kimś cię umówię.

* * *

Gdy Tennok go odnalazł, Haran zdążył już zapuścić się do Dzielnicy Leśnej. Stał przy stoisku ulicznego sprzedawcy, zajadając pieczonego karpia, pachnącego papryką i czosnkiem. Uśmiechnął się do księcia, który skrzywił się na widok żarcia. Tłuste karpie, popularne wśród plemion i miejskiej biedoty, uchodziły za gatunek sprowadzony przez Białoskórych i podobnie jak konie, bydło i świnie objęte były rozlicznymi uprzedzeniami i tabu. Zdaniem uczonych mnożyły się tak szybko, że wypierały lokalne gatunki, w czym wspierała je wrodzona odporność na miejskie nieczystości. Niektórzy zwali je nawet łuskowatymi szczurami. Zapewniały pożywienie nędzarzom, i to uchroniło je przed potępieniem Czerwonej Świątyni.

Ale żaden szanujący się Kruz nigdy nie wzięłyby tego świństwa do ust.

— Nie rozumiem, jak możesz to jeść. Przecież to błotny robak, nie ryba. Barbarzyńca wzruszył ramionami.

— Lubię podziemne stworzenia — mruknął melancholijnie.

Księżę poprosił sprzedawcę o dużo droższego, złotawego pstrąga. Bez chilli i ostrych sosów. Podmuch wiatru obdarował ich ciężkimi woniami Mys. Zapach rzeki i zbutwiałych bali nabrzeża, stojącej wody kanałów i jeszcze starszego tłuszczu, zgnilizny, palenisk i gówna. Tennok skrzywił się

na myśl o życiu yugalczyków.

Biedne skurwysyny. Jak w tym smrodzie można cokolwiek przełknąć?

— Nie byłeś w domu? — spytał.

Haran zakaszłał, jakby w gardle utkwiała mu ość.

— Bałem się. Wciąż nie wiem, czy w ogóle tam pójdę. Pewne sprawy niełatwo jest rozgryźć — wyjaśnił, rozglądając się po zatłoczonym nabrzeżu.

— Ja poszedłem. Dowiedziałem się paru rzeczy. Dość paskudnych — powiedział Tennok, unikając wzroku towarzysza.

Były *urs* poklepał go po plecach.

— Za dużo się martwisz. Ja zamierzam martwić się dopiero wtedy, kiedy będą mnie wciągali na ołtarz — zażartował. — Albo gdy ostrze wroga dosięgnie serca. Tak, to dobry moment na troski. I krótki. — Roześmiał się.

Tennok milczał. Skubał swojego pstrąga, jakby wyświadczał mu wielką łaskę.

— Nasi ojcowie się znali.

— Byli wrogami, książę. — Haran spojrzał na niego uważnie.
— Myślisz, że Maczurai mnie szuka?

Tennok pokręcił głową.

— Nie o to chodzi. Nasi ojcowie... dowiedziałem się o nich dużo. Za dużo. To... bardzo trudna historia. Jak kościotrup wmurowany w fundament. Nie wiem, czy ci się spodoba.

— Chcę wiedzieć.

— Znam kogoś, kto powie ci więcej — powiedział Tennok ostrożnie.

Nieludzkie, szare oczy barbarzyńcy wpatrywały się w niego w napięciu.

— To weteran. Ktoś, kto pamięta ich obu. Niestety, jest strasznym odludkiem, więc musimy się wyprawić na bagna.

Haran wzruszył ramionami.

— Nie szkodzi. Nawet się za nimi stęskniłem, dasz wiarę? Namorzyny,

wiszące pnącza, liany, orzeszniki... Mam nadzieję, że szara dziwka nie wykończyła ich wszystkich.

Tennok milczał. W dzieciństwie nigdy nie łąził po bagnach, choć czytał o nich w kilku zajmujących monografiach. Już sto lat temu odwiedzający te ziemie Klekotatl, pierwszy botanik Kapłańskiego Kolegium, odnotował, że najczęściej spotykaną zwierzyną w lasach nieopodal Yugal są pająki i wielkie pijawki, osobliwie rozmiłowane w zgniliźnie. Nie wiedzieć czemu książę miał pewność, że z posiłków najbardziej cenią te z błękitnej krwi.

Ruszyli w stronę moczarów rozlewających się nieopodal miasta. Mys zataczała w tym miejscu łuk, kierując się w stronę dalekiego oceanu na wschodzie. Tennok wiedział, że bagniska i podmokłe, malaryczne lasy ciągną się aż do miejsca, w którym kontynent zwęża się w przesmyk zwany od pobliskiej osady Tecuani-Tepec, Wzgórzem Jaguarów. Na wschód i południe od tego przewężenia leżał półwysep Jukatan, rządzony, wraz z rozległymi krajami na wschodzie, przez Federację Wielkiego Tikal. Wąski pas lądu, trudno dostępny, usiany wulkanami i pasmami gór, porośnięty nieprzebytą dżunglą, ciągnął się dalej przez setki tysięcy strzał, aż ponownie rozszerzał się, przechodząc w drugi, południowy kontynent.

W parnych lasach i górskich dolinach drzemały starożytne miasta-państwa, stolice zapomnianych ludów oraz faktorie i twierdze dawno minionych imperiów. Wiecznie skłócone, stanowiły arenę zacieklej rywalizacji Przymierza i Federacji Tikal, a nawet zagadkowego Imperium Inki, ponoć rządzonego przez władających czarami, nieumarłych królów. Perspektywa sojuszu między Inkami i Tikal, po którym nastąpi niszczycielska inwazja z południa, spędzała sen z powiek kolejnym kruzańskim władcom. Dlatego też dzielący kontynenty pas lądu od stuleci stanowił obszar wojen, finansowanych przez obce mocarstwa przewrotów, wojskowych puczów i karnych ekspedycji.

Tennok prowadził Harana pewnie, modląc się, by dobrze spamiętał instrukcje ojca.

Szli kruzańskim traktem wojskowym, ale nawet tę główną drogę co rusz zagarniały zachłanne moczary. Książę miał cały czas wrażenie, że znacznie cięższy od niego Haran nie zapada się w błoto, nie chlupocze i nie przyciąga morderczych owadów. Może tutejsze moskity zawarły z dzikusami jakiś pakt?

Gdy dotarli na długą, częściowo podtopioną groblę, Tennok przyspieszył kroku. Nad groblą górował charakterystyczny, rozłupany piorunem cyprys, porośnięty girlandami pasożytniczych lian. Książę odetchnął z ulgą. Jednak nie zbladził. Kątem oka spostrzegł, że Haran dobywa noża, a ostra klinga błyskawicznym ruchem sięga do szyi Tennoka, tnąc po łuku, błyszcząca jak krawędź księżycy.

Książę skulił się, ale nie zdążył odskoczyć.

Przejrzał mnie, pomyślał.

Ostrze minęło go jednak dosłownie o włos. Zdumiony, rozdziawił usta. Policzki ochlapała mu gorąca krew.

— Spadła na ciebie pijawka. Tu się przyssała, za uchem. Lepiej zobacz, czy nie masz jeszcze jakiejś — wyjaśnił Haran, rozdeptując pasożyta na skrawku suchego łądu. — Weź, przyłóż sobie kawałek soli — polecił.

Zza jego pleców rozległ się głośny rechot. Czekali na nich na wąskiej grobli, bezszelestni i czujni jak koty. Było ich trzech. Najwyższy, uzbrojony w dwuręczny miecz z drewna i wąskich krzemiennych ostrzy, zagroził im drogę, pozostali odcięli odwrót. Poruszali się z leniwym wdziękiem drapieżców. Nosili cywilne ubrania, ale w ich postawie wyczuwało się coś twardego, co od razu zdradzało żołnierzy. W sile wieku, zamożni i pewni siebie. Najwyższy, wyglądający na dowódcę, zmierzył Harana wzrokiem i uśmiechnął się szeroko.

— No, no. Po skórze nijak nie idzie poznać, a oczu nikt nie zobaczy przez te kudły, co ci spadają na twarz. Dobrze się farbujesz, lisku.

— Do mnie mówisz, człowieku? Nie znam cię — mruknął Druazzi, rozglądając się czujnie.

To wszystko nie wyglądało za dobrze.

— Jestem twoją śmiercią, lisku. Karzącą ręką bogów.

— Zachowaj te brednie na straszenie wnuków, starcze.

— Doprawdy? To zapytaj Hezę o małą, czerwoną skrzyneczkę. Na pewno jej nie wyrzuciła, znam ją. Zawsze była skąpym babskiem, poza tym bała się bogów. Wierzysz w bogów, diable?

Haran pokręcił głową. Szukał wzrokiem Tennoka, który mężnie gotował się do ucieczki. Maczurai polecił mu to dobitnie i nader klarownie. Miał im nie wchodzić pod nóż.

— Nie wierzysz? A szkoda, wiele tracisz. Bogowie naprawdę miewają gest. Nie spodziewałem się już, że dadzą mi znowu ubić jednego z was.

Głos nieznanego, monotony i matowy, usypiał. Łowcy krążyli wokół Harana, czekając na dobry moment. Rozpraszają go, uznał Tennok.

A potem wszystko potoczyło się szybko.

Barbarzyńca nie próbował sięgnąć po długi miecz, który nosił przytroczony do pasa. Zamiast tego gwałtownie ruszył przed siebie, celując w przywódcę nożem. W tej samej chwili jeden ze stojących za nim łowców zakręcił w powietrzu myśliwską *bolą*.

Przywiązane do rzemienia kamienne ciężarki okręciły się wokół nóg barbarzyńcy. Haran upadł. Szarpnął się, sięgając po wytracony z dłoni nóż, ale spadła na niego obciążona sieć. Ogromny Druazzi potoczył się ciężko po ziemi. Jeden z napastników kopnął go w żebra, drugi celował w głowę. Barbarzyńca zasłaniał się i jak mógł, unikał uderzeń.

— Tennok! Uciekaj! — wrzasnął.

Książę poczuł, że pali go twarz.

Ci *ursowie* naprawdę się przywiązują. Kto by pomyślał.

Haran rzucał się po ziemi jak rozwścieczony wąż, sycząc i próbując zerwać pętające go sznury. Ale wciąż spadały na niego ciosy pałek.

Przywódca łowców jak dotąd nie użył miecza. Chyba brakowało mu miejsca. O mały włos, a zahaczyłby wrośniętego w ziemię Tennoka.

— Zabieraj się stąd! Nie chcesz pomóc, to chociaż nie przeszkadzaj! — wrzasnął na niego herszt.

Tennok odskoczył posłusznie. I zobaczył, jak Haran podnosi rozbitą, zakrwawioną głowę, a potem posyła mu zaskoczone spojrzenie. Wyglądał jak zaproszony na świąteczny obiad gość, który zorientował się, że nie będzie dziś biesiadnikiem, lecz daniem. Tennok opuścił głowę. Oczekiwał po swojej zemście radości i satysfakcji, a czuł się jak ostatni sukinsyn.

I pojawiła się wściekłość. Jasne, użalaj się nad nim. Właśnie przez takie idiotyczne skrupuły ten dzikus odebrał ci dziewczynę, idioto.

Tennok zbliżył się do Harana i kopnął go.

Pech chciał, że stanął na linii ataku przywódcy łowców, który właśnie zamierzał się mieczem. Druazzi skorzystał ze sposobności. Rozpruł nożem sieć, lecz zamiast walczyć, dał nura do wody.

Łowcy klęli, na czym świat stoi, ale żaden nie pofatygował się za nim. Wypatrywali czegoś uważnie.

— Patrzycie, gdzie wypłynie? — zainteresował się Tennok.

Jeden z łowców uśmiechnął się krzywo.

— Szacujemy, ile tutaj żeruje kajmanów.

* * *

Haran zanurkował najgłębiej i najdalej, jak potrafił. W Dołach nauczył się zwalniać oddech i oszczędnie dozować powietrze. Każdy skazaniec albo

to umiał, albo umierał, gdy wrogowie zasypali i odcięli chodnik. Mimo tej ekstremalnej zaprawy płuca paliły go żywym ogniem. Naprawdę, pokonał nieelichy dystans. Wynurzył się dopiero wtedy, gdy znalazł wystarczająco gęste zarośla, po czym od razu wetknął sobie w usta zerwane źdźbło trzciny i zanurkował ponownie.

Czekał cierpliwie, zasłonięty zwisającymi ze skarpy korzeniami. Nurkowanie dało mu w kość, ale nie na tyle, żeby przepędzić dźwięczące w głowie pytanie.

Dlaczego Tennok go zdradził?

Nagle przypomniał sobie tamten letni, upalny dzień, niedługo przed śmiercią Pęcherza, gdy zapomniał o przestrojach Hezy i beztrosko wykapał się razem z kumplami. Susza stulecia sprawiła, że całe Yugal wyległo nad Mys. Haran kapał się od wielkiego dzwonu, znacznie rzadziej niż inne chłopaki. I oczywiście sam, w bezpiecznych ciemnościach nocy, na wypadek gdyby woda zmyła maskującą, brązującą miksturę, którą sporządzała Heza. Zawsze też pamiętał o włosach. Nosił je spięte i zaplątane w coś, co przypominało ciasny kok. I nigdy nie moczył. Tamtego dnia wypłynął na powierzchnię dumny i szczęśliwy, że mimo braku praktyki nurkuje tak dobrze jak jego przyjaciel Kek. Nie widział nic spod ściekającej mu na oczy wody.

Kiedy wynurzył się z toni, jego włosy zajaśniały w słońcu, jakby same były z niego utkane. Wyglądały paskudnie. Jak kolba kukurydzy albo złote ozdoby, które tak ukochali Białoskórzy. Dopiero potem, dotknąwszy twarzy, zorientował się, że na brzegu, pośród kolegów, panuje cisza ciężka jak kamienne wrota. Odruchowo zasłonił twarz przedramieniem. Kiedy na nie spojrział, zszokowała go odbarwiona i plamista skóra, pozbawiona maskującej farby z wywaru Hezy. Przywodziła na myśl ospę albo inną śmiertelną chorobę. Bo tym właśnie był, chorobą i wynaturzeniem.

Teraz nie groziło mu nic podobnego; odkąd szary pył Dołów na trwałe wżarł mu się w skórę, nie wyglądał już na Białoskórego, lecz tak, jak powinien: na cudem ocalonego skazańca. Wtedy, gdy miał dziewięć lat, jego biel nie zatarła się jeszcze pod brudem, a wśród ludu Przymierza wciąż żywa pozostawała tradycja spontanicznych, nabożnych pogromów.

Starsze, obce chłopaki, które nie kojarzyły Harana z uliczek Leśnej, przytopiły go porządnie. Nałykał się wody i strachu. Krzyczeli, że będą jak ci słynni tępiciele demonów... jak im było, Szare Pasy chyba. Że załatwią go, tak jak robiło się kiedyś.

Oczywiście, Haran czekał, aż ruszą się jego koledzy. Ale oni tylko stali i patrzyli. Ocalił go wtedy Pypek, płaczliwy, tchórzliwy chłopak, z którego Haran zawsze się śmiał. Miał wysuniętą, wiecznie wilgotną dolną wargę. Wystarczyła, by zmienić dzieciństwo chłopaka w piekło. Haran lubił Pypka, bo wiedział, że odciąga od niego uwagę potencjalnych prześladowców. Pypek potrafił też szybko biegać i gdy ich druhowie stali po prostu w niezdecydowaniu – na ich usprawiedliwienie trzeba rzec, że nie przyłączyli się do łowów – on pobiegł czym prędzej do Pęcherza. Najwyraźniej ciągnące się przez całe życie szykany i upokorzenia zaszczepiły w nim współczucie dla ludzkich ułomności. Wyśmiewani mają chyba ten instynkt, odruchowe utożsamienie z ofiarą.

I kiedy tamci w końcu zapędzili Harana pod stromą skarpe, odcinając mu drogę ucieczki, a ich włócznie zabawki okazały się całkiem niezłą imitacją oręża dorosłych, z drugiego brzegu rozległ się przejmujący gwizd. Na plaży stał Pęcherz, trzymając napięty łuk.

W tamtych dniach jego ojciec rzadko polował i Haran zdążył zapomnieć, do czego jest zdolny. Był szybki, naprawdę szybki. Nie zabił ich, w końcu byli dziećmi jego sąsiadów i dawnych żołnierzy. Ale nieźle ich przestraszył. I upokorzył, co też nie było bez znaczenia. „To mój syn, pamiętajcie o tym!

Kto czepia się jego choroby, czepia się także mnie”.

Gdy zwiali, Pęcherz podszedł i objął go szorstko. Haran wyrwał się, chciał być sam. Na kumpli nawet nie spojrzał. Nie trzeba wspominać, że nie podziękował Pypkowi, który chyba nawet na to nie liczył.

Wieczorem Haran wrócił nad rzekę. Znalazł odciętą od głównego nurtu zatoczkę ze stojącą wodą, pamiątką po niedawnej powodzi, i w skupieniu popatrzył na własne odbicie. W ich domu nie było czarnych luster z wygładzonego kamienia, którymi posługiwali się kapłani i najbogatsi Kruzowie, a nad rzekę dotychczas wyprawiał się nocą. Od kilku lat nie przyjrzał się sobie uważnie.

Zszokował go duży, zakrzywiony nos i pokraczne, obce proporcje twarzy. Powinna być bardziej okrągła, bez tej wysuniętej szczęki. Ale najgorsze były oczy. Wielkie i jasne, zimne. Natarczywe w swojej stalowej szarości, za którą czaił się błękit. Oczy zamorskiego demona. Skórę można ubrudzić, włosy przemaalować. Ale co zrobić z tymi cholernymi ślepiami? Haranowi pozostało je mrużyć. I robił to, jak wściekły. Od tego czasu świat oglądał jak żołnierz Białych, przez wizurę żelaznego hełmu. Zawsze na pieprzonej wojnie. Inny.

Powiedział sobie, że to właśnie dlatego koledzy nie próbowali mu pomóc, że powodem było to, co Pęcherz i Heza nazywali chorobą, kalectwem. Haran czuł się wystarczająco pognębiony i wolał nie drążyć tej kwestii, choć trzepotała w ciemności jak głodny, karmiący się krwią nietoperz.

Dlaczego się nie ruszyli?

Teraz, gdy znów kulił się w mulistych odmętach Mys, był bardziej świadom, w jaki sposób postrzegają go inni. Chociażby Tennok, którego dumę sponiewierał. W ciemnościach Dołów nikt nie dbał o to, czy w jego żyłach płynie przeklęta krew, a relacje międzyludzkie przechowały się tam

w szczątkowej formie. Mimo to gdyby nie Moros, grupa zagryzłaby go. Nigdy nie wiedział, co i kiedy powiedzieć, żeby **oswoić** ludzi. Jak zmienić słowa w kojące pochrząkiwania, które budują więź, w ludzki odpowiednik życzliwego małpiego iskania. On zwykle mówił, co myślał. Mędracy z Zaułka Filozofów powiedzieliby, że jego schorzeniem jest prawda, że niebaczenie uczynił z niej fetysz. U źródeł leżała duma.

Po incydencie nad rzeką z pełnoprawnego członka ich podwórkowej bandy stał się znienawidzonym wyrzutkiem. I tylko imię Pęcherza sprawiało, że rówieśnicy bali się mu to jawnie okazać i udawali, że wszystko jest jak dawniej. Stał się czymś niebezpiecznym, zatrutą strzałą, którą ostrożnie obraca się w palcach.

Udawanie było w tym wszystkim najgorsze, milczenie i urywające się w obecności Harana rozmowy, ciężka od wstrętu cisza i ten ledwo hamowany wyraz obrzydzenia, urazy i strachu, który widział w umykających spojrzeniach kolegów. Na próżno rodzice Harana niestrudzenie rozpowiadali, że to żadna diabelska krew, tylko dziwna choroba skóry, a Pęcherz gotowy był wyzwąć do walki każdego, kto twierdził inaczej. Po jakimś czasie koledzy zapomnieli, ale Heza i Pęcherz zmienili się tamtego lata, jakby jakiś ohydny pająk złożył w ich sercach trujące jajeczka strachu.

Nagle usłyszał donośny plusk, który przywołał go z powrotem do ciemnej, obojętnie kołyszącej go rzeki. Potem rozległ się ochryply krzyk. Haran naprężył mięśnie. Bagienna woda zafalowała, coś dużego szybko płynęło w jego stronę.

Od czasu Klątwy niektóre gatunki zwierząt zmieniły się i tylko badacze przyrody przebąkiwali, że czasem bywała to zmiana na korzyść. Na przykład rzadki koliber *pecuchtli* zmienił odcień z szafirowego na szkarłatny.

Mimo to nawet najbardziej nawiedzeni z uczonych nie twierdzili nigdy, że bagienne aligatory i kajmany straciły apetyt na ludzkie mięsiwo, bo

właśnie tę przykrą ich cechę wydatnie wspomogła Klątwa.

Zielonkawe kajmany z okolic Yugal nie należały do największych przedstawicieli swojego gatunku. Nie umywały się do ogromnych, czarnych bestii z południowego kontynentu, które osiągały długość równą wzrostowi dwóch, a czasami nawet trzech mężczyzn. Kajmany z Yugal były mniejsze, nie przeszkadzało im to jednak polować na ludzi.

Zwłaszcza na tych, którzy broczyli krwią.

Stosowały niegłupią taktykę – wciągnąć ofiarę pod wodę i zadławić ją. Po co nadwierać szczęki. Ale Haran nie zamierzał umierać bez walki.

Zgiął się w pałąk i dźgnął w podłużny łeb bestii. Celował w oko, szukając ostrzem niewielkiego mózgu. Kajman wierzgnął, nóż musiał dosięgnąć celu. Szczęki zwierzęcia zacisnęły się na stopie barbarzyńcy, a drgający ogon zaplątał się w podwodne korzenie i trawy. Haran na próżno wyrwał się w górę, ciężar był zbyt wielki. Kajman wciągał go coraz głębiej, Druazzi czuł, że brak powietrza zaraz rozsądzi mu mózg.

Pomyślał o odcięciu uwięzionej przez bestię stopy, ale uznał, że nożem nie zrobi tego dość szybko.

Zamiast tego zbliżył twarz do szyi zdychającego zwierzęcia i jednym pociągnięciem ostrza rozpruł ją. Skoro bydlaki potrafią przyczać się pod wodą na długie godziny, muszą gdzieś trzymać zapas powietrza! Z krwawiącej szczeliny wydobył się mętny bąbel, a Druazzi szybko przyłożył usta do rany i nabrał w płuca cuchnące zgnilizną wyziewy.

Gdy nie możesz zaczerpnąć powietrza, zaczerpnij tego, co jest.

Rozdział 1

Uwięziony w celi Kiliretha miotał się jak szczur w potrzasku i nie chodziło tutaj o lochy Skarbca. Najgorsze więzienie miał w głowie. Bał się ponownie skosztować *braazatalu*. Niemal codziennie pluł krwią. Ostatnia wizja, w której pod postacią olbrzyma cwałował po zapomnianym polu bitewnym z czasów Klątwy, o mało nie kosztowała go życia. Żebra, popękane po ciosie od kuli armatniej, bolały go jak najbardziej realnie. Co gorsza, zrastały się wolno, zapewne z powodu braku słońca. Potrzebował spokoju, ale spokój był teraz najtrudniej dostępny.

„Wrócą. Oni wrócą i zmienią ten świat”.

Już nie był pewien, czy głosowi z wizji chodziło o Dobroczyńców.

W zardzewiałym zamku opornie zachrząścił klucz. Ktoś zaczął go cierpliwie oliwić, czyszcząc mechanizm. W Zakonie chętnie stosowano niespotykane gdzie indziej zamorskie wynalazki, jakby chwając się starożytnym rodowodem organizacji. Kiliretha ocknął się ze wspomnień, wynurzył i złapał oddech, wciągając do płuc terażniejszość. Miał gościa, co było zaskakujące i bardzo niepokojące. Wiedział, że Królestwo Tlaskali nie pozwoliłoby żadnemu innemu więźniowi znaleźć się choćby w zasięgu jego głosu. Nie odwiedzali go także śledczy ani zatroskani o jego duszę kapłani.

Czasami pozwalano mu napisać list z prośbą o aparaturę, książki i materiały badawcze, ale nigdy nie otrzymał pisemnej odpowiedzi przełożonych. Jak zawsze wszystko, czego potrzebował, trafiało do niego przez otwór w suficie w specjalnym, opuszczanym na sznurach pojemniku.

Jedzenie, dokumenty, skrzynki z aparaturą. I *braazatal*, coraz lepszy i coraz mocniejszy. Jakby hierarchowie z Zakonu obawiali się, że zdeprawuje każdego służącego czy niewinnego kleryka, który zamieni z nim choćby słowo czy obrzuci go ukradkowym spojrzeniem. Przez głowę przemknęła mu absurdałna myśl, że to Oretl powrócił, aby się zemścić, ale odrzucił ją ze sceptycyzmem uczonego, kształconego według reguł Dobroczyńców. Bardziej prawdopodobny był widok kata z toporem, w rytualnej, kościanej masce. Ale czemu dopiero teraz?

Kolejne zasuw, rygle. Zgrzyt zamka, rdza usypująca się w stosiki niczym płatki zatrutego śniegu, upiorna danina czasu. Kiliretha zadrżał. Ile minęło lat? Ile **miało** minąć? Dopiero teraz uświadomił sobie, że jego Zakon postanowił pogrzebać go żywcem.

Wreszcie drzwi ustąpiły z jękiem. Do celi wszedł postawny mężczyzna w popielatej szacie Zakonu Kreta. Miał majestatyczną, dostojną twarz o harmonijnych, jakby marmurowych rysach, otoczonych imponującą aureolą siwych włosów. Inne szczegóły, takie jak orli nos patrycjusza, ewidentna domieszka krwi Dobroczyńców, oraz dumny, posągowy profil także budziły w rozmówcy instynktowne posłuszeństwo i ufność. Była to twarz stworzona przez bogów z myślą o biciu monet.

Kiliretha na jego widok zawsze czuł się boleśnie świadomy swoich płaskich rysów, sprytnych oczek i innych mało posągowych cech własnej osoby. Miał dobrą, dość pospolitą twarz szpiega, nienadającą się na marmurowe popiersia. Podejrzewał, że w ten sposób na przywódcę Kretów reagują wszyscy, co na pewno nie wadziło mu w polityce.

Kiliretha wyciągnął szyję i odetchnął z ulgą. Za plecami Zergosa nie dostrzegł pochodni ani ostrzy. Zatem to raczej nie egzekucja.

— Zmiany, Kiliretho. Duże zmiany — powiedział Zergos głosem zmęczonym jak dawno wyschnięte morze.

Więzień aż przysiadł na niskim zydlu. Zakołysało nim. Miał wrażenie, że podłoga jest bardzo daleko i zaraz się o nią roztrzaska. Chciał coś powiedzieć i z zawstydzeniem uświadomił sobie, że zapomniał jak. Przestał mówić do siebie jakieś cztery miesiące temu. Mógł tylko bezradnie pochrząkiwać.

— Nie przejmuj się tym. Wiem, że umysł nadal masz jasny. Co tydzień zaglądam do twoich raportów — głos Zergosa ociekał pewnością siebie, skroplonym majestatem władzy.

Czyli nadal wykorzystywał doświadczenia i wiedzę więźnia Zakonu. Dlaczego?

Odpowiedź zadzwoniła w głowie Kilirethy jak dłuto. To oczywiste. Niedobory.

Nagle pojął, że bynajmniej nie honor ani wstyd kazały Zergosowi go oszczędzić. Szef Kretów nie znał litości, ale z natury nie był zdolny do marnotrawstwa. Nie wyrzucasz jednego z najlepszych mózgów na służbie Zakonu tylko dlatego, że może być zagrożeniem. Zamiast likwidować, izolujesz go.

Teraz, w miarę jak nasilała się presja ze strony ich odwiecznych wrogów, Zakon zużywał rezerwy. Było w tym coś bardzo niepokojącego. Ta gospodarność nosiła znamiona desperacji, której wymownym dowodem stało się rzucenie Szaratangi na pożarcie Kruzom, jak trującego ochłapu.

— Potraktuj to jako nieoczekiwaną amnestię. Rozpraszamy was — wyjaśnił Zergos.

Kiliretha nadstawił uszu, choć właściwie miał ochotę je zatkać. Nie wierzył ani jednemu słowu.

— Co się dzieje? Kruzowie zdobyli Labirynt?

— Prawie. Poszczuli na nas *hikku'tai*. Odparliśmy ich, ale cuchnący rabusie grobów dali nam niezłego łupnia. Ponieśliśmy duże straty, a Szaratangę schwytano.

— Żywego? — Kiliretha nie wierzył własnym uszom. To nie pasowało do Lwa Labiryntu. Ani trochę. Musiał mieć potwornego farta. Albo pecha.

— Wszystko wyszło inaczej niż w planach. Zjadacze, nowa broń... przestajemy za nimi nadążać. — Zwierzchnik Kretów nerwowo potargał włosy. Sądząc po ich oplakanej kondycji, robił to bardzo często.

— Ale Quinatzin dostał swoje zwycięstwo, prawda? Myślałem, że tak miało być — odezwał się Kiliretha ostrożnie.

Z pewnością ukrywano przed nim szczegóły, ale i tak przeczuwał, że porażka Szaratangi była celowo zaaranżowaną prowokacją. Generał dostał armię złożoną z nieprzeszkolonych rekrutów, w dodatku haniebnie nieliczną. Bo tak to zaplanowano.

Skoro Kruzowie wkrótce zdołają ominąć Labirynt, wykorzystajmy jego potencjał. Pozwólmy Kruzom wygrać – i uwierzyć, że to dopiero początek ich świetnej passy. Podrzucmy im jakąś przynętę, cenne wojenne trofeum. Najlepiej bohatera, legendarnego obrońcę. Sprawmy, że Kruzowie stracą rozsądek i czujność i wrócą do Labiryntu... już po raz ostatni.

Szaratanga miał nasycić głód sławy Quinatzina i zachęcić go do ryzykownych posunięć. Zakładano, że po zwycięstwie nad kimś tak sławnym król Kruzów uwierzy w swoją szczęśliwą gwiazdę – i zacznie popełniać błędy.

Kiliretha od razu zarekomendował do tego zadania Lwa Labiryntu. Opracował nawet analizę wytrzymałości Szaratangi, w której zakwalifikował go jako idealnego kandydata do „straceńczej misji o ponadprzeciętnym obciążeniu psychiki”.

— Tak, ale schwywanie Szaratangi zamiast tylko ośmielić, wzmocniło Quinatzina politycznie. Nie rozpuścił swoich wojsk po kampanii, ba, w sekrecie przed kapłanami zaciąga nowe oddziały!

Kiliretha zagwizdał przez zęby i syknął, gdy zaboląły go zrastające się

żebra. Armia, która walczyła w świętej, kalendarzowej wojnie, takiej jak ta w Labiryncie, powinna zostać rytualnie rozwiązana.

Szef Kretów pokiwał głową.

— Od stuleci kruzańskie armie kontrolowali kapłani i zwyczaj. Ale Quinatzin nie myśli jak inni Kruzowie. — Chichot Zergosa, zazwyczaj niewzruszonego jak sumienie poborcy podatków, niebezpiecznie przypominał szloch. Usiadł na biurku Kilirethy, nie troszcząc się o odczynniki, próbówki i fiołki. — Założyliśmy, że ten fircyk wypnie pierś do odznaczeń, da okadzić legiony kapłanom i rozpuści je, kurwa, do domów, w oczekiwaniu na kolejną świętą wojnę. Że będzie kierował się kalendarzem, jak od wieków wszyscy Kruzowie, a jego zachłanność i pycha zadowolą się Szaratangą, którego rzuciliśmy mu na pożarcie jak dziewicę wygłodniałej bestii. Na Zabitego Boga, jak bardzo się omyliliśmy.

Kiliretha ze zrozumieniem pokiwał głową. Nawyki. Umysł uwielbia nawyki, zwodzi nas jak leniwy niewolnik, byle tylko uprościć sobie codzienną robotę. Zakon był dość przenikliwy, by rozpoznać w Quinatzinie zagrożenie, ale nieuchronnie wtłoczył go w schemat. Kruzowie atakują na wiosnę, upuszczają krwi, a potem wracają z jeńcami do domu i do następnego roku jest spokój. Cóż, chyba nie tym razem.

— A kapłani? Nie rozpuszczając wojsk, Quinatzin rzucił im otwarte wyzwanie. Nie sądzisz, że stary basior Szurukan okiełzna jakoś młodego wilczka? — spytał ostrożnie.

— W tym cała nasza nadzieja — przyznał Zergos.

— Sytuacja polityczna w Odrodzonym Przymierzu jest teraz niezwykle napięta.

— To chyba dobrze, nie? Liczymy na konflikt wewnętrzny? — Kiliretha zainteresował się.

Kiedyś uwielbiał snuć takie hipotetyczne scenariusze i nie musiał

zaprawiać się w tym celu *braazatalem*.

— Zamieszki nie byłyby złe. Jeszcze lepiej by się nam przysłużyła przewlekła wojna domowa. To zajęłoby Kruzów na dekadę — przyznał Zergos i zniechęcony, pokręcił głową. — Ale nic nie jest pewne, Kiliretho. Możliwy jest także zamach na *tlatoaniego* albo zwrot w stronę całkowitej tyranii.

— A wtedy? — Kiliretha czuł się głupio, pytając.

Powinien to przewidzieć. Bogowie, przecież tylko wewnętrzne, frakcyjne spory hamowały ekspansję Kruzów. Jeżeli Quinatzin się wzmocni... Ale przecież system polityczny Przymierza wydawał się taki stabilny. Tryumfy i parady dla *tlatoanich*, realna władza dla kleru. Zgromadzenia ludowe biją pianę, kapłani trzepią kasiorę. Czy coś przegapiliśmy?

— Moim zdaniem Quinatzin uderzy ponownie. Ruszy na nas jeszcze w tym roku, łamiąc ważne kapłańskie nakazy. Pytanie, czy postąpi racjonalnie i uderzy od strony Tikal, czy rozochocony, połasi się na nieśmiertelność i sławę Zdobywcy Labiryntu. Tego nie wie nikt.

Kiliretha pokręcił głową.

— Jest jeszcze Ostatni Plan. Quinatzin miał dostać Szaratangę, i to się akurat udało.

Zergos ponuro potargał brwi.

— Nigdy nie miał go dorwać żywego. W razie inwazji... Nie zakładaliśmy, że Kruzom towarzyszyć będzie przewodnik. Nikt nie wie, co zrobi Szaratanga. Nikt — poskarżył się przywódca Kretów. Miał minę skrzywdzonego chłopca. — Zawiedliśmy go, groziliśmy jego rodzinie. To błąd, nie powinienem do tego dopuścić. I jeszcze moja córka... do której ten bufon zapewne nadal coś czuł. — Szef Kretów chrząknął, zakłopotany.

Kiliretha uśmiechnął się życzliwie. No, wyduś to wreszcie.

— Moja córka także go zawiodła. Teraz Szaratanga może szukać zemsty.

A co, jeżeli nas zdradzi? Poprowadzi tu Kruzów jak na sznurku? Nikt nie zna Labiryntu tak jak on.

Więzień pokiwał głową. Szaratanga był pierwszym człowiekiem w historii Tlaszkali, który orientował się w Labiryncie, jeszcze zanim otrzymał od Zakonu sekretną mapę *ilhalli*. Jego dar wciąż pozostawał dla Zakonu zagadką, choć Kiliretha miał na ten temat swoją teorię. W końcu niezwykła kariera Lwa zaczęła się po tym, jak wrócił z niewoli u Kruzów. I tam należałoby szukać rozwiązania tajemnicy.

— Oczywiście moja córka nadal liczy na jego lojalność. Ot, kobieca logika. Liczy, choć sama go zdradziła. Zawsze miała słabość do tego oszusta. Nawet kiedy krzyżował nam plany — w głosie Zergosa zabrzmiała stara, niegasnąca nienawiść.

Kiliretha milczał. Rozumiał uczucia zwierzchnika. Żaden ojciec nie lubi faceta, który robi z jego niewinną córeczką to, co on sam z zapałem wyprawiał z jej matką. Kwestia szczerości wobec samego siebie.

My, mężczyźni, w głębi duszy wiemy, że wszyscy jesteśmy wieprzami i chyba dlatego nie możemy zaufać sobie nawzajem. Świnia świni nie rozkmini, jak powiada stara sentencja. Ale niechęć Zergosa była głębsza. Szaratanga zagroził sojuszowi Zakonu i Tronu, który przypieczętowało polityczne małżeństwo Papana i Leyre.

Osobiście, Kiliretha zawsze tego człowieka cenił. Wytypowanie go na śmierć też było formą szacunku, mało kto przyjąłby taką robotę. Generał przypominał mu Oretla, ten sam niewzruszony, na pół obłąkańczy upór, idealizm na granicy śmieszności. Zawsze podejrzewał, że Zergos kiedyś się na nim zemści.

— Cholera. Nigdy nie zakładałem, że go pojną. Chciałem, by zginął w walce, przegrał. Nawet jego przyboczny miał za zadanie go zabić, byle nie wzięli go żywcem... Na tym polegał pieprzony Ostatni Plan — wyznał

ponuro Zergos. — Ten kutas zna Labirynt lepiej niż pchła psi zadek. Pamięta każde ukryte przejście, jak moja żona złośliwe uwagi sprzed lat. Nie wiemy, co teraz robi. A jeśli zaczną go torturować? Nikt nie przewyższa w tym Kruzów!

— On nie jest tchórzem, Zergosie — zauważył Kiliretha ostrożnie.

A co mu tam. Na karierę w Zakonie nie miał już raczej co liczyć.

O dziwo, szef nawet się nie rozgniewał. Prychnął tylko znużonym, szarawym śmiechem, wesołym jak perspektywy Tlaskali.

— Ten kraj go wystawił i zdradził. Myślisz, że o tym zapomni? — parsknął.

Więzień wzruszył ramionami. Ten kraj zdradził wielu ludzi. Kraje takie już są, idee i wielkie hasła to całuny dla martwych frajerów.

Zapadło ciężkie milczenie. W końcu Zergos klasnął w dłonie, usiłując powrócić do starej maski charyzmatycznego przywódcy.

— Gównu wiemy i takie są fakty. Dlatego już teraz ewakuujemy personel. Na wypadek gdyby to Kruzowie wygrali — wyjaśnił ponuro szef Kretów. Kiliretha wybałuszył na niego oczy. — Tak, nie przesłyszałeś się. Wychodzisz. To żadna łaska, nie robię dla ciebie wyjątku. Wiemy, że Quinatzin marzy o zdobyciu wiedzy Zakonu. Twoja pamięć jest cenna, Kiliretho. Poza tym masz kontakty, całe życie spędziłeś w podróży. Jak żaden z nas zdołasz przetrwać w dalekich krainach. W ostatnich latach pozwoliliśmy sobie na luksus izolacji i to błąd. Być może już wkrótce Kretom przyjdzie szukać schronienia na obczyźnie. Dlatego chcę, żebyś się przedostał do Tikal i wspomógł tam naszych ludzi. Na początek. Być może później wyślemy cię jeszcze dalej.

— Ty naprawdę przewidujesz najgorsze? — Kiliretha poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Nie ma nic bardziej przerażającego niż nagła bezradność paranoicznego tyrana, który kierował tobą przez większą część życia.

Naprawdę go wypuszczali. Zakon nagle pozwalał mu odejść, i czuł w tym coś obelżywego. Po tylu latach! Przecież zawsze był taki ważny! Niebezpieczny! Uwięziony z powodu swej wiedzy! Niczym głupiec z bajki, którego zdobyte w podziemiach złoto w blasku dnia zmieniło się w mikę, w bezwartościowe błyskotki.

A Oretl? Czy zginął na próżno?

— A tamto? Nie boisz się, że zacznę mieć jęzorem? — zapytał chrapliwie.

— Powiedziałem ci już. Idź. Jesteś wolny.

Zwierzchnik Kretów wstał i uchylił przed więźniem drzwi. Kiliretha cofnął się i oblizał wargi.

— Puszczasz mnie? Z moim raportem zza mórz? Z wiedzą o Dobroczyńcach? Przecież gdy ludzie dowiedzą się...

— Ciii... — Zergos spojrział na niego z nagłym przestraczem.

— Strażnicy są w korytarzu. Nie mówię, żebyś o tym paplał. Nie przyniosłoby to niczego dobrego. Ale chcę, żebyś znów zaczął działać w terenie. Naprawdę brakuje nam ludzi.

— Sam boję się tego, co wiem — wyszeptał Kiliretha, muskając skroń, gdzie gnieździła się jego dusza. Palec zadrżał i stary szpieg poczuł, jak wracają do niego tysiące, miliony uczuć. Frustracja, nienawiść do siebie. Tęsknota, nadzieja i lęk. Wszystkie demony, które odstąpiły w jego luksusowej, krwią opłaconej samotni i pozwoliły mu uwierzyć, że stał się pieprzonym mędrcom. Akurat. Okłamuj się dalej, tchórze.

Zergos pokręcił głową i spojrział na niego smutno.

— Sytuacja się zmieniła, podobnie jak priorytety Zakonu. Twój raport dotyczył religii i tożsamości, procesów długofalowych. Obawiam się, że los Tlaszkali rozstrzygnie się znacznie szybciej.

Rozdział 2

Ubłocony, przemoczony i ranny, Haran przemykał zaułkami Dzielnicy Leśnej. Ale bardziej od ran bolała go zdrada Tennoka.

Musiał przecież wiedzieć, co się kroi na bagnach...

Odgrywał się na nim za odbicie Citlali? A może jak wszyscy, którzy przewijali się w pokręconym życiu Harana, doszedł do wniosku, że po prostu należy z nim skończyć? To zawsze okazywało się kwestią czasu, wszyscy czekali na odpowiednią sposobność, jak węże skrywające się pod koszem. Czekali, aż im zaufa.

Powoli docierało do niego, jak bardzo zmieniła się okolica, którą pamiętał z dzieciństwa. Po siedmiu latach było tu więcej wszystkiego: ludzi, towarów i ruder. Nawet szczury i karaluchy wydawały się nowe. Drzewa urosły, a małe, ubogie domki pochyliły się nad mętnymi wodami Mys jak miazdzeni swym losem starcy. Zniknęły puste łąchy, zatoczki i plaże, gdzie kiedyś wygrzebywał z chłopakami jajka żółwi.

Na ulicach słyszał nieznane języki, Yugal przyciągało teraz emigrantów. Przybysze pracowali w warsztatach i na polach, płacili podatki Maczuraiowi, a gdy narobili długów, czy rozminęli się z prawem, znikali w bezdennych czeluściach Dołów. Odkąd *tlatoani* oszalał na punkcie smaru, wzrósł popyt na niewolników i wzrosło też bogactwo Yugal. Nawet rzeka, przekopana i pogłębiona, pełna ciężkich barek, nie przypominała tamtej błotnistej olbrzymki, w której wodach przepłuskał całe dzieciństwo. I tylko rdzenni mieszkańcy, Druazzi, z ich sieciami i łukami, oszczepami i burczącą

w zapadłych brzuchach dumą, w ogóle się nie zmienili.

Wciąż odstawiali dla przodków czarki z resztkami jedzenia, obiata z miodu i krwi. Wciąż nanosili na policzki klanowe tatuaże, dziś nawet częściej niż kiedyś, jakby ten tracący na znaczeniu, coraz bardziej niezrozumiały alfabet pozwalał im zachować poczucie godności, szacunku do samych siebie.

Haran nie nosił tych klanowych znaków, był za młody, gdy trafił w niewolę. Nie miał też dwóch rytualnych sztyletów i czuł, że w oczach tubylców wygląda jak obcy. Jak zawsze w Dzielnicy, duma i przywiązanie do tradycji sąsiadowały z rozpaczą. Barbarzyńca zorientował się, że wrócił do domu, gdy potknął się o leżącego w rynsztoku mężczyznę. Druazzi zaprawiali się piwem z manioku albo paskudnymi trunkami ze sfermentowanych owoców, na długo zanim *tlatoani* uchylił surowe restrykcje, zakazujące mieszkańcom Przymierza pędzenia i sprzedaży alkoholu.

Nie spotkał ani jednego kolegi z dzieciństwa, ani jednej znajomej, życzliwej twarzy. Pod czaszką kołatało mu uporczywe pytanie, czy należy jeszcze do tego miejsca, a jeśli nie, to czy w ogóle gdziekolwiek należy. Cokolwiek mówić, smażone sumy i karpie, tłuste, doprawione cebulą, papryką i czosnkiem, nadal smakowały mu bardziej niż dieta z Tollan. Brakowało mu tego mulistego zapaszku. Może to właśnie były jego jedyne prawdziwe korzenie – zamiłowanie do błotnej, zatęchłej ryby, która mieszkańcom innych krain przypominała tłustego robaka?

Zbliżając się do rodzinnej siedziby, rozpoznając znajome zapachy i kształty, Haran miał dziwne wrażenie kurczenia. Siebie i całego świata. Nie opuszczało go też poczucie zdumienia, złowrogiego cudu. Wciąż zastanawiał się, dlaczego w ogóle przeżył.

Czy bogowie mieli wobec niego jakiś plan?

W Dołach dorośli, silni mężczyźni szybko żegnali się z życiem, nie mówiąc o przerażonych i osieroconych dzieciakach. Tylu ludzi przywiązanych do życia umierało, a on przeżył. Być może bogowie szykowali dla niego jeszcze okrutniejsze, bardziej wymyślne katusze. A może stracili zainteresowanie, zupełnie jak kot, który porzuca znieruchomiłą, otępiałą mysz. Może koci bogowie świata pastwią się tylko nad tą ofiarą, która się jeszcze miota.

Odruchowo dotknął starej, ukrytej we włosach blizny, karbu na czaszce. To, co cię nie zabije, pokryje cię pancerzem blizn. Otorbisz się w bólu, jak młode drzewko, w które wojownicy Druazzi nabijali kawałki ostrego krzemienia, pozwalając mu wzrastać i twardnieć, by po latach wyrwać z ziemi śmiertcionośną maczugę. Ból zagnieżdża się w twoim wnętrzu jak cysta, mości się i rozkwita. W twojej duszy, tym rozlazłym małżu. Ale nie wierz kapłanom, gdy wychwalają cierpienie. Ono nigdy nie zmienia się w perlę.

Haran wierzył, że urodził się już obity i twardy, zahartowany, gotowy na wszystko. Ugruntowywał się w tym, gdy porównywał się do innych dzieciaków z Dołów. Nie było ich wiele, ale czasem, z racji niedopatrzenia, litości albo mroczniejszych pobudek, towarzysze przygarniali do gromady dziecko. Przez kilka miesięcy miał kolegę, młodszego od siebie o jakieś dwa lata Izmotła. Płaczliwy i rozgadany, bez przerwy wspominał rodzinny dom. Obserwujący go Haran doszedł do wniosku, że rodzice, którzy za bardzo kochają dzieci, wyrządzają im niedźwiedzią przysługę. Jego starzy lepiej się postarali. Pęcherzowi i Hezie, z ich niepokojem i wiecznymi kłótniami, ich niedopasowaniem i skłonnością do odruchowej przemocy, zawdzięczał ważną życiową lekcję. Doły czekają na wszystkich i zioną pod każdym z miast. Twój wyrok jest kwestią czasu.

Płaczący za miłością i troską Izmotl miał w sobie coś, co od początku

budziło w Haranie gniew. Zwłaszcza drażnił go sposób, w jaki kulił się pod jego nienawistnymi słowami albo wodził za nim przerażonymi oczami. W Dzielnicy Leśnej, w której ojcowie pili, a matki smarowały swoje sińce maściami z pajęczyn i wierzbowej kory, nie było takich dzieciaków. Gnojek miał w sobie coś bezbronno i łatwego do zranienia. Sprawił, że Haran, chcąc nie chcąc, musiał spojrzeć na samego siebie. Bezsilną, żalną postać, zdradzoną i oszukaną. Kim był, zanim trafił do Dołów?

Może naprawdę dygotał pod maską ulicznej, szczeniackiej twardości, farbującym wywarem Hezy, legendami o złych Białych Diabłach? A może tylko odbijał strach swoich przybranych rodziców, błagając okrutnych bogów, by wybaczyli im grzech. Bo kto przyjmie pod dach swój demona...

Dzieciństwo upłynęło mu między dwoma kapryśnymi, niepojętymi bóstwami, Ojcem i Matką, które obłaskawiał z nieporadnością prostaczka, usiłującego przywołać urodzaj i deszcz. Odkąd sięgał pamięcią, porównywał. Lepiej dostać kopniaka od ojca czy zimną, metodyczną chłostę od matki. Najgorsze były rozczarowania, których białoskóry, bezwstydnie odmienny Haran z taką niezawodnością dostarczał. Tak jak wtedy, kiedy wykapał się w rzece i prawie doszło do linczu. Albo pyskował, nie okazywał szacunku.

— Przynosisz mi wstyd — skarżyła się po takich przykrościach Heza, a on niezdarnie zasłaniał twarz, podczas gdy mokry sznur, rzemień lub giętki kij wbijały się w jego przedramię, namiętnie szukając kości.

Sam Haran także się wstydził. Dopiero później nauczył się wrzeszczeć i kląć. Bezsilność miała w sobie coś upojnego, coś, z czego trudno było się potem otrząsnąć. Nigdy nie przyznał się sam przed sobą, że w końcu polubił ból. Czysty i orzeźwiający, stanowił ulgę po nerwowym wyczekiwaniu i niemilkącym w przerażonej, dziecięcej głowie piskliwym pytaniu – kiedy?

* * *

Haran mruga. Dostrzega swój stary dom i szybko przymyka oczy. Ale znajomy obraz wciąż trwa, jak pocałunek odcisnięty pod piekącymi powiekami. Magiczne słowo, „dom”. Schronienie, bezpieczeństwo i ciepło – jeżeli tylko masz fart.

Z daleka wyglądał zupełnie jak kiedyś. Solidny kwadrat z ukrytym, wewnętrznym dziedzińcem i szeroką werandą od frontu. Całkiem okazały. Obok Długiego Domu starszyzny dwór Pęcherza był jedyną budowlą w Leśnej, która mogła uchodzić za reprezentacyjną. Przynajmniej dopóki nie podeszło się bliżej i nie zobaczyło, i nie zwęszyło licznych symptomów zaniedbania. Zbudowany na palach, żeby oddalić się nieco od okresowych powodzi i rzecznej błota, rojącego się od robactwa i węży. W gorszych latach Pęcherz nabrał nieładnego zwyczaju upychania pod werandą wszelkiego niepotrzebnego baracha.

Rozłożyste drzewo hikorowe, bezczelny uchodźca z moczarów, obwieszane girlandami pnączy, wciąż rosło przy głównym wejściu. Ktoś przyciął rzucające cień gałęzie. Jeszcze nim chłopak opuścił dom, Heza odgrażała się, że wkrótce to zrobi. I proszę. Drewniane smoki i żółwie, relikty snycerskiej sztuki Druazzi, wyciągały ku niebu szerniałe pyski, deszcz zbierał się w brzdach ich źrenic. Jeśli wierzyć przechwałkom Pęcherza, w czasach jego ojca i dziadka zdobyły je szlachetne kamienie: agaty, turkusy i jaspis.

Tylko w Haranie wszystko wygląda inaczej.

W Labiryncie był kiedyś świadkiem, jak rosły Kruz uderza tlaszkalskiego żołnierza dwuręcznym *macuahuitlem*. Ciął z góry, w bark. Tak mocno, że ostrze weszło w ciało niczym w miękką glinę i zaklinowało się dopiero gdzieś przy żołądku. Tlaszkalski trup stał jeszcze chwilę, zanim rozchylił się na dwie bryzgające czerwienią połowy.

Właśnie tak Haran czuje się w tym miejscu. Walczą w nim terażniejszość

i przeszłość, dojmująca obcość tego, co widzi, i smutek tego, co zapamiętał.

W dzieciństwie Harana drewniane bale dworzyszczą przegniły i zbutwiały, smętne szczątki dawnego statusu rodziny. Teraz czyjaś zapobiegliwa ręka zdołała to wszystko naprawić. Heza rozwinęła skrzydła. Pieniądze, które dostała od Yory, na coś się jednak przydały, pomyślał, przechodząc przez próg do ciemnej, skrzypiącej sieni.

W środku wszystko lśniło, dumne i wyszorowane do czysta. Najwyraźniej po śmierci Pęcherza Heza w końcu wygrała swoją wieczną batalię z chaosem. Pamiętał, że nie tolerowała najmniejszego wynaturzenia i brudu. I nie miało znaczenia, czy chodziło o zbutwiałą werandę, poplamione odzienie czy o nie dość bogobojnych ludzi.

Coraz bardziej zdezorientowany, drewnianymi krokami kukły, Haran skierował się na wewnętrzny dziedziniec, skąd dobiegały odgłosy krzątania przybranej matki.

— Wróciłeś — stwierdziła spokojnie Heza, przecierając szmatą ciężką, kamienną misę.

Nie upuściła jej, nie zemdląca, nie wybuchła płaczem. To nie w jej stylu. Za jej kolorową spódnicą stał dzieciak, na oko dziesięcioletni, z ciekawością zerkający na gościa. Wykarmiony, pomyślał Haran, rozglądając się po izbie. Dostatniejszej niż kiedykolwiek wcześniej. Stary Hon oddał obiecane pieniądze, to jedno nie okazało się kłamstwem. Ze ścian zniknęła broń i trofea Pęcherza, choć trzeba przyznać, że kolekcja już w ostatnich latach jego życia była bardziej niż skromna. Co droższe okazy, medale, insygnia i buńczuki ojciec sprzedał.

Haran rozluźnił się i nieco odprężył, przyglądając się przybranej matce, która bez słowa postawiła przed nim miskę z kukurydzą. Ale nie zajął miejsca przy stole, wolał stanąć w cieniu. Szukał słów.

Najlepiej mądrych, mądrzejszych od leśnego dzikusa, który pół życia

spędził w podziemnej kloace. Takich, jakimi szczekali mędrkowie z Zaułka Szczekaczy. Słów, które rozjaśniały niejasne, a przycinały niepojęte tak, żeby dało się je wysłowić.

Bo przecież nie mógł zapytać wprost: dlaczego tak łatwo mnie skreśliłaś, matko?

Lepiej: dlaczego znienawidził nas los?

A przecież to było proste. Ojciec Hezy umarł w hańbie, niesławie i nędzy, podobnie jak jej brat. Tak też skończył Pęcherz. Heza, kobieta silna i władcza, żyła w otoczeniu nieudaczników i głupców, których nienawidziła. Rodziła dziewczynki, które umierały w kołysce. Do pełni przekleństwa brakowało jej nieswojego syna, pomiotu zamorskich demonów.

Yora wtoczył się od izby zaspanym krokiem skacowanego, dopiero co zbudzonego mężczyzny. Po tylu latach wydał się Haranowi śmiesznie mały. Pocieszyły go człowieczek.

Aż dziwne, że pamięć o kimś tak nikczemnym pomagała mu przetrwać w Dołach. Haran wspominał jego zdradę przez lata, karmiąc i podsycając nienawiść. Tysiące razy wyobrażał sobie, jak dopada go na powierzchni i miażdży, wymierzając sprawiedliwą zemstę.

Yora drapiąc się po zapadniętej piersi, macał w poszukiwaniu dzbana z wodą. Dopiero gdy splukał twarz, dostrzegł intruza. Mundur Jaguara nic tubylcom nie mówił, znaczył tyle, co strój każdego dumnego Kruza: poborcy, kapłana, strażnika Turkusowej Włóczni.

— Kobieto, rusz się i podaj naszemu gościowi wodę i coś do jedzenia — zakomenderował Hezie. — Choć ja... eee... rad bym wiedzieć, czemu zawdzięczam ten zaszczyt.

Kutafon nie sięgał mu nawet do ramienia.

Haran uśmiechnął się słabo i zmrużył ciężące nagle powieki.

— Witaj wujku. Ja w sprawie przeszłości.

W zapadłej ciszy dzban roztrzaskał się donośnie. Zamarły ze strachu Yora strzelał oczami na boki, wypatrując drogi ucieczki. Patrzył na intruza jak mysz, która wpadła na znajomego węża.

Haran zrobił szybki krok naprzód. Człowieczek cofnął się, ale nagle nabrał odwagi.

— To teraz także mój dom, chłopaczku. Nie możesz tak po prostu tu wchodzić. Jestem teraz ważnym urzędnikiem państwowym. Reprezentuję naszą społeczność w kontaktach z władzami Przymierza.

— Czy mam zwracać się do ciebie *aszkatli*? To też ukradłeś mojemu ojcu?

Krew napłynęła Yorze do twarzy.

— Służę Druazzi najlepiej, jak umiem — wymamrotał. — Zapytaj ludzi, czy za Pęcherza było lepiej. Ja przynajmniej nie leżę zachlany na placu i nie biję żony.

— A, więc teraz zwąchałeś się z Kruzami? Nie wątpię, że służyysz im jak należy, Yora — szepnął Haran, przybliżając się miękko. — Szorują tobą podłogi? A może kible? Zawsze znajdzie się zastosowanie dla szmaty.

Na długim, kosztownym kaftanie Yory pojawiła się cuchnąca, szybko rosnąca plama. Haran pociągnął nosem.

— Ubrudziłeś się, Yora. Lepiej usiądź, boś gotów się jeszcze poślizgnąć.

Odwrócił się do Hezy i dziecka. Twarz kobiety była surowa i twarda, obojętna i wytrzymała jak życie. Chłopczyk płakał. Haran pchnął Yorę na krzesło i pomyślał o jego ojcu, starym Honie, który strugał mu łódeczki z kory i podarował pierwszy łuk. Wyjął nóż, który zdobył w Tlaskali, i położył przed sobą na stole. Chłopczyk złapał Harana za ramię i spojrzał na niego z gniewem. Miał oczy Pęcherza, uważne, wypukłe i czarne jak agat. Nie był dużo młodszy niż Haran, gdy trafił do Dołów.

— Zostaw mojego tatę! — zawołał.

Haran popatrzył bezradnie na Hezę, która pokręciła głową. Odetchnął głęboko.

— Dzisiaj muszę poznać prawdę.

Kobieta pokiwała głową i uspokoiła syna. Czekala jeszcze na reakcję Yory, ale on poprawiając ubranie, milczał.

— Yora powiedział mi, że Pęcherz wdał się w bójkę i zginął. Chciał mi pomóc i wziąć mnie za żonę. Zgodziłam się. To wszystko — oznajmiła kobieta.

Haran skrzywił się i strzyknął śliną przez zęby.

— Myślę, że kłamiesz, mamó. Albo nieumyślnie rozmijasz się z prawdą. Myślę, że ten pokurcz chciał cię od bardzo dawna i czekał tylko na dobry moment — głos Harana był znużony i bezbarwny.

Czuł się jak kapłan wróżący z ofiarnych wnętrzności. Bebechów swojej rodziny. Wiedział, o co powinien pytać. Przywołać, jak Yora ich wystawił. Jak znudziło mu się czekanie, aż Pęcherz się zachła na śmierć, i sam stworzył dogodną sposobność. Pytanie brzmiało, czy uzgodnił to wcześniej z Hezą.

— Yora dobrze cię traktuje, mamó?

Drgnęła.

— Dobrze... synku. Powiedzieli mi, że ty też nie żyjesz.

— I nie bardzo minęli się z prawdą.

Haran uśmiechnął się półgębkiem. Rozejrzał się po dostatniej, wysprzątanej izbie. Syn Pęcherza, młodszy brat Harana, wydawał się zdrowy, w domostwie nie było śladów nędzy.

Naprawdę musi to zniszczyć?

Yora kiwał się, przycupnięty na zydłu przy drzwiach. Obejmował przedramionami kolana, jak osierocone dziecko. Heza czekała w napięciu na słowa, które musiały paść.

— Wciąż nie wiem, dlaczego Pęcherz zginął. Dopadł go stary wróg,

Maczurai. Musicie mi powiedzieć, o co poszło. I kim właściwie był mój przybrany ojciec.

Heza zaśmiała się ostro, krzykliwie, jakby zapuścił się w ciemne, przeklęte miejsca, do których nie sięgał jej spokój.

— Był zabójcą, naprawdę nie wiedziałeś o tym? Całe życie. Mordercą i gwałcicielem. Zawsze ceniałeś go bardziej niż mnie. Tatuś tyle nie gderał, prawda? Ale nic o nim nie wiesz!

— Więc mi opowiedz.

— Był bestią i przestawał z innymi bestiami. Ale okazało się, że choć krew i wińsko wypaliły mu mózg, nadal pozostał człowiekiem. Nie zabijał nowo narodzonych bachorów — zaśmiała się nienaturalnie.

— Nie rozumiem. — Haran po raz pierwszy pomyślał, że przyście tu było błędem. Jakby rozgrzebywał trumnę.

— Był *Igha*, Szarym Pasem. Słyszałeś o nich? To łowcy skalpów w służbie imperatora. Tępiciele. Chociaż jego powinni nazywać Białym Pasem. Polował na pomiot Białoskórych. Dwadzieścia lat temu sporo ich ukrywało się w nadmorskich prowincjach i *tlatoani* Azatlin, ojciec obecnego wypierdka, uznał, że zagrażają Przymierzu. Tak jakby zgraja żebraków i uciekinierów z głodnymi dziećmi mogła komukolwiek zagrozić. — Heza zaśmiała się gorzko. — A potem było jak zawsze. Kapłani grzmieli o gardłach podrzynanych we śnie i nożach wbitych w plecy. Że Klątwa się nie dopełniła i białe robactwo w ukryciu podnosi głowy.

— Czym się konkretnie zajmował?

— Zabijał takich jak ty i twoi rodzice. Przez większość swojego życia. A potem, na stare lata, zawziął się i jednego ocalił. Mówił, że usłyszał głos... ciekawe jaki. No, wtedy jeszcze nie pił aż tyle. Okaleczył własnego dowódcę, Maczuraia, który próbował mu ciebie odebrać. Oszpecił go. I tylko dzięki protekcji Starego Księcia, który nie znosił Maczuraia, ocalił skórę. Ale

musiał porzucić służbę. Nie trzeba ci chyba tłumaczyć, co zaczęło się wkrótce potem... *pulque*, pijackie awantury, kości. — Heza uśmiechnęła się gorzko do wspomnień.

Wyprowadziła młodszego syna z pokoju. Wróciła z czerwoną skrzynką i otworzyła ją w ciszy. Wypełniała ją dziwna bawełna, może len.

— Po kilku latach w Kraju Totonaków nie było już Białoskórych. Kapłani wciąż powtarzali, że gdyby nie Klątwa, wytępilibyście nas do ostatniego człowieka.

Yora podniósł na Harana płonące nienawiścią oczy. Jakby w głębi swojego upodlenia nagle zaczerpnął siły.

— Twój pieprzony tatuś miał wpływy. Zabronił nam o tym mówić. Ale my wiedzieliśmy. I wciąż zachodziliśmy w głowę, dlaczego sławetny łowca demonów na zakończenie kariery sprowadził jednego do domu.

Haran spojrział na niego pustym, niewidzącym wzrokiem. Bezwiednie sięgnął do kufra. Jego wnętrze wyglądało, jakby czymś go wymoszczono. Dopiero po chwili barbarzyńca zorientował się, że to włosy. I skóra. Ludzka skóra. Wstrzymując oddech, sięgnął do środka. Kępka na pierwszy rzut oka wyglądała niczym złota przędza. Złociste włosy ze strzępkiem skóry. Czerwoną skrzynkę wypełniały skalpy.

Świadectwo pracowitego życia człowieka, którego nazywał ojcem.

Jasne, ciemne i rude, wszystkie o specyficznym, odmiennym od ich, włosie. Samym dotykiem można bezbłędnie odróżnić skalp zamorskiego diabła od czupryny normalnego człowieka. Haran oglądał je w skupieniu. Włosy Białoskórych były różnorodne, czasem proste, czasem kędzierzawe lub falujące, a przy tym cieńsze i bardziej miękkie, zwłaszcza te, które zapewne należały do kobiet. W przypadku Prawdziwych Ludzi natura nie pozwalała sobie na takie ekstrawagancje.

Haran schował jeden złoty kosmyk za pazuchę, podniósł czerwoną

skrzynię i podszedł do paleniska. Bez słowa wysypał zawartość w ogień. Płomienie buchnęły jasno, znacząc jego posępną twarz krwawym, złowieszczym odblaskiem. Twarz Białoskórego.

Więc to tym była jego niezwykła choroba. Słyszał, że Białoskórzy zawsze wyglądali niezdrowo. Ich bladość miała w sobie coś trupiego, jakby nie byli do końca żywi. Wzdrygnął się. W dzieciństwie uwielbiał opowieści o tych przeklętych, na poły legendarnych istotach. Do tej pory nie spotkał nikogo, kto widział ich na własne oczy – tak mu się przynajmniej zdawało.

Podobno mieli obsesję na punkcie maszyn, żelaza i śmierci. I złota. Najeźdźcy kochali złoto jak Meszikowie krew. W złocie mieszkali ich bogowie, którzy musieli być zimni i bezlitośni jak metal. Biali nigdy nie mieli go dość, według legend, by je zdobyć, mordowali nawet bezbronnych tancerzy w świątyniach. Frapujące, że nawet ich włosy i ciała zawierały domieszkę żółtego kruszcu.

Yora i Heza zaczęli kaszleć, smród palonych skalpów był nie do zniesienia. To nic w porównaniu z odorem kłamstwa, pomyślał Haran. Czuł, jak wzbiera w nim gniew.

Jego usta odruchowo wracały do maskującego uśmiechu, który nosił na twarzy jak zdarte, ale wygodne obuwie. Jednak serce już stało się inne. Wyciągnął nóż, ogień migotał krwawo na ostrzu, zapowiadając i łaknąc.

Syn Hona odpełznął w kąt, niczym ohydny ślimak znacząc deski podłogi wilgotnym śladem. Heza trwała w bezruchu, skamieniała i dumna, utwierdzona powagą dawno podjętych decyzji.

— Ucieszyłam się, gdy cię przyniósł. Mimo że stracił pracę i poróżnił się z Maczuraiem. A to straszliwy człowiek. Za każdym razem, gdy śmiałeś się lub gaworzyłeś, wyobrażałam sobie jego zemstę.

— A potem żyliśmy długo i szczęśliwie? — Haran uniósł oczy znad noża, którym chwycił odblaski z ogniska.

— Myślisz, że kiedy Pęcherz wrócił, padliśmy sobie w ramiona? Ja już na niego nie czekałam. Spóźnił się wiele lat. Nie czekałam, aż się ustatkuje, nie czekałam, aż zadba o rodzinę, nie czekałam już na jego czarne, robaczywe serce. Chciałam, żeby zdechł! — krzyknęła dziko. — Wolałam być z Yorą. Bo to on mnie kochał. Dbał. Widzisz, jak wszystko się zmieniło, jak dom teraz wygląda? Zwykła troska, ludzka, zwyczajna rzecz. Twój wspaniały ojciec potrafił tylko siedzieć na dupie, bełkotać od rzeczy i chlać!

— Przecież nie był moim ojcem — zauważył miękko Haran, odsuwając się od paleniska. — Ani ty matką. I całe szczęście. Żegnaj, Hezo.

Już w drzwiach odwrócił się i zapytał:

— Ten mały... mój braciszek... to czyj? Chyba że sama nie wiesz... mamo? — dodał z okrutnym uśmiechem.

Chciał ją zranić i udało się. Skuliła się, jakby trafił w czuły punkt.

— Nie mogliśmy... Dziesięć lat nie mogliśmy się doczekać dzieci. Staruchy powiedziały, że to przez ciebie. Odmieńca. Że rozgniewałeś bogów. Chciałam mieć normalne dzieci. Ludzkie. A jego najpierw całymi latami nie było, a kiedy wrócił, okazało się, że nie może. Próbował, bez końca próbował, i nic. Bogowie przeklęli jego nasienie. Byłam mu wierna, możesz mi nie wierzyć, ale byłam.

— I dlatego mnie sprzedałaś? Przekonałaś Pęcherza, żeby mnie zabrał?

— On sam tego chciał. Zmęczyło nas takie życie, z gniewem bogów wiszącym nad głową jak miecz. Przysięgłam sobie, że jakoś się ciebie pozbędę. I nie zrobiłam tego dla pieniędzy, Haranie.

Odetchnęła, uspokoiła się trochę i podjęła:

— Po prostu chciałam żyć. A potem... gdy zniknęłaś... okazało się, że jestem brzemienna — szepnęła.

Haran opuścił nóż. Kobieta odetchnęła z ulgą. Jej wzrok był jasny i wolny od złudzeń.

— Patrzysz na Yorę i widzisz zdrajcę... ale to nie cały obrazek. Yora był pracowity i cierpliwy. Pogodził się z tym, że rodzice oddali mnie młodemu wodzowi... nadziei wszystkich Druazzi. Czekał, tyle lat na mnie czekał... łudził się, że coś się wydarzy, zbłąkana strzała, tragiczna zasadzka, sam wiesz. Wojna to ślepa łowczyni. Ale Pęcherz wciąż wracał bez szwanku. Z każdej wyprawy przywoził mi łupy i złość, kopniaki i wyzwiska, a także conocne pieścizoty. Cóż z tego, że cuchnął pulque i krwią, a ja nie chciałam z nim spać? Własny mąż wszak nie gwałci. A on był Szarym Pasem, obrońcą Prawdziwych Ludzi. Temu, co ze mną robił, przyklaskiwali bogowie. Ale nie mieliśmy dzieci. Modliłam się, żeby zginął. A biedny Yora wciąż czekał. On nigdy mnie nie uderzył, wiesz? — spytała nagle, jakby oczekując zrozumienia.

Haran schował twarz w dłoniach.

— Wybaczam ci — mruknął i spojrzał na nią z litością.

I to był błąd. Kobieta zzieleniała i splunęła z wściekłością na podłogę.

— Ty mi wybaczasz? Ty?! To przez ciebie bogowie sprowadzili na ten dom nieszczęście, ty diable!

— Ciekawe. Więc gdyby nie ja, wszystko byłoby dobrze? Mówię o tobie i o Pęcherzu. I o tym czymś... — Haran trącił nogą kulącego się przy drzwiach Yorę.

— To bez znaczenia. I tak nas zabijesz — powiedziała.

Haran roześmiał się gorzko.

— Kochałem cię kiedyś, Hezo. Byłaś dla mnie dobra... nawet jeśli wolisz o tym nie pamiętać. Kochałem też ojca tego psa. Nauczył mnie łowić ryby i łamać palce, a to już dużo. Tropić zwierzynę i ludzi. Możesz odejść, Yora, słyszysz? Nie zabiję cię... tym razem. Ale dobrze planuj przechadzki i unikaj mnie. Drugiej szansy nie będzie.

Mężczyzna wstał i otrzepał się, próbując osłonić ciemną plamę na

spodniach. Znikł w drzwiach, unikając kontaktu wzrokowego z Haranem i Hezą. Haran trwał przygarbiony, z głową wtuloną w ramiona. Czuł się jak trzcina wychłostana deszczem.

Po ustach Hezy przemknął zwycięski uśmiech. Położyła mu rękę na ramieniu uważnym, treserskim gestem.

— Ciii. Cicho. Już dobrze. Pamiętaj, że ja i ojciec zawsze mieliśmy na uwadze twoje dobro.

Haran strząsnął jej dłoń jak jadowitego pająka. Wyprostował się i popatrzył na kobietę, którą nazywał matką. Zagadywała go. Widział kiedyś, jak to samo robił przesłuchiwany przez jego kolegów termit, żeby tylko przestali przypiekać mu pięty. Nieważne, co mówisz, lecz jak; liczy się kojący tembr głosu, sączący się w duszę syrop.

Na zewnątrz zapadła już noc, ale było jasno jak w dzień, do czego zapewne przyczyniła się spora grupa sąsiadów, wymachujących żagwiami i bronią. Wśród skrzywionych, nienawistnych twarzy mignęło mu mściwe oblicze Yory, kryjącego się za plecami przybyłych.

Najpierw przemknęło mu przez myśl, że ma aż tylu wrogów. Nie sądził, że jest tak ważny. Otóż był, czego dowodził grad kamieni i wyzwisk. Rozpoznawał twarze sąsiadów i niegdysiejszych kolegów, z którymi bawił się w wojnę i polowanie, tropił tłuste *japoki* i chadzał na ryby.

Haran poszukał wzrokiem tych, którzy go lubili, z którymi kiedyś łączyło go coś dobrego.

Wikliniarz Tykatzin, Haran pomagał mu czasem w pracy. Patrzył teraz przez Harana jak przez cuchnącą chmurę.

Gruby Mysse, kiedyś opowiadali sobie sprośne, głupawe kawały, śmiejąc się, aż bolały ich brzuchy. Jego wzrok stwardniał, a małe, okrągłe oczy przypominały gotowe do kamieniowania ciemne krzemienie.

Haran z nadzieją spojrział na Keka. Kiedyś był jego najlepszym

przyjacielem, często chodzili razem na ryby. Milczący, porządny chłopak niechętnie odwrócił wzrok. Jego twarz mówiła, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, ani z nim, ani z jego wrogami.

Matka Keka daleka była od takich skrupułów. Nigdy nie lubiła tego dziwnego dzieciaka i to, że okazał się groźny, stanowiło dla niej przyjemne zadośćuczynienie, potwierdzenie licznych ponurych przeczuć.

Haran lustrował kolejne twarze i wszędzie widział tę samą ohydłą radość. Ależ oni mieli znakomitą pamięć! Nagle się okazało, że wszyscy go znali i wszyscy coś do niego mieli. Maci'okę zbił kiedyś na kwaśne jabłko. Haran był najsilniejszym dzieciakiem na ich ulicy i przyszło mu to bez trudu, choć dziś już nie pamiętał, o co im poszło.

Ale inni? Nie umiał powiedzieć, czym im się naraził.

Stojący na czele tłumu Yora, który zdążył się przebrać w nową przepaskę, odwrócił się do sąsiadów.

— To on sprzedał Pęcherza Kruzom! Diabeł! Przez niego to wszystko!

Tłum zaszemrał i zafalował, ale wciąż się wahał. Pierwszy kamień cisnęła matka Keka, nie mogła się pozbawić tej przyjemności. Zawsze była uczciwym, **porządnym** człowiekiem, jej prawe, prostoduszne serce łaknęło sprawiedliwości niczym ołtarz krwi. Spudłowała, ktoś parsknął nerwowym śmiechem. Emocje tłumu zawsze mają w sobie niepewność i przypadkowość, są jak potasowane karty.

Rozdanie wykonał jego przyjaciel Kek, który – nagle zirytowany niepowodzeniem matki – wyręczył ją celnym, przykładowym rzutem. Nie będzie pośmiewiskiem, do diabła.

Przeklęty Haran, i bez tego budził w nim gniew, gapiąc się na niego tym proszącym wzrokiem, jakby on, Kek, był mu coś winny. Włożył w rzut całą siłę i gniew i trafił przybłędę w czoło. Syn Pęcherza zachwiał się, a matka Keka od razu zamierzyła się jeszcze raz. Chciała zasypać go gradem skał,

odsunąć od siebie tę przebrzydłą, zakrwawioną twarz.

Poleciały następne kamienie.

Haran zamrugał, zasłaniając głowę. Krew ściekała mu na oczy, cały świat, czerwony i wściekły, ujawniał prawdziwe oblicze. Kilku krewkich wojowników – młodszych od niego, uświadomił sobie z rozbawieniem – ruszyło na niego z bronią. Wiedział, że w chwili, gdy tłum go otoczy, będzie po nim. Dlatego wskoczył z powrotem na pomost i oparł się plecami o ścianę domostwa. I dobył broni.

W prawej ręce miał *macuahuitl* Tennoka, ten sam, który okazał się dla młodego księcia zbyt ciężki. Ale jego drugi ząbek był groźniejszy. W lewej ręce dzierżył sztylet, długą na stopę stalową klingę, podobną do tej, którą w Dołach przed laty podarował mu Moros. Tamten puginał przepadł, ale Haran zdobył podobną broń na zabitym w Tlaskali góralu. Rzadko dobywał to ostrze, przedmioty stworzone przez Białych były na ziemiach Przymierza zakazane bardziej niż zjadanie własnego potomstwa, który to czyn niekiedy sankcjonowała religia. Złowrogie, proste linie broni, jej ostre, bezduszne kąty ukazywano niekiedy mędrcom. Stanowiły złowieszczą próbkę tego, czym mógłby stać się świat, gdyby zimna symetria Białych i ich ślepa chciwość zwyciężyły.

Elitarne oddziały frontowe albo tajne komanda Zabójców Gwiazd i Szarych Pasów, stykające się ze spadkobiercami Białych na polach bitew, potrafiłyby może przeciwstawić się stalowej broni, ale nie tłum młodych, sfrustrowanych dzikusów, których świat od dawna rozpadał się na ich oczach.

Pierwszy z biegnących nawet nie poczuł, jak ostrze sztyletu przeszło przez jego brzuch, zostawiając w nim otwór – w sam raz, by mogła wyfrunąć nim dusza. Drugi wyhamował i zastygł z idiotycznym grymasem oraz drugimi, krwawymi ustami, wyciętymi *macuahuitlem* na gardle.

Trzeci zdołał wyprowadzić cios, a Haran sparował go długim mieczem, zrobił półobrót i rozpruł mu krocze trzymanym w lewej ręce sztyletem. Kolega z podwórka zawył i odpełził, trzymając się za podbrzusze. Żaden z napastników nie zdołał się obronić, broń Kruzów i ich wasali była wolniejsza i cięższa, przeznaczona do zadawania zamaszystych cięć w kończynie, co pozwalało unieruchomić wroga.

Ale Druazzi to nie frontowa piechota z mieczami *macuahuitl*, lecz naród myśliwych i leśnych zwiadowców. Drugi szereg cofnął się, napinając łuki. Haran uniósł ostrza, gotowy do heroicznego skoku, który w slangu weteranów nazywał się „susem jeżowca”.

Naszpikowany strzałami skoczek przełamywał szyki wroga, spadając na pierwsze szeregi. Zwykle za śmiałkiem w wyłom sunęli inni, ale Haran nie miał przecież za sobą nikogo. Wiedział, że nie przeżyje tej sławy. A potem usłyszał dobiegający z boku tupot stóp i dostrzegł zbliżające się do niego postacie.

Było ich raptem ośmiu – dość, żeby uformować wąły szereg między Haranem a łucznikami. Wszyscy starzy, a niektórzy wyglądali do tego na schorowanych. Z pewnością nie powstrzymaliby szarzy tłumu. Ale to Druazzi i nosili mundury Leśnego Kontyngentu, ostatniej formacji z prawdziwego zdarzenia, jaką dysponowało to plemię.

Tłumek zaszemrał, a stary Hon – teraz naprawdę stary – wysunął się przed szereg.

— Zostaliście oszukani! — krzyknął. — Jeśli stoi wśród nas demon i zdrajca, to jest nim mój przeklęty syn! — Splunął w stronę Yory, który skrzywił się z bólem. — Nienawidził Pęcherza, a tego chłopca nie znosił tym bardziej. Myślicie, że to Haran sprowadził na nas gniew bogów? Że to przez niego choroba pustoszy nasze lasy? Na tysiąc dymiących serc, sam król przyjął Harana do gwardii! Myślicie, że przyjąłby do swej gwardii

Białoskórego? Że nie wie, co robi?

Tłum zafalował. Atakowanie demona i zdrajcy to jedno, mordowanie królewskich gwardzistów zaś – drugie. Żądza krwi i zemsty walczyła w zgromadzonych z niepewnością. Stary Hon cieszył się zawsze szacunkiem.

W końcu Yora zważył w ręku ciężki, wyslizgany przez rzekę kamień i odwrócił się. Tłum zaszemrał.

Haran odszukał wzrokiem weteranów z Domu Wojowników. Skinął im głową i odwrócił się do pozostałych. Do dawnych znajomych i towarzyszy zabaw, którzy nie podnieśli kamieni, ale i nie ruszyli się z miejsca. Swoje słowa skierował do nich:

— Zanim obdarzycie mnie swoją litością, posłuchajcie. Nie jestem jednym z was, nie byłem i nigdy nie będę. Właśnie wydobyłem się z błota. Teraz jestem Kruzem, wojownikiem *tlatoaniego*. Pojmałem pierwszego jeńca i nie był to byle chłystek. Nigdy nie byłem Druazzi, nie byłem też Białoskórym. Ani szczurem, ani kawałkiem gówna. — Haran urwał i popatrzył na swoich znajomych. — A wy gnijcie dalej w swoich ruderach.

Odwrócił się i ruszył przez ciżbę, rozstępującą się przed nim skwapliwie. Nie zaszczycił ich nawet pożegnalnym splunięciem, a i oni unikali jego wzroku.

Nie da się ukryć, poważnie ich rozczarował.

Rozdział 3

*Zrodzeni na stromym, pękającym brzegu –
osuwamy się w nurt głodnego,
wiecznie młodego Czasu
i walcząc,
czepiamy się uwiędłych złudzeń,
depczemy murawę serc.
(...)*

*Czy naprawdę musimy się wspinać?
Kajaotl, Słowa zamiast krwi*

Haran wrócił do Tollan ponury jak chmura burzowa. Pobyt w domu coś w nim otworzył, rozjątrzył. Nie powinien się nigdy zbliżyć do tej przeklętej ziemi. Postanowił, że od teraz zapomina o swojej przeszłości, jest Haranem Podrzutkiem, który ocknął się któregoś dnia jako dorosły mężczyzna, pozbawiony pamięci i wspomnień. Zaczyna wszystko od nowa.

Oczywiście, były to tylko mrzonki. Równie dobrze ktoś, komu piranie zeżarły nogi, mógłby zapomnieć o smutku i rozpocząć karierę biegacza. Zmiany, jakie *braazatal* powoduje w duszy i w ciele, nie dają się łatwo zaleczyć, a Haran dorastał spowity jego trującą mgłą. A może wciąż kryły się w nim Doły, przysypane cieniutką warstewką kurzu, całunów i zwiędłej darni? Wystarczyło, że złożył głowę na posłaniu i znów budził się w niewolniczych sztolniach Maczuraia, krainie kopalni i bestii.

Mędrcy mówią, że wszystko przemija, ale to tylko część prawdy. Jeśli przeszłość jest wystarczająco paskudna, wykrawa sobie w sercu nieśmiertelność. I nie da się pogrzebać jej, nieważne, czy próbujesz ją przebłagać, czy zagłuszyć modlitwą, zapomnieć, czy utopić w winie, powraca jak wypływający spod wody trup, zsiniały i wzdęty od jadu.

Barbarzyńca nie dawał jednak za wygraną. Każdego ranka starannie wznosił w swoim umyśle tamę. W Dołach często odgradzali swoje jaskinie od reszty tuneli. Ten nawyk przy nim pozostał. Cokolwiek nawiedziło go w nocy, jakikolwiek zrodzony z koszmarów demon, za dnia nie mógł już znaleźć do niego dostępu. Haran nie pozwalał sobie na luksus wspomnień, niepotrzebnych rozważań i myśli.

Ataki paniki i katatonii na jawie, które nasiliły się, kiedy pojechał do Yugal, na szczęście znowu zniknęły. Druazzi wiedział, że jeśli potwory z Dołów dokopią się do jego umysłu i serca na jawie, to będzie koniec. Skończy jako wrzeszczący na ulicy szaleniec, zaślinione, gadające od rzeczy stworzenie, które bełkocze niezrozumiałe proroctwa. Sługa bogów, których nikt inny nie zna. W stolicy roiło się od takich upadłych ascetów.

Postanowił, że nie będzie próbował odnaleźć Tennoka. Tchórzliwy książe okazał się niewdzięcznym kutasem i zdrajcą, ale Haran specjalnie się tym nie przejął. Może od początku się tego spodziewał? Może właśnie tak Białoskórzy wpływają na ludzi, wzbudzają w nich żądzę zniszczenia? Teraz naprawdę byli kwita. Po tym, czego dowiedział się w Yugal, zemsta na Tennoku i Maczuraiu straciła sens. To tak, jakby człowiek umierający na czarną ospę, czy inną śmiertelną chorobę, przejmował się bolącym odciskiem. Skaza sięgała głębiej. Jego przeszłość była cuchnącą kloaką, ale Haran nie zamierzał bez końca w niej tkwić.

Lepiej jak najszybciej zgłosić się na służbę, zająć umysł nowymi obowiązkami. Mógł z tym poczekać do jutra, ale jakoś nie miał ochoty na

spotkanie z Citlali. Nie chciał jej współczucia ani pocieszenia, wolał lizać rany w samotności.

Czasem myślał, że kochankowie są jak oszalałe małże, które dobrowolnie rozsuwają pancerze i nawzajem gmerają sobie w zbolałych, wrażliwych trzewiach. I jeszcze nazywa się to miłością.

Musiał odebrać swój stary rynsztunek z koszar Jaguarów. Strażnik w bramie ukłonił się przed nim z szacunkiem, młodzi rekruci pokazywali sobie barbarzyńcę, szepcząc z przejęciem. Weteran Yzatlin, z groteskowo przyciętym po bitwie czubem, przerwał musztrę, gdy tylko barbarzyńca pojawił się na dziedzińcu. Poklepał Harana po plecach. Głos drżał mu podejrzenie, ale rękę miał ciężką jak zawsze.

— Pokazałeś im, chłopcze. Od dawna żaden z naszych nie został wezwany do Gwardii. Dobra robota. Tylko nie baw się w te szpiegowskie cuda-wianki. Godny wróg to taki, którego możesz pokonać pierś w pierś.

Haran uśmiechnął się kwaśno. Wiedział, co stary ma na myśli. Zabójcy Gwiazd dzielili się na pretorianów w paradnych zbrojach, którzy walczyli w polu, w armii *tlatoaniego*, i pracowników wywiadu, którzy pełnili służbę w cieniu: skrytobójców, sabotażystów i szpiegów, rekrutowanych spośród najlepszych gwardzistów. Ostatnio w stolicy krążyły słuchy, że Quinatzinowi nie wystarczyło, że ma do dyspozycji szpiegów i gwardię przyboczną. Gra toczyła się o utworzenie załążku własnej frontowej armii, niepodlegającej kontroli kapłanów, i otoczenie jej ochronnym szpiegowskim parasolem.

Dowódca wręczył mu pożegnalny prezent, skórę czarnego jaguara. Jednolicie smolista, z cętkami obleczonymi wąską, ciemnozłotawą obwódką, wyglądała jak płyta ciemnego marmuru. Znaczyły ją ślady po włóczniach i strzałach; oficer, który nosił ją przed nim, poległ. Haran przyglądał się prezentowi posepnie. Dali mu trofeum z mutantą... odmieńca ze świata przyrody. No, przynajmniej czarny był szanowanym kolorem,

w przeciwieństwie do przeklętej bieli. Zarzucił skórę na ramiona, sam zjeżony i zestresowany jak kot. Otaczało go stanowczo zbyt wielu ludzi.

A teraz zaczęli jeszcze wiwatować!

— Jaguary o tobie nie zapomną!

Barbarzyńca rozglądał się, zaskoczony. Widział uśmiechnięte, niekiedy wzruszone twarze. Nie wiedział, co o tym myśleć. Druazzi nie uśmiechali się często, chyba że planowali kogoś ukamieniować czy spalić. Wojownik winien być nieprzenikniony jak gładz. Z kolei w Dołach śmiali się tylko ci, którym bogowie odebrali rozum.

— Dziękuję. Spotkamy się na polu bitwy — wymamrotał. Głos drżał mu ze wzruszenia. Nie był przyzwyczajony do takich sytuacji.

Nawet się nie zorientował, kiedy ci ludzie stali się jego rodziną. Nagle odechciało mu się stąd odchodzić. Zastanowił się, czy nie odrzucić awansu do Gwardii *tlatoaniego*, ale to nie był dobry pomysł. Nadal pozostawał Jaguarem, w jakimś sensie zawsze nim będzie. Nie zhańbi towarzyszy w ten sposób.

Za kilka płatniczych ziaren wynajął czółno, którego właściciel zawiózł go do dzielnicy królewskiej. Zatechła woda w kanałach cuchnęła, ale od jeziora szła miła, orzeźwiająca bryza. Nad brzegami uwijały się kobiety w kolorowych sukniach i sprzedawcy owadzych jajeczek, na rusztach piekły się ryby i ptactwo. Zaburczało mu w brzuchu i po raz pierwszy od spotkania z przybraną matką uznał, że świat nie jest całkowicie spaczony. Właśnie mijął go krępy handlarz, uginający się pod ciężarem czegoś, co wyglądało na spowite zielonym całunem zwłoki, a pachniało jak przyrządzona w gorzkiej czekoladzie iguana, owinięta aromatycznymi palmowymi liśćmi.

Haran przełknął ślinę i z troską obmacał żebra. Z tych wszystkich dramatów od dawna nic nie jadł i zapadły mu się boki. Jak on będzie wyglądał na służbie? Taki kawał chłopca musiał jeść, nie chodziło o żadne

łakomstwo. W końcu zdecydował się na skromny, niezbędny dla zdrowia posiłek. Ot, kilka niewielkich dzikich kaczek, pieczonych w pomidorach, kminku, piekącym chilli i miodzie. Chrupiąca skórka utwierdziła go w przekonaniu, że choć szalu nie ma, to życie daje radę. Wspaniałomyślnie postanowił, że ofiaruje mu kolejną szansę.

Na widok swojej nowej kwatery barbarzyńca stanął jak wryty. Koszary Zabójcy Gwiazd mieściły się w Wielkiej Piramidzie, zwanej też Piramidą Królów. Budynek na planie kwadratu wznosił się na wysokość stu i siedmiu strzał. „Strzała” stanowiła główną miarę odległości w kruzańskim imperium i odpowiadała odległości wyprostowanego ramienia człowieka, który napina łuk. Każda ze zwężających się ku górze kondygnacji stanowiła osobne miasto.

Do Bramy Królewskiej prowadził słynny portyk Węży Spadających na Wroga, ale i portyk Krzyczących Głów, przed którym się zatrzymał, robił wrażenie. Kolumnada z zielonych, jadeitowych czaszek, wysokości trzech mężczyzn, inspirowana była architekturą prastarych Olmeków, rozmiłowanych w rzeźbieniu olbrzymich głów. Ale ropusze twarze Olmeków wyrażały doskonałą obojętność bogów, podczas gdy wyrzeźbione łby Kruzów miały w sobie gniew, zadawnioną urazę i pasję. Odpędzały zastygłym w kamieniu krzykiem demony i złośliwe duchy. Szerokie schody, którymi król wspinał się podczas tryumfów i koronacji, stały zamknięte dla widzów, tłum śmiertelników zaś kłębił się na placu u stóp piramidy. Całe Yugal zmieściłoby się w tym jednym gmachu.

Jego zdumienie wzbudziło wesołość kilku ulicznych wyrostków, którzy wystawiali przed gmachem. Najwyraźniej chętnie naigrywali się z szukających szczęścia prowincjuszy, proponując im korzystne transakcje, takie jak zakup Czerwonej Piramidy, własnych lubieżnych sióstr czy ostro kopiących, narkotycznych nasionek z krain Inki. Zaczepki ustały, gdy kopnął

prowodyra w żołądek. Zaskoczony opryszek nie mógł wstać, jego koledzy zaś odsunęli się na bezpieczną odległość i żaden nie próbował nawet pomóc towarzyszowi. Haran kopnął raz jeszcze. Ledwo powstrzymał się przed wykończeniem szczeniaka, wciąż odzywały się stare przyzwyczajenia z Dołów. „Kiedy ucieka, złap, kiedy się rusza, dobij”. Bez sensu. Teraz był żołnierzem króla i chciał zasłużyć na szacunek, a nie strach.

Westchnął i przepaszająco wyszczerzył do zakrwawionego wyrostka zielone, spiłowane zęby. Zademonstrował jeden ze swoich „rozbrajających” uśmiechów, po którym większość oponentów drżącą dłonią składała oręż. Ulicznik gapił się, gotów czmychnąć, lecz w oczach miał hamowaną nienawiść. Haran zaklął i rzucił mu sakiewkę nasion płatniczych, przy okazji boleśnie trafiając w czoło. Jakaś rozłożysta matrona zasłoniła chłopca własnym ciałem i z dłońmi opartymi na biodrach krzyczała coś o dzikusach katujących dzieci.

Poszkodowany wykrzywił się szyderczo i niepostrzeżenie opróżnił jej kosz z zakupami, wyłuskując cenniejsze wiktuały. Haran wycofał się chyłkiem, jak zrugany pies. Pokazał wartownikom turkusową przepustkę i znalazł się w chłodnym, kamiennym holu, zdobionym w motywy kotów i skrzydlatych żmij.

W porównaniu z podupadłymi barakami Jaguarów Koszary Gwardii wydawały się baśniowym pałacem. Pachniało tu kadzidłem, bogactwem i władzą, ściany zdobiły kosztowne draperie i jaskrawo pomalowane posągi. Nawet drewniane krzesła w holu zostały starannie wypolerowane, żeby żaden wypielegnowany bogacz nie poderwał się z drzazgą w zadku.

Haran stał się teraz częścią tych wspaniałości i poczuł się mile podłechtany. Kogo obchodzą Druazzi i ich butwiejące knieje, zaśmierdnięte legendy i klątwy. Takie bzdury były dobre do ulicznych przedstawień, w których pstrokate kukielki okładają się po wypchanych bawełną łbach.

Białoskórzy mogli nigdy nie istnieć, a ta odrobina obcej krwi, która może bulgotała mu w żyłach, już nie rzucała się w oczy. Gwardziści pochodzili ze wszystkich prowincji wielkiego imperium.

Rozpoznawał wśród nich Apaczów, cudzoziemskich najemników z równin, krzywonogich od siodła. Koczownicy nie brzydzili się końmi jak Kruzowie, którzy tolerowali je tylko w przypadku królewskich posłańców. Od dawna stanowili utrapienie na północnych rubieżach imperium i czasami wstępowali na służbę *tlatoaniego*. Mijał skośnookich, milczących mężów z wasalnych miast Ligi Tygrysa, a nawet posepnego Inkę, nieregularnie opatulonego w derkę, przypominającego jedną z ich dziwnych mumii. Uchodźca polityczny?

Zameldował się u dowódcy. W czasie pokoju obowiązki gwardzisty nie należały do zbyt uciążliwych. Oprócz nieuniknionej musztry, czekało go sporo fechtunku i służby wartowniczej. A także szkolenia, mające przygotować do pełnienia obowiązków na dworze *tlatoaniego*: wyłuskiwania z tłumu potencjalnych zamachowców, przesłuchiwanie podejrzanych i upuszczania krwi *ursom* i jeńcom. Akurat w tym ostatnim nie musiał się doksztalać. Odebrał mundur, czarną zbroję z pikowanej bawełny i skóry, zdobioną motywami czaszek i gwiazd, ze skrzydlatymi epoletami, oraz czerwony płaszcz, wart tyle, co rok pracy zwykłego człowieka.

Kwatermistrz położył szczególny nacisk na przysługujący każdemu Zabójcy Gwiazd naszyjnik z insygnium siedzącego orła. W zagrożonym przez skrytobójców Pałacu był kwestią życia i śmierci, gwardziści nosili go na widoku. Uzbrojonego człowieka bez tego znaku zabijano na miejscu. Haran zyskał też prawo do noszenia złotej przetyczki w dolnej wardze. Pomyślał, że Citlali nie będzie zachwycona tą krępującą ozdobą.

Ledwo zdążył załatwić sprawę z kwatermistrem i przebrać się w nowy mundur, gdy uprzejmy oficer rozkazał mu niezwłocznie udać się z nim przed

oblicze króla.

Minęli dębowe, pilnie strzeżone wrota, które w razie potrzeby mogły odseparować wyższe partie budynku od koszar. Potem przeszli przez poziom kancelarii i kolegów, gdzie w kurzu i szeleście papierów trudziła się elita osowiałych, zgarbionych gryzipiórków, wprawiająca w ruch biurokratyczne przekładnie imperium. Haran kichał, łzawiły mu oczy. Zwrócił uwagę, że część urzędników wygląda na prawie oślepych. Odetchnął z ulgą, gdy dyskretne, obsadzone przez pluton gwardzistów schody wyprowadziły ich na skąpany w słońcu dach.

Od wysokości zakręciło mu się w głowie i musiał się złapać drzewka. *Tlatoani* bardzo sobie cenił te podniebne, odcięte od gwaru ulicy ogrody. Haran znalazł się na szczycie, bez dwóch zdań.

Wiatr smagał go po twarzy, wolny od przyziemnych wyziewów z kanałów i rusztów, zapachu błotnistych polettek *chinampa*, spoconych ciał i zaschniętej krwi. Z dachu rozpościerała się panorama Wiecznego Miasta Tollan: barwna szachownica świątyń, pałaców i chramów, błękit kanałów i zieleń domowych ogródków, pokrywających dachy lepierek, jak mech nadrzeczne kamyki. Dalej widział jezioro i odległe łańcuchy gór, zamykające Dolinę Mésziku.

Nagle zrozumiał, że po mrocznych czeluściach Dołów los wypchnął go na sam szczyt. Nie potrafił się pozbyć niepokojącego wrażenia, że wiatr za chwilę go zdmuchnie. Uderzył go ogrom stolicy, przy której prastare Yugal przypominało zaspaną dziurę. I skala własnego wyniesienia, zaszczyt, jakiego dostąpił. Oto on, dzikus, skazaniec i *urs*, pukał do prywatnych drzwi władcy swojego świata.

Barbarzyńca uśmiechnął się ponuro, potrząsnął skudloną grzywą.

Przechodząc obok kolejnych placówek straży, stanęli w końcu przed niewielkim budynkiem, który wyglądał, jakby jakieś kapryśne bóstwo uplotło

go z korzeni drzew. Było to sanktuarium władcy, odizolowane od motłochu i zgiełku miasta.

Kiedy weszli do środka, zobaczyli salę pełną rzeźb, za którymi kładły się cienie, a misy z żarzącym się węglem broczyły czerwonym światłem. Quinatzin siedział w rzeźbionym fotelu, zatopiony w lekturze nietypowego, prostokątnego tomiszcza. Zwykle manuskrypty Kruzów to były długie arkusze sklejonego papieru *amatl*, czasami skóry, które rozkładano do czytania niczym harmonijkę. Na widok Harana władca odłożył otwartą księgę na stół. Zamiast meszickich hieroglifów chłopak zobaczył rój czarnych znaków. Jakby pożółkły papier upstrzyła chmara niezwykle utalentowanych much.

— Ich księgi są nawet bardziej niezwykle niż ich broń, Haranie. Głupcy nazywają ich demonami. Ja sądzę, że nie doceniamy części naszego dziedzictwa — mruknął król.

Haran zorientował się, że władca Odrodzonego Przymierza jest młody, dużo młodszy, niż to zapamiętał. Niewiele starszy od niego.

Pamiętał! Pamiętał, jak mam na imię!

— Wzywałś mnie, panie?

— Tak. Chodzi o Ofiarę Kamienia. Ceremonia z udziałem Szaratangi to wielki zaszczyt, ale też ogromna odpowiedzialność. Chcę, żebyś...

— Dobrze, że o tym wspominasz. Ta uroczystość... nie sądzę, bym się do tego nadawał — wtrącił Haran i ugryzł się w język.

Król uśmiechnął się lekko. Pochylił się nad blatem, patrząc gościowi w oczy. Czas zwolnił.

Barbarzyńca zorientował się, że cienie na ścianach rzucają nie rzeźby, lecz milczący żołnierze wsparci na ostrzach z metalu. Coś szurnęło za jego plecami, ale Haran był na to gotowy i odruchowo zasłonił kark. Gdyby ktoś próbował zarzucić mu na szyję garotę, wyprzedziłby go. Niestety, napastnik

nie musiał niczego zarzucać. Chwycił i zacisnął identyfikator Harana, naszyjnik z insygnium siedzącego orła, który dziś rano wręczył mu milczący kwatermistrz.

Ogniwa cienkiego łańcuszka okazały się piekielnie ostre, z palców, którymi barbarzyńca chronił szyję, trysnęła krew. Szarpnął się i przerzucił dusiciela przez ramię, a ten nogami strącił ze stołu puchary i księgę. Ale nie puścił, wciąż krępując ruchy chłopaka.

Drugi gwardzista zastygł nad nimi jak skalne urwisko, unosząc oburącz ogromny miecz. Władca uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ocaliłeś mi życie i pamiętam to. Dlatego tu jesteś. Ale musisz grać według moich reguł. Kiedy powiem „skacz”, skoczysz. Nawet z Piramidy Królów. Rozumiesz?

Haran szarpnął się, modląc się, by ten chory drań odczytał jego gest jako potwierdzenie. On sam niewiele już widział, fale szkarłatu i czerni zasnuwały mu wzrok, nawet dźwięki rozkołysały się jak morze.

— Gwardziści nazywają mnie ojcem. Czy przyjmiesz ode mnie życie, które właśnie opuszcza twe ciało?

Haran skinął, na tyle, na ile pozwalał mu łańcuch dławiący krtań.

Quinatzin, który wciąż siedział z podbródkiem opartym na splecionych dłoniach, z aprobatą uniósł brwi. Gwardziści odsunęli się, nie spuszczając jednak wzroku z Druazzi.

Chłopak odetchnął, najspokojniej jak umiał, i wrócił na miejsce, powoli masując szyję.

— Teraz wiesz, czemu naszyjniki gwardzistów są ostre. Wierzę w ciebie, Haranie. Służ mi dzielnie. I nigdy nie przerywaj, kiedy mówię. Pytania?

— Wybacz, ale w tym zamieszaniu nie dosłyszałem rozkazu. Umknął mi, razem z resztkami powietrza — zachrypiał Haran, kiedy już przestał się krztusić. Przeliczył zbrojnych w pomieszczeniu i oszacował swoje szanse

jako marne, ale jednak jakieś. Tym razem nie dorwą go tak łatwo.

Z twarzy króla nie schodził dobrotliwy uśmiech.

— Zobaczysz się z Szaratangą. To rozkaz. Zaprzyjaźnisz się z jeńcem, który potem zginie na twoich oczach. Rozumiesz?

— Myślałem, że to standardowa procedura. Zadzierzgnięcie więzi, czy jakoś tak.

— W pewnym sensie. Kapłani twierdzą, że tylko wtedy ofiara zostaje przyjęta. Moc jeńca przechodzi na jego łowcę i on, pośrednicząc w rytuale, przekazuje ofiarę dalej. Dlatego przywdziewacie skórę. Podczas ceremonii jesteście *ursami* bogów, ich wcieleniem, swoistym zastępstwem. Ale mnie nie interesuje spektakl, tylko Szaratanga. A on odmawia współpracy.

— Rozpalone szczypcy nie załatwią sprawy? — spytał Haran.

W Dołach nauczył się, że ból i strach złamią w końcu każdego. No, może poza pechowcami, których złamały mroczniejsze rzeczy.

— Ludzie, którym w oczy zagląda koniec, zwykle są elastyczni. Ale nie on. Nie wierzy w żadne obietnice. Co gorsza, Lew Labiryntu już wie, że wytypowano go do tegorocznej Ofiary Kamienia. Nie dość, że nie chce gadać, to teraz odmówił walki na arenie. Myślałem, że jako żywa legenda zrobi wszystko, żeby zachować twarz i sławę. Myliłem się.

Quinatzin westchnął i zamrugął, jakby próbował odpędzić senność. Wyglądał na wyczerpanego.

— Kraj czeka na mój tryumf, Haranie. Ale niektórzy wyglądają mojego potknięcia. Kapłani, konserwatywna część armii i jej szlachetny przywódca. Nienawidzą mnie teraz za to, że nie rozpuściłem wojska. Woleliby, żebym pozostał rozpieszczonym książątkiem, papierowym jaguarem. To, że pojmałem samego Szaratangę, a teraz złożę go w ich uświęconej ofierze, to dla nich bluźnierstwo, a przy tym dotkliwa porażka. — *Tlatoani* uśmiechnął się szyderczo i nalał sobie wina z agawy.

— Trzymacie go tutaj? — słowa z trudem przechodziły Haranowi przez obolałe gardło. Nie umknęło mu, że uśmiezek Quinatzina jakby przybladł.

— Chciałbym. Szaratangę przejęli kapłani, ofiary należą do bogów. Mieli prawo, ale mogłem się bardziej postawić. Przechytrzyli mnie i teraz coś knują. Nie ufam im, dlatego liczę na ciebie. Jako uczestnik ceremonii masz prawo rozmawiać z jeńcem. Pozyskasz go dla mnie, rozumiesz? Musi zginąć jak wielki bohater.

— Na pewno znajdą się lepsi ode mnie... — zaczął Haran, ale król przerwał mu zniecierpliwionym syknieniem.

— Chodzi o łączącą was więź. O szacunek. W końcu to ty pokonałeś go w walce, prawda? Pogadacie jak żołnierz z żołnierzem, zdobędziesz jego zaufanie. Może nawet zostaniecie przyjaciółmi?

— A potem go zabijecie? — upewnił się Haran.

— Oczywiście. Przecież nie puścimy go wolno. A co w tym złego? — *Tlatoani* popatrzył na niego, zdziwiony.

Chłopak potarł obolałą szyję, z której leniwie sączyła się krew. Jak zawsze daremnie poszukiwał słów. Ale w mowie Druazzi i Kruzów, w dostępnej im puli symboli, nie było pojęć, które mogłyby wyjaśnić jego uczucia.

Krwawa ofiara to zwyczaj umiłowany przez bogów; to wystarczyło, żeby wierni robili, co trzeba. A że zaprzyjaźnianie się z jeńcem, którego zaraz się pośle na śmierć, miało coś z tuczenia drobiu na święta? Coś, co gryzło się z honorem? Szaratanga to dzielny człowiek. Potem Haran pomyślał o rączkach. Tych wszystkich wypielegnowanych dworskich rączkach, które przędą, wręczają sobie nagrody i knują, trzymając nić życia ich obu. Wojownik i jego jeńiec... coroczna odsłona spektaklu.

Bezradnie potrząsnął grzywą. Sztywno pochylił głowę i splunął do misy z węglem. Płwocina zasyczała.

Strażnicy drgnęli, ale sondująca go twarz władcy świata była nieruchoma jak maska. Dobrze, piesku, mówiła. Obaj wiemy, że twoje wątpliwości to tylko szczenięce zabawy. Zrobisz wszystko dla swego pana, bo nie masz już dokąd iść. No, zamerdaj ogonem.

Haran przypomniał sobie dumną, szlachetną postać Szaratangi i poczuł, że jego ślina jest gorzka od żółci, a dym z paleniska dławi i rozsadza mu łeb. Wiedział, że nie mówią mu tutaj wszystkiego.

— Kapłani też będą z tobą rozmawiać. Spróbują cię pozyskać frazesami o woli bogów, przeznaczeniu i świętości. Nie ufaj im.

— Nie rozumiem — zdziwił się chłopak.

Nagle poczuł, jak bardzo jest nietutejszy.

— Ofiara Kamienia to zaszczytna i podniosła uroczystość. Lud ją uwielbia. Ale ja na nią szczam. I szczam na kapłanów. Ośmielają się radzić mi i bezczelnie nazywają to wolą Głodnego Słońca! Mam gdzieś ich przeklętych bogów! Tam, gdzie słońce nie dochodzi, że tak powiem.

W takim razie dupa króla jest większa niż jego pałac, pomyślał Haran. Ale nie zarechotał. Siedział jak trusia, próbując zachować spokój. Morderca za jego plecami zakaszłał, przypominając mu, o jaką stawkę toczy się gra. Haran czuł, że właśnie nadepnął na węza, całe stado kłębiących się gadów. Quinatzin kontra Szurukan... i obydwaj czegoś od niego chcą. Wiedział, że tylko od króla zależy, czy wyjdzie z komnaty żywy.

— Przekonaj tego psa, tfu, Lwa, żeby walczył. Liczę na ciebie.

* * *

Qinatzin kazał Haranowi odwiedzić czcigodnego Eszkeratla. Mistrz Widowisk przyjmował petentów w ozdobnym pałacyku, pełnym rzeźb z tekowego drewna, zwiewnych draperii, fontann i rozsuwanych ścian. W korytarzach roiło się od artystów i ludzi kultury. Haran mijał wychudłych

pisarzy i dramaturgów, którzy obmyślali spektakle i budujące opowieści dla ludu. Nie sprawiali dobrego wrażenia. Niektórzy mamrotali pod nosem, jakby właśnie rozmawiali z duchami. Inni, wpatrzeni w niewidzialny horyzont, potykali się o rzemienie własnych sandałów. Widział też ładne, młode aktorki o czujnych oczach, scenografów, ptaszników i cyrkowców, kapłanów i żonglerów, gladiatorów i *ursów*. Zbliżały się coroczne uroczystości i kruzańska machina rozrywki dawała z siebie wszystko.

Rezydujący w wystawnym gabinecie Eszkeratl okazał się szczupłym, cokolwiek zniewieściałym mężczyzną o rozbieganym spojrzeniu. Nosił długie, rozpuszczone włosy i szaty kapłana, ale jego nerwowe ruchy i gesty nie miały w sobie nic świętobliwego. Towarzyszył mu starszy duchowny o nieprzeniknionej, beznamiętnej twarzy.

Na widok Harana przeglądający jakieś papiery Eszkeratl rozpromienił się i poderwał z niskiego stołka.

— Wysoki, nareszcie wysoki! — zapał i zacmokał z zachwytem.

Stanął obok barbarzyńcy, który cofnął się odruchowo. Niezrażony Mistrz Widowisk wspiął się na palce, po czym cofnął i znów otaksował go wzrokiem, jakby dokonywał jakichś matematycznych obliczeń.

— Przychodzę z rozkazu *tlatoaniego* — wyjaśnił Haran.

Eszkeratl skwapliwie pokiwał głową.

— Wiem, wiem. To ty zdobyłeś tegorocznego jeńca. I to jakiego! Dostajemy rozmaitych zabijaków, szermierzy i różnych osiłków, ale ten... Bohater nie trafia się co dzień. Lwa Labiryntu nie oddałbym nawet za tysiąc zwyczajnych fraje...

— Dobra, dobra — Haran przerwał mu, zniecierpliwiony. — Wyłumacz lepiej, co mam robić.

— Będziesz bohaterem. Będziesz ich dumą i siłą. Jak, sam nie wiem, Kruzański Wiatr! Dobre, no nie? I mocne — zapalił się Eszkeratl. — Każdy

facet na widowni: zahukany sklepikarz z gderającą żoną, sfrustrowany rybaczyzna z jeziora czy zadłużony ogrodnik, na moment stanie się tobą. W pewnym sensie twoja rola jest najważniejsza. Niczym koliber, który przycupnął na ciężkim od nektaru kwiecie, zbierzesz zasługę za ból i krew Szaratangi.

— Zbiorę? W jaki sposób?

— Jak to w jaki? — Eszkeratl posłał mu złe spojrzenie. Wyglądał jak człowiek wyrwany z przyjemnej drzemki i wystawiony na deszcz.

— No jak mam go zabić. Jaką bronią. Jak szybko.

Oczy Mistrza Widowisk zrobiły się wielkie jak spodki.

— Naprawdę nigdy nie widziałeś Ofiary Kamienia? Człowieku! Ty nie walczysz.

Teraz to Haran zrobił zdumioną minę.

— To po kiego mam leżać na arenę? Bez sensu.

Straszy kapłan poczerwieniał na twarzy i wyglądał, jakby miał wyrzucić z siebie płomienne kazanie, ale Eszkeratl uspokoił go ostrym spojrzeniem. Mistrz Widowisk powachlował się pierzastym wachlarzem i wskazał barbarzyńcy ławę. Rozlał do czarek gorzką czekoladę i zaczął cierpliwie tłumaczyć.

Rolą Harana jest zebranie zasługi z męczeństwa jeńca, perorował, w imieniu całego narodu Kruzów. Stanie się pośrednikiem. Naczyniem. Instrukcja w dalszym ciągu wydawała się barbarzyńcy mętna. Nie pomogły też dysproporcje w zasobach kruzańskich słów, którymi posługiwali się Haran i mistrz widowisk. Wojownik powoli zaczynał rozumieć, ale wciąż miał wrażenie, że coś tu nie gra. Na miejscu Kruzów urządziłby to inaczej.

Najwyraźniej zachodził tu rodzaj magii. Coś podobnego robili Druazzi, gdy zebrawszy stos odrąbanych głów, dedykowali śmierć wrogów bogom pijaństwa, dzięki czemu ich kobiety sporządzały tęgie i smaczne piwo. To

jeszcze mógł zrozumieć. Jeniec w końcu umiera, a ten, kto go pojmał, w imieniu całego imperium przejmuje zasługę płynącą z ofiary.

— Ale ja nie jestem Kruzem. Wasi bogowie mnie nie znają. Mogą się wkurzyć — zaprotestował Haran.

— Ale to ty wzięłeś w niewolę Lwa Labiryntu, synu. Tym samym stanąłeś pośród szlachetnych — wtrącił się starszy kapłan. Najwyraźniej to on odpowiadał tutaj za czystość doktryny.

Haran dopiero teraz dostrzegł, że mężczyzna niedawno przekłuwał sobie lewy policzek, a krwawe ślady znaczyły fragment różowej, dopiero co zagojonej skóry. Twardziel.

— Czyli co? Mój jeniec będzie się bił z waszymi wojownikami, a ja przez cały czas będę stał obok? Jak ten, nie przymierzając, chu...

— Dokładnie tak, jak mówi czcigodny Orenczo — wszedł mu w słowo Eszkeratl. — Będziesz stał na arenie, niewzruszony i dumny jak skała, opoka imperium Kruzów. Będziesz współuczestniczył, a potem staniecie się Jednym!

To już przestało być śmieszne. Pewnych rzeczy się po prostu nie robi, nieważne, czego chce król i ta banda zwyrodnialców. Haran nieufnie pokręcił głową.

— To nic złego — uspokoił go kapłan. — Jak już mówiłem, to zaszczyt. Potem Jednym staną się zgromadzone tysiące. A na wszystkich spłynie zasługa z nakarmienia Głodnego Słońca.

Barbarzyńca bezradnie potrząsnął grzywą. Na flaki Zjadaczy, Kruzowie naprawdę byli szaleni.

— Myślicie, że to zadziała? Nawet nie wiem, do kogo się modlicie i po co... — wzbraniał się jeszcze Haran.

— To bez znaczenia. Święty wywar przygotowuje cię do twojej roli. Potem przywdziejesz Skórę — wyjaśnił mu starszy kapłan.

Barbarzyńca wzruszył ramionami. Akurat to wydawało się proste.

Lubił futra i często żałował, że w krajach Przymierza jest za ciepło, żeby je nosić.

* * *

Kancelaria królewska zaopatrzyła Harana w przepustki i glejty, dzięki którym owiane ponurą sławą lochy Czerwonej Świątyni otwierały się przed nim skwapliwie jak podwoje lichwiarza przed zdesperowanym szlachcicem.

Dotarł do piętra oznaczonego tabliczką „Widowiska” i cierpliwie czekał, aż pogwizdujący pod nosem strażnik rozewrze liczne zasuwy. Drugi oprawca z zadumą gmerał w nosie paluchem czarnym od krwi.

Lew Labiryntu siedział oparty o ścianę. Na widok swojego jeńca Haran cofnął się ze zgrozą. Gdy widział go ostatnio, generał nosił hełm z maską, zasłaniający twarz. Teraz szerokie oblicze Szaratangi pokrywała skorupa zaschniętej krwi. Nie otworzył oczu, i w żaden sposób nie zareagował na jego obecność w celi.

Haran zaklął.

— Torturowano go? Niby jak mam go teraz przesłuchać? — spytał, spoglądając na nadzorcę z furją.

Klawisz wzruszył ramionami.

— Z woli Pierwszego Kapłana. Ci pod ziemią to już wszystko truposze, co nie? Miałem go obsypywać kwietnym pyłkiem?

— Miodem z dupy — zarechotał drugi cerber.

Haran z trudem się opanował, przed oczami już miał ich zmasakrowane, rozkosznie nieżywe ciała. Później. Będzie tu przychodził codziennie... lepiej nie robić sobie dodatkowych kłopotów.

Odetchnął głęboko i otarł spocone ręce o kaftan.

— Ten człowiek nie jest waszą padliną, kojoty. Ma być do dyspozycji

króla — warknął.

Oprawcy spojrzeli po sobie, niski splunął czymś wyjątkowo ohydny.

— Wykonujemy rozkazy Szurukana. Wal się! — zapiszczał.

— Jeżeli jeniec umrze, zapłacicie za to. A teraz wynocha — poprosił i coś w jego głosie sprawiło, że potraktowali prośbę serio.

Gdy odeszli, zbliżył się do leżącego na gołych kamieniach więźnia, który dźwignął spuchniętą powiekę. I nasłuchiwał, ruszając opuchniętymi wargami.

— Witaj, młody. Dobrze cię widzieć — szepnął. Głos był ochrypły i zdarty. Brzmiał, jakby jego posiadacz konał z pragnienia.

— Nie znam cię — warknął Haran.

Przestraszył się, że przybył na próżno i jeniec postradał zmysły.

Szaratanga ze zrozumieniem skinął głową.

— Kruzowie cię przygarnęli? Kupili? W końcu dopadną każdego. Nie udawaj, że nigdy mnie nie widziałeś. Chociaż nie, wybacz. W tamtym mroku trudno było cokolwiek zobaczyć.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Przecież się znamy. — Więzień rozkaszłał się, prychając kropelkami krwi.

— Nie pamiętam cię — mruknął Haran, podając mu wodę.

Obserwował, jak ten cień człowieka pije. Jeniec odstawił czarę i przyglądał mu się szparkami, za którymi kryły się oczy.

— Musisz mnie pamiętać, Haran. Uratowałem ci życie. Nawet więcej, zostawiłem cię potem, byś umarł. Chyba jesteście kwita — dodał mocniejszym głosem. — Zresztą nie wierzę, że zapomniałeś cokolwiek z tego, co wydarzyło się w Dołach. Ja modliłem się, by zapomnieć.

Haran zbladł i zatoczył się pod ścianę.

Nie. To niemożliwe, to po prostu parada złośliwych i przypadkowych

podobieństw.

— Czy to... — słowa utknęły mu w gardle, raniąc jak rozgrzane w ognisku kamienie.

Więzień uśmiechnął się.

— Tak, młody. To ja. Wtedy nazywałem się Moros.

Haran przymknął oczy.

To wiele zmieniało. W zasadzie zmieniało wszystko. I jednocześnie nie zmieniało niczego. Przeszłość zdradziła go tyle razy, że przestał na niej polegać, tak jak nie polegał na klanie i bliskich. Moros także go zostawił.

Podczas wiosennego święta jeniec Szaratanga, i zarazem przyjaciel Harana Moros, zostanie zabity dla bogów. Pytanie, co stanie się wcześniej.

Co stanie się z Haranem.

— Porozmawiajmy o Ceremonii Kamienia — powiedział sucho.

Szaratanga przyglądał mu się spod zmrużonych, opuchniętych powiek.

— Czyli tak będzie, hę? Bez sentymentów. Rozumiem. Wiesz, po mojej ucieczce sporo myślałem. O tym, co stało się z tobą. O tym, czego cię nauczyłem. Pamiętasz?

Haran pokiwał głową.

— Niech każdy ratuje się sam — mruknął.

Jak mógł zapomnieć. To było klanowe zawołanie sprzedanych i porzuconych, zew ludzkich odpadków i śmieci. Żałosna modlitwa Dołów.

— Mimo wszystko jesteś moim jeńcem bitewnym, Morosie. To odpowiedzialność.

— Zostałem wybrany na święto? Jako danie główne? Wy naprawdę ukatrupicie mnie z pompą. Czy na arenie będą sprzedawcy krwawych ciasteczek? Maczanych w mojej krwi? Zaszczyconym — parsknął więzień.

— Chcę, byśmy wyszli z tego z podniesioną głową. Obaj — zagaił Haran.

— To znaczy, że po wszystkim podniesiesz moją z piachu?
— Szaratanga roześmiał się chrapliwie. Próbował się podźwignąć, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. — Widzisz? Rozumiem, że jestem dla ciebie przepustką do wielkiej kariery. Ale jeżeli te gnoje nie przestaną mnie tłuc, na arenie dobrze wypadną najwyżej moje flaki. Jeżeli Kruzowie chcą, żebym walczył przy Kamieniu, muszą mi pozwolić wydobrzeć.

Haran, gdy tylko opuścił celę, z wściekłością ruszył do rozbawionych strażników. Dołączył do nich trzeci kolega i bawili się w najlepsze, podrzucając biodrami prowizoryczną piłkę z obgotowanej głowy. I nie była to głowa psa.

— Macie go nie bić. To rozkaz — warknął.

Spojrzeli na niego, zdumieni.

— Niby czyj?

Ich rechot obudził w barbarzyńcy wspomnienia. I poderwał diabła.

Podszedł do niższego nadzorcy, który wyglądał na kogoś naprawdę oddanego swojej pracy. Uśmiech zamarł na szczurzej twarzy. Haran zdzielił go w brzuch, pozbawiając tchu, obrócił i trzymając za głowę, przejechał jego twarzą po murze. Zdarta skóra i krew zostawiły na chropawych kamieniach smugę, jak po przejściu ohydneho czerwia.

To się nazywa stracić twarz!

Drugi strażnik w osłupieniu gapił się na okaleczonego kompana. W końcu furia pokonała strach i z rykiem zamachnął się na intruza. Haran sparował cios przedramieniem i wychylił się, sięgając lewą ręką w dół.

Tej paskudnej techniki nauczył go Flak: wyprowadzasz silny cios, uderzając nie pięścią, lecz rozcapierzonymi palcami. Wymagała długich i żmudnych ćwiczeń, łamliwe i słabe palce trudno wzmocnić na ścianie. Ale efekt potrafił być druzgocący.

Flak przeważnie atakował okolice pępka, patrosząc przeciwników jak

ryby. Haran udoskonalił jego technikę.

Szarpnął za coś miękkiego i pociągnął, prowadząc rękę do siebie i w górę. Strażnik zakwilił i zrobił niezdarny krok, sięgając po coś bardzo, ale to bardzo ważnego. Barbarzyńca prychnął i zamiótł przed sobą stopą, podcinając mu nogi. Trzeci strażnik gmerał przy pasie z bronią i jakoś nie mógł jej znaleźć.

— Złap za broń. Proszę — szepnął Haran.

Klawisz zzieleniał, ujął bulgoczącego kompana pod ramiona i wywlekł go na korytarz.

Kiedy pojawił się wreszcie zaalarmowany kapłan – inkwizytor odpowiadający bezpośrednio przed Świątynią – barbarzyńca nawet nie musiał go bić. Wy tłumaczył mu tylko, że z woli króla jeniec Szaratanga ma być doprowadzony do porządku, wykurowany i odżywiony. Ma się dobrze zaprezentować na wiosennej ceremonii ku czci bogów. Tych samych, którym oni, klechy, teoretycznie służą i których nie powinni drażnić.

Święty człowiek słuchał w skupieniu, któremu z pewnością sprzyjało to, że Haran trzymał go za gardło zakrwawioną łapą.

— A już na pewno — dodał Haran — nie chcecie drażnić mnie.

Rozdział 4

To, jak Haran potraktował sługi Czerwonej Świątyni, nie przeszło oczywiście bez echa. Jeszcze tego samego dnia trafił przed oblicze *tlatoaniego*. Rozmowa była napięta jak złoty łańcuch zaciągnięty na gardle. Widział, że Quinatzin z trudem hamuje gniew.

— Czy ty w ogóle myślałeś, zabijając żołnierzy Świątyni?

— Ci ludzie służyli w głębi serca kapłanom i szydzili z twojego imienia. Skarciłem ich — odparł barbarzyńca, patrząc królowi w oczy. Wiedział, że pokora nie ocali jego skóry.

— Nawet jeśli, to nie ty wydajesz tutaj rozkazy. Rozmawiałem już z Szurukanem. Sprawa jest poważniejsza, niż myślałem. Stary podejrzewa, że klęska Szaratangi to podstęp. Obawiam się, że może mieć rację, a ja byłem ciut... krótkowzroczny.

— To ranny człowiek w kajdanach. Co może zrobić? Zszargać rytuał i obrazić bogów?

— Szaratanga ma do zaoferowania znacznie więcej niż występ przed gawiedzią.

— Chodzi o wojnę? Wieczne zmagania z Tlaskalą? — spytał Haran. Oczy monarchy rozbłysły.

— Uświadomiłem to sobie podczas przesłuchań. Po raz pierwszy pojaliśmy żywcem tlaszkalskiego oficera tej rangi. Szaratanga potrafi sforsować wąwozy. Jako generał zna wszystkie plany obronne i ma ich mapę wytatuowaną na dłoni. Legendarne tlaszkalskie *ilhalli*. Oraz pewne...

wskazówki, które rozbudziły nasze apetyty. I nadzieje. A nagły przyływ nadziei zawsze powinien być ostrzeżeniem. — Oczy króla rozbłysły ponuro. — Już myślałem, że złapałem Pierzastego Węża za ogon, a tu nagle ktoś mierzy do mnie zza skały. I to zatrutymi strzałami.

— Termity zastawiły pułapkę? — sapnął Haran.

Quinatzin pokiwał głową.

— Tego nie można wykluczyć. Czy to nie dziwne, że trafił nam się taki prezent? Zdobył bez precedensu, coś takiego nie zdarzyło się podczas żadnej z Wojen Kwietnych. Dlatego musieliśmy go przesłuchać i... potraktować surowiej, niż nakazywałby szacunek dla jego rangi. — Quinatzin wzdrygnął się i upił łyk trunku. Sam za nic nie chciałby się znaleźć na miejscu skatowanego Lwa. — Władza nie zawsze jest miła, ani tym bardziej moralna. Mimo to wciąż bronię tamtej decyzji.

Haran milczał. Zastanawiał się, ile to już trwa. Pewnie katują Morosa od czasu, gdy armia wróciła z frontu. Gdy on, Haran, przyjmował awanse i zalecał się do Citlali, zaliczał sentymentalne podróże i grzebał w rodzinnych brudach, jego przyjaciel umierał. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Musiał coś wymyślić. I to zaraz.

— Myślę, że kapłani boją się twoich zwycięstw, panie — powiedział cicho wychowanek Druazzi.

Quinatzin patrzył uważnie.

— Bierzemy jaguara pod włos? — Zmrużone oczy gracza rozbłysły milczącą groźbą. — Nie pogrywaj ze mną. Nigdy.

Odwrócił się i podszedł do wiszących na ścianie pięknych tarcz obitych piórami i futrem. Zdjął jedną, podrzucił i nagle pchnął wąskim sztyletem, który wy dobył z ukrytej pod szatą kabury. Przyspilił ją jak placek z surowego ciasta i rozpruł z pogardą.

— Bawełna, pióra, gówno. Dziedzictwo mojego ludu. Oto, co robi z tym

szajsem stalowa klinga. Wiesz, że podczas Wielkiej Wojny trzystu Białoskórych, wspomaganych przez bandę Tlaszkalan, pokonało w boju dwadzieścia tysięcy naszych?

— Z całym szacunkiem, panie, uważam, że to tylko legenda.

— Z całym szacunkiem, uważam, że ocalił nas pieprzony cud. Bogowie nie podarują nam drugi raz takiej szansy. Co, jeśli Białoskórzy powrócą? Mężowie w lodowych pancerzach, z oczami zimnymi jak metal. Co się wtedy stanie? Obrzucimy ich piórami kwezali? Odprawimy ofiarę? Montezuma był bardzo pobożny.

— Pokonamy ich. — Barbarzyńca wzruszył ramionami.

Quinatzin roześmiał się.

— Naszym przodkom też nie brakowało odwagi. Nadziewali się na piki Białoskórych, żeby osłabić ich szyki, gołymi rękami łapali ostrza. I tak przegrali. Ja... przeczuwam ich powrót, Haranie. Dlatego muszę nas przygotować. Usunąć słabości i zaleczyć rany jątrzące ciało narodu, takie jak ta przeklęta Tlaszkala.

— Ludzie mówią, że pragniesz władzy i chwały — szepnął Haran, przestraszony obłędem tłącym się w oczach króla.

Quinatzin plasnął z uciechy w udo.

— Głupcy! Szukam środków, które pozwolą nam przetrwać. Ale czasami wizja mnie rozsadza. Płonę. Widzę tyle rzeczy, mam w głowie tyle myśli... Wiesz, że od tygodnia nie spałem? Obawiam się podstępu. Czułbym się pewniej, gdybym zobaczył w naszym jeńcu chęć współpracy. Albo jeszcze lepiej, zdradę.

— A co z Ceremonią Kamienia?

— Szurukan nie jest głupcem, a ja nie mogę pozwolić sobie na błąd. Kapłani nie przerwą tortur. Twoja rzecz dowiedzieć się, co im powiedział! Zanim stanie na arenie.

Haran ważył słowa, cedząc je:

— Widziałem go, władco świata. To strzęp człowieka. Jeżeli cokolwiek wiedział, już dawno się wygadał. Tortury to marnotrawstwo. Jedyne, co osiągniemy, to kompromitacja w czasie święta. Kompromitacja nas obu.

— Nie rozumiem cię. To jeniec. Dlaczego tak ci na nim zależy? — *Tlatoani* spojrział na niego podejrzliwie.

Wychowanek Druazzi błysnął spiłowanymi zębami.

— Ceremonia Kamienia to największy zaszczyt, jaki może spotkać wojownika! Nie chcę, żeby zapamiętano mnie, jak wyprowadzam do walki słaniającego się trupa. A to jeniec z twojej kampanii, panie. Moja hańba spłynie też na ciebie.

Quinatzin zasepił się i zaczął obgryzać paznokcie.

Mam bezcenny wgląd w prywatność wielkiego człowieka, pomyślał Haran. I kusił dalej:

— Nie musi tak być, mój królu. Od czasów Erneakanna Złocistego żaden kruzański władca nie pojmał generała Tlaszkali! To symbol. Ceremonia ukaże twój majestat całemu krajowi. Nie możesz tego zmarnować!

Blady ze złości Quinatzin miał minę, jakby rozważał wydanie rozkazu siepaczom. Po chwili odprężył się jednak.

— Pomów z nim. Odwołaj się do jego honoru. Ja pogadam z Szurukanem. Poproszę go, żeby ograniczył... presję. Żadnego oślepienia, łamania nóg ani bicia w pięty. Będzie w stanie chodzić. Więcej nie mogę obiecać.

— Tyle korzyści, pokus. Generał na pewno im się nie oprze. — Barbarzyńca mimowolnie się skrzywił.

Quinatzin zmarszczył brwi.

— Wiesz, dlaczego ci ufam, Haranie? — Wyprostował się w fotelu.

Wychowanek Druazzi pokręcił głową.

— Nie za wrodzony sarkazm, lecz dlatego, że nie jesteś Kruzem. Dobrze wiesz, że jeśli motłoch rzuci mi się do gardła, to najpierw rozszarpie twoje. To wykastrowane kocury. Nienawidzą was, dzikich, bo macie większe jaja od nich. Płyniemy na tej samej tratwie.

* * *

Nowi strażnicy lochu pozwolili mu przejść, ale nie spuszczała z niego oka, czujni i uzbrojeni po zęby. W pewnym momencie Haran tupnął i z zadowoleniem odnotował widok wielkich chłopów podskakujących niczym strwożone myszki. Cóż, nikt nie lubi mieć urwanej moszny. A już na pewno nie twardziele.

Kiedy zszedł do lochów, więzień spał. Widać było, że oprawcy torturowali go metodycznie. Haran cicho zbliżył się do wiązki zgniłej słomy, która służyła Szaratandze za materac. Z niedowierzaniem przesunął opuszkami palców po jego rozbitej twarzy. Zalały go duszne wspomnienia.

To był naprawdę on.

— A jednak uciekłeś... — wyszeptał Haran, hamując wzbierający w gardle szloch. — Udało ci się i znów się spotkaliśmy.

Więzień zabelkotał coś przez sen i Haran lekko się wzdrygnął. Dziwne. Znał głos, ale nigdy nie oglądał jego twarzy. Nie wiedział nawet, że Moros jest Tlaszkalaninem, choć opowiadał im czasem o walkach z Kruzami.

Przypomniawszy sobie ich ostatnią rozmowę, chłodny dotyk metalu wciśniętego w swoją dziecięcą łapkę, palce, które prawie przeczesaly jego skudloną czuprynę. Głuchy śmiech i kojące słowa:

— To raki do wspinaczki. Zakładasz je na dłonie i stopy. Zrobiłem je dla ciebie, synu. Przekułem nóż, który ci kiedyś podarowałem, ale to dobra zamiana. Musisz nauczyć się ich używać.

— Chcę iść z tobą — zaprotestował, targnięty nagłym lękiem. Tak

bardzo nie chciał zostać tu sam. Znowu ktoś miał go zostawić.

— Blask Twoich Oczu zatroszczy się o ciebie. To wariat, ale cię lubi. Nie mogę tu dłużej zostać, w moim kraju zaczęło się dziać coś złego. Ja... muszę sprawdzić tę ścieżkę.

Haran pokiwał dłonią. Piekło go pod powiekami. Czuł, że Moros chce mu pomóc, że troszczy się o niego.

Więc czemu go zostawia?

Moros długo objaśniał mu, na czym polega plan. Wy tłumaczył, że Haran musi mieć silne ramiona, silniejsze niż większość ludzi. Winda z urobkiem długo wjeżdża na górę. Nie można posłużyć się liną, dostrzegliby ją strażnicy. Kruzowie czujnie nadzorowali dostawy z czeluści, z palcami na napiętych łukach i oczami rozszerzonymi ze strachu.

— Dlatego ćwicz palce. Jeżeli zdołasz przez godzinę wisieć wczepiony w szczeliny w drewnie, pomagając sobie przy wspinaczce rakami, masz jakieś szanse, młody. Tyle trwa wciąganie na górę platformy. Pamiętaj, to długo. Będzie bujać, posypią się skały.

Haran słuchał i zapamiętywał. A potem ćwiczył, spadał i ćwiczył bez końca na zaadaptowanej do tego celu ścianie. Zajęło mu to siedem lat i siedem miliardów sińców. Dopiero wtedy, kiedy wspomnienie Morosa dawno wyblakło, mógł wcielić plan w życie.

Często zastanawiał się, dlaczego Moros wybrał właśnie jego, a nie Flaka, Pełacza czy Blask Twoich Oczu. Może dostrzegł w nim coś, co warto ocalić. Może wiedział, że Blask i Flak nie nadawali się już do powrotu na górę i musieli pozostać w piekle, jak inne demony.

Może zawsze traktował go jak syna.

A teraz Haran miał patrzeć na jego śmierć.

— Nie udało mi się. Będą cię dręczyć, aż powiesz im wszystko, co wiesz. Plany Labiryntu, fortyfikacje, pułapki. Wszystko. Na Bogów Rzeki, po

prostu im powiedz! — zaklinał, klękając przy posłaniu rannego.

Moros, czy raczej Szar, tylko uśmiechnął się krzywo.

— Nie mogę.

Nie dał się przekonać i nie wyjawiał, co tak usilnie ukrywa.

— Jeżeli naprawdę chcesz pomóc... Nie zniosę już więcej bólu. Zabij mnie, proszę. — Szaratanga spojrział poważnie na chłopaka. — W imię wszystkiego, co razem przeszliśmy.

Barbarzyńca milczał. Poświęcić całą swoją przyszłość dla resztek upiornej przeszłości? Cokolwiek łączyło ich kiedyś, podczas długiego pobytu w piekle, nie mogło przeważyć szali. Poza tym Moros zostawił go, tak samo jak kiedyś Pęcherz.

Pokręcił głową. Szaratanga wyszczerzył resztki zębów.

— Nowi panowie, he? Nowe smakołyki. Przygarnęli cię. Nie zrobisz nic, co mogłoby zepsuć im nastój, czy, bogowie brońcie, zakłócić popołudniowe trawienie. — Jeniec roześmiał się chrapliwie.

Chłopak zaklął i ruszył do wyjścia.

Szaratanga zawołał go:

— Wiedziałem, że w końcu się na mnie odegrasz. Jak mawiają, wszystko do ciebie wraca.

— O czym ty mówisz? — Haran odwrócił się w drzwiach.

— Dobrze wiesz o czym. Zostawiłem cię — rzekł Moros cicho. Wpatrywał się uważnie w milczącego Harana, coś kalkulując. — Służysz im z własnej woli? — spytał, a w jego głosie pojawiło się nowe napięcie.

Haran wzruszył ramionami.

— Nie miałem wielkiego wyboru. Plemię się mnie wyrzekło. Rodzina też się wypięła. Tylko Kruzowie dali szansę. Teraz oni są moim plemieniem, Morosie.

— Jesteś pewien? Zabili twojego ojca... a także twoich nieszczęsnych

przodków.

Barbarzyńca bezradnie potrząsnął grzywą. Słowa bzycały w głowie jak muchy w pustym dzbanie. Robiły hałas, a jakże, ale za nic nie potrafił ułożyć z nich zdań. Nie bardzo wiedział, co Moros próbuje mu powiedzieć.

— Wtedy, w Dołach... uwierzyłem, że mogę ocalić jedynie siebie. I to był błąd — głos Szaratangi brzmiał cicho, jakby nie wierzył, że zdoła cokolwiek zmienić.

Haran splunął i bez słowa zatrzaskał za sobą drzwi celi. Bo cóż można na to odpowiedzieć? Z jego doświadczenia wynikało, że pomyłki, fatalne decyzje i błędy są w życiu jedynym pewnikiem.

* * *

Po wyjściu z lochów barbarzyńca odetchnął wiatrem i mulistym powietrzem znad kanałów. Poczul się nieco lepiej. Powoli opadała złość. Bez gniewu, tego wiernego kompana, poczul się dziwnie słaby. Taki jakiś miętki.

Wciąż widział przed oczami twarz Morosa. Morosa-Szaratangi.

Gdyby tylko rozpoznał go wcześniej, w Labiryncie. Dopomógłby mu wtedy w ucieczce, mimo wszystko. Nawet gdyby miał zabić tego zdradzieckiego kutasa Tennoka... czy nawet samego *tlatoaniego*. Tak wiele mu zawdzięczał, tak przeogromny miał dług. Teraz już na to za późno.

Mimo całego obrzydzenia i wstrętu zaburczało mu w brzuchu i kupił pieczoną rybę.

Zdumiony sprzedawca wręczył mu karpia, którego w Tollan raczej nie zamawiali dumni królewscy gwardziści. Barbarzyńca posilał się z ponurą miną. Teraz sam czuł się jak jedna z tych ryb... żerujący w nieczystościach i błocie skurwysyn, który zjada wartościowe substancje, srając mułem i zaśmiecając nurt rzeki, tak że inne szlachetniejsze ryby z powodu braku widoczności nie mogą polować.

Jesteś pasożytem, pomyślał posepnie. Tchórzliwym i gównu wartym.

Doły kłębiły się gdzieś pod nim i wiedział, że gdy zaśnie, znów poczuje gryzący, gorzkawy zapach palonego przy ognisku kopalu, smród moczu, padliny i nigdy niemytych ciał. Doły wrosły w niego na zawsze, wbiły się w skórę wraz z szarym pyłem.

Lecz na razie nie zamierzał tam wracać. Musiał się zobaczyć z Citlali. Może razem przeprawią się przez kłamstwa i śmierć. Teoretycznie miał służbę, ale na szczęście nikt w koszarach nie musi wiedzieć, jak długo trwały jego obowiązki przy jeńcu.

Ich pokój w oberży był jednak pusty. Karczmarz niewiele wiedział, ale twierdził, że pani się nie wyprowadziła. Haran umył się w cebrze. Potem wyszedł, przekąsił na ulicy parę placków. Po południu zdrzemnął się, próbując przepędzić emisariuszy przeszłości.

Citlali wróciła wieczorem. Na jej widok Haran poczuł drgnienie męskiej dumy. Dziewczyna musiała spędzić długie godziny, robiąc się dla niego na bóstwo. I nie było to bóstwo łagodne. Zwyczajem odważnych kokietek i wielkich dam z dworu *tlatoaniego*, specjalnym barwnikiem, pozyskiwanym z tłuczonych w moździerz owadów, pomalowała twarz na żółto. Jej zęby błyszczały czerwienią, na głowie miała szykowną perukę z czarnych, kusząco rozpuszczonych włosów. Na szyi zawisł naszyjnik z turkusów.

W pierwszej chwili ucieszyła się na jego widok, ale zaraz jej ładna twarz napięła się i stężała. Haran zdziwił się, że nie spytała go, kiedy wrócił, ale nic nie powiedział. Na słowa przyjdzie jeszcze czas.

— Chodź — mruknął chrapliwie.

— Nie tak szybko — zaoponowała. — Przywiozłeś mi coś z Yugal?

— W tej mieścinie nie ma nic, co chciałabyś mieć. Wierz mi — zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzał.

Zrobiła nadąsaną minkę.

— Przepraszam — zamruczał, zapuszczając się na strzeżone terytorium jej piersi.

Trzepnęła go w dłoń, ale Haran nie dawał za wygraną. Oboje wciąż byli pełni gniewu, ale to tylko wzmagало żądzę. Dziewczyna ugryzła go zachęcająco, a on dźwignął ją i rzucił na łóżko jak kotkę. Po chwili leżał już na niej i kolanem rozsuwał jej uda. Wszedł w nią, z przyjemnością pokonując opór jej ciała. Zawsze stawiała opór i zawsze dawała mu wrażenie zwycięstwa.

Kiedy skończył, pogładził ją po piersi.

— Potrzebowałem tego. Zwłaszcza teraz... Mam naprawdę paskudną robotę.

— Wiem — powiedziała po chwili.

Haran stęzał, popatrzył na nią uważnie.

— Niby skąd?

— Wiem więcej, niż ci się wydaje — mruknęła, zasłaniając piersi.

— Tak? Chyba o dworskich plotkach.

— Ty zadufany dzikusie. Wiem o twoim powrocie, bo przydzielili mnie do tego samego jeńca.

— Co?

— Pstro. Przesłuchuję generała Szaratangę z ramienia Tysiąca Oczu.

Haran wzdrygnął się. Wywiad kapłański. To naprawdę coś. Ciekawe, czy to ona usunęła Morosowi paznokcie, osobiście operowała szczypcami, czy może tylko wydawała rozkazy jakimś ponurym drabom. Czego jeszcze się dowie o swojej kobiecie?

— Gniewasz się? Mówiłam ci, że mam ciekawą pracę — szepnęła gardłowo.

Zawsze miała w sobie coś drapieźnego, a on to chyba lubił. Dziewczyna musnęła jego pierś. Potem ujęła dłoń chłopaka i przejechała nią po swojej

szy, i dalej w dół, dotykając sutków, sklepionego brzucha i łona. Haran zadrżał. Gdy miał przy sobie tę kobietę, działo się coś dziwnego. Dygotał niczym w gorączce, szcękając spiłowanymi zębami. Widział jej gibkie ciało, łodygę smukłego kwiatu, i twarz, kielich zatrutej słodyczy. Zamknął oczy, lecz widział ją nadal. W ich izdebce, nagą, z policzkiem wciśniętym w poduszkę. Dziewczynę, która okazała się szpiegiem kapłanów.

— Od jak dawna trwa twoje zadanie?

— Czy to ważne? Chciałam ci powiedzieć, ale wyjechałeś — szepnęła.

Roześmiał się bez cienia wesołości.

— Rozumiem. I tak dobrze, że nie rozpracowywałaś mnie jako zabójczyni. Rzeczywiście, już lepiej paść łupem kurwy — mruknął.

Spoliczkowała go, przy drugim ciosie złapał jej rękę. Miał wielką ochotę ją złamać. Zobaczmy, czego ją nauczyle w Czerwonej Świątyni, pomyślał. Ale dziewczyna nie wyrywała się.

— Chciałbym poznać dokładne terminy. I jakoś połączyć je w czasie z naszą płomienną miłością — chrząknął.

Zaskoczył go własny smutek.

— O czym ty mówisz? — Jej twarz zmieniła się jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Poszłaś ze mną, kiedy ogłoszono, że uczestniczę w Ofierze Kamienia. To było polecenie służbowe?

— Jak śmiesz! — Jej ręka zamarła w powietrzu przed jego twarzą.

Pewne gesty nadają się do jednorazowego użytku, tak samo jak zaufanie. I cnota.

— Kazali ci przesłuchać Szaratangę, więc przy okazji postanowiłaś zbliżyć się do mnie. Proste.

— To nie tak.

— Nieważne. Jeżeli cokolwiek to dla ciebie znaczyło, musisz coś dla

mnie zrobić. Uratuj go. On nic nie wie, przysięgam. To tylko uparty głupiec. Idiota chory na honor. Przestańcie go torturować.

Odwróciła się do niego plecami, które drżały jak wiotka gałązka. Haran nie nabrał się na tę kruchość. Szkoda.

Szkoda, że czas rozkoszy odmierzają nam szybciej niż czas cierpienia.

Szkoda, że gdy tylko przymknie powieki, sen prowadzi go z powrotem do Dołów, w winę, bezsilność i lęk, a przeszłość zasklepi się nad nim i połknie jak żaba muchę.

Szkoda, że kiedy się obudzi, jej już nie będzie.

* * *

Citlali czekała, wyprężona na twardym, niewygodnym krześle. To naczelna cnota każdego z Tysiąca Oczu. Czekać jak drzewo i skała, jak pantera u wodopoju, przy którym igra zwierzyna. Ale trening Oczu nie przewidywał, że agentką przez cały dzień będą targały gwałtowne mdłości. Citlali nie wiedziała, czy się czymś zatrąła, czy może jej ciało w ten sposób reagowało na stres.

Senny staruszek, znany wtajemniczonym jako Chimalpopoka, wpatrywał się w nią z łagodnym wyrzutem.

Po prawej stronie miała Szurukana, zdaniem wielu, najpotężniejszego człowieka w królestwie. Quinatzin zapewne nie zgodziłby się z tą opinią, ale Citlali w rywalizacji tych dwóch polityków nie postawiłaby na młodego monarchę funta kłaków. Szurukan zaskoczył ją. Widziany z bliska i bez rytualnej maski, miał łagodną, zatroskaną twarz krótkowidza, z wypukłym, myślącym czołem i smętnie opadającymi kącikami ust. Twarz współczującą, empatyczną i jakby pokorną. Pasowała raczej do wiejskiego nauczyciela, zaangażowanego w kłopoty uczniów, niż bezwzględnego gracza.

Citlali nie dała się zwieść.

To on wydawał rozkazy wszystkim kapłanom Przymierza. Wpływał na Tysiąc Oczu. Nawet straszliwe Matki służyły mu morderczą magią. Całość podległych kapłanom służb nazywano czasami Zakonem Trojga.

— Ponawiam moje pytanie, agentko Citlali. Czy masz całkowitą pewność, że *ilhalli* generała Szaratangi jest wiarygodne? Czy możemy zaufać ujawnionej przez niego metodzie odczytu mapy? Wreszcie, czy on i jego mocodawcy nie ukryli przed nami czegoś niebezpiecznego?

Citlali powinna była wiedzieć, że zachowuje się głupio. Skwapliwe kiwnięcie głową, wyprężone szczeknięcie służbistki załatwiłyby sprawę. Ale ona bała się, wiedząc, kogo usiłuje oszukać. Szpiega i kapłana; kogoś, kto obróbkę i sprzedaż kłamstwa wzniosł na wyżyny kunsztu.

— Tak — skłamała.

Po lewej stronie szefa powinien siedzieć zastępca Chimalpopoki, Masztla. Powinien, ale grubego szpiega nie było. Zamiast niego w gabinecie zasiadał posepny mężczyzna, wyglądający na kogoś nawykłego do złej pogody, twardych sucharów i jeszcze twardszych decyzji. Do posłuchu i wydawania rozkazów. Pierwszy generał Tizok patrzył na nią z niedowierzaniem, spod którego wyzierał niesmak.

Jego męski, surowy spokój okazał się nader kruchy. Wystarczyło, że Citlali otworzyła usta, żeby granitowa maska rozpadła się w chmurę nienawiści i gęstych kropelek śliny.

— To jakiś stek idiotyzmów! Czytałem twój „raport” i nie podtarłbym nim nawet tyłka! — Generał Armii Północnej błysnął przekrwionymi oczami.

— A konkretnie, panie generale? — poprosiła Citlali uprzejmie.

Tizok plasnął wielką dłonią w blat stołu.

— Opierasz swe kalkulacje na myśleniu życzeniowym i niejasnych szacunkach. Skąd wiesz, cytuję, że „jeniec Szaratanga osiągnął już ostateczny

próg bólu”? Skąd wiesz, że „stracił zdolność mataczenia i ukrywania podstępów”? To jakaś pseudonauka!

— Z całym szacunkiem, generale. Wyrwał mu pan paznokcie? — spytała Citlali cicho. Rosły mężczyzna umilkł i spojrzał na nią spode łba. — Ja wyrwałam mu wszystkie. Stosowałam na Szaratandze tortury powietrza i wody, a także tak zwaną nerkę. Zabieg, podczas którego penis więźnia jest traktowany igłami aż do spowodowania bólu takiego, jak przy wydalaniu kamieni. Spędziłam nad nim dziesiątki godzin. A ponieważ przedtem pracowałam z innymi obiektami, mogę porównywać reakcje.

Nie czuła się dumna, epatując przed tym trepem okrucieństwem. Nie skręcało jej od wewnętrznego chichotu na widok niezdrowego odcienia, jaki przybrała jego ogorzała twarz. Podobno był przyzwoitym facetem.

Jak Haran.

Jednak jej raport zawierał sporo prawdy. Szaratandze rzeczywiście zaaplikowano wszystko, co Tysiąc Oczu miało w ofercie. Każdy normalny człowiek pękłby już tysiąc razy.

Generał ponuro pokręcił głową.

— Zdajesz sobie sprawę, że ten bufon Quinatzin wierzy, że jest wybrańcem bogów, pierwszym kruzańskim królem, który zdołał sforsować Labirynt? Że na podstawie tej nieszczęsnej mapy znów poprowadzi do niego armię?

— Obsesja Quinatzina na punkcie Tlaszkali i Labiryntu jest sprawą powszechnie znaną. Nie ponoszę za nią odpowiedzialności, generale. Wszyscy wiemy, że król znalazłby sposób, żeby kontynuować wojnę. Nawet bez mapy Szaratangi — powiedziała Citlali chłodno.

— A co, jeśli jego *ilhalli* ma nas zmylić? I nagle, w samym środku Labiryntu, okaże się, że droga się kończy, a nas otaczają wrogowie? Skąd możesz mieć pewność, że on nie kłamie?

— Zrobiłam, co mogłam. Przypominam panu generałowi, że król pragnie ujrzeć jeńca Szaratangę na arenie. Żwawego, a nie jako zwłoki.

— Władcy często postępują jak dzieci, kierując się... trywialnymi względami. Schlebiają tłumom i własnej ambicji. Ich decyzji nie można przewidzieć. A Quinatzin to najgorszy szkodnik na tronie od czasu nieszczęsnego Montezumy. Nie kieruje się troską o instytucje, procedury i państwo, lecz własną pychą. Dlatego Tysiąc Oczu odpowiadają przede mną — wtrącił się Szurukan.

Citlali wierciła się na krześle. Nie patrzyła na swoją pracę w ten sposób. Dla niej Tysiąc Oczu zajmowało się ochroną państwa, a nie ratowaniem tłustych kapłańskich tyłków. Czuła się jak ziarno kukurydzy, które utkwilo między kamieniami młyńskimi.

Gra między Świątynią a Tronem była tematem, którego rozsądny człowiek nie tykał. Większość nie ważyła się o tym nawet myśleć. Obrzucanie monarchy epitetami zakrawało na zdradę stanu. Za coś takiego można stracić głowę. Oczywiście, nie groziło to Szurukanowi ani jej zwierzchnikowi. Jeśli już, to po stopniach potoczy się jej głowa. Czyżby miała się stać kozłem ofiarnym? Szefowie kochają skazywać poddanych za własne błędy.

Nabrała powietrza i spojrzała w czarne, matowe oczy kapłana, oczy nieujawniające emocji i myśli. I poczuła się jak mysz, która usiłuje zahipnotyzować grzechotnika.

— Pamiętaj, komu służysz, agentko Citlali — szepnął Szurukan. Jego spojrzenie stwardniało. — Nam nie chodzi o raport i procedury. Musimy wiedzieć, czy jesteś naprawdę pewna swoich końcowych wniosków. Czy bierzesz za nie odpowiedzialność.

— Nic się w tej kwestii nie zmieniło, panie. Nie widzę potrzeby dalszych tortur — powiedziała sucho. — Nie mam nic więcej do powiedzenia.

— Ciekawe, czy przeszłaby próbę noża — mruknął Tizok.

Citlali wzdrygnęła się. Ale senny staruszek, który wyglądał na zatopionego w marzeniach o ciepłym kleiku i pledzie, zachnął się.

— Twoja podejrzliwość, Tizoku, to jeszcze nie dowód zdrady. Nie torturuję własnych ludzi bez potrzeby, choć nie ukrywam, że też jestem rozczarowany tym raportem. Daje on Quinatzinowi wolną rękę.

— Czy mogę już wrócić do pracy? — Citlali skłoniła się z szacunkiem. Wiedziała, że właśnie otrzymała od Chimalpopoki naganę. Pytanie, jakie będą jej konsekwencje.

Senny staruszek popatrzył przez nią na wskroś z lekkim niesmakiem, jakby była zepsutym powietrzem.

— Dajmy młodej Citlali trochę czasu. Jeżeli okaże się przydatna i coś sobie przypomni, jakieś przeoczone szczegóły, wróci do czynnej służby. Na razie wysyłam ją na przymusowe wakacje.

* * *

Minął tydzień. Haran odwiedził Morosa i przekonał się, że rany na twarzy przyjaciela zdążyły się pokryć strupami i najwyraźniej nikt nie próbuje zostawić na jego skórze nowych śladów. Mógł nawet samodzielnie utrzymać miskę w zagojonych, wciąż opuchniętych palcach.

Od czasu, kiedy poprosił ją o ocalenie Morosa, Citlali nie dawała znaku życia. Haran już zaczynał się o nią martwić, ale dzisiaj dostał wiadomość z prośbą o spotkanie. Kiedy pojawił się w gospodzie, powitała go w prostej sukience, jaką młode dziewczyny zakładają do ślubu. Włosy miała skromnie upięte, z twarzy zniknął wyzywający makijaż w kolorze żółtawej ochry. Uśmiechnęła się słodko i Haran zorientował się, że jej zęby są dzisiaj białe, choć tollańskie elegantki nie ruszały się z domu bez czerwonego barwnika. Pachniała pokorą i uległością.

Zmieniła fryzurę. Postrzępione końce krótko przyciętych włosów sięgały połowy policzków i ocieniały twarz. Zniknęła wyjściowa peruka. Już dawno zorientował się, że kiedy Citlali nie pracuje, ubiera się skromniej i bardziej prostolinijnie niż inne młode dziewczyny. Jakby chciała wyrównać proporcje, odreagować nużący ją obowiązkowy blichtr.

Rozejrzał się po pokoju, wdychając w nozdrza zapach tortilli i pasty z fasoli i pomidorów. Popatrzył na nią, zdumiony. Spuściła rzęsy w sposób, którego powinni zakazać.

— Witaj w domu — szepnęła. — O to ci chodziło? Żeby przestała być podstępny szpiegiem i zmieniła się w kochaną, domową gąskę?

— Co się stało? — wybełkotał zdumiony.

— Nic. Zamknęłam swoje zadanie, uspokoiliam górę. Przekazałam więźnia strażnikom Quinatzina. Tego przecież chciałeś?

— Nie będą go torturować? — upewnił się, dziękując bogom.

Spojrzała gniewnie.

— Twój wielki występ w czasie święta może się odbyć bez przeszkód. Moi przełożeni uwierzyli, że Szaratanga nic nie ukrywa i niczego nie wie.

— Bo nie wie. Co mógłby przed nami kryć? Wiemy o Tlaskali wszystko.

— Prawie wszystko. Jest jeszcze Labirynt, zapomniałeś? W każdym razie zwierzchnicy są ze mnie niezadowoleni, ale to przecież nieważne. Kobieta żyje dla swego mężczyzny, prawda? A że wysłali mnie na wakacje, po których wrócę do pałacu jako nikomu niepotrzebna dworska dziewczka? Której nikt nawet nie weźmie za żonę, bo będzie się obawiać otrucia. Kto by się tym martwił. — Citlali podniosła głos, który nagle się załamał.

Haran poczuł się podle. Objął ją niezdarnie, zastanawiając się, czym tym razem, do diabła, zawinił.

— Ale teraz kazali mi odpocząć. Odsunęli mnie od zadań. Przez ciebie,

skurwysynu — zakłęła, bijąc go drobnymi pięściami.

Jej trening zrobił swoje, ciosy bolały. Haran zasłonił się gardą i delikatnie podciął jej nogi, popychając dziewczynę na łóżko.

— Atmosfera się oczyściła. Nie mam do ciebie żalu — wysapał.

— Żalu? Powinieneś mi dziękować, sukinsynu! Pokaż, że ci zależy. Że jesteś mi wdzięczny, do diabła! Ocaliłam twojego przyjaciela. I to kogo? Przeklętego Termita!

Haran wpatrywał się w nią w milczeniu. Czuł, że to jeden z **tych momentów**. Teraz mógł wszystko naprawić... lub zniszczyć.

Po chwili odwrócił się i zaczął mówić, patrząc gdzieś w przestrzeń. Słowa wypływały jak krwotok:

— Gdy miałem dziesięć lat, ojciec sprzedał mnie handlarzom niewolników. To nie była tylko jego wina, muszę być sprawiedliwy. Namówiła go matka. Harowałem w kopalni smaru, dziesięć lat. Wiesz, co sobie pomyślałem, gdy te bydlaki założyły mi już kajdany?

— No? — Citlali podparła głowę na łokciu i spojrzała na niego z wyzwaniem w oczach.

— Zaufać to jak stawać do bitwy bez zbroi, z rękami skrępowanymi na plecach. Postanowiłem, że już nigdy, ale to nigdy nie będę za nikim płakać. Nikomu nie zaufam. Nikt nie uczyni mnie bezsilnym. Gdy cię poznałem, zapomniałem o starych zasadach. Ale wiesz co?

— Nie wiem. Oświeć mnie — powiedziała chłodno, a sekundy zawisły między nimi jak wstrzymane na moment ostrze.

Haran zawahał się, przełknął ślinę. Nie był dzieckiem i wiedział, że czasem najlepiej jest milczeć. Ale odezwał się.

— Nie zrobię dla ciebie wyjątku.

Rozdział 5

Zapomnijmy o zbryzganych krwią stopniach piramid. Zapomnijmy o ślizgających się, odurzonych jeńcach i ich parujących sercach, unoszonych przez wyjących kapłanów jak dymiące kadzidło. Zbyt łatwo upajamy się kolorytem i powabem egzotyki. Zszokowani i uwiedzeni, zapominamy o duchowym sednie tamtej odległej kultury.

Kruzowie byli ogrodnikami. Postrzegali wszechświat jako delikatną i drogocenną sadzonkę. A że do jej podlewania pragnęli krwi? Zapotrzebowanie na ten mistyczny surowiec, tę karmę bogów, nie było dziwniejsze niż nasze uzależnienie od wskaźników produkcji i wszechobecnych ekranów migoczących pikselowym mirażem. Może nie przelewamy już krwi, celebруемy za to kult długów, kredytów i kursów walut, obliczanych w kapłańskich kolegiach, których akolici zamiast obsydianowym nożem i jadeitowym kolcem posługują się krwawą magią liczb, odczytując z ich układów naszą niepewną przyszłość. Nie my jedni uwierzyliśmy w kredyt i produkcję przemysłową. Kruzowie przez całe życie spłacali dług zaciągnięty u bogów. Ich miasta były ezoterycznymi fabrykami, w których ludzka krew, zwana Drogocenną Wodą, bulgotała, podtrzymując maszynierię świata. I musiała bulgotać stale, nie mogło jej nigdy zabraknąć.

Calahait z Trzeciego Przymierza,

Kruzowie. Historia Ducha

Podniosły dzień Szaratangi nadciągał wielkimi krokami. Od trzech dni

nie bito go ani nie przesłuchiowano. Był prawie pewny, że nie zdradził kapłanom niczego, co pokrzyżowałyby tajny plan Kretów i Rady Grani. Chyba mu się udało... jak na razie.

Rano dostał pożywną papkę z fasoli i mięsa, którą pochłonął z łapczywym, upokarzającym wysiłkiem, ucząc się zastępować stracone w katowni zęby poranionymi dziąsłami. Nie był pewien, czy równie łatwo zastąpi odbite w śledztwie nerki, wątrobę i śledzionę, ale i tak czuł się zadowolony. Nie martwił się utratą paznokci, a dziewczyna, która nad nim pracowała, okazała się na tyle miła, że nie zgruchotała mu kostek w palcach. Da radę trzymać broń, zwłaszcza że opuchlizna szybko schodziła.

Podczas przesłuchań mamrotał te same zdania. Jest generałem Tlaszkali. *Ilhalli* dostał po zaprzysiężeniu. Nie wie nic o żadnych planach. Tylko tyle; jak ochrypla papuga z ubogim repertuarem. Obawiał się, czy nie podsunął im jakichś wskazówek. Mógł stracić przytomność, podawali mu też narkotyki. Jednak to, że tortury ustały, wskazywało, że kruzańscy kapłani mu uwierzyli... jeżeli te cyniczne sukinsyny są zdolne uwierzyć w cokolwiek.

Wieczorem długowłosi kapłani wyprowadzili go z lochów do obrzędowej sadzawki, w której myto posągi bóstw. Oczyszczili go z brudu i krwi, z włosów wyczesali robactwo. Potem starannie pomalowali jego wynędzniałe ciało białą farbą, symbolizującą Przejście do Świata Bogów. Następnie nanieśli na to niewinne tło znaki ze świętej czerwonej ochry. Była to potężna, prastara magia, pamiętająca czasy jaskiń, śnieżnych równin i oblodzonych cieśnin, ale nie zrobiła większego wrażenia na Szaratandze, który wiedział, że Śmierć upodobała go sobie dawno temu. Czuł się w rękach kapłanów jak lalka, ubierana przez posepne, skrzywione dzieci, milczące i cuchnące krwią.

Jakby tego było mało, przenieśli go do nowego, przewiewnego lokum, pięknej klatki na Placu Widowisk. Wisiała na haku, poruszana wiatrem, a czasem szturchana i bujana przez gapiów. Po raz pierwszy od dwóch

miesiący zobaczył niebo, ale starał się nie przyzwyczajać do tego widoku.

Pierwszego dnia spokój Szara dotkliwie zakłócał herold, godzinami wyrzaskujący opowieści o zbrodniczych czynach Lwa Labiryntu, o chwale jego łowcy, dzielnego Harana, i o wielkości Quinatzina. Za sąsiadów miał podobnych mu, pomalowanych gladiatorów.

Tłumy próżniaków oglądały ich i kłóciły się o to, kto wypadnie najlepiej. Bukmacherzy przyjmowali zakłady. Zdziwił się, że wielu typuje go na zwycięzcę. Czyli tego, który najładniej umrze.

Dobrze, że ci głupcy nie wiedzą, w jakim stanie są jego kolana, pomyślał, wyciągając się w klatce. Był jednak dziwnie spokojny. Zostało mu kilka dni życia i powinien je przeżyć godnie. To samo mogli rzec sobie wszyscy śmiertelni, on jednak znał już konkretne terminy. Liczyło się powodzenie wyznaczonej mu misji. Po tym, jak zawiódł jego własny plan pojmania Quinatzina, musiał zrealizować koncepcję Rady Grani. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Najważniejsze to nie wzbudzać podejrzeń Kruzów, dbać, by trwali upojeni sukcesem. Wiedział, że nie wszyscy wrogowie są tak popędliwi i zadufani jak *tlatoani*, który zbyt długo śnił o zwycięstwie, żeby teraz zastanawiać się nad swoimi czynami.

Na szczęście tortury i przesłuchania ustały, nim zdołali go złamać. A było już blisko, zwłaszcza gdy panienka z Tysiąca Oczu zabrała się do nakłuwania nerwów. Szaratanga czuł, że zawdzięcza tę odwilż Haranowi, który – zgodnie ze świętym zwyczajem – odwiedzał go teraz codziennie. Przystawał przed klatką i rozmawiał z nim, usiłując „wejść w jego skórę”. Czasami po prostu razem milczeli, a raz nawet napili się *pulque*. Chodziło o to, że w mistycznym sensie na arenie obaj mieli wyzionać ducha, choć w przypadku Szara dojdzie do tego także znaczenie potoczne. Podobno wojowników, których jeńcy zginęli na arenie, uważano za powracających z krainy śmierci, a niektórym bardzo realnie odbiło. Nic dziwnego, że wielki

Druazzi był teraz tak markotny.

Nie spierali się już, wspominali tylko lata spędzone w Dołach, starych wrogów i martwych przyjaciół. Szar wiedział, że właśnie pobyt w kopalniach Turkusowej Włóczni wykształcił w nim nowe zmysły. To tam stał się Lwem Labiryntu i to tam postradał duszę. Patrząc na milczącego, udęczonego Harana, czuł dla niego coraz większą litość.

Życie chłopaka dopiero się zaczęło, a już zostało strzaskane i wywrócone. Zwykle ludzie trafiają do piekła po śmierci, ukarani za ziemskie grzechy. W ich przypadku, odwrotnie, odbywali swą karę już na ziemi. Nadchodząca ceremonia nie była dla Szaratangi tajemnicą, przez lata gromadził wiadomości o wrogach swojego kraju. Uroczystości ku czci Xipe Toteca, Naszego Pana Obdartego Ze Skóry, zawsze odbywały się wiosną. To czas zasiewów i nowego życia, które – niczym wąż zrzucający łuskę – odradza się w bólu i krwi. Xipe Totec patronował też ludziom wojny, utożsamiany z niektórymi aspektami Tezcatlipoki.

Znaczenie Ofiary Kamienia nie wynikało z rozmachu, ceremonie ku czci Huitzilopochtli czy Tlaloca przewyższały je skalą. Szar nie widział nigdy podobnych okropności na własne oczy, ale pamiętał, jak jego ojciec, poseł, powrócił z wizyty dyplomatycznej do ojca obecnego *tlatoaniego*, Azgatlina. Działo się to podczas jednego z krótkich okresów „ocieplenia stosunków”. Biedak nie potrafił zamilknąć i godzinami opowiadał przerażonej rodzinie, co tam widział. Każdy oglądał kiedyś torturowanie jeńców, to rzecz najzwyczajniejsza pod słońcem, choć akurat w Tlaskali praktykowana z umiarem.

A rozmach kruzańskich spektakli porażał.

Podczas niektórych państwowych uroczystości tysiące jeńców oddawało życie na szczytach piramid, a stopnie świątyń zmieniały się w rwące czerwone potoki. Popis imperialnego narcyzmu i „działań wizerunkowych”

Przymierza. Spektaklom przyglądali się posłowie z ujarzmionych krain Totonaków, Zapoteków i Tarasków, którzy przynosili potem do swoich miast wstrząsające, nieprawdopodobne relacje, będące ponurą przestrogą.

Nie drażnijcie nas. Nie warto.

Dzień Xipe Toteca był bardziej intymny, bliższy temu, co mniej krwiożercze narody zwykły nazywać sztuką. Zwłaszcza dla wojowników.

Dramat jeńca, który prędzej czy później musiał przegrać swoją walkę, wyrażał cały patos i tragizm ich żołnierskiego rzemiosła. Drogi Wojowników. Nawet największy mistrz miecza się starzeje, każdy dzień zmagania przybliża go do technicznej doskonałości i zarazem ograbia z cennych sił witalnych. Mimo to chwała występu przed całym plemieniem, demonstracja odwagi, biegłości i szczęścia stanowiły wystarczające zadośćuczynienie. Kruzowie żyli dla tego pawiego splendoru, celem każdego wojownika było wybicie się ponad tłum, przyciągnięcie uwagi bogów. Kochali igrzyska.

Szaratanga kontemplował świąteczny nastrój z wysokości swej klatki. Z trudem powstrzymywał się od zjadania wszystkiego, czym częstowali go ludzie. Dobrze, że nie szturchali go patykami, był teraz wybrańcem bogów, smakowitym kąskiem. On sam czuł się jak bohater bajki, tuczony przez głodną wiedźmę. Dzisiaj dali mu tłustą gęsinę, czarną fasolę i smażone placki. Jedzenie przednie, ale nie podobał mu się wzrok klechów, obmacujących jego ramiona i uda.

Nieopodal, na specjalnych żerdziach, gniły głowy gwiazd poprzedniego sezonu. Kilku wynędzniałych żebraków biło się o ochłapy ludzkiego mięsa, ciskane przez miłosiernych kapłanów.

Wszystko kończy się smrodem padliny, pomyślał, przypominając sobie senny wieczór, gdy przyszedł po niego Pa'uk.

Musi w tym być jakaś prawda, w końcu całe życie karmił sępy.

W Dołach sępy zastąpiły szczury i... Zjadacze. Na samą myśl o tych wędrujących pod skórą świata stworzeniach, mrocznym, nieznanym świerzbie, poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Demonów przybywało, widział to na własne oczy. Może naprawdę Cykl Prawdziwych Ludzi przemija, tak jak minął kiedyś Cykl Białoskórych. Nadciąga kolejne Słońce. Białoskórym nie pomogły ich wynalazki i broń, nawet chciwość, potężna, choć krótkowzroczna.

Teraz światu zagrażali Zjadacze. Quinatzin sprzymierzył się z nimi, jako pierwszy król poprosił o pomoc Tezmatti Innexa'ia, Nienależących Do Ludzi. Szar czuł, że ten bluźnierczy precedens przyniesie ponure żniwo. Modlił się, żeby Ostatni Plan, czymkolwiek naprawdę był, wypalił, żeby jakiś inny element nie zawiódł. Tylko to się liczyło. Zapomniał nawet o tym, jak Leyre i Pa'uk go zdradzili. Choć nigdy nie poznał szczegółów, wyczuwał kierunek zastawionej na niego pułapki. Zdobyta na Lwie Labiryntu fałszywa mapa *ilhalli*, wyryta na jego dłoni, uśpi czujność Kruzów i będzie dla nich pocałunkiem śmierci. Szaratanga zachował swój sekret. Wykonał plan i teraz musiał już tylko umrzeć. Dziękował bogom, że tortury ustały, nim Kruzowie wydarli z niego prawdę. Czuł, że wkrótce zacząłby mówić, dotarł bowiem do granic wytrzymałości i hartu ducha.

Ostatniego dnia pościł. Nie chciał być ociążony podczas pojedynków albo narobić pod siebie, gdy kruzańskie psy tryumfalnie wyprują mu flaki. Wiedział, że jego śmierć będzie oglądana przez tysiące wrogów, i miał ambicje, by dobrze ją wspomniano.

* * *

Gdy przyszli po niego strażnicy, Szaratanga posłał ostatnie myśli do Enishy i dzieci. Płatały mu się, podobnie jak nogi, bo kapłani napoili go halucynogennym naparem o mocnym grzybowym smaku. Na szczęście Szar

znał dobrze działanie tego specyfiku, zwanego Ciałem Bogów. Wypicie wywaru z *teonanacatl* sprawiało, że bogowie mówili prosto do serca człowieka. Grzyby te znały ludy Tarasków, Otomi, Zapoteków i Misztlá, Druazzi, Kruzowie i inni. Nazywali je Erupcjami Ziemi, Dziećmi Wody oraz Naszymi Władcami, Grzybami Świata.

W dzisiejszych skarłałych czasach ludzie bali się grzybowych głosów. Wielu wolałoby zginąć, niż dobrowolnie skosztować wywaru. Szaratanga cenil i szanował te święte rośliny. W Tlaskali spożywano je na czczo, popijając najwyżej gorzką czekoladą. Same grzyby czasami mieszano z miodem. Początek rytuału obwieszczano, dmąc w konchy. Potem zaczynały się tańce.

Szar pamiętał zmęczonych tancerzy, którzy wracali do domów, kołysali się, mrużąc, a w mroku ledwo co rozświetlonej paleniskiem izby gasły echa już okiełznanych wizji. Gdy wrócił z ostatniej kampanii, zakończonej hekatombą Doliny Czarnego Psa, z powodzeniem kurował tak duszę. Grzyby pomogły mu też uporać się z makabrycznymi wspomnieniami, które wyniósł z Dołów. Kto jak kto, ale on nie stanie się z ich powodu bezwolną ofiarą. Chyba że kruzański eliksir zawierał też inne osłabiające substancje.

Przypomniał sobie, że kruzańskich kapłanów nazywano czasem Pasterzami Ludzi. W małych dawkach *teonanacatl*, zwłaszcza pod koniec działania, zsyłały głęboki spokój i pogodzenie się z losem. Bezcenne, gdy trzeba zapędzić na śmierć tysiące skazańców.

Strażnicy poprowadzili go ciemnym tunelem na arenę skapaną w słońcu i krwi. Szaratanga szedł, utykając, przed oczami tańczyły mu barwne grzybowe smugi. Poruszył dłonią, ruch ręki zostawił w powietrzu ślad. Buczenie tłumu deformowało mu się w uszach, wzmagane i zniekształcane narkotycznym działaniem napoju.

Pośrodku rozległej areny stała śliska, czerwona platforma o owalnym

kształcie. Wyrzeźbiona z jednego kawałka skały, zdobiona w święte inskrypcje, była jednocześnie boiskiem i ołtarzem. Zaopatrzone w kamienne stopnie podwyższenie zapewniało dobrą widoczność widzom, a także pewną przewagę broniącym się na niej jeńcom. Wokół niej stali przypominający upiorne ptaszyska kapłani w czarnych, powłóczystych szatach, ze zlepionymi w strąki, długimi włosami unurzanyymi we krwi.

Obok rozgrzewali się wyłonieni do walk wojownicy Kruzów, nagrodzeni w ten sposób za męstwo i wojenne zasługi. Byli tam także śmiałkowie, którzy pojмали jeńców, lecz nie brali bezpośredniego udziału w pojedynkach, przeżywając je tylko w ramach swoistej komunii z gladiatorami. Lew Labiryntu zobaczył ich ociekające czerwienią szaty i splunął, z trudem hamując mdłości. Na szczęście żołądek miał pusty jak łeb generała Osappo.

Innych więźniów na razie nie widział i przyszło mu do głowy, że jego walka jest zapewne gwoździem programu. Wokół, na spiętrzonych, rozległych trybunach, falował jak morze gwarny, spragniony wrażeń motłoch.

Tłum powstał i zaintonował modlitwę:

Błogosław nam, Głodne Słońce, bo damy ci tych oto jeńców.

I będziesz ich miało pod ręką, jak gorące placki prosto z pieca, gotowych, gdy tylko poczujesz głód.

I przyjmiesz ich chalchihuatl, życiodajną energię ich krwi.

Nasycisz się, pozostaniesz na niebie.

Szaratanga mrugał, przyzwyczajając źrenice do światła. Poprawił bawełnianą przepaskę biodrową i czerwony płaszcz, uspokoił oddech. Halucynacje na szczęście ustały, będzie mógł walczyć.

Nagle dostrzegł przed sobą Harana.

Barbarzyńca ubrany był w taki sam strój, co symbolizowało mistyczną jedność łowcy i jego ofiary. Jako jedyny z wojowników nie włożył jeszcze

skóry swojego jeńca. Szar splunął i zamachnął się prostą drewnianą pałką, którą podał mu tłusty kapłan Obdartego Boga.

Strach opadł z niego jak łuska cebuli, zatopiony nagłym pragnieniem psoty.

Coś podobnego czasami przydarza się w snach. Budzisz się i zarazem nie budzisz, ale już wiesz, że sceneria, która cię otacza, jest tylko urojoną dekoracją, tanim majakiem z dykty. To tylko sen. Możesz się wtedy zerwać i zrobić, co zechcesz, nieskrępowany moralnością makiety. Wzbić się do lotu z głównej piramidy miasta albo przelecieć kapłankę Bogini Czystości na jej własnym dziewiczym ołtarzu.

Wchodząc na podest, czuł się lekki jak kaczy puch. Pozwolił się przywiązać do kamiennego szpikulca pośrodku platformy, od którego wzięła się potoczna nazwa obrzędu, Ofiara Kamienia. Krótka, wzmacniana lina, długości mniej więcej dwóch strzał, miała za zadanie uniemożliwić tchórzom ucieczkę i unikanie walki. Wraz z podwyższeniem wyznaczała kolisty obszar starcia.

Buczenie i gwizdy imperialnego motłochu kołysały Szara jak bełkotliwa gęźba rzeki, niebo nad głową czekało jasne i wolne niczym pustka, która nagle rozkwitła mu w sercu, wymiatając z niego gniew, przywiązanie i strach.

Zrobił, co należało, wreszcie mógł to powiedzieć. Pochodził z dzielnego plemienia, które nigdy nie poddało się gnuśności i grozie. Uczynił dla swoich braci wszystko, co tylko mógł. Nawet sfatygowane kolana przestały go boleć. Może to naprawdę był sen.

Szaratanga roześmiał się i rozpostarł ramiona. Tłum gapił się nań w oburzonym zdumieniu, a on w góralskim geście pokazał, że ich serdecznie pierdoli.

— Tlaskala! Tlaskala! — krzyknął. Odpowiedział mu gniewny

pomruk, ale gdzieś z głębi lochów, gdzie trzymano jeńców wojennych, rozległo się wtórujące echo:

— Tlaskala! Wolna Tlaskala!

Pierwszy Kruz ruszył po schodach z głową wtuloną w ramiona, osłonięty trzymaną wysoko tarczą. Był młody, silny i zdrowy, perfekcyjna maszynka natury. Nazywali go Cztery Dziki, podobno samotnie rozprawił się kiedyś z watahą tych groźnych zwierząt. Nie walczył ćwiczebnym kijem, lecz ostrym mieczem, a jego wytrenowane ciało chroniła najlepsza zbroja. Wydawało się, że Szaratanga nie ma szans.

Zamarkował cios pałką, ruchem tak szybkim, że widział ciągnące się za bronią smugi, powidok wywołany przez grzyby.

Wbrew przewidywaniom kapłanów, *psilocibe* stanęły po stronie Szara. To jego czas się rozszerzył. Wróg uderzył, a on przykucnął i wsłuchał się w świst miecza, tnącego powietrze nad jego głową. Potem kopnął fechtmistrza w nos, co ułatwiła różnica wysokości, na której stali. Kruz wypuścił tarczę i miecz, a Szar znalazł się za jego plecami i płynnym ruchem zgruchotał tamtemu kark.

Punkt dla Tlaskali.

Drugi przeciwnik był ostrożniejszy, wyraźnie stremowany hańbą poprzednika. Jego imię często padało na placu, był to doświadczony weteran imieniem Manazatl. Obchodził Szara i zadawał mu płytkie cięcia w kończyny. Chodziło o nacinanie skóry, docelowo jeniec miał przed śmiercią zostać skąpany we własnej krwi. Szaratanga zadrżał. Grzyby zesłały na niego jakąś proroczą jasność, przenikał ośnowę rzeczy.

Wszystko nabrało dziwnego, dodatkowego sensu: czy to gra chmur na niebie, czy falujący szum ludzkiego morza. Celem działania naporu było osłabienie woli, pogodzenie z nieuchronnym końcem. Ale Szar nie patrzył teraz w niebo i nie wyglądał bogów. Skupił się na grze mięśni i czytał

w przeciwniku jak w księdze.

Złapał miecz tamtego, odchylił ostrze i uderzył go łokciem w skroń. Mężczyzna osunął się na kolana. Wystarczyło kopnięcie, żeby zmieść go z platformy jak śmiecia. Tłum zastygł, nie tego oczekiwali dumni zdobywcy świata. Jeniec miał walczyć mężnie, wtedy ofiara zyskiwała na znaczeniu. Nie powinien jednak upokarzać najlepszych szermierzy Przymierza. To zakrawało na skandal, gorzej, na bluźnierstwo. Owszem, zdarzało się, że zmagania się przeciągały. Kruzańscy mistrzowie mieli zamęczyć jeńca, a nie dać się zabić. Szaratanga zaś urządził im pogrom. Tłum szemrał coraz głośniej. Nic takiego nie powinno się zdarzyć.

Szaratandze został już tylko jeden przeciwnik. Trzeci szermierz lustrował go beznamiętnie. Potężny, jakby pozbawiony szyi, mała głowa dosłownie tonęła mu w rozrośniętych barkach.

Płaska twarz przypominała kamień obmyty przez rzeczny nurt. Ruszył na więźnia, zadając potężne ciosy, od których Szarowi od razu omdlały ręce. Tracił siły; kłaniał się brak posiłków i tortury. Mimo to odbijał ciosy lepszej broni atakującego i znaczył jego kosztowną zbroję śladami uderzeń.

Wydawało się, że wróg nie jest człowiekiem. Zazwyczaj mężczyźni o takiej posturze byli niżsi od wysokiego Szaratangi. Ten krępy stwór przewyższał go wzrostem i siłą. Mdłym, tłustym smrodem przypominał mu łowców z podziemi, znienawidzonych Zjadaczy.

Lew Labiryntu zdał sobie sprawę, że może i powinien już zginąć. Zrobił, co należało, nie pozwolił się złamać i zachował do końca sekret ich planu. Dalsze powodzenie misji zależało już tylko od bogów, jego życie dobiegało zaś końca.

Teraz jednak nie bardzo mógł podejmować decyzje. Zawładnęła nim przebudzona energia walki.

Krużański gigant walczył dobrze, bardzo dobrze, ale trafiony pod

kolanem, zachwiał się, a Szar poszedł za ciosem, uderzył go barkiem. Patrzył teraz, jak wojownik gramoli się, upokorzony i wściekły. Nazywano go Głazem, gdyż słynął z umiejętności trzymania gęby na kłódkę. W zamierzonych czasach Kruzowie celowali w tej sztuce, gdy jako wolni wojownicy-wygnańcy przemierzali północne pustynie pod znakami obszarpanych bogów.

Szaratanga przypomniał sobie, że słyszał jego imię podczas przyjmowania zakładów na placu. Głaz słynął z tego, że w walce i przed nią nie przechwalał się, nie miotał na wrogów obelg i nigdy się nie skarżył, nie lamentował. Teraz podrygiwał jak szaman pod koniec obrzędu, a z jego ust wydobywał się chrapliwy stek przekleństw. Publiczność wiedziała już, że na arenie dzieje się coś wyjątkowego. Wściekły Quinatzin szeptał coś do Pierwszego Kapłana, który gestykulował bezradnie. Generał Tizok uśmiechał się kwaśno, wsłuchany w buczenie tłumu. Wyłapywał w nim ton zagubienia. Nie tego się spodziewali. Starcia podczas Ofiary Kamienia miały być zacięte i widowiskowe, czasem wyrównane. Ale zawsze powinni wygrywać Kruzowie.

I to na tyle, jeśli chodzi o wyższość kruzańskiego oręża i podnoszenie morale. *Tlatoani* nie odniósł chyba tryumfu, jaki sobie wymarzył, choć zapisze swe imię w annałach Ofiary Kamienia, zwanej też Dniem Obdzierania Ludzi. Pyszny głupiec sam wpakował się w sidła. Młody król wyłapał spojrzenie więźnia i przywołał na twarz wymuszony uśmiech.

— Nie przejmuj się, godny wrogu — powiedział głośno, żeby jeniec go usłyszał. — Pogrom tamtych tylko podniósł stawkę. Najlepszego z Kruzów zostawiłem dla ciebie na koniec.

Czwarty szermierz rozgrzewał się metodycznie, rozciągając mięśnie i ścięgna. Tłum zagrzewał go okrzykami pełnymi prawdziwego uwielbienia. Był to Szary Czapla, wysoki, chudy wojownik, któremu odwaga i skromność

zaskarbiły miłość wszystkich mieszkańców Tollan. O jego czynach opowiadano legendy, w pewnym sensie był kruzańskim odpowiednikiem Szara. Ostatnio wsławił się obroną zagrożonej przełęczy w górach Wielkiego Tikal. Dzięki poświęceniu jego oddziału królewska armia nie została oskrzydłona w trudnym górskim terenie. Mówiono, że podczas potyczki Czapla usypał mur z ciał towarzyszy i przez trzy dni bronił się, jedząc ich mięso. Szaratanga darzył go za to szacunkiem.

Już po pierwszym złożeniu wiedział, że Czapla, jak każdy wybitny szermierz, jest nie tylko biegłym technikiem, lecz także wizjonerem, który w walce wyprzedza i zagina czas. Nie trzymał się schematów, wymieniał techniki, koncepcje i style. Szermierka pojedynkowa wymaga zręczności, wytrzymałości i siły, ale tak naprawdę jest pojedynkiem umysłów. Szaratanga dwoił się i troił, ale Czapla miał nad nim przewagę. Może Lew Labiryntu mógłby zmierzyć się z nim w swoich najlepszych latach, ale teraz, ze zniszczonymi kolanami, które niedawno poddane zostały torturom, wyraźnie odstawał.

Czapla wyczuł to i celowo zwolnił, postanowiwszy dać publiczności widowisko, na jakie czekała. Obchodził Tlaszkanina jak kocur, raz po raz tnąc jego skórę i przedłużając rozkoszny dreszcz łowów, tak ukochany przez widzów. Wielu, w tym Quinatzin, odetchnęło z ulgą. Szara Czapla wreszcie przywrócił Kruzom godność.

* * *

Haran przyglądał się zmaganiom Morosa z szeroko otwartymi oczyma. Stał nieruchomo jak totem, z ramionami dostojnie splecionymi na piersi. Ale ani to, ani zaciśnięte kurczowo szczęki nie przyniosły mu spokoju.

Jego rola w ceremonii była dziwna i tak też się czuł, a wywar z grzybów na pewno zrobił swoje. Ogłuszał go ryk tłumów, morski szmer, oszołamiały

fale ludzkiej ciżby. Mdlilo go od smrodu wyziewów, ale przed wszystkim cierpiał na widok walczącego i broczącego krwią Morosa.

Wiedział, że to rytualna egzekucja, która może mieć tylko jedno zakończenie. Mimo to instynkt nakazywał mu włączyć się do walki. W końcu, na Ołtarz i Krew, to jego jeniec! Czuł się w jakiś sposób ograbiony.

Nie, żeby chciał zabić Morosa, choć mieli rachunki do wyrównania. Ale skoro jego dawny druh i tak ma wyzionąć ducha, to dlaczego on, Haran, nie może go zabić czysto i bezboleśnie? Kruzowie zapatrywali się na to jednak inaczej. Woleli dręczyć Morosa bez końca, obdzierać go żywcem ze skóry. Druazzi też tak robili, obdzieranie ze skóry było zwyczajną rzeczą, lecz te psy nie pozwoliły mu przecież walczyć!

Święty napitek zaczynał działać. Przy każdym ciosie, jaki zadawał albo otrzymywał Szar, Harana przeszywał ból. Jakby zostali czymś połączeni. Jakby dzielili umysł i ciało. Czuł strach, znużenie, ekscytację, radość i gniew. Uczucia, które nie należały do niego. To było niesamowite i Haran z trudem zachowywał nieporuszoną postawę na oczach tysięcy widzów.

Już wiedział, dlaczego nie pozwolili mu walczyć. Kruzańskie zaklęcia działały, między nim a jego jeńcem naprawdę zadzierzgiwała się więź.

* * *

Lew Labiryntu wyglądał jak upiór, trup wypełzły z jatki. Cóż, właśnie na tym polegał Dzień Obdzierania ze Skóry, pomyślał i sam zdarł z czoła szeroki płat tkanki, który utrudniał widzenie. Ból prawie odebrał mu rozum, a Czapla wznosił się nad nim niczym złośliwy, nieustępliwy demon, który zabija konających, by zawlec ich ścierwo do piekieł. Czy miał gdzieś swój słaby punkt?

Szar zwrócił uwagę na jego kroki. Czapla obchodził go, zataczając kręgi,

skupiony już bardziej na reakcji publiczności niż walce. Szaratanga nie ruszał się. Znał scenariusz kruzańskich kaźni. Ceremoniał przewidywał, że wykrwawi się w końcu łagodnie, a zwycięzcom pozostanie już tylko pozyskanie jego skóry na szatę dla kruzańskiego herosa. Czapla robił to tyle razy, że chyba rutyna uspiła jego czujność. Znana z przeszłości sekwencja zdarzeń nie zakładała gwałtownego skoku ofiary, która raptem znalazła się tuż koło niego, z bronią zmierzającą ku jego skroni.

Mistrz zareagował odruchowo, w nieprzewidywalnej sytuacji trening zawsze przejmuje kontrolę. Uskoczył i spadł z podwyższenia. Płynnie przeturlał się i już był na nogach, wciąż gotowy do walki, którą prawie przegrał przez moment zadufania. Wyraz bezradnego zdziwienia na jego twarzy był wspaniałą nagrodą dla Szaratangi, który z ledwością zachował kamienną twarz. Skłonił się rywalowi rycersko i dłonią otarł z oblicza posokę i pot.

Obnażone, odarte ze skóry mięśnie ramienia zadrgały i Szar doznał absurdalnego poczucia głodu. Okolice łopatki, najlepsze mięso na gulasz. Od wczoraj nie miał nic w ustach. Roześmiał się chrapliwie i przeturlał po piaszczystym podłożu, jakby obtaczał w mące połec surowej wątroby. Żywcem obdarty ze skóry, wiedział, że właśnie ginie. Chciał jednak choć trochę zahamować krwotok, zachować resztkę sił.

Jeżeli tłum wcześniej buczał, to teraz wpadł w jakąś histerię. Kruzowie to naród zwycięzców, a tutaj pokurcz ze znieawidzonej Tlaskali zesłał na nich upokorzenie, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyli. Szaratanga zwyciężał i stary zwyczaj nakazywał okazać mu teraz łaskę. Był to bezpieczny obyczaj, w historii Nowego Przymierza podobny tryumf jeńców zdarzył się zaledwie dwa razy.

Buczenie powoli gasło, na stadionie zapadła cisza. Kapłan Boga Ognia zdjął maskę, pod demonicznym obliczem bóstwa kryły się pyzate policzki

pocziwca. Posłał Szaratandze spojrzenie zranionej sarny.

Quinatzin trwał zamyślony. Czcigodny Szurukan siedział wyprostowany, jakby połknął włócznię. Ciemna, pomarszczona twarz nabiegła krwią. Jego człowiek wskazywał na stojącą w pierwszym rzędzie widzów dziewczynę z dworu, która cofnęła się pod wściekłym spojrzeniem kapłana.

Rozległy się krzyki, tłum doszedł najwyraźniej do wniosku, że tak dzielny skurwysyn musi być swój. Uznali Szara za cudem odnalezionego Kruza, kandydata do narodowej adopcji.

Quinatzin wił się pod tymi wrzaskami jak pod biczem. Wpatrywał się w jeńca z nienawiścią tak silną, że można by ją skraplać i sprzedawać w zielonych, oznakowanych czaszkami i piszczelami flakonach. Nagle to on stał się zakładnikiem tłumy.

Haran wbił wzrok w ziemię, pozwolił włosom opaść na twarz. Jego ramiona drżały spazmatycznie. W pierwszej chwili Szaratanga pomyślał, że barbarzyńca płacze, co było do niego niepodobne. Potem spostrzegł, że chłopak dosłownie dławi się ze śmiechu.

Quinatzin odetchnął i przemówił:

— Tlaskalaninie! Bogowie cię kochają, a ja szanuję ich wolę. Czy przyjmiesz ode mnie życie i miecz?

* * *

Kiedy *tlatoani* zaoferował Morosowi życie, Haran miał ochotę krzyczeć z radości. Nieczęsto zdarzało się, żeby Walczący w Kamieniu pokonał przeciwnika. To, co zrobił Moros, czy raczej Szar, zakrawało na cud. Zdołał odzyskać siły po torturach i stawiał czoła najlepszym mieczom imperium. Poza charakterystycznym utykaniem, którego nabawił się podczas niekończących się górskich pościgów w Labiryncie, wydawało się, że jego dawny przyjaciel jest w życiowej formie.

Kruzowie może i byli krwiożerczymi sukinsynami, ale umieli docenić odwagę. Barbarzyńca odetchnął więc jak człowiek, z którego barków spadł wielki ciężar. Święte grzyby, którymi zgodnie z tradycją napojono zarówno jego, jak i jego jeńca, wyostrzyły całą scenę, obdarzając go jakąś upiorną empatią. Każdy cios, który raził przyjaciela, przeszywał też ciało Harana. Teraz chłopak czekał na słowa Szara, który nagle zgarbił się i zatoczył, jakby właśnie zabrakło mu sił.

Barbarzyńca wyciągnął szyję, odezwało się w nim jakieś nieprawdopodobne przeczucie. Nie zgodzi się. Bogowie, czemu ten szaleniec się nie zgodzi?

— Nie! — przemówił dobitnie ktoś i nie był to Szaratanga. Tłum zaszemrał, gdy emanująca spokojem postać Czerwonego Kapłana poruszyła się niczym ożywiona skała i Szurukan zwinnie podszedł pod podest. — Bogowie otworzyli mi oczy. Żaden człowiek nie wytrzymałby czegoś takiego. Stoi przed wami demon.

Kapłan spojrział na Szaratangę, a potem znów odwrócił się do tłumu.

— Tłaskalanie służyli kiedyś Białym Diabłom. Czuję, że w tej sprawie kryje się coś mrocznego, coś, co zagraża naszemu krajowi. Rozbroić go i zabrać do lochów! Musimy go znowu zbadać!

Zalany krwią Lew Labiryntu cofnął się. Po raz pierwszy tego dnia na jego biało-czerwonej twarzy pojawił się strach. Pierwszy Kapłan i król wymienili spojrzenia, dobijając targu.

— Jeżeli zdołacie go pojmać... jest wasz — złowieszczo uśmiechnął się *tlatoani*. Był już pewien, że ten szalony dzień przejdzie do historii, ale wcale nie wiedział, czy cieszyć się z tego, czy płakać.

Fechmistrzowie, którzy starli się z Szarem, nie nadawali się już do dalszych występów. Dlatego na znak Szurukana do Czapli dołączyło dwóch roślących żołnierzy ze straży Czerwonej Świątyni. Zbili się w gromadę i razem

ruszyli na podest. Tłum buczał i tupał, niezadowolony z takiego obrotu sprawy. Ten nierycerski gest przyniesie Kruzom hańbę. Trzech na jednego dzikusa?

Zaatakowali jednocześnie. Poharatany Szaratanga lawirował między nimi jak płomień, śliski od ciepłej krwi. Szarżującemu z nienawiścią zbrojnemu rozerwał w piruecie krtań, paskudna sztuczka, którą wypracował w Dołach. Okupił ten sukces zadaniem przez Czapkę ciosem w lewą nogę, po którym jego kończyna przypomniła sobie, że jest do niczego. Szar, potwornie zmęczony, stracił na szybkości. To był początek końca.

Dwaj pozostali przeciwnicy momentalnie zepchnęli go do defensywy. Atakowali z furią podszytą strachem, nie zapominając wszakże, że do dalszej części spektaklu ich ofiara potrzebna jest żywa. Odskoczyli, zadowolając się pożegnalnymi cięciami w nogi i przedramiona, po których jeniec znów spłynął krwią. Szar otrząsnął się jak pies wykąpany w czerwonym winie. Zobaczył, że Haran gestykułuje, zaklinając go, żeby się poddał.

Niedoczekanie, przyjacielu. Nie wrócę do lochów.

Kamienne miecze załomotały o pałkę, świat stał się sekwencją ciosów. Szaratanga nie czuł już jednak bólu, lecz tylko uniesienie i... piękno. Strzępy obdartej skóry frunęły za nim jak frędzle, grzyby zamieniały je w jego oczach w barwne smugi. Był bogiem, żywiołem, smokiem. Może postradał zmysły.

Rzucił się na ziemię, w stronę wrogów. Udało mu się podciąć ostatniego strażnika naprężoną linką i zaskoczonemu odebrać miecz. Przyklęknął, uniknął ciosu Czapli i trafił żołnierza mieczem w twarz, na poły miażdżąc, na poły odcinając mu nos. W tym momencie Czapla wziął krótki zamach i kopnął klęczącego Szaratangę w krtań.

Znowu zapadła cisza.

Chyba nawet kruzańska publiczność miała już dość krwi. Twardzi wojownicy odwracali głowy od czerwonego podestu. Szaratanga charczał

i łapał powietrze, przeklinając swój instynkt życia. Musiał umrzeć, inaczej wszyscy wyciągną od niego wszystko.

Wziął zamach, usiłując samemu uderzyć się w gardło. Zdumiony Czapla wykopał mu z ręki broń, a potem wymierzył cios w szczękę.

Szurukan odetchnął z ulgą. Fehmistrz złapał ogłuszonego Szaratangę pod pachy i pociągnął go w stronę schodków, gdy nagle na platformie pojawiła się nowa postać.

— Zostaw — powiedział Haran, blokując mu drogę mieczem. — Ten jeniec należy do mnie.

Czapla prychnął z niedowierzaniem i posłał pytające spojrzenie Szurukanowi. Pierwszy Kapłan ruszył w stronę podestu, ale Quinatzin złapał go nagle za chude, wysuszone od postów i umartwień ramię.

— Dość już wstydu, starcze. Zamierzasz nas dalej hańbić? — syknął.

Nie mógł przeboleć upokorzenia najlepszych szermierzy Przymierza, najgorszej porażki za jego pamięci. Chciał już tylko, żeby ten dzień się skończył.

Kapłan zawahał się, lecz ustąpił.

Szara Czapla był dzielnym wojownikiem. Nie bez powodu znalazł się na ceremonii jako jeden z najlepszych mieczy Przymierza. Dobrze wiedział, że bije się o honor całego imperium, a raczej tego honoru zszargane resztki. Widząc, że sprawa nie zostanie załatwiona polubownie, uklonił się przed barbarzyńcą szyderczo i zamiótł przed nim mieczem.

Wtedy Haran błyskawicznie skoczył, a opadając, przydeptał mistrzowi szorujące po ziemi ostrze. Uderzył Czaplę czołem w twarz, uniósł, a potem cisnął kruzańskim mistrzem o podest, z którego Czapla bezwładnie się stoczył. Haran nie tracił czasu. Ukląkł przy Szaratandze i spojrzał przyjacielowi w oczy. Lew Labiryntu był znów przytomny i to też zakrawało na cud.

— Nie wiem, o co tu chodzi, Morosie, ale nie dam im zaciągnąć cię do tych lochów — mruknął, patrząc w płonące oczy Tlaszkanina.

Szar kiwnął głową. Złapał Harana za rękę i ścisnął śliskimi palcami. Jego zakrwawione usta z trudem łąpały powietrze.

— Jeżeli ją spotkasz... powiedz jej...

— Eniszę?

— Ona wie... Leyre.

Haran skinął i Moros uśmiechnął się. Chłopak dostrzegł w jego oczach coś, co mogło być tamtą nicią, echem ich starej przyjaźni. Potem jeniec obrócił trzymany przez Harana miecz i patrząc w niebo i słońce, przejechał po nim swoją własną krtanią. Druazzi krzyknął, cofając kamienne ostrze. Szar upadł.

W jego oczach nie było już nic.

Tłum wiwatował, zadowolony z takiego obrotu sprawy. Dzień pełen dziwactw skończył się po bożemu. Jeniec zginął, a przedtem, trzeba to przyznać, dał wiekopomny spektakl. Wielu twierdziło, że to najlepsza Ofiara Kamienia w dziejach, może wyłączywszy pamiętną jatkę roku czterysta pięćdziesiątego ósmego.

Quinatzin odnotował radość tłumu, co natychmiast poprawiło mu nastrój. No cóż, doszedł tu, gdzie jest, bo każdą sytuację potrafił przekuć na swoją korzyść. Nawet oddalający się Szurukan, rzucający pod nosem klątwy, wydał mu się zabawny. Dobrze tak staremu pyszałkowi, wyszedł na panikarza, który wszędzie widzi mroczne demony i spiski. *Tlatoani* nie wiedział jeszcze, co zrobić z Haranem, uznał jednak, że krnąbrny barbarzyńca znowu się mu przysłużył.

Jeszcze zdąży nauczyć go moresu.

Rozdział 6

Zbliżcie się, o bogowie. Kto podźwignie brzemień? Kto weźmie je na siebie, aby stać się słońcem, aby sprowadzić świt?

Aztecki mit o stworzeniu świata

Haran miał wrażenie, że śni, i daremnie wbijał paznokcie we wnętrze dłoni, usiłując się wynurzyć z toni koszmaru. Wszystko na nic. To nie był sen, lecz najwspanialszy dzień w życiu. Resztę tamtego uroczystego wieczoru zasnuły brudne opary obłądu.

Wszystko odbywało się zgodnie ze świętym obyczajem. Słudzy świątyni dwoili się i troili, zdzierając z Morosa-Szara czerwone płaty. Wciąż upojony grzybami, Haran wpatrywał się w ciało przyjaciela, niczego nie widząc. Czasem nie był pewien, czyja skóra odchodzi od ciała, własna dusza spoglądała na niego z zewnątrz. Ludzie wiwatowali, gratulowali mu, klepali go po ramionach. A potem narzucili mu na nie zdartą z człowieka płachtę.

Mężczyźni oferowali mu siostry, córki i żony, niektórzy nawet siebie. Biły bębny, na placu zaczynała się fiesta. W tej najwspanialszej chwili swego życia Haran miał bardzo niemądrą minę. Do samego końca tliła się w nim nadzieja, że Moros jednak przeżyje. Najdzielniejszego i najsilniejszego człowieka, jakiego znał, Kruzowie odarli ze skóry niczym wierzbową witkę.

Barbarzyńca dobrze zapamiętał jedynie moment, gdy kapłani zaczęli nakładać na niego ludzką skórę. Lepka i mokra, dobrze przylegała do ciała. To nim wstrząsnęło, resztę uroczystości zasnuła zbawienna, ratująca zmysły

mgiełka.

Ledwo kojarzył ucztę na dziedzińcu koszarów gwardii, smakowity zapach pieczeni, męskie udo zawieszane na drzwiach. Słodkawy gulasz, kotlety z ramion i nóg, tradycyjnie polane pikantnym, pomidorowym sosem. Kruzowie spożywali tylko kończyny swoich ofiar, nie byli przecież dzikimi zwierzętami.

Haran miał prawo do najdelikatniejszych kąsków, lecz jeszcze nigdy ludzkie mięso nie smakowało mu tak wstrętnie.

Oczywiście, kosztował je wcześniej, tak jak każdy mieszkaniec imperium. W Yugal po ceremoniach ofiarnych rozrzucano je biedocie. Pamiętał kapłanów w czarnych sukniach, z włosami zlepionymi krwią, jak ciskają w tłum ludzkie ochłapy. Heza gotowała z nich smaczną zupę albo piekła w chlebowym piecu. W krajach Odrodzonego Przymierza nie istniała masowa hodowla zwierząt, więc ludzkie mięso było mile widzianym przysmakiem. Pamiętał klatki na ludzi, wywieszane na dziedzińcach świątyń, i nieszczęśników tuczonych na ucztę, których sam Haran, z bezinteresownym okrucieństwem dziecka, szturchał patykiem. Ale pożarcie kogoś, kogo się kochało i znało, to coś zupełnie innego.

Nawet w Dołach jego gromada pożywiała się ciałami poległych wrogów, nigdy jednak nie posunęłyby się do pożerania swoich, jak robiły to inne grupy podczas okresów głodu. Później Moros zakazał im nawet tego i próbowali, z różnym skutkiem, wyżywić się skąpymi racjami, dostarczonymi przez strażników z góry, a także inną dostępną w podziemiach żywnością, taką jak skąpo występujące grzyby, porosty i nietoperze. Zdarzało im się nawet zjadać nieostrożnych Zjadaczy. Teraz jego przyjaciel sam stał się uroczystą kolacją, a otepiący Haran wydłubywał go spomiędzy zębów. I pił, żłopał *pulque*, jakby robił to ostatni raz w życiu.

* * *

Ocknął się na marmurowej posadzce, gładkiej i zimnej jak policzek trupa. Wokół wirowali tancerze, powietrze migotało jak ocean pełen wodorostów i ludzkich stóp. Nie mógł oddychać, światło było tu inne, oddzielone bezmiarem wód. Utonąłem, pomyślał.

Potem zaczerpnął czegoś upajającego i płomiennego, co na pewno nie było powietrzem. Poderwało go na równe nogi, zamrugał, wpatrzony w figury tańca, jego diagramy i schematy. Układały mu się w głowie jak pismo, którego odcyfrowanie jest tuż-tuż, niczym sen niemożliwy do zapamiętania. Człowiekowi towarzyszy tylko niejasne, irytujące przypuszczenie, że mara powtarza się, próbując coś bezskutecznie przekazać.

— Lepiej uważaj, przystojniaku. Nie chciałbyś się chyba obudzić wśród pajęczyn, w kurhanie zarosłym mchem, sto lat po śmierci swojego najmłodszego prawnuka?

Haran otworzył usta. Oto jedna z przepięknych istot przemówiła do niego w jego własnej mowie, a w dodatku nazwała go przystojniakiem. Nikt tak do niego nigdy nie mówił.

— Ten taniec to język bogów, kochanie. Krwiobieg rzeczywistości. Lepiej nie próbuj go odczytać. Poza tym — dziewczyna uśmiechnęła się słodko i wdzięcznie przegięła, pokazując piersi godne każdej obsesji — chyba nie chcesz patrzeć prosto w słońce?

Haran nic nie rozumiał, przecież gapił się nie w słońce, lecz na nieludzko piękną dziewczynę o białej skórze i twardych, zielonych sutkach. Gapił się, stojąc zakryty lepką, krwawiącą skórą swojego jedyne przyjaciela.

— Rusz się! Blokujesz trasę! — syknęła istota, lecz bez przesadnej wrogości.

Odciągnęła go w bok, dalej od skomplikowanych figur, kreślonych przez tańczące postacie.

— To nie tak miało być — mruknęła, z litością muskając mu bark.
— Los zetknął was dawno temu, połączył zbyt mocnymi więzami. Za mocnymi jak na Ofiarę Kamienia. Teraz, gdy on odszedł, twoja dusza jest w strzępach. Albo nawet gorzej, przypomina otwarty na oścież burdel, do którego może wejść każdy, z pijanym bandytą włącznie. W imieniu wszystkich bogów, proszę cię o wybaczenie.

— Bogów? Co ty bredzisz? Gdzie ja jestem? — warknął.

— Na dworze Głodnego Słońca — odparła dziewczyna z prostotą.

Haran splunął, jego ślina zasyczała na rozżarzonej posadzce.

— Widywałem już kiedyś słońce i na pewno nie tańcowało w pałacach — warknął.

Usiłował się rozejrzeć, ale tancerze, wirujący w skomplikowanym układzie, utrudniali mu to skutecznie. Sklepienie i ściany tej ogromnej budowli majaczyły gdzieś bardzo daleko, błękitnawe i zamazane jak mgiełka. Detale zdawały się rozmywać.

— Biedny chłopczyk, tak śmiesznie się złości. Tęsknisz za swoim przyjacielem? W jakimś sensie stał się częścią ciebie, to już coś. Powiedz, czy jest wygodny? A smaczny?

— Dosyć tych kpin. Co to za miejsce, gadaj! — rozkazał Haran, mocno chwytając dziewczynę za ramię. Było gładkie i chłodne, jakby w jej żyłach płynęło coś innego niż krew.

Zaśmiała się wdzięcznie. Nie próbowała się uwolnić. Może cała składała się z mgły, której nie ima się ból.

— Jesteś słodki. Szkoda, że straciłeś rozum — szepnęła.

Pogładziła policzek barbarzyńcy.

Obudził się z krzykiem i nie zobaczył nad głową sklepienia, ale po gryzącym, nieziemskim zapachu kopalu rozpoznał to miejsce od razu. Demony wyryły przejście, dopadły go w końcu na jawie.

Był potworem i znowu znajdował się w Dołach.

* * *

Tollan wrzało. Ulica nie zdążyła jeszcze ochłonąć po wzruszeniach igrzysk i zaprzątnąć sobie głowy nadchodzącymi obchodami Święta Kukurydzy, gdy obieży ją nowe, alarmujące wieści. *Tlatoani* ogłosił wojnę, powtórną wojnę z Tlaszkalą!

Ale jak to? Kto słyszał, by wojować dwa razy w tym samym roku?

Bredzisz, Termitom należy się lekcja. Pamiętajcie, co ich jeniec uczynił z naszymi fechmistrzami?

Ale obyczaj! Wszak odbyło się już coroczne Czerpanie Wody. Bogowie nas za to pokarzą!

W jednym zgadzali się wszyscy. Od czasu Vatitokla Zjadacza Obrazów żaden król tak nie znieważył wiary. Dla kapłanów naruszanie uświęconych rygorów Wojen Kwietnych stanowiło oczywiste bluźnierstwo. Niezwłocznie zaatakowali w swoich kazaniach plany wojenne, coraz jawniej sugerując, że Quinatzin sprowadzi na kraj nieszczęście.

Wielu mieszkańców, zwłaszcza kamieniarzy, kuśnierzy i pióropuszników pracujących dla świątyń, wzięło udział w procesjach błagalnych w intencji opamiętania krewkiego monarchy.

Inni: kupcy i nowi przybysze, sezonowi robotnicy i wojownicy z kontyngentów posiłkowych, przysyłanych przez możnowładców z prowincji, a także najemni żołnierze, wypełniający stołeczne place i szynki, przerywali ich lamente, szyderczo pukając się w czoło. Nudziarze i tchórze, skostniała wam wyobraźnia! Rytuały przodków były dobre dla miasta-państwa, ale teraz nadchodzi epoka Imperium. Świat się zmienia, witajmy świetlaną przyszłość. Wojna!

Quinatzin zaszył się w Piramidzie Królów i knuł. Wysłuchiwał

meldunków agitatorów i szpiegów, heroldów i skrytobójców, przesuwał setki figur po szachownicy miasta. Skrzyżowanie pająka i cierpliwego sępa.

Dni miały, hałaśliwe, kąśliwe i wredne, jak chmara spragnionych moskitów. Sypiący radami Mazatlan codziennie nalegał, by *tlatoani* czym prędzej opuścił stolicę i wyruszył w pole, stawiając Szurukana przed faktem dokonanym, ale król wiedział, że nie może opuścić Yugal, nim wrogowie nie odsłonią kart.

Czasami, gdy upał zelżał, Quinatzin wychodził ze swego gabinetu i obserwował panoramę miasta, zalewanego szkarłatną poświatą zmierzchu. Jego wzrok niezmiennie kierował się na siedzibę wrogów. Czerwona Świątynia wznosiła się po drugiej stronie placu, równie wysoka jak Piramida Królów, potężna i butna niczym cała kapłańska kasta. Każdego dnia władca tasował talię z dziesiątkiem perfidnych planów, zadając sobie te same, gorączkowe i drażniące pytania. Za kim opowie się ulica? Za kim armia?

Elitarne oddziały Orłów, podobnie jak cała zaprawiona w bojach Armia Północna, oddane były kapłanom. Gdyby doszło do otwartego konfliktu, Quinatzin mógł liczyć tylko na Zabójców Gwiazd, Jaguarów i nieliczne oddziały, które stworzył i wypróbował w Labiryncie. Nie miał złudzeń co do szans naprędce powołanych jednostek w otwartej konfrontacji. Musiał czekać.

Tizok zaskoczył wszystkich. Generał, który spędził w mieście Dzień Obdzierania ze Skóry, zignorował Święto Kukurydzy i ostentacyjnie wyjechał przez Bramę Klejnotów i Piór, po czym dołączył do swoich pułków, stacjonujących dzień drogi od stolicy. Na wieść o tym Quinatzin niezwłocznie wezwał go do pałacu. Generał wymówił się koniecznością odbycia inspekcji wojsk. Król odparł, że przecież każdy, nawet najbardziej zajęty Kruz, obchodzi Święto Kukurydzy. Umówili się na spotkanie pierwszego dnia świąt, w niewielkim miasteczku Cholla, słynącym z obfitych

zbiorów.

Ulice, przystrojone wiązkami kwiatów i pędami młodej kukurydzy, były radosne i roztańczone. Quinatzin z przyjemnością patrzył, jak młodzież nurza nowalijki we własnej krwi i tak przystrojone niesie do domów. Dzień Kukurydzy Wiosennej. Kruzowie czuwali nad swoją żywicielką cały rok. Latem przepędzali suszę, poili wyschnięte pola krwią dziewic. Zimą w podobnej intencji sporządzali słynne „dziecięce ciasteczka”. Nawet noworodki poświęcano tej matce, której ciężkie od ziaren kolby, niczym mleczne piersi, karmiły każdego Kruza. Dzień wzrastania, przyszłości i nowego życia.

— Widzisz? Wbrew temu, co kracze ponurak z Czerwonej Świątyni, czekają nas dobre zbiory — powiedział *tlatoani*, z przyjemnością patrząc na smukłe dziewczęta, paradujące przy ich niewielkiej trybunie.

Wiejskie ślicznotki ubierały się skromniej niż wielkemiejskie elegantki z Tollan. Miały białe zęby i smagłą skórę, włosy wysoko upięte. Nosiły błękitne suknie, w dłoniach trzymały niewinne palemki.

— Oby. Wiele upraw marniej, bo chłopci za mało o nie dbają. Często też zbyt forsują ziemię. Z obietnic bogactwa przeważnie rodzi się głód — zauważył półgłosem Tizok.

— A jak mu najlepiej zapobiec? Zwiększając areał pól — zripostował król.

— Gdzie je znajdziesz? Na górskich łąkach Tlaszkali?

— Też. Ale żyźniejsze ziemie leżą na aluwialnych równinach Tikal. I na północnym wybrzeżu. Musimy sięgać dalej.

Tizok roześmiał się sztywno. Sztywne były też jego napięte barki i boleśnie zaciśnięta szczęka. Przypominał pal męczarni, na który sam siebie nabił. Jego skronie niedawno przyprószyła siwizna, generalski mundur pozostawał schludny, ale też ostentacyjnie prosty, pozbawiony odznaczeń

i ozdób. Cały jest taki, pomyślał Quinatzin, gdy generał zaprosił go na kwaterę. Tu również rozpanoszyła się skromność. Idiotyczne schlebianie prostactwu.

Twardy materac z bawełny, stół z mapami kampanii. Drewniane, koślawe zydle. Nieoheblowane, jakby drzazga w dupie była jakąś cholerną zasługą, ofiarą poniesioną dla kraju.

Mundur Tizoka pochodził z tej samej ponurej otchłani. Żadnych futer, klejnotów ani pierzastych ozdób. U boku generała *tlatoani* dostrzegł *macuahuitl*. Staroświecki krzemienny miecz, cięższy niż ten noszony na dworze.

— Podaj mi choć jeden powód, dla którego dobicie Tlaskali jest błędem. Możemy to skończyć. Załatwić ich raz a dobrze.

— Wojny powinny się odbywać w wyznaczonym czasie. Toczymy je, ponieważ bogowie potrzebują jada. Ty walczysz o własną chwałę, Quinatzinie. Tak postępują Białe Diabły, a nie Prawdziwy Człowiek — odparł generał surowo.

Król skrzywił się. Na takie argumenty nie znajdował słów. Bo co miał powiedzieć? Że rzeczywiście imponowała mu determinacja Białoskórych, którzy przynajmniej doprowadzali rzeczy do końca, zamiast przerywać kampanie na modlitwy, ofiary i tańce?

Quinatzin uniósł do ust prosty gliniany kubek i skrzywił się, czując na języku wodę. Założę się, że i żresz wszystko na surowo i bez przypraw. Obłąd, pomyślał, obserwując jednego z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Człowieka, którego na dobrą sprawę sam stworzył i którego uczciwość, pryncypialność i hart ducha zmieniły się w coś złowieszczego.

— Nie chodzisz na uczyty, nie dymasz, nie gromadzisz bogactw. Nie wiedziałem, że złożyłeś mnisie ślubowania — zagadnął.

Generał milczał. Nie uśmiechnął się ani nie wzruszył ramionami, wpatrując się we władcę oczami twardymi jak krzemień.

— Pierwsze imperium tonęło w przepychu, jak poletko *chinampa* w nawozie. Zniewieściały Montezuma przekupywał Białych Diabłów błyskotkami. Wylizali jego kości do czysta i wydarli mu z piersi serce — odparł Tizok głucho, łypiąc spod ciężkich powiek. Jego żuchwa ruszała się wolno, przeżuwał każde słowo jak żwir.

— Wybacz, ale nie widzę związku — odparł Quinatzin chłodno.

Łupała go głowa, a szpileczki bólu wzmagaly irytację. Nagle przypomniał mu się Tizok z czasów, gdy połączyła ich przyjaźń. Generał miał kiedyś osiem lat i pyzata, ufną twarz. Zadawał Quinatzinowi głupiutkie, niezwykle poważne pytania, na które nikomu nie chciało się odpowiadać. Piesek szukający pana.

— Nastaly złowieszcze czasy. Może nawet koniec Cyklu. Ramiona naszych wojowników słabną. Koczownicy, Inka i inni wrogowie nabierają siły. Na pustkowiach gromadzą się dziwne bestie. Nie zdziwiłbym się, gdyby Białoskórzy wrócili! — mruknął posepnie żołnierz.

— Winisz mnie za to, przyjacielu? — Quinatzin skubnął rękaw kosztownego pierzastego płaszcza i pomyślał, że ma wielką ochotę na kąpiel. Z olejkami. Pochody i święta zawsze sprawiały, że czuł się zbrukany. Jakby oblepiła go niewidoczna nieczystość. Plugastwo, wyziewy zbyt wielu istnień. Wtedy zaczynał nienawidzić swoich poddanych, ich uprzykrzonej, tłumnej obecności, wymagań, pretensji i żądań. „Imperium, które tak kochasz, Tizoku, chwała naszej kultury, naszego człowieczeństwa, sprowadza się do podtrzymywania bezmyślnej egzystencji kilku milionów bydła”.

— Skupiłeś zbyt wiele władzy. Uważam, że to niebezpieczne.

— A więc sądzisz, że my, Kruzowie, musimy mieć słabych królów?

— Musimy pielęgnować tradycję! Inaczej bogowie odwrócą się od nas

— powiedział z naciskiem generał.

Quinatzin roześmiał się drwiąco.

— Montezuma, na którego tak chętnie się powołujesz, wielbił nasze nieszczęsne tradycje wręcz kazirodczą miłością. Przestrzegał kroków tego zatechłego tańca aż do samego końca. Tak bardzo bał się urazić domniemanych bogów zza morza, że pozwolił im wyrzynać swój naród.

— Oceniasz po pozorach, Quinie. Masz kurz w oczach — mruknął Tizok po dłuższej chwili.

Tlatoani zadumał się, słysząc z ust przyjaciela ksywkę z minionych lat.

Nie, żeby cenił tego rodzaju wspomnienia. Przypomniał sobie zabawy z tresowanymi chrząszczami i posapywania w wielkiej sypialni dla szlachetnie urodzonych gówniarzy, gdzie trzydziestu chłopców pierdziało, chrapało i uczyło się walić konia. Potem skrzywił się, wspominając zakazy i kary, nagrody i urabianie duszy. Dzieciństwo było mulistą platformą, z której wyrastał każdy, i zawsze znaczyła je skaza bezsilności. Zwłaszcza dzieciństwo geniusza.

— Powiedz mi więc, z łaski swojej, dlaczego dawni Aztekowie przegrali? — spytał cicho.

Tizok odpowiedział natychmiast:

— Pierwsze Przymierze upadło, gdyż utraciliśmy wiarę. I godność.

Nadeszła pora cytatów. Królowi zachciało się śmiać i wyć z rozpacz. Kapłańskie połajanki Szurukana rozpoznawał na miłę.

Ale Najwyższy Kapłan dbał o stosowną oprawę i nigdy nie mówił takich rzeczy, nie bryzgając jednocześnie krwią z przebitego języka. Bądź ucha, jeżeli był w szczególnie łagodnym nastroju. Biedny Tizok nie zdawał sobie sprawy z tego, co Quinatzin zrozumiał dawno temu. Szurukan nie wierzył w bogów, może poza Wielką Cipą i Jego Własnym Kutasem. Posługiwał się wiarą instrumentalnie, zohydzając wyznawcom *tlatoaniego* jako cynicznego

i bezbożnego szkodnika. Ale nikt, kogo naprawdę dotknęli bogowie, nie miał w sobie tego rodzaju pewności, nikt nie artykułował ich woli z równie bezczelną swadą. Bogowie byli na to zbyt przerażający.

Nagle przypomniał sobie swoją ostatnią wizję, tę ze stalową bestią.

Czy to Inka szykowali na nich podobne potwory? Jak obronić się przed czymś takim za pomocą piór, kadzideł i zaklęć mamrotanych przez zaślinionych starców? Jak walczy się z taką potęgą?

Musiał wyglądać dziwnie, skulony i rozkołyszany jak statek bujający się na niewidzialnej fali, bo Tizok posmutniał i z niedowierzaniem pokręcił ciężką głową. Quinatzin wzdrygnął się. W oczach starego przyjaciela dostrzegł litość. Była wstrętna, jak wszystkie uczucia będące owocem słabości, ale także budziła w nim coś, czego łaknął i czuł coraz mniej. Ciepło.

Uczucia to najlepszy narkotyk, pomyślał. Ludzie odurzają się nimi bez końca i każdy jest nałogowcem. Nawet on. Jak bardzo człowiek łaknie tego nędznego ciepła. Jak dawno nie rozmawiał z kimś szczerym. Kimś, kto nie byłby mordercą, trucicielem lub kurwą. Przez chwilę zapragnął podzielić się z dawnym kolegą swoimi wizjami, lecz czując w ustach smak ognia, popiołu i żużlu, zrezygnował. Nie wspominał o tych obrazach nikomu, wiedział, że wrogowie użyli by tego przeciwko niemu. Nie pokona kapłanów wizjami i prorocत्वami, te śliskie dranie doskonaliły się w tych sztuczkach od tysiącleci. Wizje pozostaną sekretem. Chwała jutra płonąć będzie jedynie w jego sercu. To mu wystarczy.

Tizok dźwignął się i podszedł do podróznego kuferka. Po chwili wręczył władcy kubek *pulque*.

— Tylko dla weteranów, pamiętasz? Byłeś na wojnie, przelewałś krew. Teraz jesteś już jednym z nas.

Quinatzin uśmiechnął się blado.

— Wolę przelewać trunki — mruknął.

Pamiętał, jak zazdrościli weteranom, którzy w świąteczne dni mieli prawo nabzdryngolić się z podniesionym – nie na długo – czołem. Pragnienia zawsze spełniają się nie w porę. Teraz mógł wypić i zerznąć wszystko, co ten świat oferował, i nie bardzo miał na cokolwiek ochotę.

— Co się dzieje, Quinie? Wyglądasz jak pół dupy z za krzaka — huknął Tizok.

Król skulił się odruchowo, czekając na zdrowe łupnięcie w plecy.

Generał miał ciężką rękę. W dzieciństwie opadała, gdy tylko Quinatzin za bardzo zapamiętał się w lekturze czy własnych myślach. „Nie garb się, Quin, bo ci skręcimy wora!”. Aż wzdrygnął się, słysząc ponownie to nieszczęsne zdrobnienie i dawne, knajackie odzywki. Jakby zwietrzała, przeszacowana komitywa i garść wspomnień mogły zastąpić jednomyślność.

— Ne musimy być wrogami. Nigdy cię nie zdradziłem — powiedział Tizok, poważnie patrząc królowi w oczy.

— Wiem. Tylko zadajesz się z nieciekawymi ludźmi.

— Szurukan nie jest złym człowiekiem, Quinie. Przymierze potrzebuje was obu, tak jak dobry dom wymaga i solidnych fundamentów, i śmiałej wizji całości.

Król spojrział na niego krzywo.

— Aha. Ale bez fundamentów się nie obejdzie, czyż nie? A śmiałe wizje to luksusowy dodatek. Fanaberia i kaprys. Tak o mnie mówi, prawda?

— Tego nie powiedziałem. Twierdzą tylko, że kraj potrzebuje was obu — powtórzył Tizok, patrząc na niego smutno. Toporna, dobra twarz wojaka wydała się *tlatoaniemu* tak uczciwa i szczerą, że zapragnął stąpnąć po niej okutym buciorem.

Generał uśmiechnął się i potarł poprzetykane siwizną włosy.

— Może właśnie po to bogowie dali mi buławę? Bym stał pośrodku jak bufor i pilnował, abyście nie rzucili się sobie do gardeł?

— Nie, Tizoku. Tak się już nie da. Nadszedł czas, kiedy musisz wybrać.

Żołnierz zamilkł. Wyraz niepewności na jego twarzy był bardzo znajomy. Quinatzin przypomniał sobie, jak będąc jeszcze tęgim, dobrodusznym chłopcem, Tizok łapał go za rękaw w Calmécac i kazał powtarzać sobie coś, czego nie rozumiał, a często czegoś nie rozumiał. Wtedy to on miał przewagę. Ale już na boisku i w walce nie można było odmówić mu lojalności i głupkowatej, ofiarnej odwagi.

Nagle *tlatoani* poczuł, że szkoda go będzie stracić. Nazwijmy rzecz po imieniu – zabić. Znał go przez całe życie. Może nie była to przyjaźń, ale bliżej tego uczucia chyba już się z nikim nie znajdzie. Roześmiał się nieszczerze, weselej, niż naprawdę się czuł. Poczęstował generała tytoniem i zapalili fajki, w milczeniu delektując się dymem.

— Na Krew i Ołtarz, przecież jesteście rówieśnikami. A ty zachowujesz się jak starzec. A tylko osiwiłeś przedwcześnie. Nie pamiętasz już, jak piliśmy całymi nocami? Jak graliśmy w kości? Jak zabawialiśmy się z kapłankami w Noc Pieśni? Co się z tobą stało?

Tizok wyprostował się z godnością i twardo popatrzył władcy w oczy.

— Odnalazłem siebie. Odnalazłem wartości.

— I straciłeś całą radość życia? Naprawdę było warto?

— Plewy. Oddałem je za odwagę, honor i obowiązek. Nie znajdziesz ich w dzbanie z winem. Ani w kadzeniu pochlebców.

— Kapłani zbroją ludzi. Dlatego pytam raz jeszcze. Co zrobisz, gdy dojdzie do walk?

— Zaczekam. Nie pomogę ci zdławić kapłanów. Ale też nie posłucham tych, którzy nazywają cię szkodnikiem i zdrajcą. Jeżeli nie zaatakujesz, pozostanę neutralny. I będę się modlił o to, żebyś się opamiętał, Quinie.

Quinatzin zamilkł. Oczywiście, Szurukan nie nazywał go otwarcie zdrajcą. Od tego miał oszołomów, fanatyków i desperatów. Niechętna,

powściągliwa neutralność Tizoka i tak była lepsza niż otwarty bunt. Ale przysiągł sobie, że ten uparty świętoszek kiedyś mu za to zapłaci. Co on sobie myśli? Kiedy dwie drużyny spotykają się na boisku, jedyną neutralną stroną jest piłka.

Poklepał Tizoka po ramieniu. Potem z uśmiechem zaciągnął się dymem i odchylił na krześle, rozluźniony i zadowolony.

— Dzięki, stary przyjacielu. Nie zapomnę ci tego, przysięgam.

* * *

Po powrocie do Tollan król wezwał przed swoje oblicze Maza.

— Ogłosimy powszechną mobilizację. Chcę widzieć tu wojska z prowincji i wszystkie kontyngenty, które mogą wystawić plemiona.

— Ależ panie... żaden król nie zrobił nigdy czegoś takiego. Lokalni władcy służą koronie co kilka lat. Ale nigdy wszyscy naraz. Poza tym niechętnie powołują pod broń swoich dzikich, bo potem źle pracują i podburzają resztę.

— Powiedziałem, powszechna mobilizacja. Zależy mi zwłaszcza na Leśnym Kontyngencie z Yugal. Przekaż Maczuraiowi, że mu to wynagrodzę. Chcę tutaj widzieć Tarasków, Otomi i wszystkich dzikich, którzy potrafią zabijać. Płaćcie tyle, żeby dali się skusić.

— Skąd wezmę na to fundusze, panie?

— Zaciągnąłem już pożyczkę u kupców na poczet zysków wojennych. Jeżeli ci krwiopijcy wietrzają je w moich planach, to chyba są całkiem realne. Tylko ściągnij mi wielu barbarzyńców. — Quinatzin się zaśmiał.

— A rodowici Kruzowie?

— Rekrutujcie jedynie biedaków. Zawistnych, sfrustrowanych, gniewnych. Zrujnowanych i zadłużonych. Powiedzcie im, że nie będą już się musieli lękać o przyszłość. Ci, którzy wstąpią do mojej armii, nie będą więcej

pracowali na roli.

Proklamacja została wydana bez przeszkód i, wbrew obawom Maza, spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem tłumów, które szczelnie wypełniły rozległy plac przed Piramidą Królów. Mało kto wiedział, jak wielką rolę odegrała w tym mrówcza robota królewskich propagandzistów i szpiegów. Zabójcy Gwiazd od dawna głosili wszędzie, że Termyty żyją w pałacach z turkusów i złota, a za łoża służą im sterty najcenniejszych piór. To przemawiało do wyobraźni maluczkich. Kilka dni później Quinatzin wyprawił trzydniową ucztę na cześć kamieniarzy, rzeźbiarzy i pióropuszników z Dzielnicy Ptaków.

Tego samego dnia nieszczęście spotkało Awiczulę, kapłana Boga Ognia, słynącego z żarliwych antykrólewskich kazań. I nie tylko z tego. Gwardziści wdarli się do jego komnat nad ranem. W skotłowanym łożu odkryli okaleczone zwłoki młodego kochanka. Wyjaśnienia i błagania świętego męża nie zdały się na nic. Tłum rozszarpał go na strzępy, przy okazji plądrując świątynię.

Wrogość pomiędzy Królem a Czerwonym Kapłanem wkroczyła w nową, decydującą fazę.

Wieczorami publiczność przyciągały teatrzyki kukielkowe o utarczkach Czerwonego Pana i Młodego Króla. Dzieciarnia śmiała się, myśląc, że to kolejna zabawa, ale dorośli milczeli i zbierali się w lokalne oddziały, oporzadzając wysłużony rynsztunek z dzielnicowych przydziałów broni. Lękano się donosicieli i szpicli, a o polityce rozprawiano tylko w małych, zaufanych grupkach. Nerwowy nastrój potęgowała pogoda, w powietrzu narastała ciężka, brzemienna gromami parność, która zawsze zapowiada potężne wiosenne burze.

Nad osowiałymi placami i ogrodami miasta unosił się duch lęku i niepewności.

Kobiety popłakiwały, gromadząc w spichlerzach fasolę i kukurydzę. Wyrzekały przeciwko wojnie i tylko czasem ogarniało je dziwne wzruszenie, zadające kłam słowom. Zbliżała się rzeź, cykl miesięczny całego narodu.

Tymczasem mobilizacja trwała. Nigdy wcześniej żaden władca Przymierza nie powołał pod broń tak wielu poddanych niebędących Kruzami. Na błonia nieopodal stolicy ściągali Otomi, zakurzeni jak pustynne żółwie, i Druazzi, wędrujący w deszczu i mgle. Kanagahowie z bagien i Totonakowie znad morza. Basterdzy, którzy piją krew psów. I Ahunkwe, którzy piją miesięczną krew swoich żon. Aczinko, którzy kandyzują niemowlęta w liściach awokado i syropie z agawy, oraz Elozinkowie, którzy słuchają się kobiet. Ludy o nieznanym nikomu językach i nazwach, szczepy dawno uznane za wymarłe i takie, o których nie słyszeli nawet uczeni i mędracy, choć z pewnością nie ominęła ich uwaga tych, którzy ściągają podatki.

W końcu sam *tlatoni* udał się wraz z eskortą na podmiejskie błonia, na których biwakowała armia. Odstawił królewską lektykę i ubrany w prosty mundur gwardzisty, wmieszał się w milczący tłum. Brunatne i rdzawe twarze gapiły się na niego z cierpliwą tępotą zwierząt. Quinatzin poczuł się nagle wściekły i pominięty. Jak rzeźbiarz witany milczeniem posągów, jak pasterz, uporczywie ignorowany przez trzodę.

A skąd. Wciąż był dla nich tylko kolejnym szlachcicem. Mydłkiem, który wydaje rozkazy. Nie znali go, nawet w Labiryncie stał z tyłu. Przypomniał sobie tamtą nieudolną próbę pozyskania ich dla siebie w obozie, gdy wmieszał się w żołnierzy. Wtedy był jeszcze kimś innym.

Teraz, dysponując mapą *ilhalli*, która przeprowadzi go przez umocnienia obronne Tlaskali, zamierzał odmienić świat. Szarpnął doradcę, Maza, który z dezaprobatą ściągnął wąskie brwi.

— Zaanonsuj mnie. Niech wiedzą, że tu przybyłem — warknął.

— Zaraz dojdziemy do podium. Twoja gwardia właśnie zajmuje pozycje.

— Teraz. Gdy stoję wśród nich. Niech widzą, że im ufam.

— Ależ panie... to dzikusy. To zbyt niebezpieczne.

— Jeżeli natychmiast nie zamilkiesz, sam pójdziesz do Labiryntu. W pierwszym szeregu.

Mazatlan wymienił nerwowe spojrzenie z dowódcą Jaguarów. Atletyczny pułkownik Kukaryn, następca poległego w Labiryncie Otomotla, wyszeptał coś do porucznika Yzatlina, który chwycił za sygnałową konchę. Zadał w nią, wzbudzając zainteresowanie najbliższych stojących żołnierzy. Przez tłum przedzierali się już zaniepokojeni gwardziści, których *tlatoani* zostawił w namiocie. Quinatzin odetchnął, próbując uspokoić umysł.

Poczuł na sobie setki spojrzeń. Wspiął się na piramidę skrzynek i przemówił, przekrzykując buczenie tysięcy głosów:

— Żołnierze! Wielu z was walczyło już dla mnie w Labiryncie. Wiem, ile z siebie daliście. Ale jeżeli teraz wrócić do domów, Termyty wyliżą się i znów będą twierdzić, że pogoniły Kruzów. Chcielibyście ich pokonać? Skończyć z nimi raz na zawsze?

Wojownicy patrzyli na niego zdezorientowani, niektórzy szeptali albo wykonywali gest odczyniania klątwy, kłując się kolcami z agawy. Jego słowa brzęczały im niczym natrętny owad herezją, wymykały się próbom zrozumienia. Tlaskala wydawała im się tak przyrodzona i wieczna, jak pory zasiewów i zbiorów. Podobnie jak Wojny Kwietne. Nikt nie zamierzał ich skończyć.

— Z kim wtedy będziemy walczyć? — zapytał jakiś stary Jaguar z nosem przekłutym obsydianową drzazgą. Jego kompani zamruczeli z aprobatą. — Czy to ma być koniec wojen?

— Świat to nie tylko Tlaskala, chłopcy. Zabijecie tych górskich drani i weźmiecie sobie ich kobiety, klejnoty i pióra. Ich pola i ich ogrody. Potem pójdziemy dalej. Wszędzie tam, gdzie nas jeszcze nie znają. Do Tikal. Na

północ. Na południe, za Przesmyk. Do kraju górskich cytadel, kamiennych spichlerzy i mumii. Za morze, do Złotych Miast! — Quinatzin poczuł, jak własna wizja go uskrzydla.

Tłum szemrał. *Tlatoani* dostrzegł pierwsze błyski zapалу, a może tylko chciwości. Czego brakuje tym ludziom? Co może im dać?

— Tu nie chodzi o złoto i krew! Udowodnicie waszym sąsiadom i krewnym, ile jesteście warci. Bo nie sami Kruzowie odbudują potęgę Przymierza. Jego los jest w rękach was wszystkich! Otomi i Zapoteków, Druazzi, Tarasków i Misztla!

Spraw, żeby poczuli się wielcy.

Mrowie dzikich twarzy wpatrywało się w niego jak w boga, który zstąpił z ołtarza, by złożyć im hołd. Stwarzali go, a on stwarzał ich. Quinatzin nabrał powietrza. Słowa same płynęły mu z ust:

— Wy wszyscy jesteście imperium! I dopiero po waszych zwycięstwach Przymierze odrodzi się w pełni!

Przerwał mu dziki ryk. Przez chwilę wydawało mu się, że to bunt, ale dostrzegł porucznika Yzatlina z uznaniem kiwającego małą, kanciastą głową, która zawsze kojarzyła mu się z kamykiem przez pomyłkę przytwierdzonym do ludzkich barków. Nie miał pojęcia, ile już razy maczuga zderzała się z tą kuriozalną czaszką.

Tlatoani przypomniał sobie, że matka Yzatlina pochodziła z dzikiego, górskiego plemienia. Ten człowiek znał się na rzeczy i słyszał niejedną przemowę.

Jeżeli teraz nawet on ryczał i wymachiwał w zapale pięściami, znaczyło to, że nie wyszło źle.

Rozdział 7

Namiętność jest wrzodem duszy

Ammianus Marcellinus

Citlali nie miała złudzeń. Nie została skierowana na wypoczynek, lecz wyrzucona z roboty, a to, że nie poddano jej torturom, niczego nie znaczyło. Tysiąca Oczu nie opuszczało się tak po prostu, już raczej nogami do przodu. Wiedziała, że ją obserwują, i czasami rozbierała się przy okienku z powolnym, beczelnym rozmysłem.

Od razu przytłoczył ją czas. W ostatnich miesiącach często czuła się zmęczona i przepracowana, teraz nadmiar wolnych chwil, wlokących się i zionących pustką, spadł na nią jak wodospad szarości.

Wróciła do swojego mieszkania jak do opustoszałego wszechświata, zapomnianego przez bogów i ludzi. Wszystko tu było przykrywką, szpiegowską legendą, która straciła sens. Frywolne stroje i biżuteria, kosmetyki zalatujące rozkładem. Citlali kołysała się w milczeniu, poddając się falom kojącego smutku. W ten sposób przekołysała się przez pierwsze ponure lata w tym dziwnym, obcym kraju. Aż tak uwierzyła w swoją determinację i siłę, że zapomniała, jak wielką ulgę potrafi przynosić słabość.

Wysypiała się teraz do oporu. Kysa zawsze powtarzała, że sen jest najlepszym kosmetykiem i kobieta od tego pięknieje. Tak, jakbym miała dla kogo pięknieć, myślała Citlali ze smutkiem i rosnącą goryczą. Haran nie dawał znaku życia, zupełnie jak gdyby zrobiła mu krzywdę. A przecież dla

niego zaryzykowała karierę, oszukała, no, zwiodła przełożonych. Nie sądziła, że torturowany Tlaskalanin mógł cokolwiek ukryć. Do dziś robiło jej się niedobrze na myśl o zabiegach, jakim go poddała. Paznokcie, jądra, bicie po piętach i tortura wody. Sukinsyn wytrzymał to wszystko i nie zdradził nic istotnego.

Mimo to nie opuszczało jej nieprzyjemne przecucie, że dała się wykorzystać i podejść.

Wytchnieniem okazały się jedynie sny i kraina świetlistych sekwoi, którą w nich odwiedzała. Każdej nocy wspinała się wyżej i dalej, jakby trapiiony beczynnością i lękiem umysł nadrabiał braki. Za dnia wracała niepewność i w końcu Citlali nie mogła jej dłużej znieść. Wykąpała się, umalowała starannie, tak że Kysa byłaby z niej dumna. I poszła się rozmówić z Haranem.

Zaskoczona, dowiedziała się, że po uroczystościach zachorował i od tygodnia nie ma go w koszarach. Czym prędzej ruszyła do przeznaczonego dla gwardzistów lazaretu, gdzie jowialny, raczej obleśny felczer oznajmił jej, że „kawaler kity nie odwalił i wkrótce znów będzie mógł bzykać”.

Haran wyszedł do niej na plac, odprowadzany żartobliwymi uwagami kolegów. Na policzkach kładły mu się cienie nietypowego u mieszkańców Przymierza zarostu, choć dostrzegła, że próbował się ogolić nożem. Ku zaskoczeniu Citlali, widok chłopaka ją wzruszył. Choć wychudły, dziwnie poszarzały i blady, wcale nie budził w niej wstrętu. Raczej czułość. Jej ojciec też nosił brodę, podobnie jak wielu Osanków. U budujących wielkie, wielorybiczne okręty ludów z północnych wybrzeży Oceanu Tonących Słońc nie należało to wcale do rzadkości.

Dziewczyna dostrzegła, że barbarzyńca utyka i zaciska usta, jakby każde poruszenie sprawiało mu ból. Zatrzymał się, gdy dzieliło ich kilka kroków. Gniewne słowa zamarły Citlali na ustach. Nie widzieli się od jego tryumfu na

arenie, ale wtedy okrywała go zakrwawiona ludzka skóra.

W pierwszej chwili zapragnęła, żeby z powrotem ją włożył. Wojownicy, biorący udział w Dniu Obdzierania Ze Skóry, często potem wyglądali nietępo, ale żaden nie miał tak nieobecnej twarzy, dygoczących rąk i płonących szaleństwem oczu. Bez namysłu zarzuciła mu ręce na szyję. Wciąż pachniał kadzidłem i śmiercią, słodkawym odorem krwi.

— Co się dzieje? Czemu nie dałeś mi znać, że chorujesz? — spytała, a on wyswobodził się z uścisku. Popatrzył na nią zakłopotany, jakby ich pocałunki stały się w jakiś sposób niestosowne.

— Odprawiałem żałobę — oznajmił posępnym głosem.

Citlali zaśmiała się, lecz zaraz zasłoniła usta.

— Przepraszam... ale to dziwne. Po kim?

— Nieważne. Chodźmy gdzieś, gdzie dają nierozcieńczane *pulque*, i pijmy, aż wreszcie przestanę... — urwał.

— Co przestaniesz? — Dziewczyna spojrzała na niego uważnie.

— Słyszeć jego głos — mruknął, a ona poczuła, że lepiej nie pytać dalej.

Rozpalone ulice Tollan powitały ich falą zapachów: aromatem smażonych pajęczych jajek, gryzącą wonią papryki i ciężkim odorem krwi. Świątowano.

Pili w każdej mijanej spelunie, coraz mniej pewnie zstępując po kolejnych śliskich i brudnych schodkach.

— Czekałam, aż się odezwiesz — zaczęła, nienawidząc się za proszący, płaczliwy ton.

Obojętnie pokiwał głową. Citlali poczuła złość. Nie oczekiwała, że ukochany padnie przed nią na kolana, ale miała nadzieję na inną reakcję.

— Byłem zajęty — mruknął. Jego głos brzmiał inaczej, wypowiadał słowa powoli i niepewnie, jak nieudolny brzuchomówca.

— Coś ściemniasz. Co się dzieje? — zapytała ostro.

Wzruszył ramionami i wbił wzrok w kupkę ulicznego żwiru.

— Nie mogę spać. Nie jem. Chyba jestem chory.

— Lekarze ci nie pomogli?

Haran roześmiał się chrapliwie.

— Musieliby wiedzieć, co leczyć. I kogo.

— Nawaliłeś się czymś? Nie poznaję cię.

— Ja też siebie nie poznaję, maleńka. Myślę, że powinnaś już wrócić do siebie.

Citlali złapała go za ramiona. Wzdrygnął się, jakby była wężem. W jego oczach ujrzała cierpienie i strach oraz coś, czego nie potrafiła, albo nie chciała, nazwać. Patrzył na nią tak, jak robili to więźniowie, gdy już stracili wiarę w błagania i kłamstwa, a mieli jeszcze dość siły na oszalałą nienawiść. Przypomniała sobie ostatniego z przesłuchiwanym, który wytrzymał więcej, niż może znieść człowiek, tak że ukończenie pracy stało się dużym wyzwaniem.

Przynajmniej była w tym dobra. Nie spieprzyłaby tego, gdyby nie Haran i jego cholerna prośba. Wyciągnęłaby z Szaratangi imiona kochanek, grzeszki młodości i plotki z tlaszkalańskiego dworu, szczegóły systemów obronnych i każdą trzymaną w zanadru sztuczkę, jaką ich górskie wiochy mogły jeszcze wymyślić, by odwlec nieuchronne. To Haran odebrał jej swoim szantażem zasłużone zwycięstwo. A teraz ją odrzuca, zamiast być wdzięcznym.

Poczuła się jak ktoś, komu nagle wyrwali spod nóg piękny, wozzysty kobierzec, odsłaniając powłokę kruchego lodu. A potem wyrabali przerębel.

Odwróciła się, żeby odejść. Zatrzymała ją wizja jej pustego pokoju, zapachu zwietrzałych perfum i kwilącej po kątach pustki.

— Potrzebuję cię, Haranie. Do diabła, zrobiłam dla ciebie wiele. Wyrzucili mnie... wiesz skąd. Jestem sama. Nie traktuj mnie tak — szepnęła.

W jego jasnych, nie całkiem ludzkich oczach zamigotało współczucie. Mimo to objął ją chłodno, tak jak pociesza się tłustą, spoconą ciotkę na pogrzebie w upalny dzień.

— Wierzę ci. Ale wszystkie roszczenia, zobowiązania i długi się przedawniły, Citlali. Przedsiębiorstwo Haran i Skurwysyny właśnie ogłasza upadłość.

— O co ci chodzi? — spytała bezradnie.

— Muszę wszystko podomykać — mówił szybko, jakby chciał możliwie najprędzej pozbyć się gorzkich słów.

— Poczekaj, słyszysz? Muszę ci coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego.

— To koniec, Citlali. Musimy się rozstać. Tym razem na dobre.

Dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem. Gdyby pogarda zabijała, Haran już padłby trupem.

— Skurwysyn z ciebie. Wiesz o tym?

Barbarzyńca odwrócił się i utykając, ruszył po stopniach w górę.

— Nie znałem mojej prawdziwej matki. Więc nie mogę tego potwierdzić — mruknął.

* * *

Tego dnia – wiedziała, że w drugim świecie jest noc, lecz w Lesie pojawiała się zawsze za dnia – sekwoje były szczególnie cudowne. Ich wierzchołki wbijały się w chmury, nie mogła dosięgnąć ich wzrokiem. Ale musiała się wspinać.

Obok twarzy przefrunął jej roziskrzony koliber, wcielenie jakiejś wolnej, bohaterskiej duszy, i dziewczyna pozdrowiła go śmiechem. Powietrze wypełniały zapachy, których nigdy nie czuła na jawie. Zbutwiała, wilgotna woń, ale bez tropikalnej domieszki, znaczone chłodem i mgłą. Wczepiała palce w zagłębienia i rowki kory, wspierała się kolanami.

Światło było żółtawe i ciepłe, wilgotne od kurtyny mgieł, które wciąż zasłaniały przed Citlali wierzchołki jej drzew. Ale dzisiaj wspinała się wyżej, właśnie w ten mglisty, bezkształtny całun. Kora była spocona i śliska, wilgoć oblepiła jej skórę i Citlali uświadomiła sobie z rozbawieniem, że tym razem wspina się naga.

Zadarła głowę i spostrzegła nad sobą chmury. Wiedziała, a może pamiętała, że za warstwą oparów znajdują się korony drzew. Tych, za którymi tęskniła, na które tak bardzo czekała. To stamtąd biła woń kwiatów, to stamtąd dobiegała muzyka. To tam wznosiły się utracone pałace Osanków.

I nagle przebiła się, wyzwoliła, zakołysała ponad stalową pokrywę mgły. Widok rozpościerał się aż po odległy horyzont, niezamknięty jakąkolwiek granicą, na twarzy czuła porywisty wiatr. Widziana z góry, tarcza chmur przypominała zimną, kamienną płytę, bezkresny grobowiec świata. Co kilka kroków wierzchołki ogromnych sekwoi przebijały ją jak krokusy wychodzące ze śniegu na łąkach odległej, północnej ojczyzny dziewczyny. Citlali objęła to wszystko wzrokiem, z jej piersi wydostał się szloch.

Nie było tu żadnych liści, kolibrów ani rozkwitłych pąków. Nie szemrało zielone listowie. Jej drzewa były nagie i martwe, z kikutami urwanych gałęzi, ostrych jak krwawiące włócznie. Okaleczone pnie marzeń, na których nigdy nie miały wyrosnąć pędy.

* * *

Następnego dnia niezwłocznie ruszyła do centrali Tysiąca Oczu.

— Chcę wrócić do służby — oświadczyła Murrokowi, który patrzył na nią z irytacją. Nic dziwnego. Skacowana i wymięta, mówiła ochryplym głosem, który mógł, ale nie musiał brzmieć w jego uszach seksownie.

Agent skrzyżował ręce na piersi i smutno pokręcił głową.

— Wciąż jesteś zawieszona. To decyzja góry.

— Nie do was, Murroku. Chcę wstąpić do Matek. Pomożesz mi przekonać Masztłę?

Zabójca wzdrygnął się, jakby właśnie niechcący udusił niemowlę. W jego oczach zamigotało coś, co do niego nie pasowało. Obrzydzenie? Strach? Kto wie, jakie sekrety krył w swoim czarnym sercu?

Pochyliła się nad biurkiem, nim pozwolił sobie na litość.

— Wiem, że brakuje im ludzi. Zgodzą się. Potrzebuję tylko rekomendacji.

— Wiesz, na co się piszesz, mała? — zapytał, odzyskując fason. — To kurewsko... nieludzka służba.

— Właśnie o to mi chodzi, Murr.

— Zdajesz sobie sprawę, że Matki nie przyjmą każdej. Masz spełniać jedno konkretne kryterium. Musisz być brzemienna i oddać im własne, pieprzone dziecko, z którego te więdźmy wyhodują nie wiadomo co. Więc zastanów się raz jeszcze, co powiesz. Spełniasz?

Citlali dotknęła twardego, lekko wypukłego brzucha i chłodno skinęła głową.

Rozdział 8

*Bodajbym nigdy nie przestąpił
Progu waszych szkół.*

Hölderlin

Tym razem Tennok zafundował sobie wystawną podróż do domu. Wieziony w opłaconej przez Maczuraia lektyce, zastanawiał się, co czeka go w Tollan. Książę wiedział, że Haran nie dał się zabić na bagnach. Dotarli do niego pogłoski o zajściach w Dzielnicy Leśnej.

Wróciwszy do stolicy, Tennok spostrzegł, że wszystko wygląda inaczej. Jediną znajomą, niezmienioną rzeczą okazało się wciąż towarzyszące mu, deprymujące poczucie, że nadaje się do wojaczki jak biurokrata do uczciwej pracy.

W koszarach roiło się od nowych twarzy i wyglądało na to, że książę nagle stał się szanowanym żołnierzem. Kwatermistrz zaprosił go do gry w kości i bąknął coś o dowodzeniu drużyną, a Maczan, antypatyczny tłuścioszek, pełniący obowiązki kuchcika, zaoferował, że odgrzeje mu placki z obiadu. Ba, doprawił je specjalnym sosem, bo Tennok, jako chyba jedyny Kruz w mieście, nie tolerował ostrego jedzenia. Nawet Yzatlin powitał go ojcowskim chrząknięciem, które nie było preludium do litanii pogrózek i przekleństw. To wszystko wydawało się tak niepokojące, że chłopak postanowił czym prędzej się urządzić.

Gdy już zaczął, nie bardzo mógł przestać. Przed sądem wojskowym

ocaliło go to, że oficerowie Jaguarów zajęci byli świątecznymi paradami i ucztami w pałacach. Pozostawiony sam sobie, Tennok z zapalem się nad sobą uzalał.

Matki powiedziały mu, że zapłaci trzy razy, Tennok wiedział, że dwa razy otworzył już sakiewkę. Pozwolił na śmierć Sippo, choć mógłby go pewnie ocalić. Potem w Labiryncie tchórzliwie patrzył, jak Termytyszlachtują jego kolegów. Ale najgorsza zdawała mu się ta niewiadoma przewina, która go dopiero czekała.

Trzecia zbrodnia musiała być większa. Czuł, że nawet ohydny sposób, w jaki potraktował Harana, atakując go z niskich pobudek, nie zamykał piekielnego rachunku. Czekalo go coś znacznie gorszego.

Myśl była przykra, wyostrzona niczym jazgot kaca i jasna jak jego kolory. I nie mógł jej z siebie wyrzucić. Wciąż czuł, że czeka go klęska.

Pewnej wiosennej, wietrznej nocy, gdy po byle jak odbębnionej służbie leczył ból głowy spóźnionym klinem, spłynęło na niego otrzeźwienie. Siedział w małej, ciemnej i cichej knajpce, wpatrzony w rosnące na podwórzu drzewo, stare i bezlistne, brutalnie targane wiatrem. To była paskudna noc. Mimo to drzewo wciąż stało i nie usiłowalo stać się czymś innym. Tennok nagle wejrzał w swój ból, w samo jego skłębione jądro. I zobaczył pustkę. Ból puścił, a książę wylał na podłogę pół dzbana *pulque*, budząc we współbiedniakach niedowierzanie, które szybko przerodziło się w oburzenie i groźby rozbicia mu łba.

I wtedy jego nagle wyschnięte serce zaczęło się domagać wypełnienia. W tych dniach Tollan żyło przygotowaniami do igrzysk i Ofiary Kamienia. Ulice atakowały go zapachami czekolady, duszonych pomidorów, przypraw oraz smrodem rozpacz i opuszczenia, dobywającym się z klatek, w których tuczono świątecznych jeńców. Każdy kochał Dzień Obdzierania ze Skóry.

Tennok też uległ świątecznej gorączce i poszedł obejrzeć ofiary, ich

zdobywców i przeciwników. Tylko do klatki Szaratangi, pod którą warował Haran, jakoś nie miał ochoty podchodzić. Konsekwentnie unikał swojego byłego *ursa*. Na jego widok przechodził na drugą stronę ulicy i krył się za najbliższym murem. Wolał nie kusić losu. Czuł, że potraktował Harana podle, lecz wciąż był na niego wściekły. Raz zobaczył go spacerującego eleganckim bulwarem w towarzystwie rozanielonej Citlali. Dziewczyna wyglądała prześlicznie. Księżę zrozumiał wtedy, że prędko się nie odkocha, mundur Jaguara jest zaś niczym przy czerwonym płaszczu Zabójcy Gwiazd.

Na samą myśl o tym, co czekało generała Termitów, robiło mu się niedobrze. Z tych samych względów nie oglądał później uroczystości i nie był świadkiem słynnej walki Lwa Labiryntu, o której wszyscy potem tak długo gadali.

Bardziej interesowali go kapłani. Paradowali z włosami zlepionymi krwią w mokre, cuchnące strąki, w czarnych szatach odwiecznej żałoby. Malowali jeńców białą farbą i polewali im uśmierzające napitki. Karmili otrębami i kaszą tlaszkalańskich młodzieńców przeznaczonych na ubój, macając ich przedramiona i uda ze znawstwem doświadczonych gospodyń. Tennok wiedział, że wkrótce rozdadzą ludowi te udźce, podlane ostrym, pomidorowym sosem, palącym przełyki wiernych aromatem świętości i chilli.

Mięso i igrzyska stanowią fundament imperium, dumal księżę, gapiąc się na kapłanów z zazdrością. Ci ludzie nie walczyli w bitwach, ale byli szanowani. Oni także karmili bogów, zajmowali tylko inne miejsce w procesie pozyskiwania Wody. Zawsze, gdy ich widział, miał wrażenie łączącej ich więzi. Ich twarze, przy całej wystudiowanej pokorze i nabożności, miały ten specyficzny wyraz, sugerujący, że wszyscy wokół bardzo niewiele wiedzą.

Nie posiadał się z radości, gdy Yzatlin oznajmił im, że kadeci Jaguarów

mogą udać się na szkolenie oficerskie do jednego z Kolegiów Kapłańskich. Teoretycznie był to wymóg szlacheckiej edukacji, ale rozbawiony porucznik nie ukrywał, że choć szanuje astrologię, bądź co bądź poważną naukę, to już czytanie i układanie poezji uważa za dyrdymały, uwłaczające Kruzowi. Z dwojga złego wolałby chyba zostać zbieraczem nawozu niż słów. Oczywiście, kobiety lubią takie bzdurki; wierszydła i tym podobne. W najgorszym razie, perorował, możecie wynająć uczonego do pomocy. Jednego z tych przygarbionych głodomorów, którzy studiowali przez lata jak durnie, nie posiadłszy żadnych pożytecznych umiejętności, i nie załapali się nawet na ciepłą posadkę w świątyni.

Co tam wierszyk! Ci desperaci z przetrąconym grzbietem napiszą wam epos, za placek i miskę kaszy.

Oczywiście, Tennok przegapił pierwsze zapisy. W rezultacie dostał przydział do ostatniej placówki z listy, opustoszałego przybytku Azakanny Niosącej Czarę, zapomnianej Bogini Pamięci. Wojownicy przeważnie doksztalcali się w świątyniach bardziej wojowniczych bóstw, takich jak Tezcatlipoka czy Szipe Totek. Tamtejsi kapłani znali się na wojaczce i mogli nauczyć nawet najlepszych siepaczy czegoś z zakresu anatomii, skórowania, ogłuszania i wykrawania organów tak, żeby ofiara nie straciła za szybko życia. Chram Azakanny, którą Maczurai nazywał z pogardą Boginią Gryzipiórków, przypadał w udziale ofermom.

PrzedSIONEK Kolegium, jak wszystkie religijne przybytki, cuchnął krwią. Przygarbiony wyrostek szorował zaschnięty posąg Tlaltecuhтли, przysadzistej Bogini Ziemi. Nowicjusz pracował właśnie nad żarłocznym, wywieszonym językiem bogini, którego poszarpane krawędzie zawsze przypominały Tennokowi piłę. Popatrzył na bandę młodych żołnierzy i głośno zaburczało mu w brzuchu. Koledzy Tennoka zarechotali, ale umilkli, gdy pojawił się starszy kapłan. Jego wyniszczone postami ciało znaczyły rytualne blizny.

Właśnie przetykał kolcem agawy policzki, wkładając szpikulec z lewej strony chudego oblicza i wyciągając z prawej. Jego sterane, sfatygowane oblicze wyglądało na osuszone do cna. Na widok młodych Jaguarów roześmiał się jazgotliwie i poprowadził ich do celi opata.

Najstarszy kapłan zajmował skromną komnatę, prawie klitkę. Spoczywał na prostym łóżku, którego nogi stały w naczyniach z wodą, czarną od martwych mrówek. Zapadła pierś poruszała się, więc najwyraźniej robactwo jeszcze nie zjadło go żywcem. Na widok młodych, zdrowych paniczów starzec uśmiechnął się słabo. Jego oczy płonęły surową siłą, której źródłem nie mogło być zmaltretowane i zbolące ciało.

— Cierpienie — powiedział z uśmiechem, jakby właśnie zachwalał im towar na sprzedaż. Tennok nie wiedzieć czemu zawstydził się i opuścił głowę. Jego koledzy także wierzili się niespokojnie, unikając palącego spojrzenia starca. — To życie zbudowane jest z powietrza i wody, nie skał. Pamiętajcie o tym, kiedy pustka z powrotem was przyzwie. Pamiętajcie, jak bardzo daremna jest pamięć.

I audiencja dobiegła końca.

Opuścili komnatę, w ukłonach, a przewodnik powiódł ich do ogromnego i zakurzonego skryptorium, w całości wypełnionego księgami. Barwne, papierowe kodeksy sąsiadowały ze zwojami i kamiennymi płytami. Książę spostrzegł też rzeźby, inskrypcje i kalendarzowe diagramy. Wisiała ogromna mapa, ukazująca zarys Dwóch Kontynentów. Pod ścianami czuwały posągi dziesiątków bóstw, a niektóre wyglądały na bardzo stare, jakby pochodziły z legendarnej epoki sprzed Klątwy.

W sąsiedniej sali trwał wykład, sędziwy uczoney objaśniał studentom prawidła jakiegoś egzotycznego języka, być może mowy Nadmorskich Miast, zamieszkanych przez skośnookich uchodźców z dalekiego zachodu. Towarzysze rozglądali się ze zdezorientowaną pogardą, ale Tennok był

urzeczony.

Czegoś takiego szukał przez całe życie.

W kolegium przyswajało się wiedzę i jeszcze bardziej egzotyczny smakołyk – mądrość. To zadanie jego towarzysze broni postanowili ordynarnie odbębnić. Wojownik brał jeńców i przelewał krew. Od wyjaśniania celu tych działań, nadawania im ładnie brzmiącego znaczenia, byli właśnie kapłani.

Wojownicy słuchali kapłanów, bo tak się przyjęło, nie bez znaczenia wydawała się także żołnierska przesądność, typowa u tych, którzy nadstawiają karku. Mimo to w głębi serca czuli do gryzipiórków pogardę. Bo czy to słuszne, że silnym, młodym mężczyznom, którzy potrafią zabijać i ginąć w boju, rozkazują zgarbieni, cherlawi starcy z oczami łzawiącymi od kurzu z ksiąg?

Kiedy Tennok skończył pierwsze zadanie – wyliczenie prostych ruchów gwiazdozbioru Kondora według trzeciego kalendarza rytualnego – zorientował się, że przez ramię zagląda mu jakiś starzec. Księżę spojrzał na niego, zażenowany, gotowy na drwinę bądź burę.

— Bardzo dobrze, synu. Masz do tego talent, bez dwóch zdań.

I tak się zaczęło.

Księżę samowolnie przedłużył swoje szkolenie. W koszarach nikt go nie szukał, wszyscy śledzili igrzyska, wszak Ofiara Kamienia to najważniejsze wydarzenie roku. Nawet w Kolegium zostały tylko najbardziej ekscentryczne i społeczne jednostki. Tennok nie wiedział, czy to, że ci odmieńcy z miejsca uznali go za swego, niepokoi go, czy raczej napawa otuchą. Po raz pierwszy w życiu czuł, że jest naprawdę u siebie. W przeciwieństwie do jego dawnych eskapad ten wybór nie miał w sobie niczego z autodestrukcji. Chłopak po prostu zamienił kastę.

Ponieważ kapłańska wierchuszka również wybrała się podziwiać walki,

pieczę nad księgozbiorem przejęli ich następcy. Po pierwszym dniu szperania w tajnych zbiorach Tennok miał wrażenie, że dowiedział się o świecie więcej niż przez całe swe dotychczasowe życie.

Pochłonięty wiedzą, nie palił się do nawiązywania znajomości, zresztą słudzy Azakanny niechętnie otwierali usta. Może szkodziło im to na pamięć? Mimo to ksiązę zaprzyjaźnił się z jednym ze starszych kapłanów, krępym, brodatym staruszkiem imieniem Potemok.

Był to niewielki, zawsze uprzejmy mężczyzna z czujnymi oczami królika, które ładnie współgrały z wystającymi zębami i dłońmi, często przez właściciela rozplatanymi i splatanymi. Jego patronem był Bóg Królik, tchórzliwy i płodny, patron uczonych, pisarzy i jedno z najmniej szanowanych i wpływowych bóstw w zatłoczonym panteonie Kruzów. Gdy jakiś barczysty wojownik chamsko spychał chudego pismaka z chodnika, ten miotał klątwy i zwracał się właśnie do niego, a wtedy Bóg Królik... no właśnie, co robi patron pisarzy? Konfrontacja Królika i Tezcatlipoki, Tego, Którego Niewolnikami Jesteśmy, patrona mroku, przemocy i ciemnych sił, musiała być isticie epicka. Na miejscu boga pisarzy Tennok napisałby donos, lub raczej obelżywą piosneczkę.

Oczywiście, nie poruszał z króliczym kapłanem tak idiotycznych tematów. O dziwo, nareszcie miał inne. Będąc opiekunem czytelní, Potemok znalazł się na linii frontu, wystawiony na niekończące się salwy pytań. Tennok zamęczał go nimi niczym dociekliwy trzylatek.

— Dlaczego tamte wydarzenia w ogóle nazywa się Klątwą? Czyż nie zostaliśmy wtedy ocaleni? Czyż nie pokonaliśmy Białoskórych?

— Był to koniec poprzedniego Słońca — wyjaśnił nauczyciel spokojnie. Tennoka to nie przekonało.

— Przecież Cykle kończą się w ten sposób od zawsze. Co parę tysięcy lat ma miejsce zmiana, okres strachu i wielkiego zamętu. I jakoś tylko ten jeden

koniec zasługiwał na tak patetyczną nazwę — upierał się.

Starzec westchnął.

— Nie pokonaliśmy Białoskórych, uczniu. Bogowie zesłali na nich śmiertelną chorobę. Początkowo Prawdziwi Ludzie świętowali. Lecz zaraza nie poprzestała na obcych. Zaczęły się inne... kataklizmy. Wkrótce ludzie przekonali się, że są świadkami końca Cyklu, zagłady obecnego Słońca — powiedział jego nauczyciel z namaszczeniem. Przemawiał do Tennoka jak do upartego, lecz naiwnego dziecka, widać inaczej nie umiał.

— Słyszałem, że przez kilka miesięcy nie było światła. Zawsze uważałem, że to taka poetycka przenośnia — wyszeptał Tennok.

— Bynajmniej. Ciemności naprawdę zapadły. Najpierw oszalały wulkany. Rzygały lawą i ogniem, nawet te uważane za dawno wygasłe. Ba, lawa tryskała w miejscowościach, których mieszkańcy nie wiedzieli, co to takiego wulkan! Horyzont zasnuły cuchnące opary. Nikt nie mógł zobaczyć nieba, z którego spadały na ludzi płomienie i grad niszczycielskich skał. To stąd, jak uważam, pochodzą ludowe wierzenia o demonicznych planetach, które ponoć zstępują na ziemię, by ingerować w losy śmiertelników, siać zniszczenie i śmierć. Oczywiście, oficjalna teologia głosi coś innego. Niemniej sprawa wulkanów jest bezsporna. Do dziś znajdujemy zakopane w popiele osady z tamtej epoki, ze świetnie zachowanymi sprzętami. Sam zgromadziłem kilka osmalonych skorup...

Książe spojrzał na niego sceptycznie.

— Może komuś przypaliła się zupa. Nie ufam takim dowodom — mruknął.

Mistrz zaśmiał się gromko.

— Skorupy to nie wszystko. To właśnie wtedy endemiczny królik wulkaniczny *teporingo*, do tej pory żyjący zaledwie na kilku wulkanach w Dolinie Synn, rozprzestrzenił się na cały kontynent — tłumaczył uczony,

który najwyraźniej trafił na swój ulubiony temat, bo obojętny zazwyczaj głos, bezbarwny jak i reszta jego osoby, ożywił się i nabrał mocy.

Za to Tennok zszarzał. Skoro ciemności naprawdę zapadły... to może i demony istnieją? Do tej pory zaliczał takie relacje do sfery legend – przerażających w miły, napawający dreszczykiem ekscytacji sposób, lecz tak naprawdę bezpiecznych jak bajkowe opowieści przy ognisku, które miały straszyć ociężałych umysłowo grzeszników i napełnić chciwe sakiewki kapłanów.

Słowa Potemoka, suche i rzeczowe, zostawiały zupełnie inne wrażenie.

— A Zjadacze? Też wywodzą się z tamtych czasów?

— Przypuszcza się, że większość tych istot to ludzie, którzy pod wpływem nadmiernych, hmm, obciążeń utracili zdolność do pozostania człowiekiem. Jak powszechnie wiadomo, te bestie hołdują najniższym instynktom.

— Nie wszyscy Zjadacze są tacy. Niektórzy są wręcz doskonali — zaoponował książe.

Przypomniął sobie istoty, o których wspominał mu Haran. Milczące, z nieludzko pięknymi twarzami.

— Zjadacze? Doskonali? Skąd taki pomysł? — zdziwił się uczony.

— Kilku z nich wzięło udział w ostatniej wojnie. Wspierali nas w Labiryncie — mruknął Tennok i zadrżał, choć w bibliotece było sucho i ciepło.

Kiedy opowiadał starszemu o istotach w zdobionych maskach, kapłan słuchał, podekscytowany.

— Tak, to mogły być *murgha*. Nie mamy o nich zbyt wielu informacji. Dziś tych stworzeń nie spotyka się często... i całe szczęście — powiedział stary uczony.

— Słyszałem jeszcze o innych, jeszcze rzadszych istotach. Czy nauka

dysponuje informacjami o *mo'qun*? — spytał księżę.

— W kwestii Idących Przez Ściany nie będę się wypowiadał. To raczej historia literatury i etnografia podań ludowych niż nauka — uciał mędrzec.

Obyś miał rację, pomyślał Tennok. Oby.

Igrzyska dobiegły końca, a on kontynuował badania. Czytał liczne apokryfy, zakazane i odrzucone przez naukę relacje z lat Klątwy. Czy takie kataklizmy zdarzały się regularnie? Czy świat przed katastrofą był inny? Jaki był związek między *murgha*, *mo'qunami* i Klątwą?

Któregoś dnia, porządkując kodeksy przeznaczone na przemiał, trafił na dziwną notę. Pozółkły świstek wypadł z zagadkowego kodeksu, którego żaden z żyjących kruzańskich skrybów nie potrafił odczytać. Potemok wahał się, bo księga była naprawdę prastara, zrobiona z nieznanego tworzywa, zapewne na bazie zwierzęcych skór. Na pewno nie napisano jej na włóknistym papierze stosowanym przez Kruzów.

Prawie nie miała ilustracji, brakowało kilku kart. Charakter pisma również wskazywał na jakąś zamierzchłą epokę. Jednym słowem, nikt nie potrafił odczytać tego cennego dzieła. Zapewne pochodziło z jednego z tych zapomnianych, odciętych od świata królestw, władających do czasu nadejścia Kruzów jedną górską doliną. Jego język i kultura szczyły bez śladu, wraz z jego mieszkańcami, którzy uświęcili jedno z masowych świąt. Bywało, że ginęły tak całe narody.

Tennok również próbował swoich sił jako tłumacz, ale poddał się jakiś czas temu. Być może był to jakiś skomplikowany szyfr. Za to notka... Poświęcił jej raptem kilka chwil i nagle roześmiał się głośno. Kilku sędziwych, zasuszonych jak sępy kapłanów posłało mu potępiające spojrzenia, lecz księżę się nie przejął.

Dziwną notkę napisano w języku Druazzi.

Nawet jeżeli jakiś kapłan ją widział, prawdopodobieństwo, że władał

barbarzyńskim dialektem jednego z łowieckich plemion, wydawało się znikome. Tennok sam był zaskoczony, że w czasie spędzonym z Haranem aż tak dobrze zgłębił to barbarzyńskie narzecze. Autor tłumaczył, że będąc w podróży, natrafił przypadkiem na księgę tak bluźnierczą i heretycką, że za samo czytanie jej słów groziła mu straszna kaźń. Mimo to posłannictwo księgi uznał za wartościowe i ważne. W trosce o własną skórę zniszczył pierwotny dokument, a potem, myśląc o potomności, sporządził niewielkie streszczenie tekstu i zapisał je w mało znanym dialekcie jednego z ostatnich, na poły zwierzęcych ludów, w dodatku zaszyfrowanym.

Tennok złamał szyfr; teraz, gdy wiedział, że powstał na bazie dialektów Druazzi, było to dziecinnie łatwe. Ale lektura kodeksu, znanego jako *Tajna Historia Kruzów*, nie miała w sobie nic dziecinnego i raczej **odbierała** niewinność.

Kronika opisywała ostatnie lata Najazdu i Wielkiej Wojny.

Autor twierdził, że miało to miejsce dwa stulecia przed jego czasami. Uwzględniając, że zaszyfrowany tekst także był stary, datowany na minimum trzysta lat, Tennok pokusił się o umiejscowienie Klątwy w czasie. Musiała nastąpić mniej więcej pięćset lat wcześniej.

Gdy stolica starożytnych Azteków płonęła, a zakuci w żelazo wrogowie szturmowali ostatnie świątynie i chramy, zdarzyło się coś strasznego. Zwróćmy uwagę, że dla starożytnego autora było to zdarzenie gorsze od pożarów, zagłady i klęski. Montezuma Tchórzliwy, ostatni władca Azteków, zawiedziony milczeniem bogów i zdesperowany, poprosił o pomoc demony.

Więzało się to z obserwatoriami astronomicznymi, z których słynęli Aztekowie. Od początku Najazdu, za pomocą magicznych zwierciadeł i lamp, ślali oni prośby o wsparcie do swoich niebiańskich bogów. Gdy nie przynosiło to efektu, nieszczęsny Montezuma skierował swe rozpaczliwe

błagania ku tym mrocznym obszarom nieba, które jego przezorni przodkowie obłożyli zakazem.

„A gdy jasna część nieba milczała, złamał pieczęć i wołał do ciemnej”.

Wtedy zaczęła się Klątwa.

(...)

Potem tekst niestety zawierał lukę. Przy opisie Klątwy autor niemalże pominął Zjadaczy, skupiając się na pladze epidemii i chorób, które wytepiły Białoskórych i zdziesiątkowały także Prawdziwych Ludzi. Zdaniem autora tamta mroczna epoka, podczas której miasta spłonęły i „nie było komu prowadzić kronik”, na zawsze pozostanie zagadką. W pewnym momencie Zjadacze stali się tak wielkim zagrożeniem, że do walki z potworami skrzyknęła się dziwna koalicja, krucha jak biodra starca.

Egzotyczne przymierze obejmowało, jak enigmatycznie wyraził się autor, „szereg zwaśnionych plemion”. Na szczęście w kronice padały nazwiska i przydomki. Tennok rozpoznał charakterystyczne imiona azteckie i tlaszkalańskie, a także Tikalczyków i wodzów plemiennych. Ba, wyszukał nawet tajemniczego Białoskórego o chropawym nazwisku Hernandez. Ta ostania informacja była zadziwiająca. Stała w jaskrawej sprzeczności z oficjalnym nauczaniem kapłanów. Aztekowie, Tlaszkalanie i Biali walczący po jednej stronie? Jak bardzo musieli być zdesperowani!

Co gorsza, na liście sojuszników nie było żadnego Kruza, a przecież historiografia Odrodzonego Przymierza roiała się od legend o bohaterskich wodzach z tamtych czasów i ich wojennych przewagach. Każde kruzańskie dziecko znało te nazwiska, lecz najwyraźniej nie słyszał o nich autor zaszyfrowanej kroniki.

Tennok zagwizdał cicho, co ściągnęło nań karcące spojrzenia kapłanów i nowicjuszy. Miał to gdzieś. Nareszcie znalazł teorię spiskową skrojoną

specjalnie dla niego. Nieobecność jego przodków na liście oznaczała, że oficjalna historia Odrodzonego Przymierza jest kłamstwem. Ta wiedza była miodem na jego zbolełe serce. Zawsze podejrzewał, że to ze światem jest coś nie tak, a nie z nim. Z rozrzewnieniem popatrzył na zawaloną księgami komnatę i pilnych niczym mrówki nowicjuszy, zatopionych w lekturze opasłych kodeksów i kalendarzy. Byli jego braćmi. Czuł się jak pryszczaty trzynastolatek, lewitujący niemal na widok ukochanej, do której nie odezwie się jeszcze przez kilka lat, podtrzymując uroczą iluzję doskonałości. To prawdziwa miłość! Przewrócił kolejną stronicę.

Przerwał mu jakiś hałas. Do skryptorium wkroczył wizytujący cenzor z Czerwonej Świątyni, wypatrujący „niezdrowych” oznak ekscytacji i ożywienia. Nowicjusze skulili się. Tennok natychmiast przybrał stosowny wyraz twarzy mozolącego się z niemożliwym zadaniem szyfranta. Szurukan nie lubił ksiąg i uważał, że prawdy wiary powinny być przekazywane ustnie, a nie spisywane przez pyszałków i mędrków. Teraz Tennok zrozumiał, dlaczego stary tyran tak myślał.

Mijały dni. Tennok czytał. Ostatnie rozdziały kroniki stawiały silniejszy opór, stosunkowo prosty szyfr zastąpiony został znacznie trudniejszym. Jakby bezimienny tłumacz sprzed wieków coraz bardziej obawiał się zapisywanych treści i wdział dodatkowy kamuflaż. Ale nawet odcyfrowane okruchy wystarczały, by przerazić i podekscytować Tennoka jeszcze bardziej.

Klątwa nie była wymierzona jedynie w Białoskórych. Okazała się plagą dla całej ludzkości. To nie Białoskórzy wyniszczyli mieszkańców dawnej stolicy. Zjadacze, którzy pojawili się wraz z Klątwą, mieli w tym większe sukcesy. Prawdziwych Ludzi ocaliła tylko odsiecz, która nadeszła z... Tlaskali! Każdy okruszek starożytnej wiedzy podważał i podmywał teraźniejszość.

W tamtych czasach to Druazzi rządili w Yugal, pisali księgi i rezydowali w pałacach. Za to przodkowie Kruzów, którzy wtedy chadzali, „mając lędźwie przepasane wiatrem”, klepali biedę wśród pustyń, pożerając pieśni preriowe i chrząszcze.

Czasami ta wichrycielska, podważająca fundamenty świata lektura opętywała Tennoka tak silnie, że dosłownie lękał się własnych myśli. Upojony, przemierzał ulice, mamrocząc pod nosem wywrotowe teorie, szalone jak ekstrakt z tysięcy grzybów. Przepęniało go poczucie własnej wartości i znaczenia. Dotykał tajnego sedna wszechrzeczy!

Nawet wiosenna pogoda, z podmuchami wiatru i deszczem bezczelnie smagającymi twarz, była mu jakoś miła. Adekwatna, w końcu on też toczył wielkie zmagania. Przechodnie patrzyli nań jak na pijanego młokosa, odwzajemniał im się spojrzeniami pełnymi pogardy. Głupcy! Żyją jak zwierzęta, podczas gdy przed nim rozpościera się Prawda!

Gdy nużyły go już stęchłe księgi i ascetyczne praktyki nauczycieli, wyprawiał się na miasto, żeby trochę „dorzucić do paleniska”. Uwielbiał moment, gdy po zawieszonym w czasie spokoju komnaty z księgami, po ciszy milczenia świętych mężów, uważnie stąpających przez gaje kamiennych kolumn, dopadał go gwar Tollan, które czekało za murem. Gapił się na skromne, wielkookie dziewczyny, niosące kosze lub dzbany z wodą, albo na wyzywające kurtyzany, których oczy błyszczały z barwionych na żółto twarzy. Pokrzepiał się kaczym mięsem, podawanym z gorzkim, brunatnym sosem z kakaa i pomidorów oraz z polentą i smażonymi jajeczkami owadów. Skoszarowani w świątyni nowicjusze dostawali kaszkę kukurydzianą, bez smaku, której zakalcowata, gliniasta konsystencja prowadziła ich myśli ku wyższym celom. Tennokowi odpowiadało w ich wikcie to, że prawie nie używali ostrych przypraw, ale same składniki... Zgroza.

Tłumaczył sobie, że do postów i innych elementów kapłańskiego życia, takich jak celibat i rytualne samookaleczenia, przyzwyczai się później. Gdy już przyjmie święcenia.

Oczywiście pociągało to za sobą kłopotliwą rozmowę z dowództwem, wystosowanie oficjalnej prośby o przeniesienie. Z czymś takim nie należało się jednak spieszyć. Pozostawała też kwestia jego rodziny, która lepiej przyjęłaby wieść, że zginął, niż że porzucił świetną wojskową karierę i nagle został kapłanem. Co gorsza, nie Tetzalipoki czy Boga Ognia, lecz zakurzonej, niepozornej Bogini Pamięci i Wiedzy. Ale chłopak wiedział, że z tym też sobie teraz poradzi. Opinie Maczuraia i Irdany przestały być dla niego ważne.

W końcu odnalazł cel.

* * *

Pewnego wieczoru na ulicy zatrzymała go jakaś postać.

— Zaczekaj! — zawołała, a on minął ją, głuchy i ślepy.

Oczy mu łzawiły od ślęczenia nad zatartymi inskrypcjami, opisującymi pierwsze spotkanie Montezumy i Bezimiennego. Nie miał czasu ani ochoty na kurwy. Kobieta chwyciła go za ramię i Tennok zorientował się, że jak na prostytutkę, jest wyjątkowo elegancko ubrana. Jej twarz skrywała woalka, a towarzyszyło jej dwóch rośliwych strażników Druazzi.

Przemknęło mu przez myśl, że może spotkał rozpustną damulkę szukającą przygody, lecz odrzucił tę hipotezę bez żalu. Kobiety tego pokroju nie wybierały zgarbionych i obdartych dezertków, lecz wystrojonych elegancików.

Zdjęła welon, a Tennok aż podskoczył ze zgrozy i wstrętu.

Bogowie, to matka. Tylko jeden człowiek na świecie mógłby ucieszyć go mniej i był nim jego rodzony ojciec.

— Może wytłumaczysz mi, co ty najlepszego wyprawiasz? — syknęła.

— Ja...? Uczę się — zakaszłał Tennok.

— Porzuciłeś służbę! Twój przełożony powiedział, że czeka cię sąd wojskowy. W najlepszym razie usuną cię z pułku.

— Przecież wciąż trwa świętowanie tej, no, Ofiary Kamienia. Myślałem, że nikt nie zauważy... — wymamrotał.

— Uroczystości? Skończyły się tydzień temu. Ty naprawdę jesteś chory — powiedziała Irdana z niepokojem, kładąc mu rękę na czole.

Wyrwał się ze złością.

— Odkąd to interesujesz się moim zdrowiem?

— Niech pomyślę. Chyba od czasu, gdy przeklęta rada klanu uznała twoich młodszych braci za niezdolnych do objęcia rządów... przy zgodzie twojego ojca. Znowu pniesz się w górę — warknęła.

W jej oczach zobaczył prawdziwy strach, który sprawił mu przyjemność.

— Co się stało? Przyłapał ich na recytowaniu poezji? — zakpił.

Irdana pokręciła głową.

Tennok znów się roześmiał. Przypomniał sobie radość i dumę, z jaką ojciec klepał jego młodszych braci po pleckach, gdy kończyli swoją kolejną bójkę. Jego w ten sposób nie klepał. Nawet gdy jako sześciolatek rozwiązał dwustopniowe równanie kalendarzowe.

— A tak się zapowiadali.

— Podobno są idiotami. Opóźnionymi. Już wcześniej krążyły plotki, ale ostatnio... zaczęło to być widoczne. Oczywiście, twój ojciec tuszowałby całą sprawę, lecz podłapały to rody. Wiesz, że władca kruzańskiego klanu musi być nieskazitelny. Moźni zażądali kapłańskiej komisji i publicznego sprawdzianu. Upokarzający spektakl — wyznała ze wstydem.

Tennok rozmarzył się:

— I pomyśleć, że stawiano mi ich za wzór. Nieskomplikowania... prostoty i zdrowej energii. To dobre!

— Bawi cię to? Nie rozumiesz, co mi grozi, idioto?

— Tobie? Pomyślmy. Znając ojca, wypędzi cię albo otruje, a potem weźmie sobie nową, młodszą żonę i zacznie ją z zapalem zapładniać. Na twoim miejscu już bym pakował manatki.

— Maczurai nie będzie mieć więcej dzieci. Z nikim. Lekarze mówią, że to z powodu chorób, których nabawił się na północy. Ostatki nasienia zmarnował, od jakiegoś czasu młodsze żony rodziły mu same córki. Zostałeś mu tylko ty.

Tennok zbladł. Zaczęło do niego docierać, co to oznacza.

— Bogowie...

— Bądź gotowy. Ojciec już wypytuje o ciebie. Niedługo oficjalnie przedstawi cię krewniakom i stronnikom rodu...

— Dlaczego mi o tym mówisz? Czego chcesz? — warknął.

Irdana powoli podniosła wzrok.

— Potraktuj to jak ostrzeżenie. Ktoś mówił ci ostatnio, jak wyglądasz? Jakaś stroskana kobieta? No tak, niby skąd. Szkoda, że siebie nie widzisz. Kaszlesz, jakbyś chorował na płuca. Jesteś przygarbiony, masz niezdrową cerę. Twoje włosy... czy to pajęczyny? Kłaczki bawełny? I dlaczego twój mundur jest tak zakurzony?

Książę milczał. Nigdy nie potrafił jej zbyt długo słuchać. Kiedyś było to bardzo bolesne, teraz usiłował przyjmować jej utyskiwanie z wisielczym humorem. Pogodził się z tym, że po prostu jej nie rozumie. Irdana mówiła w innym języku, należała do innego gatunku. Kiedyś obwiniał się o to, lecz z biegiem lat doszedł do wniosku, że więzom krwi nadaje się wyolbrzymione znaczenie. A potem ludzie się męczą, nie mogąc zrozumieć, czemu nie cierpią własnych rodziców albo rodzeństwa, których świat nakazuje im kochać. A to przecież tylko rzut kośćmi. Zupełnie jakby bogowie umieszczali nas w przypadkowych łonach, bez żadnego pomysłu i planu.

Nigdy nie rozumiał, o co naprawdę w tym chodzi. Za to był pewien jednego. Nie spotkał w życiu ludzi bardziej odstręczających i obcych niż członkowie najbliższej rodziny.

Cierpliwie czekał, aż matce wreszcie zabraknie słów. Uszedł z niej także zapach. Uśmiechnęła się do Tennoka nieśmiało i było to znacznie gorsze niż najcelniejsze szyderstwa i drwiny. Nagle spostrzegł, jak się postarzała.

— Uważaj, co robisz, synu. On może w każdej chwili do ciebie przyjechać, musisz być na to gotowy. Nie zmarnuj tego, co już osiągnąłeś. To bardzo dobrze, że dałeś sobie radę w wojsku. Być może ocali ci to życie.

Tennok musiał się oprzeć o mur. Maczurai wybiera się tutaj? Popatrzył na swój idiotyczny mundur, cętkowane futro wielkiego kota. Czy ojciec rzeczywiście był z niego dumny, gdy ostatnio zawitał do Tollan? A jeśli tak, to czy Tennok będzie musiał teraz do końca życia paradować w tym wdzianku? W tej obcej i fałszywej skórze, założonej tylko po to, żeby oswoić gniew ojca?

Zastanawiał się, czy bardziej go nienawidzi, czy się boi.

Rozdział 9

Stoimy na ramionach olbrzymów, lecz nie znamy nawet zarysów ich kości. Któż bowiem stworzył podstawy naszego świata? Aztekowie i Białoskórzy, Przodkowie i Prześladowcy, zatopieni w śmiertelnych zmaganiach.

Niestety, gdy kurz walki opadł, po starożytnych imperiach ostał się jeno szyderyczy zarys na piasku. Spustoszone pustkowia i zgliszcza, gdzie rozlega się skowyt demonów. Zmierzch Białoskórych da się przynajmniej prześledzić. Wycofali się w górskie doliny, prowadząc legiony Tlaskalan, by tam dogorywać w ukryciu wraz z ową zdradziecką rasą. Ale ojcowie Pierwszego Przymierza, Aztekowie? Synowie Słońca i Krwi? Zostawili nam akwedukty i zamki, kalendarze i rytuały, kształty prawa, miłości i wojny. A oni sami? Nie zachował się nawet kurz z ich sandałów.

Powiadam wam, bracia, wszyscy jesteśmy sierotami.

Lokteotl, Tajna Historia Kruzów

Dzień po spotkaniu z Irdaną Tennok odwiedził swój pułk i złożył oficjalną prośbę o przeniesienie. Awansowany na kapitana Yzatalin i nowy pułkownik, Kukaryn, o dziwo, nie robili mu wstrętów. Zaimponował im list polecający od Potemoka, opatrzony porażającą liczbą pieczęci.

Na pewno księciu pomogło podkreślanie, że wiedza, którą spodziewał się posiąść w świątyni, zostanie kiedyś użyta na potrzeby wojska. Skoro armii towarzyszą medycy i kaznodzieje, czemu miałyby tego nie robić historyk

znający wierzenia wrogich krain? Albo, jeszcze lepiej, kartograf? I to wy zasłyniecie tym pierwsi!

Zwierzchnicy słuchali z mądrymi minami. Słowa księcia były dla nich średnio zrozumiałe, ale to tylko spotęgowało szacunek ich adresatów.

Jeżeli odwołanie niezbyt ważnego szeregowca można przekuć w sukces propagandowy, nie należy się zastanawiać. Kukaryn zamasyście podpisał dokument zwolnienia ze służby. Potem, ciągnąc się za przetyczkę w nosie – miał taki nerwowy gest, choć tak naprawdę bardziej gnębiły go hemoroidy – zapytał Tennoka, kiedy jego bezcenną wiedzę będzie można zastosować w praktyce. Książę napił się gorzkiej czekolady i wytwornie otarł usta bawełnianą chusteczką.

— Wkrótce. To kwestia dziesięciu, najwyżej dwudziestu lat — mruknął.

Oficerowie spojrzeli po sobie z powagą. Tak, to prawdopodobnie realny termin. Dojrzała, rozsądna odpowiedź księcia, godna najsumienniejszego z urzędników państwowych, tylko utwierdziła ich w przekonaniu, że podjęli właściwą decyzję.

Kapłani ze Świątyni Pamięci przyjęli jego powrót jak coś oczywistego. Tennok zdawał sobie jednak sprawę, że Maczurai na taki numer nie pójdzie. Ostrzeżenie Irdany sprawiło, że przestał wychodzić na miasto. Nie, żeby wiele tracił, ale na ulicach Tollan robiło się niespokojnie. Quinatzin ogłosił kolejną wojnę bez konsultacji z kapłanami i wbrew kalendarzowym zasadom Wojen Kwietnych. W ten sposób chlusnął oliwą w żar, który nigdy nie przestał się tlić.

Z początku Tennok spodziewał się, że ulica zmiecie młodego króla z tronu na jedno skinienie Szurukana. Jednak zaskakująco wielu ludzi, w tym także rodowitych Kruzów, poparło bluźnierczą politykę Qunatzina. Pragnęli odwetu za upokarzający spektakl, jaki zafundował im Szaratanga, pokonując najlepszych szermierzy Przymierza. Wojna, nawet wszczęta wbrew woli

kapłanów i bogów, wydawała się jedynym sposobem zmazania hańby.

Z ulic zniknęli gwardziści *tlatoaniego* i żołnierze generała Tizoka. Miało to zapobiec eskalacji konfliktu, ale rezultat okazał się zgoła odwrotny. Nikt nie zapobiegał starciom. Kapłani i arystokraci brali się za łby z kupcami, a starzy Kruzowie bili z ludnością napływową. Nawet nowi koledzy księcia, bladzi nowicjusze Azakanny, bogini Pamięci, dawali się porwać przemocy.

Tennoka to nie obchodziło.

Czuł, że walka między Quinatzinem i Szurukanem to tylko kolejna odsłona spektaklu, obliczonego na zamydlenie oczu poddanych. Nie zamierzał opowiadać się po żadnej stronie. Ci dwaj walczyli ze sobą o ład, który sam w sobie był kłamstwem!

Im bardziej zgłębiał ocalałe kroniki z lat Klątwy, te, których nie objęła cenzura imperialnego Ministerstwa Dziedzictwa i Chwały, tym bardziej uderzało go wrażenie oszustwa. Oficjalna historia jego kraju była kłamstwem. Nikt nie chciał pamiętać, że Prawdziwych Ludzi, Azteków i ich sojuszników, spotkała haniebna porażka.

Białoskórzy najeźdźcy przedarli się przez ich szyki jak rozgrzany nóż przez kostkę kaczego łożu. Poeci i propagandziści rozplýwali się w zachwytach nad męstwem szeregowych żołnierzy, ale nawet to nie do końca odpowiadało prawdzie. Tennok znalazł ocalały egzemplarz kodeksu będącego lamentem nad Bitwą w Dolinie Otumba, gdzie kilkuset Białoskórych, wspomaganych przez garstkę Tlaszkalan, rozgromiło dwadzieścia tysięcy Meszików i zabiło ich wodza.

Napływający z północnych pustkowi Kruzowie, wtedy zaledwie dzicy nomadzi, którzy pojawili się na kartach historii, gdy Klątwa zaczęła dogasać, nie stoczyli z Białoskórymi żadnych poważnych bitew o ruiny i zgliszczą Pierwszego Przymierza. Co najwyżej prześladowali niedobitków. Wyglądało na to, że nikt w Odrodzonym Przymierzu nie wiedział, dlaczego ich świat

ocalał. Ani co pokonało ich wrogów.

Według wyciągu z *Kroniki ocalenia*, jego najcenniejszego źródła, owego zaszyfrowanego streszczenia pisanego w dialekcie Druazzi, Aztekowie, Tlaskalanie i niedobitki Białych skrzyknęli się do walki z „demonami”. To był kluczowy fragment, pojął Tennok, obgryzając paznokcie do krwi, jakby miażdżył ciała kłamliwych historyków i propagandzistów. Mówiąc „demony”, autor nie myślał o Białoskórych, lecz o innych, dużo groźniejszych istotach, które pojawiły się w tym samym czasie, gdy nastąpiła Klątwa! Czy były przodkami Zjadaczy? Jaką magią ich przywołano, z jakich piekieł? O tym wszystkim nikt z mędrców nigdy nie mówił, ale demony nie stały się przez to mniej realne.

Niestety, autor właśnie w tym miejscu zmienił szyfr, posiłkując się jakimś nieznanym Tennokowi dialektem. Uniemożliwiło mu to znalezienie odpowiedzi, oczywiście jeżeli takowa kryła się w tekście. Z jego doświadczeń młodego adepta wiedzy wynikało, że uczeni byli znacznie lepsi w mnożeniu pytań i zaciemnianiu wszystkiego za pomocą napuszonych terminów niż w udzielaniu klarownych odpowiedzi.

W skryptorium zazwyczaj panowała cisza. Tym razem przerwał mu hałas przesuwanych krzeseł i zniechęcony szczeł broni. Książę uniósł głowę i zorientował się, że otacza go grupa uzbrojonych kapłanów. Jego chuderlawi koledzy, uzbrojeni w kije i noże z krzemienia i obsydianu, wyglądali niezwykle poważnie. Tak poważnie, że było to śmieszne.

— Słucham? — zapytał, z irytacją marszcząc czoło i brwi.

Nie zrobiło to na nikim wrażenia.

— Podobno byłeś żołnierzem — oznajmił prowodyr grupy.

— Bardzo kiepskim. — Książę uśmiechnął się krzywo. — Dlatego przeniosłem się do was.

— Walczyłeś w Labiryncie.

— A kto nie walczył? Chyba jedynie kaleki. A teraz przepraszam, ale mam esej do napisania.

— Bezbożnicy i barbarzyńcy obrażają nas i lżą nasze święte tradycje. Zginiemy, ale damy im dumny odpór.

— Świetnie. Tak trzymać. Napomknę o was w moim eseju — zaczął Tennok, ale szczupły nowicjusz bez ceregieli zmiotł jego notatki ze stołu.

— Epoka gryzmołów minęła. Nadeszła epoka czynów! — Zapaleniec wydał się Tennokowi tak wychudzony i lekki, że księżę zapragnął dociążyć go przyciskiem do papieru.

— Mam z wami pójść? Dobrze. A kto wami dowodzi? — Tennok uśmiechał się teraz paskudnie, zaciskając pięści. Czuł, że chyba wróci do tej nieszczęsnej wojaczki. Przynajmniej na moment.

— Ja! — powiedział siwowłosy starzec, który wysunął się z za pleców nowicjuszy. Tennok, poruszony, rozpoznał starego Potemoka. Zawsze kojarzył mu się z królikiem. Tylko teraz był to królik szablastozębny, wojowniczy jak tuzin jaguarów. Nauczyciel Tennoka także był uzbrojony i to nie w miotełkę do kurzu ani pędzelek, lecz staromodny miecz o ostrzu z kamiennych płytek.

— Myślałem, że mamy zapamiętywać historię, a nie ją tworzyć. Kto opisze ten czas, jeżeli wszyscy zginiemy? — zaproponował chłopak.

— Krycie się także nic nie da. Quinatzin ogłosił, że opodatkuje świątynię na potrzeby nadchodzącej kampanii. Ten barbarzyńca na tronie otacza się mętami i przybłędami, osobnikami, którzy do tego stopnia nie rozumieją fundamentalnych wartości, że chyba nie zasługują na miano Prawdziwych Ludzi. To banda zachłannych oszustów. Jeżeli go nie powstrzymamy, ograbi i zniszczy nas wszystkich — oznajmił Potemok pośepnie.

Tennok westchnął. Nie cierpiał historii współczesnej.

* * *

Na szczęście nie wszyscy wkurzeni kapłani, w których odezwała się tego dnia żądza krwi, przypominali posturą kolegów księcia. Na ulicach nie brakowało rosłych, długowłosych młodzieńców, którzy w służbie przy ołtarzach i klatkach nabrali tężyzny i wprawy rzeźników. Wielu z nich miało doświadczenie wojskowe, pozostali szybko go nabrali.

Szli ciemną parną ulicą, słysząc nawoływania sprzedawców wody. Powietrze pachniało nadchodzącą burzą. Kanałem płynął stary zbieracz nawozu w swoim czólnie-wychodku, którego zawartość użyźni wkrótce poletka *chiampa*. Tennok miał nadzieję, że on sam nie stanie się wkrótce nawozem.

W ustach czuł kwaśny smak strachu, nogi i ręce zrobiły się podejrzenie omdlałe i miękkie. Był dzień Młodej Kukurydzy i jak zawsze w święto młodzi, bogaci kupcy wdziali najlepsze szaty, usiłując dorównać przepychem wojownikom. Na ulicach roiło się od prowincjuszy; rozmaitych awanturników, lichwiarzy i kupców, którzy zdążyli już zdobyć w stolicy majątek, a teraz pragnęli dodać do niego szacunek. Zajadle wspierali Quinatzina i jego chęć wywrócenia wszystkiego na nitce.

I właśnie oni szli całą szerokością ulicy, pokrzykując i tupiąc. Mieli drogie przetyczki i płaszcze z najlepszej bawełny i piór. Nosili też, co było szczególnie obraźliwe, podgolone, czubate fryzury wojowników, którzy zdobyli już jeńca. Bogaci handlarze nie mieli do nich prawa i właśnie dlatego przejawiali na ich punkcie obsesję. Było ich kilkunastu, więcej niż towarzyszy Tennoka, którzy instynktownie ustąpili kupcom z drogi.

Zza rogu wyłoniło się kilku szlachciców. Wprawdzie podwładni Tizoka stacjonowali poza obrębem murów, ale w Tollan roiło się od byłych żołnierzy. Ci nosili insygnia Orłów. Nie chcieli zakładać nieporęcznych, drewnianych hełmów w kształcie ptasich głów. Zamiast tego zadowolili się

lekkimi stelażami z wizerunkiem swego dumnego patrona przytroczonymi do pleców.

Padlinożercy, pomyślał Tennok. Ich dumny, arystokratyczny orzeł najchętniej pożerał ścierwa.

Nagle uderzyło go, że stara elita nie wygra. Ci ludzie niczego nie wytwarzali, niczego nie rozumieli. Co najwyżej przelewali krew.

Obie grupy miały się właśnie. Zaczęło się od trącenia barkiem, potem padła kunsztowna obelga. Wysoki, żyłasty szlachcic o twarzy przeciętej ponurą blizną zatrzymał na środku ulicy wystrojonego przywódcę kupców. Młodego, przysadzystego, mocno zbudowanego chłopaka z okrągłą twarzą, lekko zgarbionym grzbietem i bardzo bystrymi oczami. Jako dziecko musiał pracować na polach kukurydzy. Spojrzał na wojownika z godnością. W oczach arystokraty płonęła jedynie nienawiść. Jego dłoń wystrzeliła i wyrwał krępemu kupcowi przetyczkę.

Bójka była gwałtowna i bardzo brutalna. Arystokraci cięli wrogów ostrymi *macuahuitlami*, po stronie kupców łomotały pałki. Tennok i jego grupka gapili się na to w stuporze. Cóż, z pewnością ktoś z nas to kiedyś opíše, pomyślał książę z przekąsem. Nagle błysnęła stal i rozległ się głośny huk, w powietrze uniosły się pasma zielonej, trującej mgiełki. Szlachetnie urodzeni cofnęli się, zostawiając na bruku zwłoki jednego ze swoich. Jeden z kupców zaopatrzył się na czarnym rynku w *braazatalową* rusznicę.

— Diabelstwo! — krzyknął przywódca oddziału Tennoka.

Kapłani rzucili się na kupców, a wojownicy odzyskali animusz i szybko wrócili do walki. Wzięci w dwa ognie handlarze próbowali uciekać, daremnie jednak. Tennok, który najpierw trzymał się z tyłu, poczuł, jak ogarnia go zapal. Wygrywali i było ich więcej.

Po bitwie wypadało się posilić i odpocząć. Wojownicy postawili swym sojusznikom tortille, fasolę i ostre szaszłyki z rusztu. Nie zabrakło *pulque*.

Potem szli całą szerokością ulicy, pokrzykując, tupiąc i śpiewając wojenny hymn ku czci Tezcatlipoki. Tennok czuł, że miasto należy do nich, a on należy do wspaniałej ekipy. Ściągnięci do stolicy barbarzyńscy żołnierze obserwowali ich z respektem. I bardzo dobrze. To kruzańscy kapłani i wojownicy, strażnicy świętych tradycji byli w tym mieście u siebie. Potem koledzy wykruszyli się i księżę bawił się w gronie nowych przyjaciół. Trunki płynęły wartko, podobnie jak pieniądze jego sponsorów.

Do Chramu Pamięci Tennok wracał już sam. Wtoczył się do głównego holu i uderzyła go panująca tam cisza. Inna niż skupione milczenie zaczytanych i rozmodlonych kapłanów, które z początku potrafiło go uspić.

Świątynia była pusta, wyczyszczona jak spizarnia pijaka.

— Wilk? Potemok? Gdzie jesteście? — pytał przestraszony, zaglądając do kolejnych cel. — Gdzie są wszyscy...?

Odpowiedział mu cichy, znajomy śmiech. Dobiegał z komnaty najstarszego kapłana, Ipozeatla, o którym krążyła plotka, że nietęgo bywało u niego z pamięcią.

Księżę wparował do komnaty opata, otwierając drzwi mocnym kopniakiem. W kominku palił się ogień, a Ipozeatl znajdował się tam gdzie zawsze. Spoczywał na łóżku wymoszczonym zapachem zgnilizny. Nogi mebla jak zwykle stały w miskach z wodą, ale tym razem to nie robaki po niego przyszły.

Gardło starego mnicha, przecięte czysto, otwierało się przed Tennokiem jak uśmiech. Szeroki, lecz nie tak promienny jak ten, który zdobił oblicze jego ojca. Maczurai, władca Yugał, siedział na krześle obok. Ciężki miecz spoczywał mu na kolanach, obnażony i gotowy do kolejnej zbrodni.

— Zabiłeś go — rzekł księżę zmartwiałym głosem. Nie panował nad strachem.

— Za to inni żyją. Jeszcze — powiedział Maczurai.

Beznosa, prostacka twarz ojca patrzyła na syna niewzruszona. Tennok nie dostrzegł w niej nic sardonicznego, całe wyrefinowane okrucieństwo, cała groza, czekały gdzieś, przyczajone w ukryciu. Maczurai nie musiał nimi epatować i robić strasznych min. Siłą władcy Yugal był solidny, ociężały spokój.

— Przeciwno twoim kolegom toczy się postępowanie. Wszystko wskazuje, że dopuścili się zdrady. Porucznik Okotal może poświadczyć.

Zabójca Gwiazd bezszelestnie wyłonił się z cienia. Kiedyś Tennok zastanawiał się, jakim cudem to robią. Teraz skupił się na mrocznych i ciemnych oczach cesarskiego zabójcy. Czy dojrzy w nich cień własnej śmierci?

Głos przybysza był matowy i miękki:

— Personel kolegium zabrano do Piramidy Królów. Po pierwsze, brali udział w zamieszkach. Po drugie, prowadzone przez tych złoczyńców „historyczne” badania miały na celu podważenie legalności obecnego ustroju. Dopuszcili się zdrady stanu. Wyrok na prowodyrze został wykonany na miejscu, ponieważ stawiał nam czynny opór...

— Zgromił was wzrokiem? — przerwał mu Tennok, czując, że zaczyna w nim kipieć furia.

— Pozostałym też grozi śmierć, synu — uciszył go ojciec. — Choć da się ich jeszcze ocalić.

— Doprawdy?

— Doszły mnie słuchy, że ci ludzie stali ci się bliscy. Teraz jednak musisz niezwłocznie zerwać z nimi wszelkie kontakty. Osobiście zajmę się twoją reedukacją, która przygotuje cię do pełnienia obowiązków przypisanych ci na mocy urodzenia...

Tennok wykopał spod niego krzesło. Nie wiedział, skąd wziął taką szybkość, ale zaskoczył zarówno Maczuraia, jak i szpiega. Księżę z góry

wymierzył leżącemu ojcu cios pięścią w twarz. Zdążył trafić starego tylko raz, następne uderzenie ojciec zablokował przedramieniem.

Księżę zamierzył się znów i poczuł na gardle ostrze miecza. Ton głosu Zabójcy Gwiazd wciąż wydawał się beznamiętny, trzeba mu to przyznać:

— Czcigodny Maczurai jest osobistym przyjacielem mojego króla. Będziesz musiał bić kogoś innego, panie.

— Dobrze. Boli, ale podoba mi się. Byłeś szybki. — Maczurai splunął zębem i usiadł, masując szczękę. W jego oczach tańczyła czerwona furia, lecz było w nich też inne, zgoła odmienne uczucie. Z nagłym przestraszeniem Tennok pomyślał, że ojciec obejmie go i przytuli. — Dobrze. Bardzo dobrze. Nie przyjechałem tu po kukielkę. Te czasy są dla nich niezdrowe. Mój następca nie może być słaby.

— Wolę zdechnąć! — wybuchnął Tennok. Pod powiekami zapiekły go łzy.

— Tego nie chcemy. Zastanów się, synu. Pomyśl o swoich przyjaciółkach i pokaż, że ci zależy. Quinatzin jest gotów zapomnieć o waszych grzeszkach. Od tego, czy mnie przekonasz, zależy życie tych ludzi...

— Dwudziestu czterech kapłanów i nowicjuszków. A także personelu służebnego — dodał Zabójca Gwiazd. Nie czytał z kartki.

— Nienawidzę cię! Nienawidzę! — Księżę nie panował już nad głosem. Ani czymkolwiek innym.

— Nie szkodzi. Ale pamiętaj. Jeżeli znów podniesiesz na mnie rękę, zabiję cię. Aż tak bardzo nie potrzebuję dziedzica.

Rozdział 10

*Kolejna wojna w tym roku?
Prawa dla obcych przybłądów?
Zmityguj nieco, Zwycięski.
Wkrótce zabraknie ci błędów.*
Anonim z Tollan

Chmury burzowe rozwiały się, dopiero kiedy runęła ulewa. Tollan spłynęło krwią, nieprzewidzianą w kalendarzowym jadłospisie bóstw. Zaczęło się od erotyczno-teologicznej błahostki; dziki najemnik Otomi obraził strażnika świątyni Bogini Ziemi, sugerując, że ten „woli czochrać cipy z kamienia niż te żywe”. Potem walki rozlały się na dzielnice zamieszkałe przez cudzoziemców, które zawsze paliły się pierwsze.

Bogowie pewnie się cieszą. Kochają oglądać nasz zapał. Poza tym dostali darmową kolejkę, myślał Quinatzin, wsłuchany w odgłosy walk.

Był dziwnie pewien, że po drugiej stronie rozległego Placu Świątynnego, na szczycie swojej siedziby, to samo robi Szurukan. Chyba że Czerwony Kapłan odważył się zejść na ziemię i przemawiał do swoich zwolenników z barykady. Sam *tlatoani* również rozważał pokusę osobistego włączenia się w nurt wydarzeń, ale odrzucił ją jako zbyt niebezpieczną. Jego ludzie i tak wiedzieli, co robić. A w razie gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli... Zdobywanie piramid trwało naprawdę długo.

Na razie przeglądał okolicę za pomocą mosiężnej lunety. Uwielbiał to

cacko. Stary podłużny przedmiot pokrywały miejscami płatki patyny i przypominał obłazącą, zielonkawą tykwę. Mimo to nadal zdumiewał precyzją.

Quinatzin był pewien, że *braazatalowe* muszkiety to dopiero początek i że inne skarby Białoskórych czekają na powrót do łask. Któregoś dnia wjedzie do swojej stolicy na koniu, eskortowany przez gwardię w płytowych zbrojach, prowadząc pułki kawalerii, muszkieterów, do tego armaty i...

Tlatoani dostrzegł nad odległymi dachami najpierw pojedyncze, potem coraz liczniejsze pióropusze dymu. Zagryzł wargi i poczuł, jak strach przebiega mu po kręgosłupie zimnymi, mokrymi łapkami. Jeżeli miasto płonęło, znaczyło to, że straż miejska i jego gwardziści powoli tracili kontrolę. Wizja masowej rewolty towarzyszyła mu, podobnie jak każdemu władcy, przez całe życie; w latach Klątwy dochodziło przecież do rozruchów, podczas których rozjuszony motłoch wyrzynał całe dynastie.

— Co się tam dzieje? Dlaczego nie ma meldunków? — zawołał swojego adiutanta.

Po chwili na szczyt piramidy dotarł zdyszany posłaniec. Młody wojownik wyglądał na mocno wystraszonego, głos drżał mu jak u skarconego dziecka. Dwaj towarzyszący mu gwardziści byli brudni i wycieńczeni, ich miecze spływały krwią.

— Nie możemy wyjść, panie. Plac Świątynny jest pod kontrolą tłumu. To głównie nowicjusze i uczniowie z kolegów kapłańskich, panie.

Quinatzin prychnął. To było do przewidzenia. Jeżeli dziesięć procent populacji pełniło jedną z kapłańskich funkcji, to nie dziwota, że taka siła potrafiła opanować ulice. Szurukan odwołał się do ich lojalności i Quinatzin nie mógł mu mieć tego za złe; zrobiłby przecież to samo.

— Co wrzeszcza?

— Och... to, co zwykle — wybąkał żołnierz, wijąc się jak smażony

w oleju wąż.

Quinatzin uśmiechnął się mile.

— Nie wiem, co krzyczą zwykle. Widzisz, synu, przy mnie zazwyczaj milkną.

— No więc... krzyczą, że jesteś obmierzłym tyranem, panie. I zdrajcą. Że łamiąc zasady Wielkiej Rachuby, plugawisz odwieczny Ład Świata. Ruszając drugi raz przeciwko Tlaszkali, niechybnie rozgniewasz bogów.

— Już to słyszeliśmy. — *Tlatoani* zwrócił się do swoich zwolenników, których dopadła niepokojąca zaduma.

— To nie wszystko, panie — rozkręcił się młody wojownik. — Te psy ośmielają się mówić, że masz duszę Białoskórego, chciwego i żadnego władzy. I że przez to bogowie powrócą z gwiazd i rozpocznie się nowy Cykl. Niektórzy mówią, że nasz Cykl już się skończył.

— Dziękuję, wystarczy. Wracaj do koszar i odpocznij, żołnierzu.

Tlatoani zmarszczył wyskubane brwi. Hm, to niepokojące. Sekty apokaliptyczne, głoszące przeróżne wersje starego proroctwa zagłady oraz mit o śmierci i nowym początku, nie były ani czymś zaskakującym, ani nowym. Ale nikt nigdy nie wygłaszał takich haseł na Placu Świątynnym Tollan, pod egidą Najwyższego Kapłana. Proroctwa o końcu Cyklu zawsze okazywały się bronią obosieczną, wzbudzającą niekontrolowaną panikę i rozruchy, rozprzestrzeniającą herezje. Często towarzyszyły im żądania reform i moralnego oczyszczenia, wymierzone w elity, w tym kler. Szurukan musiał wiedzieć, że wywołana przez nie panika mogła równie dobrze obrócić się przeciw niemu. Musiał być naprawdę zdesperowany... albo śnił o czymś równie przerażającym jak Quinatzin. W każdym razie sytuacja zrobiła się groźna.

— Jakieś rady? — zapytał towarzyszących mu oficerów najspokojniejszym tonem, jaki mógł wydobyć z zaschniętego gardła.

Myszowaty, szlachetnie urodzony Ussurian, który najlepiej czuł się podczas drzemki w zaciszu swojego gabinetu, bezradnie rozłożył ramiona. Jego nominacja była ukłonem w stronę starej arystokracji, którego *tlatoani* już zaczynał żałować.

— Może powinieneś się spotkać z Najwyższym Kapłanem. Szurukan nie chce przecież zagłady stolicy.

— Bzdura. Z całym szacunkiem, generale — odezwał się kapitan Yzatlin. Weteran, którego dumny czub odrósł już po ostatniej kampanii, wyraźnie rwał się do walki. — W ten sposób okażesz im słabość. Powinniśmy uderzyć wszystkimi siłami i wybić skurwysynów do nogi.

— Kuszące. Ale Szurukan tylko marzy, by stać się męczennikiem tyrana. Kapłani obiorą jego następcę i będą trwali w oporze, opromienieni nimbem prześladowań i walki o wolność. A co ty byś mi radził, generale? — Król zwrócił się do ubranego w czarną zbroję Hirikana, dowódcy Zabójców Gwiazd.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wypełnię każdy rozkaz, *tlatoani*. Ale wolę nie zaczynać myśleć. Jestem tylko prostym żołnierzem. — W jego oczach zamigotała ironia.

— Osobiście uważam, że powinniśmy jak najprędzej przywrócić porządek. Z całą stanowczością — sapnął Masztla, wysoki rangą pracownik Tysiąca Oczu. Opasły mężczyzna budził powszechną litość. Od godziny nie mógł złapać oddechu – albo bardzo chciał zrobić takie wrażenie.

Quinatzin przypatrywał mu się spod oka. Szpiedzy zawsze udawali niegroźnych, a do tego politycznie bezstronnych. Nie stanowiło to jednak dla nikogo tajemnicy, że Masztla był zażarcie, wręcz nienawistnie oddany idei Świętego Przymierza, rządzonego przez boskich wybrańców, czyli ludzi Czerwonej Świątyni. Jego szef, stary Chimalpopoka, był bardziej enigmatyczny, a przez to tym bardziej groźny.

— Sam nie wiem. W końcu to jednak kapłani, Masztla.

— Nieważne, czy to ludzie świątyni, czy niewolnicy i złodzieje. Motłoch podważa twoją władzę, królu — powtórzył szef szpiegów z uporem.

— Atakując kapłanów, potwierdzisz tylko ich kłamstwa. Zyskają nowych zwolenników — beznamiętnie odezwał się Haran.

Od Ofiary Kamienia często towarzyszył Quinatzinowi jako przyboczny gwardzista. A ci nie zwykli zabierać głosu.

Zebrani spojrzeli na barbarzyńcę zdumieni, jak na żabę, która nie dość, że przemawia ludzkim głosem, to jeszcze przeklina i bluźni. Yzatlin w zamyśleniu pokręcił głową. Atletyczny pułkownik Kukaryn, zawsze wymuskany i próżny jak żołądek kopacza kopalu, skrzywił się. Wyglądał, jakby zamierzał splunąć, ale z uwagi na majestat króla zakrzuszył się własną plwociną. Wyniesienie *ursa* jego dawnego podkomendnego, Tennoka, było mu wyraźnie nie w smak.

Masztla splótł palce i z troską pokręcił głową.

— Właśnie o tym mówię. Dziś ludzie nie znają swojego miejsca... nie wiedzą, czym jest szacunek. Sięgają po dobra innych. Odzywają się niepytani.

Quinatzin odniósł niepokojące wrażenie, że grubas usłyszał te słowa od Szurukana. „Zaczynam mieć paranoję. Naprawdę”.

— Chronię króla, szpiegu. A ty? Wokół czyjego tyłka się krzątasz? — warknął Haran.

Tlatoani klasnął w dłonie.

— Dość. Niech Oczy udadzą się na ulice i dyskretnie wyłapią prowodyrów. Przydajcie się na coś, Masztla.

Szpieg odszedł, sapiąc, purpurowy niczym przejrzały pomidor. Quinatzin odprawił switę i skinieniem przywołał Harana. Popatrzył na niego uważnie. Jego zdaniem władcy dzielili się na długowiecznych, którzy regularnie

sondują stan ducha swoich gwardzistów, i na tych, którzy kończą ze sztyletem w plecach.

Ogromny Druazzi wciąż był dla niego zagadką. Nic nie robiło na chłopaku większego wrażenia. Królewskich doradców i dworzan traktował z ledwie skrywaną pogardą, Hirikana trzymał na dystans, zawsze był czujny i skupiony na pracy. Takich ludzi niełatwo pozyskać i kupić... ale Quinatzin pocieszał się, że dotyczyło to także jego wrogów.

— Uważasz, że kapłani próbują mnie sprowokować? — zapytał cicho. Barbarzyńca powoli pokiwał głową.

— Chcą zrobić z ciebie tyrana i okrutnika. Wystarczy im jedna iskra.

Quinatzin musiał się z tym zgodzić. Gdy na ulicach pojawią się jego żołnierze, to Tizok, żeby zachować twarz, pośle tam i swoich.

— Jeżeli nie powstrzymam zamieszek, wyjdę na słabeusza. To mi radzisz?

— To tak jak z łowami na wielkie pekari, królu. Druazzi mawiają, że jeśli pospieszysz się z atakiem, możesz zginąć, stratowany przez zwierza. Jeżeli zmitręzysz i zagapisz się, najwyżej nie zjesz kolacji.

— Chyba ich lubię. Są mądrzy. — Quinatzin uśmiechnął się lekko. Haran wzruszył ramionami.

— Czasem umierają z głodu.

Następne godziny były jednymi z najdłuższych w życiu Quinatzina. Z miasta napływały sprzeczne, niejasne meldunki. Wyglądało na to, że coraz więcej ludzi chwyciło za broń. Wreszcie szczęk oręża, wrzaski i dymy pożarów dotarły do Piramidy Królów. Ktoś jęknął cicho, a zatroskany Kukaryn puścił głośnego, alarmowego bąka. *Tlatoani* wychylił się za barierkę, kurczowo ściskając lunetę.

Zobaczył, jak wielka smuga dymu wzbija się w niebo w samym centrum metropolii. Pożar szalał w okolicy, gdzie wznosiła się Czerwona Świątynia.

* * *

Tennok rozumiał ojca. Odczytywał jego intencje z zapalem skazańca oczekującego na ulaskawienie i z wnikliwością żeglarza, przewidującego nadchodzący szkwał. Z odwieczną nadzieją psa. Maczurai i jego nastroje okupowały centrum jego małego świata.

Zrozumienie narastało w nim od lat. Pogłębiało się z każdą blizną, z każdym kopniakiem, który sięgnął celu. Maczurai był nieszczęśliwy. Spotkało go wiele rozczarowań. Spotykają wszystkich, ale im silniejszy człowiek, tym trudniej się na nie godzi. Tacy jesteśmy, my, potomkowie zwycięzców.

A ojciec katował go z troski.

Katował go, bo miał powód. Starał się, martwił i oczekiwałby synka, który jest źródłem radości, otuchy i satysfakcji. Bezustanne porażki, wyskoki i zaniechania Tennoka bardzo go martwiły. Z upływem lat, gdy pochylał nad nim wykrzywioną wściekłością twarz, książkę dostrzegał w niej coraz więcej zmarszczek. W gęstych włosach wiły się srebrne nitki. I pomyśleć, że to wszystko przez niego. Czasem robak potrafi powalić giganta.

Znajdowali się na szczycie zgrabnej, gustownej piramidy, którą *tlatoani* łaskawie użyczył Maczuraiowi na czas pobytu w stolicy, traktując władcę Yugal bardziej jak cennego sojusznika niż namiestnika odległej prowincji. Tennok podejrzewał, że chodziło tu o *braazatal*, bez którego jego rodzinne miasto byłoby tylko prowincjonalną miejsciną, niefortunnie położoną wśród bagien i gnijących lasów. Jakkolwiek było, Maczurai dosłownie i w przenośni piął się w górę.

Tennok miał stąd znakomity widok na miasto i targający nim konflikt.

Zamieszki na razie zamarły, ale ogień przemocy wciąż tlił się, w każdej chwili gotowy wybuchnąć. Przed Czerwoną Świątynią płonęły wielkie

ogniska. Otaczały ją tysiące wiernych. Byli wśród nich kapłani i wojownicy, bo choć regularne oddziały wojskowe obu stronnictw trzymały się z dala od miasta, wielu członków starej, kruzańskiej kasty wojowników manifestowało poparcie dla niej. W porównaniu z tym mrowiem Piramida Królów wydawała się osamotnioną enklawą przepychu i arogancji.

— To głupcy. Na razie pozwalamy im drwić z woli króla, ale wszystko ma swój kres, Tennoku — powiedział Maczurai, drapiąc się pod barwnym ubraniem z piór.

Nosił teraz nową, przepyszną szatę, którą dostał w prezencie od Quinatzina i która okazała się za ciasna. Stał na tarasie blisko syna, jakby zamierzał go objąć. Albo zepchnąć.

— Nigdy cię nie zrozumiem, Tennoku. Ty naprawdę żałujesz, że nie jesteś teraz z nimi. A taka drobna kwestia jak interes twojego rodu, jego sojusze i przyszłość, przemknęła ci w ogóle przez myśl? — Ojciec patrzył na niego w sposób, jaki Tennok dobrze pamiętał z dzieciństwa. Jakby nie wierzył, że można się tak potknąć, potłuc, przewrócić, nie odbić kauczukowej piłki. Tak sromotnie rozminąć się z celem.

— Wiem, wiem. Kapłani nie kupią od ciebie *braazatalu*... a już na pewno nie tyle, byś zdołał utrzymać bogactwo i wpływy. Nic dziwnego, że nagle zostałeś lojalistą — mruknął książę.

Jedno nie budziło wątpliwości, to po stronie Quinatzina był luksus. Na tarasie piramidy grały cykady, zioła i kwiaty upajały ciężką, słodkawą wonią. W podniebnych ogrodach przechadzały się smukłe, oswojone łanie i jeszcze smuklejsze kobiety w zwiewnych szatach, przejrzystych jak górski strumień. W dole było smrodliwie i duszno, ludzie tłoczyli się tam od wielu dni, zmieniając się tylko na drzemkę. Czuwali nad Szurukanem, nie ufając zapewnieniom Quinatzina o neutralności.

— Przemyślałeś moją ofertę? — spytał Maczurai chrapliwie.

Nie, żeby usiłował go straszyć. Stary zawsze brzmiał groźnie, zmiążdżenie nosa poważnie wpłynęło na tembr jego głosu. Tennok pamiętał, jak kiedyś w dzieciństwie zmoczył się, gdy Maczurai znienacka pojawił się przy jego posłaniu, żeby powiedzieć dobranoc.

— Wiedziałeś, na co mnie łapać, prawda? — Księżę popatrzył na ojca z podziwem.

— Często ludzie biorą mnie za głupca, bo jestem wysoki i lubię się bawić mieczem — rzucił Maczurai, kucając obok syna. — Pozwalam im, bo to wygodne. I może ocalić skórę, zwłaszcza gdy trafi się paranoik na tronie. Ale, wbrew pozorom, posługuję się czasem umysłem. Sam miecz to za mało.

— Obrażasz mnie, myśląc, że zgodzę się na twój szantaż.

— No, no. Oszczędź sobie dumy. W końcu przyszedłeś, prawda? Dobrze wiem, że masz miękkie serce.

Tennok splunął i spojrzał na niego z wściekłością. Maczurai poklepał go po ramieniu.

— Jestem pewien, że podejmiesz właściwą decyzję. Do polityki nadajesz się bardziej, niż sądzisz. To nie to samo co wojna i rzadziej się maszeruje. Ale najpierw powinieneś się umyć. Cuchniesz kadzidłem i postem.

Tennok wyprostował się dumnie i rozdziawił gębę, gdy stanęła przed nim dziewczyna, której ciało składało się z gładkich, łagodnych obłości. Jej ubranie było czystą kpina, za to jej oczy, ciepłe i mokre jak deszcz, nie ukrywały niczego. Rozchyliła mięsiste, czerwone usta, żartując z księcia wilgotnym koniuszkiem języka. Chciał czmychnąć, ale złapała go za rękę i położyła ją sobie na piersi, która zadrżała pod jego dotykiem jak ptak.

— Oto mydło i woda, synu — rzekł Maczurai, spoglądając na dziewczynę z uznaniem. — Obmyj się dobrze, odpocznij, a potem przybijemy umowę. Twoi koledzy w lochach z pewnością docenią, że postanowiłeś się dla nich poświęcić...

* * *

O słynnych zamieszkach, które uświadomiły kapłanom, że masy nie popierają ich tak bardzo, jak wszyscy mędrkowie sądzili, powstały dziesiątki traktatów. Zapisano tony agawowego papieru, żeby udowodnić to, co niewyobrażalne.

Lud nie obronił Świątyni.

Quinatzin rozmawiał o tym ze „zwykłymi ludźmi” z Tollan, którzy tego dnia ocalili jego chwiejące się panowanie. Nie, nie przemierzał ulic i grobli stolicy w stroju prostego wędrowca, jak wezyr z zamorskiej baśni. Na to miał zbyt czuły zmysł powonienia. Zgarnięty z ulicy delikwent, po zdjęciu jutowego worka, stawał przed obliczem kilku zamaskowanych funkcjonariuszy. Nie trzeba go było nawet bić. Dużo lepiej sprawdzało się dobre słowo. Wyjaśnienie, że nastąpiła pomyłka, a rzeczony delikwent jest praworządny, uczciwą jednostką, solą tej ziemi. A potem, pod wpływem ulgi, delikwent zaczął mówić.

Tym razem przywiedli przed jego oblicze sklepikarza, zakrwawionego i pijanego zrabowanym *pulque*. Wielbiciela walk gladiatorów, zwanych powszechnie „kolibrami”, bo nagrodą za odważną śmierć była wieczność spędzona na spijaniu słodkiego nektaru. Smakosza świątecznego ciasta nasączonego krwią jeńców. Szanującego tradycję i bogów, lecz nieceniącego opasłych brzuchów kapłanów. Bezwzględного militarystę i czułego ojca rodziny, jednym słowem, zwykłego Kruza starej daty. *Tlatoani* słuchał jego przemowy i coraz szerzej otwierał oczy.

Jego władzę ocaliły emocje! Te same zbiorowe, pozbawione rozsądku namiętności, których Quinatzin nigdy nie potrafił zrozumieć i na których od stuleci żerują kapłani. W normalnych okolicznościach nieposzanowanie tradycji obróciłoby ludzi przeciwko niemu. Stało się jednak inaczej, bo co

innego przyciągnęło kapryśną uwagę motłochu.

To nie tak, że lud, ot tak, nagle przestał kochać swych elokwentnych pasterzy. Ale Szurukan miał pecha, gdyż w momencie gdy Quinatzin ogłosił swoją bluźnierczą krucjatę, drugą wojnę przeciwko Tlaszkali, porządek już nie istniał. Obalił go jeden człowiek.

Szaratanga.

Stanowczo zbyt wiele zawdzięczam temu psu, mrucał pod nosem Quinatzin, wysłuchując kolejnych relacji. Nie doceniłem przywiązania moich poddanych do wielkich widowisk. Szaratanga obalił w jego państwie teokrację. Jego występ podczas Ofiary Kamienia zasiał ziarno sceptycyzmu, które bezskutecznie ciskali na jałową glebę myśliciele z Zaułku Filozofów czy przemądrzali heretycy pokroju uczniów Króla Kojota. Dlatego masy miejskie, składające się ze „starych Kruzów”, dotychczas tak religijne, nagle zmieniły front. Zwyczajni ludzie rozpędzili fanatycznych zwolenników kapłanów, ponieważ przepełniał ich strach.

Przeraził ich Szaratanga.

Wojownicy, których pokonał na Kamieniu, byli słynnymi mistrzami miecza. Hołubionymi przez bogów, wielokrotnie nagradzanymi za męstwo. Każde dziecko w Tollan znało Szarego Czapłę, najdzielniejszego z Kruzów. Śpiewano pieśni o tym, jak podczas czwartego powstania Tarasków przebił się do siedziby ich króla-boga i odrąbał mu głowę, która sturlała się ze szczytu świętej piramidy. Lew Labiryntu tymczasem sam jeden, w dodatku osłabiony i ranny, pokonał trzech zawodników, a potem strącił Czapłę z podestu, jakby ten był nieopierzonym pisklęciem. Dumni Kruzowie musieli atakować go wspólnie jak... nieporadni wieśniacy, rzucający się chmarą na Jaguara czy Orła. To było upokarzające i mieszkańcy Tollan bardziej niż poszanowania tradycji pragnęli teraz rewanzu.

Czterech! Ten człowiek pokonał i upokorzył czterech kruzańskich

mistrzów! Jeżeli w górskiej Tlaskali leży się takie demony, należało czym prędzej ją zniszczyć. I pieprzyć obiekcje klechów. Powtarzana jako szyderczy wierszyk, wzgardliwy kuplet i plotka, idea karnej ekspedycji z każdym dniem zdobywała zwolenników, oddolna i przez to czysta, niezawłaszczona przez możnych ani speców od propagandy.

Hasło „Na Tlaskalę!” było na ustach wszystkich.

Rozdział 11

*Demonowi pokarmem jest ogień,
Dla ryb z morza powietrzem jest woda.
Głodne duchy latają swe brzuchy,
Los człowieka to radość dla wroga.
Gdzie wyrzuci cię fala istnienia?
Jak osiągniesz swój kres odroczonej?
Krocz ostrożnie i bacz na swe czyny,
Każdy z nas będzie bowiem sądzony.*

Pieśń ludów zza Oceanu Tonących Słońc

Świątynia, w której młode kandydatki na Matki odbywały trening, mieściła się pośród suchych, niegościnnych wzgórz zachodniej prowincji Waicuri. Ten niedostępny, zamieszkały przez nieprzyjaznych dzikusów kraj zajmował długi półwysep, otoczony przez Ocean Tonących Słońc i wielką zatokę Ayac. Idealne miejsce dla owianego złą sławą klasztoru, siedziby tajemniczych Matek.

Citlali czuła się tutaj dobrze. Codziennie obserwowała morze z tarasu na szczycie świątynnego wzgórza, na którym rozlokował się rozległy kompleks z kamienia i malowanego na czerwono i niebiesko drewna, pełen kolumn, otwartych i zadaszonych tarasów, bram. Jedyna piramida, jak głosiła trwożnie powtarzana plotka, była ukrytym, zawężającym się lochem, sięgającym głęboko w czeluście ziemi.

Citlali najbardziej lubiła wieczory, gdy kula słońca powoli gasła w srebrzysto błękitnych falach. Czasami, w ramach zaleconego przez Matki treningu, skupiała uwagę na wysoko kołujących ptakach, ogromnych kondorach i orłach. Wtedy jej duch przenosił się wysoko w przestworza i Citlali na moment sama stawała się ptakiem.

„Musisz nauczyć się, jak otwierać drzwi duszy... tylko wtedy staniesz się jedną z nas. Musisz stać się istotą duchową. Tam, gdzie zwykły człowiek jest ciężki i nieprzenikniony jak mięso, błoto i mrok, ty masz być czystym niebem, światłem i wartką wodą” – tłumaczyła jej najstarsza z nauczycielek, staruszka pomarszczona jak brązowy kokos. I Citlali ćwiczyła pilnie. Nie była jednak do końca pewna, czy rzeczywiście zdobywa magiczne moce, czy raczej jej umysł dostaje kręćka od bezsensowności i wzmacniających napitków.

Niekiedy dopadał ją lęk o dziecko i zastygała z rękami na brzuchu, śledząc pierwsze ruchy maleństwa. Kobiety uspokajały ją wtedy, kołysząc matczyną troską. Z każdym dniem stawała się coraz bardziej przejrzysta i lekka, jakby jej umysł zrzucił z siebie tłuste i ciężkie łupiny, z których istnienia nigdy nie zdawała sobie sprawy. Czuła się dziwnie bezbronna i naga. Gdzieś w tyle głowy kołatała się myśl, że jej szczęście jest kruche, że za bardzo odbiega od szorstkiej postaci świata. Że przecież czeka ją poród, że musi się przygotować.

Nie chciałyby w takim stanie znaleźć się na kipiącym od intryg dworze ani wrócić do pracy przy więźniach. W końcu Tysiąc Oczu nie zafundowało jej tych cudownych wakacji za darmo. Matki istniały po to, by wspierać Odrodzone Przymierze, kiedyś wróci i spłaci swój dług. Czasami myślała o hodowanych w klatkach królikach i świnkach morskich, które karmi się słodką trawą, przygotowując je na rzeź. Citlali odganiała te myśli i po prostu cieszyła się chwilą. Zasłużyłaś, dziewczyno, mówiła sobie. Świątynia Matek okazała się świetnym miejscem do kurowania złamanego serca.

Kolejnym powodem, dla którego odnalazła się tutaj tak dobrze, było podobieństwo między Waicuri a jej rodzinną krainą, która spoglądała na to samo bezkresne morze.

Oczywiście, Kraj Osanków leżał daleko na północ, tak daleko, że poza dyplomatami i urzędnikami imperium niewielu o nim słyszało. Między Krajem Osanków a Waicuri znajdowały się jeszcze Miasta Ligi Tygrysa, Kraj Yana oraz kilkanaście zhołdowanych terytoriów plemiennych. W przeciwieństwie do spalonego słońcem Waicuri, jej kraj był deszczowy i mglisty. Jednak miejscowi kultywowali wiele podobnych zwyczajów. Gardzili uprawą roli i woleli wypalać i przekształcać puszcze, usuwając gęste poszycie, tak by między drzewami swobodnie wędrowała zwierzyna. Nieufni wobec kukurydzy sprowadzonej przez Kruzów, wciąż ucierali na kamieniach gorzkawą mękę z żołądki, szczególnie ceniąc sobie owoce czarnego dębu. Otaczali też wciąż wieloryby, choć w przeciwieństwie do rodaków Citali, którzy słynęli ze swoich okrętów i łodzi, nie umieli na nie polować.

W przestronnej, drewnianej świątyni przebywało kilkanaście kapłanek i nauczycielek oraz zaledwie kilka służących. Matki same uprawiały ogród warzywny, sprzątały i gotowały. Kobiety z pobliskiej wioski dostarczały żywność i pralę. Citali miała do swojej dyspozycji ładny pawilon wyłożony drewnem cedrowym, z jasnymi bawełnianymi kobiercami i prostym, lecz wygodnym łóżkiem. Jej obowiązki polegały na czuwaniu, modlitwie i postach – oraz wysłuchiwanie niekończących się, gardłowych pieśni. Wciąż chodziła głodna, ale jej brzuch robił się coraz większy. Choć kapłanki karmiły ją skąpo, miała wrażenie, że próbują utuczyć jej duszę. Codziennie pytała je: „Kiedy?” i codziennie słyszała: „Nie dziś”.

Przypisano jej opiekunkę i nauczycielkę, kapłankę imieniem Deregatli. Była posągowej urody kobietą o chłodnych ustach, na których rysowała się determinacja. Citali szybko pojęła, że nie należy się jej sprzeciwiać. Czasami

porównywała mistrzynię ze swoją rodzoną matką, która była w tym samym wieku. Kysa należała do dworu *tlatoaniego*, świata kobiet, męskich zabawek, których moc sprowadzała się do uwodzenia, pokusy uśmiechu i biustu. Citali nieodmiennie dochodziła do wniosku, że woli być taka jak jej niewzruszona nauczycielka.

Sam trening przebiegał... dziwnie. Zdaniem Deregatli, na wstępnym etapie ćwiczeń Citali potrzebowała zachęty. Zapewnić ją miały rozmaite, mniej lub bardziej toksyczne mikstury, które Citali nazwała trampolinami do piekła. Okazało się, że każda adeptka reaguje inaczej i potrzebuje innych katalizatorów. Niezastąpiona Deregatli potrafiła dostarczyć je wszystkie.

Po ciężkich, grzybowych wywarach Citali czuła, że jej świadomość wyostrza się i oczyszcza. Jednak prędko zaczęły się nieprzyjemne majaki. Mistrzynie zatem szybko odstawiła te dekokty, tłumacząc, że świętych grzybów nie można zażywać często, gdyż wtedy ich najważniejsze działanie słabnie. Podała jej peyotl, dla osłabienia naturalnego smaku doprawiony cytryną.

Żując twarde i gorzkie pnącza, których ohydny smak wywoływał mdłości, Citali doszła do wniosku, że ma już dość. Powinna zadowolić się pracą dla Tysiąca Oczu. Albo nawet pozostać na dworze, wyjść za jakiegoś majątnego i zgrzybiałego nudziarza. Przynajmniej nie karmiłby jej tym świństwem.

Rano niewiele pamiętała, choć zdaniem Deregatli krok po kroku wzmacniała Więż, wplatając w nią nowe mentalne wątki. Ten etap treningu przypominał Citali sny. Te, które ogarniasz w szerszej perspektywie zaledwie chwilę po przebudzeniu, i te, które pod wpływem światła dziennego rozpadają się niczym sparciłe płótno, zostawiając cię z bezużytecznym, idiotycznym kłębkim nici. Możesz go sobie mozolnie nawlekać, a i tak nie odkryjesz sensownego wzoru.

Wciąż ćwiczyła koncentrację na coraz to innych obiektach: od oddechu, poprzez kolorowe wizerunki bóstw i demonów, po zdobione kwiatami i piórami czaszki jeńców. Te ostatnie okazały się trudnym obiektem, rozpraszały ją wspomnieniami dzieciństwa. Citlali nienawidziła zdobienia czaszek.

Jej matka uważała umiejętność ich przygotowania za kardynalny kunszt każdej szanującej się kandydatki na żonę, równie ważny jak gotowanie, tkactwo i splatanie kretyńskich ozdóbek z piór. Kiedyś mąż przyniesie ci takie trofeum, tłumaczyła Kysa. W kulturze Kruzów mężczyźni zajmowali się wojną, a kobiety upiększały owoce ich działań.

Citlali wolą sama zdobywać czaszki.

Nauczyła się wpatrywać w szklanekę wody tak długo, aż nagle jej umysł i ciało całe nurzały się w cieczy, w doznaniu nieróżniącym się niczym od realnego, fizycznego przeżycia. Za pierwszym razem zdumiało ją, gdy wybudziwszy się z tego transu, stwierdziła, że naczynie jest suche. Mistrzynie chwaliła ją długo. Według niej nie była to zwyczajna woda, lecz jej esencja, idea. Którą Citlali wchłonęła, osiągając tak zwaną absorbcję. Właśnie taka woda zapełnia odmęty Środkowia, tłumaczyła.

Magia przedstawień i znaków polegała na budowaniu w wyobraźni skomplikowanych obrazów, składających się z niezliczonej ilości detali.

Według Deregatli ten kunszt pozwalał na lepszą nawigację w Środkowiu, w którym – i tu już Citlali zaczynała się gubić – musiała na bieżąco budować drogi, ulice i mosty, świadomie tkając i podtrzymując iluzję. Nieodzowna okazała się zdolność długiego podtrzymywania uwagi i opróżnienia świadomości z wszelkich zbytecznych treści, które rozpraszały i obciążały adepta, uniemożliwiając skok.

— Umysł to chaos — tłumaczyła Deregatli z uśmiechem ledwo skrywanej pogardy. — Żeby nie powiedzieć kloaka. Ludzie myją twarze

i ręce, niektórzy kąpią się cali. A umysł? Ilu znasz takich, którzy próbują go oczyścić? Zalegają w nim niewymiecione śmieci i brud. Niespełnione, nadpsute marzenia. Przypadkowi intruzi, bałagan i pasażerowie na gapę. I jeszcze bogowie, zabobony i symbole. Przytłaczające dogmaty. Akrobata musi porzucić ten balast.

— Mówisz takie rzeczy w obecności kapłanów? — zapytała ją zdumiona Citlali.

Mistrzynie przewróciła oczami.

Siedziały na zwiniętych matach. Trening odbywały przeważnie na zadaszonym tarasie. Smukłe, rzeźbione kolumny i wiszące pod dachem kosze z jaskrawymi, drapieżnie pięknymi kwiatami nie zamykały widoku na szary ocean. Wpatrywanie się w bezkresne przestrzenie budziło w Citlali niepokojącą lekkość. Czowała się jak łopoczący na wietrze latawiec, którego tylko coraz słabsza, przecierająca się linka trzyma przy ziemi.

— Oczywiście. Zdziwisz się, ale mądrzejsi z nich myślą tak samo. Rytuały i krwawe ofiary, tradycyjne procesje, okadzanie posągów, to wszystko jest dobre dla tłumu. Mądry kapłan jest jak właściciel garkuchni, który zna recepturę swoich potraw, ale sam ich nie je.

— Czyli nie może w nic wierzyć — powiedziała Citlali z namysłem.

Deregatli skinęła głową.

— Tak. Bo wie, że religia dla mas to pasztecik z karaluchów i szczurów. Pewne rzeczy są korzystne dla stada, ale my, przewodnicy, musimy się wznieść ponad to. Nade wszystko powinnaś się wystrzegać uczuć.

— Przecież to właśnie uczucia składają się na moją duszę. Moje życie. Bez nich będę jak... jakieś chodzące zwłoki — zaprotestowała Citlali.

Deregatli spojrzała z politowaniem.

— Nawet nie wiesz, jaka wolność i swoboda cię czeka.

Pytanie, czy nadal będę to „ja”, pomyślała Citlali ponuro. A nie

okaleczony pień drzewa, odarty z kwiatów, listowia i kory. Jak wiele każecie mi stracić?

Mistrzini musiała czytać w jej myślach, bo matczynym gestem pogładziła ją po włosach. Dziewczyna nie zauważyła lekkiego grymasu, z jakim pospiesznie cofnęła rękę. Przydałby się grzebień, a raczej zgrzebło. W niczym nie przypominała już uwodzicielskiej ślicznotki, którą stała się na użytek Tysiaca Oczu.

— Byłam tam, gdzie ty, skarbie. My wszystkie, które tutaj trafiłyśmy, nie mogłyśmy dłużej żyć z bezsilnością, upokorzeniem i strachem. Odwieczną niewolą kobiet. Dlatego do nas przyszedłeś, prawda? Jeżeli nie możesz wytrzymać bycia człowiekiem, zostaje ci tylko jedno. Musisz się stać kimś więcej.

* * *

Po trzech miesiącach pobytu w Waicuri Citlali uświadomiła sobie, że nigdy nie widziała tu dzieci, nie słyszała ich płaczu ani śmiechu. Miała mgliste pojęcie o czekającej ją ścieżce, słyszała jednak, że Matki szkolą własne potomstwo na tajemniczych zabójców i szpiegów zwanych *doggen* – ale skoro tak, to dlaczego w świątyni jest tak cicho? Co kapłanki robią z dziećmi?

Deregatli uspokajała ją i powtarzała, że wkrótce wszystkiego się dowie. Że właściwy trening odbędzie się w innym miejscu. Kapłanka unikała szczegółów, które ujawnić mogła tylko komuś, kto przeszedł specjalne wtajemniczenie. Musiały jej wystarczyć te zapewnienia.

Usiłowała dowiedzieć się czegoś od służby, ale niewiasty z wioski posługiwały się jedynie lokalnym dialektem. Tylko jedna z pomocnic, starsza i bardzo zasadnicza kobieta imieniem An'Tai, dawała do zrozumienia, że w ogóle rozumie jej słowa. Pewnego dnia Citlali nagle poczuła na sobie jej

wzrok. Nie podobał jej się. An'Tai miała dziwne oczy, surowe i potępiające spojrzenie. Jakby zdążyła wyrobić sobie zdanie o świecie i nie spodziewała się po nim wiele dobrego.

Citlali doszła do wniosku, że ten przesywający wzrok może zaszkodzić dziecku. Uprzejmie poprosiła An'Tai, żeby już nie sprzątała jej chaty.

Większość czasu i tak wypełniały jej intensywne ćwiczenia. Jednak w nocy, gdy nad wodami zapadała ciemność, znów wracał strach. Jeżeli akurat wstał księżyc, wzgórze świątynne objawiało się upiorne i jasne, szara kraina z kości. Wtedy jeszcze bardziej czuła, że coś jest nie tak, a jej serce przepęniał lęk o dziecko.

Nie bardzo umiała się modlić, choć przychodziły jej do głowy wyuczone inkantacje Osanków i Kruzów, prośby o zdrowie i płodność. Nominalnie świątynia podporządkowana była Tezcatlipoce, bogu nocy i wojny, tajemnic i mrocznej magii, jednak nie było tu żadnych posągów, dymiących zwierciadeł ani innych przedmiotów kultu. Jakby to urokliwe, oddalone od świata miejsce stanowiło jedynie fasadę, za którą przyczajona, dyszała jej przyszłość.

* * *

Nie wiedziała, jak cała rzecz się odbyła. Którejś nocy zasnęła snem cięższym i mroczniejszym niż inne. Po przebudzeniu nie pamiętała, co się z nią działo. Musiała spać wiele dni: miała dłuższe paznokcie i włosy. Bolało ją w środku, a w miejscu serca poczuła lodowatą ranę. Dopiero po dłuższej chwili świadomość wbiła się w nią palącym szpikulcem. I zaczęła obracać ostrze.

Każdy zakątek pokoju, każda myśl i każdy z oddechów obwieszczały bezlitosną prawdę. Czuła ją w łomoczącym sercu, instynktowną i pozbawioną złudzeń. Nie żyje, nie żyje, nie żyje. Nie żyje. Citlali rozplakała

się i złapała za brzuch, już nie nabrzmiały i wypukły, lecz wyjąłowany i pusty, tak samo jak jej serce. I jeszcze tylko ta pewność, rozpaczliwa i nieodwołalna niczym prawda wyryta w kamieniu.

Nie żyje, nie żyje, nie żyje.

Przestań! Citlali twardo przypomniała sobie, do kogo należało jej dziecko. Przecież postanowiłaś je oddać. Urodzić i oddać kapłankom. Zapomniałaś już, jak postąpił z tobą jego ojciec?

Gniew na Harana pomógł, ale tylko na chwilę. Ból tlił się, przemieszany z żalem i smutkiem. Dziwne. Przedtem nigdy nie myślała o nim jako o kimś żywym. Z chwilą gdy Haran ją porzucił, pogodziła się z tym, że nie wychowa dziecka. Nie zostanie samotną matką, nędzarką wydaloną ze służby z powodu idiotycznego romansu. Wiedziała też, że tylko kobieta brzemienna mogła zostać przyjęta w poczet Matek. W Odrodzonym Imperium nie istniało bardziej zaszczytne stanowisko dla kobiety. W porównaniu z nią żony króla będą zwykłymi nałożnicami, rozplodowymi klaczami, ciałem służącym tylko męskiej przyjemności.

Dała im zabić swoje dziecko.

Milczące, czujne kapłanki spostrzegły, że nowicjuszka nie je. Przy jej macie pojawiła się sama Deregatli.

— Zabieraj to — warknęła Citlali, gdy Matka podała jej kubek z wodą. Nie zamierzała przyjmować żadnych magicznych leków, niczego, co sztucznie odmieni jej nastrój.

Deregatli zmrużyła oczy.

— Przeszłaś pomyślnie pierwszy etap próby. To normalne, że jesteś w szoku — oznajmiła spokojnie.

— Normalne? Odebrałyście mi moje dziecko! — słowa wylały się z serca Citlali jak krwotok. Obróciła się twarzą do ściany, żeby tamta nie zobaczyła łez. — Chcę stąd wyjść.

— Dopiero zaczęłaś szkolenie.

— Pieprzyć je. Mogę wrócić do pałacu. Mogę zostać nałożnicą każdego, kogo wskażecie. Mogę umrzeć...

Matka schyliła się i jednym szarpnięciem dźwignęła Citlali z maty jak leciutką kukiełkę. Potem uderzyła ją otwartą dłonią. Policzek był bardzo szybki. I mocny, by otrzeźwić dziewczynę, ale także przestrzec przed ewentualną ripostą.

Citlali poczuła smak krwi i ząb chwiejący się w dziąśle. Dzwoniło jej w uszach. Ostrożnie oceniła zniszczenia językiem. Chyba nikt nie obsadzi jej już w roli uroczej pokusy. Kimkolwiek jest to babsko, potrafiłoby zabić gołymi rękami jaguara.

— Myślisz, że ktoś wypuści na wolność wściekłego psa? Stałaś się groźną istotą, kochanie.

— Jak mi przykro.

Tym razem chłodna dłoń wyciągnęła się do niej, żeby pogłaskać policzek. Citlali wzdrygnęła się.

— Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak cudowne i niezwykłe rzeczy osiągnęłaś? — zapytała Deregatli głosem kojącym niczym wzrok węża. — Wiem, co czujesz, bo kiedyś przeżyłam to samo. Inaczej nie byłabym Matką. Każda z nas poświęciła własne dziecko, by lepiej służyć imperium. Twój ból jest prawidłowym symptomem. Nie kształcimy tu zimnych morderczyń bez serca. By magia mogła zadziałać, nieodzowna jest właśnie ta Więź. Jesteś we właściwym miejscu.

— Zerwałam ją. Rozdrapałam... Już nic nigdy nie będzie na miejscu.

— My, kobiety... nie wydajemy na świat nieśmiertelnych. Któregoś dnia i tak by umarło. Ale teraz... ma szansę stać się kimś więcej.

Citlali spojrzała na nią, zdumiona.

Wiedziała, że kandydatki na Matki wstępują do świątyni ciężarne, ale

sądziła, że po prostu oddają swe noworodki kapłankom, które potem poddają je intensywnemu szkoleniu.

Istnieje wiele niebezpiecznych, owianych tajemnicą kunsztów, wymagających opanowania zwierzęcej części natury i rozbudowania, zahartowania człowieka. Kapłani, którzy przewyciężyli ból, latami przeciągali przez język kolce, pozwalali ranom zagoić się, a potem spokojnie rozrywali dopiero co zabliźnioną tkanę; często byli trenowani od dziecka. To samo dotyczyło szpiegów, zabójców i akrobatów. Imperium potrzebowało właściwych ludzi, a kiedy nie mogło ich znaleźć – stwarzało ich. Ale to...

— Ono nie żyje. Jest martwe — szepnęła, dotykając obolałego łona. Deregatli uśmiechnęła się dziwnie i znów podsunęła jej kubek. — Chciałam go tylko ukarać. Przestraszyć. Haran... Byłam głupia — poskarżyła się płaczliwie.

Kobieta pogładziła ją łagodnie po włosach.

— Bądź cierpliwa. Śpij.

Citlali posłusznie wypija gorzki, gryzący napój i opadła na posłanie. Smakował cierpkimi ziołami i dymem, torfem i głuchą tęsknotą. Zadziałał szybko. Spłynął na nią senny, ale zarazem krystalicznie przejrzysty spokój, charakterystyczny dla naparu z maków. Szkoda, że bogowie nie stworzyli nas właśnie takimi, pomyślała, gdy cały ból wyparował jej z serca.

Makowy napar usuwał zło i wydobywał z człowieka to, co najlepsze. I dlatego był tak niebezpieczny.

Sen zabrał ją znów do Wielkiego Drzewa. Baśniowego jak pałac króla zza mórz. Chciała wierzyć, że tak wyglądały lasy jej utraconej ojczyzny, gdzieś na północnych wybrzeżach Morza Tonących Słońc. Jej ojciec, wódz Osanków, nie mieszkał w takiej imponującej siedzibie. W porównaniu z tym wydrążonym w czerwonym pniu pałacem jego dwór wydawał się tylko ogromnym szałasem. Wielki pień był wydęty i wypukły, zapraszał ją

i przyjmował w korytarze splątane jak myśli. Pachniały łzami i mlekiem, słodyczą, ciemnością i krwią. Citlali wędrowała spiralnymi tunelami jak kornik, zmierzając do jądra.

W końcu dotarła do celu. W komorze piętrzyły się sterty mięsa, a smród zatykał nozdrza. Kobieta o bujnych kształtach rąbała kamienną siekierką bezkształtne kawały tkanek. Citlali wiedziała, że to Tlaltecuhli, Pierwsza Matka, Ucieleśniona Natura. Ta, która zabija i rodzi. Podobno własnoręcznie zerwała sobie ze szczęki skórę. Z wyszczerzonymi zębami, sterczącymi niczym blanki upiornej fortecy, Pierwsza Matka wyglądała jak ożywiona śmierć. A może to właśnie śmierć sprowadza na świat nas wszystkich?

Jej pierś, wezbraną i pełną,ssało poskręcane stworzenie, które wyglądało jak uplecione z korzeni. Strużka płynu spływająca po ciele bogini, gdy niemowlę oderwało swe usta od sutka, czerwieniła się jak jej mięsiste usta, rozciągnięte w zagadkowym uśmiechu. Uśmiechnęli się do Citlali oboje, bogini i martwe dziecko.

— Musisz zobaczyć się z synem. Jest głodny — powiedziała Tlaltecuhli głosem pewnym i głębokim jak przyływ i zabrała śniącą ze sobą.

Mieszkał przy samych korzeniach Drzewa, w komorze wydrążonej w próchnie. Zbutwiałe drewno fosforyzowało, nadając dziecięcom twarzyczkom upiorny poblask zieleni. Bo wszędzie były tam dzieci, dziupla należała do nich. Bawiły się bez płaczu i śmiechu, w przejmującej ciszy, przerywanej czasem skrobaniem malutkich pazurków. Citlali szła między nimi w milczeniu. Wiele twarzy spoglądało na nią z niemym wyczekiwaniem, czasem z wyrzutem albo z ledwo hamowaną nadzieją.

Jak go rozpozna?

I nagle po prostu wiedziała. Ta smutna twarz, ciemne, ogromne oczy. Kiedy zdążył urosnąć? Nieważne, pomyślała, a szary kret musnął jej kostkę wilgotnym nosem. Uklękła, otwierając szeroko ramiona, a wydarta z jej ciała

istotka zbliżyła się niepewnie. Nie miała wieku i wydała się Citali utkana w całości ze smutku.

Obudziła się w swoim pokoju, na wąskim i twardym pościeliu. Coś zimnego dotykało jej piersi, szukając pokarmu i ciepła. Citali nie krzyknęła ani nie wyskoczyła z łóżka, bo w jakiś dziwny sposób wiedziała, że to on. Przesunęła się, ułatwiając dzieciątku ssanie, dotknęła mokrych włosów, pachnących ziemią i zbutwiałym drewnem.

— Witaj, synku — szepnęła, a dziecko zakwiliło i mocniej wpiło w nią widmowe ząbki.

Potem zaczęła się podróż.

Rozdział 12

Kiliretha marnował czas. Zignorował rozkazy zwierzchnika i zamiast uciec z Tlaskali, ugrzązł w przygranicznej, ufortyfikowanej jak twierdza oberży na tikalskim trakcie. Jakby ostatnie lata, wegetacja w ponurym zaciszu Skarbca, zaszczepiły w nim bezwład.

Jego zachowanie kontrastowało z gorączkowym pośpiechem innych uchodźców, wyczekujących w izbach, na gankach i na patio przygranicznej oberży. Może to właśnie tacy posiadają ziemię. Nerwusy, myślał Kiliretha, sącząc rzeczywistość niczym *pulque*. Samo *pulque* też sączył, choć raczej należałoby rzec: „żłopał”.

Też sobie wybrałeś miejsce na pijacki ciąg, sarkał, wpatrzony w szczyty odległych wulkanów, bielone koronką śniegu. Nie potrafił jednak przestać. Jeżeli nie powracał do izdebki zalany w pestkę, czekające na niego w tobołku próbki smaru zaczynały mu nucić syrenią pieśń: „Skosztuj nas. Skosztuj. Powędruj przez zadymione zwierciadło”.

Z dwojga złego wolał już rzygać po *pulque*.

Przydarzyła się jeszcze kobieta, a jakże. Kiliretha dawno nie miał z żadną do czynienia i tu, w nabrzmiałej desperacją gospodzie, powetował sobie lata posuchy. Wystarczyła mu jedna, bo trafił naprawdę dobrze.

Nazywała się Klea. Ładna, filigranowa i smukła, ani chybi z domieszką krwi Dobroczyńców. Nawet kurwiła się z wdziękiem. Wyjaśniła mu, że zbiera pieniądze na przewodnika przez góry.

— Czemu nie opchniesz tego? — zapytał, wskazując na naszyjnik

z samotną, jodeitową łezką, które umościła się między jej bezwstydnie kształtymi piersiami.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a w jej jasnej twarzy nagle rozwarła się otchłań. Czasem tak uśmiechają się groby.

— Jest dla mnie ważny — mruknęła i przeciągnęła się jak kotka na sienniku.

— To pamiątka?

— Nie. — Klea zmarszczyła brwi, szukając właściwych słów. — Raczej napomnienie. Żebym na pewno dotarła, bo ktoś bardzo ważny wygląda mnie teraz w Tikal. Nie oddałabym go nikomu, wiesz? A teraz przestań pierdolić. — Zaśmiała się, przeginając się kusząco.

Kiliretha przetoczył się na nią. Ukąsił ją pod lewą pachą i polizał pierś. Odepchnęła go, drapiąc, i dosiadła, odwiedzając się pieszczotą. Miała szorstki język.

Nie zapytał Klei, czy naszyjnik należał do kochanka, siostry czy dziecka. Do kogoś, kto żyje i czeka, czy raczej do kogoś, kto płonie w ciemnościach piekieł? Zmarli potrafią przywoływać człowieka głośniejsz niż żywi, Kiliretha coś o tym wiedział. Klea była dużo młodsza od niego, ale w młodym wieku też można się wplątać w niewłaściwą relację ze zmarłym. Jak poławiacz pereł, który nurkuje po skarb, ale zamiast pereł znajduje zmurszałe sieci i kości.

W pierwszym odruchu chciał ją objąć i pozwolić na zwierzenia, wciąż pamiętał, że niektóre dziewczyny to lubią. Coś w oczach Klei powiedziało mu jednak, że lepiej nie drążyć dalej. Posłuchał, choć jako członek Zakonu Kretów był jednym z „tych, którzy ryją głęboko”. Pieprzonych poszukiwaczy prawdy. Ale jeśli życie w ogóle nauczyło go czegoś, to właśnie tego, że niektóre prawdy powinno się zostawić w ziemi, gdzie będą je szturchać nosem co najwyżej ślepe krety, dżdżownice i białe pędraki. Sam nosił

w pamięci upiory i wiedział, że lepiej nie wywoływać ich z grobu. Potrafią obudzić się głodne...

Kiedy kończył, jego wzrok przesunął się po jej ładnej twarzy, wykrzywionej w grymasie rozkoszy, może nawet nieudawanej, i zatrzymał się między piersiami, na naszyjniku w dziwnym odcieniu błękitu. Przypominał zakrzepniętą łzę. Takie naszyjniki z jadeitu dawało się raczej chłopcom, na dobrą wróżbę.

Kiliretha uśmiechnął się gorzko. Zastanowił się, czy gdzieś w szerokim świecie jakaś kobieta obnosi miłosną pamiątkę po nim i czy naprawdę chciałby oglądać ją jeszcze nago.

Klea odeszła następnego ranka, chyba to właśnie Kiliretha był brakującym sponsorem. Miła i czuła, i nie zaraziła go tryprem, za co uczony szpieg zachował ją w życzliwej pamięci. Właściwie to nawet za nią tęsknił.

Następnego wieczoru Kiliretha zamówił posiłek w gospodzie. Jedząc i popijając *pulque*, przysłuchiwał się rozmowom podróżnych. Postawny mężczyzna w tunice i płaszczu z drogiej, ani chybi, pochodzącej z kontrabandy bawełny, z mięsistą twarzą uduchowioną jak nie przymierzając polec krwistej pieczeni, minął Kilirethę, trącając go z lekceważeniem.

Kret nie miał do niego pretensji, choć szkoda mu było rozlanego, zmarnowanego *pulque*. Bogacz widział tylko pijaniuteńskiego, na poły oszalałego włóczęgę, i czy aby tak bardzo się mylił? Może to tacy jak on, dumali uczeni, w każdym społeczeństwie wychodzą na czoło wyścigu. Aktywni i niepokodzeni ze światem, żądni najlepszego z możliwych losów. W Tlaskali ten dumny buc był pewnie krwiopijcą wyższego rzędu i teraz, gdy statek tonął, nie zamierzał utonąć wraz z nim.

Zawsze go to zdumiewało. Odwieczna pretensja do bycia kimś, podczas gdy wszystkich nas czeka ten sam dół z piachem. Albo sterta śniegu. Zacieki i lizaje z sufitu jego więziennej pustelni, które kontemplował ostatnimi laty,

nie umywały się do tego gwarne go cyrku. Piękne kobiety, obwieszane kosztownościami, za które ich mężowie dadzą gardło na pustkowiu. Wykarmieni kupcy i dygnitarze, rozdarci między odruchem ich powszedniego „Wiesz, z kim masz do czynienia?” a nowymi realiami dla zbiegów i dezertów. Między odruchowym, grzmiącym basem swoich głosów a bezsilnym i pokornym piskiem.

Uchodźcy byli zamożni, chyba wszyscy. Szlakiem do Wielkiego Tikal tradycyjnie podróżowali tlaszkalańscy bogacze, złąknieni kontaktu ze światem zewnętrznym. W przeciwieństwie do północnego pogranicza, chronionego tylko przez ścieżki Labiryntu, granica z Tikal składała się z regularnych umocnień, potężnych bastionów i fortec, między którymi pokolenia przemytników, rabusiów i kupców wytyczyły swe tajne ścieżki, niczym sunące po ścianie mrówki.

Tylko po drugiej stronie granicy czekali teraz Kruzowie.

Co prawda Quinatzin, narcystyczny i prawdopodobnie genialny zdobywca, dopiero będzie szturmował Labirynt i to tam dojdzie do decydujących rozstrzygnięć, ale jego legiony oblegały już południową flankę Tlaszkalan, odcinając górskie królestwo od posiłków z Tikal. Prędzej spodziewałbym się od tych kupczyków transportu frykasów i wina niż porządnego wojska, pomyślał Kiliretha i zasepił się.

Do izby wszedł jednooki, niedomyty obdartus. Rozmawiał o czymś z oberżystą. Galwaratl nalał mu *pulque*, którą tamten raczył się niespiesznie.

Kret kojarzył go. Jeszcze zanim ostatnia misja uczonego skończyła się tak, jak się skończyła, Delargo uprawiał w tych górach swój przemytniczy proceder. Zmienił się tylko rodzaj kontrabandy.

Niegdyś Delargo wywoził z Tlaszkali narzędzia, metal i broń, a sprowadzał z Tikal luksusowe artykuły, których brakowało bogaczom i wykwintnisiom z oblężonego królestwa: przyprawy, pióra i drogocenne

kamienie. Rzadko przyłączano się do jego karawan. Poza niespokojnymi duchami, mało kto nadstawiałby karku dla samej przyjemności wyrwania się z Tlaskali i ruszenia w szeroki świat. Ale teraz zbliżała się wojna i – jak twierdziło coraz więcej ludzi – mogła być wojną ostatnią. Delargo zajął się więc przemycałaniem ludzi.

Kiliretha był pewien, że Zergos i chłopcy od propagandy robią co w ich mocy, aby podnieść obrońców na duchu, ale z rozmów przy sąsiednich stołach bił raczej ponury przekaz. Mało kto wierzył w obywatelską armię Tlaskali. Jakby z pojmaniem Szaratangi, który podobno został już zaszlachtowany przez Kruzów na wielkiej arenie w Tollan, stracili zaufanie do tej instytucji. Może wynikało to także z personalnych decyzji najwyższego dowództwa. Osoba tłustego Pa'uka, który w kilka tygodni urósł, czy raczej spuchł, do rangi zwierzchnika sił zbrojnych, urągała pamięci Lwa Labiryntu.

Nie, uciekinierzy liczyli już raczej na Dobroczyńców. Wiara w ich pomoc zawsze splatała się w górskim królestwie z religią, w końcu Zabity Bóg, Ten Który Kiedyś Miał Wrócić, także był bogiem zza morza. Na samą myśl o tym stary szpieg poczuł, jak znowu dopada go wierna towarzyszka, rozpacz. Zawsze gotowa, żeby szeptać, jak podły jest świat i powoli podgryzać mu serce. Przywołał oberżystę i zamówił butelkę lichego, bezwstydnie za to drogiego *pulque*, z zamiarem urżnięcia się i wybicia paskudzie jej kłów.

Zawsze tak się działo, gdy ktoś wspominał przy nim o Dobroczyńcach i ocaleniu, które nadejdzie zza morza. Zgromadzeni w gospodzie uchodźcy pocieszali się tymi bajdami równie chętnie jak *pulque*. Kiliretha wielokrotnie chciał wstać i wykrzyknąć tym sprytnym, cwany i znającym życie, a jednak sromotnie zwodzącym się ludziom treść swojego głośnego, bezwzględnie utajnionego raportu, opatrzonego bodajże sygnaturą „913 A2”. Nie będzie żadnej odsieczy, chyba że przeklęty, zapowietrzony Rozbitek uroił sobie

wszystko, co powiedział jemu i Oretlowi lub przemilczał istotne szczegóły.

Ale widzicie, jego wiedza geograficzna wskazywała na przenikliwość i pewność. Wiedział, o czym mówi, a do tego wcale nie brzmiał i nie wyglądał jak wariat. Na misje zamorskie nie słało się byle kogo, ci nieszczęśnicy przechodzili mordercze szkolenie. Ten nasiąkł solanką, obżarty przez kraby nieszczęśnik był cholernym tygrysem wśród kretów. To raczej oni oszaleli, targając go tygodniami przez pustkę, na saniach zaprzęgniętych w psy, które padły, a psami stali się nagle oni dwaj, Kiliretha i Oretl, który majaczył i gadał bez końca, jakby chciał zagłuszyć goniącą ich śmierć.

Drań nie milkł, unosił się za ich zgarbionymi plecami jak zamieć i przyplw, zalewając świat swoją spowiedzią. Wkrótce mieli już tego tak dość, że woleli własne majaki, śnieżną ślepotę i narastającą gorączkę. I może właśnie dlatego raport Kilirethy okazał się niekompletny, bo przecież nie wszystko z tamtych wydarzeń zapamiętał. Nie wiedział, jak dotarł do wioski koczowników, którzy opatrzyli go i posłali dalej, bez Rozbitka i bez Oretla. To dlatego czekający w górskiej gospodzie Kiliretha wciąż myślał o tamtych eksperymentach w swojej celi. *Braazatal* miał niesamowite właściwości, które Kiliretha nazwał na własny użytek „mnemozyjnymi”. Jego Zakon stosował wiele mnemotechnicznych sposobów na wspomaganie pamięci, lecz *braazatal* potrafił więcej. Sprawiał, że przypominałeś sobie rzeczy, które twój własny troskliwy umysł postanowił zakopać na dnie gruzowiska pamięci. Zarodki obłądu i śmierci, usunięte w celu ochrony organizmu. Ba, potrafił sięgać do pamięci plemienia i rasy, a może i całego rodzaju ludzkiego. Przeniósł go bardzo daleko, wyczarował, wymyślił mu Klątwę. Może i uroiłby mu także inną, lepszą i łżejszą prawdę o ich wytęsknionych Dobroczyńcach...

— ... oczywiście, panie Szegotl. Przeprowadzę was prosto do Lavatlan.

To tylko cztery dni drogi — obiecywał przemytnik, targując się z postawnym mężczyzną, który przed chwilą rozlał *pulque* Kilirethy.

Szpieg ocknął się z zamyślenia, wynurzył z dymiących luster.

Może to znak? Powinien ruszyć, nim zachła się tutaj na śmierć. Zanim wessie i pochłonie go przeszłość, poczucie winy i jazgoczące, niemilknące nawet na moment pytania. Przynajmniej zrobi to, co nakazał mu Zergos, czmychnie i ukryje się, zabierając w szeroki świat wiedzę Zakonu. Poniesie spuściznę dalej, zanim Tlaskala zginie. Ale na pewno nie powinien wyprawiać się w góry z tym oszukańczym kutasem. Kiliretha widział, jak przemytnik umawiał się z inną grupą, którą też miał poprowadzić do Lavatlan. Dwa dni temu.

Wyszedł na dwór – i zobaczył dzieci. Garstkę. Należały do faceta, który wylał mu *pulque*, i jego żony, która wydała się uczonemu sympatyczna. Westchnął ciężko. Obmył się przy studni, doprowadził do porządku. Po chwili był już z powrotem przy przemytniku.

— Można się z wami zabrać? — zagadnął.

Delargo obrzucił go zimnym, wyrachowanym spojrzeniem, szacując łysinę, spłowiałe szaty i blizny. Kwatermistrz Skarbca wydał zakonnikowi na drogę bury, nierzucający się w oczy, praktyczny strój podróżny, pasujący do pielgrzyma, uczonego czy wędrownego kapłana. Strój, z którym Kiliretha przemierzył niegdyś pół świata. Każdy wiedział, że Krety to straszne kutwy. Nim jednak Delargo kazał mu się odczepić, Kiliretha położył na blat garść czekoladowych ziaren. Małą fortunę. Zwłaszcza tu, w obłożonej kruzańskim embargiem Tlaskali.

Szmugler rozpogodził się, ale zaraz znów nabrał podejrzliwości.

— Nie znam cię. Ale widywałem cię tu wcześniej. Nagle postanowiłeś się ruszyć? Zamówiłeś wróżbę?

Filozoficzne pytanie. Kiliretha uśmiechnął się najładniej, jak umiał.

— Mam coś do załatwienia w Lavatl. A tutaj czekałem na ważną wiadomość — wyjaśnił.

Przemytnik pokiwał głową.

Targowali się długo, nim Delargo w końcu dał się przekonać. Miał instynkt i temu instynktowi Kiliretha jakoś się nie podobał.

Pewnie dzięki temu utrzymałeś się tak długo w branży. Wydłubali ci oko i wtedy obiecałeś sobie, że nigdy więcej, myślał Kiliretha, przyczajony za maską uśmiechu. Jego grymas był naprawdę dobry, ciepły i szczery, jak kukurydziana polewka po chłodnym dniu w górach. W przeciwieństwie do większości dziwek, morderców i szpiegów potrafił uśmiechać się także oczami. Właśnie to odróżnia artystę od byle partacza.

— Jest więcej ekip, staruszk. Długouchy, Badyk, Kodbus Cztery Ostrza... Dlaczego właśnie ja? — zapytał w końcu przemytnik, prawie udobruchany.

— Twoja reputacja cię wyprzedza, Delargo. Jak tonąc, to z najlepszymi — wypalił Kiliretha i przepił do szmuglera. W jego sercu spokojnie dojrzywał mord.

Mężczyzna wyszczerzył zęby, poprawił kołnierz koszuli. Na szyi kołysał mu się cenny bisior w dziwnym odcieniu błękitu. Przypominał zakrzepniętą łzę.

* * *

Dzień później Kiliretha przeciągnął się i zrobił sobie skręta z tytoniu, który zwędził jednemu z ludzi Delargo. Zaciągnął się chciwie, pozwalając, by dym orzeźwił mu płuca i zmęczone mięśnie. Dym to zdrowie, w przeciwieństwie do tych przeklętych spacerów. Za stary już był na takie hasanie po zboczach. I pomyśleć, że kiedyś przeszedł Inkaskie Góry, z północy na południe, z półroczną przerwą na pobyt w stolicy Kuzko...

Przez chwilę przyglądał się bezwładnym ciałom, rozrzuconym wokoło ogniska niczym ofiary potężnej eksplozji. To była mocna trucizna, a przecież zupełnie bez smaku. Uśmiechnął się, wspominając, jak wszyscy zajadali się zupą. Zupa Śmierć, specjalność jego wędrownej kantyny. Napawał się boskim poczuciem mocy. To zawsze upajało go w trucicielstwie, moment, kiedy wybierał, który pacjent dostanie lekarstwo.

Trochę żal mu było uchodźców, dygoczących w niespokojnym, wstrząsanym torsjami koszmarze, który zawdzięczali jego miksturze. Nie pozwolił jednak żalowi wpędzić się w poczucie winy. W jego fachu nie dało się polegać na jasnych rozkazach, człowiek często musiał improwizować. Kiliretha miał zasady i nigdy nie krzywdził niewinnych, choć jakby dobrze poszperać, status niewinnego wcale nie jest tak łatwy do obronienia. Ale to już inny szczegół, jak mawiał wódz koczowników, wbijając wroga na nieoheblowany pal.

Był prawie pewien, że Delargo prowadził ich w zasadzkę. Cóż, zbójnik miał pecha, że czekał tak długo. Akurat z tymi uchodźcami jego rabusie z pewnością nie mieliby lekko. Za dużo ostrzy, za dużo byłych wojaków. Choćby Szegotl, byczek, który wylał Kretowi *pulque*. Dobrze, że zakonnik nic wtedy nie powiedział. Drań śmierdział armią jak krużański klecha posoką. Nie wyglądał na tchórza, raczej na kogoś dobrze poinformowanego. Zbyt dobrze. Pewnie dlatego dał nogę. Jego ładniutka żona wyglądała z kolei na taką, która potrafi wrazić nóż w bebech. Do tego gromadka dzieciaków. Kiliretha nie lubił truć dzieci, za dużo roboty z przeliczaniem wagi ciała, prognozowaniem objawów i odmierzaniem dawek. Bo w życiu najbardziej cenił precyzję.

Pozostali podróżni, trzy rodziny i dwóch samotnych mężczyzn, sprawiali wrażenie majątnych, bywałych kupców. Rolnicy raczej nie uciekali, to kupcy mieli dość pieniędzy i wiedzy o świecie, by w ogóle wyobrazić sobie życie

poza ukrytą Tlaszkalą. Do tego z powodu nałożonego przez Odrodzone Przymierze embarga, tlaszkalski kupiec przeważnie był przemytnikiem, czyli wiedział, jak przeżyć na trakcie. Mężczyźni nosili sztylety i pałki, a jeden, podobnie jak Szegotl, miał u pasa prawdziwy kamienny miecz. Kiliretha zastanawiał się, czemu ci ludzie nie trzymali się własnych kanałów przerzutowych i szlaków. Może wojna dodatkowo pogmatwała stosunki na pograniczu?

Herszt przemytników, Delargo, miał zaledwie trzech pomocników, obdartych górskich hultajów, którzy zależnie od koniunktury mogli być myśliwymi, przewodnikami, zwiadowcami albo zwykłymi zbójami. Pewnie też mordercami z przypadku. Cóż, ich życie właśnie dobiegło końca.

Pora unieszkodliwić truciznę. Kiliretha najpierw sam uraczył się trzema kroplami antidotum, które rozpuścił w *pulque*. Potem podał je wszystkim nieprzytomnym i dygoczącym uchodźcom, ostrożnie dawkując specyfik dzieciakom. Na końcu wtarł dwie krople w usta Delargo, tylko w jego. Po co marnować kosztowny dekokt. Złapał jednookiego herszta pod pachy i pociągnął go w dół zbocza. Wolał być daleko, kiedy zbudzą się Szegotl i reszta.

* * *

Na szczęście niedaleko zauważył przyjemną jaskinię. Podejrzewał, że umknęła uwagi reszty uchodźców, byli wtedy zbyt zmordowani, żeby podziwiać widoki. Dla niego obserwacja stanowiła zawodowy przymus, przerywał ją tylko w ciemnościach, choć wtedy gorączkowo przetwarzał zapachy, odgłosy i smaki. Taki fach.

Delargo ocknął się i szarpnął więzami, wydając bezładne, stłumione odgłosy. Ręce miał skrępowane na plecach, a nogi w kostkach, jak kapibara wyczekująca różna. Kiliretha uklęknął przed przemytnikiem i uśmiechnął się,

po czym przejechał mu ostrzem po gardle. Tak jak lubił, lekko, nie likwidując rozmówcy, ale udzielając mu ważnej życiowej lekcji.

To zawsze korzystnie wpływało na poziom rozmowy i liczbę wulgarnych wyzwisk.

Potem wyjął przemytnikowi knebel i pomachał mu przed oczami jadeitowym bisiosem.

Cokolwiek zamierzał wycharkać na niego Delargo, nie zrobił tego i przełknął. W kącikach oczu zebrały mu się dwie łzy, o kształcie osobliwie zbliżonym do błękitnego wisiorka. Kiliretha uśmiechnął się ładnie.

— Bardzo ją lubiłem, wiesz? A ja rzadko lubię kogoś tak naprawdę. Ciebie na przykład nie lubię. — Z namysłem obrysował czubkiem noża oczodół przemytnika. Ten pełny. — Drażni to moje poczucie symetrii i chyba wydłubię ci drugie.

— Błagam... nie — wybełkotał jednooki, odsuwając się rozpaczliwie.

Szpieg unieruchomił mu głowę i zaczął delikatnie nacinać powiekę.

— Klea... Była cudowną dziewczyną. Chcę wiedzieć, czy jeszcze żyje. I bardzo cię proszę, mów cicho. Bo mi się ręka omsknie.

Delargo znieruchomiał. Przez chwilę rozważał swoje szanse. Spróbuje wrzeszczeć o pomoc? Nie, nie był głupi. Potarł barkiem pusty oczodół, z którego zsunęła mu się przepaska, i kulturalnie splunął na ziemię.

— Nie wiem — mruknął.

Kiliretha uniósł brew, jakby naciągał łuk.

— Ja to nie wiesz? Zostawiłeś ją z nożem w brzuchu? Żeby się wykrwawiła? A może uwiązałeś do palików na pastwę Głodnemu Słońcu? — warknął.

— Tak jakby. Oddaliśmy wszystkich frajerów śmierdzielom.

Kiliretha wybałuszył oczy. „Śmierdziele” to gwarowe określenie na najniższą kastę Zjadaczy, *hikku'tai*. Ale w Tlaszkali Zjadacze zostali

praktycznie wytepieni, poza garstką gnieźdzącą się na obrzeżach Labiryntu, daleko na północ stąd. Od tysiąca lat nie widziano ich w tej części gór.

— Wiem, wiem. — Przewodnik pokiwał głową. — Myślisz, że gadam od rzeczy. Wam, Kretom, zawsze się zdaje, że wiecie już, kurwa, wszystko.

No, no. Kiliretha był pełen podziwu. Późno, bo późno, ale został zdemaskowany na służbie. Przepił do Delargo *pulque*. Jednooki był spostrzegawczy, marnował się na tym zadupiu.

— Wszystko się teraz zmieniło. Wszystko. To inny świat. Nawet powietrze jest inne — poskarżył się szmugler. Z nosa żałośnie zwisał mu smark. Kiliretha przestraszył się, że łotr całkiem się rozklei i zacznie mu deklamować podobne poezje, ale Delargo wziął się w garść. — Zbudzili się, odcięli nasze bezpieczne trasy. Rodzinna scheda, do diabła, jeszcze mój dziad wyszukał te ścieżyny. Do tego wojna... wszędzie roi się od Termitów i Kruzów. A my jesteśmy tutejsi, wali nas to. Chcieliśmy tylko przeprowadzić paru bogatych frajerów. Bez mordowania, uczciwie. A potem spotkaliśmy śmierzdielei. Odcięli nas... i postawili żądania.

— Czego chcieli? — zapytał Kiliretha cicho.

— Najpierw prosili o broń.

— Broń? — Szpieg szczerze się zdziwił. Dlaczego Zjadacze nagle zaczęli się zbroić? Przypomniawszy sobie meldunki o atakach *hikku'tai* podczas poprzedniej wojny. Może się przekonali, że od czasu Klątwy mamy ciut lepszy ekwipunek?

— Nie chodziło o włócznie czy strzały. Zażyczyli sobie paskudztwa, z którym biegają Kruzowie. Tego syfu, którym ładują strzelby. Choć żadnych strzelb tam ja u tych śmierzdielei nie widział — zapewnił Delargo i uśmiechnął się przy tym tępo, jakby i jemu wydawało się to raczej głupawe.

Czyżby *hikku'tai* nagle zapragnęli uzbroić się w strzelby, jak elitarne oddziały Kruzów? Ale przecież Quinzin miał za mało metalu, by beztriosko

rozdawać swą broń. Krety uważały, że właśnie dlatego najechał Tlaszkale, Kiliretha czytał specjalny raport. Drogocenna Woda to tylko pretekst do ugłaskania kapłanów.

Kret pomyślał o próbkach smaru z kruzańskich nabożów, którymi uraczył się w celi. Przypomniawszy sobie, że Quinatzin też miał obsesję na punkcie *braazatalu*.

Ochrypli głos Delargo nieprzyjemnie wciął się w jego rozpędzone myśli, wyrrywając Kilirethę z transu. Dobrze, że drań jest związany, pomyślał. Uczony i szpieg współhistnieli w zakonniku już od lat, ale czasem miał wrażenie, że jeden przez drugiego zginie. Nie znał wielu roztargnionych szpiegów, nawet w Zakonie Kretów.

— Powiedziałem tym diabłom, że nie do nas z czymś takim. Jesteśmy uczciwymi zbójami, kurwa. Ja tam nie kocham naszych bogaczy i innych tchórzliwych krwiopijców i nie zamierzam za nich zdychać. Ale Kruzów kocham jeszcze mniej. Nie będę z wrogami handlować — perorował, gapiąc się na Kilirethę z nadzieją.

Kret położył sobie palec na ustach.

— Do rzeczy — poprosił.

Delargo pokiwał głową.

— Wtedy te śmierdziele kazały nam sprowadzać ludzi. Że niby na niewolników. Wpierw pomyślałem, w to mi graj. Trasa krótsza, a zysk taki sam. No i ochrona na tych szlakach, tak jakby. Bo oni teraz rządzą, bydlaki. Na Sinej Przełęczy i przy Pękniętym Stawie. Siła ich. Z początku wcale nie chciałem się zgodzić. Ale z tego wszystkiego nie mogłem już tych miastowych prowadzić po przełęczach i szlakach, za duże ryzyko. Trzeba było zostawiać ich po drodze. To już lepiej być niewolnikiem, prawda? — powiedział przemytnik ponuro.

— Zostawiać? Mam nadzieję, że z solidnym prowiantem, opalem

i przewodnikiem? — zapytał Kiliretha niewinnie.

— Góry są zatrzaśnięte, a ludzie wciąż tutaj walą. Byłe się dostać do Tikal. W miastach głód, odkąd blokada zrobiła się naprawdę szczelna. Jak ja ich nie wezmę, zawsze się znajdzie ktoś inny. To interes. Ale ostatnimi czasy... popierdoliło się wszystko — dokończył z zadumą zbój. W jego oczach zaświecił się dziwny błysk, który Kiliretha ostrożnie zakwalifikował jako ostatki sumienia.

— Zjadacze wam płacili? — zapytał ciepło, swoim najlepszym głosem.

Przemytnik pokręcił głową.

— Im więcej napędzaliśmy im ludu, tym bardziej kłębili się w swoich norach. Namnażali. Założę się, że większość zżarli albo składali w ofierze, ale przysięgam na Martwego Boga, że jednego wielkiego grubasa, co żem go taszczył pod koniec drogi, bo nogę se, kurwa, skręcił, wielki pan, widziałem tam z nimi. Stał w szyku z innymi śmierdzielami i potrząsał śmierdzącą kościaną dzidą czy innym dziadostwem. Capił zepsutym mięsem i krwią... brzuch nadżarty... no a w oczach normalnie mogiła. I wtedy to już przestało mi na tej robocie zależeć.

Uczony w zadumie pokiwał głową. Czuł się jak na spowiedzi. Rozgrzeszenia nie będzie, synu, ale chyba mogę dać ci odrobinę łaski, pomyślał i precyzyjnym ruchem wbił sztylet w miejsce, gdzie nawet Delargo miał serce. Potem dotknął bisiora w kształcie łyzy i pomyślał o Klei, pożartej lub już przemienionej, leżącej w cuchnących ciemnościach gniazda, wśród *murgha* i wygłodniałych *hikku'tai*.

— Żegnaj, malutka. Tak mi przykro — szepnął, wspominając jej oczy i piersi, zapach włosów i ciepło uśmiechu. Zawsze dobrze się rozumiał z umarłymi i czuł, że Klea będzie dzielić jego szerniałe serce z Oretlem. — Lepiej by było, gdybym zabił cię sam.

Rozdział 13

To żaden artyzm, zabić człowieka sztychem.

Gurney Halleck

To było przypadkowe spotkanie. Patrol przeciwko patrolowi, zderzenie w księżycowej poświacie, nadającej wapiennym skałom Labiryntu upiorny poblask fioletu. Tłaskanie mieli jaja, Haran musiał to przyznać. Choć zaskoczeni i mniej liczni, bili się jak wściekli.

Zaraz po tym, gdy błysnęły stalowe ostrza Termitów, wiatr zadął i popędził przed sobą chmury, zasłaniając księżyc. Haran, który właśnie blokował *macuahuitlem* cios włóczni, wyczuł, jak jego przeciwnik gubi się, traci rytm. Przydeptał mu stopę i korzystając z tego, że ciemność nie stanowiła dla niego przeszkody, obrócił się na pięcie, przerzucając ciężki oręż do lewej ręki.

Termit, spodziewając się ciosu z lewej, jęknął z wyrzutem, gdy obsydianowe ostrze odcięło mu dłoń, w której trzymał włócznię. Zwalił się ciężko, przygnięciony bezużyteczną tarczą, a Haran ruszył na kolejnego wroga.

Szyk Termitów rozpadł się i wkrótce było po wszystkim. Krurowie nie brali jeńców, metodycznie dobijali powalonych, którzy ginęli z zaskoczeniem malującym się na twarzy. Tym razem Quinatzin nie życzył sobie brańców. Gdy dolina padnie, wyłapią ich dość.

Wychowanek Druazzi skrzyknął drużynę i oszacował straty. Nie było tak

źle. Stracili Ahanakampę, poza tym mieli trzech rannych. W tym jednego ciężko, ale Mahun, leżący z przebitym udem, nadal miał szansę przeżyć. Haran zamierzał już dać rozkaz do odwrotu, gdy nagle poczuł pod nogami coś, co sprawiło, że komenda uwięzła mu w gardle.

Drgania. Ledwo dostrzegalne, wyczuwalne jednak dla kogoś, kto przetrwał dziesięć lat w Dołach i zgłębił wiedzę kamieni i skał, tak jak żeglarz od podszewki poznaje ocean. Na wschód od nich przemieszczał się liczny oddział. Ciężka piechota, tarczownicy.

Mogli to być Kruzowie, ale Haran wiedział, że *tlatoani* wstrzymał ofensywę, czekając na wojska Tizoka. Jeżeli zbliżyły się zaś Termity, nadchodzący oddział mógł ich odciąć od głównych sił. Barbarzyńca rozejrzał się po stromym zboczu powyżej. Było tam dość miejsca i skał, by ukryć dwunastu ludzi.

Musiał decydować szybko.

— Bierzcie rannego. Rozdzielamy się. Hussup, poprowadzisz chłopaków tamtędy. Ruszać się! — rozkazał.

— Wracamy? — zapytał z nadzieją młody gwardzista, którego pamiętał ze szkolenia. Zdaniem Harana, nigdy nie powinien go skończyć. Przyjęcie do Gwardii na pewno zawdzięczał protekcji. Miał wielkie, przestraszone oczy, których wyraz zapowiadał, że nie pożyje długo.

Barbarzyńca splunął i pokręcił głową, bez słowa wskazując górską półkę. Wojownicy zaszemrali, ale nie zakwestionowali rozkazu. To już nie żółtodzioby z defilad, lecz trzon królewskiej armii.

Dzięki kryjówce przeżyli, ale za cenę życia Mahuna, który wykrwawił się, mimo prób zatamowania krwotoku.

Dzień, który nadszedł po chłodnej, górskiej nocy, okazał się bezlitośnie gorący. Jakby staruszek Słońce nabrał wigoru, do syta opity ich krwią. Skały chłoneły żar, bezchmurne niebo stało się dziwnie wyblakłe, może zbladłe

z odrazy i strachu. Haran trwał nieruchomo. Z rozrywek do dyspozycji miał głód, pragnienie i pieczenie ścierpniętych kończyn. Obserwował też mrówki, które wędrowały szeroką na grubość kciuka kolumną po zastygłej twarzy Mahuna. Nawet nie spostrzegł, kiedy wysuszyły i zjadły mu oczy, rekwirując każdą drobinę dostępnej w tym piekle wilgoci. Chłopak stracił tyle krwi, że jego skóra przybrała szary odcień i przez to po śmierci wydał się Haranowi bliski. Obok spoczywał młody, wychudły, ale już potężnie wzdęty Tlaszkalanin, zapomniana ofiara jakiejś wcześniejszej potyczki. Zapach śmierci brutalnie dławił woń rozgrzanych kamieni i ziół.

Kruzowie czekali cierpliwie. Pod nimi sunęły kolejne oddziały wroga. Haran widział, że Iglattyk skulił się kilka metrów dalej, a w pobliżu przywarło jeszcze kilku kolegów. Leżenie w tak smrodliwym sąsiedztwie nie zaliczało się do największych rozkoszy świata, ale Haran nie znalazł lepszego schronienia.

W okolicy nadal roiło się od Termitów, niektórych mógłby dosięgnąć rzutem włóczni. Maszerowali słóczeni w wąwozie, sznur ciemnych mrówek pełzający po białych kamieniach. W tempie ich marszu i przestraszonych twarzach czuło się aurę paniki i niedowierzania. Kruzowie posuwali się dużo szybciej niż podczas minionych wojen. Na razie ich postępy wstrzymała fala upałów. Haran zrozumiał, dlaczego kapłani tak uparcie obstawali przy wojowaniu w wyznaczonych terminach. W środku lata w górach Tlaszkali było stanowczo za gorąco na wojnę.

Słońce odbite od jasnych skał oślepiało, odbierając siły. Trawy i rośliny wysychały na wiór, w kamiennym żlebie pleniły się tylko ciernie. W upiornym skwarze trupy wzdymały szybciej niż zwykle. Z początku Haran łudził się, że wyschną jak święte mumie z krain Inki, lecz ciała pęczniały, gotując armii najeźdźców epidemię. Szybko zatęsknił za słodkawą wonią kruzańskich kadzideł z kopalu. Nawet za *braazatalem*. Sam się prosił,

kretynie. Pozostawałeś przecież w łaskach króla i sam, znudzony pierdzeniem w poduszki, zażądałeś skierowania do prawdziwej akcji. Było zostać w sztabie.

Tłaskalanin, obok którego leżał, miał młodą, dziwnie znajomą twarz. Haran zamyślił się. Czy mógł widzieć go wcześniej, podczas jednej z bitew poprzedniej kampanii? I nagle przypomniał sobie. Koledzy przewali go Gruby, bo matka przynosiła mu różne przysmaki. Zanim został żołnierzem, uprawiał pomidory nad jeziorem Glynn, w najżyźniejszej dolinie Tłaskali. Był jednym z pechowców wcielonych do Synów Śmierci.

Barbarzyńca zaklął pod nosem i gwałtownie potrząsnął głową, spędzając czarne płatki, tańczące mu przed oczami jak popiół ze spalonego miasta. Znowu to samo, pomyślał, uśmiechając się pogodnym grymasem wisielca.

Tracisz zmysły.

Obliznął spieczoną wargę wyschniętym koniuszkiem języka. Włoski na karku podniosły się, palące słońce nagle zrobiło się zimne. Wymamrotał pod nosem słowa modlitwy do Czarnego Tezcatlipoki, patrona spraw mrocznych i zagadkowych, opiekuna czarowników, szaleńców i świętych. „Pierzchnijcie demony, w tych kniejach zwierzynę wybieram ja”. Ale modlitwa nie bardzo dopomogła.

W obecnej kondycji, zapowiadającej rychłą utratę zmysłów, zwracanie się do tak przerażającej istoty jak Ten, Którego Niewolnikami Jesteśmy, przypominała gaszenie pożaru oliwą. Haran odniósł wrażenie, jakby złowieszczy patron przyglądał mu się z niezdrową i wygłodniałą uwagą.

Próbował się skupić na oddechu. Zarówno Pęcherz, jak i Moros wpajali mu to podczas nauki szermierki. Oddech to zwierciadło, probierz umysłu i ciała. Rwany oznacza rozproszony umysł, niezdarne ciało i spowolnione reakcje.

Po długim, wlokącym się czasie natrętne myśli wreszcie się rozwiały,

zostawiając jasny i klarowny umysł. Ale nawet uspokojony, czuł, że sytuacja nie wygląda dobrze. Działo się z nim coś dziwnego. Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Kiedy pilnował Quinatzina, trafił na odprawę Zabójców Gwiazd, zajmujących się wywiadem i przesłuchiowaniem jeńców. Stąd informacje o jeziorze Glynn, pomidorach i Synach Śmierci. A tego młodego termita zobaczył podczas bitwy i zapamiętał, umysł zaś to wszystko pokrotnie posklejał.

Z zadumy wyrwał go śpiew błękitnika. Haran poczuł ciepło w okolicach serca. Dom, właśnie powrócił do domu. Uśmiechnął się, wzruszony. A po chwili wzdrygnął. Cokolwiek usłyszał na odprawach w sztabie, nie mogło dotyczyć pisków jakiegoś ptaszyska.

Bogom dzięki, było jeszcze inne wytłumaczenie.

Że też wcześniej na to nie wpadłem! Musiałem usłyszeć o tym od Morosa, gdy ten rozgadywał się w Dołach.

Odetchnął z ulgą. Wątpliwości jednak wróciły. W Dołach Moros nigdy się nie rozgadywał, milczał niczym pozbawiony języka sfinks. Nie opowiedział mu tego wszystkiego, co teraz Haran rozpoznawał i czuł w swoim sercu jak własne. Nie snuł gawęd o zapachu ziemi i wody, o roślinach i krzewach. O górskich sosnach i śpiewie błękitnika. Moros nie pierdzielił im nigdy o żadnych ptaszkach, nie był przecież wierszokletą, dziewuchą ani dzieckiem.

Mimo to odkąd armia zapuściła się w góry, Haran gapił się na te fruujące i srające stworzenia z jakąś zachłanną tęsknotą. Jakby ktoś podstępnie zaszczepił w nim cudze wspomnienia.

Skoro czarownicy potrafią skraść człowiekowi duszę, to może mogą mu ją też podarować? Wciąż odnosił wrażenie, że wynędziała przyroda Tlaskali usiłuje nawiązać z nim rozpaczliwą więź, gardłuje i śpiewa, zaklina go kaskadami mętnych, bezpańskich wspomnień.

Na szczęście ptasia czujka zagwizdała cicho, przerywając męczący bieg myśli. Droga wolna. Czas wracać. Haran dźwignął się i odpowiedział zwiadowcy trelem. Najlepiej naśladował bagienne ptactwo znad Rzeki, ale w ostateczności mógł imitować również tutejszą skrzydlatą faunę.

Z jego ust wydobyło się charakterystyczne kwilenie błękitnika. Gdy ustało, barbarzyńca potrząsnął grzywą i rozejrzał się wokół jak człowiek wyrwany ze snu. Nad górami zaczynał się czerwienić zmierzch, opromieniając krótkotrwałą chwałą szare, granitowe skały.

* * *

Obóz kruzańskich sił inwazyjnych mocno Tennoka zaskoczył. Pod względem skali obecna wojna różniła się od poprzedniej. I od wszystkich innych. Przede wszystkim nacierające wojska nie były tak naprawdę armią Kruzów, lecz Odrodzonego Przymierza. W obozowisku tłoczyły się kontyngenty lokalnych lenników i władców, którzy chętnie zaciągali pod swoje sztandary barbarzyńców: półnagich, dorastających z łukiem i włócznią Otomi, bezszelestnych, przemykających niczym tchnienie puszczy Druazzi czy podstępnych Tarasków z północy. Maczurai postępował tak samo, na długo zanim stało się to modne. Ludzie tacy jak Tizok, którzy kultywowali starą sztukę wojenną i surowe obyczaje, byli już pośród Kruzów mniejszością.

Założyciele Przymierza stali się wielkowiejską, uprzywilejowaną rasą, urodzoną w stuleciach sytości. Rekruci z miast okazywali się często zbyt słabi, żeby porządnie napiąć łuk lub skutecznie zastawić się tarczą.

Pierwszego dnia, gdy szedł przez obóz oddziałów posiłkowych swego ojca, Tennok czuł się właśnie jak jeden z takich miejskich, bezużytecznych rekrutów. Ubrany w mundur, który wisiał na jego wychudłym ciele niczym habit, z poplamionymi tuszem palcami i długowłosey, nie wyglądał jak ktoś,

kto tu przynależy. Nie wyglądał jak żołnierz, kapelan, kancelista czy skryba, lecz jak ktoś, kto nie przynależy nawet do własnego tyłka.

Wojska Maczuraia składały się z niewielkiego kontyngentu yugalskich Kruzów i znacznie liczniejszej hordy obdartych sojuszników Druazzi, którzy cuchnęli bagiennym błotem i sprawiali wrażenie zagłodzonych. Na pewno świetnie dogadają się z żującymi korę i korzonki Tlaszkalanami, uznali księżę. Powiadali, że od czasu uszczelnienia imperialnej blokady skórzane rzemienie to w kraju Termitów luksus, z którego gotują świąteczną polewkę. A teraz ci dzicy ludzie, twardzi jak kutas żeglarza po długim rejsie, mieli poznać Tennoka, swojego przyszłego wodza. Największego mięczaka na świecie.

Gdy rozeszły się jednak wieści o jego przygodach i ocaleniu króla, zaczęto traktować młodego księcia inaczej. Tennok uświadomił sobie, że nagle stał się weteranem, wiarusem, który zna tlaszkalańskie warunki, góry i zdradliwe wąwozy, a nawet osławiony Labirynt. Zwiadowcy i furazerowie z szacunkiem zadawali pytania, a on, niebotycznie zdumiony, potrafił udzielić im odpowiedzi. Jeszcze bardziej zdumiewało go, że niekiedy wyczuwał echa tego szacunku również u ojca. Zupełnie jakby stary tyran okazywał go mimowolnie, tak jak lustro musi odbić słoneczne promienie.

Mimo to dręczyła go beczynność. Kancelarią pułku zarządzał stary sierżant, wyjadacz, który szybko dał księciu do zrozumienia, że robota pójdzie im wartko, jeżeli nie będzie się wtrącał. Korzystając z tego, że ojciec nie przydzielił mu jeszcze żadnego konkretnego zajęcia, księżę przy pierwszej okazji czmychnął.

Znalezienie gwardii królewskiej było proste – wystarczyło skierować się do środka ludzkiego kłębowiska, nieruchomego jądra cyklonu. Kwatery królewskich oddziałów zostały porządnie obwarowane i nie dało się łatwo do nich dostać. Wśród strażników przy obozowej bramie nie spotkał ani jednego

Kruza. Książę oznajmił, że szuka Harana z plemienia Druazzi. Nazwisko okazało się wystarczająco znane, żeby strażnik bez ceregieli pokazał mu drogę.

Odnalazł Harana na pustym placu ćwiczebnym. Słońce stało wysoko na letnim niebie, z którego lał się żar. O tej porze każdy rozsądny żołnierz chronił się w cieniu, naprawiał i czyścił rynsztunek, drzemał lub dyktował pułkowym pisarzom listy do narzeczonej.

Jego dawny *urs*, nie bacząc na słońce, wykonywał układy szermiercze. W prawej ręce dzierżył ciężki, w teorii dwuręczny miecz, który kiedyś podarował mu Tennok, w lewej zaś stalowy sztylet, za który groził mu karcer. Atakował i zastawiał się z nieustępliwą, posępną furią, niczym człowiek walczący o życie.

Tennok śledził jego poczynania z rosnącym zainteresowaniem. Haran był dobry. Zawsze potrafił obchodzić się z mieczem, ale ta szermierka nie przypominała niczego, czego Tennoka uczono. Jeśli już, to gwałtowne wypady i pchnięcia przywodziły na myśl niektóre techniki tlaszkalańskich oficerów, walczących trzymanym w lewej ręce sztyletem i wąskim stalowym mieczem. Techniki, które ponoć wywodziły się z zapomnianej sztuki walki Białych Diabłów.

Trzeba przyznać, że jego niegdysiejszy *urs* sprawiał ciekawe – czyli nader nieciekawe – wrażenie. Mokre od potu włosy kleiły mu się do twarzy. Książę nie miał pojęcia, jakie standardy dyscypliny i stroju obowiązywały królewską gwardię, lecz był pewien, że jego *urs* bezczelnie je wszystkie ignoruje.

Barbarzyńca spojrział spode łba; ogromna postać, która – nawet lekko przygarbiona – górowała nad większością ludzi. Emanował przy tym jakąś złowrogą mocą. Tennok odetchnął głęboko. Ciekawe, czy mnie zabije, zastanowił się. W końcu przemógł się, uścisnął jego zdeformowaną

w kopalniach łapę i od razu odruchowo odsunął się. Jego były *urs* cuchnął bólem i śmiercią, nienawiścią i świeżą krwią.

— Wystawiłeś mnie, a teraz przyłazisz tu jak gdyby nigdy nic. Nie ostrzegli cię, że my, dzicy, działamy pod wpływem impulsu? — mruknął Haran, przesuając kciukiem po ostrzu sztyletu.

— Nie jesteś dzikusiem, Haran. Słyszałem twoją historię od Szarych Pasów. Przykro mi. Chciałem ci dać nauczkę, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. To prawda, że ćwiczysz tutaj od wczoraj?

Haran splunął. Niebieskie oczy błysnęły dziko. Zatoczył łuk krótszym ostrzem, wskazując na biały od żaru plac.

— Nie mogę spać, nie mogę jeść, nie mogę wysiedzieć w miejscu. Pewnie myślisz, że w końcu mi odwaliło? — zapytał.

— W takim miejscu i czasie to nie jest najgorsza reakcja — cicho powiedział ksiązę.

Haran uśmiechnął się i splunął przed siebie, trafiając prosto w trzepoczącego malutkimi skrzydłami kolibra. Kruzowie wierzyli, że odrodzenie pod postacią spijającego słodycz kolibra to nagroda dla dzielnych wojowników. Za coś takiego groził sąd wojskowy.

— Dlatego tu jesteś? Żeby znów przynudzać?

— Przynoszę złe wieści — wyznał Tennok cicho.

Wychowanek Druazzi pytająco uniósł lewą brew.

— A są jakieś inne?

— Citlali nie żyje. Dowiedziałem się od znajomego z Kolegium. Oczywiście nikt nic nie wie... poza tym, że zginęła na służbie. Sprawy Tysiąca Oczu.

Haran odwrócił się bez słowa. Przez chwilę rozglądał się wokół nieprzytomnym wzrokiem. Nagle zamachnął się z rykiem i uderzył pięścią w potężny stojak na broń. Konstrukcja zatrzeszczała i przechyliła się.

Barbarzyńca poprawił kopnięciem, roztrzaskując gruby, drewniany pał.

Żołnierze siedzący pod pobliskim jesionem spojrzeli na niego wrogo, lecz po namyśle odpuścili, usilnie popatrując gdzie indziej. Haran oglądał zakrwawioną pięść, jakby planował manicure.

— Szkoda — szepnął.

Tennok wzruszył ramionami.

— Szkoda.

— Zmieniłeś się — mruknął Haran.

Księżę pociągnął nosem i skrzywił się, jakby powąchał padlinę.

— A ty wcale — warknął. Wyszło bardziej piskliwie, niż chciał.

Były *urs* uśmiechnął się, odsłaniając spiłowane zęby.

— Zmieniłeś się, ale wciąż jesteś miękki. Maczurai musiał cię spłodzić, jak miał kaca — rzucił.

Tennok nie zamierzał się spierać.

— A ty co porabiasz? Ilu ludzi zaszlachtowałeś w tym tygodniu?

— To zależy. — Barbarzyńca podrapał się po głowie, zręcznie chwytając wiesz. Przyglądał jej się teraz w skupieniu. — Zależy, czy do ludzi zaliczasz kobiety i dzieci. — Musiał spostrzec reakcję Tennoka, bo roześmiał się chrapliwie. — Jaja sobie robię. Ot, tłukę w górach zwiadowców Termitów i takie tam. Po bożemu. Dobra, przysiadźmy gdzieś, bo jeszcze mi tutaj zemdlejesz.

Kantyna przypominała piaszczystą, głęboką ziemiankę. Panował w niej przyjemny chłód. Haran gwizdnął na posługacza, który za kilka ziaren przyniósł im wielki dzban *pulque*. Tennok przysiadł na niskiej, rzeźbionej ławie i z rozkoszą oparł się plecami o ścianę wyłożoną grubymi balami. Pachniała żywicą. Barbarzyńca przykucnął, kołysząc się na piętach. Tennok pociągnął nosem i niemal udławił się smrodem.

— Pozwalają ci tak cuchnąć? Z pałacu od razu byś wyleciał. Chyba że

dałbyś nura do fontanny. Na tydzień.

— Nie jesteśmy w pałacu. A król chce, żeby się nas bali. Wygląda na to, że zmienił koncepcję gwardii przybocznej — zadrwił Haran.

— Mimo wszystko to lekka przesada.

— Skoro nie przeszkadzało im, jak nosiłem na sobie jego skórę i krew, to nie powinno ich razić, że jej nie zmyłem.

— Jego? — pogubił się Tennok. Barbarzyńca mówił z silnym, gardłowym akcentem i czasem śmiesznie przekręcał słowa bądź całe zwroty. Chwilami Tennok podejrzewał, że robi to celowo i świetnie się przy tym bawi. — Chodzi ci o tego jeńca z ceremonii Ofiary Kamienia? Szaratangę? Wciąż o nim myślisz?

— To nie twoja sprawa. Mówię tylko, że król wysłała nas na najgorsze, najbardziej mordercze misje. Mówi, że to nas zahartuje. Dlatego tak wyglądam.

— Zahartuje? Do czego? — Dla Tennoka gwardziści byli czymś w rodzaju kolumn, tylko ubranych w zbroje. Wyposażeniem pałacu. Wystarczało, że pretorianie nie odcinali się niekorzystnie od marmurów, stiuków i piór oraz nie planowali przewrotu. Królowie rzadko wymagali od nich więcej.

— A kto go tam wie. Przynajmniej nie muszę sterczeć w sztabie i słuchać bełkotu doradców, petentów i innych darmozjadów. Pierdzenia kolorowym pudrem. Jak usłyszałem o misjach, od razu zgłosiłem się na ochotnika — mruknął posępnie Haran.

Długo pił z dzbana, nim go odstawił, ocierając usta. Pod wpływem alkoholu chory blask w jego oczach trochę przygasł.

— Ale coś wisi w powietrzu, czuję to. I nie chodzi o dorzynanie Termitów. Uważaj na siebie.

Księżę pokiwał głową. Wziął od Harana dzban *pulque* i ostrożnie

pociągnął łyk. Pił długo, najwyraźniej znowu nabierał wprawy w poważnym trunkowaniu. W ogóle zmienił się na korzyść. Barbarzyńca musiał to przyznać. Czyżby ślęczenie nad zakurzonymi księgami sprawiło, że jego dawny pan zmęźniał? Nie, to coś innego. Tennok był teraz na swoim miejscu, dlatego przestał go drażnić.

— Studiuję teraz pewną dziwną kronikę, pisaną w archaicznym druazzyjskim. Szyfrowaną. Wciąż nie udało mi się odczytać ostatniego rozdziału. Broni go inny szyfr, trudniejszy. Brakuje mi znajomości słów, by go złamać.

— Jakich? — Haran pociągnął z dzbana i beknął potężnie.

— Na przykład to: *miczigori*.

— Mówimy tak na wściekle psy.

— To rzeczywiście po waszemu? Nie znałem tego.

Haran pokręcił głową. W jego oczach czaiło się zagubienie.

— Bo nie mogłeś. To po tlaszkalańsku. I to w lokalnym dialekcie z jednej zapadłej dolinki. Twój szyfrant używał kilku języków.

Tennok pokiwał głową. Nie pytał, jak jego niegdysiejszy *urs* stał się poliglotą. Obchodziła go tylko zagadka. To dla niej nauczył się ostatniego rozdziału na pamięć, choć był tylko ciągiem niezrozumiałych znaków.

Sięgnął do torby po podręczny ekwipunek skryby, czyli solidny arkusz grubego papieru z wewnętrznej strony kory figowca, pędzelek i atrament z owoców *nacazcólol*. Wyjął też notatki. Przez chwilę pisał coś gorączkowo, potem odłożył pędzelek i przyjrzał się kartce. Wreszcie pokręcił głową i podał papier Haranowi, który odsunął się z lękiem.

— Weź to ode mnie!

— Znasz język, pójdzie ci szybciej. — Tennok podał mu jeszcze notatki z kluczem do szyfru.

Druazzi wpatrywał się w nie podejrzliwie.

— Przecież nie umiem czytać.

— Może kiedyś. Teraz widzę, że rozpoznajesz litery. Nauczyl cię w gwardii?

— Nikt mnie niczego nie uczył. To wojsko, a nie cyrk — warknął Haran. Tennok stłumił śmiech. Zaczynał się świetnie bawić.

— Nie przyznajesz się, bo dla dzikiego to wstyd?

— Nie o to chodzi. Dobra, rozpoznaję wasze mówiące robaczki. Od niedawna. Ale skąd się to wzięło, to nie wiem. A jeśli to jakaś choroba? — poskarżył się wielkolud, ale w końcu wziął od Tennoka tabliczkę.

Wpatrywał się w nią, marszcząc brwi, czoło przecięła mu głęboka bruzda. Poruszał bezgłośnie ustami. Tennok czekał cierpliwie. Po kwadransie Haran roześmiał się cicho.

— To największe bzdury, o jakich słyszałem. Posłuchaj: „I tak Koalicja Rozpaczy, złożona z Azteków, Tlaskalan i Białych pokonała demony w bitwie nad Czarną Rzeką, a cena ich poświęcenia była wyższa niż szczyty wulkanów. Wtedy nadeszli Kruzowie”.

— Czytaj dalej... — poprosił Tennok, zapalając drżącymi rękoma fajkę.

Haran, marszcząc brwi, długo wpatrywał się w kartkę. Wreszcie pokręcił głową i bez słowa oddał ją księciu.

— No i? — niecierpliwił się Tennok.

— Nie wszystko rozumiem. A to, co wyłapuję, to bełkot. Jakieś szalone wymysły — mruknął Haran.

— Pozwolisz, że sam to ocenię?

— Dobrze ci radzę, odpuść. Ten tekst pomawia dynastię, a to zakrawa na zdradę stanu. A co najmniej na poważne bluźnierstwo.

— Rozumiem. Ostrzegasz mnie jako jeden z królewskich siepaczy? Życzliwy Zabójca Gwiazd?

Haran bez słowa wytrzymał jego spojrzenie.

— Nie, jako twój **jedyny** kolega. Będziesz paplał i ktoś cię uciszy. Nawet tatuś cię nie obroni, wierz mi. I po co ci to? Lepiej się nie babrać w przeszłości.

— Nie rozumiesz, że oni chcą, żebyś tak myślał? Nie warto się zastanawiać ani, bogowie brońcie, sprzeciwiać. Nie warto samemu wyciągać wniosków. Zostawmy pytania mądrzejszym od nas i... nie pytajmy, komu ci mędracy służą. Przeprowadzą odpowiedzialne badania, powstanie poufny raport. Tego chcą!

— Niby kto? Kim są ci „oni”, Tennoku? — Barbarzyńca uśmiechnął się z politowaniem.

— Wszyscy, którzy robią cię w chuja! — ryknął książę.

Haran skwitował jego słowa prychnięciem i pociągnął *pulque*. Podał lekki już dzban Tennokowi, który osuszył go jednym haustem.

— To nie jest jeszcze najgorsze — odezwał się w końcu książę. — Nieważne, jakie kłamstwa ukrywają, choć dzięki tobie wiem, że musi to być gruby szwindel. W końcu to zamierzchłe dzieje. Wiesz, co niepokoi mnie bardziej?

Haran szyderczo rozłożył ręce. Ale Tennok był śmiertelnie poważny.

— To Zjadacze byli Klątwą. Tyle sam potrafiłem odczytać. To z ich powodu Aztekowie sprzymierzyli się z Tlaskalą i Białoskórymi. Ze śmiertelnymi wrogami, dasz wiarę? I prawie przegrali. A Quinatzin się z nimi zwałchał. Z istotami, które kiedyś niemalże unicestwiły ludzkość.

Barbarzyńca zamyślił się. Potem zamówił nowy dzban trunku. Książę pił jak pustynny wędrowiec. Alkohol przyjemnie usuwał napięcie.

Jakoś to będzie.

— Dziwne. Gdy byliśmy dziećmi, trunek był zakazany. Tylko weterani i starcy nad grobem legalnie żłopali *pulque*. Pamiętasz? — zapytał, ocierając usta.

Haran roześmiał się gromko.

— A jak! Mój staruszek wysłużył sobie to prawo. Bogowie świadkami, wykorzystał je. Co do kropli. — Śmiech Harana był radosny jak piruet grabarza.

Tennokowi nagle zaczęło coś świtać. To mogło się okazać ważne, chociaż był coraz bardziej pijany.

— Chodzi mi o to, że to stanowiło przywilej, rozumiesz? Prawdziwi Ludzie nie pili, tylko wybrańcy mogli to robić, a i to od święta. Quinatzin naprawdę olewa tradycję. Jakby świadomie ją niszczył. Celowo osłabiał swój lud. Ale po co? Do czego mu to potrzebne?

Haran uśmiechnął się krzywo i splunął, w skupieniu obserwując plwocinę, wchłanianą przez rdzawy piasek klepiska.

— Może wie, że na trzeźwo nikt tego nie zniesie — mruknął.

— Wojny?

— Nie. Świata, który dla nas szykuje.

Rozdział 14

*Na polu bitwy śmiałkowie
Padają niczym deszcz kwiatów.
Poezja aztecka*

Armie Przymierza parły przez Labirynt niczym wezbrana fala. Nagle okazało się, że wąwozy można sforsować, pułapki unieszkodliwić, a tajne przejścia zlokalizować i odciąć. Zaskoczone skalą natarcia Termity naprawdę stawały się ślepe. Ich zasadzki zmieniały się w krwawe jatki, w których sama przewaga liczebna przynosiła zwycięstwa Odrodzonym. Posunięcia Tlaskalan wyglądały jak desperackie drgawki przydeptanego skorpiona.

Nawet najbardziej sceptyczni oficerowie z armii Tizoka zaczęli przebąkiwać o zwycięstwie. Żołnierze króla paradowali dumni jak pawie, fantazując na temat ponętnych tlaszkalańskich kobiet, które niebawem posiadą.

Nie jeden szlachetnie urodzony zakładnik, który – jak niegdyś Tennok – służył w Korpusie Jaguarów z przymusu, odczuwał nagły przyływ lojalności wobec swego zwycięskiego imperium. Nie jeden dziki najemnik z plemienia, które nie znało dachów ani drzwi, widział już siebie jako dygnitarza lub posiadacza ziemskiego w nowo zdobytej prowincji.

Tylko Haran miał wszystko gdzieś. Nie chciał być namiestnikiem.

W ogóle nie bardzo chciał być.

Zgłosiwszy dowództwu skręcenie nogi, przesiadywał na ławeczce przed

kantyną, pałac tak zwaną „kruzańską machorkę”. Składały się na nią najróżniejsze rośliny, przywożone przez całe pokolenia żołnierzy, zdobycze z najodleglejszych zakątków imperium. Obejmowała liczne odmiany tytoniu, szałwię i suszone grzyby, liście niedźwiedziej jagody, nasiona powojów, sumak i kwiaty lili. Powiadali, że dzięki kosmopolitycznej mieszance każdy wojownik Przymierza, nieważne, z której zapadłej dziury pochodził, mógł po jednym buchu poczuć ukochany dom. Podobny specyfik, zwany *kinikinik*, palili w swoich fajkach pokoju nomadzi z północnych równin, ale kruzański towar dawał mocniejszego kopa.

Władze wojskowe przymykały oko na ten proceder, wiedząc, że każdy wojak musi odreagować napięcie związane z odbieraniem życia i jego traceniem. Haran kopcił jak ognisko sygnałowe, ale odprężenie nie nadchodziło. Przy wszystkich miłych drobiazgach, takich jak kobaltowe niebo, słońce i wiatr na twarzy, nie opuszczało go poczucie dojmującego ciężaru. Wciąż miał wrażenie, że czeka na Zjadaczy w kamiennej komnacie Dołów, a ktoś wyświetla mu przed oczami rozpraszające obrazki. Iluzję wysnutą z dymu. A może po wszystkich latach spędzonych w Dołach to one znalazły się w końcu w nim?

Zapadł zmrok. Mimo że Haran od kilku godzin palił i nabijał fajkę, był zmęczony, spięty i dziwnie trzeźwy. Pozbawiony poczucia tryumfu i dumy, którymi narkotyzowali się jego koledzy, rozpamiętujący swoje dzisiejsze przewagi. Głośni i zadowoleni z siebie. Dowartościowani jako Kruzowie, wojownicy, mężczyźni.

Gwardziści Quinatzina nie byli już złotodziobami od stołecznych defilad i pilnowania bram. Walczyli na pierwszej linii, u boku Orłów, Jaguarów i północnych pułków. *Tlatoani* chciał, aby jego ludzie sprawdzili się w boju i mogli, w razie potrzeby, posłużyć za kadrę oficerską nowo formowanych oddziałów. I rzeczywiście, stawali się coraz bardziej zgrani, ale Haran nie

potrafił się odnaleźć w tej atmosferze krwawego braterstwa. Prawdę rzekłszy, od Dnia Obdzierania ze Skóry nie mógł się odnaleźć w czymkolwiek.

Najpierw myślał, że to z powodu szoku.

Czym innym jest oglądanie rytuałów z dystansu, jako nieledwie astronomicznych spektakli rozgrywanych na szczytach piramid, a czym innym okazało się włożenie na siebie ciepłego, wilgotnego płaszcza z ciała człowieka. Człowieka, który jeszcze niedawno śmiał się, oddychał. I był najlepszym przyjacielem. On, wychowany w plemienu myśliwych, od tamtego dnia żywił się podpłomykami, jak mnich. Nic dziwnego, że stracił ochotę na seks. Na przypominanie samemu sobie upokarzającej prawdy, że każdy człowiek jest mięsem, które je i pożąda innego mięsa. Cóż za przerażająca, szalona perspektywa.

Które bawi się, póki nie zgnije. Gdyby wszyscy o tym czasem pomyśleli, cała ludzkość dostałaby pierdolca.

Nie wydaje wam się? To włożcie ciepłe wdzianko ze skóry kolegi.

Dopasowuje się świetnie do ciała, a i do duszy.

Haran migał się, co nie było dobrze widziane w kulturze Druazzi ani chyba w żadnej innej. Ale którejś nocy, tydzień po ceremonii, zaprawił się machorką i *pulque* i przeleciał obozową dziwkę. Żadne upajające przeżycie. Podrygująca pod nim chuda dziewczyna, której miednicę oklepywał z zapalem godnym lepszej sprawy, nie budziła w barbarzyńcy żadnych uczuć, poza irytującym poczuciem, że jeśli zaraz nie skończy, to nie skończy już nigdy.

Inaczej miały się sprawy z Citlali, która budziła w nim morze uczuć. Dziwny, gwałtowny wstręt do jej dotyku i ciała. Od czasu Dnia Obdzierania ze Skóry kojarzyła mu się wyłącznie z bólem. Haran zawsze był dumny ze swojej odporności. Nieważne, ile zabrały mu Doły, zrobiły z niego twardziela. Przy Citlali stawał się wrażliwy i czuł jak otwarta rana.

Wystarczyło muśnięcie jej palców, subtelny ślad jej zapachu albo szelest oddechu, by wzdragał się jak oblany ukropem.

Może wynikało to z tego, że przesłuchiwała i torturowała Morosa? Haran zadowolił się tym wytłumaczeniem i zerwał z nią, co – jak wszystko teraz – wywołało w jego głowie kolejny dysonans. Czuł, że nielecho ją skrzywdził, choć nie tak bardzo, jak ona Morosa. Wychowanek Druazzi nie użył świdra do piłowania zębów, cęgów do wyrywania paznokci ani szmatek do podtapiania. Nawet teraz, gdy Haran zastanawiał się nad ich rozstaniem i nad tym, czy pośrednio przyczynił się do śmierci dziewczyny, jego wspomnienia o Citlali zasnuwała podwójna gorycz. Pamiętał, jak ją odtrącił i czuł się z tego powodu winny, lecz jakaś dziwna część jego duszy powtarzała, że dobrze się stało.

Królewski rozkaz, wzywający gwardzistów na kolejną kampanię wojenną, powitał z płaczliwym westchnieniem ulgi. W przeciwieństwie do reszty kraju, który wzburzył się, zatchnął i zakotłował, Haran od razu chciał tej wyprawy. Chciał wyrwać się z miasta i z kajdan własnego umysłu. Dopiero gdy dotarli na front, przekonał się, że wpadł z deszczu pod rynną. Każdy trup i każda spalona osada, każdy płacz dziecka i szloch gwałconej przez jego kolegów dziewczyny spychały go w mroczną, bezdenną przepaść.

Doszło do tego, że kiedy koledzy bawili się, Haran zgłaszał się na ochotnika i pełnił wartę. Do dupy z taką kampanią. Druazzi wierzyli, że wojna powinna przede wszystkim sprawiać przyjemność, a on zmienił się w ponurego, niezycliwego ludziom, małostkowego moralistę.

Jak tak dalej pójdzie, stanę się równie świętojebliwy, jak Tizok, myślał.

Skręt dogasł, parząc go w palce. Haran zamrugał niczym człowiek wyrwany ze snu i udał się do kantyny, by dla odmiany pokrzepić się serwowanym tu rozwodnionym *pulque*. Kruzowie to świry, myślał, przysłuchując się pijackim przechwałkom i okrzykom. Temat gwałcenia

tubylczych kobiet i rozpruwania im brzuchów jakoś go nie bawił. Barbarzyńcy lubowali się w zadawaniu męczarni wrogom, ale żaden Druazzi nie splamiłby się torturowaniem uprowadzonej niewiasty. Po co miałyby to czynić? Przecież mogła dać mu rozkosz i urodzić syna.

To wszystko jest chore.

Gdy koledzy doszli do kwestii szlachtowania niemowląt, wydobytych przy tej okazji z łon matek – zdradzieckie plemię trzeba bowiem raz na zawsze wytepić – Haran gwałtownie wstał z ławy. Bezceremonialnie rozepchnął kompanów barkiem, ignorując ostrzegawcze buczenie. Doczłapał do swego namiotu i zwałił się na pryczę jak kłoda. Czaszka dudniła mu tęnym, uporczywym bólem, długo nie mógł zasnąć. W końcu przypomniał mu się stary wojskowy dowcip o tym, co liczy żołnierz, cierpiąc na bezsenność. Jelenie? Tak. Żołnierz liczy trupy poległych kolegów.

Nagle z ciemności pod przymkniętymi powiekami wyłoniła się twarz. Grubas, Tlaszkalanin, który niedawno leżał obok niego, gdy Haran czaił się podczas zasadzki. Martwy wojownik był blady, jakby płynęła w nim krew demonów. Mrówki, które znaczyły na jego czole i ustach swoje cierpliwe szlaki, wydawały się teraz czerwone jak krew. Układały się w znak, który Haran znał i którego znaczenia nie mógł sobie teraz przypomnieć.

Zabity otworzył oczy. Haran rozpoznał go, to jednak nie był martwy z zasadzki, lecz Moros. Jego przyjaciel, jego opiekun z Dołów. Zdrajca. Moros, czyli Szar. Zabity, z niebytem obyty. Skurwiel sięgał po niego aż z piekła.

Rzecz działa się w dużym oficerskim namiocie, zdobionym białoczerwonymi sztandarami i insygniami Tlaszkalan. Haran przeżywał całą scenę jak aktor, który choć czuje pod stopami deski sceny i ma świadomość, że otacza go iluzja, daje się porwać nastrojowi chwili i zatracą w odtwarzanej roli. Mógł tylko patrzeć, ale w sensie duchowym był Szaratangą, bohaterem

wojennym Tlaskali. Odgrywał przypisaną rolę.

Wydawał się rozgoryczony, wzburzony i mocno pijany. Kobieta, z którą się spierał, miała chłodny wzrok i zaciśnięte usta, maskujące wyrzuty sumienia. Była przejmująco piękna. Przed chwilą skończyli się kochać.

Pamiętał, że nazywa się Leyre.

Nie była typem pociągającej chłopczycy o niewinnym, niewymuszonym wdzięku, jak Citlali. Leyre należała do samic alfa. Była drapieżną, stuprocentową kobietą, niszczycielskim rozbłyskiem piękna. Moros dużo o tym myślał, tak jak o wielu innych sprawach. Teraz te wszystkie naciągane i wydumane koncepty roiły się pod czaszką Harana. Jego przyjaciel żywił najwyraźniej obsesję na punkcie tej smukłej, wysokiej kobiety. Bogowie, ile słów. Ile słów o czymś, co powinno być tak naturalne jak zatopienie zębów w połciu krwistego mięsa lub wbicie ostrza w czaszkę wyjącego wroga. Tyle słów o zwykłym, zwierzęcym parzeniu się.

Moros naprawdę miał chory łeb.

Kobieta podeszła do niego, rozchylając namiętne, wilgotne wargi. Przełknął ślinę, wciągając do płuc jej zapach i obietnicę. Filozofowie się myślą. Zbyt długo głodowali w zaułkach, poddani przymusowej ascezie.

Uroda to nie zwiastun dobra. To macka, pazur i kieł. Pyszniąca się przed nim istota była storczykiem, na którym ma przysiąść owad zwabiony feerią barw. Nawet skórę miała w pewien sposób nieludzką i wolną do skaz. O jedwabistej, chłodnej fakturze, przy której skóra zwykłych niewiast przypominała chropawą, źle wyprawioną derkę.

Tak zjawiskowe kobiety często starzeją się same, ich powab, jak buchający płomień, odstrasza kochanków. Śmiałkowie, którzy mimo wszystko odważą się, poznają na własnych skrzydełkach los ciem. Ale Haran nie mógł odchylić kierunku lotu. Mógł tylko słuchać i patrzeć, co robi Moros. Co robi Szaratanga. Był widownią na własnym pogrzebie.

Śnił.

— Rada Grani zastawiła na Kruzów pułapkę. Gigantyczną pułapkę na myszy. Ty jesteś przynętą, Szar! — warknęła Leyre.

— Pułapkę? Świetnie. Choć obawiam się, że brakuje nam kotów — odpowiedział z przekąsem. W końcu był Szaratangą, Lwem Labiryntu. Przyzwyczyił się do walk na straconej pozycji.

— Nikt nie przybędzie ci z odsieczą. Nie będzie żadnych posiłków. Oni chcą, żebyś przegrał. Chcą, żeby Kruzowie cię pojмали i odczytali twoją Mapę Przejścia. Twoje *ilhalli*.

— Co? — zakrztusił się jej słowami.

To nie mogła być prawda. Na samą myśl o skomplikowanym systemie ukrytych tuneli i przejść, zatrutych źródeł, śmiertelnych zapadni i magii, które nagle przestają działać i odsłaniają bezbronną Dolinę, zrobiło mu się słabo. Tłazkalanie byłoby jak skamłący, leżący na grzbiecie kundel z odsłoniętym podbrzuszem. Całkowicie bezbronni. Bez Labiryntu są skończeni.

— Przyjrzałeś się w ogóle swojej mapie?

Szar skrzywił się.

Teoretycznie dawno powinien to zrobić. W praktyce nie było po co. Nie potrzebował mapy, przez lata wojaczki poznał Labirynt lepiej niż brud swojej własnej duszy. Latami zgłębiał jego sekrety. Dopomógł mu dar, o którym nie wspominał nikomu, umiejętności nabyte w mrocznych latach, gdy rył skały w kruzańskiej sztolni.

Zerknął na misterny, zaszyfrowany tatuaż, klucz do Królestwa Tłazkali. *Ilhalli*. Gwarantował, że jego armia nigdy nie straci inicjatywy, nie zabłądzi we własnej fortecy. Mapa wydawała się w porządku, chociaż...

Zapatrzył się na punkt oznaczający Sploty – długi, kręty wąwóz, nad którym wykuto tarasy dla łuczników. Dalej rozpościerała się Dolina

Czarnego Psa, miejsce jego najsłynniejszego zwycięstwa.

Znał je, bił się tu nieraz. Pierwsza runda Wojen Kwietnych często odbywała się w Splotach. Wąwozy spowalniały wroga, pozwalały Tlaszkali przygotować drużyny do dalszych tur.

Jego *Ilhalli* było fałszywe. Zmienione.

Z pierwszego Splotu odchodziły dwa tajne przejścia. Jedno prowadziło w górę, na stanowiska łuczników, drugie, zaopatrzone w specjalne blokady, pozwalało na szybką ewakuację piechoty. Często z niego korzystał. Pamiętał plaskanie zakrwawionych stóp o granitowe płyty, zdyszane oddechy, pośpiech, gdy pędzili, by zniemacka znaleźć się na powierzchni i uderzyć w tyły wroga.

Na mapie, w którą zaopatrzyło go dowództwo, tych taktycznych korytarzy nie było. Wskazywała jedynie drogę w głąb Splotów. Szaratanga nareszcie zrozumiał. Jego mapa ukazywała tylko **niektóre** przejścia i szlaki.

Ograniczając wybór tras, wiodła użytkownika na sznurku i, niczym wabionego przynętą szczura, wpychała prosto w pułapkę. W Dolinę Czarnego Psa.

Chłonący tę scenę Haran stłumił bezgłośny, daremny krzyk. Teraz rozumiał Morosa. Tlaszkała zawarła z nim oszukaną umowę, którą on żyrował własną krwią.

— Rozłokowali na zboczach grzmiący pył. Cały wąwóz zawali się Kruzom na głowy — oznajmiła beznamiętnie Leyre, jakby podawała mu jadłospis na nadchodzące przyjęcie.

— Więc to jest ten wielki plan Rady? Myśleli, że się nie zorientuję? — zapytał chrapliwie, dławiąc się wzbierającą wściekłością.

— Wiedzieli, że nie korzystasz z map. Zorientowałbyś się, gdybym tu nie przyszła? Wytatuowali ci ją tylko w jednym celu. Twoje *ilhalli* poprowadzi armię Przymierza w pułapkę. Szach, mat. Mają stracić króla.

Szar skrzywił się, słysząc to odwołanie do elitarnej gry Białoskórych. Jego ukochana była i będzie snobką. Chciał znaleźć jakąś soczystą ripostę, ale w ustach zachrząścił mu żwir. Skulił barki, jak juczny muł, przygarbiony kolejnym brzemieniem.

— Co będzie, jeżeli odmówię? Ucieknę? Odegracie się na moich bliskich? — zapytał, dławiąc się na samą myśl o porzuceniu rodziny. O takiej tchórzliwej ohydzie. Mimo wszystko rozważał ją. Życie jest nieokiełznaną siłą, zrobi wszystko, żeby dalej trwać.

— Znajdzie się inny bohater. Ale ty byłeś pierwszy na liście. Żeby plan się sprawdził, Quinatzin powinien stracić czujność, upoić się własnym tryumfem. Dlatego pokonanym generałem musisz być ty. Nikt inny nie napsuł Kruzom tyle krwi.

— Cóż za honor dla mnie, jaki zaszczyt. Teraz widzę, dlaczego moja armia jest tak nędzna. Pozbyliście się odpadków... by nie stracić wraz ze mną porządných żołnierzy — rzucił gorzko.

Leyre pokręciła głową.

— Skrobiemy po dnie, Szar. Na każdym z frontów. Co teraz zrobisz? — Popatrzyła na niego uważnie.

Szaratanga wzruszył ramionami.

Z taktycznego punktu widzenia plan Rady nie był zły. Dawał Tlaszkali szansę na walne zwycięstwo. Ale nikt nie powiedział, że to jedyne wyjście. Szar wierzył w Labirynt i w swoje wojenne szczęście. Był przecież Szaratangą, Lwem Labiryntu. Wykorzysta wszystkie atuty i przetrzepie Kruzom skórę. Nie będzie potrzeby mamienia ich jego fałszywym *ilhalli*. Potem wróci i zdemaskuje Radę, z dowodem zdrady wyrytym na własnej skórze. Może posypią się głowy, a wojsko wypowie Papanowi posłuszeństwo. Dolinie przyda się nowy król.

— To jeszcze nie koniec. Nie zamierzam być drugim Eizaachem.

Zatrzymam Kruzów, ale nie dam się pojmać. A kiedy to się skończy... wrócę po ciebie. Będziemy razem, jak chciałaś. Choćby stu Papanów stało nam na drodze — powiedział, delikatnie dotykając jej twarzy.

Leyre zadrżała, odwróciła głowę. Uniosła dłoń, chłodne, smukłe palce przywarły do warg Szaratangi jak pieczęć na sarkofagu. Płakała. Malowany błękitnym urzetem ornament na jej gładkim ramieniu zamigotał.

Scena zatoneła w czerwonym świetle, które unieruchomiło postacie niczym bursztyn z zakrzepłej krwi. Cudza rozkosz obmyta przez łzy, kurzawa światła i barw. Rozdarte, prujące się płótno. Dekoracje rozsypywały się, dialogi zagłuszył szum. Pożaru, który był deszczem.

Haran obudził się z jękiem. Postać dziewczyny wciąż trzepotała mu przed oczami, wypierając ze świadomości inne sensne widoki. Była jak rozżarzony lód, wciąż czuł pod palcami jej ciało. Zbudził się, ale nadal śnił. Tylko czyje sny?

Z masy obrazów i wspomnień, które spływały na niego jak wulkaniczna magma, wyłoniła się jedna zatrwajająca wiadomość, przejęta z pamięci Morosa-Szaratangi. Mózg uznał ją za kluczową dla podtrzymania systemu.

Groziła im klęska. Mapa z dłoni Szaratangi, **jego** mapa, prowadziła Kruzów w pułapkę. W wąwóz, który miał się stać grobowcem imperium.

Barbarzyńca zerwał się z pryczy i potknął. Nie było czasu na rozterki i wątpliwości. Wnyki zaraz się nad nimi zatrzasną. Jego koledzy, bracia, Jaguary i ci z Gwardii, zginą, jeżeli niczego nie zrobi.

Tylko co z Tlaskalą?

Co z mieszkańcami Tlaskali, co z kobietami i dziećmi, co z moją żoną i górską doliną, w której śpiewają błękitniki, a zmierzch przypomina skroploną ciszę?

Co z nimi, Haranie? Kogo ocalić?

Czy skazesz ich wszystkich na śmierć, w imię głodu zachłannego

imperium i ambicji kilku szalonych łajdaków?, wyszeptał w nim jakiś głos.
Barbarzyńca jęknął i ukrył twarz w dłoniach.

Musi to zatrzymać. Ale czy potrafi?

I czy tego chce?

Rozdział 15

*Pan Piekieł zbiera do czary
łzy sprawiedliwych i prawych,
a gdy nasz żal się przeleje
podlewa nim swoje uprawy.*

Stara piosenka Maya

— Oczekuję raportu — Leyre starała się, by jej głos brzmiał zdecydowanie i władczo. Jak przystoi królowej, a nie zbolącej i nieszczęśliwej idiotce, która budzi się i ryczy w łóżku jak dzieciak. Chyba że jest przy niej niekochany mąż, bo wtedy rozpacz ustępuje nienawiści.

„Sama tego chciałaś. Władza ma swoją cenę”.

Był jeszcze wstręt, do innych i siebie samej, ale do niego zdążyła się przyzwyczaić.

Biorąc to wszystko pod uwagę, ta przekłeta bitwa mogłaby się wreszcie zacząć.

W centrum dowodzenia znajdowali się oficerowie weterani, rozmodleni kapłani i dobrze prosperujący wróżbici. Wiercący się arystokraci, maskujący niepewność dumą. Teraz wszyscy sarkali jedni na drugich, jak dzieci przyłapano na udawaniu dorosłych.

Odprawa odbywała się w podziemnej komnacie, stanowiącej część Labiryntu. Panował tu okropny zaduch, nieustraszeni obrońcy Tlaszkali pocili się bowiem coraz bardziej. Pomieszczenie było zbyt małe dla tylu

wyperfumowanych i zdenerwowanych bohaterów, którzy kłębili się teraz wokół stołu z mapami i makietami fortyfikacji. Dla tej odprawy uchylono prastary zakaz i pozwolono na odwzorowanie niewielkiego fragmentu Labiryntu, którego plany zapisywać można było jedynie na generalskich *ilhalli*. Wielu zgromadzonych przywdziało ciężkie pancerze, kirysy wzorowane na zbrojach Dobroczyńców, zdobione muszlami, klejnotami i pikowaną bawełną. Na plecach nosili herbowe stelaże z wikliny, tkaniny i jaskrawych piór, które mieniły się tlaszkalską czerwienią i bielą oraz barwami poszczególnych klanów. Szeregowi wojownicy także nosili stelaże, które pozwalały odróżnić się na polu bitwy, jednak szlachetnie urodzeni zmienili ten zwyczaj w cudaczną farsę. Ich ozdoby były ogromne i nieporęczne. Rozgadani, pokrzykujący oficerowie wyglądali w nich jak stado baśniowych ptaszysk, gotowych na samczy, godowy taniec przed obliczem Śmierci. Nawet Leyre, niebędąca przecież frontowym żołnierzem, miała złośliwe przeczucie, że taki stroik wszędzie poza paradą był absolutnie bez sensu i mógł na przykład zaklinować oficera na wieki w drzwiach do wychodka. Mimo zaduchu, niektórzy przywdziali jeszcze futrzane płaszcze. Każdy z tych darmozjadów zajmował za dużo miejsca.

Jako pierwszy przemówił generał Osappo:

— Kruzowie skoncentrowali w Labiryncie trzy regularne armie, każda po dwanaście tysięcy ludzi. Do tego dochodzą siły ochotnicze, których liczebności nie udało się na razie ustalić. Zapewne to zgraja fanatycznych młodzików, a także bandytów i hien, liczących na plądrowanie Doliny.

— Do tego oczywiście nie dojdzie — uciął zniecierpliwiony Papan.

— Skupmy się na jednostkach liniowych. Nie musimy rachować markietanek, szewców i obozowych ciurów, my też nie wliczamy w skład naszej armii każdego chłopca z motyką.

— Jak zawsze masz rację, królu. Armia Północną dowodzi generał Tizok

i to jego powinniśmy się najbardziej obawiać. Ma łuczników, włóczników i oddziały szturmowe uzbrojone w miecze. Jego ludzie to weterani, zaprawieni w bojach z koczownikami z równin. Kruzowie czystej krwi. Rdzeniem całej armii jest tysięczny oddział Orłów. Najprzedniejsi szermierze imperium — powiedział Osappo z satysfakcją w głosie.

Leyre spojrzała na niego, zdumiona. Ten kretyn był podłechtany, zachwycony, że Kruzowie wyruszyli na nich z tak potężnymi siłami. Jakby zalegający w kącie śmieć cieszył się, że wymiotą go złotą szufelką.

— To ich oddziały szturmowe. Zapewne poprowadzą atak — wyjaśnił Pa'uk.

Blady tłuszczoch dostrzegalnie schudł, nadchodzący koniec Cyklu dał mu się najwyraźniej we znaki. Leyre była pewna, że z powodu nerwów i zgryzot, a nie głodu. Ten nie groził, gdy żyło się blisko dworu. Dziwnym trafem najbardziej nieprzejednani patrioci, zachęcający Tlaszkalę do najszlachetniejszych wyrzeczeń, mieli najkrągłejsze, najbardziej pucołowate policzki. Embargo i ofiara z jada dotyczyły szarych zjadaczy chleba.

— To dobrze. Nasza ciężka piechota ich zaskoczy. Zobaczycie, zadamy im bobu. — Papan plasnął rękawicą w udo i uśmiechnął się, błyskając białymi zębami.

Leyre miała ochotę je wybić. Zbroja jej królewskiego małżonka, zrekonstruowany pancerz z epoki Najazdu, mieniła się złotem, podobnie jak ozdobny biało-czerwony morion. Papan przypominał przerośniętą ozdóbkę.

— Oczywiście, królu. Drugie zgrupowanie Kruzów to armia królewska. Poznacie ją po sztandarach Korpusu Jaguarów. To także jednostka elitarna. Ostatnio rozbudowana, liczy teraz cztery tysiące ludzi. Do tego dochodzą dwa pułki o podobnej liczebności. Wystawione dopiero niedawno i zapewne kiepsko przeszkolone.

— To na nich musimy się skupić. Kluczem do naszego zwycięstwa jest

król — zachrypiała Leyre. Gardło miała wyschnięte na wiór.

Jej zbroja była stosunkowo lekka, ale i tak czuła się w niej spieczona, spocona i brudna. Zatęskniła za pachnącą wonnościami kąpielą. W sumie to mogłaby się w niej utopić.

— Jest jeszcze trzecia armia. Jej skład jest niejasny. Trzon stanowią zapewne regularne jednostki ściągnięte z Przesmyku. No i gwardia. Reszta to kontyngenty posiłkowe, przysłane przez lenników Przymierza. Mogą tam być wytatuowani Otomi, Druazzi i inne dzikie plemiona. To barbarzyńcy, ale dowodzeni i szkoleni przez kruzańskich oficerów. Słyszałem, że jest wśród nich Maczurai z Yugal, pierwszy *macuahuitl* Przymierza. Tych sił także nie wolno nam lekceważyć — kontynuował Osappo.

— Nasza pułapka nie wyeliminuje ich wszystkich. Musimy coś wybrać. Stawiam na wojska Tizoka. Pułk Orłów jest chlubą i dumą sił imperialnych. Ich klęska zdemoralizuje resztę. Poza tym, pokonać Orły to byłby dopiero honor — rzekł Osappo z uniesieniem.

Leyre pokręciła głową.

— To nie wystarczy. Pomyślcie o nas jak o wątłym chłopcu, który ma szansę zadać silniejszemu łobuzowi nieblokowany cios. Tylko jeden. Musimy uderzyć najmocniej, jak tylko się da. I w jak najlepszym momencie — głos Leyre był spokojny i pewny. Przekona ich.

Nagle przypomniał jej się Szar... sposób, w jaki zjednywał sobie ludzi. Powinieneś tu być, pomyślała, ze zdumieniem badając ranę we własnym sercu. Studiowała ją niczym miejsce po wyrwanym zębie, zdumiona, że tak mało czuje. Zrozumiała, że nie chodzi jej o zwycięstwo, ocalenie Tlaskkali czy nawet jej własną władzę. Tylko zmiżdżenie Kruzów przywróci temu wszystkiemu sens.

— A konkretnie? — zapytał Osappo z urazą.

— Quinatzin stanie na czele swoich pułków. Za nic nie dałby sobie

odebrać takiego tryumfu. Wykorzystajmy to i zdejmijmy drania z planszy. Jego próżność jest naszą bronią, panowie — powiedziała.

Otoczające ją stadko dumnych, pysznie ubranych indorów popatrzyło po sobie niepewnie.

— Wąwóz pomieści jakieś dwadzieścia tysięcy Kruzów, zakładając, że Quinatzin zdecyduje się na frontalne natarcie. Nawet jeżeli ich wyeliminujemy, zostanie im przynajmniej dwadzieścia tysięcy żołnierzy — powiedział Pa'uk ponuro.

Zebrani spojrzeli po sobie w milczeniu. Brakowało wśród nich tego, który od lat prowadził ich do zwycięstw. Leyre założyłaby się, że w tej chwili wszyscy pomyśleli to samo.

— Po wszystkim ich siły i tak będą równorzędne z naszymi. A eksplozja otworzy przed wrogiem Labirynt — odezwał się płaczliwie Papan i skierował na żonę oskarżycielski wzrok.

Zawsze tak robił, nawet gdy do buta wpadł mu kamyk. To wszystko twoja wina.

— Tak, ale my mamy broń Dobroczynców — zauważył Zergos. — Czas biadolenia się skończył. Czas planowania także. Pora na realizację — oznajmił.

Popatrzył na swoją córkę i lekko skinął jej głową. Brzmiał tak, jak powinien brzmieć przywódca Zakonu Kretów, i tylko Leyre wiedziała, ile zdrowia kosztowały go ostatnie tygodnie.

Dwa dni temu przyłapała Zergosa na farbowaniu włosów. „Osiwiałem jak gołąb”, powiedział, a ona po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jej mądry, potężny ojciec jest tylko przerażonym człowiekiem.

— Wróżby są nad wyraz pomyślne — oznajmił chełpliwie Myfosso, Najwyższy Kapłan Tlaszkali.

Leyre obawiała się, że zaraz łobuzersko zamruga, jakby wstawiennictwo

Zabitego Boga stanowiło jego osobistą zasługę. Zapewne właśnie tak było. Każdy wie, że wróżbici dzielą się na kłamliwych i bezrobotnych.

— Tlaskala zwycięży! — krzyknął Papan, uderzając w stół ręką sztyletu.

Zebrani zawtórowali mu gromko.

— Te psy nigdy nie poznały granic naszej mocy!

Bo dotychczas mieliśmy szczęście, pomyślała Leyre. Nie musieliśmy się wychylać. W świecie, w którym Najazd i Klątwa stanowiły kwintesencję zła, obnoszeniu się ze spuścizną Białoskórych zawsze towarzyszyło ryzyko. Ale nasze szczęście chyba się właśnie wyczerpało.

Leyre zakładała, że osłabiona niedawną krwawą kampanią armia Kruzów będzie dużo mniejsza. W końcu Szar, nim go schwytali, spuścił im niezłe manto. Liczyła na Quinatzina, na jego narcyzm i butę. Na desperacki atak na czele nielicznej armii, który przyniesie Przymierzu zgubę.

Nie przewidziała, że Quinatzin zmobilizuje do wojny tak potężne siły.

Co gorsza, armie Przymierza zaatakowały także od strony Długich Murów, najwyraźniej niezatrzymywane przez Tikalczyków. Liczyła, że sojusznicy będą szarpać linie zaopatrzenia Kruzów i sprawią, że ich armia szybko poniecha oblężenia. Jednak kupieckie rady miast-państw zawsze umiały rachować. Wolały uznać, że zrobiły już dość, a teraz obowiązuje rozejm. Na tamtym froncie największym problemem była sama długość murów, sięgająca tysięcy strzał. A Osappa mógł je obsadzić tylko dziesięcioma tysiącami żołnierzy i większością krajowej milicji.

Papan strzegł Labiryntu na czele dwudziestu tysięcy żołnierzy. Owszem, każdy Tlaskalanin to przeszkolony wojownik, ale Lud nigdy nie był zbyt liczny, a ostatnie ataki Kruzów zadały im ciężkie straty.

— Liczby są niewesołe, ale nie zapominajmy o jednym. Jutro zabijemy ich króla. Czegóż takiego Tlaskalanie nie dokonali od czasu Wojen Zemsty.

A wtedy walczyliśmy u boku Dobroczyńców — powiedziała, gdy zorientowała się, że mężczyźni czekają na jej słowa.

Płomień Doliny, najpiękniejsza z królowych Tlaszkali. Ostatnia matka Termitów. Jej dźwięczny głos napawał otuchą. Spojrzeli na nią z nową nadzieją. Tym właśnie dla nich jest: matką, choć większość z obecnych dostojników mogła być jej ojcem. Matka potrafi motywować swoje dzieci, a jeśli trzeba, poświęcić jedno dla dobra reszty.

— Ofiara Lwa Labiryntu nie poszła na marne. Bez Quinatzina Kruzów ogarnie panika. Pomyślą, że bogowie ich opuścili. Naszym zadaniem jest sprawić, żeby mieli rację! — krzyknęła.

Odpowiedzieli jej, potrząsając *macuahuitlami*, włóczniami, maczugami i stalowymi mieczami. Jutro rozstrzygną, jaki kształt przybierze ten Cykl: skończy się, czy na nowo rozkwitnie.

* * *

Imperialna armia, miarowo maszerujące pułki, morze falujących sztandarów, stelaży i dumnych buńczuków, znajdowała się już w połowie Labiryntu. Kruzowie byli wniebowzięci. Zdobytna mapa, wsparta informacjami od Szaratangi, umożliwiła im skuteczny zwiad i chroniła przed większością zasadzek. Pozwalała manewrować i wykorzystać przewagę.

Tego dnia wielokrotnie unikali ataków, zamykając oznaczone na mapie tunele, odcinając wrogowi ucieczkę. I cały czas parli naprzód. Dopiero teraz awangarda zwolniła, zatrzymana przez fortyfikacje. Ciężkozbrojni szturmowali zamek strzegący rozległej kotliny zwanej Doliną Czarnego Psa. Było to miejsce słynnej porażki Kruzów, odniesionej w pierwszych latach panowania Quinatzina. Dzisiaj szykował się dzień rewanżu.

Quinatzin przyglądał się pozycjom obronnym Termitów z punktu dowodzenia, ulokowanego na szczycie płaskiego szczytu wzgórza. Czuł

podniecenie, które zagłuszało w nim obawy i strach.

Tym razem nie pozwoli się okraść z chwały. Gdy tylko Termity zmiękną, dołączy do głównej kolumny i przystąpi do szturm. Zostanie pierwszym kruzańskim królem, który ujarzmił Tlaskalę.

Przez szeregi gwardzistów wdrapywała się ku nim jakaś zdyszana postać. Blady i rozczochrany, jak ktoś wyrwany z pijackiego snu, młody wojownik był prawie o głowę wyższy od innych. Gwardziści rozstępowali się z szacunkiem, rozpoznając w nim człowieka, który pojmał Szaratangę.

Haran padł przed Quinatzinem na twarz, a ten łaskawie skinął mu głową.

— Witaj, synu. Nie możesz doczekać się bitwy?

— Musisz zatrzymać wojska! Natychmiast!

Tlatoani skrzywił się i prychnął z niesmakiem.

— Rozczarowałeś mnie, Haranie. Nie widziałem jeszcze śmiałka, który ważyłby się stanąć pijany przed obliczem króla. A może to jakiś barbarzyński żart? Dziwny obyczaj Druazzi?

— Możemy porozmawiać na osobności? Udowodniłem ci chyba, że warto mnie słuchać!

Quinatzin zasepił się. Młodzik ocalił mu życie. Nie mógł upokarzać go przed gwardią, w ten sposób upokarzał ich wszystkich.

— Dobrze. Ale jeżeli ośmielasz się marnować mój czas dla jakiegoś głupiego kaprysu... pożałujesz.

Gdy tylko znaleźli się w królewskim namiocie, barbarzyńca złapał monarchę za rękaw, co w świetle dworskiego protokołu stanowiło niespotykane bluźnierstwo.

— Królu, ja wiem o mapie.

Twarz Quinatzina pozostała nieruchoma jak kamienna płyta. Ale Haran brnął dalej:

— Jest fałszywa. Spreparowana. Poprowadzi nas prosto w zasadzkę.

— Nawet jeżeli to prawda... skąd o tym wiesz?

Druazzi potrząsnął grzywą niczym zakłopotany niedźwiedź.

— Trudno to wyjaśnić. Chyba przez Ofiarę Kamienia. Wiesz, że nosiłem skórę Szaratangi. A potem... stało się coś dziwnego. Wejrzałem w jego duszę i odnalazłem tam podstęp. Tłaskalanie przewidzieli, że osobiście poprowadzisz decydujące natarcie. Zaminowali skały. Użyli magii Białoskórych.

— Niedorzeczność. Skoro mogli zrobić coś takiego, dlaczego nigdy wcześniej nie posłużyli się podobną taktyką? — zapytał król.

— Nie mają dość prochu. Dysponują zaledwie resztkami. Tym, co pozostawili najeźdźcy. Dlatego trzymali to w zanadrzu, jak ostatnią kartę. Teraz trafiła na stół.

Quinatzin w skupieniu oglądał paznokcie. Jego twarz pozostała nieprzenikniona jak gład, ale wprawny obserwator dostrzegłby dyskretne oznaki niepokoju. Strużkę potu, drżenie kącika ust.

Haran zaczerpnął powietrza i uderzył w wyłom.

— W ten sposób pozbędą się ciebie i naszych najlepszych oddziałów. A potem... dogadają się z twoim następcą. Kimkolwiek będzie. Wiesz dobrze, że Tizok i Szurukan wcale nie chcą zniszczenia Tłaskali. A to oni wybiorą nowego króla.

— Niemożliwe. Najlepsi specjaliści pracowali nad Szaratangą przez miesiąc. Zadali mu morze bólu, co ja mówię, to był pieprzony ocean. A on nawet nie pisnął, że to zasadzka? Żaden człowiek by tego nie wytrzymał.

— On nie był zwykłym człowiekiem. Był bohaterem — cicho powiedział Haran.

Na jego twarzy odmalował się smutek, a może też wstyd, które gestykulujący władca przegapił.

Quinatzin uśmiechnął się krzywo i sięgnął do miski z kadzidłem. Wyjął

płonący zwitek papieru i zapalił lampion z papierowym kloszem, który rozświetlił pomieszczenie. W namiocie pojawił się sługa. Miał czujne oczy i zręczne, ruchliwe dłonie. Rozcapierzył palce, gestykulując.

— Głuchy jak pień — odpowiedział Quinatzin na niezadane pytanie Harana. — Ósmy w tym roku. Muszę ich często zmieniać, bo te dranie uczą się czytać z ruchu ust.

Tlatoani nakreślił na kartce kilka słów. Sługa przeczytał, skinął głową i bez słowa pomknął w ciemność.

— Ósmy?

— Mówiłem ci, szybko się uczą.

— A potem? Co z nimi robisz, panie?

— Odsyłam do innych zadań. A co myślałeś? Niektórzy zostają *ursami*. A teraz poczekaj przed namiotem. Muszę się zastanowić.

Haran usadowił się przed wejściem i kołysząc się na piętach, czekał, aż król go wezwie. Czasami s pluwał z irytacją na widok kolejnych wypadających z namiotu posłańców. Strzegący króla gwardziści patrzyli na niego z dezaprobatą. Domyślał się, co o nim sądzą.

Do namiotu wtoczyła się ogromna postać w czarnej zbroi z pikowanej bawełny. Na widok tego człowieka barbarzyńca stężał, po grzbiecie przeszło mu zimne mrowie, stadko lodowych skorpionów. Już kiedyś go widział.

Po chwili Quinatzin znów go wezwał. Przedstawił mu męża w czerni.

— Maczurai z Yugal. Mój sojusznik, przyjaciel i daleki kuzyn. Przyprowadził mi dwa tysiące plemiennych łuczników, kilka setek zwiadowców i pułk ciężkiej piechoty. Oraz sławę największego wojownika od czasów Klątwy — zaanonsował przybysza Quinatzin.

Olbrzym uklonił się chłodno.

— A to Haran, który niedawno ocalił mi życie. Pochodzi z plemienia Druazzi. To czyni go chyba twoim poddanym, prawda? — zapytał

rozbawiony król.

Haran milczał. W wąskich, zimnych jak zimowy zmierzch oczach Maczuraia zapłonął błysk podejrzliwości.

— No, poznajcie się. W końcu obu z was uważam za prawą rękę. Pytanie, czy można mieć je dwie — zażartował Quinatzin.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Widać było, że przybysz rzadko spotyka kogoś wyższego od siebie. Na jego brutalnej twarzy zadrgał tłumiony grymas. Haran pozostał spokojny. Z szacunkiem pochylił głowę.

— Słyszałem o Maczuraiu z Yugal. Jak każdy. Jako jedyne go człowieka od czasu Herkoczy Śmigłego czterokrotnie uznano cię za najlepszego szermierza igrzysk Ofiary Kamienia — wydekłamał dwornie.

— Haran też odznaczył się podczas turnieju. To on pojmał Szaratangę. Teraz przyniósł mi ważne wieści. Nadeszła pora, bym wreszcie mu się odwdzięczył.

— Ja tylko spełniłem swój obowiązek, królu — rzekł barbarzyńca.

Quinatzin roześmiał się nieprzyjemnie.

— Bzdura. Maczurai, wybierzesz dla niego coś z mojej osobistej zbrojowni. Coś nietuzinkowego. Możecie trochę poćwiczyć, ale nie na ostre — dokończył z naciskiem.

Wojownicy opuścili namiot. Quinatzin znowu przywołał sługę.

Niemowa przeczytał rozkaz i zdziwiony, wybałuszył oczy. Król machnął na niego ze zniecierpliwieniem.

— Tak, tak, to nie pomyłka. Sprowadź do mnie generała Tizoka.

* * *

Idący za Maczuraiem Haran miał mętlik w głowie. Czuł ulgę, że Quinatzin zgodził się go wysłuchać. Może w ten sposób ochroni swoich kolegów. To była fasada, za którą bulgotały sprzeczności. Kiedyś w duszy

szeptał mu jeden głos. Teraz ujadał chór. W tyle głowy wciąż kołatała myśl, że ratując Kruzów, sprowadzi zgubę na niewinnych rodaków swojego przyjaciela Morosa.

Pamiętał, kim jest idący przed nim arystokrata, ale w chaosie, który rozpętał się w jego głowie, nie było miejsca na ponure wspomnienia sprzed lat i dawne pragnienie zemsty. Książę Yugal okazał się ujmująco uprzejmy i dopytywał o szczegóły poprzedniej kampanii w Tlaszkali. Pogratulował pochwylenia Szaratangi. Barbarzyńca, zatopiony w myślach, odpowiadał półsłówkami.

— Zbrojownia. — Maczurai wskazał na stojaki z białą bronią; mieczami, rapierami i cięższym orężem, pikami zebranymi w pęczki jak śmiercionośny chrust.

— *Tlatoani* gromadzi tutaj prototypy. Broń, której jeszcze nie sprawdził. Na przykład ogniste żądła. Białoskórzy mówili na nie „arkebuz”.

Arkebuzy stały w karnym szeregu. Obok połyskiwały zamknięte starannie skrzynki.

— To broń palna. Widziałeś kiedyś coś takiego?

— Nie. Ale umiem rozpoznać *braazatal* — mruknął Druazzi.

— Naprawdę? Pochodzisz z okolic Yugal?

Na dźwięk znajomej nazwy Haran skrzywił się.

— To było dawno. Nie pamiętam.

Maczurai zbył to milczeniem.

— Wolisz dźgać czy rąbać? Każdy ma swoje preferencje — rzucił, podnosząc przed sobą rapier, jakby w świetle pochodni zamierzał studiować klingę.

Barbarzyńca pokręcił głową.

— To coś dla fryzjera. Albo do tatuażu. Chcę widzieć głownię, którą zadają ciosy — mruknął, sięgając po ciężki miecz o szerokiej klindze.

Maczurai wyszczerzył zęby.

— Niegdyś służył do walki z siodła. Wiesz w ogóle, co to znaczy?

Ale Haran już go nie słuchał. Jak zahipnotyzowany ruszył na koniec namiotu, gdzie znajdował się ostatni, wysoki stojak. Stał tam tylko jeden miecz, choć można by go przekuć na trzy. Klinga z zimnej, niebieskawej stali była dłuższa niż noga Harana. Dwa kolce chroniły gardę, a z długiej rękojeści wystawało dodatkowe, krótkie ostrze. Gdyby jakiś olbrzym obracał nim wystarczająco szybko, wyglądałby jak wirująca gwiazda.

Haran odłożył mniejsze ostrze i podniósł wielką broń ze stojaka. Starannie zważył ją w dłoniach. Bardzo blady, wyglądał jak człowiek, który zobaczył ducha.

— Znam ten miecz — wyszeptał nieswoim głosem. — Służył do zabijania potworów. Dlatego jest taki wielki. Musiał je trzymać na dystans, gdy pluły płonącym jadem. Głównię przekuto z mieczy, które przypłynęły tu z zamorskiego Toledo, starożytnej stolicy płatnerzy. W latach Klątwy ta klinga zabiła Ognistego Planetę, który miał leżeć w kraterze wulkanu Xitle.

Maczurai z uznaniem pokiwał głową.

— Tego nie wiedziałem. Znasz się na broni, synu.

— Mylicie się, panie Maczurai. Nie znam się na broni Białoskórych. Tylko ten miecz wydaje mi się...

— Znajomy? Nie dziwota, synu. Wszak należał do twego słynnego jeńca. Jak mu tam... Siasasztangi? Dostał go od tej ich suczej królowej po bitwie w Dolinie Psa. — Małe oczka Maczuraia zamigotały złośliwie.

Haran uśmiechnął się tylko i złożył się, jakby chciał zadać cios. Ze zdumieniem, a potem przestraszonym uświadomił sobie, że doskonale czuje dystans, a ciężar wyważonej głowni jest mu równie bliski jak waga własnego ciała. Nigdy nie czuł, że zna jakieś ostrze tak dobrze.

Maczurai wzruszył z lekceważeniem ramionami.

— Potwory, nie potwory, to dziwactwo. Lżejsze, niż wygląda, ale i tak opornie się nim fechtuje.

Barbarzyńca zmrużył oczy, złożył się do zastawy i ciosu.

— Chyba że ktoś ma wprawę. Na przykład w robieniu kilofem.

Władca Yugal od niechcienia podniósł długą pikę i ustawił się jak do odparcia szarży.

— To mój typ. Pika, na północnych równinach używają ich do odpierania szarż koczowniczych jeźdźców.

Twarz barbarzyńcy była blada jak papier. Gest uniesienia piki przypomniawszy mu głowę Pęcherza i okrzyk, wznoszony przed laty w rozpalonej uliczce Yugal. Okrzyk, który zapomniał. „Maczurai! Maczurai!”.

— Nie dziwi cię, dlaczego księżę sojuszniczego miasta oprowadza po królewskiej zbrojowni szeregowego gwardzistę? — spytał możnowładca, mrużąc swe rybie oczy.

— Dziesiątnika. Ale tak, dziwi.

— Nikt inny się do tego nie kwapił. Mówią, że jesteś dobry. Lecz widzisz, bój to mój żywioł. Quinatzin wie o mojej słabości. Nie zwiedź mnie więc. Pojmałeś Szaratangę, więc musisz potrafić coś niecoś.

— Może. Z naciskiem na niecoś — mruknął Haran. Jego głos pozostawał spokojny, ale mięśnie szczęki drgały, jakby chciały przebić skórę i uciec na wolność.

Maczurai uderzył bez ostrzeżenia. Nie zamierzał go jednak zabić. Jeszcze nie.

— Nawet nie wiesz, jak mi brakuje areny — wydyszał.

Haran dotknął zakrwawionego boku. Wąski miecz generała wyźłobił w nim krwawą bruzdę. Nie zdążył sparować ciosu, wielki stalowy miecz Białoskórych był na to zbyt nieporęczny.

Barbarzyńca przyjął postawę i zamachnął się, usiłując wygrać dla siebie zasięg tej dziwnej broni. Maczurai uchylił się, masywne ostrze musnęło spiętrzony czub jego włosów. Zadał pchnięcie, które Haran ominął topornym obrotem, jednocześnie częstując przeciwnika łokciem. Celował w podbródek, ale cios poszedł wyżej.

— Dobrze. Bardzo dobrze! Ile bym dał, żeby mój syn tak się starał. Tylko nie gorączkuj się za bardzo. Mamy mnóstwo czasu — wyszeptał Maczurai, odsłaniając w uśmiechu pokryte krwią zęby. I uderzył znowu.

* * *

Tizokowi zarzucano już upór, krótkowzroczność i paranoję, dumę i nieznajomość zwyczajów. Dewocję i bezbożność, oziębłość i dziką lubieżność. Wytykano mu luki w wykształceniu i podniebieniu, złe maniery i łukowaty kształt nóg. Brak inicjatywy, a także jej nadmiar. Ale nikt nigdy nie zarzucał mu tchórzostwa.

Nie odmówił więc też wtedy, gdy Quinatzin rozkazał mu poprowadzenie natarcia na czele Korpusu Orłów. Znał tę grę.

Jego pułki wykrwawiają się, ale zdobędą chwałę. A chwała Orłów była w tych czasach Przymierzu bardzo potrzebna. Jeżeli nie pójdzie, Quinatzin oskarży go o bunt. Potem sam rozgromi Tlaszkalan. Wszystko na to wskazywało, dzięki tej tajnej mapie już zdołał dojść dalej, niż kiedykolwiek dotarli Kruzowie. I już nic nie przeszkodzi mu w zaprowadzeniu tyranii.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem — powiedział, gdy *tlatoani* niespodziewanie zawezwał go do siebie.

— Dla ciebie wszystko — uśmiechnął się Quinatzin. Rzadkie włosy miał przylizane do czaszki i jego czoło wyglądało na wyższe niż u Prawdziwych Ludzi. Ktoś bardziej okrutny i spostrzegawczy niż Tizok powiedziałby, że władca Kruzów zaczyna wyglądać jak Biały.

— Daj mi swych Jaguarów — powiedział generał, patrząc na Quinatzina uważnie.

— Sam mówiłeś, że to papierowe żołnierzyki, kosztujące skarb państwa worki pieniędzy. Nie wystarczą ci Orły? — zaproponował król.

— Dość mam rywalizacji między pułkami. Jeżeli to Orły wsławią się zdławieniem Tlaskali, Jaguary im tego nie wybaczą. Waśń się pogłębi. Potraktuj to jako gest dobrej woli — oświadczył Tizok, patrząc mu w oczy.

Quinatzin zmarszczył brwi, jakby kalkulował coś w myślach. W jego oczach pojawił się dziwny wyraz, który u zwykłego człowieka oznaczałby może żal, lecz u króla znamionował irytację. Świsnął przez zaciśnięte wargi i klepnął generała w ramię.

— Dobrze, stary przyjacielu. Jeżeli to pomoże zakończyć nasze bezsensowne konflikty, masz moją zgodę. Ale pod jednym warunkiem. Atakując, rozwinesz także mój sztandar. Przygotowałem Termitom pewien fortel.

* * *

Walczyli już długo. Tak długo, że Haran spodziewał się, że starszy od niego Maczurai w końcu opadnie z sił. Nic takiego się jednak nie stało, a w zimnych, błyszczących oczach swojego wroga widział raczej przecucie tryumfu niż klęski.

Maczurai był naprawdę dobry. Wytrenowany i szybki, szybszy niż w ogóle powinien być człowiek. W pewnym momencie zatrzymał się i wtarł sobie coś w dziąsła. Na widok sinego, trupiego poblasku Haran poczuł, że jeżą mu się włosy na głowie. *Braazatal*, skurwiel szprycował się kopalem!

Kilka chwil później żałował, że sam nie ma przed sobą usypanej ścieżki. Był powolny, ociężały, zdyszany i niezgrabny. Parowanie finezyjnych technik Maczuraia przychodziło mu coraz trudniej.

Po którymś złożeniu po prostu nie zdążył, na szczęście szpic rapieru minął serce i prześlizgnął mu się po żebrach. Rana osłabiła go. Mimo że przecież był silny, to miecz coraz bardziej ciążył mu w dłoni. Musiał przyznać Maczuraiowi rację, jego fircykowate ostrze okazało się dużo groźniejsze. Długi miecz Harana miał za to jedną zaletę. Można nim było rąbać. Na przykład jednym uderzeniem przeciąć masywny słup podtrzymujący konstrukcję namiotu, a gdy masy ciężkiego płótna runęły na ziemię, po prostu wyturlać się na zewnątrz. Barbarzyńca poderwał się i słuchając przekleństw i gróźb, obserwował kłębiący się pod tkaniną kształt.

A potem wraził weń miecz.

Gdy wyjął czerwone od krwi ostrze, kształt znieruchomiał. Nie było to może honorowe, ale Druazzi często polowali na dziki i oceloty, kopiając na ścieżkach doły albo zarzucając na zwierzę sieci. Każdy leśny myśliwy wiedział, że silniejszą bestię pokonać można jedynie podstępem.

— To za ciebie, Pęczerzu — mruknął Haran z posępną radością. Powinien porąbać skurwiela na kawałeczki, spokojnie i metodycznie, ale wiedział, że musi się spieszyć.

Wojsko opuszczało obóz. Haran ruszył biegiem i, niezatrzymywany, wdrapał się na punkt obserwacyjny. Zobaczył karne kolumny kruzańskich wojsk, schodzące ze wzgórza i znikające w rozwartej, głodnej gardzieli Labiryntu. Wyteżył wzrok, rozpoznając sztandary. Dostrzegł Orła generała Tizoka. A obok łopotał znak, który Orłom nigdy nie towarzyszył.

Pomarańczowy Jaguar jego dawnego korpusu.

I trzeci sztandar, który właśnie wznosił chorąży. Ogniste słońce Quinatzina, *tlatoaniego* odrodzonego Przymierza.

Na niebie zbierały się ciemne chmury. Za chwilę zerwie się ulewa.

Haran przypomniał sobie wszystko, co wiedział o magii Białoskórych i krzyknął, dziękując bogom. Ich ogień nie wzniecał się w deszczu. Jeszcze

miał szansę.

Zdąży.

Nie był pewien, czy podjął właściwą decyzję. Niczego już nie był pewien. Ale czuł, że zwlekanie rozerwałoby jego duszę na strzępy. Jego i tego drugiego. Przynajmniej ocalę przyjaciół. Przynajmniej ich.

Zsunął się po zboczu, kierując się do wąwozu Splotów.

Wtedy oslepił go wybuch. Nie widział już chmury pyłu, kamieni i skał, która spadła na zaskoczonych Kruzów. Znów jestem pod ziemią, pomyślał i roześmiał się, plując żwirem. W Dołach. Na to czekał, epizod na powierzchni stanowił życzliwe kłamstwo. Na odrobinę wytchnienia, wykradzioną mściwym i złośliwym bogom.

A potem coś potężnie rąbnęło go w czaszkę.

* * *

Na początku był ogień i tuman czarnego dymu. Labirynt zadygotał jak konające zwierzę, jak prostujący swe cielsko smok. To, co powinno być trwałe, zmieniło swój zwykły status, szarpnęło się z łoskotem i drzeniem. Rdzawe skały uniosły się gniewem. Na chwilę zastygły jak spiętrzone zakłębieniem fale, wznoszące się nad przesieką wyrąbaną w morzu.

Leyre widziała kiedyś taki obraz, fresk zachowany w starożytnej świątyni Dobroczyńców. Wódz z innego świata, mężczyzna o oliwkowej skórze i wysokim, złocistym przybraniu głowy, ścigając hordę wynędzniałych, obdartych uciekinierów, wiódł armię rydwanów przez morze, które się rozstąpiło. Fresk uchwycił go w chwili, gdy dumny król – zamorskie kroniki nazywały go faraonem – zorientował się, że zbliża się nieuchronnie. Ciekawe, czy Quinatzin poczuł coś podobnego.

Rozległ się głuchy łoskot i ściany Labiryntu runęły na Armię Północną, pochłaniając ją jak zdeptane kamieniem mrowisko. Tam, gdzie ciasna

gardziel wąwozu prowadziła do Doliny Czarnego Psa, rozpościerało się teraz gigantyczne osypisko gruzu.

Huk sprawił, że Leyre odruchowo przycisnęła dłonie do uszu. Papan stał u jej boku niczym skamieniały, z nosa ciekła mu strużka krwi. Biedak zawsze łatwo się denerwował. Leyre widziała wokół siebie mężczyzn tak przerażonych, że ledwo trzymali broń. Sama się bała, nie miała pojęcia, że potęga Dobroczyńców może być tak wielka.

Gdzie bylibyśmy, gdyby nie odeszli, zastanowiła się. Gdyby nie wyniszczyła ich Klątwa. Ale teraz nie czas na rozmyślania. Stojąca w Dolinie Psa armia czekała na męską decyzję.

Leyre szturchnęła Pa'uka.

— Teraz! Dopóki są w szoku! — wrzasnęła.

Mężczyzna otworzył usta, lecz nie dobył się z nich żaden dźwięk. Królowa zorientowała się, że niczego nie słyszy, w tym także własnego głosu. Dzwoniło jej w uszach, dźwięk wibrował, zagłuszając płacz konających, świdrujący jak wyrzut sumienia.

Dlatego skinęła głową.

Dolina Psa, to tu Szaratanga odniósł niegdyś wielkie zwycięstwo. W przewężeniu wąwozu wykrwawił główne siły Kruzów, a następnie otoczył i wybił pozostałych, wycieńczonych przedzieraniem się pod ostrzałem i gradem kamieni. Dziś armia Tlaszkali rozstawiła się w podobnym szyku.

Łucznicy i lekkobrojni zajęli zbocza doliny, ciężka piechota pod biało-czerwonymi flagami zagradzała najeźdźcom drogę. Zaczne, rozumne ustawienie obronne, ale to nie był dzień na rozsądne plany. Rozkazy Leyre zaburzyły tę defensywną taktykę. Sztandary i chorągiewki oficerów wirowały w tańcu gorączkowych komend. Tlaszkanie ruszyli do kontrataku.

Po drugiej stronie niegdyśszego wąwozu kuliła się reszta armii Kruzów. Wojownicy porzucili broń i modlili się, przerażeni, albo przekłuwali

sobie uszy, języki, dłonie. Wielu uznało, że znowu nadeszła Klątwa, zagłada obecnego Cyklu, i w pokorze oczekiwało na śmierć.

Kruzowie byli pobożnym ludem, podobnie jak ich przodkowie i poprzednicy ze środkowego Meksyku, Olmeci, Toltekowie i nieszczęśliwi Aztecy. Z fatalizmem przyjmowali zagładę, wpisując ją w osnowę świata.

Tylko jeden człowiek wyłamał się z misterium grozy.

Quinatzin wieszował sobie właściwego osądu sytuacji. Gdy Termity odpalały swoją żalostną bombę, znajdował się w bezpiecznej odległości. Od pozycji wroga dzielił ich teraz ogromny tuman szarego dymu i pyłu.

Tlatoaniemu towarzyszył silny oddział ciężkozbrojnych gwardzistów i strzelców. Za nimi ciągnęły kolejne, nietknięte i wypoczęte formacje. Termity bardzo się zdziwił, pomyślał, uśmiechając się z zadowoleniem, i szybko wydobył wosk z uszu. Ponieważ przezornie je zatkał, nie ogłuchł i teraz wyraźnie słyszał jęki, zawodzenia i błagania o pomoc. Zbliżali się do sfery objętej eksplozją. Wielu Kruzów, choć nie poniosło fizycznego uszczerbku, poddało się grozie i bełkotali teraz o gniewie demonów i Klątwie.

W normalnych okolicznościach kazałby przybocznym dąć w konchy, lecz teraz nie zdałoby się to na nic. Pomogło machanie flagami. Quinatzin rozkazał, aby Hirikan go podniósł. Wiedział, że wojownicy muszą zobaczyć swojego króla i jego zieloną, jaszczurką koronę. Armia była o krok od paniki. Należało ją teraz niezwłocznie przemienić w gniew, który da siłę do walki.

— Dalej! Zapłacimy im! Za naszych braci — krzyknął.

Wojownicy niezdarnie dźwigali się z kolan, oszołomieni i ogłuszeni hukiem.

Wielu modliło się, słyszał powtarzane co rusz słowo „Kłątwa”.

— Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli? — zapytał płaczliwie ocalały Jaguar.

Quinatzin roześmiał się i rozpostarł ramiona.

— Na tym koniec. Termyty nie mają już więcej pułapek. Nie widzicie? Teraz możemy ich dopaść!

Żołnierze nie sprawiali wrażenia przekonanych, szok po zagładzie Północnych jeszcze ich nie opuścił. Na szczęście nadciągały już pozostawione w odwodzie oddziały. Gwardia oraz nowo powołane jednostki i kontyngenty lenników, wypoczęte i gotowe do walki. Wciąż dysponował przewagą liczebną, a ci głupcy sami otworzyli mu drzwi.

Bo Quinatzin głupcem nie był. Oprócz Jaguarów każdy żołnierz, którego posłał Tizokowi do pierwszego natarcia, udawał tylko wojownika, a tak naprawdę wszyscy byli niewolnikami uzbrojonymi w fałszywe proporce i kije. Król planował zużyć te ludzkie atrapy przy szturmach, okazali się jednak bardziej przydatni już teraz.

Musieli zwolnić, chmura pyłu ograniczała widoczność i zatykała dech w piersi. Mijali kaszlących ludzi, rannych i ocalałych, pokrytych pyłem i krwią, biało-czerwonych niczym sztandary Tlaskali. Oślepionych, krwawiących z uszu i nosów. Wyglądało to tak, jakby powrócili Białoskórzy. I Kłątwa.

Potem zobaczyli trupy. Nawet podczas szczególnie okazałych świąt, *tlatoani* nie widział aż tylu zabitych. No, ale wtedy przeważnie drzemał pod parasolem, kołysany hymnami kapłanów, czekając, aż zabawa dla ludu się skończy. Nie musiał po nich deptać, brodząc we krwi.

Przodkowie Quinatzina hojnie szafowali przydziałami państwowej kukurydzy, pozwalając wielkowiejskiej biedocie rozmnażać się bez opamiętania. *Tlatoani* od dawna głowił się, jak zużytkować te ludzkie odpady. Nie mógł ich złożyć w ofierze Głodnemu Słońcu, gdyż prawa imperium nakazywały szlachtować w tym celu cudzoziemców. Kiedyś przeczytał w kronice o inkaskim generale, który podczas bitwy zmylił

wrogów, przywiązując żołnierskie flagi do ogonów małp i markując nieistniejące natarcie. Od tego dnia Quinatzin zaczął zaciągać stołecznych próżniaków do tak zwanych „robót publicznych”.

Z łoskotem i chrzęstem tysiące wojowników ruszyły przez gruzowisko. Kamienie pod ich stopami płakały. Wszędzie płynęła krew, słyszeli jęki uwięzionych pod ziemią braci. To tylko dodało im sił. Niczym lawa, wojska Kruzów wlewały się w dolinę. Setki padły pod salwami łuczników, ale pozostali z furją runęli na wroga.

Termity dotrzymały pola. Piechota broniła się zaciekle, odpierając ataki sił Quinatzina. W pierwszym szeregu bili się ciężkozbrojni, chronieni metalowymi zbrojami, władający zakazanym w imperium orężem. Kruzowie ginęli jak muchy i w końcu zaczęli się cofać. Tłazkalanie ruszyli za nimi. Wtedy drogę zagroził im dziwny oddział, różniący się od wszystkiego, do czego wrogowie zdążyli ich przyzwyczaić.

Jednostka nosiła nazwę Grzechotników, ich pancerze inkrustowane były piaskową skórą tych gadów. Wyforsowali się przed kruzańskich gwardzistów. Tłazkalanie przestali miotać oszczepy i przyglądali im się, zdezorientowani. Quinatzin osobiście wydał komendę:

— Cel!

Stu ludzi poruszających się niczym jedna istota. Mało, ale musi wystarczyć. Połyskujące lufy muszkietów jak śmierć z dziesiątkami oczu.

— Ognia!

Huk wystrzałów, seria zielonych ogni.

Pierwsze szeregi Tłazkalan zostały dosłownie zmiecione.

Wypełnione *braazatalem* pociski eksplodują, rozpruwają korpusy, odrywają kończyny. Tłazkalański oficer, olbrzym w zbroi z zakazanego metalu i biało-czerwonej opasce, wytrzeszcza zdumione oczy. Sekundę później jego głowa przestaje istnieć.

Strzelcy cofają się karnie i rozstępują, a w ich miejsce wkracza formacja wojowników w czerni, wznoszących Głodne Słońce, prastary sztandar Przymierza. Prowadzi ich niski mężczyzna w koronie i rytualnej zbroi, pod którą – o czym nie wie nikt z wojowników – nosi zakazaną stalową kolczugę. Z gardeł wszystkich Termitów w dolinie wydobywa się krzyk rozpacz.

Quinatzin żyje.

A potem, wśród jęków i przekleństw, rozległ się chrzęst ciskanej na ziemię broni. Pierwsze szeregi Tlaszkalan rzuciły się do panicznej ucieczki.

* * *

— Szybko, kolejny atak. Nim załadują broń! — rozkazała Leyre. Oficerowie wpatrywali się w nią, zdumieni. Mijały ich rozbite jednostki, na twarzach malował się strach. — Znam tę broń. Jest zabójcza, ale po strzale długo się ją ładuje! Dalej!

Widząc, że Papan milczy, oszołomiony albo zbyt przestraszony, by działać, Leyre wyrwała mu buńczuk z czerwono-białym sztandarem Tlaszkali. I ruszyła w stronę walczących, a widok spieszącej na śmierć kobiety zbudził w sercach wojowników coś, co od biedy mogło zastąpić nadzieję. Wstyd. Czekające w rezerwie oddziały poderwały się i ruszyły w ślad za nią do ataku, z krzykiem zbiegając w dół zbocza.

Tym razem od strony Grzechotników padło tylko kilka pojedynczych i nieskładnych strzałów. Nowa broń Kruzów była potężna, lecz tak jak mówiła Leyre, ładowała się wolno. Poza tym muszkietierowie Quinatzina byli nieliczni. Mogli wroga zszokować i przerazić. Nie potrafili jednak zmusić do odwrotu zdeterminowanych ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia.

Górale uderzyli na Grzechotników z flanki, rozbijając ich, a potem starli się z kolejnymi pułkami wroga.

Leyre nie była zaprawionym szermierzem. Chroniła ją jednak wspaniała

stalowa zbroja, podobnie jak jej przybocznych. Odziani w pikowaną bawełnę i skóry, gwardziści Quinzina ugięli się po ich naporem. W gęstym ścisku nie liczyła się zwrotność, którą zapewniała bawełna, lecz waga i masa zakutych w metal Tlaskalan.

Leyre nastąpiła na coś, co wciąż się ruszało. Towarzyszący jej zawzięty, mocno zbudowany weteran – pamiętała, że nazywał się Kometl – błyskawicznie zapikował włócznią.

— Patrz pod nogi, Światłości! — przykazał.

Leyre spojrzała nań nierozumiejącym wzrokiem. Stojący u boku Kometla żołnierz zachybotał się i ze zdziwieniem malującym się na twarzy, osunął na ziemię. Włócznia Kometla powędrowała w ślad za nim. Wróciła z czerwonym ostrzem.

— Wilk póki nie zdechnie, kąsa — krzyknął, zagłuszając szczęk broni.
— Patrz pod nogi!

Przepychali i zabijali Kruzów, stojąc niekiedy tak blisko, że mogła zaglądać im w oczy, rozszerzone nienawiścią i strachem, albo wciągać w nozdrza kwaśne odory ich potu. Ku swojemu zaskoczeniu, zobaczyła w nich ludzi.

Ludzi, których deptała.

Śmierć przybierała jak powódź. W pierwszych szeregach wrogiej falangi mnożyły się wyrwy, zapełniane zaraz przez tych, stojących z tyłu. Nagle front Kruzów zakołysał się, załamał i pękł jak zdeptana skorupa. Leyre wyciągnęła głowę i dostrzegła, że gwardziści w czerni rejterują, wyrabując sobie drogę przez własne szyki i ciągnąc ze sobą krzyczącego, gestykulującego mężczyznę. W zielonej koronie na głowie.

Leyre krzyknęła z rozpaczą. Przechytrzył ich. Ją. Pau'uka, Papana i zadufanego Zergosa. Przechytrzył Szaratangę. Przez myśl przemknęło jej podejrzenie, że może Lew Labiryntu ich zdradził, lecz odpędziła je jak

natrętnego owada. Cokolwiek się stało, odpowiadał za to Quinatzin. Serce kazało jej zabić skurwysyna. Nieważne, jaki jest cwany.

Odrzuciła w tył głowę i zawyła jak wściekła wilczyca. Zawtórował jej Kometl i inni przybocznicy. Wyrwała się ostro do przodu, powalając Zabójców Gwiazd jak bandę niezbornych dzieciaków.

I stanęła twarzą w twarz z wrogiem.

Widok *tlatoaniego* rozbawił ją tak, że miała ochotę wybuchnąć szalonym, histerycznym śmiechem. Pan Świata okazał się nędznym pokurczem. Był tak brzydki, że nawet koza nie poszłaby z nim do łóżka. Więc to dla pozbycia się tej kreatury poświęciła miłość swojego życia? Dla tego chłystka, który właśnie opuszcza przyjęcie... Rozbawienie mieszało się z okrutnym poczuciem, że padła ofiarą szyderstwa. Z grymasem na zmartwiałej twarzy ruszyła naprawić swój błąd.

Nagle coś uderzyło królową w bok, wyginając pancerz i żebra, wrywając jej powietrze z płuc. Leyre zatoczyła się bezradnie. Gwardzista, który ją trafił, gotował się do powtórki. Ścisk zbliżył ich do siebie, wrywając z ich ust zduszony, chrapliwy warkot. Żadne nie mogło zadać ciosu, wykonać zamachu czy pchnięcia, ale to Kruz górował w tym starciu wzrostem i siłą.

Leyre przestała się martwić. Ogarnęła ją gorączka bitwy, o której opowiadają czasem weterani. Wyostrzenie zmysłów i spowolnienie czasu. Ulotniły się ból i zmęczenie, każdy szczegół pysznił się przed nią w najlepsze, bezwstydnym i wyrazistym. Kruz dyszał i napierał na nią, **czuła** go niczym kochanka. Smród buchający z ust, kikuty zepsutych zębów. Pory na ciemnej twarzy, rozwarte, wrzeszczące rany. Białka przekrwionych oczu, trzonek sterczącego członka. On także świetnie się bawił.

Ścisk zelżał. Leyre przykucnęła i uderzyła od dołu. Bluzgnęła na nią czerwienią z rozplątanej krtani, czarne oczy łypnęły z wyrzutem. Quinatzin

tymczasem znikł, ludzka fala przelała się, unosząc go.

Leyre rozejrzała się bezradnie. Wokół prawie nie widziała już błysków stalowych zbroi. Czemu nagle jej ludzi zrobiło się tak mało? Bo giną, odpowiedział jej zimny, nieustępliwy głos. To kwestia arytmetyki.

Kruzowie wciąż nadciągali, zastępując w szeregach tych, którzy zginęli. Zbyt wielu, zwyczajnie zbyt wielu. Zalewali obrońców Tlaszkali jak fale niestrudzonego morza.

Przemknęło jej przez myśl, że raporty zwiadowców i Kretów były błędne.

Liczby, nie zgadzały się liczby. Wąwóz Czarnego Psa pochłonął tysiące wrogów, a mimo to nadal przybywali nowi. Szykował się długi dzień.

* * *

Ukryci w płytkiej, przytulnej jaskini Zjadacze robili to, do czego zostali stworzeni. Iskali się, spółkowali albo wypróżniali bez najmniejszego skrępowania. Niektórzy walczyli ze sobą zajadle, nie mogąc opanować napięcia. Ich wódz Yngram, którego pełne imię brzmiało Kroczący w Płonącej Radości, nigdy jeszcze nie skrzyknął ich tylu naraz.

Nawet to, że był *murgha*, Przeistoczonym, i faworytem Tych, Co Pełzają Pod Skórą, nie wystarczało, aby ich poskromić. Nawet to, że odsłonił przed nimi oblicze, uruchamiając w ich spodlonych mózgach kolejne skomplikowane reakcje, opartych na żądzy, strachu i desperackiej tęsknocie za opieką bóstwa. Pod tym względem *hikku'tai* nie różnili się tak bardzo od ludzi. Tyle tylko że religijne tęsknoty istot ludzkich nie przechodzą w większości przypadków na etap realnych związków. Z *hikku'tai* było inaczej. Przynajmniej gdy w ich Roju ostali się jeszcze *murgha*.

Ale dziś to nie wystarczyło. Wijący się Mrówczy Ślad, który objął przywództwo, przebudzony *braazatalem* przez Gurkho, zginął podczas

poprzedniej wojny, uśmiercony przez Lwa Labiryntu. Niewielka porcja smaru, którą pozyskał wtedy Gurkho, ledwie starczyła do wybudzenia pozostałych Władców. Kroczącego osłabiły stulecia letargu, a *hikku'tai*, urodzeni drapieżcy, za brak mocy płacili pogardą.

Plemię, podniecone odgłosami bitwy i oparami krwi, wciąż było buntownicze i krnąbrne. Przebudzony po stuleciu *murgha* czekał w milczeniu, otoczony półtuzinem krewniaków, którzy – jak stado sfinksów – także milczeli. Każdy z przykucniętych *murgha* nosił maskę, którą zdejmował tylko podczas walki. W plemienu jedynie wódz paradował z odsłoniętą twarzą.

Od czasu gdy ich *mo'qun* zaniemogła, kruszyły się w hordzie więzy i hierarchie. Yngram słyszał o plemionach, które choroba *mo'qun* i niedobór smaru doprowadziły do rewolt, kanibalizmu i krwawej wojny wszystkich ze wszystkimi. O buntach skundlonych, po których garstka ocalałych Zjadaczy nie była już zdolna bronić swojego terytorium przed ludźmi. Nie wszędzie warunki sprzyjały ich rozwojowi, nie wszędzie znajdowały dość pożywienia.

Zgrzybiała *mo'qun* z tlaszkalańskich pustkowi wyjawiała mu te sekrety, szepcząc głosem słabym jak szmer zamierającego źródła. Wódz dowiedział się, że ich jedyną nadzieją jest ekspansja, w przeciwnym razie nigdy nie spełnią swego posłannictwa i nie przemienią tego upadłego świata w łowisko dla Tysiąca Dzieci.

— Jest dzień. Dobrze wiesz, że nie możemy ich zaatakować w słońcu! — zaprotestował przykurczony stwór. Nazywał się Nukho i przy boleśnie urodziwym władcy, którego naga, dorodna postać lśniła od ludzkiego tłuszczu, wydawał się jeszcze ohydniejszy niż zwykle. Plemię zawtórowało mu lamentem, posapując, klaszcząc, uderzając czaszkami o głowy.

— Zaprawdę, trujące jest dla nas to mieeeejsce... Jesteśmy sprawiedliwi, lecz narażeni na zguuubę... — zawodzili.

Władca zerknął na malkontenta pobłaźliwie i splótł palce na jego cherlawej szyi. Zaczął masować spięte, wychudłe barki, które sterczały jak powykęcane korzenie powleczone w skórę. Zjadacze uwielbiali się dotykać.

— Myślisz, Nukho, że posłałbym was na śmierć? — spytał pieszczotliwie.

— Nie, Przenikliwy. Ale innych Przeistoczonych tutaj nie ma. Nasza matka wciąż kryje się w głębinach ziemi. Jej plon jest skąpy, jej łono wyschnięte. Nie mamy dość smaru, żeby oswoić szlak. Jak zdołasz go przysposobić? — powiedział Nukho.

Był szamanem, a ci zawsze należeli do najbardziej gderliwych Zjadaczy.

Przywódca zacmokał z przyganą i łagodnie zgruchotał mu kark. Obrzucił hordę pytającym spojrzeniem. Śmierć czarownika sprawiła, że wokół zapadła cisza. Nawet grupka rozochoconych samców przerwała swoją zabawę, uwalniając dyszącą samiczkę z obrzmiałym, zakrwawionym krocem. Nie miała siły odpełznąć, musieli jej coś uszkodzić. Ostatnio takie incydenty zdarzały się coraz częściej. Jego horda potrzebowała jedzenia i wroga, inaczej gotowa się pożreć sama.

— Jakim prawem kazałeś iść tutaj? W trujące powietrze, tak blisko Palącego Oka! Jakim prawem?

Uciszył protesty, ujadanie bezzębnych i słabych.

— Mam smar. Całe sterty. Uruczmy się nim do syta. Nim wyjdziemy, posypiemy przed sobą drogę. Palące Oko nie będzie już dla nas przeszkodą — oznajmił.

Jego lśniąca, obrzmiała twarz promieniała. Król Kruzów dostarczył im cztery worki. Cztery! Z taką ilością smaru mogli tygodniami buszować pod Palącym Okiem, pracując na chwałę Tych, Co Pełzają Pod Skórą.

Dla lepszego efektu sięgnął do sakwy przy pasie, nabierając palcami szczyptę siniego proszku. Upojny zapach zakręcił mu w nozdrzach. Tak!

Odetchnął głęboko, a duszące, zatrute powietrze Powierzchni głęboko wypełniło mu płuca, przemienione w ożywczą gazową ambrozię.

Zadygotał i ożył, niczym przywiędła roślina, na którą nagle spadł deszcz. Zaprawdę, *braazatal* był ozdrowieniem i życiem, nadzieją na przetrwanie ich rasy.

Dzieci kłębiły się przed nim, węsząc. Rozsypał przed nimi garść pyłu. Zakotłowało się, Zjadacze walczyli, żeby zlizać go z ziemi, kalecząc miękkie, wrażliwe usta. Tak delikatni, pomyślał. Jesteśmy zbyt wrażliwi na ten wstrętny, odpychający świat.

Dlatego musimy go zniweczyć. Zniweczyć i stworzyć na nowo.

* * *

Leyre straciła rachubę czasu. Po tym, jak odparli gwardzistów, przyszła kolej na sojuszników Kruzów. Zabijali wytatuowanych w upiorne spirale Otomi i dzikich Druazzi ze spiłowanymi, ozdobionymi jadem kłami. Jak dla niej, wszyscy mogli spełznąć z powrotem do piekła.

Bitwa utknęła w koszmarze krwawego, wyczerpującego obie strony remisu.

Jeszcze godzinę temu Leyre myślała, że uda im się. Wyczerpani i wykrwawieni, obrońcy Doliny z desperacką odwagą spychali wrogów. Quinatzin ocalał, lecz Leyre zniszczyła weteranów Tizoka, a nowo powołanym pułkom brakowało karności i lojalności. Nie myślała, co będzie potem. Nie pytała, kto zastąpi poległych po stronie Tlaszkan, kto zastawi własnym ciałem Labirynt.

Teraz bitwa ugrzęzła w chwiejnej i morderczej równowadze. Jej ludzie bili się niestrudzenie, ale kontrnatarcie zwolniło. Leyre obawiała się, że drugiej takiej bitwy nie udźwigną. Quinatzin musi dzisiaj zginąć. Potem wezwą na pomoc Tikalczyków, zbuntują ujarzmione ludy i zrobią to, czego

nie zdołali uczynić Dobroczyńcy. Będą zabijać Kruzów tak długo, aż ich bóstwa udławiają się krwią.

Bogowie, jak bardzo była zmęczona.

Przed oczami tańczyły jej mroczki, płatki popiołu ze spalonych ofiarnych wotów. Rwany oddech zmienił się w ogień, który wypalał jej płuca. Słony pot zalewał czoło. Nie mogła otrzeć go z twarzy, lewe ramię obciążała tarcza. Prawa dłoń dygotała, usiłując nie wypuścić miecza, który właśnie wraziła w czyjeś rozwarte, dyszące nienawiścią usta. Dobrze, pogratulowała sobie zręczliwym głosem Aczappy, swojego nauczyciela fechtunku. Mądry człowiek zawsze zabija sztychem. My nie polujemy na jeńców.

Wciąż żyła, więc dlaczego nastał mrok?

Jej ludzie zatrzymywali się, gorączkowo spoglądając w górę. Coś ciemnego przysłoniło niebo. Przez krótką, przeraźliwie wyraźną chwilę, jedną z tych, podczas których do duszy figlarnie zagląda obłęd, myślała, że patrzy na agonię słońca. Że Kruzowie mieli rajcę, a ich klęska sprawiła, iż złoty bóg umarł i runął na ziemię.

Wyglądało to tak, jakby górne krawędzie wąwozu, w tym miejscu stromego i nieuszkodzonego przez wybuch, zasklepiły się nagle, zamykając zachłanną gardziel.

Potem ujrzała, jak przysłaniająca niebo czerń porusza się, wyodrębnia i skrapla, spadając z piskliwym, szczyrowatym skrzekiem.

Czerń zawisła kilka strzał nad ziemią i Leyre dostrzegła zarys nie ludzkiej postaci, wiszącej na wyprężonej linie. Kolejny Zjadacz zakołysał się nad nimi jak pająk, ciskając w dół oszczep, który z zaskakującą siłą przebił grubą szyję Kometla.

Królowa zatoczyła się z krzykiem.

W miarę jak od ścian Labiryntu odrywały się kolejne krople, szeregi jej wojsk załamywały się. Wśród napastników przeważali *hikku'tai*, hałaśliwi

i zajadli, niekarni i wiecznie głodni, zredukowani do najsilniejszych, nigdy nienasyconych popędów. Na tle innych podgatunków Zjadaczy, ci byli szczególnie plugawi, od stuleci nieśli ludziom pożogę i śmierć.

Tajemniczy, niewidziani od stuleci *murgha*, zakryci hipnotyzującymi maskami, straszni wężową magią i prędkim, nieludzkim spokojem ruchów. Leyre mogła przysiąc, że rozkazy wysyła im ukryta gdzieś *mo'qun*, Królowa Roju. Ale skąd, na Krwawego Chrystusa, przypęzło ich tutaj tak wielu? Skalne ściany dosłownie się od nich roiły.

Ojciec uczył ją, że Pomiot Kłątwy wymierał od wielu stuleci. Mędrzy i uczeni byli pewni, że spotykane tu i ówdzie niedobitki nieludzi należałoby wziąć pod ochronę dla celów badawczych, że stanowią przyczynek do przyszłych badań nad Kłątwą. A teraz okazało się, że to Kłątwa odbędzie badania nad nami, pomyślała Leyre ponuro. Nigdy nie słyszała, by w jednym miejscu zgromadziło się tyle tych stworzeń. Przypominało to wracającą z przeszłości legendę, stronicę z pradawnych kronik.

Zdażyła jeszcze pomyśleć, z oburzeniem okłamanego, skrzywdzonego dziecka, że to przecież niemożliwe, że padła ofiarą omamów, iluzji i czarów. Zjadacze nigdy nie atakowali jej ludu za dnia, a już na pewno nie w tak nieprawdopodobnej liczbie. Przyboczni odciągali ją, byle dalej od śmierci i piekła.

Potykała się i płakała, zawstydzona uczuciem ulgi. Chciała się wyrwać i zginąć wraz z resztą armii, lecz wiedziała, że to tylko gra. Łzy spływały po brudnej twarzy, zmieszane z potem i krwią.

Od ściany oderwała się mroczna sylwetka i skowycząc, wgryzła się w szyję młodego żołnierza. I jeszcze jedna, ten sen nie zamierzał się skończyć.

Z nieba runęła ulewa.

Rozdział 16

Każde zwierzę pędzą na pastwisko razy.

Heraklit

Bitwa dobiegła końca, zagrzebała się w błocie i krwi. Quinatzin odniósł kosztowne zwycięstwo. Sforsowali Labirynt, za Doliną Czarnego Psa nie było już większych umocnień. Niedobitki Tlaszkalan wycofywały się pospiesznie w głąb kraju. Mimo to zwycięscy Kruzowie snuli się niczym duchy.

Wstrząsnęła nimi śmierć generała Tizoka oraz zagłada legendarnych, rywalizujących ze sobą pułków: Orłów i Jaguarów. Żołnierze każdej armii są przesądni, a ta katastrofa miała w sobie coś złowieszczonego. Nawet barbarzyńscy rekruci przeczuwali, że oznacza koniec pewnej epoki.

Quinatzin maskował przepełniające go uniesienie, okazując podwładnym stosowny smutek. Żałował Jaguarów, ich śmierć z pewnością doprowadzi do niepokojów wśród rodzin szlachtetnie urodzonych kadetów. Z drugiej strony, zawsze potrzebował ziemi do nagradzania zwolenników, więc drobny bunt lokalnych kacyków mógł się przydać.

Zagłada Orłów była mu oczywiście na rękę, ci tradycjoniści i wierni stronnicy kapłanów bruździli mu od początku. A Tizok? Nie smuciła go śmierć zdradzieckiego przyjaciela. Doszedł do wniosku, że wcześniej czy później i tak musiałby usunąć i generała, i jego weteranów. Sposób, w jaki do tego doszło, okazał się najlepszy z możliwych.

Następnego dnia Quinatzin wysłał część wojsk do zabezpieczenia zdobytych fragmentów Labiryntu. W takich zadaniach celowali Druazzi, mistrzowie zasadzek i nagłych ataków. Resztę armii zapędził do ratowania uwięzionych pod gruzem rannych.

Po dwóch dniach kopacze wydobyli spod sterty skalnego miała Harana, podduszonego i ogłuszonego, lecz nadal mocno trzymającego się życia. Rozpoznawszy gwardzistę po naszyjniku, pofatygowali się i przytargali masywne cielsko do jednego z lepszych lazaretów, w których ranni gwardziści leżeli obok arystokratów i oficerów z innych pułków. W tych lepszych namiotach felczer proponował napitek uśmierzający ból, zanim oderżnął ci nogę.

Najbardziej na jego widok ucieszył się Maczurai. Władca Yugal kuśtykał, prowadzony przez nerwowych *ursów*. Stracił mnóstwo krwi i teraz powoli wracał do siebie, pojony gorącą posoką jeńców i karmiony jelenią wątrobą.

Zgromadzeni wokół namiotu Zabójcy Gwiazd wymienili szydercze i rozbawione spojrzenia. Nie lubili Maczuraia Bez Nosa, który – pyszny i zadufany – zbyt szybko stał się faworytem ich pana, nieodłącznym jak cień. Cieszyła ich jego porażka. Poza tym załatwił go jeden z nich, i to w jakim stylu! Ostrze Harana przeszło słynnego szermierza na wylot, upokarzająco zraniło go w pośladek. Upłynie sporo czasu, zanim znów wygodnie usiądzie na krześle czy wyciągnie się na łożu.

— Co z nim? — królewski ochroniarz Hirikan złapał Harana za włosy i uniósł jego głowę. Puszczona, opadła bezwładnie jak szmata.

— Zastanawiam się — powiedział z wahaniem król.

Quinatzin wyszedł z batalii bez szwanku.

Maczurai pokręcił głową.

— Moim zdaniem twój dzikus oszalał. Najlepiej będzie go zabić. —

Wojownik sięgnął po sztylet, krzywiąc się przy tym z bólu. Był zwolennikiem prostoty w każdej dziedzinie. Lata nauczyły go, że częściej żałował oszczędzenia kogoś niż ukręcenia mu łba. Martwi rządziej sprawiają kłopoty.

Tlatoani zmarszczył brwi i zatrzymał go krótkim gestem. Maczurai pociemniał na twarzy i zamarł jak byk, posapując przez krater nochala. Ozdobna przetyczka w dolnej wardze władcy Yugał tylko potęgowała wrażenie. Kusiła, żeby ją złapać i szarpnąć.

Chwila przeciągała się, ale Quinatzin zwlekał. Miał nadzieję, że jego ochroniarze są szybcy.

— Obłąd jest cennym zasobem, przyjacielu. Tylko bardzo prostoduszni wojacy mogą tego nie widzieć — powiedział ciepło.

Maczurai zacisnął pięści.

Tlatoani przypomniał sobie zapomniane wspomnienie z dzieciństwa, jedno z tych, które nagle wypływają z ciemności, zaskakując cię niczym duch. Hodował kiedyś wilczka, szczeniaka z północnych równin. Był wtedy młodym, idealistycznie patrzącym na świat chłopakiem. Wierzył w miłość, braterstwo i równość, także w hodowli. Chciał zdobyć przyjaciela, nie sługę. Dlatego uwolnił bestię z łańcucha i dał jej biegać po pałacowych ogrodach. Ale zwierzę nie tolerowało równości. Po okresie zagubienia i niepewności znarowiło się i zaczęło go kąsać. Czuł smutek, gdy kazał je zabić, ale przyswoił naukę.

Nie mylił już wilka z królikiem.

— Nie zmarnuję go. Posłuży mi tam, gdzie normalni ludzie wykruszyliby się i zmarnieli.

— To pomiot Białoskórych. I za dużo wie — upierał się Maczurai.

— Myślisz, że ma w sobie ich krew? — zainteresował się Quinatzin. Fascynowało go wszystko, co dotyczyło starożytnych diablów.

Maczurai warknął i szybko zrobił Znak Krwi, kładąc dłoń na piersi gestem, który symbolizował wyrywanie jeńcowi serca dla bogów. W powietrzu rzeczywiście rozprysnęły się krople posoki, w której skąpał się w tym pracowitym, jakże owocnym dniu. Choć ranny, Maczurai ofiarnie podjął się przesłuchiwanie i sortowanie jeńców.

— Widziałeś jego oczy? W czasach twojego ojca za takie patrzaki od razu szło się pod nóż. Wyłupiłem ich dość, żeby rozpoznać Białoskórego po ślepiach. Poza tym szczeniak jest wysoki.

— I co z tego? Ty też jesteś. Mam oddać cię klechom na przesłuchanie?
— Uśmiech Quinatza nie przygasł, ale jego oczy przypominały chłodny popiół.

Oglądał lewą dłoń barbarzyńcy, naznaczoną, przeżartą jakimś szarym osadem. W zamyśleniu pokiwał głową.

— Obaj wiemy, że szczeniak za dużo wie. Kazałeś mi go uciszyć, pamiętasz? — nie ustępował Maczurai.

— I nie wiem, czy miałem rację. To bohater, Maczuraiu. Pojmał Szaratangę, pamiętasz? Moi gwardziści wpatrują się w niego jak w obraz. Pozbyliśmy się dzisiaj jednego idola armii. Nie możemy utracić wszystkich.

— Myślisz...

— Ktoś musi, przyjacielu. Każda władza wymaga charyzmy. Powinniśmy pilnie wyhodować sobie nowego Tizoka, twardego i prawego jak skała. I tak samo lotnego. Kogoś, kto zeżre z żołdakami przypaloną fasolę, kto pierdzi i cuchnie jak oni. Kto powie: „To nie moja wina, że nie macie jedzenia, pancerzy i butów! To te urzędasy, zastrane fircyki z Pałacu!”. Ale nie będzie, w przeciwieństwie do starego Tizoka, nadmiernie główkował.

— Zaskakująco dobrze wczuwasz się w nastrój poddanych — zauważył władca Yugal z przekąsem.

Quinatza wzruszył ramionami.

— To łatwe. Społeczeństwo jest niczym dupa. W każdym kraju wygląda podobnie i służy do siedzenia. To jedyny powód, aby je tuczyć. Poza tym śmierdzi i swędzi. I co rusz ktoś usiłuje je dymać.

Maczurai zarechotał ponuro, bawiąc się nożem. Obracał w palcach zwiędłe, cieliste coś, mogące być ludzkim uchem, a może nieudanym skalpem.

— Na razie twój kandydat nadaje się raczej na cmentarz. Albo do kapłańskiego przytułku.

— Spokojna głowa. Mam coś, co go na pewno uleczy.

* * *

Haran zbudził się obolały i zrozpaczony. Leżał na przyzwoitym sienniku, ale ręce miał skrępowane na plecach. W pierwszej chwili przeraził się, że wybuch go sparaliżował, ale dotkliwy ból uprzytomnił mu, że ma aż nadto czucia w kończynach. Jakby strzaskano w nich każdą kosteczkę.

— Nic ci nie będzie. Lepszy od ciebie poległ, a ty dorobiłeś się tylko siniaków. Głupi zawsze ma szczęście — usłyszał.

Odwrócił głowę.

W namiocie poza nim był strażnik, jeden z Zabójców Gwiazd. Nosił hełm z przyłbicą z dębowego drewna. Na kolanach trzymał ogromny miecz. Ten sam, który Haran upatrzył sobie w zbrojowni.

— Co z bitwą? I jak długo tak leżę, na wszystkie posiłki Zjadaczy? — zapytał ochryple.

Gwardzista popatrzył na niego i zdjął hełm. Haran wzdrygnął się, jakby zobaczył ducha.

— Zaskoczony?

Druazzi milczał. Wzruszyłby ramionami, ale był trochę skrępowany.

— Trzeba coś z tobą zrobić, synu. Przyszedłem tu podjąć decyzję. Pan

Maczurai chciałby cię stracić za zdradę. Pokonałeś go w boju, gratulacje! Podstępnie bo podstępnie, ale jednak. Mało kto może to o sobie powiedzieć.

Cisza.

— Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Zawdzięczamy je również tobie.

Odwrócenie głowy, spojrzenie zbitego psa. Quinatzin uśmiechnął się.

— Tizok zdradził, Haranie. Spiskował na rzecz Szurukana. Musiałem go powstrzymać.

— A Jaguary? Czym oni zawinili?

— Niczym. Ale gdyby Tizok wszczął wojnę domową, zginęłoby więcej ludzi. Tym właśnie jest dowodzenie. Oceną zysków i strat. Nie myśl trzewiami jak dzikus, lecz głową.

— Głowę rozbili mi twoi ludzie. Albo wybuch. — Barbarzyńca z trudem przełknął ślinę.

Tlatoani podał mu kubek z wodą.

— Wiem, kim jesteś, synu. Wiem, co w sobie masz. Spotkało cię wiele złego. Twoi ludzie wyrzekli się ciebie z powodu zabobonów i lęku. Zostałeś sprzedany w niewolę. To dużo jak na jednego człowieka.

— Owszem. A wszystko stało się w twoim wspiałym królestwie. Odpowiadasz za to! — wyrzucił z siebie Haran.

Quinatzin roześmiał się z politowaniem.

— Odpowiadam? Za pijaństwo twojego przybranego ojca? Za upadek i degrengoladę Druazzi? Czy to ja kazałem im zapijać się na śmierć? Owszem, przestałem karać poddanych za *pulque*, ale wcale nie kazałem jej pić.

— Pozwalasz na Doły — warknął Haran.

— Tak! — Quinatzin rozpromienił się. — Byłeś w moim wspiałym świecie, wróciłeś żywy. Odmieniły cię. To bezcenne. Rzadkie. Być może zacznę rekrutować stamtąd więcej gwardzistów. Czy byłoby lepiej, gdybym

po prostu zabijał skazańców? Ja daję im szansę odkupienia, odwdzięczenia się społeczeństwu.

— Przy okazji czerpiąc z tego nielicze zyski.

— A co w tym złego? Świat moich poprzedników należał do świętojebliwych frajerów, krwiopijców i hipokrytów, którzy non stop pierdzielili o bogach i powinnościach, podczas gdy ludzie wokół nich marli z głodu. Lub sprzedawali dzieci. Ja stworzę coś zupełnie innego. Nowy świat będzie piękny, ale najpierw trzeba go obmyć we krwi. Tłaskalanie są ceną za jego powstanie, podobnie jak Tizok i inni.

Haran słuchał w milczeniu, jego niesamowite źrenice płonęły złowrogo. Quinatzin przysięgłby, że strzyże uszami. Ten chłopak miał coś z niedźwiedzia lub z wilka. Musiał tylko podsunąć mu trop.

— Świat, który potraktował cię podle, był niesprawiedliwy i nierozsądny. Buduję lepszy. Ale najpierw obalę fałszywą równowagę. Grupy społeczne i państwa szachują się nawzajem. Trwają w pozornej harmonii, będącej w istocie klinczem. Od setek lat Kruzowie znosili sąsiedztwo Tłaskalan. Dlatego nie podbiliśmy świata, dlatego wciąż rozmieniamy się na drobne! — w głosie Quinatzina zadrgała pogarda i pasja.

Uspokoił się, odchrząknął.

— Widziałem świat Białoskórych, synu. Ich pałace i tajemnicze maszyny, ich chwałę. To wszystko może powrócić. Ale najpierw musimy oczyścić dla siebie pole. Stworzyć przestrzeń. Pomożesz mi w tym i ocalisz głowę, to twoja ostatnia szansa. Ale nigdy więcej nie odważysz mi się sprzeciwić. Nawet jak każę ci zaszlachtować własną matkę, zjeść jej oczy i zakąsić sercem.

— Nie mam matki — mruknął barbarzyńca ze smutkiem dużego dziecka. Quinatzin dostrzegł żal i uczeplił się go jak ogar krwawiącej rany.

— Nie masz nic. I nigdy nie miałeś. Świat cię skopał i upodlił, ale teraz

wyrównasz rachunki. Bądź moim katem, Haranie. Bądź ostrzem lepszego jutra. Odpłacisz tym wszystkim pyszałkom, którzy latami na ciebie pluli. W czym byli od ciebie lepsi?

— Wyglądali i mówili inaczej. Lepiej się urodzili. W lepszym miejscu. Spotkało ich mniej udręki — w głosie chłopaka nie było gniewu. Bez emocji wyliczał fakty.

Quinatzin roześmiał się.

— Uprzywilejowani i bogaci zapominają, że nieszczęśliwa większość może po prostu ich zabić. Właśnie dlatego, że jest jej więcej! Białoskórzy nazywali tę prawidłowość demokracją. Ludzie myślą, że walczą ze sobą kasty: kupcy przeciwko kapłanom i szlachcie, emigranci przeciwko rdzennej ludności. Kruzowie i Tlaszkanie. Ale linia podziału jest inna.

Tlatoani popatrzył na wielkoluda uważnie.

— To szczęśliwi i nieszczęśliwi, Haranie. I tylko ja wiem, gdzie czeka kolejny wróg, krwio pijca do osądzenia, bo to ja rozdaję przywileje! To ja namaszcza ich szczęściem!

Barbarzyńca potrząsnął grzywą i spojrzał na Quinatzina bezradnie. Nie rozumiał go... i nie był w tym wyjątkiem. Ten człowiek wymykał się rozumowi. Nie szukał rozkoszy, nie szukał wyniesienia dla siebie, swojego plemienia i rodu. Nie gromadził bogactw. Jego namiętnością była czysta **zmiana**, której cel niknął za horyzontem.

Quinatzin zaciągnął się cierpką wonią pobojuwiska. W jego oczach tańczyły wesołe iskierki. Pochylił się nad barbarzyńcą i przeciął krępujące go sznury małym, gustownym nożykiem.

— Jesteś niebanalny, Haranie. A ja potrzebuję takich ludzi. Oddaję ci ten kraj, żebyś się na nim uczył. Walka nie była łatwa, ale Odrodzone Przymierze będzie jeszcze trudniejszym wyzwaniem. Najpierw posprzątasz Tlaszkale, a potem pałace naszych bogaczy, sprzedajnych kapłanów

i szlachty. Kupczyków i przedsiębiorców. Na pyszałków padnie blady strach. Zostaniesz dowódcą oddziału, niesłusznie rozwiązanego, który niniejszym przywracam. A teraz uklęknij.

Oszołomiony babrarzyńca spełnił jego polecenie. Rozcierał mrowiące nadgarstki, jego dusza także zdrętwiała i i straciła czucie. Co się tutaj działo? Quinatzin stanął nad nim, z trudem unosząc dwuręczny, stalowy miecz.

— Należał do Lwa Labiryntu, dumnego obrońcy Tlaszkali. Teraz będzie należał do jej kata. Wiesz, że dawni Białoskórzy pasowali w ten sposób doborowych wojowników? Zwali ich rycerzami. Uczony kapłan, Xagatlin, opisuje to w swoim dziele *Białoskórzy. Zaginiony świat*. Zakładam, że nie czytałeś?

Haran patrzył na niego niewidzącymi oczami, gdy ostrze dotknęło jego ramienia.

— Powstań, kapitanie. Szare Pasy czeka mnóstwo pracy. Miecz dostajesz ode mnie w prezencie. Szare ostrze dla Szarego Pasa, to nawet pasuje.

Wojownik zadrzał, przyjmując od króla broń. Na jego twarzy wykwił posepny grymas, śmiała wariacja na temat ludzkiego uśmiechu.

— Kogo mam ścigać, panie?

Quinatzin uśmiechnął się także.

— Wszystkich. Tym razem zabijesz wszystkich.

Rozdział 17

*Domy są teraz bez dachów, a ich ściany
Są czerwone od krwi.
Robaki kłębią się na ulicach i placach,
A ściany zbryzgała posoka.
Woda stała się czerwona, jakby ją zabarwiono.
A kiedy ją pijemy,
Ma smak solanki.
Waliliśmy głowami w rozpacz
O ściany z gliny.
Bo nasze dziedzictwo, nasze miasto, przepadło i jest
martwe.
Tarcze naszych wojowników były jego ochroną,
Ale nie zdołały go uratować.
Aztecka pieśń zwyciężonych*

Tłazkała płonęła jak stos, a Haran szedł przez płomienie z uśmiechem.

Łuna była dobra, gdyż oświetlała cel. Pogodził się sam ze sobą. Z potworem, ludzkim ostem wyrosłym na bólu i krwi. Tego nie mógł zmienić, już nie. Przeszłość zamknęła się za nim nieodwołalnie, zaspawała zniszczeniem i rdzą. Na wszystko było za późno i ta całkowita, dojmująca bezsilność miała w sobie coś wyzwajającego.

Za późno. Nie pozna swoich prawdziwych rodziców, nie dowie się nigdy,

kim byli. Nie uzdrowi przybranego ojca z pijaństwa i nie odepchnie mierzącej w niego włóczni. Nie zdobędzie miłości Hezy ani przebaczenia Citali, nie ocali Jaguarów przed śmiercią w wąwozie. Nie ściągnie Szaratangi z platformy ofiarnej, nie nakłoni go do ucieczki z więzienia.

Nie uleczy ran.

Zrozumienie oczyściło go, jak kiedyś wywołana głodówką wizja przy wodospadzie, której wypatrywał wycieńczony i głodny podczas swojej plemiennej inicjacji. Człowiek nie jest sumą wspomnień, lecz zażaleń i skarg. Podsycamy wspomnienia, drapiąc. Za każdym razem, gdy określamy siebie przez dawny ból, mówiąc: „tamto cierpienie to ja”, karmimy naszego demona, naszego własnego kata.

Wspomnień Harana Odszczepieńca, Harana od Białoskórych i Harana z Dołów nic już nie mogło naprawić. Odkupienia musiał szukać gdzie indziej.

Dni i noce wypełniała mu służba.

Główna armia oblegała stolicę Termitów, Grań, a oni dbali o to, żeby w kraju całkowicie zgasł opór. Czyścili niewielkie kotliny, białe domki rozsypane wśród skał. Skrupulatnie i sumiennie, aż w końcu nie było w nich nikogo, kto mógłby choćby pomyśleć, że kiedyś panowały tu inne porządki.

Quinatzin przydzielił mu jego dawnych żołnierzy z patrolu, ale nie wszyscy nadawali się do Szarych Pasów. Po kilku tygodniach większość się wykruszyła, zginęła albo błagała o przeniesienie.

Doszło więc kilku nowych. Równe chłopcy, urodzone do szerzenia terroru i śmierci. Izotlin, znany też jako Szczurza Śmierć, zawołany tropiciel i łucznik, pochodził z Równin i miał przykry zwyczaj przesłuchiwania jeńców głodnym szczurem kładzionym delikwentowi na brzuchu. Wystarczyło przykryć zwierzaka wiadrzem, żeby zaczął wygryzać sobie drogę ucieczki. Cały obóz śmierdział potem wyprutymi bebechami i gównem.

Jego pomysłowość i zapał przypominały Haranowi niektórych kolegów z Dołów. Śmierć często zamierał i nagle zaczynał węszyć, brakowało mu tylko wibrysów. Jego gryzoń był wstrętnym, zarobaczonym paskudztwem, ale z dwojga złego Haran wołał pupila niż pana.

Był jeszcze Akeppo, mroczny olbrzym z plemienia Otomi. Przysadzisty i grubokościsty, posępny, z ciężką szczęką i spłaszczonymi uszami, odznaczał się finezją i elastycznością otoczaka. Nigdy się nie uśmiechał. Z niezmaconą powagą grabarza relacjonował najdrobniejsze ze swoich poczynań. Typowy jego raport wyglądał mniej więcej tak: „Uciekała, podciąłem ją, padła. Wstała, znowu podciąłem. Nie wstała. Deptałem przez pewien czas. Po posiłku wróciłem do jej ojca, który w tym czasie się zesrał. Wyjawiał miejsce ukrycia ziarna”.

Akeppo okazywał litość jedynie w chwilach olśnienia, łaski i szczęścia. Jeszcze mu się nie zdarzyły. Jego plemię miało odwieczny zatarg ze szczepem Szczurzego Śmierci, ponoć poszło o kradzież sideł. Z początku łąpali na siebie spode łba i Haran żywił nieśmiałą nadzieję, że skoczą sobie do gardeł i uwolnią go od kłopotu. Jak w większości przypadków, nadzieja okazała się płonna, zwyrodnialcy zapałali do siebie uczuciem nieledwie braterskim, dzieląc się chlebem, niewolnicami i łupem. Akeppo swojego brata już zabił.

No i Hussup z plemienia Tarasków, pierwszy do szarży, walczący toporem z brązu. Jego lud jeszcze przed Klątwą słynął z wojowniczości i znakomitej broni, nie dawał się podbić Aztekom. Kruzowie ujarzmili ich w końcu, ale wciąż mieli z nimi kłopoty. Patrząc na nieustraszonego, gardzącego śmiercią Hussupa, Haran rozumiał dlaczego.

Hussup zdobył niedawno honorową rangę *cuachica*, weterana, który pojmał przynajmniej trzech jeńców. Dawało mu to prawo do ceremonialnego, wystrzyżonego czuba na głowie, który nacierał wapnem i czerwoną ochrą.

Od czasu awansu obrósł w piórka i zhardział do tego stopnia, że coraz częściej pozwalał sobie wobec Harana na kpiny, nawiązujące do wyrazistych obyczajów Druazzi, takich jak wypatrywanie jaguara nad wodospadem czy rytualne nacinanie członka. Haran nieodmiennie odpowiadał, że dał sobie ponacinać kutasa, żeby stara Hussupa miała długą fujarę do grania.

Ci trzej wyróżniali się, lecz reszta Szarych Pasów dreptała swoim idiomom po piętach. Haran miał wrażenie, że dotychczasowi dowódcy pozbyli się ich z ulgą. Wojownicy tego pokroju nawykli oddychać śmiercią. Pozbawieni swej zwykłej używki, swoich pasji i drobnych radości, prędzej czy później zwracali się przeciwko kolegom i oficerom. Mało który dowódca potrafił dostarczyć im wyzwania i samemu przy okazji nie zginąć.

To był pracowity czas.

Dnie rozpisane w czerwieni i blasku, noce ciężkie jak płyta grobowca. Dzwoniące w uszach echo daremnego błagania i wrzasku. Omdlewające ramiona, spracowane dłonie zniwiarza czy drwala. Każdego wieczoru przy obozowym ognisku czyścił ostrze nowego miecza. Prezent od Quinzina okazał się wyborną bronią. Na zamorskiej, starożytnej klindze nie pojawiały się szczyrby, za to Haran czuł, że jego dusza tępieje, jakby jawa i mrok zlewały się w szarą malignę.

I to właśnie wtedy, po kilku tygodniach pracy, we śnie znów nawiedziła go białoskóra kobieta. Ostatnio stała się częstym bywalcem jego sennych koszmarów.

Z początku nie zwrócił na to uwagi. W jego majakach pętało się tyle zjaw, że powinien dostawić tam krzesel. I naoliwić drzwi. Ci, których zabił, i ci, których zabito na jego rozkaz. Nieliczni, których oszczędził, uwiązani do długich żerdzi jak on sam przed laty na targu, w dusznym Yugal nad rzeką Mys. Spośród wszystkich upiorów ona była najbardziej uparta.

Drażnił go kolor jej skóry. Jakby on, Haran, syn Pęcherza, zaufany króla,

nie zasługiwał na porządnego, miedzianoskórego sukkuba, tylko białe, niedopieczone ścierwo w kolorze rybiego brzucha. Wyciągnęła do niego ramiona, a Haran skrzywił się z nienawiścią. Nie cierpiał demonów. Jeżeli uroiło im się, że mają z nim coś wspólnego, to tym gorzej dla nich.

Ruszył w jej stronę, brodząc po kolana w widmowej pajęczynie snu. Wtedy odchodziła, obrzucając go na pożegnane tym żalonym, smętym spojrzeniem. Zawsze, lecz nie dziś.

Zbliżywszy się, zacisnął ręce na jej szyi. Uśmiechnęła się smutno, nie próbowała się uwolnić. Jej wzrok promieniował miłością, współczuciem i chyba nawet radością. W mordę. Ta wariatka naprawdę lubiła umierać.

— Nienawidzę cię. Zostaw mnie.

— Nie mogę cię zostawić. Nosisz mnie tutaj, synku. — Delikatnie dotknęła jego piersi. Złapał ją za nadgarstek, aż chrupnęło. Pokręciła głową. — Nosisz tam, gdzie ukrywasz światło.

Haran warknął i na odlew uderzył ją w twarz. Ugięły się pod nim nogi, a w jego brzuchu rozgrywało się coś dziwnego. Kobieta upadła, a on kopał ją i deptał zaciekle, przeganiając białego stwora tam, gdzie jego miejsce. Do najdalszego piekła.

Obudził się zlany potem i rozkaszłał, przeklinając ceremonie, święte grzyby, Białoskórych i swoje przekłete dziedzictwo. Haran Potomek Demonów.

Czuł się jak bohater jakiejś legendy i chętnie by kogoś zabił. Na szczęście nikt nie dostrzegł jak dotąd jego szaleństwa, ale co, jeżeli dostanie ataku przy ludziach? Na wieszczącego kapłana raczej się nie nadaje... Uśmiechnął się ponuro i wy dobył nóż. Z zadowoleniem wykroił sobie szramę na przedramieniu, głęboką jak koleina.

Ból orzeźwiał, zawsze orzeźwiał, zasklepił wewnętrzne, znacznie groźniejsze rany. Szrama za każdą wizję, mruknął. Będę ciął, póki starczy

skóry.

Do pełni szczęścia brakowało mu porządnego mordobicia, flaszki i chętniej, gorącej cipki. Chyba pora odwiedzić jakąś osadę. Niedaleko uchowała się przecież wioska hodowców pszczoł. Ruszył do obozowiska i nalał sobie solidną, rozgrzewającą kolejkę.

Już miał obudzić żołnierzy, gdy poczuł w sercu podejrzanę mrowienie. Gorączkowo złapał się za tors. Rozchylił bawełniany kaftan i zamarł z wytrzeszczonymi oczami i bluzgiem urwanym w pół słowa. Potem znowu przechylił tykwę do ust i pił *pulque*, aż dziwny obraz nasiąkł trunkiem i wreszcie osiadł na dnie jego zmulonej duszy jak zatopiony galeon. Dobrze, że nikt tego nie widział. Że nie można zobaczyć cudzych przewidyń, pełzającego szaleństwa.

Jego serce broczyło światłem.

* * *

Wioska leżała w wąskiej, skrzywanej dolinie, okolonej pasmami gór, porośniętych dębem, sosną i świętymi jodłami *oyamel*. W niektórych partiach mieszkańcy przetrzebili las; odsłonięte kamienie i skały prażyły się w zachłannym słońcu, wypalone i odarte z życia jak porzucona kość. Okolica wyglądała jak każda inna dolina w Tlaskali, ale tylko tutaj wszędzie bzycały pszczoły.

Haran patrzył, jak jego ludzie krzątają się pośród kanciastych, bielonych wapnem domów, wtulonych w ramiona skał. Obok domostw przycupnęły ule w tym samym kolorze, niczym dzieci trzymające się matczynej spódnicy. Szare Pasy przetrząsały i plądrowały zabudowania, ze znużeniem zrodzonym z przesyty podkładały ogień. Jak dotąd nie znaleźli nikogo żywego.

Było cicho, w powietrzu unosił się spokój. Kilka stóp od barbarzyńcy

przemknął czarny królik *teporingo*, mieszkaniec pobliskich wulkanów. Haran nawet nie drgnął. Zbocza gór rozpromieniły się w tej szczególnej godzinie, która poprzedza zmierzch. Światło robi się wtedy cieplejsze, a kształty bardziej wyraziste.

Jakby wiatr nagle zdmuchnął zasłonę. Oto żniwa po żmudnym wrastaniu. Wrażenie urodzaju i sytości, którym łudzą się i koją ludzie. Jakby świat nie miał im za moment tego odebrać, jakby wszystko nie było tak samo skażone. Złudna chwała gałązek, owoców i traw. Czy wiatr zawsze rozmawia z przyrodą w ten sposób? Nawet gdy nas tam nie ma, nawet gdy nikt nie patrzy?

Haran splunął, odczyniając urok. W jego dawnym plemienu bali się wzniosłości i cudowności. Nigdy nie wiesz, jaki bóg czy demon się za tym kryje. Ale nawet oni, spełnieni i zatwardziali zbrodniarze, czuli się o tej godzinie nieswojo. Chyba przeczuwali, że coś ich omija.

Na gałęzi górskiej sosny zawodził ptak, zbulwersowany grabieżą błękitnik. Haran wiedział, że wreszcie powrócił do domu.

Szkoda tylko, że dom akurat się palił.

— Czysto! — zawołał Szczerba, strzykając śliną. Był odstręczającą istotą, ale Haran nie miał mu tego za złe. Jego sierżant nie potrafił powstrzymać plucia, miał na to o cztery zęby za mało.

— Ktoś nas uprzedził, szefie.

Haran skrzywił się, nie będąc pewnym, czy odczuwa irytację, czy ulgę. Swoją pracę traktował poważnie, ale coraz częściej polegała na potwierdzaniu zbrodniczych dokonań innych. Do Tlaskali ściągają z całego imperium bandy morderców, maruderów i zbójów, zwabione perspektywą plądrowania bogatej, nigdy niepodbitej krainy, a także gwarancją bezkarności. Do tego dochodziły masowe rajdy Zjadaczy, którzy ze znanych tylko sobie powodów postanowili walczyć po stronie Przymierza.

Do tych stworów nie mógł się jakoś przekonać. Za bardzo przypominały mu Doły. Przemknęło mu przez myśl, że gdy Kruzowie już pokonają Tlaskalę, to będą mieli problem. Z zadumy wyrwał go krzyk Hussupa.

— Tutaj jest jeden. Zagrzebał się w popiół jak pierdolony kartofel!

Wywleczony ze zgliszczy staruch odziany był w żałosne resztki łąchmanów, trzymające się w kupie wspólnym wysiłkiem brudu i licznych strupów. Niczym obłąkańczy demon, błyskający białkami oczu w poczerniałej od sadzy twarzy, pasował tu, bez dwóch zdań.

Hussup twierdził, że gdy go znalazł, stary nie próbował uciekać. Niektórzy tak mieli. Robili dziwne rzeczy, nieprzewidywalne. Zwłaszcza jeżeli wszyscy ich bliscy dławili się krwią lub już zaczęli stygnąć. Tymczasem oddział Harana troszeczkę się rozochocił.

— Co z nim robimy, szefie? — zapytał Akeppo chrapliwie.

— Ja z nim pogadam, sierzancie. Musimy się dowiedzieć, gdzie zabunkrowali ziarno — mruknął barbarzyńca.

Wciąż nie znaleźli spichlerza, a głównym celem ich patroli, poza zastraszaniem Termitów, była aprowizacja armii.

Przykucnął przy starym człowieku, który oszołomiony wpatrywał się w dymiącą chatę. Zalatywało czymś dziwnym, dziadek musiał trzymać tam cały zielarski sklepik. Haran rozkaszał się.

— Mów, gdzie chowacie zbiory. Oszczędzisz sobie bólu.

Stary pokręcił głową i wpił w niego szalone, a może tylko zbyt intensywne spojrzenie niebieskich oczu. Oczu diabła.

— Witaj w domu, panie.

— O czym ty mówisz, starcze? — warknął Haran. Błękitnik nad jego głową zawtórował mu wyciągniętym, szyderczym trelem. Barbarzyńca jęknął. Nagle strasznie rozbolała go głowa.

— Nie poznajesz mnie, Lwie? Przede mną nie musisz udawać.

Haran wzdrygnął się, przestraszony, i rozejrzał, czy jego ludzie to słyszą. Na szczęście Hussup znalazł w końcu zamaskowaną ziemiankę. Żałosne zapasy wieśniaków ograniczyły się do odrobiny ziaren kukurydzy na zasiew, której nie zdążyli użyć. Dość, by przyrządzić dla wszystkich posiłek.

Odprowadził więźnia na pobocze, gdzie nie mogli ich usłyszeć. Stary mamrotał coś pod nosem, potykając się.

— Jesteś nasz, synu. Nasz. Dziecko Pogrzebanego Imperium.

— Mów, co wiesz. Wszystko — zażądał Haran.

Starzec popatrzył na niego oczami błyszczącymi jak oszlifowane przez rzekę kamyki.

— To niełatwe. To, co ukryte, się ceni. Nie pragnie się ujawniać i dzielić. Jest płocze jak dziki indyk.

— Powiedz mi, kim jestem — zażądał Haran i wyciągnął rękę. Czarownik ujął je drżącymi palcami. Przymknął oczy i zakołysał się jak liść niesiony niewidzialnym nurtem.

— Twoje ciało jest... inne. Karmiłeś się jadłem nieprzeznaczonym dla ludzi. W cieniu Głodnego Słońca spijałeś nektar złych kwiatów.

Haran wyszarpnął rękę.

— Nie dam ci nawet jednej muszelki za ten bełkot. Zachowaj go dla wieśniaków — warknął.

Każdy wiedział, że czarownicy są łasi na pieniądze. A imperialną walutę, cenne ziarna kakao i specjalne morskie muszelki, gwarowo zwane cipkami, ceniono na całym świecie.

Rozmowę przerwało wołanie Hussupa.

— Szefie, pozwól tutaj. Chyba mamy coś jeszcze.

Haran ruszył w górę zbocza. Jego ludzie ustawili się w kręgu przed wejściem do małej jaskini. Nic dziwnego, że przestali się interesować czarownikiem. Znaleźli coś znacznie lepszego. Wejście zagradzała

obszarpana i umazana sadzą młoda kobieta.

Za nią kryły się mniejsze postaci. Dzieci.

Zwalisty Otomi rechotał, od niechcienia fechtując *macuahuitlem*. Ona zastawiała się włócznią. Jak na wieśniaczkę, radziła sobie całkiem nieźle i Akeppo zaczynał się irytować. Kiedy ostrze trafiło go w stopę, olbrzym podskoczył, klnąc. Pozostali buczeli już i gwizdali. Hussup śmiał się tak, że po osmalonych policzkach pociekły mu łzy.

Haran stał jak zahipnotyzowany. Patrzył. Kobieta odgarnęła włosy z czoła i pajęczą szadź z jego serca. Nagle przypomniał sobie wszystko. Moros w nim zaskowyczał i bełkotał coś gorączkowo, wydzierając mu wiosła i ster.

Bezwiednie zrobił krok w tamtą stronę, krzywiąc usta w nieswoim uśmiechu.

Enisha. Żona i matka jego dzieci, powiernica zaniedbań i kłamstw. Powiedziała, że już nie wierzy, że wróci.

— Dość! — Haran wreszcie odzyskał głos.

Za późno.

Szczurza Śmierć skoczył i błyskawicznie znalazł się za plecami kobiety. Pchnął włócznią, trafiając ją drzewcem w plecy. Cios nie miał jej zabić, ale unieruchomić i ułatwić zabawę.

Enisha upadła. Konakocz ruszył, zasłaniając matkę.

Szczurza Śmierć wyszczerzył zęby i cofnął się z udawanym przestraczem. Szare Pasy zawyły z radości, brakowało im takiej zabawy. Szczurza Śmierć lubił żartować i miał w oddziale status niezawodnego wesołka. Chłopiec był mały, ale podniósł z ziemi kij i ruszył na dorosłego z pewnością kogoś, kto umie posługiwać się bronią. Trzepnął wesołka w ramię, a Śmierć prawie wypuścił włócznię. Zaklął szpetnie, zamierzył się na dzieciaka i stęknął, gdy lewa, skamieniała dłoń Harana zagłębiła się

w jego brzuchu.

Jego ludzie krzyknęli.

Nogi konającego zadrgały oskarżycielsko, Szare Pasy patrzyły w zdumieniu na wywleczoną z ciała towarzysza girlandę czerwonych flaków. Szczur wojownika zrejterował haniebnie, porzucając pana na pastwę losu. Szczurza Śmierć wrzeszczał, łapiąc wnętrzości śliskimi palcami jak żeglarz zwijający linę. Haran syknął zniecierpliwiony i raz-dwa połamał mu łapy. Od dawna miał wielką ochotę to zrobić.

— Wiesz, jaki jest problem ze złem?

Zakrwawiony mężczyzna nie wiedział. I nie przestawał wyć.

— Pokonuje je tylko inne zło. Ale zło przez to nigdy nie znika, rozstawia się tylko w nowych miejscach, zaraża, dotyka kolejnych istot. Teraz ja będę złem za ciebie.

— Ty skurwysynu, demony rozszarpią cię w piekle! — Szczurza Śmierć odzyskał rezon albo to ból właśnie odebrał mu rozum. Haran wyszarpał mu wnętrzości i owinał trzewia mężczyzny wokół jego szyi. Śmierć śliskimi palcami próbował zerwać pętlę.

— Już tam byłem — zamruczał wychowanek Druazzi i zacisnął pętlę.

Po wszystkim potrząsnął zlepioną czerwienią grzywą i otarł twarz. Powinien umyć włosy, krew przyciąga robactwo. Ale jeszcze nie dziś. Jego wygląd miał chyba dobry wpływ na morale. Banda wpatrywała się w niego, zmartwiała.

— Ten człowiek zakwestionował mój rozkaz. Jeżeli strzeli wam coś do głowy, to pamiętajcie o jednym. To naprawdę, naprawdę bolało.

Cofnęli się. Tylko Akeppo ryknął i zrobił krok naprzód, zaciskając ogromne kulaki. Pozostałe Szare Pasy milczały, na ich twarzach widniała groźba. Nizokan, Tikalczyk, znany z łagodnych rysów i ciętego języka, powoli pokręcił głową.

— Tak się nie godzi, *aszkatli*. Szczurza Śmierć był jednym z nas. Nie zrobił niczego złego.

— Wypełniał rozkazy króla — dodał Hussup.

Haran pchnął kobietę dalej w głąb jamy, zastawiając wejście własnym ciałem.

— Rozkazy były złe. Właśnie je zmieniam, bracia.

Hussup podrapał się w głowę. Zawsze był wierny jak pies.

— Możemy je zmienić, a jakże. Ale lepiej byłoby zmienić wodza.

Uderzyli jednocześnie, ale Haran miał wprawę w bronieniu korytarzy i grot. Bogowie świadkiem, że nie cofnął się ani o piędź. Nie chybiał i nie musiał uderzać dwa razy. Poza tym miał teraz miecz. Dwuręczna broń pozwalała stosować szerokie, tnące techniki *macuahuitlów*, zapewniając przy tym dodatkową przewagę zasięgu. Dzięki temu Haran odcinał teraz kończyny dawnych towarzyszy broni, a gdy znaleźli się zbyt blisko, zadawał im pchnięcia krótkim ostrzem ukrytym w główicy, tak że ogromny brzeszczot zamieniał się w podstępny sztylet.

Zbliżył się do perfekcji, nigdy nie walczył tak dobrze, jak tego dnia. Do jego nabytej w podziemiach dzikości doszła wytrawna technika szermiercza Morosa, którą jego przyjaciel opanował właśnie na tym, tak teraz znajomym ostrzu.

Najgroźniejszym przeciwnikiem Harana były liczby. Jeden człowiek może pokonać trzydziestu przeciwników. Teoretycznie. Może zaszlachtować ich we śnie albo dosypać im czegoś do zupy. Może dobić ich, kiedy będą związani. Niestety, historie o mistrzach miecza, walczących przeciwko całym oddziałom, najlepiej sprawdzają się w pieśni.

Po pierwszym starciu, zdziśiatkowani żołnierze cofnęli się. Byle dalej, poza szaniec z porąbanych ciał, w którym czekała Śmierć.

Sięgnęli po zatrute strzałki.

Trucizna używana w Przymierzu nie miała na celu zadawania śmierci, podobnie jak większość tradycyjnego oręża Prawdziwych Ludzi. Człowiek był w tej kulturze zbyt cenny, a śmierć w bitwie, z dala od widzów, uważano za marnotrawstwo. Nikt zdrowy na umyśle nie chciał pozbawiać się jeńców, których można torturować i zabić w sposób użyteczny, kulturalny i miły dla oka.

Zamiast tego paraliżowała układ nerwowy.

Gdy posłali w niego chmurę dwudziestu pocisków, Haran zakręcił się, tnąc mieczem i roztrzając strzałki, które spadały jak martwe ważki. Drugą ręką dźwignął truchło Szczej Śmierci i zasłonił się nim. Nie miał tarczy, ale nawet ona na wiele by się nie zdała. Wystarczyło jedno trafienie w stopę, by trucizna zrobiła swoje.

Potem ruszyli oni.

Teoretycznie barbarzyńca powinien paść od razu. Na razie spowolnił tylko wściekłe ataki. Dla przeciwników nie było to wielką pociechą. Sparszywiła pantera wciąż jest groźna. Spowolniony Haran i tak pozostawał wystarczająco szybki. W dodatku cofał się w głąb jaskini. W mrok, który nie stanowił dla niego przeszkody.

Poruszał się coraz wolniej, toksyna unieruchamiała mięśnie. Atakujących jednak ubywało, z każdym ciosem skrwawionego ostrza Szare Pasy uboższe były o jednego mordercę. Dawny dowódca oczekiwał na nich w ciemności jak ostateczna, zbijająca złudzenia zagadka.

Potem padł. W tym równaniu wystąpić mógł tylko jeden rezultat.

Przegrał.

Rozdział 18

Kiedy nadejdzie śmierć, będziesz musiał zostawić wszystko, cokolwiek nagromadziłeś: bogactwo, pożywienie, bydło, rzeczy, konie i spadek. Będzie to jak przebudzenie ze snu, w którym odnalazłeś syna.

Nagardżuna, *Wiersze o Środkowej Drodze*

W ciemnościach, w które się Haran zapadł, Moros znów go przyzywał. Błagał. Krzyczał o swojej rodzinie, o Enishy i płaczących dzieciach, Konakoczu i malutkiej Minotli. O zjawiskowej kobiecie na tronie z turkusów, która wirowała w tańcu pod kopułą świątyni, jakby dosiadała błękitnika wielkiego jak kondor. Lew Labiryntu ujrzał znajomą, jasnoskórą twarz z ostrymi rysami i ptasim, wydatnym nosem. To był on, przyjaciel Morosa. Haran Bękart, Haran Białoskóry.

— Tym jesteś i tym musisz być. Pochodzisz od dwóch możliwych plemion, przegranych i wydziedziczonych. Połowa tego wystarczyłaby, żeby przynieść mężczyźnie pecha. A teraz musisz być mną, bo nie mam nikogo innego. Nazywać się będziesz Nashaktu'Gi'Nar, Ten, Który Niesie Trzy Klęski — cierpliwie wyjaśniał Moros.

Barbarzyńca załkał jak mała dziewczynka. Nie ma nic bardziej przerażającego niż spojrzeć na siebie z zewnątrz. W takich chwilach nie pomogą ci siła ani miecze wykute z żelaza.

Wspomnienia przesuwały się przed nim jak strony kartkowanej księgi.

Wychodził z Pęcherzem i Honem nad rzekę, smażył się w słońcu na

niewolniczym targu. Żegnał spojrzeniem twarz przybranego ojca, kołyszącą się na ostrzu włóczni jak owoc na zakrwawionej łodydze. Dygotał ze strachu w Dołach, tłumiąc i odsuwając bluźniercze odgłosy i kształty, mordercze dla każdej duszy, która jeszcze usiłuje być duszą człowieka.

Stał na werandzie starego domu, otoczony przez wrogi, posępny tłum. Jego umysł otworzył się w deszczu kamieni i klątw. Sąsiedzi szykowali na niego pochodnie.

Pozdrowił ich, wstępując w otchłań. Zanurzył się w tym dziwnym świetle, które zwodzi topielców, czasami pojawiając się na dnie. Czekał tam człowiek, odarty i odsłonięty, owoc wyrwany z łupiny. Wtedy pojawił. On nie umarł tam, na ofiarnym placu. Był nim, a on był Morosem. Od czasu Ofiary Kamienia dzielili tę samą skórę.

A potem rozsypał się.

I odzyskał przytomność.

Obudził się, wyjął z bólu. Przyzywało go płonące na niebie słońce. Jasność, której promień przecinał ciężkie opary i chmury. Coś się w nim przebudziło, coś w pamięci, ale przeszłość musiała poczekać. Nashaktu'Gi'Nar pragnął żyć. Tuman mroku, który zaległ nad nim od czasu bitwy w Dolinie Czarnego Psa, rozstał się i Haran, syn Pęcherza, z nadzieją popatrzył w przyszłość.

Podwładni przytwierdzili go do drewnianego pała, co było uprzejmością z ich strony, zważywszy, że mogli go też nań nabić, w ramach uświęconej tradycji nomadów. Mimo to od razu zorientował się, że odwołali się do innego szacownego zwyczaju. Przez mięśnie jego ramion i torsu przewiercono cienkie drewniane paliki, połączone sznurami z krótszą, poprzeczną belką. To one utrzymywały go w pionie i, z racji palącego bólu, nie pozwalały uciec w omdlenie. Wychowanek Druazzi słyszał, że plemiona z północnych równin naznaczały w ten sposób młodzież bliznami i oswajały

ją z bólem podczas obrzędu przejścia w dorosłość. Tkanki inicjowanych powoli ustępowały pod swoim własnym ciężarem, przecinane palikami. W jego przypadku nie skończy się pewnie na bliznach. Gdy ciało po kilku dniach puści i ustąpią opuchnięte ścięgna, Haran będzie wolny – i rozerwany na sztuki.

Pomyślał, że zabije go pewnie pragnienie, przy tym upale głód nie miał z nim żadnych szans. Błysk wstającego na niebie słońca oślepił go, ale także otworzył mu oczy. Miejsce kaźni znajdowało się między czarnymi, gładkimi jak lód skałami, oszlifowanymi przez dawną eksplozję. Gdzieś blisko musiała wylądować Planeta, plujący ogniem demon wylęgły z chaosu Klątwy.

Otomi z równin nazywali taką kaźń Domem Luster. Powiadali, że sami nie plamią rąk krwią skazanego, bo wszystkim zajmuje się Ojciec Słońce. Łaskawcy. Haran uświadomił sobie, że śmierć będzie stosunkowo szybka, nadejdzie, gdy słońce stanie wysoko na niebie. W południe usmaży się żywcem. Ale jakoś go to nie pocieszyło.

Otomi zazwyczaj odcinali ofiarom powieki, lubili, jak oczy kipiały im w czaszkach. Mówili, że ktoś zyskał „słoneczne oko”. Tym razem było inaczej, jego ludziom zabrakło skrupulatności. Haran wciąż mógł opuścić powieki. To smutne, gdy plemienna tradycja odchodzi na naszych oczach.

Potem zobaczył Eniszę. Wisiała naprzeciw niego, z bezwładnie opadłą głową. Nie widział dzieci. Nie chciał widzieć.

Krzyczał, ale nie miało to sensu. Sępy i kruki szybko przestawały się bać. Poza ptaszyskami i żoną przyjaciela został sam. Jego podkomendni odeszli.

Miał szczęście, że nie zostawili przy nim szczura, uwiązanego razem z koszykiem do brzucha.

Słońce paliło cały dzień i Haran kilkakrotnie tracił przytomność. Drugiego dnia nad głową miał już tylko cień, kontury zgasłego słońca. Jakby ktoś wypił niebo przez słomkę, jak rozlaną kałużę wilgoci, zostawiając

jedynie gorąc.

Pić...

Skóra obłaziła z niego płatami, pęcherze pękały jeden za drugim. Majaczył. Nieliczne chmury migotały błyskami światła, podobnie jak pulsująca pod powiekami czerwień. Stopniowo wyłonił się z nich jakiś kształt.

Gdy z Tennokiem włączył się po Zaułku Filozofów, słyszał coś niecoś o takich sprawach.

Ni'mittar, „wewnętrzny kształt”, nazywany był także Pieczęcią Skupienia. Czarownicy wpatrywali się w te migoczące obrazy podczas głębokich medytacji. Nazywali je znakiem umysłu. Odbiciem wewnętrznego światła, które pulsuje w nas pod naskórkiem emocji i myśli, jak lawa pod skorupą żużlu. Moros, jego drugi przybrany ojciec, też pokazywał mu takie techniki.

Osadzanie świadomości w oddechu, do momentu, w którym umysł nie przeniesie się w odległe, bezpieczne miejsce. Przydatne, jeżeli nie chciałeś oszaleć w zagruzowanym chodniku, pogrzebany w dławiących czeluściach ziemi, gdy napierają na ciebie skały i strach. Celem skupienia była przesycona błogością przestrzeń, wyzwolenie i światło. Uskrzydlenie własnego umysłu, wyzwolenie go z kajdan lęku.

Haran oczywiście zapytał, dlaczego nikt poza skazańcami i paroma kapłanami tego nie robi? Skoro raj i wolność czekają na wyciągnięcie oddechu? Moros zaśmiał się i potarł bolące kolana. Spróbuj, to sam zobaczysz. Haran spróbował i szybko uzyskał odpowiedź. To było potwornie trudne. Przypominało bieg po wertepach z kubkiem wody postawionym na głowie. Wody, którą w dodatku musiałeś sobie wyobrazić. Nigdy nie doczekał się zadowolających rezultatów tej praktyki, może dlatego, że zawsze odkopywali go szybciej. A może każdy znajdował w sobie to, czym

naprawdę był? Podejrzewał, że gdyby koncentrował się naprawdę, naprawdę długo, powiedzmy przez parę dziesiątków lat, w końcu i tak ujrzałby okiem duszy jakiś bezwartościowy odpad.

Zamrugał i skupił się na oddechu. Wiedział, że strumień myśli doprowadzi go najwyżej do wspomniania bzdur lub uzalania się nad sobą. Tak nie pokona strachu. Na niebie znowu zamajaczyła twarz, jej rysy dostrzegął także w splekanej ziemi. Oczywiście, spoglądał na niego Moros. Może bardziej z profilu, generale? Teraz wygląda pan naprawdę bohatersko. Prawie jak Lew Labiryntu, a nie obszarpaniec z Dołów. I pomyśleć, że chłopak nawet nie wiedział, z kim ma zaszczyt.

Haran nie był pełnym idiotą. Miał świadomość tego, że w uwalnianiu się duszy od strachu najbardziej przeszkadza sam strach. Jego dusza nasiąkała bólem, przemocą i krwią, okrucieństwem i nienawiścią, tym balastem z czarnego ołowiu. Świnie nie latają. Chciał już dać za wygraną i zdechnąć, lecz nagle poczuł, jak czyjaś obecność wyciąga go z bagna. Rozbłyska pod powiekami. Błękit. Kula światła, łodyga i kielich. Ktoś szedł w górę, rozkwitał i rósł, odpychając granice bólu. Ktoś czuł chłód, ktoś słyszał odległy śmiech. Ktoś żył.

Ze schronienia wydobył go jęk.

Zapomniał już, że nie umiera tu sam. Wisząca dwie strzały od niego Enisha wciąż była przytomna. Haran zdziwił się na jej widok. Zakładał, że kobieta uwinie się szybciej. Inaczej niż jego, Szare Pasy przywiązały ją tylko do słupa, nie bawiąc się w wymyślniejsze tortury. Widać nie zalaża im tak bardzo za skórę.

Miała wyraziste rysy, teraz wyostrome bólem. Za życia nigdy nie umiał jej powiedzieć, jak bardzo jest piękna. Patrzyła uważnie, pytająco. W kącikach oczu miała owady i łzy. Szare Pasy wybrały drzewa blisko siebie, specjalnie dobrały wysokość. Mieli się widzieć nawzajem, jak

umierają.

Kobieta otworzyła oczy i splunęła mu w twarz.

Jej ślina była sucha i twarda jak żwir.

„Nie ma za co”.

Na gałęzi zakwilił błękitnik.

Haran unosi głowę, zawieszoną na płonących postronkach bólu. Patrzy na żonę.

— To ja, Szar. Znów się do ciebie spóźniłem.

— O czym ty mówisz? I skąd znasz mojego męża?

— Zabiłem go. Nosilem jego skórę — szepcze Haran. Wyszłe gardło boli, gdy mówi, ale czuje, że zasługuje na każdą drobinę tego bólu. — Pokochałaś go, bo cię rozśmieszał. Sprawiał, że było ci lżej. Poeci zwykle nie doceniają tego aspektu miłości. Byłaś piękna i słyszałaś ten komplement wiele razy. On jeden ci o tym nie mówił. To była przyjemna odmiana.

Enisha zadrzała i uśmiechnęła się słabo. Przez moment bał się, że jej spuchnięta twarz pęknie.

— Nie znalazł słów, Enisha. Byłaś dla niego tak piękna, że nigdy nie znalazł słów.

Zaczęła płakać. Jej powieki zatrzepotały. Gasła.

Szar-Haran przełknął, kalecząc zaschnięte gardło.

— Przepraszam cię. Za wszystko.

Rozdział 19

Ślepa wiara jest dobra dla głupców.

Ślepa niewiara jest gorsza.

Arakocz, Kodeks Kolibra

Citlali zajmowała się dzieckiem. Oboje unosili się w wilgotnej, bezkresnej macicy Środkowia. Wciąż czuła się nieswojo w tym miejscu, które nie było miejscem, w czasie, który nie był czasem. Z dzieckiem, które nazywało się *doggen*.

Wiedziała, że jej ciało rzuca się teraz po mokrej od potu pościeli, wstrząsane dreszczami gorączki, wyczerpane połogiem, po porodzie, którego podobno nie było... A przecież to dzięki jej całkowicie realnej ciąży i dziecku, które spłodziła z Haranem, *doggen* mógł teraz nawiedzać świat.

Podpłynął do niej przez czerń, obcy i niebezpieczny jak rekin. Uśmiechał się, szczęśliwy i syty, zadowolony z obecności matki. Citlali usiłowała nie wzdrygać się i nie odwracać wzroku, ale odrzucały ją jego spiczaste ząbki. Zbyt liczne i na pewno zbyt ostre, wyglądały jak kolce na liściu.

Próbowała jakoś uporządkować, ułożyć swoje sprzeczne uczucia.

Wiedziała, że należy do Środkowia, tajemniczej krainy snów, która pojawiła się tu w czasach Klątwy. Co więcej, twierdził, że i Citlali powinna to miejsce pamiętać. Dawał wyraz rozczarowaniu, swiergocąc w jej duszy jak zimny świerszcz.

Zapominacie. Znicie i nie pamiętacie. Nie pamiętacie Przed – Światło.

Ani Potem – Światło. Byłaś w Tu. Ale nie pamiętasz.

Obudziło ją jaskrawe światło słoneczne. Citlali, rozbudzona, usiadła na łóżku. Deregatli skończyła rozsuwać kotary i popatrzyła na nią z matczynym uśmiechem.

— Spałaś trzynaście dni. Koniecznie musisz coś zjeść.

— Gdzie on jest? Co z nim zrobiłaś? — Citlali chwyciła opiekunkę za silne, stwardniałe od ćwiczeń przedramię.

Jej synek znikł. Została po nim tylko słaba woń mleka i zbutwiałego drewna. I ból pokąsanych piersi.

— Bez obaw. Twój *doggen* jest teraz częścią ciebie, choć mieszka daleko stąd. Ale musisz mu na to pozwolić. Zadzierzgnąć i utrwalić Więź.

— Nie wiem jak — wyszeptała Citlali bezradnie.

Była potwornie zmęczona, wydrążona, pusta.

Starsza kobieta uspokajająco dotknęła jej ramienia.

— Właśnie po to tutaj jestem, kochanie. By nauczyć cię wszystkiego, co wiem. Od czego są przyjaciółki?

* * *

Następnego ranka do jej izby zawitała An'Tai. Służąca zamiotła pokój i poprawiła stos mat, składający się na posłanie Citlali. Potem wyszła. Wróciła, uginając się pod ciężarem tacy z parującym, kamionkowym naczyniem. Citlali pokręciła głową.

— Zabierz to — zaprotestowała słabym głosem.

— Kilka dni temu rodziłaś. To połów, a nie zawody w poszczeniu. Musisz jeść — zganiła ją An'Tai.

Na Citlali nie zrobiło to większego wrażenia.

— Jeszcze powiedz, że to dla maleństwa — prychnęła.

An'Tai spojrzała na nią uważnie. A Citlali zaczęła mówić. Jakby słowa

mogły jej przynieść ulgę:

— Jego tu nie ma, rozumiesz? Mówią, że znów je zobaczę, ale czuję się, jakbym urodziła kamień. Albo ducha.

An'Tai milczała. Stała nad nią jak nadzorca, czekając, aż Citlali posłusznie wysiorbie zupę. Po posiłku poczuła się odrobinę lepiej.

— I co? Powinam ci teraz dziękować? Z pełnym brzuchem wszystko wygląda inaczej, ha, ha — śmiech Citlali załamał się. — Jeszcze powiedz, że to wszystko ma sens — szepnęła.

Spojrzały na siebie i twarde oblicze An'Tai złagodniało.

— Wiem, co czujesz — powiedziała i delikatnie dotknęła jej włosów.

Citlali zeszywniała. Nic nie upokarzało jej bardziej niż litość.

— Naprawdę? Na pewno masz gromadkę dzieciaków — burknęła zaczepnie.

An'Tai zabrała z jej rąk pustą miskę.

— Kiedyś miałam — odpowiedziała spokojnie.

— Już dorosły? No tak, ty masz pewnie sto lat. I tuzin szczęśliwych wnucząt — w głosie Citlali zabrzmiała rezygnacja.

Twarz An'Tai była jak dobrze wyprawiona skóra, znużona, poszatkowana przez zmarszczki. Nie odwróciła spojrzenia.

— Moje dzieci umarły. Wszystkie. Kapłani powiedzieli, że to szara choroba.

— Przepraszam. Nie wiedziałam... — wybełkotała Citlali, czując, że twarz jej płonie.

An'Tai obdarzyła ją wyblakłym, znużonym uśmiechem.

— To także jest życie, dziewczyno. Gorycz. I nie ufaj nikomu, kto mówi, że potrafi zamienić ją w miód.

* * *

Gdy tylko odrobinę wróciły jej siły, Citlali wznowiła przerwane treningi. Na szczęście sesje narkotyczne szybko dobiegły końca. Nauczycielka stwierdziła, że w ten sposób Citlali niczego się już nie uczy. Pora na samodzielne pływanie, bez tratwy ani nadmuchanego pęcherza, powiedziała. Pora na nurkowanie. Teraz jej zadaniem było skupianie umysłu na dowolnie wybranym przedmiocie, który w jej umyśle silnie kojarzył się z *doggenem*.

Deregatli nazywała to akrobatyką umysłu. Należało się skupić na jednym motywie, który katapultował umysł do Środkowia. Mógł to być obraz lub dźwięk, wspomnienie albo amulet. Coś, co łączyła z *doggenem*.

Citlali kilkakrotnie udało się na chwilę przywołać go, ale Więź była jeszcze krucha. Dziewczyna nie poruszała się pewnie w Środkowiu, a *doggen* nie reagował na jej polecenia i zdawał się na coś czekać. Ale nie atakował jej i nie próbował porwać w odmęty Środkowia, choć pechowym adeptom przytrafiały się różne wypadki. *Doggeny* były kapryśnym żywiołem i chętnie bawiły się ludźmi. Według Matek, przypominały temperamentem psotne i rozbrykane delfiny, które potrafią uratować morskich rozbitków, ale czasami ich topią.

Deregatli uznała, że to musi na razie wystarczyć. Prawdziwa Więź zrodzi się z walki i krwi, powiedziała.

Citlali nie mogła zdecydować, czy lubi swoją mistrzynię, czy raczej serdecznie jej nienawidzi. W przeciwieństwie do innych Matek, których doskonałe maniery zdawały się skrywać podstępne i dwulicowe intencje, Deregatli nie grała z nią w gierki.

Otwarcie mówiła Citlali, co myśli o jej postępach, i choć przeważnie zmywała jej głowę, dziewczyna ceniła jej szczerość. Deregatli była prostolinijna. Ceniła biegłość w walce i prowadzeniu *doggenów* i nie rozpraszała się. Niestety, wiązała się z tym też arogancja i buta oraz obsesyjne dążenie do mistrzostwa.

Dziewczyna zrozumiała to, gdy wznowiły przerwany trening szermierki. Według mistrzyni, Citlali powinna zapomnieć o wszystkim, czego nauczyły ją Oczy.

— Tysiąc Oczu kładzie nacisk na prostotę. Widzisz przed sobą cele i musisz wyeliminować je możliwie szybko — wyjaśniła Deregatli, wskazując na trzy manekiny z wypchanej bawełny. — Wyrzeknijcie się wszelkiej finezji. Uczyli cię, że w prawdziwej walce wróg nigdy nie stoi w miejscu. Krótkie, możliwie szybkie techniki. Liczy się tylko skuteczność. Dźgasz tu i tu, i tu.

Citlali pokiwała głową. Oczy zakładały, że elitarni, uzbrojeni po zęby wojownicy, strzegący ich celów, zawsze będą lepszymi szermierzami niż skrytobójcy i szpiedzy. Przewagę miało zapewnić agentowi zaskoczenie.

— Problem polega na tym, że skostniała nauka zaczyna zawadzać. Bo gdy staje się powszechnie znana, wrogowie wiedzą, czego się po nas spodziewać — tłumaczyła mistrzyni.

Citlali uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

— Czyli co? Mam być niezdarna i wolna? Zadawać obszerne, szerokie cięcia?

— Musisz improwizować. Czuć. Zaskoczyć ich czymś niepojętym. — Mistrzyni dobyła krótkiego miecza i zademonstrowała technikę. A raczej skomplikowany, mocno akrobatyczny układ, przypominający kroki jakiegoś dziwnego tańca.

Tak mogą wyglądać zaloty demonów, pomyślała dziewczyna, gdy jej nauczycielka obróciła się w powietrzu, wyprowadzając nieprawdopodobny, łamiący reguły poruszania się cios mieczem, kopiąc jednocześnie sąsiedni manekin w głowę.

Z chwilą gdy Deregatli opadła na ziemię, z brzucha ostatniej kukły wysypały się rozprute pakuły. Citlali pokręciła głową.

— Może jeszcze piruet tu zrobisz — prychnęła.

— Może być nawet piruet. W przeciwieństwie do przemykającego się szpiega, ty masz czas — wyjaśniła Deregatli, gdy już złapała oddech. Jej nagie, muskularne ramiona lśniły od potu. — Tak działa *doggen*, taka czas i zapewnia przewagę. Nie wiemy, jak to dokładnie przebiega. Czy na moment zabiera ofiary do siebie, czy wpuszcza Środkowie tutaj. W ogóle niewiele o nich wiemy. W każdym razie musisz wiedzieć, że igrają z przestrzenią i czasem. A to daje ci przewagę. Twoi wrogowie na kilka sekund zmartwieją, zamienią się w bryły lodu. Łatwe, nieruchome cele. I tak ich zabijesz, to będzie wręcz banalnie proste. Co jeszcze możesz dzięki temu osiągnąć?

Citlali zamyśliła się.

— Strach. Mogę wzbudzić strach.

Widziała to teraz wyraźnie. Wyłupione oczy i rozprute brzuchy... wrogowie łapiący girlandy własnych wnętrzności, którymi przystroiła ich skamieniałe, zastygłe w czasie sylwetki. Ich kompani, którzy z krzykiem ciskają bronią o ziemię, rzucają się do ucieczki. Jakby twój miecz był pędzlem. Masz pięć oddechów na odmalowanie fresku. Czy wymyśliłaś już tytuł?

Zgroza.

Deregatli uśmiechnęła się.

— Właśnie. Dobra Matka nie jest dyskretną, skupioną na celu skrytobójczynią. Wręcz przeciwnie. Cenimy ostentację, poszukiwania i skandal. Od teraz musisz się stać artystką.

* * *

Po miesiącu Citlali przeszła w końcu swój trening, a raczej to trening przeszedł, przetoczył się przez nią.

Umysł miała lekki i czysty, ale nie była spokojna. Panująca w sercu

dziewczyny pustka przypominała wymiecione, splądrowane przez włamywaczy domostwo. Złodzieje szukali przede wszystkim emocji i wspomnień. Reszta ich nie obchodziła.

Teoretycznie Citlali znała już dziesiątki sposobów przywoływania i zjednywania *doggena* oraz chronienia swojego pupila przed mistycznymi pasożytami ze Środkowia. Ale musiała za to zapłacić. Szkolenie Matek, w połączeniu z morderczym kursem Tysiąca Oczu, przemeblowało jej umysł. Przechował skomplikowane sekwencje szermiercze i receptury trucizn pozyskiwanych z roślin, płazów i organów rozrodczych endemicznych istot ze światów zbadanych i legendarnych. Potrafiła narysować mapę wrażliwych punktów ludzkiego ciała, znajdującą zastosowanie w siostrzanych arkanach miłości i śmierci. Pamiętała, jak nazywał się szósty władca z dynastii aszartotlańskiej, z uwzględnieniem rodowej secesji i schizmy, oraz jak plemiona Maguczów przyrządzają specjalne świąteczne danie, podpiekaną wątrobę jelenia.

Nie pamiętała jednak, w jaki sposób jej mama uśmiechała się do niej co rano, gdy jadły śniadanie, ani z jak bezwarunkową czułością na nią patrzyła. Nawet własne imię wydawało jej się czymś w rodzaju umowy, żartu, na który się wszyscy zgodzili, ale w każdej chwili mogą wybuchnąć śmiechem i zakończyć tę szopkę. Gdy ktoś zwracał się do niej w ten sposób, musiała zaciskać usta.

Mimo to końcowy egzamin zdała z najlepszą lokatą. Z pobytu w Świątyni wyniosła dogłębną znajomość zwyczajów swojego *doggena* oraz mapę Wymiarostanów, do których mógł dać jej dostęp.

Dla wiedzy Matek, którą posiadała, każdy kapłan dałby się cztery razy obdrzeć ze skóry, ale ona miała nieprzyjemne przeczucie, że dała im więcej.

To, co z niej zostało, stało teraz w gabinecie szefa Tysiąca Oczu, pod czujnym wzrokiem jego przybocznej straży. Zakon Matek tradycyjnie

delegował swoje adeptki do pomocy szpiegom imperialnym. To polityka, oznajmiła jej sucho Deregatli. Wysługiwanie się Oczom zapewnia Zakonowi Matek ochronę polityczną. W przeciwnym razie ich sztuka, wyrastająca z magii czasów Klątwy, niechybnie zostałaby napiętnowana jako bezbożne bluźnierstwo.

Citlali nie miała pojęcia, dlaczego dostojnik postanowił przyjąć ją osobiście, spodziewała się, że będzie pracować z Masztlą. Senny staruszek Chimalpopoka przyglądał jej się spod zwodniczo zmrużonych powiek, ukryty za kamuflażem uśmiechu. Kiedy podsunął jej kubek z yerba mate, przełknęła ślinę. Na szyi jeszcze nie czuła garoty, lecz wiedziała, że na tym świecie niewiele jest bardziej zabójczych miejsc.

— Cofnij się — warknął barczysty ochroniarz w skórzanej zbroi nabijanej guzami z krzemienia.

Przypominał jej Murroka, może po zlikwidowaniu określonej liczby celów wszyscy wyglądają tak samo. Jakby kapała z nich ciemność. Na głowie miał hełm, który wyglądał na wyrzeźbiony ze skały, Citlali nazwała go w myślach Kamiennym Łbem.

Przesunęła się posłusznie. Ci ludzie należeli do Żądeł, specjalnej formacji odpowiadającej za ochronę kierownictwa Tysiąca Oczu. Elita elit.

— Jeszcze — nie dawał za wygraną Kamienny.

Nie chronił zresztą staruszka sam. Jego ludzie napięli się do skoku, ale Citlali podejrzewała, że zachowywali się tak zawsze, także w obecności swoich kochanek i żon. Taka praca, często okupiona przykrymi niedogodnościami w alkowie. Z własnego doświadczenia wiedziała, że twardość lakonicznych twardzieli najczęściej kończy się wtedy, kiedy dobierasz się im do spodni.

Zdziwiło ją tylko, że Chimalpopoka przywołał aż cztery Żądła. To dużo jak na jedną skołowaną dziewczynę.

— Potrafisz przyzywać *doggena*?

— Tak jest, czcigodny.

— Pytam, bo moje źródła twierdzą, że wiele Matek po opuszczeniu szkolenia ma z tym kłopoty. Podobno poza murami świątyni łatwo się rozpraszacie, a mi zależy na niezawodności.

— Mogę go przyzwać choćby zaraz. — Citlali postarała się, by w jej głosie zabrzmiało więcej pewności, niż jej miała.

Powietrze w komnacie ochłodziło się. Citlali przygryzła wargi i dla niepoznaki wbiła wzrok w sufit. Słaby pomysł, wisiał tam hak do tortur.

Wielkiego wyboru nie miała. Przeciwną ścianę gabinetu zdobiła znakomicie wyprawiona ludzka skóra, powieszona tam zapewne z uwagi na kunsztowny, błękitny tatuaż z urzetu, znaczący pierś, ramiona i barki. Szaman koczowników, pomyślała.

— Chcesz przywołać *doggena* tutaj? A może od razu wpuścisz do nas głodnego jaguara? — zapytał Chimalpopoka, wachlując się od niechcenia.

— Przy mnie nic wam nie grozi, panie — odparła Citlali cicho.

Pogroził jej tłustym palcem.

— Daruj sobie tytuły, wystarczy Chim. Kontrolujesz go?

— Z całym szacunkiem... w przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj. Niekontrolowany *doggen* szybko przerywa Więź.

— Przy okazji rozrywając rodzica. Czytałem raporty. Śmiertelność jest bardzo wysoka. Wśród Matek, bo oswobodzone *doggeny* znikają. Badacze twierdzą, że w uczuciach jego i opiekunki nienawiść i miłość splatają się w jeden węzeł. Sam trening nieuchronnie wzbudza w *doggenie* nienawiść, którą trzeba równoważyć miłością. Ale co mężczyzna może o tym wiedzieć.

Chim w zamyśleniu potarł okrągły podbródek. Był miękki i delikatny, podobnie jak jego właściciel. Ale okrągłe, ukryte za zmarszczkami uśmiechu oczka patrzyły na nią twardo.

— Wysyłam cię na misję, Citlali. Od tej pory nie kontaktujesz się z nikim.

— A Masztla? — Dziewczyna poczuła na karku sygnał ostrzegawczy.

Jej *doggen* zakwilił, domagając się zgody na odczyt umysłu starca. Odmówiła. Wiedziała, że żaden mężczyzna nie może trzymać *doggena*, ale Chimalpopoka nie był zwyczajnym człowiekiem. Zwyczajny człowiek nie przeżyłby trzech *tlatoanich*.

— Nie widzę związku, kochanie — głos szefa szpiegów był cierpliwy i emanował spokojem.

Citlali zaczęła się naprawdę bać.

— Zdawało mi się, że Masztla wie o wszystkich aktywnych Matkach. A także koordynuje ich misje. — Uważnie sondowała oblicze starca. Równie dobrze mogłaby sondować ocean.

— Wolałem go nie kłopotać. Twój trening odbył się innym torem. Indywidualnym. O tym, że opuściłaś świątynię, wiem tylko ja. I tak ma pozostać. Rozumiesz?

Zrozumiała. O jej śmierci też nikt się nie dowie. To ostrzeżenie.

Spojrzała na eskortę Chimalpopoki, która przyglądała im się z obojętnymi, śmiertelnie znudzonymi minami. Znała tę profesjonalną pozę, wybory posągu roku. Jakim cudem stary pokładał w nich taką ufność? Właśnie wyjawił jej przy świadkach, że nie ufa swojemu zastępcy, którego popierała przynajmniej połowa Oczu. Był głupcem? Czuł się zbyt pewnie?

Chimalpopoka wyłowił jej spojrzenie jak niedźwiedź wyłuskuje łośosia z fal. Uśmiechnął się sympatycznie. Citlali zakłęła w myślach. Nie ufała mu.

— Dlaczego odsuwasz od sprawy Masztłę?

Musiała wiedzieć. Jeżeli jej mentor popadł w niełaskę... Nie mogła pozwolić, by pociągnął ją za sobą.

— Powiedzmy, że za bardzo miesza się w politykę.

— Popiera czcigodnego Szurukana — dopowiedziała Citlali cicho.
Staruszek parsknął.

— Po prostu Szurukana. Darujmy sobie tytuły. Człowieka, który z powodu obsesji władzy próbuje podpalić kraj.

— Wielu sądzi, że Quinatzin robi to samo.

— A co ty sądzisz, moje dziecko?

— Ja nie jestem od sądenia, panie.

— Racja. Jesteś od czegoś zupełnie innego. Spotkałaś już kiedyś Żądła?

Citlali pokręciła głową. Żądła były wewnętrznym wywiadem Tysiąca Oczu, formacją tak zakonspirowaną, że aż legendarną. O ich kunszcie w mordowaniu krążyły legendy. Staruszek klasnął w pulchne, różowe dłonie. Uśmiechał się pogodnie.

Mrugnięcie powieki później dziewczynę otaczał już kordon uzbrojonych Żadeł.

Poruszali się z nonszalancją drapieżników, ich ciała wibrowały. Dwaj trzymali w rękach naciągnięte, gotowe do strzału kusze – kolejny przykład zakazanego importu.

Citlali zdążyła tylko stanąć plecami do rozciągniętej na ścianie skóry, która musnęła ją gładko. Może to była kobieta? Posłała spojrzenie Chimalpopoce, który zrobił kapryśną minę, wypychając policzek językiem.

— Zabijcie ją. Popatrzę sobie, jak tańczy — rozkazał strażnikom.

— A ty... — jego wzrok wreszcie powędrował do Citlali — ... lepiej przyzwij swojego *doggena*.

* * *

Gdy było już po wszystkim, dziewczyna oparła skąpane w szkarłacie łokcie o biurko szefa Tysiąca Oczu. Wyglądała jak kobiety pustyni, które zdobią swe ciała henną. Otaczał ją wianuszek trupów. Powietrze pachniało

ozonem, a jej *doggen* pożywiał się, mlaszcząc. Stary człowiek pokiwał głową z namysłem i zrozumieniem.

— No i pięknie. A tak się martwiłaś o świadków.

Citlali zakłęła, otrząsając się ze Środkowia jak psiak, który wyszedł z kanału. Owiała ją słaba woń kwiatów, zapach przywleczony stamtąd.

Zmysły człowieka nie pamiętały zbyt wiele ze środkowego pomiędzy. Citlali wyłapywała zapachy.

— Gadaj. Używasz mnie do waszych wewnętrznych czystek? Wiosenne trzebieenie Żądeł? Po co to przedstawienie?

— Po co? Właśnie dostałaś robotę.

— Zabójczyni?

— Nie, dziewicy. A co myślałaś?

— Kto to jest? — Szkarłat sączył się, kapał na blat. Citlali opuściła już Środkowie, lecz przezornie pozostawiła tam fragment siebie, jak stopę wciśniętą między framugę a drzwi. Być może przyjdzie jej szybko uciekać.

Chimalpopoka obserwował ją, ukryty za swoją pomarszczoną maską. Była pewna, że pod ręką ma kolec z trucizną, a za drzwiami kolejne komando Żądeł.

Nagle przypomniała jej się matka. Plany. Kysa też zawsze wyglądała, jakby myślała trzy ruchy do przodu. Zawsze wpatrzona w horyzont, nigdy w kurz pod nogami. Posiłki upływały w milczeniu, nieliczne rozmowy były rzeczowe i oschłe niczym odprawa przed bitwą. Uśmiechy, objęcia i żarty ściśle reglamentowano i obliczono na efekt. Kwatermistrz wydawał je od święta.

Odetchnęła głęboko, osadzając wydobyte wspomnienie na miejscu, i wypuściła powietrze.

— Powiesz mi, kogo mam zabić?

— Chodzi o pewnego kapłana.

Status przyszłej ofiary nie zaskoczył Citali. W obecnej konfiguracji politycznej kapłaństwo stało się zawodem podwyższonego ryzyka.

— Gdzie go znajdę?

— O, to nie będzie trudne. Na pewno każdy wskaże ci do niego drogę. Jest zwierzchnikiem Czerwonej Świątyni.

Rozdział 20

*Dawca Życia zwodzi nas!
Idziecie tylko za snami,
Wy, nasi przyjaciele!
Powiadają, że nasze serca wierzą,
Tak naprawdę są one zwodzone.*
Poezja aztecka

Śmierć okazała się dla Harana tak samo przeschacowana jak życie. Zawracanie głowy. Tyle gadania o tajemnicy, raju kolibrów i spotkaniu z bogami, a tu nic. Podobnie jak Kruzowie, Druazzi wierzyli, że wojownik staje się po śmierci kolibrem i przez wieczność spija z kwiatów nektar niebiańskiej rozkoszy. Haran wolałby coś bardziej namacalnego. Kobiety, żarcie, jakieś zajęcie dla zabicia czasu. Na przykład stolarka, dłubanie w drewnie przez tysiąc eonów, ale z chłodnym powiewem na twarzy. Może w górach, w nasyconym dniem zmierzchu, tak, by obok zaśpiewał mu czasem błękitnik. A nie to, co coraz wyraźniej przeczuwał.

Nic.

Nie zamierzał umierać w strachu. Co to, to nie. Zaczął kołysać umysłem, osadzać go w obolałym, słabnącym oddechu. Poparzone ciało zawyło, ale zignorował je. Każdy łyk rozgrzanego powietrza palił, ale nawet ten ogień miał rytm. Powtarzalny i posuwisty, jakby ciałem zawiadywała muzyka. Tak. W skupieniu na detalach tego codziennego, przeoczonego misterium

ujawniała się unikatowość i zmienność każdej sekundy trwania.

Roześmiał się skrzekliwym, ochrypłym skowytem. Był wolny. Próbował przekazać dobrą nowinę Enishy, ale ona nie chciała słuchać. Śmiech Harana uniósł się wyżej, napięty jak struny szaleństwa, które cięły i rozrywały mu jaźń.

Siedzący na głowie kobiety sęp przełknął i posłał mu surowe spojrzenie. Musiał się wczepiać mocno szponami, większość jego siedziska stanowiła już naga czaszka, gładka i śliska od krwi jak marmurowa kopuła. Trochę powagi, przecież tu jedzą sępy. Zapominasz się.

Haran rechotał dalej, sznury wrzynały się w spuchnięte kończyny, popękały poparzenia na twarzy. Nigdy nie czuł się tak dobrze. Świat potrafi być taki piękny. Zwłaszcza wtedy, gdy nie ma już w tobie tego, który na niego patrzy.

Nic dziwnego, że ludzie nie zwracali uwagi na to ukryte piękno. Naruszało zasady gry. Bogowie i demony, natura i społeczeństwo; zapomniały o sporach i sprzymierzały się, by ich od niego odwodzić. Po czymś takim można nawet zapomnieć, że trzeba rwać, siać i rżnąć. Zapładniać, zabijać, umrzeć.

* * *

Ocknął się i przez moment miał płonną nadzieję, że skoro nie płonie, to musi nareszcie być koniec. Nie widział, że słońce zrobiło swoje.

Pod nim krzątał się ktoś, kto najwyraźniej przygotowywał się do sadzenia kwiatków na jego mogile. Albo kołysał palem jego męczarni.

— Zaraz usunę te sznury, a wtedy spadniesz. Rozluźnij się! Rozluźnij się, kurwa, bo zdechniesz! — warknął znajomy głos. Znajomy i odrażający.

Haran jęknął.

To ten szalony staruch, którego dorwali w wiosce i którego barbarzyńca

nie pozwolił chłopakom zamęczyć. Od niego zaczęła się ta mordęga i na nim się chyba skończy. Cóż, przynajmniej wyciągnie kopyta w obecności świętego męża.

Może i był stary, ale bogowie nie odebrali mu zręczności. Wspiął się na pal i zaczął piłować sznury. Haran jęknął, gdy kolejny rzemień ustąpił. Przesunięty ciężar obciążył pozostałe paliki, które mocnej napały na jego uszkodzone mięśnie.

— Masz na sobie tyle mięcha, że mięśnie za nic nie chciały się przerwać. Czym cię karmili, żelazem?

Haran chciał się odgryźć, że mięsem demonów i ludzi, lecz riposta uwięzła. Ten drań jeszcze gotów wcisnąć mu coś podobnego do gardła. Zamiast tego rozluźnił ciało.

Staruch nie zamierzał amortyzować jego upadku, zamiast tego przezornie uskoczył w bok. Zadudniło i Haran eksplodował bólem.

Potem litościwie spowiła go ciemność.

* * *

Obudził się, oślepiiony, wierzgając w zwierzęcym lęku. Jakby znowu był w Dołach, nieludzkich światach bez światła. Chude, lecz silne dłonie przycisnęły go z powrotem do ziemi.

— Cicho, dzikusie. Leż.

— Moje oczy... — Haran zawstydził się brzmienia własnego głosu. Dużo w nim było błagania.

— Będiesz widział. Twój koleżkowie chcieli pewnie, byś się porządnie opalił. Zgrywusy — zarechotał starzec. — To tylko okład. Ale i tak zaskoczyłeś mnie. Wylizać się z czegoś takiego... Gdzie się chowałeś, w piekle?

— Blisko. W Dołach — mruknął barbarzyńca ochryple.

— Aaa! Czyli karmiłeś się smarem! To wiele tłumaczy. Wykazujesz niezwykłą żywotność, powiedziałbym, że nadludzką. Rany goją się na tobie jak na psie albo... na Zjadaczu.

Haran milczał. Wiedział, do czego tamten pije, i był pewien, że jego to nie dotyczy. Nie teraz, tyle miesięcy od wyjścia. Ale gdyby ten znachor miał rację...

Włosy zjeżyły się barbarzyńcy na karku.

W Dołach ludzie czasami po prostu znikali. I nie chodziło o to, że podczas wyprawy dopadli ich tamci. Niektórzy, osobliwie ci starsi, weterani ich piekielnego wyroku, zaczęli się stopniowo zmieniać. Moros tłumaczył mu, że *braazatal* wpływa w ten sposób na niektórych. Nie na wszystkich, istniała tu jakaś moralna zależność. Nienawiść i rozpacz zdawały się sprzyjać przemianie. Naznaczeni stawali się zagrożeniem dla reszty, ulegali napadom szaleństwa, które alarmowało wrogów.

Wtedy do akcji wkraczali ludzie tacy jak Pełzacz i Flak i dyskretnie usuwali zagrożenie.

Haran nie wiedział, co stałoby się z nieszczęśnikami, gdyby pozwolono im dłużej żyć. Czy posunęliby się do zdrady i przyłączyli do nieludzkich wrogów? O tych sprawach w Dołach się nie mówiło, stanowiły tabu. Jakby nie chcieli przyznać, że każdy nosi w sobie Zjadacza.

— A ty? Dlaczego mi pomogłeś? I kim ty właściwie jesteś? — Zmienił temat.

— Pradawnym magiem, który namaści cię na zbawcę tego podłego świata! — Śmiech starca przypominał bulgotanie w piekielnym kotle. — Jestem Kiliretha. Kret. Przyzwała mnie twoja wizja.

Haran zarechotałby, gdyby nie bezkresne imperium bóleści, którego poddanym się stał. Ból nie pozwalał, ale to było zbyt dobre. Haran. Ten, Który Przyzywa Krety. Ktokolwiek zawiadywał jego losem, ośmieszał się.

— Przestań. To nie jest jakaś bajeczka snuta przy ogniu, a ja nie mam już pięciu lat.

— *Braazatal*. Smar. Sprowadza wizje i wiedzę. Mój Zakon wykorzystuje go do przewidywania przyszłości. Stosują go także kruzańscy kapłani i więdźmy z Zakonu Matek. A ty, mój prostoduszny przyjacielu, wchłonąłeś go tyle, że mógłbyś rozmawiać oko w oko z bogami. Lub w trzy miga przemienić się w *murgha*.

— Twierdzisz, że jestem demonem? — Haran dźwignął się na łokciu. Nie, żeby mógł nastraszyć swojego rozmówcę. Był osłabiony jak szczenię. Nie wiedział nawet, gdzie są, poza tym że tuż obok płonęło ognisko. Gdzieś w oddali miałkliwie zawodził kojot, zagłuszając muzykę cykad i świerszczy.

Jego wybawca roześmiał się tylko.

— Bo płynie w tobie krew Białoskórych? Co trzeci Tlaszkałanin ją ma. Gadanie, że Biali to diabły wcielone, to rasistowskie przesady, rozpowszechniane przez Kruzów. Ale wieloletni kontakt z potężną toksyną, która przypuszczalnie nie pochodzi z naszego świata... to coś zupełnie innego.

— Muszę iść. Dopadnę ich. — Barbarzyńca dźwignął się na łokciu i natychmiast opadł z powrotem na ziemię, z twarzą skrzywioną bólem.

Staruch splunął. Coś zaszeleściło w trawie. Ropucha lub wąż.

— Poskromisz te namiętności albo zdechniesz. Nie wiesz, że nienawiść, strach i nadzieja to danina, jaką płacimy demonom? Te wieczne dranie karmią się wydzieliną z naszych dusz. Myślisz, że dlaczego Kruzowie oddają słoneczku krew? Ze strachu, synku. Cała ta gra jest po to, żeby ci się zagotowało pod dekle. Ochłoń trochę i przemyśl, co naprawdę powinieneś zrobić, Haranie, synu Pęcherza.

— Skąd wiesz, kim jestem?

Barbarzyńca uniósł się, ożywiony. I znowu usłyszał śmiech.

— Bo wy, dzikusy, macie cztery imiona na krzyż.

Po godzinie Kret usunął okład i Haran mógł znowu popatrzeć na świat. Nie, żeby jakoś szczególnie się stęsknił. Zorientował się, że leży przy niewielkim ognisku w tej samej dolince, w której mieszkał Moros z rodziną. Ostre zarysy gór odcinały się od mroków nocy głębszą, namacalną czernią. Staruch kucał przy jego wezgiłowiu, zaaferowany jak sęp, któremu nagle zmartwychwstała padlina.

— Kobieta, która wisiała obok mnie... Muszę ją pochować. — Haran wstał i zatoczył się na drżących nogach.

— Już to zrobiłem. Leż. Musisz odzyskać siły. — Kiliretha łagodnie pchnął go z powrotem na ziemię. Po chwili postawił przed barbarzyńcą miskę z gorącą wodą, do której wkruszył odrobinę suszonych owoców i mięsa.

— Dlaczego mi w ogóle pomagasz? — spytał Haran, siorbiąc parującą zupę.

— Mówiłem już. Nazywam się Kiliretha. Należę do Zakonu Kretów. Przechowujemy pamięć o rzeczach starych i ważnych... albo po prostu ciekawych. Na szczęście nikt nie rozlicza nas z badań — zachichotał ochryple. — Jesteśmy także szpiegami i uczonymi. Bronimy Tlaszkali i świata.

— A teraz bronicie mnie? Dzięki — mruknął Haran. Nie mógł potrząsnąć grzywą.

Szkoda, że tak późno. Gdzie byliście dziesięć lat temu?

— Poszukuję informacji o Dobroczyńcach. U was zwą ich Białoskórymi. Interesuje mnie także *braazatal*. Smar. Coś pewnie wiesz na ten temat, prawda? — Kiliretha patrzył na niego uważnie, już bez śladu wcześniejszej wesołości. — Jesteśmy z jednego plemienia, Haranie. W naszych żyłach płynie krew Dobroczyńców. Wielu Tlaszkalan, zwłaszcza Kretów, należy do

potomków Dawnego Ludu. To dziedzictwo i... zobowiązanie. Możesz mi zaufać.

— Nic o mnie nie wiesz, starcze.

— Wiem bardzo wiele. Ba, może jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, który cokolwiek o tobie wie. Mógłbym spisać opasłą księgę o każdym z osobliwych aspektów twojej niezwykłej osoby. Metabolizm. Koordynacja. Rozszczepiona jaźń.

— A po ludzku?

— Jesteś, kurwa, popierdolony dziwoląg.

Haran uśmiechnął się. Kret perorował jak wygłodzony, złotousty kapłan, który wreszcie upolował słuchacza.

— Byłeś w kopalniach, prawda? Ci, którzy przeżywają tam dłużej, często noszą podobne znamiona. Karmiłeś się *braazatalem*, i to w młodym wieku. Smar wypacza dorosłych i otwiera ich dusze na Otchłań. Daje też pewne zdolności. Ludzie podatni na ciemność zmieniają się w *hikku'tai* albo nawet w *murgha*. To wiemy. Ale nikt nigdy nie sprawdzał, jak działa na dzieci. Dlatego, jako badacza, frapuje mnie twój przypadek.

— I do czego doszedłeś? — Haran usiłował nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie. Nie podobał mu się błysk ekscytacji w oczach jego uczonego rozmówcy.

— Odmienił cię na kilku poziomach. Po pierwsze, poziom ciała. Wpłynął na motorykę, koordynację i wzrost. A także poziom agresji. Przecież z braku słońca i właściwego pokarmu na dobrą sprawę powinienes być karłem, a tu, proszę, jakie zdrowe wyrosło nam drzewko. Tylko nie pod tym słońcem, co trzeba, he, he. Jesteś ewenementem, synu. Chodzącym przełomem w nauce!

Wychowanek Druazzi przymknął oczy. Z dwojga złego wolał chyba bełkot.

— Mówisz mi, że jestem parszywym odmieńcem? Nic nowego, starcze.

To powie mi każde lustro. Chyba nie dostaniesz muszelki.

— To nie wszystko. Prawem krwi jesteś Białoskórym. Jednym z nas. Ale także Druazzi, Podbitym. — Uczony wydał z siebie ochryply śmiech, który niebezpiecznie przypominał rżenie konającego.

— Coś cię bawi? — warknął Haran.

— Pochodzisz od dwóch wielkich plemion, przegranych i wydziedziczonych. Połowa tego wystarczyłaby, by przynieść pecha.

— Białoskórzy, rozumiem. Ale Druazzi? Oni chyba mają się całkiem nieźle? — Haran niewiele wiedział o swoim plemienu. Że utracili tereny łowieckie, ale to spotkało dzisiaj wiele wędrownych szczepów.

— Twoi Druazzi byli kiedyś potężni i liczni jak igły na sosnach. Mieszkali w kamiennych grodach. Potem wrogowie pokonali ich i wypędzili do puszczy, gdzie zmarnieliście jak dzikie zwierzęta. Bez urazy — głos starca stwardniał, teraz dźwięczała w nim stal. — Białoskórzy zdziczeli bardziej.

Barbarzyńca wzruszył ramionami.

— Ojciec... Pęcherz mówił, że zawsze tak żyliśmy. Puszcza była nam domem. Wędrowaliśmy po niej, polując, dopóki nie przetrzebili jej nasi wrogowie.

Starzec zachrypiał z uciechy.

— W takim razie opłakujecie nie to, co trzeba. Pozwól, że opowiem ci baśń. Pamiętaj, że dobra baśń jest zawsze prawdziwsza niż cienie, które głupcy nazywają faktami.

— Zamieniam się w słuch. — Barbarzyńca wyciągnął się na tyle wygodnie, na ile pozwalało mu zmaltretowane ciało. Liczył na to, że bajdurzenie starca ukołysze go w końcu i zaśnie.

Uczony sypnął w ogień jakichś cuchnących nasion i ziół, odczekał i zakołysał się, spowity gryzącą chmurą.

— Było sobie potężne imperium, wiecznie głodne, jak wszystkie potężne imperia. Rosło i rosło, pożerając wszystko w zasięgu wzroku. A potem zwróciło swoje spojrzenie za morze. W ten sposób dotarli tu nasi ojcowie. Jako najeźdźcy. Świat po tej stronie Oceanu Wschodniego był wtedy zupełnie inny. Niegotowy na ich okrucieństwa. Ale miał coś w zanadru.

Kiliretha wsypał do ognia resztę nasion i sięgnął po laseczkę kadzidła, którą z namaszczeniem podpalił.

— Widzisz, miejscowi oddawali cześć gwiazdom. Znali ich szlaki, ich moce i tajemnice. Niektórzy twierdzili, że także pochodzą z nieba. Inni mawiali, że są tylko sojusznikami tych z góry. Swój kraj uważali za coś w rodzaju niebiańskiej faktorii handlowej lub porzuconej kolonii. Nasi jasnoskórzy przodkowie nie zdawali sobie sprawy, że pozornie bezbronny świat, który uznali za łakomy kąsek, to tak naprawdę złowroga, starożytna twierdza, zamieszkała przez karaluchy i szczury. Twierdza, której garnizon tysiące lat temu wyruszył na krótki patrol — zachichotał starzec. — W czasach najazdu autochtoni, którzy zaczęli się wtedy nazywać Prawdziwymi, wiedzieli już o tych rzeczach bardzo mało, że bogowie z nieba w jakiś sposób wpływają na cyrkulację Cyklów, okresów życia przerywanych aktami zagłady.

Czarownik urwał i zapatrzył się na zwęglone kadzidło. Sięgnął po woreczek i troskliwie wyjął z niego kolejną laseczkę.

— Wojna przyniosła Białoskórym zwycięstwo. Prawdziwi Ludzie nie rozwodzą się dziś na ten temat, ale w konfrontacji z najeźdźcami okazali się słabi jak nieuzbrojone dzieci, usiłujące powstrzymać szarżę pancernej jazdy...

— Czego?

— Jazdy. Wojowników dosiadających koni. Kruzowie zakazują tego, ale jeżeli zapiędziesz się dostatecznie daleko na północ, natrafisz na koczowników,

którzy przejęli ten zwyczaj. W każdym razie konnica Białoskórych była nie do powstrzymania. Jeźdźcy atakujący włócznią, zakuci w stalowe zbroje, przetaczali się przez szyki Prawdziwych Ludzi jak gorący pogrzebacz przez osełkę masła. Potem szła ciężka piechota i strzelcy, a za nimi tysiące sojuszników. Totoanaków, Tlaszkalan i Druazzi. Tak, nie przesłyszałeś się. Twoje plemię walczyło po stronie Białych. Rozgromieni w polu, Aztekowie odpięczętowali stare obserwatoria, zamietli pajęczyny i zaczęli słać ku niebiosom błagalne modły. Trwało to długo, bo wszechświat jest przeogromny.

— Aztekowie? Myślałem, że z Białymi walczyli Kruzowie.

— Tak ci powiedziano? Historię piszą zwycięzcy, synu. Mordercy, szaleńcy i kłamcy. Dlatego dzieci przeważnie uczą się kłamstw.

— Skąd wiesz to wszystko? — w głosie Harana pojawiła się podejrzliwość.

— Jestem Kretem, chłopcze. Miałem dostęp do całej Spuścizny. Nawet do tych fragmentów, które miłosiernie ukrywamy przed wzrokiem maluczkich. Studiowałem w Bibliotece Grani i na Uniwersytecie Tikalskim. Zgłębiałem kodeksy Inka, zapisane na sznurowych węzełkach, i inskrypcje na żółwich skorupach z wysp Khur. Tylko w Prawdziwym Przymierzu historia zaczyna się sto lat po Klątwie. Moi profesorowie sięgali wiedzą tysiące lat wstecz, w baśniową przeszłość ludów zza Oceanu Wschodniego, ich piramid, zigguratów i świątyń. — Stary wyprostował się dumnie.

Podjął przerwana opowieść:

— Prawdziwi Ludzie szukali i szukali, zmieniając się przy mosiężnych lunetach, których wilgotne soczewki były oczami demonów. Kolejne gwiazdozbiory milczały. Były opuszczone albo zapomniane. Mówiły innym językiem. A czas naglił, wróg opanował już kraj i właśnie szturmował stolicę.

— Kiliretha urwał, stopniując napięcie. Najwyraźniej skończyły mu się

nasiona i kadzidło.

Haran zastanawiał się, co teraz powędruje do ognia. Starzec zadowolił się pogrzebaniem patykiem w żarze i dorzuceniem kilku kolczastych gałęzi.

— Wtedy władca Prawdziwych Ludzi porzucił wydeptane, zmapowane szlaki i zwrócił się ku mrocznym rejonom nieba. Tym, dla których zabrakło opisu, które zapieczętowano i obłożono barierą. Aż wreszcie, po wielu bezsennych nocach przeczesywania gwiazdznego mroku, gdy pożoga i krzyki wyrzynanych otoczyły jego pałac dławiącym pierścieniem strachu, z zakazanych rejonów ciemności przemówił do niego głos.

Kiliretha urwał, zakrztusiwszy się dymem. Haran myślał, że to celowa pauza, dla zbudowania napięcia, ale uświadomił sobie, że staruszek zwyczajnie się dławi.

Uderzył go mocno w plecy, aż dziadek zasyczał z bólu. Załzawione, mleczne oczy spojrzwały na niego z wyrzutem. Po dłuższej chwili uczony wrócił do siebie.

— Wybacz. Tutaj kończy się historia inwazji, a zaczyna się Klątwa. Wraz z nią zmieniło się wszystko. Przymierze, ba, cały świat przechodząc we władanie istot, o których nic nie wiadano, stał się lennem. A one zgubiły naszych nieszczęsnych przodków i nie raczyły się nawet pokazać, nie wspominając o wydaniu klarownych poleceń.

Kiliretha napił się wody z bukłaka. Gdzieś w oddali, upiornie zamiauczała puma.

— Trzy miesiące potrzebowały, by przez aksamitną, rozgwieżdżoną Noc, tę ciemną podszewkę świata, dotrzeć do nas. Przez ten czas stolica Azteków dawno zdążyła już upaść, a Białoskórzy pastwili się nad niedobitkami, dopuszczając się mordów i gwałtów. Nasi przodkowie... Cóż, na pewno nie byli mili i chyba zasłużyli sobie na wszystko, co ich spotkało.

Haran pokiwał głową. Odwet na Białoskórzych trwał setki lat i żądza

zemsty Prawdziwych Ludzi przez ten czas ani trochę nie zgasła. Na taki zapal trzeba sobie naprawdę zasłużyć.

— Nie wiem, czego spodziewał się nieszczęsny aztecki król, ale z gniewnej pustki przybył do niego kawał czarnej, nadpalonej skały. Wyglądał, jakby wyrzygał ją wulkan. Wszędzie, gdzie spadły te meteoryty, Biali jęli umierać jak muchy, zabijani nieznaną chorobą. Znasz ją pod nazwą Szarej Zarazy. W tych miejscach ginęli też zwykli ludzie, a później pojawiali się Zjadacze. Każdy z Gwiezdných Kamieni był lokalnym ośrodkiem Klątwy.

— To wszystko bardzo ciekawe. W Tollan znalazłbyś pewnie z tuzin mędrków, którzy kochają takie zamierzchłe historie. Tylko że nadal nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

— Ty już jesteś w to wszystko wplątany, chłopcze. Pojmałeś Lwa Labiryntu, a potem broniłeś jego nieszczęsnej żony. W ten sposób stanąłeś do walki. Stanąłeś po stronie światła.

— Powiedz to biednej Enishy — warknął Haran.

Kiliretha ponuro pokiwał głową.

— Ja też nie zdążyłem jej pomóc. Ale po tym, jak cię uwiązali, twoi kompani puścili się za mną w pogoń... Dwa dni zajęło mi wyprowadzenie ich w pole. Było ich zbyt wielu jak na jednego starego Kreta.

— Dla mnie także... Nawet tych ścierwojadów nie potrafiłem pokonać. I co teraz? Mam polować na Szare Pasy po górach? — zachnął się Haran.

— Jak już mówiłem, wyczuwam w tobie moc. Może to tylko drobiazg w porównaniu z potęgami tego świata. Ale czasem drobiazg potrafi zaważyć na całości — zapalił się znów Kiliretha. — Charakterystyczną cechą Klątwy było pojawienie się w naszym świecie Zjadaczy i innych demonów. Potem znikły, niemal wytępione. Niedobitki ukrywały się przez całe stulecia. A skoro znowu wróciły...

— ... to znaczy, że znów mamy Klątwę — dokończył powoli Haran.

Kret pokiwał głową z takim zapalem, że prawie spadła mu z ramion.

— Obserwuję ich cykl wegetacji, żerowanie, migracje. Jeszcze dwadzieścia lat temu Zjadacze zdawali się wymierającym gatunkiem. A teraz? Wychodzą na światło dzienne, gromadzą się w hordy i sprzymierzają z ludźmi. Coś się tu kroi, chłopcze.

— Bo ja wiem? Może nagle zgłodnieli.

Czarownik popatrzył na niego z niechęcią.

— Tyle się dowiedziałeś, obserwując ich na własne oczy? Że bywają głodni?

— Nie bywają. Są. I nigdy nie mają dość — poprawił go Haran poważnie.

Stary pokiwał głową.

— Jedno jest pewne, nadchodzą ciekawe czasy. Wielu głowi się teraz, co robić. Ja, na szczęście, jestem już wstrętnym staruchem stojącym nad grobem.

Kiliretha puścił do chłopaka oko i odszedł, zostawiając Harana w stanie wzburzenia. Czy to, co usłyszał, znaczyło, że Doły podążą za nim pod niebo i słońce? Czy czekają ich czasy, gdy Zjadacze staną się plagą powierzchni?

Długo leżał wyciągnięty na wznak, wpatrując się w czyste niebo. Trwał na nim tan konstelacji. Intrygi migoczących bóstw, złożone i finezyjne jak rozgrywki frakcji w stolicy Kruzów.

I on, tu, w dole, bękart białych diabłów i pogardzanych przez wszystkich dzikusów.

Gdzie jest jego miejsce? Co może zrobić?

Co jeszcze może zrobić?

* * *

Do Kapituły na wygnaniu. Kiliretha z Zakonu Kretów, Raport z Operacji 125567

Imię Obiektu — Haran

Obiekt badań to mężczyzna lat około dwudziestu, z pochodzenia Białoskóry, wychowany w kulturze Druazzi. Wykazuje wiele niezwykłych zdolności, wywołanych wieloletnim spożywaniem braazatalu w żywności. Umiejętności te obejmują wzmożoną siłę, wytrzymałość i szybkość oraz intensyfikację agresji. Typowe cechy hikku'tai, opisane już w wielu monografiach.

Jednak obiekt wykazuje też nowe, bardziej niepokojące cechy. Podczas tzw. Ofiary Kamienia dokonał rytualnego spożycia ciała tlaszkalańskiego oficera Szaratangi, znanego też jako Lew Labiryntu. Od tamtej pory obiekt skłonny jest przypisywać sobie dostęp do wspomnień i duszy Szaratangi.

Jak wiemy, podczas Ofiary Kamienia inicjowany wojownik dostępuje kilku szczególnych, niezwykle intensywnych doznań.

- a. Nawiązuje emocjonalne więzi z ofiarą, oparte na specyficznym braterstwie wojowników, wspólnocie powołania i losu.*
- b. Przyjmuje potężną dawkę halucynogenu, zazwyczaj psylocybiny.*
- c. Obserwuje zmagania ofiary i jej śmierć.*
- d. Zakłada skórę zdartą z ofiary.*
- e. Podczas uroczystej biesiady spożywa jej ciało, a konkretnie kotlety z udźca ofiary.*

Jak można się domyślić, każdy z tych bodźców zdolny był do wywołania u obiektu poważnego kryzysu i wstrząsu. W przypadku Harana mamy jednak do czynienia z dodatkową, nieznaną dotychczas reakcją, odblokowaniem i przyswojeniem cudzej pamięci.

Należałoby więc zadać pytanie, jakie jeszcze dodatkowe czynniki wystąpiły w badanym przypadku?

Obiekt pochodzi z ginącego plemienia Białoskórych, którzy na terenach Odrodzonego Przymierza od setek lat podlegają rasistowskim prześladowaniom. Znajomość tego faktu przez badanego mogła być źródłem długotrwałego stresu. Obiekt pozostawał w emocjonalnej relacji z generałem Szaratangą, który opiekował się nim podczas pobytu w yugalskich kopalniach smaru. Z pewnością był to dodatkowy, nieprzewidziany czynnik. Kruzańscy wojownicy nie zjadali podczas Ofiary Kamienia swoich serdecznych przyjaciół!

Obiekt przez kilka lat spożywał jedzenie z domieszką smaru, co mogło prowadzić do dodatkowych mutacji, analogicznych z już udokumentowanymi zmianami, skróceniem czasu reakcji, usprawnieniem motoryki itd. Jedynie czysto duchowa odporność obiektu, a być może także korzystny wpływ innych współwięźniów uchroniły go przed degeneracją i stoczeniem się do poziomu hikku'tai. Co, jak pamiętamy, ma miejsce, gdy połączy się nieludzkie warunki bytowania, grozę i lęk przed jutrem z syrenią pokusą braazatalu.

Dieta obiektu, i to zarówno w okresie dzieciństwa, jak i dojrzewania, była z konieczności kanibalistyczna. Tym samym obiekt uzyskać mógł dodatkowy stopień tolerancji ludzkiego białka, co więcej, mógł usprawnić jego absorpcję. Czy sprzyjało to „przejmowaniu pamięci”?

Geneza i działanie braazatalu od dawna pozostają przedmiotem szczególnego zainteresowania Zakonu. Sprzeciwiam się sugestii Kapituły, by zamknąć sprawę jako zbyt makabryczną i mroczną. A w jakich żyjemy czasach? Zostaliśmy pokonani, rozproszeni i wygnani. Makabryczni są nasi wrogowie.

Uważam, że w tych trudnych czasach musimy mieć się wszelkich sposobów, by uzyskać przewagę nad naszym kruzańskim wrogiem. Należy

pomagać każdej sile, która jeszcze opiera się Kruzom.

Pamiętajmy o naszej misji. Profani nazywają nas Kretami, sugerując komiczne oderwanie od życia, symptomatyczne jakoby dla badaczy, uczonych i mędrców. Niemniej my sami przyjęliśmy tę potoczną nazwę za swoją. Wiemy bowiem, że wzrok wiedzącego musi skierować się w ciemność, w splątane korzenie świata. Gałązki muskane wiatrem i korę skąpaną w słońcu zostawmy wojownikom, kobietom i dzieciom. Dlatego proszę o ponowne rozpatrzenie mojego podania o dofinansowanie badań nad obiektem Haran i wspomaganie go w jego działaniach, opartych na systemie grantów.

Na ten moment proszę moich szanownych kolegów o wspomnienie mnie sugestiami i radą. Moje badania mogą pójść teraz w kilku przeciwstawnych kierunkach. Rasistowskie zabobony Kruzów, rozpowszechnione również u naszych rodzimych, tlaszkalskich wieśniaków, przypisują krwi Białoskórych szczególne właściwości, co wiąże się z kultem Krwawego Chrystusa. Naukowa rzetelność każe mi postawić pytanie, czy może to na poły wymarła krew Dobroczyńców, której rozrzedzona domieszka płynie też w żyłach wielu z nas, przyczyniła się do tych nietuzinkowych reakcji?

Ciekawy trop, moim zdaniem, stanowi też przyswajanie informacji zapisanych w ciele. Pamięć tkanek. Jeżeli Haran od dziecka był kanibalem i wpłynęło to na jego metabolizm i zdolność przyswajania informacji zawartych w ciele człowieka, to czy nie odsłania to przed nami zupełnie nowego obszaru badań? Ludożerstwo jako metoda kształcenia?

Oczywiście, nie mieści się to w naszej oświeconej etyce, niemniej w szczególnych przypadkach, takich jak pojmanie wysokiego kapłana Kruzów, warte jest rozważenia.

Niepokojące jest także to, że musielibyśmy kształcić „specjalistów” w tej trudnej dziedzinie, od dziecka karmiąc ich ludzkim mięsem i co za tym idzie, hodując własnych Zjadaczy.

Czwarty, najmniej naukowy trop moich studiów wskazuje na emocjonalną relację Harana i Szaratangi. Według niektórych doktryn umysł jest pewnego rodzaju „widmem”, niekoniecznie fizycznie zawartym w ciele, a poczucie jego jednostkowości wynika z autosugestii. Być może Haran potrafił „przejść” widmo swojego przyjaciela, gdyż łączyły ich silne więzi, a w dodatku pozostawał pod wpływem środka halucynogennego? O ciele nasyconym braazatalem nie wspominam, traktując to jako oczywistość.

Niestety, obawiam się, że badanie zakresu i specyfiki tych więzi nie leży w gestii nauki. Z miejsca zatem odrzucam niniejszy kierunek, jako bliższy poezji i kiepskiej prozie niż rzetelności badawczej.

Rozdział 21

Droga przesady wiedzie do pałacu mądrości.

William Blake

Strażnik miękko osunął się na ciemnoczerwoną ścianę korytarza, jego krew wtopiła się w kamień i zgasła. Kiedyś Citlali zastanawiała się, czy panowie Czerwonej Świątyni dekorowali ją tak z czystej próżności. Czy chcieli oszołomić prostaczków? Pozyskiwana z czerwi i skorupiaków czerwien była bezcennym barwnikiem, zastrzeżonym dla bogów i królów. Wszak znamionowała Drogocenną Wodę i niekończące się wysiłki wiernych, podtrzymujących zagrożone istnienie Boga Słońca. Wszystko, co czerwone, kojarzyło się z boskością. Dlatego tak poszukiwane były pióra szkarłatnych kwezali.

Tymczasem Najwyższy Kapłan rezydował w ogromnym gmachu, gdzie każdy kamień, od zewnętrznych murów po sanktuarium na szczycie, miał taki sam odcień. Kolor krwi.

Konający bulgotał, dobiła go szybkim ruchem. Miał pecha, że tutaj stał. I znów ciemna ciecz rozmyła się w tej czerwieni i znikła. Śmierć nie zostawiała tu śladów.

Jej *doggen* zakwilił cicho, zwabiony zapachem krwi. Zawsze był głodny. Teoretycznie Citlali zdołałaby pokonać drogę do celu, przemykając ciemnymi zakamarkami Środkowia, szwami, które scalają grube płyty codziennej materii. Teoretycznie nie musiała nikogo zabijać, przynajmniej

nie teraz. Jednak usługi jej pomocnika miały swoją cenę, a pokonanie zewnętrznych zabezpieczeń Czerwonej Świątyni kosztowało *doggena* mnóstwo energii. Honorarium pobierał zawsze w tej samej, krwawej walucie.

Podczas szkolenia Deregatli zwracała na to szczególną uwagę. „Nie przeceniaj wierności chowańca, moje dziecko. *Doggeny* nie przypominają psów, prędzej drapieżne koty. Ich lojalność bywa słabsza od nudy i głodu. Jeżeli twój *doggen* za bardzo zgłodnieje, obróci się przeciwko najbliższej istocie z apetycznym, bijącym sercem. Nawet gdy będziesz nią ty”.

Zamknęła oczy i skoncentrowała się, przywołując kształt jego zmarszczonej twarzyczki. Jego, choć płęć była w przypadku tych istot tylko mylącym wspomnieniem. Citlali zapomniała już, że kiedyś urodziła i straciła synka. Nie szukała tych wspomnień, liczyła się dla niej skuteczność, a nie rozdrapywanie ran.

Drugi strażnik napatoczył się zaraz za pierwszym. Może charkot tamtego był jednak głośniejszy, niż myślała. Na widok dziewczyny jego okrągłe, czarne oczy rozszerzyły się, zdumione. Otwierał już usta, ale krzyk uwiązł mu w gardle, ucięty nagłym namysłem. Wysunął koniuszek języka, oblizując wargi, i ruszył w stronę Citlali z pożądlivym uśmiechem. Wysoki i potężnie zbudowany, w niskim korytarzu musiał się mocno pochylać.

Citlali skuliła się trwożnie. Potem sięgnęła po swego *doggena* i spojrzała wojownikowi w oczy. Zatokczył się i oparł o ścianę, wczepiając się palcami w kamień. W jego wzroku nie było już żądz, gwałtownie łapał powietrze. Dobrze, mój śliczny. Właśnie tak.

Trochę to trwało, bo wciąż była za wolna. Skurczone i wiotkie ciało osunęło się na ziemię, włosy mężczyzny mieniły się srebrem. Chyba próbował krzyczeć, ale *doggen* uciszył go, przenosząc agonalny wrzask w inny czas. Citlali uklękła przy strażniku i miękkim ruchem przecięła mu gardło. Zagwizdała na *doggena*.

Łapczywie wchłęptał krew, a potem skierował na nią spojrzenie żółtych, zażawionych oczu. Kiwnęła głową, a on rozjarzył się ciemnym blaskiem. Aksamitna podszewka Środkowia wchłonęła ich z cichym mlaśnięciem, zabierając też pechowego strażnika. Na tym polegał kunszt Matek. Nie zajmowały się prostacką, łupieżczą magią, która nagina prawidła rzeczywistości i pasożytuje na jej realnych zasobach.

Matki, prowadzone przez *doggenów* przewodników, wstępowały w krainę prawdy i skrót, ciemny prześwit pomiędzy życiem a śmiercią. Ich czary czerpały z niestałej natury samego istnienia i czasu.

Skoro ciało strażnika rozłoży się kiedyś, dlaczego nie pokazać tej prawdy już teraz?

Magia wyczerpała ją, mimo że większość mocy zapewnił jej *doggen*. Zachwiała się i oparła o mur. To nie był dobry pomysł, kamień poddał się ciężarowi jej ciała jak próchno. Posadzka kruszyła się, ciała strażników zdążyły się już rozłożyć. Środkowie nie znało trwałości. Tu wszystko zrzucało maski, ujawniając pokąsaną chaosem twarz. Nie należy się w nim zagłębiać, korzenie sięgają otchłani.

Citlali słyszała o Matce, która została tu jedną chwilę za długo i wydrapała sobie oczy, a potem odgryzła wilgotne od śluzu palce. Powtarzała, że teraz nie będzie musiała dotykać i patrzeć.

Jej przełożona, Deregatli, była zdania, że nieszczęsna postradała zmysły. Zdaniem Citlali kobieta ujawniła swoją wewnętrzną prawdę, nie do przyjęcia dla świata. To, co po jednej stronie kurtyny jest kłamstwem, po tej drugiej się tłoczy w kamieniu.

Gdy moc *doggena* okryła ją chłodnym, widmowym płaszczem, ryzyko wykrycia zmalało. Szkoda tylko, że mały drań musiał wcześniej wchłonąć energię dwóch ludzi, żeby nabrać sił. Citlali przemykała przez czerwone komnaty jak duch, powiew lęku i zimna woń śmierci. Nikt jej nie widział.

Tylko jeden medytujący w samotnej celi mężczyzna z monstrualnie rozrośniętym językiem, przedziurawionym zabliznioną, nadal otwartą raną, przez którą przechodził wijący się wąż, otworzył oczy i posłał jej zaskoczone spojrzenie. Nie wszczął alarmu, wziął ją za swoją wizję.

Chimalpopoka zaopatrzył ją w zmiętą mapę, która wyglądała tak, jakby ktoś zalał ją łzami, poplamiał popiołem i rdzą. Dzięki niej unikała ślepych korytarzy, zapadni i dołów z węzami. Minęła więzienną klitkę, w której zawodziły półnagie kobiety, o ciałach naznaczonych sinymi pręgami, oraz wilgotną, spływającą śluzem cełę, gdzie coś wiło się, sycząc, na kupie cuchnących łachmanów. Znajdowały się tu także rynny i cysterny na Drogocenną Wodę, pozyskiwaną na ołtarzach ofiarnych, wzniesionych na szczycie piramidy. Widziana duchowym okiem krew jeńców była bezbarwną, oleistą cieczą, nad jej powierzchnią gromadziły się niesforne iskierki mocy.

W jednej z dużych, przystrojonych komnat długowłosi, umalowani na czarno kapłani lepili ogromnego bałwana z ciasta i obficie poili go krwią. Widziała też warsztat, w którym szarzy od pyłu niewolnicy odłupywali i ostrzyli obsydianowe klingi noży ofiarnych; a także olbrzymie spiżarnie, pełne worków kukurydzy, fasoli, strąków suszonej papryki oraz kadzi z wodą. Pod sufitem kołysały się klatki na ludzi, w niektórych kuliły się jakieś sylwetki.

Wszędzie roило się od kruzańskich wojowników i ich *ursów*, kapłanów i uzbrojonych pielgrzymów. Na uduchowionych, fanatycznych twarzach determinacja zmagala się z desperacją. Czerwona Świątynia gotowała się do wojny.

Trzeci strażnik był czujniejszy od swoich poprzedników. Stał na podeście szerokich schodów, wyłożonych miękką tkaniną w kolorze ciemnego fioleto. Mimo że Citlali była prawie niewidoczna, wyczuł coś i w jego ręce pojawiło

się ostrze. Chwyliła *doggena* i pozwoliła mu pociągnąć się głębiej w mrok.

Strażnik minął ją, nie widząc. Wstrzymała oddech. Na przegubie czuła lodowate, kurczowo zaciśnięte palce. Woląa nie zostawać tu długo, *doggeny* nie były jedynymi mieszkańcami Środkowia. Istota spojrzała na nią z wyrzutem i jakimś dzikim, straszliwie wygłodniałym uczuciem.

Citlali zamarała, ukłuta nieznośnym przecuciem. Mroczny sługa nie pomagał jej ze strachu ani z chciwości. W jego oczach ujrziała tęsknotę.

Bogowie.

Jej *doggen* ją kochał.

* * *

Prywatne komnaty Szurukana nie mieściły się w pilnie strzeżonym sanktuarium, znajdującym się na szczycie piramidy Czerwonej Świątyni. Tam były kwatery bogów. Ich sługa zadowolili się skromnym kompleksem pomieszczeń, które w zadziwiający sposób łączyły ascezę z przepychem. Ostre kanty i miękkość ludzkiej skóry, czerń bazaltu, feerie barw tkanin i piór. Mistyczne bogactwo krwi, płynącej ozdobnym kanałem. Czerwień nasycona i głodna, ornament i napomnienie.

Zabójczyni sunęła przez ten wyśniony wszechświat, wstrzymując oddech z zachwyty i grozy.

Nagle usłyszała jego głos, głęboki i aksamitny, przepełniony charyzmą urodzonego nauczyciela i mędrca. Była w nim świętość, tajemne głębie. Gdyby ogromny, czarny kret przemówił do armii wyznawców, brzmiałby zapewne tak samo. Citlali rozpoznała go od razu, towarzyszył jej wszakże od dziecka.

Słuchała go, jak przemawiał na wielkich placach Tollan, wypełnionych tłumami pielgrzymów, lecz także i na kameralnych nabożeństwach w pałacu królewskim. Obiecywał zmiany, które nie nadchodziły, i przełomy, które nie

mogły się ziścić. Ona także była jego klientką, podobnie jak wszyscy Kruzowie. Przez lata sączył w jej duszę jad lepkiej nadziei, ufność w opiekę bóstw. Przez lata cudownie jej kłamał.

— ... mam więc się zaszyć w jakiejś dziurze i czmychnąć. Przejść do historii jako ostatni patriarcha Prawdziwych Ludzi. Tchórz, który odstąpił władzę uzurpatorowi i stracił przychylność bogów. Ten, który pogrzebał świat.

— Być może. Ale przynajmniej będziesz mógł dalej walczyć. Zostając, na pewno stracisz życie. Tego chcesz, Szurukanie? — przerwał mu także znajomy, zgryźliwy głos.

Citlali skuliła się w widmowym tumanie, dławiąc okrzyk. Serce biło jej z głuchym dudnieniem, z trudem uspokoiła się. Masztla. Jej mentor okazał nieczęstą w polityce wierność i strzegł Najwyższego Kapłana w chwili klęski. Chimalpopoka zasugerował jej, że Masztla jest blisko kapłanów, ale nie sądziła, że łączy ich taka zażyłość.

— Nie zamierzam uciekać, szpiegu. Służę Słońcu, pamiętasz? Nigdy nie kryłem się w cieniu.

— Zginiesz — głos Masztli zdradzał wyczerpanie i ledwo tłumiony gniew.

— Lud stanie po mojej stronie. Wybuchną walki...

— Lud wielbi Quinatzina jak młoda dziewczyna alfonsa. Niszcząc Tlaskalę, przywrócił im kruzańską dumę.

— I tak wielu stanie do walki. Nie doceniasz ich wiary, szpiegu.

— Bez Tizoka, Quinatzin nie zawaha się, żeby cię zabić. Nie masz już nad sobą parasola, Czcigodny.

— Dlatego zamiast go szukać, po prostu pozbadźmy się deszczu.

— Mówisz o śmierci króla? — Śmiech Masztli zabrzmiał szorstko jak zdarta pasami skóra.

— Nie. Mówię o śmierci tyrana.

To wystarczyło, żeby rozwiać wątpliwości Citali. Poczwała się rozgrzeszona. Kodeks Tysiąca Oczu przewidywał jedną karę za spisek na życie władcy. Citali wiedziała już, że tym razem nie ocalają jej wątpliwości. Rozejrzała się, nakazując *doggenowi* gotowość.

Dostrzegła czerwoną sadzawkę krwi. W miejscu, gdzie zazwyczaj umieszczano fontannę, modlił się jakiś chudy mężczyzna. Krew wypływała z dziesiątków nakłuc na jego ciele, mieszając się z zawartością sadzawki. Poddający się powolnym torturom kapłan podtrzymywał aktywność tej żywej rezerwy mocy.

Zdradziły ją emocje.

Szurukan wyczuł jej obecność i wydał z siebie ochryply, ptasi krzyk. Komnatę wypełnił łomot błoniastych skrzydeł. Citali rzuciła się w stronę hałasu, dobywając bliźniacze ostrza. Jednocześnie na przywołaną przez arcykapłana istotę posłała *doggena*.

Ale zanim dopadła swojego celu, na jej drodze stanęli strażnicy.

Było ich trzech, działali z wytrenowaną precyzją dobrze zgranego zespołu. Citali zrozumiała, że widzą ją, i syknęła, przeklinając się za niefrasobliwe opuszczenie Środkowia. Zeszła im z drogi, zagłębiając się w jałowe szarości Świata Pomiędzy. Jej *doggen* zabawiał się z czasem jak kociak wczepiony pazurami we włóczkę. Potencjalne sekwencje wydarzeń przewijały się przed nią jak talia znaczonych kart, tasowana palcami szulera. Możliwość, konsekwencja, wybór. Presja.

Doggen nacierał ostro na demona. Niewiele z tego mogła zobaczyć, a jeszcze mniej pojąć. Walczący naginali czas, znikając i powracając, niczym refleksy światła na murze. Nagle demon-przeciwnik zamarł z pyskiem wykrzywionym bólem. Trwał tak, obejmując dłońmi wydatny, wciąż wzdymający się brzuch.

A potem po prostu się rozpadł, ktoś ściągnął go z siebie jak zużytą, jeniecką skórę, która zgniła na barkach.

Poczuła szarpnięcie Więzi, ryk tryumfalnej ekstazy. Spod krwawych szczątków wydostał się jej chowaniec.

I wtedy usłyszała zduszony, kobiecy krzyk. Zza kotary wysunęła się postać w popielatej sukni. Citlali rozpoznała w niej jedną z Matek. Nazywała się Szarnazeti i kiedyś odwiedziła Waicuri, gdzie fetowano ją jako jedną z najbieglejszych adeptek Zakonu. Uchodziła za oddaną zwolenniczkę Szurukana. Kobieta zrobiła kilka chwiejnych kroków i padła na twarz, wstrząsana drgawkami agonii.

Z nosa, oczu i uszu płynęła jej krew. Gwałtowna śmierć jej chowańca, przy silnie zadzierzgniętej Więzi, zabiła ją. Na Ołtarz i Krew, to mistrzyni Zakonu. Jak to możliwe, że nieopierzony *doggen* Citlali pokonał ją z taką łatwością?

Dziewczyna zapatrzyła się i o mały włos sama straciłaby życie. Zaatakowali ją kapłańscy strażnicy.

Ten krępy poruszał się bardzo zwinnie. Kątem oka dostrzegła szeroki miecz Żądła, odchyliła się. Nóż dziewczyny rozwłóczył po ziemi jego wnętrzności, zanim pozostała dwójka zdążyła zareagować. Kolejny z Żądeł zbił ostrze Citlali i odepchnął ją prostym, nieładnym kopnięciem w brzuch. Przeszył ją ból.

Napastnik poszedł za ciosem. Był tak młody, że miała ochotę otulić go kołdrą. Widziała, jak dojrzewa, żeni się i starzeje w niesamowitym spektaklu przemijania.

Skupiła się na celu.

Krok w Środkowiu był trzema w zwyczajnym świecie. Citlali poruszała się gwałtownie, skracając dystans i korzystając z magicznych skrótów Środkowia. Pełen gracji taniec ogarniętej płomieniem bogini. Dopadła

drugiego strażnika, zanim pierwszy spostrzegł, że nie żyje.

Zrobiła krok w przód, a *doggen* dał nurka w gardziel młodego. Wojownik zawył i osunął się na ścianę, ściskając brzuch. Obok jej policzka przemknęła strzałka z dmuchawki, usłyszała przekleństwo Masztli, który już przymierzał się do kolejnego strzału. Ruszyła w stronę swojego byłego szefa, ale trzeci strażnik zaatakował ją z furją, odpychając od pobladłego Masztli, który nawet nie próbował się pchać między wirujące ostrza.

Szurukan zaczął gardłowo zawodzić, ciemność pod sufitem kłębiła się i syczała. Spadały z niej pióra i gęste kropelki krwi. W komnacie pojawiło się coś jeszcze, przydymiony, widmowy kształt, bijący wielkimi skrzydłami. To nie był *doggen*, lecz duch opiekuńczy, związany z klanowym totemem Szurukana. Zapewne orzeł lub kondor, totemiczne stworzenie Szurukana.

Dziewczyna sięgnęła sztychem do serca trzeciego Żądła, ale agent był piekielnie szybki. Złapał ją za nadgarstek i pociągnął w dół, wprost na wycelowane w serce ostrze. Otworzyła usta, chcąc przywołać *doggena*, ale słowa uwięzły w krtani. Jasne blizny i ciemne spojrzenie, bruzdy wokół ust, zaciśniętych jak wrota więzienia.

Murrok. Jedyne znany jej człowiek, przy którym Haran Druazzi wyglądał na cholernego wesołka. Jego ostrze przebiło już skórę na jej lewej piersi, po żebrach popłynęła ciepła krew. Szamotała się jeszcze, serce dudniło dziko. I wtedy on zamarł, z twarzą oddaloną na oddech od niej.

Popatrzyli sobie w oczy.

Citlali zawahała się i nagle poczuła absurdalne pragnienie, żeby ten cichy, ponury mężczyzna ją pochwalił. Właśnie tak. Pochwalił.

Zrobiła postępy, prawda?

Murrok najwyraźniej wyczuł jej intencję, ponure, wygięte usta skrzywiły się w rozbawieniu.

Potem runął na niego jej *doggen*.

Citlali krzyknęła. Nie mogła tego zatrzymać. I już nie patrzyła na jego śmierć, skupiła się na kolejnych celach. Raz, dwa, precyzyjnie. Szurukan usiłował coś mówić, ale nie mógł się zdecydować: błagać ją czy jej grozić.

Zabiła go machinalnie, bezmyślnie i zwróciła spojrzenie na Masztłę.

— Żegnaj — szepnęła. A potem skończyła robotę. Nim zdążył powalić ją upływ krwi, spostrzegła, że ranny *doggen*, z czerwonym, przepełnionym uczuciem pyszczkiem, mamrocze coś i rozwiewa się. Została sama.

Wtedy zagrały konchy. Potężny dźwięk dobiegał zewsząd, wzmacniany przez akustyczne urządzenia, za których pomocą kapłani onieśmielają maluczkich.

Citlali o tym wiedziała, Tysiąc Oczu wykradło kiedyś schemat tych sprzętów krzewiących pobożność. Mimo to muzyka wzbudziła w niej grozę. Pomyślała, że to Szurukan przyzywa ją z piekieł. O ataku na Czerwoną Świątynię wiedziało już całe miasto. Powinna natychmiast uciekać.

Dobrze, że Chimalpopoka starannie zaplanował jej odwrót. Niższe poziomy, którymi tutaj dotarła, roiły się teraz od uzbrojonych kapłanów. Nawet jeżeli jej *doggen* wróci, nie zdoła się przez nich przedrzeć. Chowaniec niewiele mógł tutaj pomóc. Moc czerpał z zacierania granic między Środkowiem a naszym wymiarem realnych cieni, lecz nie umiał teleportować jej w bezpieczne miejsce. Musiała kierować się w górę.

Są. Specjalne schodki, którymi Szurukan przechodził do sanktuarium, podniebnej siedziby swych bogów. Citlali pokonała je biegiem, ignorując narastające wyczerpanie. Walka słono ją kosztowała. Wąskie, wyślizgane tysiącami kroków schody zdawały się nie mieć końca. Za plecami słyszała tupot i nawoływania pogoni. Wciąż nie czuła przy sobie *doggena* i z nagłym lękiem pomyślała, że ze zmęczenia i z bólu zerwała Więź.

Z ulgą pchnęła proste, drewniane drzwiczki. Spowiła ją gładka i ciężka tkanina. Citlali rozsunęła kotarę i wpadła do sanktuarium.

W dusznej, rozświetlonej żarem kadzideł komacie jarzyły się kryształowe czaszki, którymi jakiś rozmiłowany w mocnych efektach architekt przystroił wysokie sklepienie. Pod ścianami drzemały toporne posągi bóstw, które podczas uroczystości wystawiano na podniebny taras. Kruzowie potrafili być zdolnymi rzeźbiarzami, jednak te starożytne idole przedstawiono z przysadzistą i ciężką prostotą. Pamiętajcie o waszych korzeniach, pamiętajcie o ziemi i krwi. Zdobily je białe muszelki, kwietne girlandy i pióra, sadza i świeża krew. I liny, potężne, splecione powrozy, mające powstrzymać bogów od nocnych wypadów na żer.

Miała wrażenie, że mroczne świętki powitały ją ostrzegawczym, taksującym spojrzeniem. Na przeciwległej ścianie dostrzegła ciemny prostokąt drzwi.

Wiedziała, że prowadzą na rozległy taras, który mieścił się na dachu Czerwonej Świątyni. Ale przecież od dziecka słyszała, że jeśli świętego chramu choć dotknie stopa profana, gniew bogów obróci go w proch. Tylko Szurukan miał prawo wstępować do tego przybytku. Citlali stłumiła wpajany od pokoleń lęk i biegiem ruszyła do przejścia. Zdążyła zrobić dwa kroki, gdy jej kostkę przeszył ból.

Upadła z krzykiem, uderzając o płyty posadzki. Coś miażdżyło i gruchotało jej nogę, brutalnie przytrzymało ją w miejscu. Dostrzegła łyskającą czernią obsydianową paszczkę. Czarne kły przytwierdzono do mocnej, wyrzeźbionej z dębiny obręczy. Niczym wnyki pułapka trzymała ją w miejscu. Schodkami zbliżała się pogoń.

Citlali wciąż miała nóż. Równie dobrze mogłaby atakować sidła za pomocą ptasiego pióra. Albo je ładnie poprosić. Szarpiąc obręcz, załkała z bólu, frustracji i gniewu. Na próżno.

Pomyślała, że w ostatnich chwilach wypadałoby skierować myśli do bliskich. Kysa? Matka zawsze widziała w niej własne odbicie, zawiedzione

nadzieje i lęk. Haran? Zostawił ją, tyle w temacie.

Doggen zmaterializował się nagle, wyłonił z cienistych bezmiarów Środkowia. On też szarpnął kapłańską pułapkę, lecz choć rozkruszył płyty posadzki, nie zdołał jej rozewrzeć ani ruszyć z miejsca. Musiały ją chronić zaklęcia. Nawet obsydianowe zębiska, które powinny być dość kruche, oparły się jego atakom. Dziewczyna pomyślała o sztuczkach, które zastosują na niej ludzie Szurukana, i zagryzła wargi, powstrzymując zwierzęce, desperackie wycie. W torturach i wymyślnej kaźni ci bogobojni mężowie byli dużo lepsi i bardziej żarliwi od szpiegów. Czekwały ją ołtarz i krew.

Upiorna twarzyczka zbliżyła się do jej oblicza, drobniutkie, spiczaste zębki błysnęły w rozwartej buzi.

— Zaufaj — szepnął. — Będzie ból. Przykro.

Citlali skinęła głową, wstrzymując oddech. Wiedziała, co musi nastąpić.

Ból i wolność, gorące chluśnięcie czerwieni. I swąd, gdy chowaniec spowił kikut jej stopy płomieniem, tamując gwałtowny krwotok. Potem *doggen* obalił jeden z posagów, bodajże należący do Enanny, bogini znachorów i leków. Przeturlał go do drzwi, którymi się tu dostała, i zawarł je kamiennym ciężarem. W samą porę, chwilę potem ktoś już w nie łomotał. Półprzytomna Citlali osunęła się na *doggena*, który objął ją i podtrzymał. Razem pomknęli na zewnątrz.

Po ciemnych i dusznych komnatach nocne niebo wydało jej się czymś cudnym. Niemożliwym.

Po stracie stopy zrobiłaś się bogobojna, pomyślała. Z ascezą lepiej uważać.

Rozejrzała się. Ta część planu była najmniej szczegółowa. Na dachu powinna być lina, zostawiona przez złamanego szantażem akoliteę. Przywiązana do narożnego posągu Bogini Zbiorów, tego z węzami na szyi. Ludzie Chimalpopoki czekają w pobliżu świątyni, by wyprowadzić ją

z miasta. Citlali mogła założyć w ciemno, że plan Chimalpopoki okaże się skuteczny, przywódca Tysiąca Oczu nie wymyślał innych. To napawało otuchą, jednakże istniał pewien szkopuł.

Liny na dachu nie było.

Najwyższe piętra budynku okazały się gładkim, wysokim na dwanaście strzał prostopadłościanem. Niżej gmach rozszerzał się kolejnymi piętrami, w sposób typowy dla kruzańskich piramid schodkowych.

To tam gromadzili się wierni, gdy Szurukan odprawiał obrzędy. A Citlali nie miała liny ani niczego, co pomogłoby jej zejść. Zresztą, nawet gdyby zdołała to zrobić, kuśtykając na zdrowej kończynie, czekali tam na nią kapłani. Roili się na niższych piętrach jak zaaferowane termity w strzaskanym kopcu.

Musiałyby wyrosnąć mi skrzydła, pomyślała, wsparta o swego *doggena*. Popatrzył na nią szelmowsko. Jakby czytał w jej myślach.

Chwyił ją mocno i pobiegł, pociągając dziewczynę za sobą. Poczula, jak jej jedyna stopa odrywa się lekko od ziemi. Pod sobą miała już tylko powietrze. Odruchowo uniosła ręce do oczu i ze zdumieniem ujrzała sine, niemowlęce piąstki. Znowu nagiął czas. Citlali zrobiła się lekka. Niosący ją w szponach *doggen* roześmiał się, krzesząc radość jak iskry błyskawic.

Podobno ci, którzy we śnie potrafią wzbić się do lotu, odznaczają się siłą ducha. Ona miała w tej kwestii inną teorię. Ludzie o tęgiej duszy przeważnie nie mają czasu, by wylegiwać się w łóżku, i raczej nie przywiązują wagi do snienia. Nocnych zwidów zwyczajnie nie pamiętają. Co innego kapłani i wieszczce, rozmaici wędrowni wróżowie, żyjący z mamienia prostaczków. Oni w nocy na pewno fruują.

Jednak teraz, szybując nad dachami Tollan, unoszona przez swego *doggena*, poczuła, że już to widziała. Kwadraty dachów i domowych ogródków warzywnych, wydartych miejskiej ciasnocie. Wielobarwne

wierzchołki piramid, z górującą nad nimi siedzibą króla i jej odwiecznym rywalem, czerwonym domem kapłanów. Wszystko w jaskrawych kolorach, które kochali Kruzowie. Błękitna źrenica jeziora, w którym Tollan utkwilo jak drzazga.

Już wcześniej musiała to śnić. Nie zastanawiała się, czemu nie roztrzaskali się jeszcze o ziemię. *Doggeny* nie mają skrzydeł, no ale co my, ludzie, o nich wiemy?

W lepkim i gęstym powietrzu rozpoznała aurę Środkowia. Domy-pudełka zniknęły. Widziała parującą dżunglę, korony drzew stłoczone jak grządki ziemniaków. Pod nim unosił się ptak, dziwny stwór z błoniastymi skrzydłami. To przeszłość czy przyszłość? Wiedziała, że *doggen* nagina czas, splatając go i skracając jego nici, wirując i skacząc przez Cykle, tak że zwyczajnie nie mieli go tyle, by spaść.

Taką miała przynajmniej nadzieję.

Rozdział 22

Quinatzin nie brał udziału w oblężeniu stolicy Tlaszkalan. Prowadził je Mazatlan, z Maczuraiem jako zwierzchnikiem armii. Z powodu swych wad generał okazał się idealnym zastępcą Tizoka. Władca Yugał był tak osławiony i znienawidzony przez lud, że w jego przypadku nie wchodziły w grę bunty, rokosze ani pucze. Gdyby Maczurai objawił się ludziom jako uzurpator i kazał się nieść na czerwonej tarczy z piórami kwezala, zostałyby sam na placu, a przerażeni poddani czmychnęliby w dżunglę.

Mazatlan był jeszcze lepszy. Mistrz kalkulacji, całkowicie pozbawiony zdolności podejmowania decyzji. Warunki, jakie przedstawił Radzie Grani, ustalił przed odjazdem Quinatzin. Termity mogły je zaakceptować lub zginać. Quinatzin wierzył, że prędzej czy później, mieczem lub po dobroci, zdobędzie ich słynną Spuściznę.

Tlatoani zostawił mu dobijanie Grani, a sam udał się w pobliskie góry, gdzie w dyskretnym oddaleniu od gwaru stolicy mieściła się siedziba Zakonu Kretów i osławiony Skarbiec. Quinatzin oczekiwał szybkiego i spektakularnego sukcesu, który pociągał go bardziej niż rzezie i grabież Grani. Spodziewał się, że już wygrał.

Teraz, stojąc przed masywnymi wrotami Aglehii, Kreciego Skarbca, nie był już taki pewny. Kamiennej budowli nie chroniło drewno ani żelazo. Dostęp zamykały dopasowane kamienne bloki, które otwierał niemożliwy do znalezienia mechanizm. Cała twierdza wgryzała się głęboko w skałę, tak że nie było tu murów, które dałoby się sforsować lub skruszyć. Górnicy mogli

kilofami ryć kamień, ale w tym tempie sekrety Białoskórych dostaną się dzieciom Quinatzina. Albo wnukom.

Co najgorsze, w niewielkich okienkach, przez które precyzyjnie się co najwyżej łasica, nie pokazała się żadna twarz. Nic. Nie było z kim negocjować, choć z raportów wywiadu wynikało, że w Krecim Skarbcu przebywa garstka kapłanów, którzy poświęcili się Szarej Magii narzędzi i ostrej stali.

Mistrzowie z Zakonu dostarczali Termitom proch strzelniczy i miny, którymi wysadzili w powietrze Labirynt. Wykuwali też znakomite pancerze i broń. Zнали tajemnice stali.

Quinatzin był pewny, że w Skarbcu kryła się odpowiedź na jego wielkie pytanie. W jaki sposób zwiększyć liczbę strzelców z niespełna setki do dziesięciu tysięcy. Na początek.

Z zamyślenia wyrwał go głos adiutanta. Szczupły młodzian mówił coś od dłuższej chwili. *Tlatoani* syknął i nastawił ostrość.

— ... negocjacje w stolicy Tlaszkali... przełom... Rada Grani się podda, panie.

Quinatzin uśmiechnął się z ulgą. Przynajmniej Mazatlan stanął na wysokości zadania. Podobno każdy z członków Rady dysponował szyfrem dostępu do Skarbcu, ale także przechowywał wiedzę we własnej pamięci.

Teraz potrzeba tylko zdrajcy, który pomoże im zdobyć Spuściznę.

* * *

Sznurowe schody wciągnęli na górę już trzy dni wcześniej, gdy zaczęły się pierwsze zamieszki. Potem wciągnęli *urzych*, narkotyczny specyfik z krain Inki, który dodał im wystarczająco dużo odwagi, żeby stłumili panikę we własnych szeregach.

Stolica Tlaszkali płonęła. Miasto praktycznie nie miało umocnień,

Tłaskanie nauczyli się polegać na Labiryncie. Teraz przed armią Kruzów broniły miasta prowizoryczne barykady. Quinatzin jednak nie spieszył się z walnym atakiem, lecz metodycznie zaciskał pierścień wokół Grani, stopniowo zdobywając teren.

Podobno oszalały tłum rozszarpywał żołnierzy i panów, oskarżając elity o zdradę. Podobno uchodźcy zatruli studnie. Podobno słudzy mordowali dzieci swoich państwa w kołyskach, a zagłodzone niemowlęta kęsały piersi matek szczurzymi zębami. Podobno kapłani Martwego Boga otworzyli już bramy Kruzom.

Każdy dzień przynosił coraz dziksze domysły. Na wieść o wkroczeniu sił Kruzów Radę Grani opanował stan umysłu, przy którym paranoja wydaje się sennym popołudniem na łące. Być może po części wynikało to z tego, że w dotychczasowych zmaganiach dygnitarze zajmowali bezpieczniejsze miejsca.

— Musimy się poddać — oznajmił Ellatzin. Młody doradca króla przywdział antyczny, stalowy pancerz i chyba tylko dlatego nie trząsał się jak osika.

— Nigdy. Zatrzymamy wroga na murach stolicy — powiedział Bykotzin. W normalnych okolicznościach jego pewność siebie dodałaby Leyre otuchy. Dzisiaj zakrawała na zaślepienie i obłąd.

— Musimy prosić o rozejm. Quinatzin to świątły mąż stanu. Z pewnością wypracujemy kompromis — zaproponował Ellatzin.

— Ten świątły człowiek chce wymordować nas wszystkich. Tutaj albo na ołtarzach Miasta Trzcin! — warknęła Leyre.

Czuła, że przełomowy dzień nadciąga wielkimi krokami. Z każdą chwilą, gdy patrzyła na ich obmierzłe, obślizgłe gęby, słabł w niej strach. Zastępowała go duma i gniew oraz poczucie niesmaku i wstydu. Leyre nie założyłaby nigdy źle skrojonej sukni ani nie zdecydowałaby się na krzykliwy,

wulgarny makijaż. Zachowanie członków Rady przypominało paradę ludzi pozbawionych elementarnego poczucia smaku.

— Dobrze wiesz, że wstrzymanie szturmu na Grań nic nie znaczy. Quinatzin się teraz nie cofnie. Nie może okazać słabości. Nie tak dawno temu w jego państwie o mały włos doszłoby do wojny domowej — oznajmił czcigodny Myfosso. Jego głos był ciepły, kojący jak mleczna pierś matki. Na krągłej twarzy kapłana malował się pobłażliwy uśmiech, który sugerował, że czyta w dziewczęcym sercu królowej jak w rozwiniętej księdze.

Zdaniem Leyre uśmiech był plugawy i lepki. Słoik miodu, do którego przed chwilą ktoś naszczał.

— Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Dobrze wiemy, że tego rodzaju... demonstracje nie dotyczą szlachty. Kruzowie, podobnie jak przed nimi Ygrahowie, Aztekowie i dawni Toltecy, nigdy nie wyrzynali arystokracji. Gdy kurz opadnie, mianują nas namiestnikami prowincji — perorował Myfosso.

— Słucham? — Tym razem Leyre nie zdobyła się na uprzejmy ton. Myfosso jawnie zalecał im kolaborację.

— Przyjmijmy, że nas pokonają. Dostaną naszą dolinę. Nasze folwarki, kopalnie i huty. Kto, jak nie my, dostarczy im wiedzy, w jaki sposób efektywnie tym zarządzać? Elity odrastają powoli — argumentował Myfosso.

Ośmielony Ellatzin z zapalem zaklaskał w dłonie.

— Właśnie! Wyobraźcie sobie inkorporację Tlaszkali przez Odrodzone Przymierze. Federację. Pokój. Wolny handel. Naszą wiedzę w służbie wielkiego imperium. Czy to byłoby takie fatalne?

Leyre potrząsnęła głową jak pies wynurzający się z wody. Była zmęczona. Tak zmęczona, że nie miała nawet siły się dziwić. Jawna zdrada, nawoływanie do kapitulacji? W porządku. Zastanowiło ją raczej coś innego. Jakim cudem ten dureń Myfosso wierzył we własne słowa i ilu ze

zgrupowanych myślało tak jak on. Musiała się przekonać.

— Właśnie dlatego tu przybył — powiedziała. — Chce zagarnąć wiedzę Białoskórych, którą oni nazywali *techne*. Quinatzin posłuży się nią, żeby podbić i przemienić świat. Nie możemy do tego dopuścić.

— Do czego zmierzasz? — spytał Papan. Spojrzała na niego, zaskoczona. Od dawna nie zabierał głosu. — Wszyscy z nas, jak tu siedzimy, dysponujemy wiedzą Białoskórych. Recepturami i metodami produkcji, szyframi i formułami stopów.

— Dlatego nasze życie jest cenne — zauważył z zadowoleniem Myfosso, który miał minę, jakby właśnie oszacował własną wartość w ramach długoterminowej lokaty.

— Dlatego musimy uciekać! Przebijemy się! Pozwólmy Kruzom tu ugrzęznąć, a sami przedrzemy się do naszych sojuszników w Tikal. Królu, każ zniszczyć arsenały Dobroczyńców!

Zebrani milczeli. Rada liczyła siedmiu członków. Generał Bykotzin był pochmurny, drugi dowódca zaś, Osappo, z uporem wpatrywał się w sufit. Myfosso kręcił głową, kierując ponagląjące spojrzenie na pozostałych. Ellatzin unikał jego wzroku, posępnie zapatrzony w blat stołu. Pa'uk, który odpowiadał za bezpieczeństwo i wywiad, wstał i przechadzał się nerwowo. Skarbnik Kannazit splatał i wyłamywał palce.

No i jeszcze jej mąż, król. Rada odpowiadała przed nim. Błady i zmizerniały, wyglądał jak człowiek, który niedawno się zbudził.

— Królowa ma rację. Musimy chronić Spuściznę.

Leyre odetchnęła z ulgą. W tej samej chwili zrozumiała, że króla strzeże tylko czterech przybocznych gwardzistów, którzy rozglądają się teraz nerwowo. Wiedziała, że posłuchają Papana. Przynajmniej oni.

Zamarła, gdy Pa'uk przyłożył do warg gwizdawkę i wydał wysoki dźwięk. Nagle w sali zachrzęściły zbroje i ciężkie buty. Wokół stołu

rozstawiło się dziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy w mundurach bez żadnych insygniów. Zaskoczeni gwardziści dali się rozbroić. Intruzi o bezwzględnych twarzach najemników skierowali ostrza w stronę Rady.

— Fatalny pomysł, królu. Obawiam się, że pora na twą abdykację. Właśnie została przegłosowana — oświadczył Pa'uk.

Bykotzin poderwał się, zdezorientowany, niezdarnie sięgnął po broń. Człowiek w mundurze bez insygniów skierował na niego ostrze, lecz Pa'uk zatrzymał go krótkim gestem.

— Zamówienie opiewa na żywych!

Najemnik płynnie obrócił włócznię. Bykotzin zatchnął się, trzepnięty drzewcem w splot słoneczny, i usiadł z powrotem. Jego twarz robiła się na przemian wściekle purpurowa i blada, jakby nie mógł się zdecydować, czy woli umrzeć na apopleksję czy raczej zadławić się wstydem.

Pierwszy Kapłan uśmiechnął się do niego promiennie.

— Czas heroicznej obrony dobiegł końca, generale. Labirynt już nas nie chroni. A ja jestem stary i nie mam ochoty na tułaczkę i poniewierkę. Poza tym w Tikal mają naprawdę paskudną kuchnię. Przesadzają z tymi ostrymi sosami. Moje podniebienie by tego nie zniosło.

— Zdrajco! — Leyre dławiała się z nienawiści. Nie doceniła tego miękkiego, gruchającego drania.

— Królowo, po co ten gniew? Nie mamy się czego obawiać. Raporty wywiadu, które zgromadził czcigodny Pa'uk, nie pozostawiają wątpliwości. Quinatzin nie jest barbarzyńcą. Szanuje wiedzę i na pewno wysłucha nas wszystkich. Zwłaszcza że mamy to, na czym mu zależy.

— Armia jest wierna — wymamrotał Papan, mrugając przekrwionymi oczami.

Pa'uk uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

— Armii już nie ma, Papanie. Zalali nas, jak rzeka zalewa dziecięcą tamę

z patyczków. Niedobitki już otrzymały rozkazy podpisane przez generała Osappę. Mają zaprzestać oporu i wpuścić Kruzów do miasta.

— Dostaliście jakieś gwarancje? — głos Leyre brzmiał głucho jak pęknięty dzwon.

— Tak. Ale warunki kapitulacji są... jakby to powiedzieć... zróżnicowane. Sama rozumiesz. Obawiam się, że nie dotyczą normalnych mieszkańców Grani.

Leyre w zadumie pokiwała głową. Wewnętrzny głos, którego nauczyła się słuchać, bo częściej wychodziła na tym dobrze niż źle, zachnął się i zaklął paskudnie. Ufała deklaracjom Quinatzina nie bardziej, niż zaufałyby piraniom oferującym przeprowadzenie przez bród. Na torturach i tak przyjdzie wyśpiewać im wszystko. Kto jak kto, ale Kruzowie znali się na pozyskiwaniu informacji.

Zostało jej kilka ruchów. Najprostszym byłoby zatopienie sztyletu we własnym sercu albo, jeszcze lepiej, ciśnięcie go w gardło Myfossa. Stary głupiec na pewno przydałby się Quinatzinowi, była pewna, że poznał więcej sekretów Dobroczyńców niż inni członkowie Rady. Liczyło się to, żeby jej śmierć była szybka, a zwycięstwo Quinatzina odsunięte w czasie.

Wątpiła jednak, czy zdołałaby wyprzedzić najemników, którzy obstawili salę.

Komnatę Rady Grani zalewał wpadający przez okrągłe okno blask słońca i łuna pożarów. Leyre uniosła głowę. Wejść na stół, rozpędzić się i... wyskoczyć? Pomyślała, że powinno się udać, na tej wysokości nikt nie troszczył się o zamontowanie okiennic i krat.

Zerwała się. Przynajmniej śmierć będzie szybka. Musiała ocalić Spuściznę.

Musiała ocalić przed nią świat.

* * *

Quinatzina zmęczyło upalne słońce. *Tlatoani* zakazał gwardzistom wpuszczać do niego kogokolwiek i udał się do swojego namiotu. Tu także czekała na niego praca, dokumenty do podpisania, nieautoryzowane rozkazy, raporty kwatermistrzowskie, petycje i dane, od których dymił mu mózg. Po zwycięstwie nie pozwolił sobie nawet na chwilę rozleniwienia. Nie nastał jeszcze czas świętowania, wpieryw czeka ich żmudne pielienie chwastów, zżyzanie i młócenie kukurydzianych kolb.

Wiedział, że zmiżdżenie Termitów to dopiero początek nieodzownego procesu odrobaczania tego pięknego świata. Początek czynienia go lepszym.

Udowodnię temu przemądrzałemu Szurukanowi, że jego teorie o równowadze i wystrzeganiu się zmian to tylko tchórzliwe przesady.

Potem Quinatzin przypomniał sobie, że Czerwony Kapłan nie stawi się już do dyskusji.

Podobnie jak jego oddany uczeń, Tizok Zakuty Łeb.

Zabiłeś ich, Władco Świata — zachichotał. — To ty masz ostatnie zdanie.

Zadrżał. Wyobraził sobie siebie w wielkiej, pustej sali, pełnej potakujących szkieletów. Pomyślał, że największe spełnienie i szczęście, dostępne człowiekowi w tym życiu, często niemal nie różni się od największego obłędu. To nie była dobra myśl i Quinatzin stanowczo rozkazał jej odejść. Ale myśli nie słuchały go już od dawna.

Otrząsnął się i siadając w fotelu, sięgnął po czarę z leczniczym naparem, pobudzającą mieszankę *braazatalu*, tytoniu i destylowanych liści koki.

Jesteś przemęczony, to wszystko. Wiele dokonałeś.

To rzeczywiście niesamowite, jak wszechstronna była ta dziwaczna substancja. Jak niezastąpiona. Zdumiewające... Co więcej, nagle wzbudziła

w nim silny niepokój.

Tlatoani zmarszczył brwi i zamarł z czarką przy ustach. Przypomniał sobie, że nadworny wynalazca, Alvaratl, miał przedstawić mu wyczerpujący raport o *braazatalu*. Pochodzenie, działanie, długofalowe następstwa. Czym prędzej kłaśnięciem wezwał gwardzistę strzegącego namiotu.

— Przeprowadź mi tu Alvaratla.

— Nie ma go tutaj, panie. Wiem, bo dowódca go szukał. Hirikan chciał, żeby sprawdził kilka szwankujących rusznic. — Wyprężony na baczność Zabójca Gwiazd z trudem ukrywał zakłopotanie.

— I oczywiście mój wściekle skuteczny i wściekle kosztowny wywiad nie ma zielonego pojęcia, gdzie on jest?

— Odkąd przeszliśmy Labirynt, czcigodny, Alvaratl często wyprawia się w teren. Twierdzi, że prowadzi badania.

— A eskorta? Niczego nie wiedzą?

— Wynalazca podróżuje samotnie, Panie Świata. Twierdzi, że nic mu nie grozi. — Zakłopotanie gwardzisty wzrosło, podobnie jak gniew Quinatzina. Władca Odrodzonego Przymierza zamierzał już dać upust złości, ale zmienił zdanie. Nawet na porządne, budzące postrach u podwładnych wkurwienie nie stało mu teraz czasu.

Tlatoani skulił się, zasepiony w fotelu. Czyżby Alvaratl wciąż „badał” plemiona Zjadaczy? Czy to one zapewniały mu ochronę w terenie?

Nieludzkie stwory okazały się pożytecznym sojusznikiem, ale na samą myśl o prowadzących ich do bitwy *murgha* Quinatzinowi jeżyły się włoski na karku. Bili się, jak przystało na horde demonów, i bez oporów dawali się posyłać kruzańskim oficerom na rzeź. Idealne mięso armatnie. Pytanie, czy aby na pewno strawne. Zjadacze ginęli jak muchy, a mimo to wyraźnie ich przybywało. Potwór, z którym negocjował, wspominał coś o budzeniu uśpionych... Czy odbywał się właśnie ten proces?

Quinatzin uświadomił sobie, że żaden z jego doradców i szpiegów nie potrafi podać mu choćby przybliżonej liczebności tych stworzeń, a kapłanów, którzy dysponowali taką wiedzą, niedawno rozkazał zniszczyć. Co teraz? „Jeżeli wpakujesz do ust za dużo jedzenia naraz, udławisz się, synku”, ostrzegła go kiedyś matka.

— Macie znaleźć i przyprowadzić Alvaratla — rozkazał. — Na wczoraj, rozumiemy się?

Gwardzista zasalutował i szybko się oddalił.

* * *

Szyba w okrągłym oknie rozprysła się jak wykluta źrenica olbrzyma, zalewając Radę Grani kaskadą ostrych odłamków. Nawet mordercy Pa’uka, którzy wyglądali na obytych chłopaków, odruchowo zasłonili twarze.

Człowiek, który wylądował na stole, z ulgą puścił końcówkę liny, której drugi koniec uwiązał do iglicy najwyższej wieży Grani. Lina była czerwona i śliska. Cóż począć, w całym mieście nie znalazł wolnego sznura, a stary, poczciwy Flak nauczył go kilku paskudnych sztuczek. Zawsze mawiał, że nie każdy może być kopalnią pomysłów, ale wszyscy jesteśmy chodzącym składzikiem narzędzi, naczyń, okryć i wytrzymałych stelaży. Flak pochodził z północnych równin i nie lubił niczego marnować. W jego kraju zawsze było krucho z budulcem i surowcami. Jeżeli ludzie Flaka, koczownicy z północnych równin, mogli przerabiać na cięciwy i sznury ścięgna bizonów, to dlaczego i on nie miał sobie pomóc? Na tej wojnie surowca było pod dostatkiem.

Haran rozejrzał się szybko. Zgromadzeni w sali obrad właśnie otrząsali się z szoku. Nie dał im ochłonąć i ruszył długim blatem, kierując się w stronę tronu. Jeden z najemników usiłował go zatrzymać, ale runął, kopnięty w twarz. Bykotzin skorzystał z okazji i sięgnął po broń, poderwali się także

gwardziści. Siepacze Pa'uka znaleźli się w defensywie.

Leyre krzyknęła, gdy nieznajomy chwycił ją za ramię, jakby była leciutką dziewczynką. Oglądała teraz stół z raczej uwłaczającej perspektywy przerzuconego przez ramię tobołu, wykrzywione twarze odbijały się w rozbitym szkłe.

— Stój! — wrzasnęła, chwytając go za pas i fikając nogami.

Był już blisko oczodołu okna i zdążył ponownie chwycić za linę, gdy Leyre zapała się o zdobioną futrynę, zarzuciła mu nogi na szyję i mocno szarpnęła w dół.

Haran popatrzył na nią, zaskoczony oporem, podczas gdy wokół toczyły się pojedynki między strażnikami i ludźmi Pa'uka. Bykotzin zaszarżował jak dzik, spychając dwóch najemników na ścianę, krępy Pa'uk zabijał gwardzistów z mechaniczną sprawnością owada i niesmakiem na pyzatej twarzy.

Porywacz lewą ręką złapał królową za szyję, zdołała ukąsić go w dłoń i zakłęła, gdy jej zęby zacisnęły się na czymś ohydny. Mężczyzna uniósł prawą rękę, sięgając za plecy po miecz. Długie ostrze błysnęło metalem, sparował szybki cios włóczni. Serce Leyre zamarło. Widziała już kiedyś tę broń.

— Nazywam się Haran. Właśnie ci pomagam, choć wiem, że nie wygląda to dobrze. Ale chcę dobrze. Jak Eizaach.

Ogarnął ją gniew.

Eizaach był kiedyś żołnierzem w służbie jej rodu, żołnierzem, który zdradził, przechodząc na stronę Zjadaczy. Wprowadził jej orszak w zasadzkę, lecz później odmienił sojusze i ocalił ją. Dla Leyre Eizaach stanowił symbol zawodu i... dorastania. Bo to ona musiała zdecydować o jego winie i karze. A teraz ten intruz plunął jej w twarz sekretnym wspomnieniem, jakby to była plugawa dworska ploteczka. Leyre dla zasady nie opowiadała o swoim

wybawcy nikomu. Skąd zatem wiedział?

Czyżby Szar zdradził komuś jej wspomnienia?

— Nic o nim nie wiesz — syknęła.

— Wiem. Umarł, bo mu nie uwierzyłaś. Dlatego tym razem się pośpiesz!

Pociągnął ją w stronę okna, ale Leyre zapała się znowu.

— A reszta? Nie możemy zostawić ich Kruzom!

— Przyszedłem tylko po ciebie — warknął z twardym akcentem Druazzi.

— Quinatzin właśnie ich szuka! Wyjawią mu wiedzę Tlaszkali!
— wrzasnęła.

Nieznajomy potrząsnął grzywą, w jego niebieskich oczach zabłysło zrozumienie, na które nie śmiała liczyć.

— Spuścizna — mruknął.

Nie zdążyła nawet przełknąć zdumienia, gdy przybysz cisnął ją w kąt z niedbałą lekkością pijaka. A potem wszystko zadziało się bardzo szybko.

Najbliższy najemnik Pa'uka zatoczył się i osunął po ścianie, dodając do błękitnych fresków kolejną smugę, tym razem jaskrawoczerwoną. Następnego wroga klinga dosięgła i przepołowiła, kiedy wskakiwał na stół. Nieznajomy fechtował z chłodną, nieludzką furią. Zabijał ludzi Pa'uka i gwardzistów. Zabijał, nie czyniąc wyjątków.

Przy Bykotzinie zawahał się, po czym szybko pchnął starego żołnierza w serce.

— Bez urazy — mruknął.

Kolejny był Pa'uk. Mimo że korpulentny, cieszył się zasłużoną sławą jednego z najlepszych mieczy w królestwie. Obaj fechtowali stalą. Po dwóch złożeniach na czole Pa'uka pojawiły się krople potu. Spojrzał na przeciwnika zdumiony.

— Znam cię — sapnął.

— Prawda? — Nieznajomy roześmiał się chrapliwie.

Wyskoczył do przodu szybkim susem, tnąc znad głowy. Pa'uk sparował, wysoko unosząc miecz. Własne ostrze zraniło go w czaszkę, zatoczył się, brocząc krwią. Kontratakował niskim pchnięciem z wypadu, ale obcy obrócił się z gracją tancerza i znalazł tuż za jego plecami.

— Poczekaj — poskarżył się Pa'uk.

Za późno.

Ciężkie ostrze zagłębiło się w jego bark, tnąc ciało i zbroję jak papier. Nieznajomy odskoczył lekko i szybko rozejrzał się po sali. Potem od niechcienia przyspilił Ellatzina do oparcia rzeźbionego krzesła. Fircyk zatrzepotał jak groteskowy motylek, ciemna czerwień rozlała się plamą po pierzastych szatach, ginąc w przepychu barw.

Kannatzin podzielił jego los. Walczący ze sobą wojownicy zbyt późno zdali sobie sprawę, że na wilki poluje pantera i warto by wspólnie przeciwstawić się silniejszemu drapieżcy. Wreszcie nadszedł czas na ostatniego z gwardzistów, odważnego mężczyznę z włócznią, który wcześniej bił się z siepaczami Pa'uka. Leyre pamiętała go. Nakocztin przez wiele lat był ochroniarzem i uchodził za znakomitego szermierza. Broń furkotała mu w dłoniach. Zszedł do niskiej, przykurczonej pozycji, wymiatając ostrzem ziemię spod stóp obcego. Większość ludzi spróbowałaby uskoczyć lub zastosować blok, ale intruz wyszedł atakowi na spotkanie i stopą nonszalancko przydeptał włócznię Nakocztina, odbił się i kopnął go w twarz, obracając się w powietrzu jak fryga. Następny atak był już wymierzony w podchodzącego doń nowego wroga, chudego najemnika z *macuahuitlem*. Kolejny ruch, pchnięcie do tyłu, gwarantował, że Nakocztin nie żyje.

Najbardziej nieprawdopodobna była jego szybkość. Natura jest pod tym względem sprawiedliwa, wysocy mają przewagę zasięgu i czasem siły, ale tracą na koordynacji ruchów i tempie reakcji, łatwiej ich obalić i wolniej się

poruszają. Tak przynajmniej powinno być, ale ten mężczyzna, wysoki nawet na tle roślących Tlaskalan, grasował między nimi jak puma wśród ciężkawych, ogłupiałych kapibar.

Leyre nie była mistrzynią szermierki, ale nawet jej skromne umiejętności pozwalały docenić jego sztukę. Choć nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia parę lat, kipiała w nim nieprawdopodobna energia.

Teraz ostatnim żywym członkiem Rady był Papan. Nieznajomy oparł miecz o jego szyję i nagle zawahał się.

— Idziesz z nami — warknął.

— Dlaczego? — głos Papana był szary i zimny, popiół zmieszany ze śniegiem.

— Bo potrzebna nam twoja wiedza i mądrość. Znajdziemy sojuszników i powstrzymamy Kruzów!

Król wyprostował się na tronie. Leyre uświadomiła sobie, że jej mąż przesiedział walkę zatopiony w myślach. Cały on. Jakby spokojnie czekał, kto najdłużej utrzyma się na nogach, żeby złożyć mu najkorzystniejszą ofertę.

Papan spojrzał obcemu w oczy z jałowym zainteresowaniem owada, który nagle zaczyna studiować naukowca wbijającego mu w odwłok szpilkę. Powoli pokręcił głową. Jego twarz była znużona i szara, ból wyłobił w niej własną kronikę bruzd. Gdzieś z dołu dobiegł ich głuchy odgłos tarana pukającego do bram.

Kruzowie szturmowali pałac.

— Zostawcie mnie. Jestem zmęczony. Nie będę uciekał i krył się, jak jakiś rabuś, na wzgórzach. Od dawna chciałem to przerwać, a tak — parsknął niewesołym śmiechem — historia przynajmniej powie, że miałem odwagę szczeznąć ze swoim ludem.

Nieznajomy wciąż wahał się i wtedy do tronu zbliżyła się Leyre. Trzymała włócznię jednego z gwardzistów.

— Szkoda, że tyle zwlekałeś! — syknęła i wbiła mu ostrze w serce.

Oswobodziła broń i odgarnęła włosy z twarzy. Jej wybawca otrząsnął ostrze z krwi i otarł je o płaszcz trupa. Obrócił na nią nieruchomą, wyzutą z emocji twarz.

— Dlaczego mam z tobą iść? — zapytała cicho.

— Bo inaczej zginiesz.

— Jeszcze raz. Dlaczego mi w ogóle pomagasz?

Obcy roześmiał się, w jego oczach zamigotało szaleństwo. Potrząsnął grzywą, bryzgając wokoło kropelkami krwi, i pociągnął ją do wybitego okna.

Leyre spojrzała w dół, na panoramę zgliszcz, którą jeszcze niedawno nazywała domem. Jej wybawca podał koniec liny.

Chyba upłótl ją z czegoś, o czym wolała teraz nie myśleć. W czerwonej łunie trawiących miasto pożarów zauważyła, że ma jasną, zszarzałą skórę, która mocno kontrastowała z jaskrawą czerwienią pożogi.

— Przysyła mnie Szar.

Rozdział 23

Po co nosić maskę, gdy nie ma się już twarzy?

Emil Cioran

Alvaratl dyszał, z trudem chwytając rozgrzane, duszne powietrze. Wykończyła go pospieszna podróż z Tlaskali do Yugal, odbyta pod pretekstem inspekcji i zabezpieczenia dostaw *braazatalu* dla strzelców i sojuszników. Wykończyło go podniecenie i dzika tęsknota, uniesienie i wyczekiwanie. Teraz jego zmysły musiały zmierzyć się z atmosferą kopalni.

Nie chodziło nawet o to, że Doły śmierdziały, atakowały zmysł powonienia przeraźliwą mieszanką żywicy, odchodów, zgniłego mięsa i krwi, smrodu setek niemytych ciał, nieczystości i kwaśnych ludzkich wyziewów. Do tego dochodziła ostra woń Zjadaczy, która nie przypominała niczego, co mógłby wyobrazić sobie nochal z ludzkiego świata.

Brakowało powietrza dla stłoczonych tutaj mas harujących, udręczonych ludzi i sycących się nimi drapieżców. Wiedział, że wielu skazańców szybko popada tu w obłąd. Bo zaiste, kopalnie *braazatalu* były emanacją jakiegoś boskiego szaleństwa, jak lepka, odrażająca myśl, którą szemrany bóg, odpowiedzialny za kształt tego przekłętego świata, snuł, kiedy miał naprawdę zły dzień.

Tak, uznał, Doły to hipostaza wiecznego obłądu boga i... dowód na jego istnienie. To musiało mieć stwórcę, sama natura nie zrodziłaby czegoś podobnego, zachichotał, przyspieszając kroku. Wystarczyło raz znaleźć się

w Lasach Kościanej Pieśni, które w Dołach stanowiły najdalszy, najstraszliwszy matecznik Zjadaczy, by już nic nie było dla umysłu takie jak przedtem. Oczywiście, ktoś mógłby zapytać, a co ty wiesz o bogach? Otóż wiedział, i to całkiem sporo. Właśnie szedł spotkać się z jednym z nich.

Ostrzegawcze warknięcie z przodu kazało mu się zatrzymać. Coś sunęło tunelem przed nimi. W świetle pochodni zrobionej z kości udowej, którą trzymał skulony przewodnik Zjadacz, mignęło coś obłego i wilgotnego, z purpurową, gąbczastą skórą i płaskim otworem gębowym, wgryzającym się w skały i piach. Co jakiś czas stwór strzykał na skałę żrącym, zielonkawym jadem, który korodował ją, sycząc przy tym i dymiąc.

Wrzecionowaty kształt szczelnie wypełnił tunel przecinający ich trasę. Alvaratl trwał nieruchomo, podziwiając spektakl. Na szczęście ogromne wije z podziemi były ślepe. Tu, na najgłębszych poziomach Dołów, spotykało się naprawdę dziwaczne i niebezpieczne istoty. Wszystko, co uchowało się z Klątwy, skupiło się właśnie tutaj, jak kryjące się pod wilgotnym kamieniem robale. A teraz wielki zamysł Horen'So miał przebudzić to całe mrowisko.

Żaden człowiek nie przemierzałby Dołów w podobnie beztroskim nastroju, lecz istota znana jako Alvaratl, nadworny wynalazca władcy Kruzów, od dawna nie była człowiekiem. Pokąsałaby za taką zniewagę. Alvaratl był nawróconym *hikku'tai*, co znaczyło, że spłodziły go nieczyste istoty ludzkie i dopiero potem znalazło go światło Roju. Mimo to w nagrodę za zasługi i poświęcenia poniesione dla hordy mógł spodziewać się nawet ascencji do statusu *murgha*.

Na samą myśl o tym zeszywniał i oblizał usta językiem, który już niedługo rozwidli się i szernieje. Na Rój... taka bezgraniczna potęga. Pałace mózg piękno. Stać się wreszcie jego panem i władcą, a nie bałwochwalczym, wylęknionym sługą. Było to jak najbardziej możliwe. Dary *mo'qun* nie znały granic, przekraczały granice płci, gatunków i światów. Nawet dla kogoś, kto

zaczął życie jako plugawa istota ludzka, otwierała się taka możliwość.

Był już w pobliżu Yugal, gdy dowiedział się, że rozsierdzony Quinatzin wysłał za nim swoich Zabójców Gwiazd. Na szczęście zwiadowcy *hikku'tai*, służący jako przewodnicy kruzańskich sił inwazyjnych, dowiedzieli się o tym i posługując się *czikulem*, specjalnym, wytresowanym nietoperzem z Saaratha Ka'Ron, przesłali Alvaratlowi ostrzeżenie. Nietoperze pocztowe Zjadaczy były znacznie lepsze od gołębi, używanych w tym celu przez ludzi.

Nie przenosiły listów, tylko powtarzały wiadomość piskliwym głosem upiornego dziecka.

Nietoperz dał mu przewagę, dzięki której bez przeszkód dotarł do Yugal i tajnym przejściem przedostał się do Dołów. Nie obawiał się oskarżeń o zdradę, nikt poza nim nie zapewni *tlatoanemu* jego bezcennych strzelb – przynajmniej przez jakiś czas. Wiedział jednak, że król zakaże mu jakichkolwiek kontaktów ze Zjadaczami.

Zwycięstwo w Bitwie o Labirynt rozbudziło paranoję *tlatoaniego*. Może widok setek Zjadaczy, atakujących i pożerających wrzeszczących Tlaszkalan, kazał mu przemyśleć polityczne konsekwencje wspierania tych istot? Lub świadomość, że teraz, po osłabieniu kapłanów, zamierzał ich ostatecznie zastąpić, sprawiła, że nie mógł otwarcie afiszować się z podobnym świętokradztwem?

Ciekawe, co powie na to Najstarsza. Alvaratl był dumny, że istota tak potężna, przenikliwa i wiekowa dzieli się z nim swoimi myślami, że razem wykuwają taktykę działania. Po takich sesjach codzienna porcyjka pochlebstw, wykrętów i kłamstw, którymi raczył Quinatzina, przychodziła tak łatwo, jak bezzębnemu starcowi mlaśnięcie. Pomagało mu zapewne, że na dworze *tlatoaniego* roiło się od inteligentnych i ambitnych ludzi podłego pochodzenia, a takim często brakuje ogłady. Zupełnie jakby hodowla wdzięku trwała najdłużej ze wszystkich przymiotów elit.

Wszędzie unosiły się duszne opary kopalni. *Braazatal*, wszechobecna, upojna trucizna. Piżmowy, żywiczny zapach nie z tego świata, jak wyraził się kiedyś królewski perfumiarz, nie przeczuwając, że wyświechtanym określeniem trafił w sedno. Alvaratl oddychał chciwie. Woń przypomniła mu młodość, długą drogę, jaką od lat spiralnie podążał w dół. Mroczny czas formowania i presji, gdy jego życie nabierało dopiero kształtu. Zapewne każdy tak ma, z mnogości oddziałujących sił wybierasz jeden kierunek i nurt.

Jego wybrała zbrodnia.

Za młodu studiował w Lin Ren, bogatym mieście-państwie na zachodnim wybrzeżu. Powstałe tam twory państwowe sięgały czasów Klątwy, kiedy to uciekinierzy zza Oceanu Zachodniego przybyli do krajów Prawdziwych Ludzi, przynosząc wieść o głodzie, chorobach i klęsce. Przypłynęło ich tak niewielu, by nie wzbudzili nienawiści. Poza tym zachodnie wybrzeża nigdy nie były gęsto zaludnione.

Nie zaliczali się także do Białych Diabłów, ich rasa miała inną historię. Z początku Prawdziwi Ludzie nazywali ich pogardliwie Żółtymi Psami, lecz nazwa się nie przyjęła. Wszystkie te republiki dostały się pod nominalne panowanie Odrodzonego Przymierza i były wystarczająco rozsądne, by nigdy nie buntować się przeciwko Kruzom.

W Lin Ren nauczał wtedy Yan-Oatl, największy z żółtoskórych żyjących mistrzów alchemii. Nie przeszkadzało mu, że Alvaratl jest Totonakiem. Pod jego kierunkiem młody Alvaratl uczył się, jak miażdżyć w moździerzu perły, mieszać je z rtęcią i sproszkowanym nasieniem wąsatych smoków. Szybko stał się faworytem starszaka. Jego rywalem był Oczkil, zawzięty Otomi z pustyni, który świetnie znał się na botanice i skałach.

Rywalizacja między nimi szybko osiągnęła stan krytyczny i wszystko wskazywało na to, że to Oczkil zostanie faworytem mistrza. Był bardziej pracowity, bystrzejszy, obdarzony lepszą pamięcią. Alvaratl czuł, że życie

wyrządza mu krzywdę.

Podczas oblewania końcowych egzaminów w oberży, w pijackim gwarze i tłumie, niosąc z baru tacę z czarkami z *pulque* i miejscowym, ryżowym winem, skusił się i dyskretnie dosypał szczyptę trucizny do naczynia, które trafiło w ręce Oczkila. Przeciwnik popatrzył Alvaratlowi w oczy i powoli, z uśmiechem sytej lubości podniósł je do warg. Wtedy Alvaratl zrozumiał podstęp, zdrajca z góry przewidział, co on zrobi, i zaopatrzył się w stosowne antidotum. Otomi słusznie założył, że zazdrosny rywal posłuży się najskuteczniejszym i najpopularniejszym specyfikiem, suszoną skórką czerwonej żabki.

Odczynnik, którym Oczkil wysmarował wargi, wszedł w reakcję z trucizną, pieniając się purpurowo. Studenci poderwali się z ław, ktoś krzyczał słowa o zdradzie, ktoś błyskał czarną klingą obsydianowego sztyletu. Otomi wypluł napój i spokojnie odłożył czarkę. Trzeba to zbadać, rzekł. Przeszukać trucicielowi kieszenie.

Wybuchł straszliwy rwetes. Alvaratl uciekał, lecz szybko został schwytany. Na jego ubraniu znaleziono ślady trucizny, a potem torturami wydobyto pasujące do znaleziska zeznania. Tydzień później, oficjalnie wypędzony ze szkoły, maszerował już przywiązany do długiej żerdzi, w chmurze smrodu i kąśliwych much. Otaczała go elitarna kompania zatwardziałych i niebezpiecznych zbrodniarzy. Największych zwyrodnialców Przymierza, skazanych na ostatnią, podziemną katorgę. Byli tam ojcobójcy i matkojebcy, truciciele i mordercy dzieci. Autorzy bezbożnych wierszyków i podatkowi dłużnicy. Karawana zmierzała do Yugal.

Podróż okazała się ponurym, spieczonym od słońca koszmarem pragnienia, bicia i gwałtów. Zbyt wielu skazańców nie miało nic do stracenia, ich żądze zawstydziłyby nawet najdziksze zwierzęta. Ale w porównaniu z wyuzdaną ohydą Dołów ta przeprawa i tak okazała się sielskim spacerkiem.

Alvaratl nie znalazł w kopalniach sprzymierzeńców i szybko zrozumiał, że umrze.

Dzień, w którym spadły na nich demony, powitał niemalże z ulgą. Modlił się tylko o to, by stanąć Zjadaczom kością w gardle. Ale oni znaleźli przy nim próbki skał i sproszkowanych kości, które gromadził, nawet tutaj posłuszny swojej uczonej obsesji. I to ona go ocaliła, a może skazała na gorszą, straszniejszą zgubę. Zamiast pożreć go razem z innymi, Zjadacze przywiedli go przed oblicze *murgha*. Potem demon zdjął maskę i dla Alvaratla wszystko się zmieniło.

Przemiana duszy współgrała z mutacją ciała. Zupełnie jakby jakiś zakodowany w organizmie mechanizm czekał na ten właśnie moment, żeby rozpocząć przemianę. Poza nieludzkim, szalonym zachwytem i wzruszeniami, których doświadczył na widok nagiego oblicza *murgha*, nie został potraktowany obsydianowym skalpelem. Mimo to jego ciało zaczęło się gwałtownie zmieniać.

To była jedna z największych zagadek Zjadaczy, jak myśl może aż tak oddziaływać na formę. Po miesiącu był już prawdziwym *hikku'tai*, z jego apetytem, nerwowymi ruchami, wrażliwymi, pobudzonymi zmysłami, z nienasyconym głodem i szaleńczą, niegasnącą żądzą. Zjadacze byli skazani na węszenie, polowanie, czujność. Po dwóch miesiącach jego wybawcy powiedli go przed oblicze Królowej.

Pamiętał moment, gdy przestąpił progi komory łęgowej, ukrytej w najgłębszych, pilnie strzeżonych czeluściach Dołów. W nozdrzach poczuł żywiczną woń *braazatalu*, tak silną, że aż zakręciła mu w głowie.

— Alvaratlu. Alvaratlu, podejdź tu.

Zadrzał. Zamknięta w bezkresnej złotej przestrzeni, za którą kłębiły się obce, nieziemskie kształty, sploty leśnych olbrzymów porośniętych purpurową hubą, żywe wyspy i kamienne statki, czekała na niego istota zrodzona ze

snów.

Zielone, skłębione połacie Drzewiska, bujność i mocne życie, przy którym ten suchy, skarłały świat był tylko martwą pustynią. Zachody słońca niczym pożar, pożary niczym galop ognistych byków. Dom. Nie widział go nigdy, lecz tęsknota drażyła w jego sercu jak sztylet. Tak jak draży w sercu każdego Zjadacza, i Alvaratl, mieszaniec urodzony w kraju Totonaków, zapłakał, wspominając utracony dom, do którego kiedyś Wierni powrócą przez morze gwiazd. W nagłym drzeniu zrozumiał, że Pani Zjadaczy nigdy nie opuściła Drzewiska, że wciąż podtrzymuje połączenie, możliwe dzięki pradawnym czarom.

Gdzieś za nią huczały płomienie, jeszcze dalej majaczyły ciemne kształty, których nie widział nigdy żaden człowiek.

— Przebudzisz dla mnie pozostałe Królowe. Wszystkie. Dasz im *braazatal*, tyle, ile będzie trzeba. Rodzę go, znowu rodzę. Czarne Łono przestało być suche. Gdy zbudzi się cały Krąg, każ im tu przybyć. Królowym ze wszystkich Rojów. Ich miłość uwolni mnie. Miłość. Miłość. Miłość.

Alvaratl pokłonił się, oszołomiony. Oczywiście, jako adept alchemii znał proces tworzenia się smaru. Zwykły kopal powstawał, gdy żywica z pradawnych lasów zastygała i zmieniała się w kamień. Jego mistrzowie od alembików i retort mówili na nią „krew olbrzymów”. Ale *braazatal* był inny. Królowa Roju, wspomagana potężną mocą, która kryła się tylko w grotach Yugal, potrafiła wytwarzać płynną żywicę i ambre, co stanowiło doprawdy potężną moc. Dzięki czarom Najstarszej podobną zdolnością dysponowali też *mo'qun*, którzy wydzielali *braazatal* w reakcji na zranienie. Jego skład chemiczny zostawał dodatkowo przekształcony przez Najstarszą. Jedyną Królową, która nie zasnęła po Klątwie i wciąż zachowała płodność.

Bezcenne, wszechstronne diabelstwo, na które połakomili się ludzie. Robili z niego kadzidła i oleje, biżuterię i lakiery. Narkotyki, lekarstwa

i broń.

Matka wytłumaczyła mu, że *braazatal* może być wszystkim.

A potem Heren'So, Pierwsza i Ostatnia, Matka Tysiąca Dzieci, popłynęła do niego przez magmę, naga i bezwstydna. Ujrzał jej pozbawione maski, obnażone oblicze i poczuł głęboki spokój, ukojenie, przy którym sen opiumisty to dygot. Oraz bezgraniczne szczęście, wrażenie, że zło i ból to tylko aberracja, błąd w sztuce, którego można uniknąć.

Wystarczy, że jego cudowna Królowa jest blisko, że jej ciało emanuje przez płyty bursztynowego sarkofagu, uśmierza i syci, i koi. Wtedy nie wiedział jeszcze, że nic nie sprowadzi na ciebie większego bólu niżli daremne dążenie, by ustał.

Heren'So pamiętała utracone Drzewisko, wezwanie Montezumy i przeprawę przez Pustkę i Czerń. Alvaratl uczył się od niej pilnie, lecz nie mógł pojąć, czemu Najstarsza i jej dzieci opuściły bujną, przerażającą wspaniałość Saaratha Ka'Ron. Podróż zabiła większość z nich, zasiedlanie nowych światów udawało się niezwykle rzadko. Sieć Bram Ognia z biegiem eonów zmieniła się w porwaną siatkę, diagram naznaczony coraz większą liczbą opustoszałych i utraconych kolonii. Dlaczego Najstarsza w ogóle podjęła to przedsięwzięcie? Dlaczego porzuciła żyzne ogrody i dżungle, żeby żyć na tym ubogim ludzkim ugorze?

Odpowiedź była oczywista. Drzewisko umierało. Ale Pierwsza i Ostatnia wyśmiała jego domysły.

— Przygoda, Alvaratlu. Przygoda i odrodzenie. Wezwanie wskazało nam drogę przez Ogień. W Drzewisku było nas już wtedy niewielu. A i tak nie wszyscy chcieli mnie słuchać — dodała, a na jej boskiej twarzy pojawił się smutek.

Któregoś dnia pokazała mu bezkresne rzędy żółtawych, półprzezroczystych jaj. Sarkofagi. Niezwłocznie zapytał o nie Królową.

— Czy oni wszyscy śnią tutaj od czasu Klątwy?

Pramatka zaśmiała się. Miała aksamitny, gruchający głos, stłumiony, jakby dobiegał z oddali. Jakby jedwabna szarfa zaciskała się na gładkiej, dziewczęcej szyi.

— Niektórzy z nich. Dopadł ich czas, choroby, uwiąd i słabość. Ten świat jest inny, a my jesteśmy tu obcy — zanuciła. — Oni śpią. A teraz przebudzą się i uczynią tę ziemię sobie posłuszną.

— Nie użyłaś swej mocy podczas Klątwy. Dlaczego pozwoliłaś ludziom nas przepędzić? — ośmielił się zapytać Alvaratl.

Królowa wzruszyła ramionami.

— Nie doceniłam oporu tego świata. Zabijało nas powietrze i woda. Białoskórzy okazali się trudnymi przeciwnikami, słuگو. Byli inni niż Prawdziwi Ludzie. Metodyczni i zdyscyplinowani, z umysłami zimnymi jak ostrza ich mieczy. Niepoddający się żadnej magii, może poza ich własnym obłędem. Umierali od chorób, które ze sobą przywieźliśmy... lecz my umieraliśmy także. Ale my mieliśmy *mo'qun* i nasz cudowny kopal. Przetrwaliśmy, a po nich zostały jedynie budowle i księgi — uśmiechnęła się.

— I broń — zauważył Alvaratl i zaraz ugryzł się w język.

Ale Najstarsza nie rozgniewała się.

— Tak, broń. Strzelby Białoskórych wisiały na ścianie przez setki lat. A teraz wystrzelą.

Potem Heren'So rozkazała mu wrócić na powierzchnię i Alvaratl z powrotem stał się człowiekiem. Przez lata wypracował sobie renomę badacza i mędrca. Podróżował do majańskich miast Tikal i krajów Inki, prowadził nawet korespondencję z kilkoma Kretami z Tlaszkali. Gdy powrócił do rodzinnego Kraju Totonaków, był już powszechnie znanym uczonym. Wtedy posłańcy Najstarszej dostarczyli mu egzemplarz starożytnej, zakazanej broni, którą kiedyś posługiwały się Białe Demony.

Kazali mu wyprodukować odpowiednik, który zamiast prochu stosowałby sam, wybuchowy, łatwopalny specyfik oparty na *braazatalu*.

W końcu z Alvaratlem skontaktował się sam *tlatoani* Przymierza, zwabiony pogłoskami o jego odkryciach. Najstarsza mogła być z niego dumna.

* * *

Korytarz skończył się nagle, przechodząc w rozległą jaskinię, której głębię rozświetlała złowroga, żółtawa luna. Strażnicy rozstąpili się, przepuszczając go dalej. Alvaratl zatrzymał się, nagle wzruszony. Nie widział jej od tak dawna. Przez te wszystkie lata, gdy wypełniał jej plan, tęsknił za tą jedną chwilą.

Bursztynowy sarkofag Najstarszej, Pierwszej z Królowych Saaratha Ka’Ron, migotał w ciemności jak złota źrenica smoka. Kobięcy głos, miodowy, ciepły jak kopal i zakłęte w nim cieniste wizje, wypełnił duszę Alvaratla. Jak zawsze uderzyło go, że słucha istoty starszej niż góry, która tu, w zapieczętowanej od czasów Klątwy komnacie, znalazła tymczasowe schronienie. Obóz na jedną noc.

— Więc król zaczyna nas podejrzewać? — W pytaniu Najstarszej wyczuł niepokój, który nim wstrząsnął. Bogini nie powinna się bać.

— To człowiek. Ludzie nie zaufają nam nigdy — odparł.

Najstarsza zafalowała, przemierzając mrok, który chyba był jego umysłem. Przy niej czas i przestrzeń puszczały się w dziki tan.

— Czyli wciąż nie wie. — Kolejny niepokojący element w jej głosie, ulga.

Ona się ich boi. Poprzednim razem ludzie nie dali się nabrać.

— Doceniam twój zmysł zwątpienia, Alvaratlu. Lubię, kiedy kwestionujesz moją boskość. Choć to... ryzykowne. — Zaśmiała się.

Wynalazca wzruszył ramionami, a falujący, dziwnie posuwisty ruch uprzytomnił mu, że przed chwilą wyrosły mu skrzydła. Albo macki.

Wokół nich ryczało i wyło Saaratha Ka’Ron. Ocean szturmował klify, ogromny, rozplątany wieloryb szamotał się bezradnie, atakowany przez Planetę brodzącą po kostki w głębinie. Saaratha Ka’Ron, Drzewisko Zjadaczy. Kraina wścieklej bujności, kraina spienionego życia. Alvaratl powinien zawsze pamiętać, skąd oni przyszli. Skąd przybyli gwiazdni wygnańcy.

— Lubię cię, bo jesteśmy podobni. Zbyt często naszych *hikku’tai* werbujemy z powodu zupełnie innych przymiotów. Cech godnych szakali i hien, a nie świadomych i czujących stworzeń. Ty jesteś inny, Alvaratlu. Czy wiesz, że w twoich żyłach płynie krew Białoskórych? — zagruchała Najstarsza.

Uczony nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. I nie tylko dlatego, że nigdy nie słyszał o hienach. Oczywiście, zdawał sobie sprawę z krwiożerczej, popędliwej prostoty szeregowych *hikku’tai* i ich ograniczeń. Niewielu ludzi werbowano dla ich umysłów, jak jego. Inteligencją dysponowały wyższe, szlacheckie kasty Zjadaczy, *murgha* i tajemniczych *mo’qun*. Ale żeby ktoś chwalił go za płynącą w jego żyłach krew Białoskórych?

To tak, jakby komplementowano za ciekawą odmianę nowotworu.

Bo choć Alvaratl był już przeistoczony i pod kamuflażem ludzkiej skóry, gestów i słów ukrywał przyczajonego Zjadacza, to wciąż pamiętał o bólu, upokorzeniu i hańbie, jakie wiązały się z jego pochodzeniem. Był mieszańcem, pomiotem nieczystych.

W Kraju Totonaków, skąd pochodził, żyło wielu z domieszką krwi Białych. Gdy był dzieckiem, za poprzedniego *tlatoaniego*, Szare Pasy mordowały ich tysiącami. Jeśli Alvaratl myślał o kropli krwi Białych Diabłów, która zatrula mu żyły jak truciciel studnię, to raczej z nienawiścią

i strachem.

— Przecież wy i Białoskórzy byliście śmiertelnymi wrogami — zaprotestował cicho.

Najstarsza mruknęła potwierdzająco.

— To prawda. Ale byliśmy także podobni. Łączy nas instykt zdobywców. Na zew Montezumy odpowiedzieli najdzielniejsi i najbardziej szaleni. Zdobywcy, posłuszni naszej awanturniczej naturze. Tacy jak moja młodsza siostra, Greisha. Potrzebuję jej. Musisz ją zbudzić, Alvaratlu.

— Ale zakaz... Quinatzin będzie mi patrzył na ręce.

— Właśnie dlatego daliśmy temu głupcowi *braazatal*. Powiedzmy, że zawieruszy się jedna, jedyna karawana z bronią. Kilka skrzynek jego bezcennych naboji. To wystarczy, by zbudzić gniazdo Zjadaczy. *Braazatal* jest teraz wszędzie, gdzie dotrą jego niezwyciężone legiony.

W jej śmiechu nawet nie było pogardy. Raczej rozbawienie i pobłażliwość. Jakby mówiła o dziecku, a nie o największym władcy Kruzów od czasu Huranoatla Szarego.

— Poza tym pamiętaj, że króla nawiedzają wizje. To częste u miłośników kopalu... naprawdę nie warto zaczynać.

— Manipulowałaś Quinatzinem, jeszcze zanim odnalazł mnie w Kraju Totonaków? — Alvaratl nadstawił uszu.

Zbyła go zniecierpliwionym machnięciem pięknej, wysmukłej, szponiastej dłoni.

— Pokazałam mu... nieziszczony scenariusz. Formę, która czekała ten świat, gdyby Białoskórzy nie zostali wytepieni. Quinatzin połknął haczyk. Maszyny, koła zębate, parowozy i dymiące kominy wydają mu się cudowne i tajemnicze. Romantyczne — głos Najstarszej stwardniał od okrucieństwa. — Ty znajdziesz i przebudzisz dla mnie Greishę. Przygotowałam dla ciebie mapę, która pozwoli ci odnaleźć jej miasto, uspięne od pięciu stuleci.

— Quinatzin nabiera ostatnio podejrzeń. Powinienem być przy nim i rozwiewać je, pani — zaproponował Alvaratl. — Może lepiej zlecić to zadanie komuś innemu. Komuś z gromady Gurkho.

Śmiech Najstarszej był jak trzaśnięcie kańczuga.

— Gurkho i jego ścierwojady to płotki. Greisha to inna skala, słuگو. W Drzewisku była mi niemalże równa, a przynajmniej za taką się miała. Nie posłuchałaby kogoś z małej, bandyckiej hordy. Udasz się do niej osobiście i przebudzisz ją, a potem przekazesz jej moje słowa. Zaraza dobiegła końca, bo odnalazłam lekarstwo. Czas skończyć Rozproszenie i na powrót zjednoczyć Roje. Jej akces dobrze wpłynie na pozostałe Królowe.

Alvaratl chciał powiedzieć, że może zabraknąć mu siły przekonywania, ale przezornie milczał. Wzrok Horen'So wiercił i sondował mu czaszkę, popłynęła do niego przez ogień i mrok. Nieludzkie palce musnęły jego policzki i aspirujący Zjadacz wzdrygnął się, czując, jak martwieje mu twarz.

— To wystarczy — szepnęła jego władczyni.

— Zrobię to, pani — wyszeptał Alvaratl.

Choćbym miał umrzeć dla ciebie.

— Oczywiście — szepnęła. — Choćbyś miał umrzeć.

* * *

Haran pomógł Leyre opuścić się po linie z wieży będącej siedzibą Rady. Nigdzie nie było widać strażników, cały garnizon Grani bronił się na wewnętrznym murze kompleksu pałacowego. Barbarzyńca przeprowadził dziewczynę dachami, z których rozpościerał się widok na oblężenie.

Wyglądało na to, że pułki Kruzów szturmują pałac, ignorując broniące się w dalszym ciągu dzielnice. Opancerzone, chronione tarczami kolumny elitarnych Zabójców Gwiazd nieustępliwie parły naprzód, atakowane przez tłumy Tlaszkalan. Przywodziły na myśl nieustępliwie, ociężałe żuki, które nie

patrząc na straty, w gryzają się w czeluść mrowiska, żeby zatopić żuwaczki we wrażliwym odwłoku królowej. Nie miało to większego sensu ze strategicznego punktu widzenia, ale najwyraźniej Quinatzinowi chodziło o coś innego.

Na dziedzińcach i placach Dzielnicy Wewnętrznej także wybuchły walki. Niektóre ulice płonęły, na innych barykady trzymały się krzepko jak podmywane przybojem tamy. Gdzieś blisko, bardzo blisko, krzyczała umierająca kobieta. Leyre szybko przekonała się, że z zamkniętymi oczami jest łatwiej, zwłaszcza gdy jej wybawca kazał jej skakać nad wąskimi uliczkami Dzielnicy Wysokiej.

— Poczekaj. Co się stanie z miastem? — zapytała go, gdy znaleźli się na zatłoczonych, przepełnionych uchodźcami ulicach.

— Upadnie — odparł barbarzyńca.

— A mieszkańcy? Możemy im jakoś pomóc?

— Byłaś królową, prawda? Chyba nie brakowało okazji?

Sarkazm zabolął ją bardziej, niż się spodziewała. Kogoś jej przypominał.

— Daruj sobie. Mówię o ich obecnym rozpaczliwym położeniu...

— Biedacy, którzy zostali na zewnątrz, są w gorszym. Tutaj sprawy przynajmniej potoczą się szybko. Na twoich poddanych w terenie poluje trzydzieści tysięcy Kruzów, najemników, nomadów i zbójów. Hołota z całego imperium.

— I co z tego? Bo chyba nie zrozumiałam.

— Szybki przerób, lżejsza śmierć. Tutaj nikt nie będzie mieć czasu na tortury i inne harce. No i zgwałci cię mniej chłopaków.

Trzasnęła go w twarz. Wyszczrzył zęby.

— Szaratangę też prałaś?

Zrobiło jej się głupio.

— Masz przynajmniej jakiś pomysł na opuszczenie miasta?

— Aha.

— Zamieniam się w słuch.

— Poczekamy, aż padnie.

Przerwał im odgłos eksplozji. Artyleria, ukochane zabawki Quinatzina. Takich cacek Termity nie stosowały, choć mogły.

Niezdobyte jeszcze przez Kruzów kwartały były zatłoczone, ale ogród przy Świątyni Opatrzności, o dziwo, świecił pustkami. Bogowie chyba stracili kredyt zaufania po Drugiej Bitwie Czarnego Psa. Ich kapłani czuli to i dziwnie ucichli. Niektórzy zaczęli nawet pomagać, opatrując rannych i budując barykady.

Leyre nie poznawała tego miejsca. Z rabatek i grządek zniknęły wszystkie rośliny, które nadawały się do zjedzenia. Królowa miała nawet wrażenie, że widzi mniej dzieci i starców, lecz szybko odpędziła tę okropną myśl. Na pewno zdołali uciec... kazała przecież Pa'ukowi ewakuować najsłabszych.

Haran polecił jej zdjąć z siebie wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość. Potem wręczył jej brudną suknię i prosty, jutowy płaszcz. Leyre wpatrywała się tępo w odzienie. Suknia upstrzona była wstrętnymi, rdzawymi plamami.

Leyre pobladła.

— To nie to, co myślisz — mruknął barbarzyńca.

— To krew.

Zwymiotowała na smętną ruinę grządki. Haran uśmiechnął się, rozbawiony.

— Opanuj się, bo wezmą cię za rozpieszczoną bogaczkę. W tym mieście od dawna nikt nie ma czym rzygać. Poza tym myślałem, że widziałaś już Drogocenną Wodę.

— Nie robimy tego, co Kruzowie. Nie musiałam jej nigdy dotykać —

warknęła. — Skąd... Do kogo należała ta suknia?

Patrzyła na niego w napięciu. Haran przypomniał sobie umierającą Eniszę i uśmiechnął się krzywo. Ciekawe, czy miałyby za złe?

— Do podziału łupów. Ubieraj się.

Patrzyła na niego bez słowa. Długo i po królewsku, spojrzeniem, które rozpuszczało pewność siebie ministrów, gwardzistów i dworzan. Ktoś inny, na przykład Tennok, już dawno przestępowałby z nogi na nogę albo oglądał paznokcie. Ewentualnie uklęknął. Harana za bardzo bolały nogi, od czasu Ofiary Kamienia coś mu strzykało w kolanach. Na paznokcie z zasady nie patrzył. Wciąż zbyt wyraźnie pamiętał, jak Citlali za pomocą specjalnych szczypczyków usuwała je po kolei Szaratandze. Spokojnie, delikatnie, z iście kobiecą empatią. Kto powiedział, że wrażliwość i dar wczuwania się w emocje drugiego nie przydają się podczas tortur?

Tamten ból i bezsilność raz po raz wracały do niego w snach, choć wśród jego najgorszych zmór konkurencja była naprawdę mordercza.

Cóż, teraz miał koszmary za dwóch.

— Odwróć się! — rozkazała Leyre niechętnie.

Barbarzyńca uśmiechnął się pod nosem.

— A kto wtedy będzie cię chronił?

Cisnęła w niego grudką ziemi. A potem ściągnęła przez głowę suknię, cały czas patrząc mu w oczy.

Jej skóra była jaśniejsza niż u znanych mu kobiet, miała odcień opalizującej perły. Smukłe uda apetycznie chroniły swój skarb, drobne piersi sterczały wyzywająco. Haran złapał się na tym, że porównuje ich kształt z ciężkimi piersiami Citlali. Z tym, jak układały się w dłoniach. Jak kołysały się nad jego twarzą.

Zaczerwienił się. Niektóre wspomnienia naprawdę wracały nie w porę.

* * *

Nie miał pojęcia, jak wydostać się z oblężonego miasta. Okazało się to łatwiejsze, niż myślał. Wciąż dysponował szarym mundurem Pasów, na widok znienawidzonych rakarzy nawet najtwardsi kruzańscy żołnierze odwracali się ze wstrętem. Nikt nie robił mu żadnych trudności, gdy przeciskał się przez Kruzów, ciągnąc za sobą brankę. Tam, gdzie wciąż bronili się Tlaszkanie, obrońcy także pierzchali na jego widok albo kulili się za barykadami, wiedzeni nadzwyczaj trafną intuicją.

Ludzie gadali, że obwarowana stolica Tlaszkali sama rozwarła bramy przed wrogiem. Wśród obrońców najwyraźniej zabrakło jednomyślności. Z ust do ust podawano sobie słowo „Zdrada”.

Barbarzyńca miał jedną przewagę. W przeciwieństwie do ludzi Quinatzina znał miasto jak własną kieszeń. Zakochany, wystawał w wysokich bramach, kupował na targu owoce, w każdej z obskurnych spelunek pił wino z agawy. A teraz pędził po ginących ulicach jak demon uwolniony z zaklęcia. Szar kierował jego krokami, a on dławił się jego wściekłością.

Oczywiście wiedział, że będą go szukać. W końcu ilu wysokich Białoskórych walczyło w tej wojnie po stronie Kruzów? Ilu ciągnęło za sobą zjawiskowo piękną kobietę oszalałą z bólu i strachu?

Oszpecenie Leyre było łatwe, wystarczyła sadza i krew. Smród skutecznie odbiera urok, podobnie jak opuchnięta, pełna wyrzutu twarz. Dość częsta w rejonach działań wojennych. Zmiana własnego wyglądu okazała się trudniejsza. Problem wzrostu rozwiązał, podwiązując jedną nogę w sposób, którego nauczył się w slumsach Tollan. Umysł rejestruje pierwszy charakterystyczny bodziec, kulawy i przygarbiony człowiek rzadko był jednocześnie wysoki.

Została jeszcze kwestia karnacji. Zabrakło czasu na uwarzenie

garbarskiej mieszanki Hezy, musiał znaleźć łatwiejszą metodę. Myślał o zakrywającym twarz hełmie Jaguarów, ale po masakrze w Labiryncie wojownik w mundurze unicestwionej formacji zostałby oskarżony o prowokację i wszczynanie zamieszek. W końcu zdecydował się na drewniany hełm z maską z dębowej kory, który zdarł z trupa jakiegoś barbarzyńskiego żołnierza. Haran nie słyszał nigdy o szczepie, który nosił taki rynsztunek, i liczył, że nikogo z tego plemienia nie spotka. Rzeźbiona, ciemna powierzchnia układała się w zacięty, gniewny ryj szarżującego dzika. Pasowało mu to.

— Dokąd idziemy? — zapytała dziewczyna po raz setny.

Zamęczała go pytaniami, ale nawet one były lepsze niż zacięte i urażone milczenie. Barbarzyńca westchnął i splunął ciężko. W obecności Leyre czuł, że zawsze brakuje mu słów.

— Powiedziałem ci już. W bezpieczne miejsce.

— Niby gdzie? Do krainy bogów?

Nie. Ale blisko. Przeprowimy się przez ziemie demonów.

— W południowo-wschodnim zakątku tego kraju znajduje się przejście przez góry, o którym Kruzowie nie wiedzą. Skorzystamy z niego.

— Masz na myśli Długie Mury?

— Nie. Długie Mury musimy ominąć.

— Czemu? Są tam garnizony, forty... I tysiące tlaszkalańskich żołnierzy.

— Oblężonych i odciętych. Do tego zdemoralizowanych klęską i marzących, by złożyć broń. Naprawdę trzeba ci to tłumaczyć? — zapytał Haran gniewnie.

— Jestem ich królową. Zorganizujemy opór i przebijemy się do Wielkiego Tikal. To nadal są moi sojusznicy. Honorowi i zobowiązani traktatem.

— Może i tak. W pieśni. Ale ja nie zamierzam jej śpiewać — warknął

barbarzyńca i ruszył pierwszy.

Dziewczyna stała w miejscu. Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i dumnie wysuniętym podbródkiem wyglądała jak prawdziwa królowa. Nie cierpiał, gdy robiła tę minę. Z jej powodu czuł się podlej niż zwykle.

Naprawdę, wystarczy, że ty mnie osądzasz, Szar. Nie potrzeba mi jeszcze potępienia twojej pani.

— Wolisz zostać i czekać na Quinatzina? — spytał.

Spojrzała na niego z wyrzutem, który ścisnął mu serce. Uczucie było tak silne, że zamarł, oszołomiony. Tylko czy należało do niego?

* * *

W ogarniętej wojną Tlaskali panował straszliwy bałagan. Barbarzyńca często nie miał pojęcia, kto kontroluje mijaną osadę czy miasto. Po całym kraju rozlewały się zagony dzikich łupieżców, władza centralna upadła więc i lojalności stawały się płynne. Czasami wystarczyło zamienić znaki na płaszczu lub mówić z innym akcentem. Bez munduru i pułkowych insygniów, w obszarpanym rynsztunku marudera, Haran bez kłopotu wtopił się w tłum, wypełniający zapyziałe miasteczko Xitan, leżące nieopodal stolicy.

Leyre szła za nim w zaciętym milczeniu, znakomicie odgrywając rolę wkurzonej żony. Teoretycznie miasteczko pozostawało pod kontrolą Termitów, choć siły prawa i sprawiedliwości znajdowały się tu, delikatnie mówiąc, w dupie głębokiej jak szyb. Z bielonymi wapnem murami, ogródkami na dachach i domami wtulonymi w skalne zbocza, Xitan wyglądało identycznie jak wiejskie osady Przymierza. Z tą różnicą, że teraz wypełniała je fala przerażonych, zdesperowanych uchodźców.

Barbarzyńca sunął przed siebie zgarbiony, jakby właśnie przedzierał się przez wąskie chodniki Dołów. Wciąż próbował ukryć swą wybujałą

sylwetkę, skudłone włosy opadały mu w strąkach na twarz, zasłaniając ślepią. Był czujny siłą nawyku, ale w bramie i na blankach muru prawie nie widział żołnierzy. Uchodźcy bez ceremonii potracali wojowników w białoczerwonych opaskach, jakby cały dotychczasowy szacunek i zawiedziona nadzieja, lokowane w heroicznych obrońcach, miały się wkrótce zamienić w gniew.

Minęli grupkę młodych kapłanów, uzbrojonych w liche włócznie z jednego kawałka drewna, z opalanymi szpicami. Trzymali je delikatnie, jakby to były pędzelki do tworzenia ksiąg, a na twarzach mieli tę specyficzną mieszankę idealizmu, honoru i przytłumionej paniki, która w bitwie często kończy się paniczną ucieczką. Ich przywódca wspiął się na spory kamień i zagrzewał przechodniów i zbiegłych chłopów do przyłączenia się do formowanej właśnie Ochotniczej Armii.

— Jesteście bohaterami! Wszyscy!

Haran parsknął nieprzyjemnym śmiechem. Gdyby zapal wygrywał wojny, żadna wioska nie uległaby nigdy najeźdźcom i zbójom. Zwrócił tym uwagę przywódcy kapłanów, który zeskoczył z kamienia i dziarsko zastąpił mu drogę.

Był to krępy chłopak z przylizanymi włosami i raczej żalonym wąsikiem. Podobnie jak jego podkomendni, wyglądał na dobrze odżywionego. W porównaniu ze zwykłymi Tlaszkanami ci ludzie prezentowali się niczym inkaskie świnki morskie wśród zagłodzonych szczurów.

— Stój!

Haran westchnął i spojrzał na niego z niechęcią. Znał ten typ. Ułożony, ambitny młody człowiek. Ci gorliwcy nigdy nie kwestionują poleceń zwierzchników, a nad podkomendnymi pastwią się z niepojętym zapalem. Zawsze spełniają życzenia matek, nauczycieli i władców, umierają zaś

z poczuciem, że coś chyba poszło nie tak.

— Do ciebie mówię, wielkoludzie. Co taki zdrowy byk robi za linią frontu?

— Nie ma już linii frontu, głupcze — warknął Haran.

Błąd, podważył autorytet lidera przy jego świetle.

Młodzieniec chwycił go zdecydowanie za ramię. Okazał się zaskakująco silny, widać dobra dieta robiła swoje. Wielki Druazzi z rezygnacją potrząsnął grzywą i rzucił spojrzenie, które płonęło zimnym, niebieskim ogniem.

— Byłem tam — szepnął.

Grdyka dziarskiego chłopca zapracowała pospiesznie, gdy pojawił się przy niej paskudny kamienny nóż.

Zamrugnął, na twarzy miał teraz wyraz niesłusznej, okrutnej krzywdy. Haran popchnął go lekko i ruszył, nie zatrzymując się. Kruzowie i tak lada moment obrócą to wszystko w perzynę i dosłownie pożrą żywcem tych sukinsynów. Wiedział, że nie może im pomóc, ale Moros wciąż ujadał i skamlał niczym głodne szczenię. Musiał lubić to zafajdane miasteczko. Może fetowano tutaj sławnego Szaratangę? Zjadł tu dobry obiad albo uwiódl miejscową dziewczuszkę w Noc Pieśni?

Stary, dobry Moros. Haran zdążył się już dawno przekonać, że ten heroiczny męczybuła poczuwa się do licznych zobowiązań. Chyba po prostu tak miał, na widok wypadłego z gniazda pisklęcia czy pieska bez jednej nogi zatrzymywał się i pomagał. To samo zrobił z nim, zagubionym pisklakiem Druazzi. Haran nie umiał tego ogarnąć. On sam uwarzyłby z ptaka zupę, a psa upiekł. Tak już wygląda życie, ci na spodzie są nawozem dla zwycięzców.

Obserwował to już na brudnych uliczkach Yugał, na skraju gnijących lasów. Doły tylko utwardziły jego przekonania i serce. Swój dług spłaci, ale na tym koniec.

Niech każdy ratuje się sam.

Rozdział 24

O zgromadzenie ludzi i dzinnów, jeśli potraficie przeniknąć powłoki niebios, to przenikajcie, ale pamiętajcie, że czynicie to za pozwoleniem Boga.

Koran 55:33

Posiłkowy kontyngent z Yugal w dalszym ciągu pacyfikował Tlaszkalę, ale bez Maczuraia. Rany odniesione w pojedynku z Haranem zaczęły się paprać i *tlatoani* odesłał namiestnika do domu, by zabezpieczał wydobycie *braazatalu*. Tennok skorzystał z okazji i także ewakuował się z frontu. Miał już serdecznie dosyć tej brudnej, okrutnej wojny. Quinatzin postanowił zmieść Tlaszkalę z powierzchni ziemi i wszystko wskazywało na to, że mu się uda. Do tego celu yugalski kontyngent posiłkowy, składający się w większości z barbarzyńskich Druazzi, nadawał się idealnie.

Książę liczył na to, że w domu odpocznie. W odpoczywaniu był dobry. Ojciec zajmie się tyranizowaniem otoczenia, a on, Tennok, zaszyje się w jakiejś przyjemnej kryjówce. Na pewno to lepsze od pacyfikowania Termitów.

Od czasu, gdy dowiedział się o śmierci Citlali, zobojętniał, a ostatnio stan ten jeszcze się pogłębił. Do tego dołączył się wstręt do wojny, którą tym razem obejrzał sobie z bezpiecznej odległości, ciesząc się przywilejami książęcego syna.

Z tego wszystkiego obrzydły mu też tajemnicze traktaty i księgi, którymi pasjonował się w Kolegium Kapłańskim. To tylko historia, zapis ludzkiej

głupoty, podłości i małostkowości, myślał. Jeśli już, przeczytałby sobie dzieje jakiegoś innego gatunku. Ludzie już mu się przejedli. Zawsze tak miałem, uświadomił sobie z lekkim zdziwieniem. Nie tylko z dawnymi księgami.

Zapalał się do czegoś i żył tylko tym, wdzięczny za pozory sensu, po to tylko, by obudzić się z uczuciem zażenowania, jak pijak w nieswoim łóżku. Nawet wiadomość o zdradzie i egzekucji Harana, przyniesiona przez Szare Pasy, choć przykra, nie wzbudziła w nim większych emocji. Jego *urs* zawsze był obłąkany, coś takiego mu najwyraźniej pisano.

Podróż powrotna zajęła im niewiele ponad tydzień. Dystans między centralnymi prowincjami imperium a Yugal znacznie się teraz zmniejszył. Stary, błotnisty gościniec zastąpiony został przez ubity trakt dla wojska, ze stacjami pocztowymi, państwowymi gospodami i posterunkami. Tennok wszędzie widział ślady monarszej troski, od karczunku, który odepchnął od drogi knieje, po nowiutkie groble, spinające odcinki traktu podmywane przez rzeki i bagna. Yugal stało się ważne.

To pierwsza zmiana, która rzucała się w oczy. Południowa prowincja Yugal, na którą składały się głównie dżungla i niedostępne moczary, zawsze leżała na uboczu. Powiadano, że w Yugal łatwiej spotkać aligatora niż człowieka, choć specjalnie się od siebie nie różnią. Kruzańscy zdobywcy cenili tę niedostępność, Yugal, jako prowincja graniczna, nie powinno zachęcać potencjalnych najeźdźców.

Gdyby Inkowie w końcu ruszyli się ze swoich górskich fortec, przelewając się jak lawa poza granice Południowego Kontynentu, yugalskie lasy i bagna powinny ich trochę spowolnić. Plotki, pogłoski i bełkotliwe prorocтва o rychłym i niechybnym przebudzeniu się Inków ekscytowały Kruzów, jednak nie znaczyło to, że władcy odrodzonego Przymierza przestali się przez to ich bać.

Południowego sąsiada spowijała bowiem aura tajemnicy i grozy. Kraj

rzządzony przez martwych cesarzy! Mumiokracja! Państwo, w którym wszyscy obywatele zostali skutecznie zapędzeni do pracy. Ponoć zrezygnowano z imion, ograniczając się do noszonych na szyi sznurów z zaplecionymi pismem węzełkowym supłami, którymi znakowano lud. To działało na wyobraźnię.

Już w pierwszych dniach po powrocie Tennok uświadomił sobie, że w domu nic nie jest takie jak wcześniej. I nie chodziło tylko o nowe budynki, takie jak imperialna forteca, w której miał kiedyś stacjonować królewski garnizon. Podczas poprzedniego pobytu nie zwrócił uwagi, jak bardzo zmienili się ludzie. Podobnie jak w Tollan, wielkie budowy ściągnęły tu robotników z innych regionów Przymierza. Ale o ile w Tollan tłum był pstrokaty, dziki i różnorodny, o tyle w Yugal przybyło przede wszystkim Kruzów, żołnierzy i urzędasów.

Maczurai puszył się z powodu zaszczytów, których dostąpił, i łask Quinatzina, jednak jego miasto i tak traciło autonomię. Kwestią sporną pozostawało tylko, czy Maczurai zdaje sobie z tego sprawę.

Od czasu przegranego pojedynku jego ojciec stał się innym człowiekiem. Nie chodziło o porażkę, lecz o towarzyszące jej ośmieszenie, poniżające wrażenie słabości. Do tej pory Maczuraia przede wszystkim się obawiano. Ale czy ktoś, kogo były niewolnik dotkliwie zranił w pośladek, może roztaczać wśród domowników atmosferę strachu? Tennok widział to w butnych spojrzeniach żołnierzy i sług, którzy nagle przestali wbijać pokorny wzrok w ziemię. Nawet niewolnicy garbili się jakby mniej i pracowali bardziej opieszale. Głowa szwankowała, ryba zaczęła się psuć.

Maczurai zdawał sobie z tego sprawę, ale ku wielkiemu zaskoczeniu syna nie podjął walki. Wycofał się do swoich komnat jak sparszywiak kojot liżący zranioną łapę. Stał się jeszcze bardziej ponury i zrzędlawy, zachowywał się tak, jakby życie wyrządziło mu krzywdę. Medyk trzy razy

dziennie aplikował mu lewatywę z piołunu.

Tennok postanowił czekać na rozwój wypadków. W tym był najlepszy, w cierpliwym pozostawianiu rzeczy własnemu biegowi. Próbował czytać książkę, którą zabrał ze sobą w podróż, ale zatrzymany niegdyś cios zrujnował jego ulubione fragmenty. Żałował, że jak inni żołnierze nie zabrał ze sobą na wojnę modlitewnika.

W końcu zaszył się w jednej ze swoich kryjówek i z opuszczonej wieży obserwował, jak dzieci klanu Turkusowej Włóczni ćwiczą się w walce na miecze. Wspominał swojego dawnego trenera, który wyzionął ducha, otruty tubylczym trunkiem gdzieś w górach między Yugal i Tollan. Jego braci kretynów także nie było na placu. Gdy okazali się niezdolni do sukcesji, ojciec wysłał ich na odległą placówkę graniczną gdzieś na trzęsawiskach nieopodal przesmyku Tehuantepec. Może liczył, że złapią malarię.

Przesiedział w ukryciu aż do popołudnia. Wtedy wytropiła go matka.

— Witaj, mammo — zdziwił się Tennok uprzejmie.

Irdana wyglądała na przejętą. Oddychała gwałtownie, ale to mogła być kwestia wspinaczki. Towarzyszył jej doradca ojca, Myngus.

— Powiedz mi. Bo mi nie uwierzy — rozkazała, zwracając się do swojego towarzysza.

Doradca westchnął ciężko i skłonił się przed księciem, prosząc o wybaczenie.

— Widzę, że wróciłeś do dawnych zwyczajów, młody panie. Niestety, okoliczności nie sprzyjają takiemu próżniactwu.

— A cóż się takiego stało? Chłopi przestali pracować? Ziemia wyschła? Skończyło się piwo? — dopytywał Tennok grzecznie.

Myngus pokręcił głową.

— Wybiera się do nas król.

Książę zagwizdał przez zęby. Od czasu pamiętnej inspekcji w Kraju

Totonaków wizytacje *tlatoaniego* uważano za czynnik podwyższonego ryzyka. Ale Tennok pokładał ufność w uzależnieniu Quinatzina od smaru. Byli mu potrzebni.

— Kiedy się go spodziewacie?

— To kwestia dni, najwyżej tygodnia.

— Świetnie — ucieszył się książę. — Dziękuję za waszą troskę.

— Świetnie? A niby dlaczego? — w głosie Irdany pobrzmiwała furia.

— Bo zdążę w spokoju doczytać książkę. Później zapanuje tu straszny harmider.

Zgromiła go wzrokiem.

— Liczyłam, że wreszcie dorosłeś. I czegoś się nauczyłeś.

— Ależ tak. Zmarnowane bzdurami chwile już nigdy się nie powtórzą. A teraz, drogi Myngusie, odprowadź moją matkę do drzwi.

— Inkorporacja. Wiesz, co to oznacza, kretynie? — wyszczała Irdana. — To właśnie nam teraz grozi. Quinatzin rozważa cofnięcie nam autonomii. Chce wcielić Yugal do Przymierza w charakterze swojej prywatnej prowincji. Zostaniemy królewską domeną.

Twarz Tennoka powoli zmieniła kolor.

— Oczywiście ród Turkusowej Włóczni przestanie mu być wtedy potrzebny. Ciebie to także dotyczy, mądralo.

* * *

Następną noc po opuszczeniu Grani Haran i Leyre spędzili już na otwartym pustkowiu. Leyre była tak wyczerpana, że padła na ziemię jak worek. Haran po prostu siedział, nie okazując zmęczenia. Kiedy nie zabijał, nie ścigał lub nie uciekał, zawsze trwał w bezruchu: oszczędny i efektywny, zbierający energię drapieżnik.

— Chciałam ci podziękować — zaczęła.

Odpowiedziało jej gniewne wzruszenie ramion. Twarz chłopaka sposepniała i zastygła w odstręczającą, naznaczoną bliznami maskę. Podczas wędrówki porosła ją krótka, jasna broda i Haran przypominał jej teraz posągi Dobroczyńców, stojące w pałacach i świątyniach Grani. Próbowwała wypytywać go o pochodzenie, ale w odpowiedzi usłyszała jedynie krótkie: „To bez znaczenia”.

— Nigdy się nie uśmiechasz?

Tylko mruknął coś pod nosem i otrząsnął się z jej pytania jak z wody. Splątane włosy zasłoniły mu twarz.

— Rozumiem, że wy, dzicy, macie swoje tajemnicze zwyczaje i tabu. Typu „nie dotykać miesiączkującej kobiety”. Uspokoję cię, spóźnia mi się. Więc chyba nie musisz być chamem? Może tak chwila przerwy?

Tym razem jej słowa trafiły w czułe miejsce. Oczy barbarzyńcy rozbłysły wściekłością.

— Nic o mnie nie wiesz, kobieto — warknął.

Twarz Leyre złagodniała.

— Mogę się tylko domyślać. Mówisz, że przyjaźniłeś się z Szaratangą. On nie miał łatwego życia.

Spojrzał dziwnie, unosząc brwi z jakimś okrutnym namysłem. Zawsze tak patrzył, kiedy mówiła o nim. Zadrżały mu ramiona i Haran poderwał się gwałtownie. Z mieczem w prawej dłoni szybko ruszył w jej stronę.

— Poczekaj! Nie! — wykrztusiła, ale on już był za nią.

Błysnęła przeklęta stal, coś zagdakało, zakwiliło, po czym ucichło. Barbarzyńca wyłonił się zza jej pleców i zacmokał na przerażoną dziewczynę jak matka.

— Już dobrze. To tylko indyk. Będzie smaczny, stracił życie w krzaskach tymianku.

Coś w jej wzroku sprawiło, że chełpliwy uśmiech spelzł z jego twarzy.

— Tylko nie mów, że mi się tu, kurwa, rozplączesz. Zwierzaki także zaliczasz do swoich poddanych?

— Tylko te dobrze wychowane. I czyste — burknęła, usuwając mu się z drogi. Była zła, że dała się tak przestraszyć.

Haran, wyraźnie podbudowany, zabrał się do rozpalania ogniska.

— Szaratanga często o tobie wspominał. Właściwie to chyba się skarżył. Teraz rozumiem, co miał na myśli. Masz może trochę tytoniu?

* * *

Indyk się udał całkiem całkiem, może wyszedł trochę za suchy i zbyt łykowany, ale przynajmniej równomiernie upieczony, bez zwęglonej skóry i surowizny przy kościach. W Dołach zabiłby za pieczone takie jak ten dziesięciofuntowy ptak, ale jego towarzysze nastroju nie poprawił. Haran westchnął i beknął smętnie, przeczuwając kłopoty.

Leyre przyglądała mu się badawczo. Po posiłkach zapadał w zwierzęce otepienie. Dłubał w spiłowanych, zdobionych zielonym kamieniem zębach, ale na tym kończyła się jego wieczorna aktywność.

Indyk przywrócił jej energię i na tym polegał problem. Emocje tańczyły na jej doskonałej twarzy jak na jasno oświetlonej scenie, tłamszone wrodzoną dumą i wolą. Nienawiść, pogarda i strach, ból, na który sobie nie pozwalała. Z trudem hamowana odraza.

Wojownik splunął. Przywykł, że ludzie właśnie tak go odbierają.

— Jesteś Druazzi, prawda? Twój lud walczy po stronie Kruzów. Czy poznałeś Szaratangę, kiedy był waszym więźniem? — To nie było pytanie, lecz bujanie taranem oskarżeń. Rozgrzewka przed walnym szturmem.

Westchnął ciężko.

— Nieważne kiedy. Ważne, że mam dług — mruknął cicho.

Rozbłysły jej oczy.

— Zabiliście go! — wycedziła z ponurym tryumfem.

Potrząsnął grzywą, aż zagrzechotał amulet z kości. Druazzi wplatali sobie we włosy *lemushee* za każdego zabitego wroga. Po epizodzie z Szarymi Pasami stwierdził, że przydałby się tutaj bardziej złożony system. Waluta. Za dziesięciu wrogów *lemushee* z kamienia, za dwudziestu z brązu, i tak dalej. Inaczej zabraknie mu włosów.

— Byłem przy tym. Podczas Ofiary Kamienia. Zginął jak bohater.

Spojrzała na niego inaczej, jakby jej nienawiść do wszystkich Kruzów stała się bardziej intymna.

— Pewnie. Bohater zabity przez tchórzy. Torturowaliście go, prawda? Dlatego wyjawiał wam, że chcemy wysadzić Labirynt. Dręczyliście go tak długo, aż powiedział o Ostatnim Planie? Bo przecież wiedzieliście, nie zaprzeczaj.

— Jeżeli masz na myśli waszą fałszywą mapę, to muszę cię rozczarować. Twój kochaś milczał jak grób. Wytrzymał więcej, niż człowiek potrafi — w głosie barbarzyńcy zabrzmiał podziw, którego nie potrafił ukryć.

Uderzyło go, jaka jest młoda. Regalia, ozdoby i fochy ukrywały zagubioną dziewczynę, wpatrującą się w niego oczami wielkimi jak studnie. A jednak była dość twarda, żeby posłać kochanka na śmierć. Haran poczuł, że budzi się w nim pasja, wzmagająca jak przypływ. Zaskakująca emocja, która nie należała do niego.

— Myślisz, że Szaratanga pucował? Że się wygadał? Kobieto! Twój chłop był przypiekany, dławiony, polewany kwasem. Stracił paznokcie i prawie odjęli mu jądra, które klechy nakłuwały kolcami z agawy. Rechotali, że to jego ostatnia modlitwa. Topili go w mętnej wodzie, karmili gównem i ciałami jego własnych żołnierzy. Poćwiartowaliby go żywcem, gdyby nie Ofiara Kamienia. A on nie pisnął im słowa! Myślisz, że było warto?

Twarz Leyre pękła jak szklana maska. Odwróciła się, jej szczupłe

ramiona zadrgały. Ten widok jakoś nie wzbudził w Druazzi satysfakcji.

To ty go ostrzegłaś, prawda? Nawet Rada Grani wykazała się większym współczuciem. Gdyby Moros niczego nie wiedział, Kruzowie wyczuliby to. Zdradziłaś mu wasz wielki plan i tym samym skazałaś na ból.

Poczuł litość, ale otrząsnął się jak kundel zmuszony do gorącej kąpieli.

Litość? A cóż to takiego?

— To skąd wiedzieliście, Kruzie? Jak udało wam się uniknąć pułapki? — Wycelowwała w niego oskarżycielski palec.

Nagle dopadło go absurdalne pragnienie złapania i ucałowania jej palców, wnętrza dłoni. Prychnął więc pogardliwie i ruszył w dół korytarza.

— Musimy iść. Będzie jeszcze wiele okazji do rozmowy.

* * *

— Jak to uciekła? — Stojący w cieniu szańca Quinatzin oderwał wzrok od obleganej fortecy i z zaskoczeniem spojrzął na oficera. Nie dowierzał, że taki dureń się uchował.

Porucznik Telpozatl poruszył się niespokojnie. Czuł, że rozmowa z *tlatoanim* jest groźniejsza od bitwy. Groźniejsza od czegokolwiek. Telpozatl wstąpił do Gwardii w pięknej epoce, gdy gwardziści zajmowali się pałacowymi plotkami, paradami i finansowaniem ekscentrycznego krawiectwa, a nie skrytobójstwami, czystkami i masakrami. Ale świat się zmienił. To nie były dobre czasy dla dumnych arystokratów, szczycących się nieskazitelnym kruzańskim pochodzeniem. Każdy wiedział, że Quinatzin chętniej otacza się nieokrzesanymi, lecz skutecznymi chamami z najdalszych zakątków imperium. Przedkładał precyzję nad styl i za nic miał szlachetne przymioty ducha. Nie można go było zadowolić pochlebstwami, szacunkiem i wdziękiem.

Liczyły się tylko rezultaty.

Pucołowaty oficer już dawno odkrył, że król nie jest taki jak inni ludzie. Nie śmieje się, nie miga od trudności i znoju. Nie goni za rozkoszą, wygodą i szczęściem. Jego determinacja zdawała się Telpozatłowi bluźniercza i niepojęta. Patrząc na szczupłą, napiętą i niewyspaną twarz władcy, przypomniał sobie nagle słowa niewolnika swojego ojca, starego lekarza z Totonckiego Wybrzeża: „Niektórych z nas rodzice nie zauważają, więc wyrastamy na wygłodniałe istoty, które zabiegają o poklask innych i pakują się pierwszemu lepszemu do łóżka. Innych zaś zauważają za bardzo. Ci wyrastają na zimne jak śmierć potwory o wybujałych ambicjach, które żyją wśród ludzi, lecz tylko ich udają. Martwe przetaczają się przez życie, raniąc każdego, z kim dzielą powietrze i czas”.

Tak, stary Muburatł był mądry, ale mądrość nie uchroniła go przed bezczelnością i ojciec Telpozatla – sam nadambitny skurwysyn pierwszej klasy – w końcu się na nim odegrał.

— Niewiele wiemy, Synu Słońca. Sala tronowa była pusta.

— Pusta... — w głosie króla zabrzmiała niepokojąca nuta.

Telpozatł poczuł ogarniającą go falę paniki.

— Tak, panie. Wszędzie leżały ciała.

— Macie zeznania ocalałych? — zapytał Quinatzin roztargnionym tonem.

Zamiast odpowiedzi, w uszach zadzwonił mu odgłos eksplozji. „Posmarowany” pocisk z balisty eksplodował właśnie na masywnych murach Skarbca, na których nie zrobiło to wrażenia większego niż lądowanie komara. Obrońcy z Zakonu Kretów nadal trzymali się mocno. Liczył na to, że wezmą ich głodem, ale ile ziarna potrzebuje do przeżycia garstka starców?

— Wszyscy zginęli, królu. Wyglądało to tak, jakby wymordowali się, walcząc pomiędzy sobą. Bratobójczo. — Oficer poczuł, że żołądek zwija mu się w supeł na samo wspomnienie jatki. Posadę Zabójcy Gwiazd zawdzięczał

protekcji, koneksjom i pochodzeniu, a nie osobistym przymiotom. Tamtego dnia pożałował, że ojciec nie wyznaczył mu innej ścieżki kariery. Administratora, skryby, nawet przekłuwającego własne policzki kapłana...

— Co z królową?

— Właśnie na tym polega szkopuł, panie. Ona... zniknęła.

Quinatzin oderwał wzrok od oblężenia. Pomyślał, że z ochotą urwałby temu durniowi głowę.

— Sugerujesz, że to królowa zabiła swoich gwardzistów i doradców, a potem uciekła?

— Na to wygląda. To mogła być próba puczu, porachunki albo świadomy akt poświęcenia. Może woleli zginąć, niż wpaść w nasze ręce?

— Kazałem wam ich przekupić. Skorodować najslabsze ogniwo. Zaczynam myśleć, że najslabszym ogniwem byłeś ty — mruknął *tlatoani* złowieszczo.

Oficer zgarbił się.

— Zrobiliśmy to. Nasz kontakt, generał Pa'uk, zapewnił o gotowości... współpracy i o poparciu części Rady Grani. Najwyraźniej ktoś pokrzyżował jego plany. Nie wiemy...

— A co wiecie? Bo zaczynam się zastanawiać. Domyślam się, że pamiętacie jeszcze swoje własne pyszałkowate imiona — rzucił Quinatzin zjadliwie.

Szlachcic odetchnął głęboko i dołożył starań, by jego głos brzmiał obojętnie i pewnie:

— Ktoś wybił okno. Teoretycznie, sprawny człowiek zdołałby się przedostać na dach pałacu i korzystając z chaosu walk, opuścić stolicę.

— Sprawny jak chowana pod kloszem kobieta?

— Być może ktoś jej pomagał.

— Rozumiem, że wysłałeś za nią pościg?

— Tak... ale... nie udało się ustalić, dokąd zbiegła.

Quinatzin pokiwał w zadumie głową. Małżeństwo z królową Termitów wzmocniłoby jego panowanie nad Tlaszkalą, ale nie było jedyną dostępną ścieżką. Żałował raczej, że nie udało się pozyskać nikogo z Rady. Tajemnica metalu Białoskórych wciąż mu się wymykała. Na szczęście był jeszcze Skarbiec i jego uczeni, kustosze starożytnej Spuścizny. Na pewno zgłębili więcej niż niekompetentni dworacy.

Pozostawała kwestia idioty stojącego teraz przed nim i nieudolności jego ludzi.

— I co ja mam z tobą zrobić?

Telpozatl przełknął ślinę, jakby to był ostatni w życiu łyk wina, i wyprostował się dumnie. Nie dawaj ludziom wyczuć własnego strachu, nauczał go kiedyś mentor. Tak, mądry konował Muburatl żył w zgodzie z własnymi przekonaniem. Ciekawe, czy bał się, gdy ojciec Telpozatla rozbijał mu głowę polanem?

Rozgrzanym powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Król i oficer skulili się instynktownie, w powietrzu zaświszczały okruchy skały, niesione falą wybuchu.

Masywna bryła fortecy zapadła się, spowita obłokiem dymu i pyłu. Kiedy kurzawa opadła, oczom Quinatzina ukazał się obraz zniszczenia, którego zasięg obejmował również obóz armii oblężniczej, przywalony okruchami eksplozji. Słynny Skarbiec, siedziba Zakonu Kretów, zamienił się w wielki stos gruzu.

Bogowie, za co? I co ja teraz uczynię? Skąd wezmę metal na dziesięć tysięcy rusznic? Nie dość, że otaczają mnie słabi, niekompetentni idioci oraz hordy nieokrzesanych dzikusów, to słynna „Spuścizna Dobroczyńców” właśnie przepadła na moich oczach. Jeden z celów tej uroczej wojny. Do tego w oblężeniu straciłem pewnie z tysiąc doborowych ludzi.

Quinatzin obrzucił wzrokiem zakłopotanego szlachcica i oszacował majątek oraz wpływy jego rodu.

Tysiąc i jeden. Straciłem ich tysiąc i jeden.

* * *

Haran i Leyre wędrowali przez posępne pustkowia południowo-zachodniej Tlaszkali, bezwodną krainę ruin i poszarpanych skał. Oszczędzali skromny zapas wody w skórzanej sakwie, bo źródła stanowiły tu rzadkość. W dalszym marszu niezastąpione okazały się tropicielskie wspomnienia Szaratangi, który często przemierzał te ziemie. Sączyły się do umysłu Harana niczym woda płynąca po skałach.

Barbarzyńca zaczął się do nich przyzwyczajać. Nauczył się wsłuchiwać w ten szmer, tak jak w dzieciństwie nauczył się podchodzić jelenia. Poruszenia traw, milknąca zwierzyna i ptaki, zapachy niesione wiatrem. Świat używał wielu języków, a ten, którym przemawiał Moros, okazywał się bardzo przydatny. Dzięki nim Haran potrafił wynajdywać bezpieczne ścieżki położone z dala od miejsc ogarniętych przez wojnę. Klątwa zebrała tutaj surowe żniwo i powiadano, że w Kraju Keral łatwiej spotkać Zjadaczy niż ludzi.

Zdarzało im się mijać rozległe dymiące kratery, których nieliczne miejscowe szczepy bały się bardziej niż Planet i Gwiazd. Od południa Tlaszkalę obwarowywały Długie Mury, ale południowo-zachodnie rubieże królestwa, otwierające się na wymarłe pustkowia sięgające aż do nadbrzeżnych miast majańskiego Tikal, nigdy nie były bronione. Żadna armia nie mogła zagrozić Tlaszkali z tej strony. Brakowało tu bowiem wody.

Lud Harana też zamieszkiwał pustkowia, lecz jego kraj w porównaniu z tym miejscem wydawał się rajem. O świcie ziemia parowała, bujna, wilgotna i mglista, porośnięta gęstymi lasami. Tutaj Haran budził się

stęskniony za wodą i zdumiony panującą wokół martwością. Jediną roślinnością stanowiły kolczaste zarośla, które odrywały się od podłoża, gnane wiatrem jak upiorne, kolczaste koła, kaleczące ich łydki i stopy. Spokój, który zwykle sprowadzała na niego pieszka wędrówka, zagłuszał tylko głuchy zaśpiew śmierci.

Dni płynęły bliźniaczo do siebie podobne, zredukowane do monotonii marszu i troski o wodę i opał. Noce były gwieździste i chłodne. Czasami wynajdywał trochę wilgoci w kaktusach, ale nawet posiłkując się wiedzą Szara, Haran nie potrafił upolować nic do jedzenia. Raz zdołał osiągnąć oszczepem węża, którego mięso smakowało lepiej niż kurczak. Skóra gada posłużyła za owijacze na stopy, delikatne sandały Leyre zdążyły się zetrzeć do szczętu.

Moros cały czas im towarzyszył, czy to we wspomnieniach Harana, czy w niemilkających, badawczych pytaniach Leyre. Czasami, pod wpływem jakiegoś gestu czy słowa chłopaka, zamierała i wodziła tylko za nim wielkimi oczami.

Tak naprawdę wędrowali we trójkę.

Gdyby ktoś spytał Leyre, od jak dawna podąża za tym odpychającym człowiekiem, nie umiałaby odpowiedzieć. Kiedy tylko mogła, uciekała od rzeczywistości, jakby chowała się w wyłożonym ciemnym jedwabiem kufrze o mocnym wieku, lecz pozbawionym dna. Potem szarpnięcie Harana wyrывało ją z tego azylu, przywracając tyranii przestrzeni i czasu, wyczerpania, upału i smrodu. Wszystko: twarze i krzyki, mord i rozlana krew, pożary i zagłada jej ludu, zlało się w wyczerpanym umyśle królowej w jeden upiorny sen.

Nic nie wskazywało na to, by w najbliższej przyszłości miała się z niego zbudzić.

Powinni wędrować nocami, unikając skwaru. Zjadacze, dzieci Klątwy,

rozzuchwalili się jednak i polowali teraz daleko od swoich siedzib. Z dwojga złego Haran i Leyre wybrali więc udrukę upału. W miarę jak słońce stawało się coraz gorętsze, jaśniejsze i bardziej głodne, w królowej narastało zmęczenie. To nawet zabawne, myślała. Kruzowie nie muszą nas ścigać, wystarczy, że mają słońce. Kiedy już prawie skończyła im się woda, barbarzyńca odstąpił swoją porcję Leyre. Odmówiła dwa razy, ale za trzecim przyjęła bukłak z wdzięcznością. I tak trzymała się dzielnie. Haran pomyślał nawet, że jej upór i duma, które początkowo tak go drażniły, zaczynają mu imponować.

Noce spędzali w przypadkowych kryjówkach, opuszczonych ruinach i skalnych rozpadlinach, przeważnie nie rozpalając ognia. Leyre trzęsa się, ale nie wiedziała, czy przyczyną jest chłód, czy strach. Po zmroku Haran jeszcze bardziej posepniał i nie mogła się oprzeć niepokojącej myśli, że wlewa się w niego otaczająca ich ciemność.

Którejś nocy obudziło ją upiorne wycie. Coś polowało, zdecydowanie za blisko. Haran nie spał. Zobaczyła, jak kurczowo zaciska i prostuje lewą rękę, mamrocząc jakieś błagania czy groźby. Świecił księżyc, spowijając zarysy skał trupim, matowym blaskiem. Barbarzyńca przesunął drgające ramię w stronę wbitego w ziemię miecza i zatrzymał je przy ostrzu. Poruszał bezgłośnie wargami, na jego zwykle nieprzeniknionej twarzy malowała się nieopisana udruka.

Leyre pojęła, że jest świadkiem czegoś, czego nie powinna oglądać. Szara, inkrustowana skamieniałą naroślą kończyna drgała, jakby obdarzona własnym, zwyrodniałym życiem. Czegoś chcesz, pomyślała z lękiem. Po coś sięgasz.

Haran odwrócił się, ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechnął się do niej smutno, przez moment wyglądał bezbrinnie i krucho. Leyre wtuliła policzek w koc. Nie zdarzało się to często, lecz czasem ona także wolała zamilczeć.

* * *

Po dwóch dniach ujadanie Zjadaczy ucichło. Stado musiało się przenieść gdzie indziej i Haran uznał, że teraz mogą już podróżować nocą. Przed największym skwarem chronili się w skalnych zagłębieniach, norach i płytkich jamach, które Haran kopał dla nich w upale i piasku. Przydały się nawyki z Dołów, a jego odmieniona dłoń z łatwością kruszyła skały. Potem czas stawał, a oni usiłowali się zdrzemnąć, choć trudno spać, kiedy niemal gotujesz się żywcem. Długie godziny w milczeniu, oszczędzanie bezcennej wilgoci. Bezinteresowne, wytrwałe okrucieństwo słońca. Po nastaniu zmroku podejmowali wędrówkę.

Leyre jeszcze nigdy nie czuła się tak zmordowana. I samotna, cały świat wydawał jej się spalony i martwy. Haran milczał tak samo uparcie, jak człapał. W uszach dzwoniła cisza. Leyre chciała go spytać o tyle rzeczy. O kolor jego twarzy, widoczny pomimo opalenizny i brudu. O przemienioną rękę, której się obawiał, i o jego zacięte milczenie. Ale nurtowało ją jeszcze inne, bardziej osobiste pytanie.

— Nie lubisz mnie. Dlaczego?

Posłał jej obojętne spojrzenie i podjął marsz. Szybciej, jakby pragnął zostawić ją w tyle.

— Chodzi o Szaratangę, prawda? O to, jak go potraktowałam?

— Krew i Ołtarz, jak na to wpadłaś? — W jego oczach zamigotała drwina. — Zdradziłaś swojego męża, potem zdradziłaś Szara. Wiesz, co mówią. Do trzech razy sztuka. Ktoś bogatszy, przystojniejszy i bardziej pociągający ode mnie pomyślałby, że lepiej się przy tobie pilnować.

— No, no. Cóż za elokwencja. Przejadły ci się grubiańskie pomruki?

— Pomruki są dla przyjaciół. Oszczędzaj ślinę. — Haran znowu przyspieszył.

Leyre zamarła z otwartymi z oburzenia ustami. Kim on jest, żeby się tak do niej odnosić?! Zostawiłaby go, gdyby miała dokąd uciec, ale tu, w więzieniu bezlitosnych przestrzeni, oznaczałoby to rychłą śmierć. Byli skazani na swój widok, odgłosy świszczących oddechów, skrzypienie drobnych kamyczków pod stopami, kwaśny, amoniakowy smród odwodnionej skóry.

— Nie mogłam kochać Papaną. A wiesz dlaczego? Czy twój przyjaciel Szaratanga powiedział ci o tym kiedyś?

— Być może. Ale z chęcią posłucham twojej wersji.

— Najpierw ty. Powiedz, jaką widział mnie Szar — poprosiła ostrożnie.

Często czuła, że jej przewodnik wie o Szaratandze więcej niż ona sama. Nie, poprawiła się w myślach. Zna inne strony tej samej prawdy. Takie, na które w jej świecie nigdy nie padło światło. Bała się tego, co mogła usłyszeć, lecz wiedziała, że nie chce teraz zawrócić.

Haran zatrzymał się i spojrział na nią z niesmakiem.

— Zabawka, kaprys znudzonej arystokratki, która rozpaczliwie potrzebuje rozrywki. Tak cię mniej więcej postrzegają, twoje nim zainteresowanie. Pewnie dlatego zawsze prędzej czy później wracał do Enishy. Głupek.

— Dlatego, że do niej wracał? — Leyre była tak zaintrygowana, że zapomniała o ostrożności i sztuce dworskich uników.

— Nie. Dlatego, że z nią nie został.

Cisza, skrzypienie butów na piasku. Daleki, łaskawy księżyc. Wody brakuje, ale poświatę, jak oczy srebrzystej ćmy, mamy w naszej gospodzie za darmo. Pijcie, nasyćcie się srebrem.

Leyre i Haran z mozołem stawiają kroki. Jest ich dwoje, ten trzeci unosi się nad nimi jak duch. Bo wszędzie, gdziekolwiek spojrzysz, wędrują za nami umarli. Życie ich onieśmiela, widmo naszej śmierci dodaje otuchy.

Rano, po nocy marszu, a raczej niemrawego, rozpaczliwego człapania, zanim znaleźli schronienie pod płaską, szeroką skałą, Haran wyruszył na łowy. Nie rosło tu niemal nic jadalnego, a nieliczne życie zdawało się na wpół martwe. Czasem trafiły się krzaki agawy, opuncji czy jukki oraz kaktusy *cholla*, z których wiatr odrywał kolczaste rzepy, wczepiające się w ubrania i włosy. Tylko skorpiony i grzechotniki czuły się tutaj dobrze.

W końcu znalazł bulwiasty kaktus, którego wilgotny miąższ posłużył im za napitek. Na ich codzienną strawę składały się znajdowane przez Harana rośliny i skąpo wydzielane racje suszonego mięsa. Zapewne to dzięki tym żalosnym ochłapom jeszcze żyli, ale Leyre miała wrażenie, że tylko podtrzymują agonię.

My, Termity, jesteśmy w tym dobre. Możemy przeżyć pod kamieniem i tysiąc lat.

W końcu się przemogła. Znow rozmawiali, zbyt zmęczeni i przerażeni, by spać. Wyschnięte usta, spuchnięte języki. Siki gęste, intensywnie żółte, pomarańczowe, pod koniec staną się czarne.

— Ta historia z Szarem... wiesz, dlaczego się na to zdecydowałam? Dlaczego zdradziłam Papaną? — spytała, daremnie wysysając, wymadlając wilgoć z rozpalonej pustki.

Pokręcił głową.

— Chodziło o ręce — powiedziała, dotykając jego ogromnych dłoni.

Popatrzył z zakłopotaniem.

— Wiesz, jakie Papan miał dłonie? Czy raczej rączki? Białe i schludne, z paznokciami o barwie różowej, świeżo wyłowionej muszli. Na dworze to norma. Łapki próżniaków i darmozjadów. Mój ojciec też takie miał.

Przymknęła oczy, zagrzebując się, cofając w tunele wspomnień. A potem zaczęła mówić, łapczywie, jakby słowa mogły ją oczyścić i orzeźwić. Beładnie wyrzucała z siebie ślepe, przedwczesne myśli, których nigdy

z nikim nie dzieliła, zacinając się i milknąc niezdarnie w połowie zdania. Zupełnie jak nie ona, i to było dobre, prawie tak dobre jak woda. Haran słuchał, cierpliwy i chłonny jak gąbka. Jego stalowe oczy ponuro płonęły w ciemności.

To było podczas wykładu, ojciec odwiedził ją w letnim pałacu na górze Mi'tten, by sprawdzić, czy – jak się wyraził – „nie zaniedbała edukacji”. Opowiadał jej o trzeciej dynastii klasycznych Olemków, tysiąc lat przed Klątwą. Zamierzchłe dzieje, lecz udokumentowane dzięki przetłumaczonym kodeksom.

Omówili przyczyny upadku budowniczych ogromnych, kamiennych głów i przeszli do pierwszych przedstawień kopalu, który odkryli właśnie pradawni Olmeci. *Braazatal* był, zdaniem ojca, tajemniczą odmianą tej skamieniałej żywicy, którą starożytne ludy, Olmekowie, Toltekowie i Aztekowie, używali do wyrobu świętych kadzideł. Zergos rozwodził się na temat jego zastosowania i struktury chemicznej, gdy zwróciła uwagę właśnie na jego białe dłonie. Codziennie wyrzucał jej, że marnuje swój cenny czas na jej tępy i oporny umysł, podczas gdy w laboratoriach i warsztatach Skarbca czekają na niego badania. Przełomowe i wiekopomne, a jakże. I wtedy to zobaczyła.

Nie miał blizn.

Na jego palcach nie rozlał się nigdy żaden odczynnik, nie oparzyła go żadna aparatura. Nie eksperymentował i nie popełniał błędów. Pamiętała prawdziwych uczonych ze Skarbca, osmalonych kunsztmistrzów od żelaza, mosiądzu i stali. Kapali się w odczynnikach i kwasach, przeżywali potworne eksplozje. Większości brakowało kilku palców!

Poczuła się, jakby połknęła robaka, zimnego, śliskiego, który wpełzł do jej brzucha i tam, w ciepło, wypuścił kolce. Ojciec kłamał, przez długie lata okłamywał ją, budując na tych kłamstwach swój pomnik.

Zergos nie musiał się trudzić, tworzyć i nadstawiać karku. Wystarczała mu dobra prezencja i jedwabisty, głęboki głos, który wlewał się w uszy słuchaczy, pozwalając im łykać kolczaste nasiona kłamstwa. Snuł intrygi i wydawał rozkazy, przesuwał skrwawione pionki po planszy. Prezentował światu uśmiechniętą, fałszywą twarz Zakonu, nic niewartą, cenniejszą od złota. Każda licząca się grupa, organizacja czy banda wysuwa kogoś takiego na fronton. Realną władzę trzymali inni, a ludzie tacy jak Zergos mieli przekonywać, łudzić i dobrze się prezentować.

Leyre zrozumiała, że kimś takim był Papan, wtedy jeszcze jej narzeczony. Że kimś takim w końcu zostanie także ona. Ale mimo tej wiedzy nie potrafiła się przeciwstawić ojcu. Kształcono ją właśnie po to, by przeżyła życie bez życia, tańcząc i zwodząc wirujące cienie. Dlatego czekała na Szara. Dlatego musiał się zjawić, rozpędzić trujące opary, porwać ją i unieść daleko, tam, gdzie powietrze jest czyste.

Bawiła się nim, znudzona? Leyre zaśmiała się gorzko. Sama była w tym wszystkim zabawką, i to ciśniętą w płomienie. Bogowie czasami żartują. Zamiast bólu zsyłają nam rozkosz, okrutniejszą niż wszystkie nieszczęścia. Minęły lata, lecz do dziś rumieniła się na samo wspomnienie. Tamtej jesieni ktoś zatrzał miejski wodociąg winem, a w powietrzu rozpylił sproszkowane diamenty i kokę. Roziskrzzone kolibry znosiły Leyre mleko i słodki nektar, a tęcza wiła się wokół jej bioder jak barwny skrzydlaty wąż. Codziennie tańczyła na niebie, co noc spowijał ją ogień. Z Papanem, delikatnym, troskliwym i czułym jak urodzona piastunka, nigdy nie przeżyła czegoś choć trochę podobnego.

To była ruja, jesienna, królewska ruja, i on, ogar idący za tropem jej żądz. Wytykali ją za to palcami, lecz Leyre zносиła to z dumną pogardą, wystawiając zawistnikom płonące, zarumienione policzki. Żałowała każdej, która nie przeżyła tego, co ona.

Gdy skończyła mówić, Haran wyglądał na zakłopotanego. Pomyślała, że się zarumienił, ale krótka, jasna broda barbarzyńcy skutecznie go maskowała. Pokiwał głową i bez słowa wyczołgał się z jamy. Słyszała jego oddalające się kroki. W końcu wrócił, ale unikał jej wzroku. Wyglądał jak wielki, sponiewierany kundel, który nie wie, czy ma warczeć, czy skamleć.

Następnego wieczoru Leyre zrobiła już tylko krok i miękko osunęła się na ziemię. Haran bez słowa zarzucił ją sobie na plecy, przestraszony lekkością ciężaru. Tej nocy przemieszczali się znacznie wolniej i rankiem, gdy osunęli się w zagłębienie pomiędzy skałami, po raz pierwszy pomyślał, że umrą na tych pustkowiach.

Każdy kolejny dzień okazywał się trudniejszy. Wystarczyłoby, żeby Haran nie znalazł tej odrobiny ciepłej, cuchnącej wody, którą miały w sobie kaktusy, by ich ciała wyschły i rozsypały się w proch. Marsz palił znużone mięśnie i nawet gdy kryli się w jamach, pastwiło się nad nimi bezlitosne, nienasycone słońce. Inny świat nigdy nie istniał, woda stała się zapomnianą, skłamaną legendą.

Haran zaciskał zęby, przed oczami wirowały mu ciemne płatki. Krwawe słońce kryło się na zachodzie za niskimi górami jak tłusty, opity ich cierpieniem pająk. Dopiero co zwlekli się z niewielkiej skalnej jaskini, lecz oboje nie mieli już sił. Nigdzie nie pójda. Umrą.

Usiłował nieść Leyre, ale nogi chwiały się pod nim jak trzciny. Zamrugął, potrząsając grzywą, jakby mógł w ten sposób odpędzić zmęczenie. Płatki nie chciały zniknąć, wirowały nad pobliskim wzgórzem. Zamrugął znowu i nagle wybuchnął ochrypłym śmiechem.

— To sępy — powiedział, przyspieszając.

Leyre zadrżała w jego ramionach.

— Czekają na nas — wyszeptała.

— Nie. Znalazły już sobie kolację. Chodźmy!

Ptaszyska biesiadowały za wzgórzem. Haran wspiął się na nie resztką sił, dysząc jak kowalski miech. Najpierw zobaczył wyschnięty pień drzewa, a potem coś, od czego zapłakałby, gdyby jeszcze miał w sobie choć odrobinę wilgoci.

Liście.

Drzewo miało liście.

Zaczął zsuwać się z boczem, szorując piętami po żwirze. Leyre krzyknęła ze strachu, ale barbarzyńca nie zwalniał. Widział już, co ściągnęło tu ptaki.

Jeleń padł, na ironię, tuż nad brzegiem małego jeziora. Ptasia uczta miała się ku końcowi, spod rdzawej skóry pobłyskiwały kości, niektóre zgruchotane szczękami kojotów i innych stworzeń. Jednak mimo tego ponurego sąsiedztwa zakątek wydał się Haranowi cudowny. Mała niecka barwy nasyconego błękitu dała życie niewielkiemu laskowi opuncji, agaw, karłowatych sosenek i dębów, a teraz miała ocalić także ich.

Wbiegł do wody, cwałując ciężko jak bizon. Z okrzykiem zanurkował, a potem pił, długo i łapczywie, jakby chciał cały przemienić się w wilgoć. Zawartość tej skalnej niecki była najpiękniejszą i najbardziej ożywczą rzeczą, jaką spotkał od czasu, gdy po pięciu latach wypełził z Dołów na powierzchnię i stanął przed boskim obliczem słońca.

Leyre krzyczała coś, rozgniewana, jego skok zmusił i ją do gwałtownego nura. Na szczęście umiała pływać. Wynurzyła się z wody, prychając. Najpierw długo piła, małymi łydkami, z przymkniętymi powiekami, bezskutecznie próbując powstrzymać napływające do oczu łzy. A potem jej twarz zmieniła się, gdy ujrzała, jak jasna jest skóra jej towarzysza, uwolniona od warstwy pyłu i zaschniętej krwi. Po raz pierwszy widziała kogoś, kto tak bardzo przypominał Dobroczyńców.

Haran pożerał ją wzrokiem.

Mokra koszula Leyre nagle stała się śmiałym, wyzywającym strojem.

Wyszczerzył zęby i z przyjemnością obserwował strumyczki, które wędrowały po łagodnych krzywiznach jej ciała. Zarumieniła się i zanurkowała. Wypłynęła po drugiej stronie jeziora.

— Nie musisz się wstydić, pani. Nie należysz do kobiet, które nie powinny się kąpać przy świadkach. Wręcz przeciwnie. Moja ciotka Righana była tak...

— Przynieś mi płaszcz — rozkazała.

Barbarzyńca podrapał się po głowie. Zabawne. Jej smukłe członki lgnęły do jego pleców przez wiele mil i zdążył je poznać dość dobrze. Ale pamiętał, że mieszkanki miast mają dziwaczne kaprysy.

U Druazzi kobiety publicznie karmiły dzieci, a trzcinowe chatki nie ukrywały przed postronnymi miłości. Delikatność i galanteria wynikały z relacji klanowych, a nie z troski o niewieści wstyd. Każda kobieta była pod czyjąś opieką i to sprawiało, że mężczyźni zawsze traktowali je grzecznie. O czymś takim jak dziewicza pruderia i skromność Haran dowiedział się dopiero w Tollan i uznał to za kolejną perwersję bogaczy. Długo myślał, że mieszczyki są w jakiś sposób wybrakowane albo trapią je choroby skóry. Cóż, Leyre też znajdowała się pod czyjąś opieką. Kogoś, z kim Haran nie rozstawał się od dnia, gdy włożył na barki jego skórę...

— Pospiesz się!

— Jak sobie życzysz — mruknął i z ukłonem podał jej płaszcz, w który dziewczyna owinęła się z godnością.

Musiał przyznać, że mimo trudów wędrówki zachowała majestat królowej.

Tego miejsca nie odwiedzali ludzie. Zamieszkujący oazę królik obserwował ich ufnie, łagodnie strzygąc uszami. Dzięki niemu nie musieli się raczyć resztkami padłego jelenia, które po pilnej robocie ścierwojadów nie pokrzepiłoby wygłodzonych wędrowców. Haran przyszpilił królika do ziemi

oszczepem i zabrał się do szukania ziół i kopania pieca. Położył zaklejonego gliną zwierzaka na warstwie żaru, a potem rozpałił na nim ognisko. Leyre patrzyła zdziwiona. Jej zdumienie wzrosło, gdy barbarzyńca zaczął pogwizdywać, świszcząc przez spiłowane zęby.

— No co? Nie widziałaś, jak mężczyzna gotuje? Na wyprawie żadna niewiasta tego za ciebie nie zrobi. Chyba że weźmiesz branke. — Łypnęła na niego spode łba i Haran poczuł się głupio. — Nie to miałem... A zresztą, możesz się boczyć. Poczekaj, aż będzie gotowy.

Królik okazał się wyśmienity, kruchy i niewyschnięty. Mieli nawet sos z garści ziaren kakaowca, ziół i dzikiego czosnku. Brakowało jedynie papryki. Leyre pochwaliła go powściągliwym, dystyngowanym skinieniem, ale swoją porcję pochłonęła tak samo łapczywie jak on. Haran wyszczerzył zęby i po posiłku wyciągnął się wygodnie na posłaniu z trzcin.

Był pewny, że w Pałacu Grani podawano jej lepsze rzeczy. Ale tam nie kucharzył Pan Głód.

* * *

Sen, który potem śnił, też przepęniała radość, jakby sytość i poczucie spokoju nie chciały się z nim rozstawać. Dzień był słoneczny, niebo niebieskie jak oczy ładnej dziewczyny. Pili wino z agawy, zasiadając przy stołach rozstawionych pod rozłożystym dębem. Ostre, gorzkawe *pulque*, doprawione miodem, papryką i pestkami dyni, smakowało wybornie. Ludzie, których znał z Dołów, nienaturalni w jasnym blasku, z uśmiechami na dobrze odżywionych twarzach, z włosami rozwianymi przez wiatr. Haran śmiał się, aż oczy zaszyły mu łzami. Dawno nie bawił się tak dobrze. Szturchnął Morosa w bok i rozejrzał się.

— Czemu życie nie zawsze jest takie? — zapytał.

Moros milczał. Haran dostrzegł, że przyjaciela spowija zimna aura,

sączący się przez skórę chłód. Jakby promienie słońca omijały go.

Moros napił się *pulque*.

— Za życia nie spotykaliśmy się w takich miejscach. Nigdy. O Dołach można powiedzieć wszystko, lecz nie to, że są miłe.

Haran poczuł, jak radość wylewa się z niego niczym woda ze strzaskanego cebra. Ostrożnie postawił dzbanek na blacie, po raz pierwszy widząc plamy pleśni, znaczące zbutwiałą fakturę drewna. Gdzieś w górach żałośnie zaskrzeczał ptak.

— Ty nie żyjesz — jego głos brzmiał płaczliwie i żałośnie i nic nie mógł na to poradzić.

— Ano — potwierdził Moros. — Żałuję tylko, że nie zdążyłem przekazać ci więcej. Czeka cię moc pracy. Ale wierzę, że dasz sobie radę, synu. Dziękuję, że jej pomagasz. Zawsze miałem do tej dziewczyny słabość.

— Poczekaj. Ja wcale nie wiem, co dalej.

— Nikt nie wie. Na razie starajcie się przeżyć.

— Mówią, że Quinatzin zwąchał się z demonami. Z prawdziwymi bestiami, gorszymi niż Białoskórzy. Na razie ładuje swoje strzelby *braazatalem*. — Haran roześmiał się cicho.

Moros zasepił się. Przez chwilę znowu był Szaratangą, taktykiem i błyskotliwym strategiem. Lwem Labiryntu, obrońcą swojego ludu. Pogładził się po krótkiej brodzie.

— Może to Zjadacze podsunęli mu smar? Celowo. U nas, w Dołach, *murgha* nigdy nie zapuszczały się tam, gdzie tego diabelstwa nie było. Pamiętasz? Dla demonów był jak powietrze i woda. Smakowity jak zgniłe mięso dla psa. To działa też w drugą stronę. W miarę jak broń Quinatzina będzie się rozpowszechniać, coraz więcej obszarów stanie przed nimi otworem.

— Można coś na to poradzić? Będę się cieszył, jeśli przedrzemy się

z twoją Leyre do Tikal.

— Tikal ich nie pokona. To tchórze. Musicie iść dalej. Musicie powstrzymać króla.

Twarz Szaratangi powoli bladła. Spotkania z umarłymi zawieszają niewiarę. Możesz rozmawiać z utraconym przyjacielem lub ojcem i cieszyć się, że znowu go widzisz. Ale radość zawsze podszyta jest bólem, przecuciem okrutnej złudy. Przychodzi moment, gdy iluzja nieuchronnie zaczyna się pruć. Słowa tracą wiarygodność i sens, jakby powtarzało je wytresowane ptaszysko. Dostrzegasz, że sam je stworzyłeś. A potem oni nikną, rozmyci przez słońce. I uświadamiasz sobie, że twój rozmówca nie żyje i nigdy go już nie będzie. Że właśnie żarliwie żegnasz się z cieniem.

Haran zamrugął, powstrzymując łzy, haniebnie kręcące się w jego oczach. To, że emocje były udziałem skrywanego w nim dziesięciolatka, nie dawało żadnej pociechy. Znowu go zostawiał. Jego starszy brat. Jego drugi ojciec, nieprawdziwy tak jak i Pęcherz. I też martwy.

— Na mnie już pora — mruknął Szar. Powieki pokrywał mu szron.

Na łące tańczyły tumany liści, z północy nawiewał śnieg.

Haran zatrzymał przyjaciela, obejmując go mocno. Pod jutową bluzą Tlaskalanina wyczuł kruchą przestroagę kości.

— Zostań. Potrzebuję cię. Ona cię potrzebuje.

— Chciałbym. Musicie bardzo uważać, Haranie. Wasi wrogowie są inni. Kimkolwiek — umarły zawahał się — albo czymkolwiek są, nie przynależą tutaj. To obcy, synu. Nawet po śmierci ich dusze smażą się w innym piekle.

— Twoja kobieta... Leyre... Nie wiem, jak ją traktować — poskarżył się Haran.

Szaratanga uśmiechnął się z udręką.

— Ja też nie wiedziałem. Chcesz zrozumieć kobietę? Tego nawet bogowie nie umieją.

Kontury widma zamazały się. Haran z desperacją zaczerpnął powietrza.
— Poczekaj. Powiedz mi, jak tam jest? — poprosił.
— To tylko pustka, młody. Pustka wspomnień wyściełanych miłością.

* * *

Następny dzień upłynął im na kąpielach, obżarstwie i słodkim lenistwie. Leyre czuła się jak pustynne zwierzęta, o których czytała w księgach, składujące jedzenie i wodę we własnych napęczniałych grzbietach. Jedząc kolejnego tłustego i pysznego królika, tym razem duszonego w drewnianej tykwie razem z korzonkami, które prawie zastąpiły cebulę, czuła, jak wyrasta w niej taki garb. Była szczęśliwa i jej nastrój kontrastował z ponurym milczeniem barbarzyńcy. Zaskoczył ją, nawet najedzony odczuwał smutek.

Po kolacji oblizwała palce i wyciągnęła się sennie, kontemplując niebiańską rozkosz bycia wreszcie sytą i czystą. Podczas pustynnej gehenny już prawie zapomniała, jakie to uczucie. Haran przykucnął przy gasnącym ognisku i trawił posiłek w bezruchu. Tylko jego ogromna, zdeformowana lewa dłoń zaciskała się i prostowała bezwiednie, przywodząc jej na myśl jakieś mroczne, żyjące własnym życiem stworzenia. Barbarzyńca prezentował się na tle ognia niczym ponure wzgórze. Nie wiedziała o tym człowieku nic. Spowijał go wewnętrzny cień, ale Leyre nie bała się już swojego opiekuna tak jak kiedyś. Więcej, poczuła do niego wdzięczność.

Nagle uświadomiła sobie, przed iloma rzeczami ją chronił.

— Muszę cię o coś spytać — zaczęła ostrożnie, jak myśliwy podchodzący płochliwą zwierzynę. Albo raczej czujnego potwora. — Twoja lewa dłoń... Czy to jakaś choroba?

Haran roześmiał się chrapliwie i powoli pokręcił głową. Sięgnął po strzępek jutowego płótna i zajął się czyszczeniem klingi miecza.

Jak zwykle, pomyślała z narastającą wściekłością. Tak dobrze jej już

znany rytuał wpełzania do nory.

— To nie w porządku! — wybuchnęła. — Obiecałeś, że będziesz mnie chronił!

Haran potarł brodę i skrzywił się.

— Właśnie to robię. O pewnych sprawach najlepiej jest milczeć. Nigdy nie wiesz, kto słucha — warknął.

Twarz Leyre złagodniała. Przysunęła się bliżej i ostrożnie dotknęła jego ramienia.

— Mój ojciec nauczył mnie wielu rzeczy. Zakon Kretów wiedział, jak zwalczać choroby. I czary — dodała po chwili.

Krótki, niewesoły śmiech.

— Szamani mojego plemienia... tego, które pozwoliło mi wierzyć, że do nich należę, powiedzieliby, że to demon. Jeden z tych, które wpełzają w człowieka, żeby go zawłaszczyć — wyszeptał.

— To właśnie widziałam tamtej nocy? Coś próbowało cię przejąć?

Haran potrząsnął grzywą, w oczach zatańczyły mu mroczne ogniki.

— Zbudziłem się, gdy wciskała mi palce w powieki. Próbowałem wydłubać sobie oczy. W Dołach zdarzały się takie rzeczy. Ludzie zaczynali się zmieniać, a potem zagarniał ich Zew. Moros mówił, że to z powodu smaru. Że *braazatal* naznacza nas i przemienia. Przeciąga na stronę tamtych.

Leyre poczuła litość.

— Ten Moros to twój przyjaciel?

— Tak. Chyba nie miałem ich wielu. Właściwie to tylko jego oraz pewnego starego, zaszuszonego zrzęde, towarzysza mojego ojca.

— A Szar... Myślałam, że dobrze go znałeś?

Nie odpowiedział i zwrócił się do ogniska, w skupieniu przesuwając gałęzie w żar. Ale Leyre nie zamierzała odpuścić. Czowała, że zbyt wiele przed nią ukrywa.

— Poznałeś go, gdy trafił w niewolę Kruzów? Ale w takim razie dlaczego masz jego miecz? Przecież wtedy go ze sobą nie miał. Spotkałeś go jeszcze później?

Haran potarł palcami skronie i bezradnie potrząsnął głową. Miał wrażenie, że zaraz mu pęknie. Bezwiednie prostował i zaciskał dłonie, szpony kopacza z Dołów. Lewa, którą kiedyś nazaczył *mo'qun*, płonęła mu zimnym ogniem.

Nienawidził, gdy go wypytywali o przeszłość. Czuł się wtedy jak człowiek, który musi wykopać z grobu zwłoki własnego dziecka.

— Spotkaliśmy się dwa razy. W niewolniczych sztolniach Kruzów i jeszcze raz, później. Zawdzięczam mu życie. Teraz naprawiam, czego on nie zdołał. Ratuję, kogo on nie ocalił.

— Wiesz, że miał żonę i dzieci. A wyruszyłeś po mnie. Dlaczego? — zapytała cicho.

Milczał.

— Bo jestem królową, a ona zwyczajną kobietą? Bo można mnie dobrze odsprzedać?

— To nie był wybór — odpowiedział chrapliwie.

Odwrócił się do Leyre, której delikatna twarz mieniła się w blasku płomieni. Podobno w żyłach wysokich rodów Tlaskali płynęła krew białych demonów.

Twoja krew, diable. Czujesz?

— Myślałam, że woli być z tamtą — powiedziała cicho.

Haran roześmiał się. Pomyślał o Enishy, znoszącej swoje życie w cieniu, bez słowa skargi, i nagle ogarnął go gniew.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Skoro go znałeś... to wyjaśnij mi, proszę, dlaczego przede mną uciekał.

Haran milczał. Leyre uspokoiła się i skrzywiła z lodowatą wzgardą.

— Z kim ja w ogóle próbuję rozmawiać.

Zacisnął pięści.

— Szaratanga umykał przed własną głupotą. Enisha dała mu dzieci i spokój, wierność i pieprzoną miłość. A on i tak całe życie wzdychał do bladego widma z pałacu. Niewdzięcznej, samolubnej skorupy, która tylko udaje kobietę.

— Nic nie wiesz! On nie chciał ze mną być.

— Nie chciał być tym, kogo potrzebowałeś, Leyre. Ale zanim ty zostałeś królową, a on bohaterem Labiryntu, ty pierwsza dałaś mu kosza, pamiętasz?

Wyprostowała się z dumą, jej oczy krzesaly iskry.

— Tak. Odrzucony przeze mnie, uczynił się Lwem Labiryntu. Dzięki mnie dał ludziom nadzieję. Więc może lepiej, że nie zamieszkałam z nim w jego zasranej chatynce, rodząc co roku bachory.

Teraz to on był zdziwiony. Długo patrzył na nią z uśmiechem, który nie miał w sobie niczego miłego.

— Jaka szkoda. Na pewno byłabyś słodką żoną.

* * *

Gdy zjedli ostatniego królika, a także żaby i chrząszcze, nalali wody do nowych bukłaków z króliczych skórek i ruszyli dalej na zachód. Ta część Tlaszkali najbardziej odczuła Klątwę. Na horyzoncie widzieli niekiedy dziwne, jakby skamieniałe sylwetki, widywali też białe drzewa przypominające kości nieznanymi stworzeń albo tajemnicze pagórki, dymiące jak kominy chat. Haran jeżył się wtedy, węsząc i nasłuchując, i przyspieszał kroku, niemalże wlokąc dziewczynę siłą. Gdy spytała, o co chodzi, przestraszyła się, bo w jego oczach ujrzała strach.

— Zjadacze. *Hikku'tai*... i gorsze rzeczy. Nie chciałabyś tego spotkać —

warknął.

Od czasu ostatniej kłótni prawie nie rozmawiali. Leyre usiłowała wybadać go w kwestii Dobroczyńców, ale Haran ucinał ten temat szorstko. Nie rozumiał nabożnej czci, jaką Termity obdarzały Białoskórych. Była tak samo głupia, jak zajadła nienawiść Kruzów. Jego pochodzenie nie miało żadnego znaczenia, równie dobrze mógłby być dzieckiem skorpionów.

Osada, którą spotkali w drodze na północ, nie siliła się już nawet na pozory porządku. Wioska płonęła.

Haran kazał Leyre ukryć się między skałami. Sam cierpliwie czekał, aż drapieżcy odejdą, wsłuchany w dobiegające z wioski echa gasnących krzyków. Gdzieś blisko zawodziła kobieta, wiatr przynosił zapach spalenizny i dymu oraz słodką, ohydłą woń pieczonego mięsa. Wolał nie myśleć, co trafiło na ruszty zdobywców.

Moros w nim płakał, ale Moros nie robił ostatnio niczego innego. Haran miał już dość tego mazgaja. Ostatni rok odcisnął w nim złowrogie piętno, które skutecznie tłumilo odruchy serca. Oddychał, jadł, i z podobną łatwością zabijał. Ale przestał odczuwać ból.

Gdy tubylcza dziewczyna podbiegła do niego i zamarła, jak leśne zwierzątko w potrzasku, poczuł gniew. Nie przyszedł tu rozmawiać z żywymi. Chciał się zakraść do pustej wioski i znaleźć w zgliszczach coś do jedzenia.

Tych dwóch szło za nią, zataczając się.

Pijani grabieżą Druazzi ze spiłowanymi zębami i torsami pociętymi bladymi bliznami.

Gdyby jego życie toczyło się normalnie, przeszedłby taką samą inicjację.

Starszy wyjadał coś z miski, pewnie pastę fasolową. Młodszy zgubił przepaskę biodrową. Wciąż miał erekcję, krew pozlepiła jego włosy łonowe. Był w wieku uciekającej dziewczyny. Miał osmoloną twarz i wytrzeszczone,

szalone oczy konia, który biegł zbyt długo.

Haran odepchnął dziewczynę. Upadła w piach i objęła ramionami głowę.

— Bierzcie ją sobie. Nie chcę jej — rzucił.

— A ty coś za jeden? Na Kruza mi nie wyglądasz — zagadnął podejrzliwie golas. W jego dłoni pojawił się nóż.

— Wolna Kompania Tarasków. Sojusznicy.

— Od Tekamoztli?

— No.

— Tekamoztla oblegał stolicę. Coś kręcisz.

Haran najchętniej odwróciłby się i czmychnął, ale wtedy ta przeklęta dziewczyna to zrobiła. Podpełzła i kurczowo wczepiła się w jego nogę.

I jeszcze Moros. To on był wszystkiemu winien.

— Uratuj mnie. Proszę...

Aż się zachnął. Ratować? On? To naprawdę nie jego specjalność. Był wręcz antytalentem w tej niewdzięcznej i trudnej dziedzinie.

— Już sobie idę. Ale z chęcią odkupię od was tę małą.

— Taaa? Tu mięsa nikt nie kupuje, dupku. Ale skąd miałbyś wiedzieć? Przecież nie jesteś od nas. I nie brzmisz mi jak Tarasek. Krukamyk, zabierz mu miecz — warknął młodszy.

Chłopak z miską nie powiedział nic, ale to jemu pierwszemu Haran rozwalil łeb.

Typ z nożem zaatakował, ale nie zdało mu się to na nic, gdy miecz Białoskórych przeszył jego brzuch. Zasada była prosta. Zawsze uderzaj pierwszy.

Kiedy już Haran wytarł miecz o łachy tego od fasoli, zobaczył, że Leyre wyszła zza skał. Patrzyła na niego wielkimi oczami. Na rzęsach miała kropelki łez. Charknął tylko i zabrał się do przeszukiwania zabitych. Branka nie chciała odejść. I chyba nie bardzo mogła, jej chude nogi były śliskie od

krwi.

Rzucił jej jakąś szmatę, ale nawet nie próbowała jej złapać. Leyre zbliżyła się do niej niepewnie i okryła ją własnym płaszczem.

No pięknie. W górach bywa zimno.

— Moja rodzina... Jeszcze żyją. Pomóżcie im. Proszę — zawodziła.

— Ukryj się gdzieś. Im już nic nie pomoże.

— Może to jednak rozważysz? — Leyre uniosła brew.

— Jak każesz, pani. — Haran skłonił się szyderczo. — Ilu żołnierzy jest w wiosce?

— Kilkunastu — wykrztusiła branka.

— Za dużo. Nie jestem cudotwórcą.

Wieśniaczka nie odpowiedziała, tylko skuliła się w dziecięcym, bezbronnym geście. Otuliła ramionami piersi, jakby te chude patyki mogły odgrodzić ją od krzywdy i hańby.

Haran milczał, w oczach Leyre zabłysła pogarda.

— Szaratanga by się nie odwrócił.

— Z pewnością. Ale już go posłałaś na śmierć.

— Ci ludzie nie zasłużyli sobie na to — syknęła.

— Nikt nie zasłużył. Na tym polega dowcip.

Tupnęła nóżką. Onuce ze skóry królika prezentowały się jednak gorzej niż aksamitne sandałki.

— To moi poddani. Masz ich ocalić. Musisz.

Roześmiał jej się prosto w twarz.

— Muszę? Niech każdy ratuje się sam.

Odwróciła się bez słowa i zanim zdążył ją złapać, zbiegła po zboczu, osuwając lawinę kamyków.

Zaklął i ruszył za nią. Kolana przeszył mu ostry, świdrujący ból. Musiał zwolnić, tymczasem dziewczyna wysforowała się mocno do przodu.

W nozdrza uderzył go smród. Zauważył muchy, ohydne, włochate i miękkie, wykarmione na wojnie i krwi. Powietrze było od nich aż czarne.

Na środku osady wznosiła się piramida z ciał. Nagie i poskręcane, z wychudłymi kończynami splecionymi w pośmiertnych skurczach. Żałośnie nieliczni mieszkańcy, którzy przeżyli ceremonię witania zwycięzców, stali w rzędzie z obręczami na szyjach, przywiązani do długiej żerdzi.

Najeźdźców było więcej, niż mówiła branka. Więcej, niż zdołaloby zabić nawet trzech Haranów. Musieli zauważyć zniknięcie dwóch swoich ludzi, bo czekali na nich, przygotowani. Kilku trzymało napięte łuki, pozostali mieli maczugi i włócznie. Na widok Leyre oczy zabłyśły im chciwie. Do tej pory spożywali ochłapy, teraz nadarzył im się prawdziwy smakołyk.

Ktoś warknął ostrzegawczo, ale ukochana Szara nie zwolniła. Wydawało się, że poleci prosto na strzały, ale Haran skoczył i w ostatniej chwili podciął jej nogi. Upadli na rumowisko, kalecząc kolana i łokcie.

Wstał szybko, unosząc ręce w pokojowym geście.

— Nie strzelajcie!

— Rzuć broń! — warknął krępy mężczyzna skąpany w czerwieni jak pływak. Okrywały go rytualne nacięcia Druazzi, brązową przetyczkę w nosie miał tak masywną, że mógłby nosić na niej wiadra ze studni. — Ktoś ty?

Haran zastanawiał się gorączkowo. Nie licząc tego przed chwilą, ostatnie spotkanie ze współplemieńcami też nie było udane.

Ale jaki właściwie miał wybór?

— Nazywam się Haran Nieczłowiek. Niektórzy z was pewnie o mnie słyszeli. Urodziłem się w Yugal. Moim ojcem był Pęcherz Pijany Miecz.

Szmer.

Jak przypuszczał, wojskowy przydomek jego przybranego ojca nie był im obcy. Nawet klany z Umarłych Lasów, wędrujące daleko od Yugal, pamiętały, kto rozsławił Leśny Kontyngent w wojnach przeciwko ludom

północy. Był to ostatni czas, gdy Druazzi coś jeszcze znaczyli. Aż do dziś.

Szmer zgasł, nietrwały jak podmuch wiatru w zbożu. Ponacinane, okrutne twarze zmieniły się. Krępy uśmiechnął się i łakomie oblizał usta. Haran poczuł, jak po plecach pełźnie mu lodowaty skorpion.

To jednak nie było mądre.

Wprawdzie nikt nie mógł wiedzieć, że to on wykradł królową Leyre, ale historia jego zdrady na pewno dotarła, gdzie trzeba. Po tym, jak pojmał Szaratangę, przestał być anonimową postacią.

Wtedy do przodu wystąpił chudy, żylasty mężczyzna. Wyglądał na tak wiekowego, jak wapienne skały, ale na pewno był od nich twardszy. Trzymał długą, wojskową włócznię, służącą do odpierania szarż kawalerii nomadów. Stanął przed Haranem, jego oczy zaśniły dziwnie.

Barbarzyńca uśmiechnął się, ale stary Hon nie odwzajemnił uśmiechu.

— To oszust i kłamca! Nie jest tym, za kogo się podaje! Służyłem z Pijanym Mieczem i znałem jego bękarta — oznajmił, spoglądając na Harana wrogo.

I huknął go drzewcem w twarz.

Rozdział 25

*Płomienie
kwiatów jak trąby
obwieszczają
początek i kres
Isktotal, Diamenty Nietrwałości*

Citlali obudziła się, widząc nad sobą męską zatroskaną twarz. Niczego sobie twarz, jeżeli miała być szczerą.

— Wróciłaś do nas. To dobrze — powiedział mężczyzna powoli.

Nosił prosty, biały płaszcz z jednego kawałka gładkiej tkaniny, spiętej broszą na prawym ramieniu. Typowy tollański strój okrywał sylwetkę jak rulon.

Citlali znała tego człowieka.

Zgodnie z instrukcjami Chimalpopoki to właśnie agent Xitzin miał wyprowadzić ją z miasta. Ukrycie Citlali w siedzibie głównej Tysiąca Oczu nie wchodziło w grę, zbyt duże ryzyko rozpoznania, w razie gdyby zostawiła świadków. Ona i Xitzin spotkali się już kiedyś na treningach. Nawet jej się spodobał. Szkoda, że oglądał ją teraz w tym stanie.

Był piękny, pogodny dzień pełni lata, przez szparę w drzwiach wpadały promienie słońca. Znajdowali się w pozbawionej okien izbie, typowej dla uboższych kruzańskich domostw. Umeblowanie składało się z paleniska przykrytego płaskim kamieniem do pieczenia placków, pękatego dzbana na

wodę i rulonu zwiniętych mat. Zapewne pomieszczenie służyło mieszkańcom tylko do gotowania i spania. W łagodnym klimacie Tollan życie i tak toczyło się na podwórzach, dachowych ogrodach i na placach.

Zrzuciła koc, odsłaniając nogi. Kikut prawej kończył się na wysokości kostki. Spodziewała się zobaczyć spaloną i szerniałą ranę, połącz spieczonego mięsa. Jednak ktoś fachowo opatrzył i owinął kikut leczniczymi liśćmi. Sączyło się trochę krwi, ale rana goiła się. W miejscu brakującej stopy Citlali czuła dziwne mrowienie. Jakby ból wcale nie pogodził się z utratą terytorium.

Już nigdy nie będę biegać, pomyślała z dziwną obojętnością.

Ciekawe, co powiedziałyby Haran. Pasowali teraz do siebie, nie ma co. Rozkoszny duet odmieńców. Mógłby gładzić jej kikut swoją kamienną rączką. Słodkie. Ale Myskanto raczej by za nią nie szalał.

Teraz nadawała się co najwyżej do kuszenia zwyrodniałych zbrojeńców... miłośników defektów i tortur. Była dziwnie pewna, że w kręgach władzy nie brakowało takowych.

Rozpląkała się. Tłumaczyła sobie, że to ze złości. Bo nic się, kurwa, nie stało. Należała do Matek, pod jej ostrzem ginęli najpotężniejsi ludzie imperium. I nieważne, że raz ją dopadli. Że lekarze przymocują jej do nogi ohydne, drewniane kopytko, jak u niezdarnego kaleki, którego widziała kiedyś nad jeziorem. Kysa powiedziała, że to „mężny rybak”, który wyszedł żywy ze spotkania z kajmanem. Dla Citlali był pozbawionym refleksu partaczem.

— Jesteś w szoku. To całkowicie normalne — pocieszył ją Xitzin.

Dziewczyna skrzywiła się, jakby podał jej coś paskudnego.

— Odezwał się znawca — mruknęła. — Pogadamy, jak sam nie będziesz miał nogi.

— Stopy. Wierz mi, to wielka różnica. Wiesz, jak trudno zamontować

protezę na biodrze? — Xitzin uśmiechnął się i zaczerwienił. — Przepraszam. Dureń ze mnie — powiedział i pochylił głowę. — To straszne, że spotkało cię coś takiego.

Cały on. Citlali słyszała o agentach, którzy bledli i rumienili się na zawołanie, ale Xitzin był inny. Miał jasną, szczerą twarz, która nigdy niczego nie ukrywała. Citlali zawsze go lubiła, gdyż nie miał w sobie nic z typowego szpiega. Był też najbardziej nieustraszonym człowiekiem, jakiego spotkała, może z wyjątkiem Tlaszkalanina Szaratangi. Podczas gdy ona wstąpiła do Zakonu Matek, Xitzin zdążył już wiele dokonać. Ostatnio przebywał w krajach Inki.

Podobno wykradł z podniebnej fortecy mumię jednego ze świętych królów. Żywą, a przynajmniej nie całkiem martwą. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy. Najbardziej misterne plany, snute przez starszyznę Oczu, spotykały się zawsze z zabójczym przeciwdziałaniem.

Należało brać pod uwagę dziesiątki czynników, magiczne zabezpieczenia, pułapki i hasła, hermetyczność inkaskiego społeczeństwa, a także telepatię, z której słynęli święci królowie. Tymczasem Xitzin po prostu to zrobił.

Wmieszawszy się w tłum, wszedł do twierdzy razem z grupką pobożnych pielgrzymów. Złośliwcy rozpowiadali, że król mumia nie podniósł alarmu, bo gdy lustrował twarze wiernych i sondował zawartość ich dusz, nie dostrzegł u prostodusznego Xitzina podstępnych, niepokojących myśli. Ani też żadnych innych, gdyż głowa młodego szpiega była pusta jak brzuch obłązonego Termita. Dla wyżartych przez czerwie oczu króla Xitzin pozostawał wręcz niewidzialny.

W stosownym momencie szpieg wdrapał się na wysoką kolumnę. Przesiedział tam cały dzień i pod osłoną nocy przedostał się do Złotego Tronu. Potem zaaplikował mumii usypiający dekokt i wyniósł świętego króla

na plecach, owiniętego w kobierce, przechodząc przez pomieszczenia dla służby. Strażnicy nie dostrzegli w nim niczego podejrzanego. Podobno zażartował, że właśnie wynosi ich króla.

Sam Xitzin nie chwalił się swoim sukcesem. Powtarzał tylko, że mumii po przebudzeniu nie zamykała się gęba i gdy niósł ją na plecach przez dżunglę, zagadała go prawie na śmierć. Sam mógłby napisać raport o stanie rywalizującego mocarstwa, ba, inkaską encyklopedię.

Citlali poruszyła się ostrożnie. Mrowienie ustało i czucie wróciło już w pełni. Co dziwne, objęło też brakującą kończynę. Słyszała o takich rzeczach. Pewien kapłan tłumaczył jej, że to pocieszenie, zesłane przez dobrych bogów.

Pewnie. Poczekaj, aż utną ci jaja, a ty do końca życia nie zdołasz się w nie podrapać.

— Na górze miała być lina — powiedziała oskarżycielsko.

Xitzin rozłożył ręce.

— Nieprzewidziana wpadka. Młody akolita Szurukana, którego pozyskaliśmy dla naszej szlachetnej sprawy, nagle postanowił zmienić sojusze. Nie zdążyliśmy go kimkolwiek zastąpić. Na szczęście twój demon ci pomógł. Wylądował na dachu, jak jakieś ogromne ptaszysko. — Agent Oczu wskazał skulony w kącie kłęb mroku.

Doggen.

— Sanktuarium też mogliście wcześniej sprawdzić. Cała ta operacja to czysta amatorszczyzna — syknęła.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. Rozkazy szły z samej góry. Zabrakło czasu, by dobrze to przygotować. Nawet Chimalpopoka jest wściekły.

Pokiwała głową. Chciała zobaczyć tego wiecznie sennego starca w ataku furii. A jeszcze lepiej, apopleksji.

— Długo spałam?

— Trzy i pół dnia. Ten stwór waruje przy tobie i nie daje się nikomu zbliżyć. Pozwolił cię tylko napoić i założyć opatrunki.

Powoli odwróciła wzrok.

Czekał tam na nią. Zbity, zgęstniały cień. Jej utracone i odzyskane dzieciątko. Jej kat.

Doggen nie odpowiedział na powitanie. Wydawał się spać, ale gdy Xitzin poruszył się, natychmiast otworzył oczy.

Citlali przeraziła się. Oczy chowańca, zwykle rozświetlone złowrogim, nieziemskim światłem, były szare jak pustynne jamy. On gaśnie. Zasila się echem Środkowia, potrafi przez jakiś czas lawirować między cieniami rozmaitych światów, tańczyć, lecz czuwanie w naszym wymiarze go spala.

W dodatku ich Więź osłabła. Do tego stopnia, że jego myśli docierały do niej stłumione, jakby zasnuwane przez mgłę. Citlali poczuła się podle, gdy rozkazała mu zabrać ją do siedziby Matek w Waicuri. Powoli pokręcił głową i opuścił ją, zawstydzony.

Za daleko. Za słaby. Wybaczenie.

Zapagnęła go nagle przytulić i zaraz wyśmiała samą siebie za ten pomysł. Równie dobrze mogłaby tulić rekina.

— Wracaj do domu, słyszysz? — szepnęła. — Nie jesteś mi już potrzebny.

Pokręcił głową.

Nie jeszcze. Żli ludzie szukają, gonią. Wychodzą z Domu Czerwieni. Beze mnie ty śmierć.

Xitzin potwierdził te informacje. Od czasu śmierci Szurukana w mieście panował chaos. Kapłani i ich żołnierze przeczesywali domy. Straż miejska i nieliczne wojska królewskie nie przeszkadzały im w poszukiwaniach, próbując nie rzucać się w oczy. Panowało powszechne wzburzenie, które łatwo mogło się przerodzić w rozruchy, samosądy i grabież. Spłonęło już

kilka cudzoziemskich sklepików, a o zamordowanym Szurukanie jeszcze nigdy nie mówiono tak dobrze.

Jeśli idzie o pomoc Tysiąca Oczu, to w organizacji trwała czystka. Masztla dał się zaskoczyć, lecz jego zwolennicy, ufni w swą siłę, próbowali się odgryzać i ludzie Chimalpopoki mieli pełne ręce roboty. Co gorsza, prześladowcy dysponowali całkiem wiernym portretem pamięciowym zabójczyni i twarz Citlali stała się sławna. Powinna jak najszybciej stąd zniknąć.

Oczywiście, chodzenie nie wchodziło w grę. Na szczęście kryjówka Oczu otwierała się na jeden z przecinających Tollan kanałów. Czekają tam na nich czółno.

Kłopoty zaczęły się, gdy Xitzin spróbował ją podnieść. Nie zdążył zrobić dwóch kroków, kiedy zatrzymał go *doggen*. Stał przed nimi, sycząc, a Citlali ujrzała malutkie, jakby roślinne kolce, pokrywające jego podniebienie i język. Po raz kolejny uderzyła ją bezprzykładna obcość tej istoty. Kruzowie wierzyli w wiele piekielnych światów, ale żaden z ich mieszkańców nie wyglądał jak *doggen*. Czymkolwiek było Środkowie, nie miało wiele wspólnego z tradycyjnym, ludzkim piekłem. I co gorsza, istniały naprawdę.

— Postaw mnie na ziemię. I odsuń się. Już! — ponagliła Xitzina zduszonym głosem. Bała się, że jej nie posłucha, ale agent, przy całej swojej odwadze, nie był głupcem. Odsunął się powoli, nie spuszczać *doggena* z oczu.

— Spokojnie, przyjacielu. Jesteśmy po tej samej stronie.

Citlali odetchnęła z ulgą. *Doggen* stał, nieruchomy i ciężki. Ciemna, burzowa chmura na niebie, które zmieniło się w kamień. Na jego skórze układały się cienie, matowy mrok. Wiedziała, że to mrok, ale gdyby ktoś spytał ją o kolor tej skóry, rysy twarzy i tym podobne szczegóły, miałyby

kłopot z odpowiedzią.

Doggen tańczył, wymykał się niezdarnej i ociężałej percepcji. Trudno było uchwycić go wzrokiem, ale wydawał się realniejszy, bardziej namacalny niż w sennych oparach Środkowia.

Citlali skupiła uwagę na Więzi i rozkazała mu się uspokoić.

Ten człowiek jest przyjacielem. Bez niego nie wrócę do domu. Rozumiesz?

Pokiwał okrągłą głową i lekko wziął ją w ramiona.

Na falach kanału przed domem kołysało się szerokie, pękate czółno. Że nie jest to zwykła łódka, Citlali zorientowała się, gdy w nozdrza uderzył ją smród. Xitzin uśmiechnął się przepraszająco.

— Wywożę tym ludzki nawóz na pola *chinampa*. Łodzie wciąż kursują między jeziorem i miastem, a dzięki tej woni kłopoty powinny ominąć nas szerokim łukiem. Nie rób takiej miny. Jest czysta, zadbałem o to. A tak przy okazji, wiesz, dlaczego porządni ludzie brzydzą się tymi łodziami?

Citlali rozłożyła ręce.

— Bo czyściciele szaleatów to urzędnicy państwowi — roześmiał się agent.

Przypominał jej szefa Tysiąca Oczu, Chimalpopokę. Ta sama leniwa, kocia obojętność. Spokój sytego drapieżcy.

Dobrze, że są po mojej stronie, pomyślała, ostrożnie układając się na dnie w towarzystwie czujnego *doggena*. Xitzin narzucił na nich plandekę. Citlali leżała pod grubym płótnem, kuląc się ze wstrętu. Przynajmniej zadali sobie trud, by wyszorować to coś. *Doggen* dyszał ciemnością. Citlali dotknęła jego ramienia, a stwór zakwilił pod jej pieszczotą jak szczeniak.

— Wracaj do Środkowia, słyszysz? To rozkaz — ponagliła.

Zamruczał coś w odpowiedzi i nagle w objęciach miała już tylko pustkę.

Opuszczając Tollan, Citlali i towarzyszący jej agenci Oczu przepłynęli

pod łukiem starożytnego, jeszcze azteckiego akweduktu, który zaopatrywał stolicę w wodę i sływał z tego, że zawierał dwa koryta pracujące na zmianę, co pozwalało na czyszczenie i konserwację. Na horyzoncie jezioro Texoco rozlewało swe błękitne wody, znad brzegów wznosiły się zarysy sąsiednich miast związkowych Przymierza, pasma gór i śnieżne czapy wulkanów.

Wkrótce dotarli do pól *chinampa* i Citali, zdumiona, oglądała ten odrębny, osobny świat, który należał po trosze do królestw ziemi i wody, lecz istniał na własnych warunkach. Faszyny, plecionki i tratwy utworzyły niedostępny labirynt kanałów, równie imponujący jak ten, który bronił Królestwa Tlaskali. Dziób łodzi pruł wodę pokrytą jajeczkami owadów i zieloną rzęsą, dzięki której nie różniła się barwą od brzegów. Z drzew hikorowych zwieszały się liany i pnącza oraz podobne im, naśladujące je węże. Na pływających polach widzieli przede wszystkim warzywa: kartofle, pomidory, paprykę. Panował tu duszny, zatęchły spokój, nawet ptaki odzywały się z rzadka. Citali poddała się kołysaniu. Dzięki niemu zapomniała o bólu.

Zapadła już noc, gdy przybili do stałego lądu. Mała zatoczka wyglądała na opuszczoną i dziką, ognie z tollańskich świątyń migotały, odbijając się w wodach jeziora niczym czerwone gwiazdy. Drugi z Oczu pożegnał się i odpłynął, żeby łódź nie rzuciła się w oczy.

Xitzin także gdzieś znikł. Po zaledwie godzinie wrócił, taszcząc małego jelonka. Citali patrzyła na to, zdumiona.

— Nie jestem jakimś mistrzem łowów — roześmiał się. — Po prostu niedaleko jest wyspa... taka, na której miejscowi nie polują. Odprawiają tam obrzędy ku czci Jelenia i Kukurydzy, starych bogów. Jeszcze z czasów, gdy moi kruzańscy przodkowie wędrowali po pustkowiach północy. Tamtejsze zwierzęta są święte i... głupie jak świnki morskie.

— Dopuściłeś się więc świętokradztwa? — spytała Citali zaczepnie.

Xitzin pokiwał głową.

— Myślę, że po tym, jak załatwiłaś Czerwonego Kapłana, żadne świętokradztwo nie może nam bardziej zaszkodzić.

Patrzyła, jak nucąc pod nosem, rozpala ognisko i przyrządza dla nich kolację.

— Straciłaś dużo krwi. Musisz zjeść coś lepszego niż suche podróżne placki. Coś, co postawi cię na nogi.

— Nogę — poprawiła go cicho Citlali.

Xitzin popatrzył na nią z komicznym przestraczem i oboje się roześmieli. Nie mogła nic na to poradzić, lubiła tego chłopaka. Miała wrażenie, że wreszcie spotkała kogoś zwykłego, w kim nie kłębią się żadne demony.

A skoro o demonach mowa, *doggen* nie dawał znaku życia. Citlali miała nadzieję, że bezpiecznie wrócił do Środkowia i szybuje teraz w jego sinych mgłach, bezcielesny, bezpieczny i wolny.

Xitzin nie ukrywał, że cieszy się z jego zniknięcia.

— Dużo o nich słyszałem... widziałem je też przy robocie. Pożyteczne bydlaki, ale gdy są blisko, flaki się w człowieku skręcają.

— Rozmawiasz z Matką, zapomniałaś? *Doggeny* to moja praca.

— W porządku. Mówię tylko, że lepiej polegać na własnych umiejętnościach niż czymś takim. Lepiej się na tym wychodzi.

Xitzin okazał się niezastąpiony. Pamiętał o *xiuhamolli*, pokrytym wyrostkami korzeniu do mycia, bez którego żaden cywilizowany człowiek nie mógł się obyć. Używali go już Aztekowie, a także Olmekowie, Toltekowie, ludy Maya, nawet dzicy Taraskowie, Druazzi i inni barbarzyńcy.

Białoskórzy nie znali go, tak samo jak większości istotnych rzeczy. Również ich jedyny Bóg żywił ponoć awersję do higieny, podobnie jak do wybujałych budowli i jabłek.

Według starożytnych kronik, gdy Białoskórzy wytoczyli się na ląd ze

swoich statków, po wielu tygodniach podróży w ciasnocie i strasznym zaduchu, cuchnęli jak wyziewy z piekieł. Azteccy posłowie dla własnego bezpieczeństwa okadzili smrodliwych przybyszów świętym dymem z kopalni, co dało początek plotce, jakoby Montezuma uznał niedomytych najeźdźców za bogów.

Citlali wyszorowała się nad brzegiem, ścierając brud korzeniem, którym przejeżdżała po skórze jak wałkiem. Xitzin dał jej też trochę *kikitli*, uśmierzającego ból wywaru z nasion powoju. Dzięki temu mogła prawie zapomnieć o nodze. I za to też była mu wdzięczna. Oczywiście, śmiała się z tej swojej wdzięczności.

To jeden z Oczu i wykonuje swoją pracę, a ty zachowujesz się jak postać z ulicznego teatrzyku. Zabójczyni o zimnym sercu, zdradzona i stęskniona za miłością.

Mimo to dziewczyna czuła to szczególne ciepło, o którym w ostatnich latach zdążyła zapomnieć. Miło, gdy ktoś się o ciebie troszczy i nikt przy okazji nie ginie.

Poza tym świetnie gotował. Przyrządził jej mocny rosół i kawał pieczonej, krwawej wątroby. Citlali obawiała się, że będzie to w siebie wmuszać niczym paskudne lekarstwo, lecz mięso leniwego jelenia okazało się cudownie kruche i słodkie.

Rankiem Xitzin znów się oddalił. Nie było go cały dzień. Tym razem wrócił z dwójką pocztowych koni. Citlali nigdy nie podróżowała na grzbiecie tego dziwnego zwierzęcia, a nawet nie widziała go z bliska.

W Odrodzonym Przymierzu hodowla wierzchowców była oficjalnie zakazana, ponieważ uchodziły za diabelski pomiot Białych Diabłów. Nawet w obliczu najazdów północnych koczowników, którzy nie mieli takich obiekcji i oswajali mustangi preriowe, armie Przymierza nie pokusiły się o własną kawalerię. Quinatzin jednak złamał również to tabu, wprowadzając

limitowaną hodowlę dla wojska. Mimo to konie były w Przymierzu niezwykle rzadkie i na poły legendarne.

Tlatoani zdawał sobie sprawę z nastrojów i zakorzenionych przesądów. Nakazał posłańcom podróżować nocą, żeby nie drażnić bluźnierstwem bogobojnych rodaków.

Jechali traktem królewskim, co trochę ułatwiało sprawę. Trochę. Kruzowie nie stosowali strzemion i siodeł, tylko derki. Po nocy takiej jazdy Citali bolał każdy mięsień. Gdy męka dobiegła końca, ledwo zdołała przełknąć placek i odrobinę zimnego mięsa. Położyła się na ziemi i spała przez cały dzień.

Następnego nocy zaczęła gorączkować. Uczepiła się grzywy wierzchowca, ale organizm trawiony chorobą odmówił posłuszeństwa. Dłonie słabły, raz po raz zsuwała się w otchłań; przypominało to wspinaczkę po śliskim lodzie. Jej koń musiał wyczuć, że kontrola jeźdźca osłabła, bo najpierw ochoczo przyspieszył, a potem gwałtownie stanął.

Citali poczuła, że już się niczego nie trzyma. Z impetem uderzyła o ziemię. Krzyknęła z bólu i bezskutecznie usiłowała się podnieść. Xitzin zatrzymał się i już po chwili był przy niej.

— Jesteś ranna?

Próbowała go ostrzec, ale słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Demon spadł na niego jak czarna lawina. Xitzin przetoczył się na bok, na jego młodej twarzy pojawiły się głębokie bruzdy. Przeciwnik zaciskał szponiaste palce na jego gardle, świergocząc owadzią pieśń czasu. Citali posłała *doggenowi* rozkaz i z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie może zarzucić na stwora Więzi. Po drugiej stronie szalała burza. Czowała strach i... miłość.

Nie pozwolę. Nikomu. Cię skrzywdzić.

Ktoś krzyczał i dziewczyna ze zdumieniem poznała w tym wrzasku

własny, bezsilny głos.

I wtedy szamotanina ustała, a na trakcie zapadła przesywająca, dzwoniąca w uszach cisza. Citali wstrzymała oddech, wpatrzona w leżące na poboczu postaci.

Podniosła się tylko ciemność.

* * *

To był fachowy łomot, Haran nie miał co do tego wątpliwości. Metodyczny, ale dopuszczający nietuzinkowe pomysły. Współplemieńcy bili go długo, z zapalem i furią.

Kopniakami roztrzaskali mu plemienne ozdoby na zęby, zresztą razem z samymi zębami. Zwinął się w kłębek i ukrył głowę między przedramionami. Modlił się, żeby któremuś z napastników nie wpadło do głowy, by poskakać mu po czaszce. Oczywiście, napiął mięśnie, ale kręgosłup i nerki i tak eksplodowały bólem.

W końcu znudziło im się łamanie na nim kijów.

Mimo wszystko chyba nie chcieli go zabić. Nie trafił na wzdęty stos, lecz do szopy z innymi niewolnikami, przywiązany do tej samej co oni żerdzi. Haran szarpał więzy i przeklinał, z wysiłkiem poruszając zmiażdżonymi, opuchniętymi wargami.

Wreszcie osunął się w miękką, zbawienną pustkę.

Obudził go dudniący ból. Leżał skrupowany mocnymi sznurami, na twarzy miał skorupę krwi. Ktoś podał mu w chochli wodę, którą wypił, z trudem przepuszczając płyn przez zaschłe od krzyku gardło. Poza nim w pomieszczeniu nie było nikogo. Miał wrażenie dziwnego powrotu, jakby znów czekał na kupca w szopie z niewolnikami, jakby jutro miał trafić do Dołów. Brakowało tylko tego zdradzieckiego kutasa, Yory.

Po kilku minutach ktoś wszedł do środka. Haran z trudem rozkleił

powieki. Uśmiechnąłby się, lecz kopniaki zmiażdżyły mu szczękę. Hon przeciął mu więzy i kucnął pod ścianą, patrząc, jak wychowanek Druazzi rozciera zdrętwiałe kończyny, do których wraz z bólem powoli wracało uczucie. Potem podsunął mu zawiniątko ze specjalną żywicą, którą wojownicy Druazzi wcierali w rany.

— Dzięki, Honie — mruknął do zasuszonej postaci.

Stary uśmiechnął się kwaśno, odsłaniając kikuty zębów. Teraz mieli ich mniej więcej po równo.

— Lepiej nie dziękuj. Jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobić.

— A dziewczyna? Oddałeś ją swoim chłopakom?

— Ostrzegłem ich, że to specjalny łup. Jest cała i zdrowa, chociaż straszliwie biadoli. To jakaś histeryczka.

— Niektóre tak mają. W końcu nie każdy urodził się na polu trupów.

Hon uśmiechnął się lekko. Skierował wzrok gdzieś daleko.

— Byłem przy tym, wiesz? Kiedy Pęcherz cię znalazł. Darłeś ryja, wtulony w napuchłą pierś śmierci. Nie dałbym jednej muszelki za twoją skórę, ale ty nie przestajesz mnie zadziwiać.

Haran wzruszyłby ramionami, gdyby mógł.

— Dlaczego powiedziałeś swoim ludziom, że kłamię?

— Bo inaczej podaliby cię Kruzom na tacy, ty głupcze! Nikt nie może wiedzieć, że jesteś prawdziwym Haranem Zdrajcą. Człowieku! O twojej walce z Pasami gada całe wojsko. Na razie wszyscy myślą, że umarłeś na pustyni. Tylko dlatego nie ścigają cię jeszcze Gwiazdobójcy.

— Dziękuję, Honie. Wiem, ile ryzykowałeś.

Druazzi wstał i popatrzył na Harana wzrokiem ciężkim jak podnóża gór.

— A żebyś wiedział. Teraz ja jestem *aszkatlim*, Nieczłowieku. Odpowiadam za nasz lud. I jeśli zdołam mu zapewnić bezpieczeństwo, oddając Kruzom twój biały łeb... to bądź pewny, że starannie to rozważę.

Ale najpierw wysłucham, co masz do powiedzenia. Robię to tylko przez wzgląd na twojego ojca.

— Myślisz, że tak im pomożesz? Wysługując się Quinatzinowi? Tyranowi i mordercy?

— Pytanie za pytanie, młody. Twoja kobieta. — Oczy Hona były twarde jak czarny obsydian. — Kim ona jest, Haran?

Wojownik milczał.

Zaczął z niezwykłym zainteresowaniem oglądać własne paznokcie. Były połamane i czarne, a kilka zdążyło się nieźle naderwać.

— Jak to kim? Łupem. Widziałeś w tym kraju inne kobiety?

— Przyjrzałem jej się. Szlachetnie urodzona. Mówi z dziwacznym akcentem.

— I co z tego? W Tlaszkali też była szlachta. Jej królestwo poszło z dymem, a rodowe tytuły warte są tyle, co nic.

— Wciąż nie rozumiem, po co ją targasz? Aż tak ci podeszła?

Haran skrzywił się i podrapał po głowie. Tylko prawda, jej nieszkodliwy i dobrze wybrany okruszek, zatka staremu gębę. Problem polegał na tym, że nieszkodliwych prawd nie znał.

— Powiedz lepiej, co sądzisz o tym wszystkim, Honie. O tej całej wojnie. Stary skrzywił się i splunął na klepisko. Podrapał się po brodzie.

— Do Quinatzina nic nie mam. Kruzowie nie spóźniają się z żołdem i nie ślą moich chłopców na pewną śmierć. Jest dobrze.

— Ale to? Taktyka spalonej ziemi? To nie jest zwykła wojna.

Szczęki starego zacisnęły się, jakby ucapił zdobycz.

— Widziałem gorsze. Także takie, gdy to Druazzi byli tropioną zwierzyną.

— Przeżyjemy, ale przestaniemy być ludźmi. Taki los czeka Druazzi? Staniecie się potworami u boku Kruzów? Oswojonymi wilkami? — zapytał

Haran smutno.

Hon zaśmiał się i strzyknął śliną przez zęby.

— Wymowny się zrobiłeś, nie powiem.

Haran grał na zwłokę, lecz wiedział, że jego położenie jest kiepskie. Pamiętał Hona z czasów, gdy weteran uczył jego i inne dzieciaki z ulicy w Domu Wojowników, jak żłobić dmuchawki, opalać nad ogniem oszczepy i oporządzać ekwipunek łowiecki, robić paleniska, szałas i tykwy. Tak, jakby choroba lasów miała ustąpić, a oni znowu wędrować i łowić zwierzynę. Być może tylko Hon nie stracił wiary, że los ich plemienia się odmieni. Nawet w czasach, gdy Pęcherz położył już na wszystko lachę.

Stary nie należał do ludzi zmiennych. Nie warto mu było schlebiać, niełatwo go było oszukać. Jediną słabością tego zaszuszonego jaszczura był honor, chropawa duma Druazzi.

— A Zjadacze? Podoba ci się, że walczymy po stronie *murgha*? Razem z *hikku'tai*?

Hon sposepniał i ściągnął usta. Jak wszystkie starożytne plemiona, zdomowione w Krainie Meszików od wieków, Druazzi nienawidzili Zjadaczy. Ten antagonizm był znacznie słabszy u Kruzów i innych nomadów, którzy napłynęli do Krainy już po Klątwie.

— Druazzi nie są w pozycji, by wybrzydzać — mruknął wreszcie. — Poza tym to sporadyczne przypadki. Mówimy o garstce wymierających potworów. — Szczęka zadrgała mu nerwowo.

— Garstce? Z każdym dniem ich przybywa. W Labiryncie walczyły setki tych stworów. A karmią się nami, Honie. Widziałem to w Dołach — zaoponował Haran.

— Wolę walczyć po stronie Kruzów, nawet gdy pomagają im... tamci, niż zdechnąć w oblężonym obozie ich wrogów.

— Są groźniejsi, niż wszyscy sądziliśmy. Klątwa to właśnie Zjadacze.

I jeżeli nie powstrzymamy Quinatzina, wydarzy się jeszcze raz — wyjaśnił barbarzyńca poważnie. W oczach miał smutek, który kłócił się z jego twarzą poznaczoną bliznami.

Hon westchnął i wzruszył ramionami.

— Posłuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz. To miło, że nagle znalazłeś cel w życiu, ale mnie to wali. Ludzkość wyginie? Trudno. Ja odpowiadam za moje plemię, i tylko za nie. Jesteśmy w sojuszu z silnymi. Tymi, co wygrywają. To dobra pozycja, Haranie. Mamy ją stracić z powodu twoich żalów?

— I myślisz, że Druazzi przetrwają, gdy Zjadacze zaleją świat?

— Przekonamy się. — Stary patrzył na niego nieustępliwie. — Puszczę cię wolno, choć to straszliwa głupota. Ale na tym koniec. Nie wystąpię przeciwko Kruzom. Nie zarazisz mnie swoim szaleństwem.

— Dzięki, Honie. — Haran uśmiechnął się lodowato. — Wiedziałem, że można na ciebie liczyć.

Jeżeli weteran zwykle wyglądał jak wilk, zbita masa ścięgien, żylastych mięśni i wściekłej determinacji, to teraz przypominał wyżła ze smętnie spuszczonego łbem. Nawet potarł nos, jakby chciał ukryć zawstydzenie.

— Nie mogę ci pomóc, Haranie. Za duże ryzyko.

— Nie obwiniam cię — rzekł chłopak pojednawczo. — Na twoim miejscu uczyniłbym to samo. Wspierałbym silniejszego. Nawet gdyby dał mi posadę rzeźnika. Lub hycla.

Stary zacisnął pięści, aż pobiełały mu kłykcie.

— Ten bajzel to nie nasza robota. Zabawili się tu regularni Kruzowie, a także gromadka Szarych Pasów. Sam też u nich służyłeś, jeżeli mnie pamięć nie myli.

Haran uśmiechnął się szczerze. Pochylił się do Hona.

— Na wojnie wszyscy jesteśmy niewinni. Znam te gadki. Ale nie

rozumiem jednej rzeczy, Honie. Dlaczego akurat Maczurai? Dlaczego wysługujesz się jak ostatnia dziwka skurwielowi, który załatwił Pęcherza?

Stary zadrzał. Przez chwilę wyglądał, jakby wróciły złowrogie czasy, o których Pijany Miecz chętnie bajdurzył przy *pulque*. Hon Krwawa Siekiera, drań twardy jak kamień i kość. A potem twarz starca złagodniała. Podwinął rękaw pikowanej kurty, odsłaniając żyłaste przedramię. Weteran wyciął na nim naprawdę paskudne *girgiri*, tak głębokie, że ostrze musiało się ślizgać po kości. *Girgiri* powinno boleć. Haran pokiwał głową.

Druazzi, który ślubował zemstę, naznaczał się tak, by pamiętać.

— Maczurai zabił mojego *aszkatliego*. Mojego przyjaciela. To się nie zrośnie, synu. Drań kiedyś zapłaci za wszystko.

— Trochę na to za późno, nie sądzisz? Maczurai właśnie urósł na drugą osobę w imperium.

— Niech będzie — warknął Hon. Pochylił się do Harana, owiewając mu twarz kwaśnym oddechem. Wrzody. Wrzody i zszargane nerwy. — Pomożesz mi dorwać Maczuraia, bękarcie. To musi być akcja pojedynczego desperata. Nasze plemię nie może na tym ucierpieć. Ba, nie może nic o tym wiedzieć.

Haran odchylił się na krześle z szyderczym, znużonym uśmiechem.

— Łapię. Wzorowy ze mnie przybłęda. Wszyscy wiedzą, że plemię się mnie wyrzekło. Żaden Druazzi nie beknie za moje winy, co nie?

Stary żołnierz pokręcił głową.

— Nic nie łapiesz. Pijany Miecz nie był byle kim. Jego śmierć obraziła nas wszystkich. Druazzi nie zapomną ci twojej pomocy.

— Ja nie mam *girgiri*, Honie. Nie jestem już jednym z was. Pamiętasz?

Stary wojownik uśmiechnął się wilczo.

— Może wreszcie sobie na to zasłużysz.

— To nie wszystko. Jest jeszcze sprawa twojego syna.

— Co z nim? — w głosie Hona pojawiło się rozdrażnienie.

Haran dostrzegł troskę i ledwo skrywany niepokój. Niełatwo być tatusiem łajdaka.

— Był zamieszany w zabicie mojego ojca. To on nas wystawił, Honie. Widziałem to.

Stary spojrział posępnie. Sterana twarz stwardniała.

— Byłeś dzieckiem, sikałeś ze strachu po nogach. Ile mogłeś widzieć? Jak wiele zrozumieć? Rozmawiałem z nim o tym, chłopcze. Owszem, gówniarz chciał ukręcić trochę dla siebie i dlatego dogadywał się za moimi plecami z tym kupcem od niewolników. Ale nigdy nie dążył do śmierci Pęcherza. Nie miał żadnego powodu.

— A Heza? Podobno ją kochał.

— Bzdura. Widziałeś, że dostaje od kogoś pieniądze, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Haran pokiwał głową. Czuł, że nie przekona starego. Żaden ojciec nie przyzna, że własny syn, krew z krwi, wyrósł na tchórza i zdrajcę. Niektórzy po jakimś czasie dostrzegają to sami.

Milczeli przez dłuższą chwilę, urozmaiconą dychawicznym rżeniem Hona. To cud, że ten drań jeszcze żyje, pomyślał Haran.

— Dwa razy ocaliłeś mi życie, Honie. Nie wiem, czemu zawdzięczam to...

— Zamknij się. Wystarczy, że nie wyglądasz jak my, więc przynajmniej gadałbyś jak człowiek. — Hon poruszył szczękami w starczym odruchu i zamrugał, jakby odpędzał jakąś natrętną myśl. — Zabierzesz się z nami do Yugal. A tam wyrównamy rachunki. Wszystkie.

* * *

Hon przeznaczył dla Leyre osobną, umeblowaną kwaterę, co w surowym

obozie Druazzi było nie lada luksusem. Gdy Haran wszedł do namiotu, dziewczyna siedziała zamyślona na koślawym krześle, z włosami opadającymi na twarz.

Wyglądała bezbrinnie i czarująco, w sercu każdego mężczyzny budziła natychmiastową chęć udzielenia pomocy. Za każdą cenę, z utratą życia włącznie. Moros w nim mamrotał coś gorzko, sącząc mu do serca zabójczą mieszankę cynizmu, wyrzutów i żalu. Haran jęknął. Czuł straszliwy ból głowy.

Dziewczyna uniosła twarz i spojrzała na niego wielkimi, lśnącymi oczami. Na rzęsach nie wyschły jeszcze łzy. Zaraz potem rozpromieniła się w uśmiechu, cudownym, czarownym, okraszonym kocią drapieżnością. Przywodził na myśl *esekke'an*, Pławiące się Nago w Księżycowym Blasku. Leśne kusicielki z pikantnych legend Druazzi. O ludzkich ciałach, lecz nieludzko piękne. Haran zadrżał.

Przypomnił sobie dzień, gdy jako młody chłopiec zdrzemnął się w puszczy. Po przebudzeniu pamiętał tylko rozkoszne echa marzenia, dzwoniące srebrem, urwane jak pajęcza nić. Zamrugał, strząsając urok, zły na siebie, że rozkleja się przy niej jak przyszczaty młokos. Leyre podniosła się z gracją, jej ramiona oplótły mu szyję. Haran stężał. Przeraził go ogrom cierpienia, żalu i strachu, gdy uroił sobie, że ludzie Hona ją krzywdzą.

Za bardzo ci na niej zależy, syknął w duchu. To nie jest twoja kobieta, a ty nie jesteś Morosem. W takim stanie nie zdołasz jej chronić. Musisz zachować dystans.

Czuł, że ześlizgnie się w otchłań.

— Cieszę się, że nic ci nie jest, pani — rzekł sztywno, wyswobadzając się.

Leyre poprawiła włosy i wystudiowana, wyczelowana perfidia tego gestu poraziła go boleśnie.

— Traktują mnie dobrze. Też cieszę się, że nic ci nie jest, Haranie — odparła. Słowo „nic” było trochę nie na miejscu, zważywszy, że jego twarz przypominała spuchniętą, byle jak posklejaną skorupę.

— Dowódca tego oddziału to stary przyjaciel. Służył z moim ojcem jeszcze na wojnach Azgatlina. Ja dostanę miejsce w oddziale, a ty otrzymasz rękojmię... *khe, khe...* osobistej zdobyczy wodza — rzekł Haran oficjalnym tonem.

Poczuł, że się czerwieni i natychmiast opanowała go wściekłość. Leyre pokiwała głową.

— To może się udać. Jak długo z nimi zostaniemy? — spytała bez przekonania.

— Tyle, ile będzie trzeba. Przynajmniej do czasu, aż opuścimy Tlaszkalę.

Haran ruszył do wyjścia. Miał nieprzyjemne wrażenie, że wycofuje się chyłkiem.

Rozdział 26

Wszy. Wasze bożki to kosmiczne wszy.

Catohil Bluźnierca na chwilę
przed wstąpieniem na stos ofiarny

Citlali uczyła się chodzić. Zajmowała się tym od czasu, gdy wróciła do Waicuri. Lekarka, która opatrywała jej nogę, przestrzegała przed pośpiechem. Lepiej poczekać, aż wrażliwa skóra kikuta zablizni się i stwardnieje. Citlali przyjęła jej rady i obiecała sumiennie przestrzegać zaleceń. Zaraz potem poprosiła An'Tai, by sprowadziła jej z wioski rzemieślnika. Takiego, który wie, czym jest dyskrecja.

Młody kuśnierz początkowo nie rozumiał, o co jej chodzi. Citlali cierpliwie tłumaczyła, że potrzebuje czegoś w rodzaju żołnierskiego sandała z włókien agawy, który da się wysoko przywiązać do nogi. Wypełnionego w środku.

Wypróbowała protezę w pokoju. Tylko tego brakowało, żeby wyła z bólu przy ludziach. Przy pierwszej próbie mocno otarła kikut, otwierając ranę. Opatrzyła ją, odczekała dwa dni i spróbowała ponownie. Bolało, ale nie zwracała na to uwagi. Woląca ból niż upokarzającą bezsilność. Postanowiła, że na przesłuchanie przez starszyznę Zakonu dojdzie na własnych nogach. Jakiegokolwiek by one były.

Gdy wielki dzień nadszedł, była gotowa. Sala, w której ją przesłuchiowano – Citlali nie mogła nazwać tego inaczej, choć zapewniano ją, że to czysta

formalność – mieściła się głęboko pod ziemią i miała kształt odwróconej piramidy. Citali nie mogła się oprzeć skojarzeniu, że znajduje się we wnętrzu klepsydry, w której zaraz przesypane są piasek.

Stożkowa komnata prezentowała się dostojnie, ponuro i staro. Było w niej to, co tak uwielbiali Kruzowie: pióra i gładkie drewno, bukiety kwiatów, a jednak wszystko pokrywał pradawny kurz. Drewno wyglądało na zbutwiałe, pierzaste ozdoby zaś zdawały się pochodzić od sępów, a nie szkarłatnych kwezali. Sklepienie niknęło w mroku.

Równie odpychające wrażenie sprawiały zgromadzone tu kobiety. Trzy najwyższe rangą Matki zjawily się, by poznać szczegóły śmierci Szurukana. I Xitzina. Siedziały w kucki, jak wiejskie baby przed chatą. Kołysząc się na piętach i spoglądając na dziewczynę, pluły pestkami dyni. Pewne siebie i bezceremonialne, gotowe, by pouczyć młodkę.

Xotochli, zwana Czcigodną Mateczką. Derogatli, najbardziej elegancka, znawczyni *doggenów* i tysiąca sposobów sprowadzania gwałtownej i bolesnej śmierci. Oraz sucha, słynąca z niechęci do mężczyzn Uczy. Szpeciły ją fałdy zwisającej skóry, jakby jej chudość była wynikiem jakiejś gwałtownej przemiany. Wyglądała jak szkielet obciągnięty skórą. Citali widziała ją chyba pierwszy raz w życiu i zaskoczyło ją jej nienawistne spojrzenie.

Chyba jestem sławna, pomyślała.

Xotochli na powitanie podsunęła jej miseczkę z pasztecikami. Citali podziękowała. Lepiej nie opuszczać gardy.

* * *

Trzy godziny później była już zupełnie wyczerpana. Szybko zorientowała się, że pytania Matek dobierane są według klucza.

„Ilu strażników wyeliminował *doggen*?”.

„Czy Citlali jest pewna, że Szarnazeti ją zaatakowała? Która z nich uderzyła pierwsza?”

„Ile czasu trwał pojedynek z duchem opiekuńczym Szurukana? Czy podczas całej operacji jej *doggen* miał jakiegokolwiek trudności?”

„Jak długo czuwał przy niej po opuszczeniu świątyni?”

Wyłaniał się z tego pewien kształt, zarys **intencji**. Jakby jej chowaniec od początku postępował nie tak, jak trzeba, a wypadek Xitzina okazał się tylko zwieńczeniem długiej listy fuszerek i błędów.

— Więc twierdzisz, że twój *doggen* uratował cię i razem sfrunęliście z dachu świątyni? — Xotochli, zwana Mateczką, uniosła starannie wyregulowane brwi.

Była tak stara, że powinni nazywać ją Babką, pomyślała Citlali, lecz ograniczyła się do kolejnego skinięcia.

— Nie słyszałam o podobnym przypadku — fuknęła Uczy.

— Jesteś pewna, że nie oberwałaś po głowie?

— Hmm, niech pomyślę. Oberwałam i straciłam przytomność. A potem ludzie Szurukana opatrzyli mnie troskliwie i wyrzekając się zemsty, zanieśli do kryjówki Oczu. Właśnie tak to musiało wyglądać. Ale nie przypomniałabym sobie tego, gdyby nie twoja zadziwiająca przenikliwość, Matko.

— Dość! — głos Deregatli zabrzmiał jak trzaśnięcie biczem. — Twój *doggen* dopuścił się poważnych nadużyć. Dlatego szukamy symptomów... znarowienia. Dzięki temu może ustrzeżemy się przed podobnymi incydentami w przyszłości. Żarty są nie na miejscu.

Citlali opuściła głowę, żeby Matki nie mogły zobaczyć wyrazu jej twarzy. Miała już dość. Zbyt długo siedziała w tej ciemnej, zatęchłej i dusznej komnacie, której przydałoby się solidne wietrzenie. Indagowana przez wredne babsztyłe, które wyglądały i zachowywały się jak stado

sparszywiałyich kojotów. Naszła ją straszliwa ochota, aby się podrapać, tyle tylko że swędzącej stopy już nigdy nie miała dosięgnąć.

Z początku łudziła się, że to zwykła formalność. Ale starsze koleżanki od razu ją zaatakowały. Do głowy przyszła jej nawet absurdalna myśl, że wcale nie cieszą się, że misja Citlali się powiodła, a Szurukan wyzionął ducha. Że celowo posłały ją, żółtodzioba, bez doświadczeń we współpracy z *doggenem*. Liczyły, że ktoś ją zatrzyma.

I nawet wiem, kto to miał być, pomyślała ponuro. Kobieta w popielatej sukni. Szarnazeti. Ale plan się posypał i w rezultacie zabiła tam jedną z nich.

Citlali chciała się dowiedzieć, czemu strażniczka Szurukana w ogóle tam była, nie uzyskała jednak zadowalającej odpowiedzi. Uraczyły ją garścią frazesów o „luźnej strukturze przywództwa”. Zorientowała się za to, że Fałdzista dobrze znała zabitą kapłankę. Musiała być jej uczennicą lub... córką.

— Dobrze, jeszcze ostatnie pytanie — zaczęła Xotochli, masując skórę na skroniach. Ciebie także dopada zmęczenie, starucho, pomyślała Citlali z satysfakcją. — Kiedy umierał Xitzin... jakie podjąłeś kroki, żeby powstrzymać swojego *doggena*?

Citlali milczała. W uszach zadźwięczał jej charkot konającego, a w sercu poczuła tę samą bezsilność, co wówczas. Pomyślała o jasnym uśmiechu Xitzina. Jakby wiedział, że już jest stracony. Czy mogła im to powiedzieć?

— Odwołałam się do Więzi i natychmiast rozkazałam mu przestać. Tak jak mnie nauczono. — Citlali posłała Deregatli spojrzenie z ukosa.

Jej mistrzyni była dziś mało aktywna. Wyglądała, jakby na coś czekała i, w przeciwieństwie do koleżanek, jeszcze nie znała werdyktu.

— A zatem przyznajesz, że Więź została zerwana? Zresztą, to samo miało miejsce, kiedy straciłaś przytomność, po domniemanym wyfrunięciu ze Świątyni. Twój chowaniec przez sześć dni przebywał w naszym świecie,

wbrew wszelkim ograniczeniom swojego gatunku...

— Do czego zmierzasz, czcigodna? — Citlali już wiedziała.

— Jest silny. Silniejszy, niż powinien być. To anomalia, a ty nie panujesz nad nim... w żaden sposób.

Milczała. Widmowa stopa ścierpła i mrowiła teraz boleśnie. Nie miała pomysłu, jak ją rozruszać.

— Nie rozumiem. To *doggen*, mieszkaniec Środkowia. Znacie jakieś normalne demony?

Xotochli zastanawiała się długo. Wyręczyła ją jednak Uczy, której zmrużone oczka zdradzały okrutne rozbawienie.

— Z reguły zachowujemy w tych sprawach dyskrecję, lecz ciebie musimy wypytać. Kim był ojciec twojego naczynia?

Czytaj dziecka, którym nasycił się *doggen*. W którego ciało i życie się oblekł, które go tutaj zwabiło. Przynęty z mojego brzucha.

Citlali poczuła, jak po kręgosłupie przebiega jej zimny dreszcz.

— Niektóre fakty już znamy. Zawsze sprawdzamy nasze kandydatki. Wiemy, że to wyzwolony niewolnik, *urs* księcia Tennoka z Yugal. Przynależność plemienna: Druazzi. Nie mamy jednak pojęcia, jaki to człowiek — wtrąciła się Deregatli.

— Zatem wiecie tyle, co ja. To była przelotna znajomość. — Citlali usiłowała nadać głosowi możliwie swobodne brzmienie.

— Zrozum, nie ciekawią nas szczegóły twoich romansów. Chodzi o dziedziczenie — tłumaczyła Deregatli cierpliwie.

Citlali parsknęła śmiechem.

— A niby co *doggen* miałby po nim odziedziczyć? Niechlujność i wredny charakter?

Głos zabrała Mateczka Xotochli:

— Nie *doggen*, lecz jego naczynie. Wyobraź sobie Środkowie jako

wielkie, wzburzone morze. Żyją tam rozmaite stworzenia. Ludzka forma jest dla nich pokusą. A różne ryby łapią się na różne przynęty. Zwykle dziecko przyciągnie niewielką rybkę, silniejsze zwabi piranię. Albo głodnego rekina. Dlatego ojciec jest istotny. O tym Haranie krążyły niepokojące pogłoski. Czy wspominał ci kiedyś o Białoskórych? O niewolniczych kopalniach?

— Nie przypominam sobie. Może to jego spytacie? — Citali uświadomiła sobie, że przestaje panować nad głosem.

— Niestety, to nie jest możliwe. Twój Haran zdezerterował.

— Tak naprawdę to słabo go znałam. Jakby to powiedzieć... nie zajmowaliśmy się prowadzeniem konwersacji. — Citali spojrzała na starsze kobiety wyzywająco.

Nie zrobiło to na nich wrażenia. Z nagłym upokorzeniem uświadomiła sobie, że nawet dla tych starych wiedźm jest tylko arogancką kaleką. Słodka Uczy musiała to wyczytać w jej wzroku, bo uśmiechnęła się z nieukrywanym okrucieństwem.

— Nie pomagasz nam, dziecko. Szkoda. A teraz odejdz i pozwól nam się naradzić.

Citali nie ruszyła się z miejsca, Uczy ponagliła ją zniecierpliwionym prychnięciem.

— No już. Śmigaj.

Oddaliła się z kamienną twarzą, wsparta na zwykłym kijku. Przywiązany do kalekiej kończyny wyrzeźbiony sandał boleśnie wrzynał się w skórę. Musiała za mocno zacisnąć sznurki, bo skępowana łydka niemiłosiernie jej ścierpła. Deregatli wstała, oferując jej pomoc, lecz Citali pokręciła głową. Nie da im tej satysfakcji.

Z trudem opuściła budynek, czując się, jakby oberwała obuchem topora. Nie miała jeszcze wprawy w podpieraniu się kulą, oszczędzała kaleką nogę, a lewa buntowała się przed pracą za dwie.

Usiadła na jednym z tarasów, obserwując grupkę kandydatek grających w piłkę. Smukłe, zgrabne dziewczęta prezentowały się wdzięcznie na tle oceanu i chmurnego nieba. Odbijały kauczukową piłkę tylko za pomocą bioder i łokci, tak jak robili to kruzańscy wojownicy. Coś takiego nie mogłoby mieć miejsca w żadnym kruzańskim mieście. W Waicuri kobiety cieszyły się większą swobodą niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Po długim, trudnym do wytrzymania czekaniu Matki wezwały ją. Werdykt ogłosiła Uczy:

— Twój *doggen* jest niebezpieczny. Odeślesz go i przepędzisz, na zawsze zrywając Więź.

— W jaki sposób?

— To bardzo proste — głos Uczy spływał słodyczą jak leśny miód. — Wystarczy, że jedno z was umrze.

* * *

Obozowisko Druazzi okazało się dla Harana i Leyre gościnnym miejscem. Nawet do smrodu pobliskiego pogorzelniska zdołali się przyzwyczaić, a w porównaniu z pustynią była to oaza luksusu. Po dwóch dniach skończyła się zbiórka oddziałów i kontyngent wyruszył w drogę.

Początkowo Haran spodziewał się zdrady, jeżeli nie samego Hona, to któregoś z jego żołnierzy. Nic takiego się jednak nie stało. Tak jak obiecał, *aszkatli* pomógł im opuścić terytorium, znane kiedyś jako górskie królestwo Tlaskali.

Wszystko mieli już postanowione. Po przekroczeniu granicy Haran wraz z Leyre odbiją od głównych sił i przekradną się starym szlakiem przemytników aż do wielkiego Tikal. Tam młoda królowa zacznie organizować armię. Pod jej sztandar zaciągną się niedobitki wojsk Grani, zbiegli jeńcy i niewolnicy, słowem wszyscy, którzy zaznali w imperium

krzywdy. Apropozycją i finansowaniem rebelii zajmą się opływający w bogactwa sojusznicy z Wielkiego Tikal, którzy chętnie zwalczali Kruzów cudzymi rękami. Taka była przynajmniej teoria, w którą Leyre wierzyła z uporem świeżo nawróconego zeloty.

Haran żywił mniej wiary w traktaty i pakt. Tikalczyki byli przede wszystkim kupcami. Obawiał się, że po pogromie Tlaszkalan raczej otwarcie nie rzucą wyzwania Kruzom. Podróżując wraz z dawnym plemieniem po traktach podbitej Tlaszkali, czuł się jak na polowaniu. Z tą różnicą, że teraz czaił się nie jako drapieżnik, lecz bezsilna ofiara, skazana na łaskę myśliwych.

Oficjalnie przyjęto go do Leśnego Kontyngentu Druazzi. Wiedział jednak, że mimo protekcji Hona ktoś może go wydać. Z drugiej strony, wędrując sam z Leyre, też musiałby przemknąć się przez pilnie strzeżoną granicę.

Na szczęście Hon prowadził ich bocznymi drogami, z dala od osad i miast. Najwyraźniej Druazzi mieli już dosyć krwi. Haran nie idealizował współplemieńców, wiedział, że są bandą krwiożerczych bydlaków. Jednak odrobina wesołej grabieży to jedno, a pomaganie Zjadaczom? Tu w każdym mogło się zbudzić sumienie.

Po tygodniu zawitali do średniej wielkości pogranicznego miasteczka, w którym Hon spodziewał się uzupełnić zapasy. Wymarła osada, stawało się to teraz normą. Haran zrozumiał, że władca Kruzów mógł pojmać w niewolę tylko ograniczoną liczbę jeńców.

Nawet jeśli planował przyćmienie liczonej w tysiące ofiary, jaką jego ojciec Azgatlin złożył niegdyś z podbitego narodu Karusków, nie zdołałby przecież powlec na ołtarze całego narodu. Nasuwało się pytanie, co z resztą?

Studnia publiczna znajdowała się na głównym placu osady. Gdy spuścili do niej wiadro, nie usłyszeli plusku. Zapewne wyschła, ale może da się ją

odkopać. Haran, który zdążył się pokazać w oddziale jako nie lada wspinacz, zaoferował się to sprawdzić. Obwiązał się w pasie liną i ostrożnie zsunął po ścianie.

Jego stopy trafiły na coś miękkiego. Zakołysał się na spuchniętym kopczyku na dnie. Ktoś wrzucił tu dziesiątki, jeśli nie setki, ciał. Studnia mogła być bardzo głęboka. Zdumiało go, że prawie nie czuje smrodu. Albo postradał zmysły, albo... Dotknął najbliższej leżącego ciała. No jasne.

Szczątki wciąż były ciepłe, krew nie zdążyła nawet zakrzepnąć.

* * *

Krajobrazy południowej Tlaskali budziły grozę. Czerwone, poszarpane skały wyglądały, jakby ogromny, oszalały z cierpienia jaszczur czochrał się o nie kolczastym grzbietem. Hon kazał im racjonować wodę. Na szczęście byli już blisko, pustynia ustąpiła wyblakłej zieleni i krzewom.

Na horyzoncie najpierw zamajaczyły wzgórza, a potem pojawiła się wyniosła ściana gór, wyznaczających południową granicę Tlaskali. Szczyty, spowite śniegiem i mgłą, składały wyczerpanym spiekotą wędrowcom okrutną obietnicę orzeźwienia.

Haran odkrył, że marzy o powrocie w góry, do chłodnych sosnowych lasów. Terytoria Druazzi słynęły z deszczu i mgieł. Nawet kołaczące się w nim uczucia Morosa nie pozwalają mu ścierpieć tej niegościnniej krainy, nie mówiąc o polubieniu jej.

— Nie widziałeś cienistych ogrodów Miasta Grani. Nie widziałeś naszych pól ani cichych, pachnących ziołami dolin — mruknęła Leyre, gdy podzielił się z nią niechęcią do jej kraju. — To była piękna kraina, zanim wtargnęli tu Kruzowie. Ale komuż ja to mówię, głupia. Ty przecież nie dostrzegłbyś piękna, nawet gdyby ci siadło na głowie.

— Mylisz się, pani — odpowiedział sucho. Nauczył się przy niej cedzić

słowa. I myśli.

— W kwestii twojej zdolności do odczuwania piękna? Ciekawe.

— Znam wasze krajobrazy. Wiem, jak piękna potrafi być zimowa, księżycowa noc nad jeziorem Taal’Nara. Wiem, jak pachną jaśminy i jak śpiewa błękitnik.

Spojrzała na niego spod oka i zarumieniła się, jakby wtargnął do miejsca, w którym chroniła się za wysokim murem. Zawsze tak reagowała, gdy dzielił się z nią czymś, co należało do wspomnień jej i Szara.

Doszedł do wniosku, że czyni to ją bardziej kobiecą.

* * *

Graniczne fortyfikacje Długich Murów nosiły ślady walk. Osmalone, potrzaskane artyleryjskimi salwami bastiony i pękate wieże wskazywały, że Tlaszkalanie bili się tutaj do końca. Druazzi nie żałowali, że ominęła ich ta bitwa. Większość myślni była już w domu, gadali tylko o tym, na co wydadzą żołąd.

Pogranicze przedstawiało sobą opłakany widok, choć Haran podejrzewał, że żadnym tubylcom nie chciało się już ronić łez. Porzucona, bezpańska kraina, naznaczona piętnem cynizmu i beznadziei. Miejscowi mieli świadomość tego, że każdego dnia grozi im niszczycielska inwazja i grabież, przesunięcie słupów granicznych albo stanie się celem krwiożerczej prowokacji. Większość zajmowała się kontrabandą, bimbrownictwem lub kurestwem, czyli usługami dla wojska. Najuczciwsi zbójowali w górach. Tak już bywa, jeśli w ciągu kilku lat zmieniasz nazwę z Południowej Tlaszkali na Północne Tikal, a w końcu i tak kończysz jako najnowszy nabytek Przymierza.

Zgromadziły się tutaj rozproszone oddziały Druazzi, oczekując na dalsze rozkazy od Maczuraia. Leśny Kontyngent liczył teraz przeszło dwa tysiące

ludzi. W czasach świetności było ich podobno pięć razy tyle, ale Haran i tak nie narzekał. Zaopatrzony w strój plemienny z zielonym płaszczem i dwoma nożami, miał wrażenie powrotu do domu. Z przyjemnością obserwował tylu Druazzi stłoczonych w jednym miejscu. Wciąż tliły się między nimi stare, klanowe animozje i wróżdy sięgające zamierzchłych obelg, kradzieży drobiu i pohańbionych dziewcząt. Mimo to wobec zewnętrznych przeciwników jego rodacy zmieniali się w niewzruszony monolit.

Gdy przekroczyli granicę, Hon wyjawiał tożsamość Harana swoim oficerom. Haran nie był z tego powodu przesadnie szczęśliwy, ale *aszkatli* uznał, że ryzyko jest lepsze niż szerzące się plotki, które podkopują morale i zwartość oddziałów. Poza tym w tej okolicy nie było liczących się kruzańskich wojsk. Od tamtej pory ludzie Hona traktowali Harana z pełnym rezerwy szacunkiem. To nie uliczny motłoch podburzony przez Yora. Ci wojownicy nie zapomnieli o czynach Pijanego Miecza. Wiedzieli też, że Haran pojmał wielkiego Szaratangę i dwukrotnie przeszedł Labirynt. Niektórzy słyszeli również, jak sam niemal wybił do nogi kompanię Szarych Pasów. Biała krew wciąż czyniła go nieczystym, ale teraz stał się poważanym, ba, podziwianym demonem. Poza tym w Tlaskali żyło wielu potomków Białoskórych i Druazzi zabijali ich tak często, że zdążyli się do nich przyzwyczaić.

Udał się do domu namiestnika miasteczka, który zakwaterował u siebie oficerów. Hon czekał na niego, spacerując po izbie jak uwięziony drapieźnik. Stary żołnierz był szary ze zmęczenia, ale oczy błyszczały mu tym samym poirytowaniem co zawsze.

— Mam wieści. Tikalczycy poprosili o rozejm. Zgodzili się na wszystkie warunki, w praktyce stając się nową kolonią Kruzów. Od bogactwa się mięknie, zawsze to powtarzałem — zagderał.

— To zupełnie jak my. — Haran wzruszył ramionami.

Druazzi też stali się kolonią Yugalczyków, gdy w oczy zajrzał im głód, a oni pojęli, że nie mogą wygrać. Rozumiał Tikalczyków. Może dzięki temu przetrwają?

— Jak my? My nie staliśmy się zniewieściami handlarzami... sztukmistrzami od pachnideł i babskich błyskotek! — zaoponował stary.

— Bo naszych wyrobów nikt by nie kupił — mruknął Haran.

Zobaczył, że Hon purpurowieje, rozłożył więc pojednawczo ręce.

— Żartowałem. Co zrobi teraz Quinatzin?

— W praktyce oznacza to koniec kampanii. *Tlatoani* zostawi w Tikal garnizon i rozpuści wojska na letni spoczynek.

— Wracacie do domu?

— Tak. Przeczekamy letnie upały w Yugal. Niektórzy twierdzą, że Quinatzin także wybiera się do naszego miasta.

Haran, zdziwiony, uniósł brew. *Tlatoani* nieczęsto odwiedzał swoich lenników, nawet tych, którzy podejmowali go z wymaganym luksusem. Yugal to wszakże prowincja.

— Trudno w to uwierzyć. Za wysokie progi, i tak dalej.

— Pamiętaj, że po śmierci Tizoka Maczurai stał się najważniejszym generałem króla. Może ten uznał za stosowne odplacić mu się pięknym gestem?

— Nie, to musi być coś innego. — Chłopak miał irytujące uczucie, że umyka mu jakiś bardzo istotny szczegół. Wszystko przez ten przeklęty upał, pomyślał, ocierając pot z czoła.

Hon dolał mu pianistego napoju z utartej kukurydzy. Był zimny, w miasteczku składowano lód sprowadzany z gór na użytek tlaszkalańskiego dworu.

— Słyszałem plotki o jakiejś inspekcji. Podobno wizyta króla ma coś wspólnego z Dołami — wyznał zamyślony Hon.

Haran pokiwał głową. Oczywiście. Doły to *braazatal*.

— To nasza szansa, młody. Maczurai poczuje się w domu bezpiecznie. Wtedy go załatwimy.

* * *

Tennok wpatrywał się w płonący na palenisku ogień. Wiedział, że Salanthe zaraz położy na nim *comal*, płaski kamień do wypieku placków kukurydzianych, tortilli i chrupkich *tamali*. Zaburczało mu w brzuchu, potrawy krągłej Salanthe smakowały tak samo ponętnie jak ona sama. Było tu ciemno niczym w izdebkach wieśniaków. Ale księżę lubił ten zadymiony pokój. Jako jedno z nielicznych miejsc w pałacu Turkusowej Włóczni przypominał mu miejsce wybudowane dla ludzi.

— Ojciec cię szuka — powiedziała dziewczyna, przyglądając mu się krytycznie.

Syn Maczuraia rozumiał ją aż za dobrze. Co za pożytek z sypiania z księciem, jeżeli nigdy nie zabiera cię na pokoje, tylko dzieli z tobą surowe życie biedaków? Kobiety nie lubią fanaberii.

Tennok uśmiechnął się. I co mu przyszło z tych wszystkich podróży? Wrócił w to samo miejsce, znowu sypiał z tą samą dziewczyną. Słuchał tego samego tyrana. Życie to kawał kauczuku. Rozciągasz je, zmieniasz, łudzisz się wyzwoleniem i zmianą, ale ono zawsze odzyska pisany ci kształt.

Oczywiście do momentu, aż umrzesz.

Salanthe zabrała się energicznie do smażenia placków. Wkrótce zajadali je, gorące i chrupkie, podlane czerwonym sosem. Dominowały wyraziste smaki, brutalna gorycz *chocolatl* i kwaśność cytryn, typowe dla kruzańskiej kuchni. Dziewczyna z przyjemnością patrzyła, jak Tennok je. Podsunęła mu miskę z ostrą, mocno przyprawioną fasolą, ale pokręcił głową.

— Dla mnie za ostre — mruknął. Salanthe zdziwiła się. — Taki ze mnie

Kruz. Prawdziwy mężczyzna, co? Nie toleruję bólu, ostrego chilli i krwi. Za to w łóżku najbardziej lubię grę wstępną.

— Kłamiesz! — Pogroziła mu łyżką. Po chwili wskazała na duży worek, który książę trzymał przy sobie jak cenny skarb. — Przyniosłeś mi coś? — spytała zalotnie.

Tennok pokręcił głową

— To sekret.

— A tak poważnie, dlaczego nie lubisz chilli? — spytała, nabierając sobie plackiem fasoli.

Tennok zamyślił się. I znowu zapatrzył w ogień.

— Chodzi o stary, kruzański zwyczaj. Jeden z wielu starych, kruzańskich zwyczajów, składających się na naszą tradycję. Większość tego gówna dotyczy okłamywania, dręczenia i przymuszania dorosłych... ale ten Kruzowie dedykowali swym dzieciom.

Słuchała go z szeroko otwartymi, pustymi jak niebo oczami. Książę uświadomił sobie, że dziewczyna nie słucha słów. Gorzkich, przemądrzałych bzdur usłyszała od niego już dość. Chłonęła jego emocje i chyba się martwiła.

— Kiedy dziecko zrobiło coś nie tak i wkurzyło rodziców, stawało się dzieckiem niegrzecznym i traciło nietykalność cielesną. Większości wystarczy wtedy porządne bicie, ale Kruzowie mieli ciekawsze pomysły. W końcu to oni są największymi twardzielami świata — urwał i napił się *pulque*. — Gdzieś czytałem, że przejęli to od Azteków. W każdym razie brali dzieciaka nad ogień, do którego wysypywali worek z papryczkami chilli, a potem słuchali, jak mały dławi się, płacze i wrzeszczy. Choć trudno krzyżeć, kiedy dym wypala ci przełyk i ledwo możesz oddychać — mruknął.

Salanthe posłała mu współczujące spojrzenie. Tennok uśmiechnął się

z przekąsem. Zdarza się. Czasem księżę obrywa bardziej niż niewolnik. Kto powiedział, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie?

— Chili daje wyjątkowo gryzący dym. W odpowiednim stężeniu staje się naprawdę silną trucizną. Oczy czerwienieją i łzawią, skóra piecze. Potem zaczynasz się dusić. Jakbyś miał zaraz umrzeć. Nawet silni i odważni chłopcy szczają po nogach ze strachu. Reszta to już kwestia indywidualnej odporności i czasu. Ja zawsze byłem wrażliwym cherlakiem, za to Maczurai to człek z natury cierpliwy i twardy.

Oczywiście, nie powiedział jej wszystkiego. I nie chodziło tylko o wstyd. Nie wiedział, czy znalazłby właściwe słowa. Bo jak wypowiedzieć, wyrazić coś, co kłóci się z naturalnym doświadczeniem człowieka, ba, kłóci się z samym językiem? Okrucieństwo ze strony najbliższych, właśnie tych, którzy powinni cię otoczyć opieką, nie mówiąc już o takich luksusach, jak zaufanie i miłość. Do tego świadomość potęgi, przeraźliwej potęgi rodzica, który może zrobić z tobą wszystko. Poczucie winy, przecież to ty wzbudziłeś ich słuszny gniew. Bezsilność, ona nie mija już nigdy. I chaos, bo jedyne ciepło i ukojenie, jakie znasz w dzieciństwie, wypływa z ciebie gorzką trójcą krwi, sików i łez.

To jak objawienie się boga, pomyślał Tennok, zmuszając się do sięgnięcia po jedzenie. Gniewnego, kapryśnego boga o przepołowionym obliczu. Jeden policzek wyraża miłość, a drugi pradawną grozę.

Ugryzł chrupiący placek, ale poczuł, że apetyt mu minął.

— Co przeskrobałeś? — spytała Salanthe cicho.

Tennok zastanowił się.

— Nie pamiętam... po latach to wszystko się zlewa. Pewnie zhańbiłem nasz ród: nie odbiłem piłki, powiedziałem coś, gdy powinienem milczeć, może nawet odważyłem się przeklinać ojca i życzyłem temu kutasowi śmierci. Moje dziecięce zbrodnie podpadały pod kategorię „fatalne maniery,

krnąbrność i zawiedzione nadzieje rodziców”.

Salanthe pogłaskała go po rękę. Jej krągła, sympatyczna twarz wyglądała jak zatroskany, spowity chmurami księżyc.

— Spotkało cię wiele złych rzeczy, ale to dzięki nim jesteś silny — szepnęła.

Księżę milczał.

Zawsze, gdy ktoś tłumaczył mu, że świat mimo wszystko jest dobry i godny szacunku, miał wrażenie, że bogowie odpowiedzialni za ten koszmar dostali darmowego obrońcę. Bogowie czy może jego rodzice? Ciekawe, do kogo tak naprawdę miał żal.

Rozdział 27

Spoglądasz w otchłań... czy w lustro?

Anonimowa Matka

— Wierz mi, nie chcemy cię łamać ani do niczego zmuszać. Jesteś na to zbyt dobra, potwierdziłaś to podczas misji. Zakon cię potrzebuje, Citali.
— Xotochli rozłożyła ręce.

Siedziały w mrocznym, błyskającym ciemnymi lustrami gabinecie Mateczki. Za trzy dni miał się odbyć rytuał zrywania Więzi, wypędzenie *doggena* Citali.

Dziewczyna napięła się nieufnie, gdy Matka klepnęła w niską, wyłożoną poduszkami ławeczkę, karząc jej usiąść obok siebie. Niektórzy ludzie są najbardziej niebezpieczni wtedy, kiedy próbują być mili.

— Czym są demony, Citali? — zapytała starsza kobieta łagodnie. Ciepłe zmarszczki w kącikach jej oczu budziły zaufanie, a ślady dawnej urody współczucie. Xotochli wyglądała na kogoś, kto zna życie od podszewki.

— Demony to siła, nieokiełznany chaos. Nigdy nie próbuj ich pojąć, bo samo myślenie o nich może spopielić ci duszę. — Citali wyrecytowała słowa, które wpajano jej podczas szkolenia.

Mateczka pokiwała głową.

— Zaglądamy w ich otchłań i musimy zachować ostrożność. Uczucia nie są ostrożne.

— Przynajmniej są ludzkie — powiedziała Citali cicho.

Mateczka uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Tęsknisz za zwyczajnym losem? Nie sądzę. To my uwolniłyśmy cię od podporządkowania. Rodzicom, mężowi, przyrodzie. Rutynie cyklicznych porodów, odwiecznej tyranii łona. Chyba tego nie doceniasz — powiedziała Xotochli z wyrzutem. — Pamiętaj, co nam zawdzięczasz.

Citlali milczała. Starsza Matka kłaśnieciem przywołała służbę.

Do komnaty wślizgnęła się An'Tai, wnosząc tacę z aromatyczną *chocolatl* doprawioną chilli, syropem palmowym i miodem. Nie zabrakło też innych przysmaków: kandyzowanej szarańczy, młodego pancernika pieczonego we własnej skorupie oraz chrupiących *cotli*, pikantnych pasztecików z owadów, kolendry i krwi. Kładąc parujące potrawy na niskim stoliku, służąca posłała Citlali posępne, pytające spojrzenie. „Dobrze się bawisz? W takim razie jesteś głupsza, niż myślałam”.

Xotochli uniosła czarkę do ust i zachęciła Citlali, by poszła w jej ślady i wlała w siebie kojącą słodycz.

— Twierdzicie, że mój *doggen* jest groźny, bo jest silniejszy i bardziej samodzielny od innych. Moim zdaniem to atut. On nie jest żywiołem. Myśli i uczy się. Jego błędy to cena za naukę — zaczęła ostrożnie.

— I myślisz, że to coś dobrego? Że budzi się w nim prawie ludzka świadomość? Coś ci powiem. Chowańce przypominają drapieżne zwierzęta. Jeżeli raz samowolnie zabijają, nie można im więcej zaufać. Opowiadałam ci już o szpitalu dla jaguarów?

— Nie.

— Pewien kapłan Patecatla, boga lekarzy, przygarniał osieroczone kocięta. Nie kierowała nim litość. Umyślił sobie wyhodować z nich pałacowe zwierzęta dla króla i wielkich panów. Karmił bestie fasolą i kaszą, a one żyły ze wszystkimi w zgodzie, łagodne jak małe jelonki. Ale któregoś dnia, po jesiennym święcie pijaństwa, kiedy wszyscy leczyli świętego kaca albo

jeszcze chodzili zawiani, ktoś rzucił kotom kawał świątecznego ciasta, mokrego od ludzkiej krwi. Domyślasz się, co było dalej?

Citlali wzruszyła ramionami.

— Zaczęły się domagać *pulque*? A potem tytoniu i kobiet?

— Od tamtej pory koty, jeden po drugim, zdziczały. Atakowały inne zwierzęta i ludzi. I wszystkie musiały zginąć.

— On nie jest pieprzonym zwierzęciem. On czuje. Poza tym zabijał dla was. Xitzin to nieszczęśliwy wypadek — wybuchła Citlali.

— To, że narzędzie coś czuje, nie zmienia jego statusu. Mądry właściciel szlifuje obsydian miecza i karmi oswojonego jaguara. Ale kiedy miecz się złamie, a oswojona bestia znarowi, wymienia je na inne.

— Na inne? Więc dasz mi nowego *doggena*?

Citlali przysięgłaby, że Xotochli była zakłopotana.

— Wybacz, źle się wyraziłam. Obie wiemy, jak rzadki masz dar... i jak wielka czeka cię strata. Ale ktoś tak uzdolniony jak ty nawet bez *doggena* zrobi tu świetną karierę.

Citlali milczała. Nic dziwnego, że przełożona tak dobrze rozumiała się z Quinatzinem... bogowie ulepili ich z tego samego ciasta. Xotochli dbała o sprawne funkcjonowanie instytucji. Dla jej dobra skłonna była poświęcić wiele... i wielu.

Jeżeli tak traktujesz *doggeny*, to jak potraktujesz mnie?

Zresztą, nie tylko Xotochli zrobiła się dla niej miła.

Zniknęła ostrożna nieufność, z jaką spotykała się, odkąd mieszkanki Waicuri dowiedziały się o śmierci Xitzina. Zarówno nowicjuszki, jak i adeptki i starsze Matki nagle zaczęły jej współczuć. Okazało się, że ma tutaj mnóstwo koleżanek. Nagabywały ją podczas modlitw, zbiorowych treningów oraz wspólnych posiłków spożywanych na zadaszonym tarasie. Zatroskane i empatyczne, pytały Citlali o jej bolącą nogę i o to, jak czuje się w związku

z nadchodzącym wypędzeniem *doggena*.

W końcu miała już dość tego wścibstwa. W Tysiącu Oczu dominował styl na milczącego zawodowca w kapturze i miało to swoje zalety. Tu groziło jej zagłaskanie na śmierć. W starciach ćwiczebnych koleżanki wyraźnie dawały jej fory, a kucharka, która codziennie wręczała potrawę z kukurydzy i amarantusa, doprawionych cytryną i liśćmi awokado, nagle zrobiła się hojna.

Ale ona wciąż wyczuwała ich strach.

Tylko dwie kobiety, Deregatli i służąca An'Tai, zachowywały się wobec niej tak jak przedtem. Deregatli nie przestała być wymagająca, a jej opryskliwość Citali przyjmowała wręcz z ulgą. An'Tai nadal wydawała się rozszalona i skupiona na sobie. Jeżeli w Świątyni Matek toczyła się jakaś ukryta gra, te dwie nie brały w niej chyba udziału.

Spotkała się z Deregatli na indywidualnym treningu. W wyłożonej matami sali z manekinami i stojakami na broń poza nimi nie było nikogo. W przypadku Citali trening oznaczał teraz bolesne, powolne powtarzanie początków. Praca nóg, karkołomna z uwierającą, wrzynającą się w ciało protezą. Ślamazarne uniki i finty, które nie zwiodłyby nawet wieśniaka. Wypadki. Kontrola nad bólem i powtarzającą się utratą równowagi, mozolne szukanie nowego środka ciężkości. Jako kuternoga, Citali oddaliła się bardzo od zalecanych w tajnych służbach kanonów zwinności i gracji. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś była w tym dobra. Być może proces przypominania sobie podstaw zajmie mi całe życie, myślała, ignorując ból i broniąc się przed atakami mistrzyni.

— Za trzy dni odbędzie się rytuał wypędzenia. Wciąż nie wiem, co powinnam zrobić — powiedziała, gdy odpoczywały po prostej, a dla Citali wręcz niemożliwej do wykonania sekwencji.

Deregatli rozprostowała ramiona i spojrzała na uczennicę z ukosa. Po jej

smukłym, umięśnionym ciele spływały kropelki potu. Widać było, że chce jej coś powiedzieć i z jakichś powodów nie może. Citlali spróbowała inaczej.

— Zastanawia mnie, ile Matek tak naprawdę utrzymuje Więź. Celem naszego Zakonu jest walka z *doggenem* u boku... a ja mam wrażenie, że większość adeptek zajmuje się tylko teorią i kultem.

— Pijesz do mnie? — spytała mistrzyni ostro.

Citlali wytrzymała jej wzrok.

— Powiedzmy, że ostatnio myślałam o różnych rzeczach. Dlaczego Matki uparły się, żeby go wypędzić? Nie było was tam, nie nadstawiałyście karku. Dlaczego ci, którzy nic nie umieją, zawsze pouczają tych, którzy przynajmniej próbują coś robić?

Deregatli milczała. W zadumie oglądała rękojeść miecza, wygładzoną przez lata ćwiczeń.

— Kiedyś byłam najlepsza, wiesz? Ja i mój *doggen* byliśmy nie do powstrzymania.

— Co się z nim stało? — spytała dziewczyna łagodnie.

Dumna twarz Deregatli pociemniała.

— To, co zwykle. Błąd, przypadkowa pomyłka. Sama wiesz, że chowańce to żywioł. Nie sposób ich kontrolować. Dlatego Zakon boi się *doggenów* i odsyła je pod byle pretekstem. Albo inaczej... boi się motłochu, który wciąż powtarza bajdy o Klątwie.

— To głupota. — Citlali przypomniało się powiedzenie Osanków.
— Wiercimy dziurę we własnym czóźnie.

Deregatli uśmiechnęła się gorzko.

— Waicuri to stara, wpływowa organizacja. Z placówkami w co drugim mieście Przymierza. Celem zaś każdej organizacji, prędkiej czy późnej, staje się podtrzymanie własnego istnienia, a nie idee, którym pierwotnie służyła. Przekleństwo ludzkości polega na tym, że większość jej talentów i sił

zasysają właśnie takie bezduszne monstra. Dlatego kiedyś wspierałam Quinatzina... Wyglądał na kogoś, kto może to wszystko rozpieprzyć.

Dziewczyna wpatrywała się w nią, zdumiona. Deregatli, zawsze rzeczowa i konkretna, nigdy nie przemawiała w ten sposób. Nagle spostrzegła w oczach nauczycielki coś jeszcze, warstewkę mgły. Ona pije, uświadomiła sobie Citlali. To tłumaczyłoby jej zmienne nastroje.

— Ja kiedyś ich posłuchałam, dziewczyno. Odesłałam swojego *doggena*. Zakon był dla mnie wszystkim. Nie chciałam tracić oparcia... wizji tego, kim będę za dziesięć, dwadzieścia lat. A to, że w rezultacie pozbyłam się szacunku do samej siebie, to już inna opowieść.

Citlali poczuła litość. Wiedziała, jak Deregatli się czuje. Mistrzynie dostrzegła to i spojrzała na nią groźnie.

— Wracając do instytucji... W każdej prym wiodą ci najbardziej giętcy. Ludzie tacy jak nasza Mateczka Xotochli. Ona nigdy nie uczestniczyła w akcji, za to świetnie dogaduje się z kapłanami, Tysiącem Oczu i dworem. Nie jest twoim wrogiem, ale poświęci cię dla zachowania *status quo*.

— A Uczy? Jest groźna?

Deregatli wydała z siebie pogardliwe prychnięcie.

— Groźna? Ty jesteś groźna, dziewczyno. Uczy jest zabójcza jak tysiąc skorpionów. Wiesz, czemu wygląda jak pancernik, który właśnie zrzuca skórę?

— Może źle sypia?

— Jeszcze rok temu Uczy chodziła spasiona jak bęben. Ale potem ubzdurało jej się, że jak przekarmi swojego *doggena*, to on stanie się jeszcze silniejszy. Łasi się więc do niego i poi własną krwią. Do tego stopnia, że sama wygląda jak worek kości.

Citlali zadrzała. To właśnie Uczy miała przeprowadzić rytuał. Myśli Deregatli musiały biec podobnym torem. Wyglądało, że wciąż toczy jakies

wewnętrzne zmagania. Wreszcie położyła stwardniałą dłoń na dłoni dziewczyny i uścisnęła ją mocno.

— Uważaj na nią. Uczy ma powód, by życzyć śmierci wam obojgu. Szarnazeti, Matka, którą zabiłaś w Czerwonej Świątyni, była jej młodszą siostrą.

O dziwo, Citlali poczuła ulgę. Dobrze wiedzieć, gdzie czai się wróg. Deregatli patrzyła na nią, zamyślona.

— A tak przy okazji, to głosowałam przeciwko wypędzeniu. Moim zdaniem twój *doggen* świetnie się spisał, a Xitzin zawinił głupotą. Zadowolona? To wynoś się stąd, bo nie skończyłam treningu.

* * *

Jeszcze tej nocy Citlali skupiła uwagę na obracającym się żyłkowanym dysku, który służył Matkom do szybkiego wchodzenia w trans. W obecnych okolicznościach wołała nie wspomagać się żadną psychoaktywną rośliną.

Dysk wirował, skupiając na sobie jej myśli, które powoli znikwały, zastąpione przez czyste skupienie. Umysł widzący sam siebie jak zawsze dostarczył jej sporo energii. Znalazła się teraz w punkcie, z którego można wyruszyć w wielu kierunkach. Wyglądać stąd Boga lub bogów, rajskich światów lub diabolicznych, siarkowych wyziewów. Deregatli określała go mianem Rozstajów.

Citlali nie była typową duchową turystką. Nie interesował jej żaden z odwiecznych rajów czy piekieł, utrwalonych w pamięci gatunku. Kraina, do której zmierzała, także wiązała się z podświadomością i mrokiem – jednak nie z podświadomością człowieka. Nie przerwała wędrówki i w końcu znalazła się na widmowych rogatkach Środkowia.

Tam pojawiła się Więź.

Dziewczyna ucieszyła się. Od czasu zabicia Xitzina *doggen* pierwszy raz

zareagował na jej wezwanie.

— Za trzy dni nastąpi rytuał. Będę musiała cię wygnać. W przeciwnym razie ktoś może wyrządzić ci krzywdę. Matki gniewają się o to, co zrobiłeś tamtemu mężczyźnie na trakcie. Więcej się nie zobaczymy.

Doggen zatrzepotał skrzydłami. Nie wydawał się zbyt przejęty.

Pytanie – zaśpiewał swoim wielobarwnym, jakby chóralnym głosem. Choć próbowała traktować go jako niebezpieczne narzędzie, jej serce rwało się do niego. Widziała w nim bezbronnego chłopczyka, którego kiedyś spotkała w korzeniach Drzewa i który regularnie nawiedzał jej sny. Nagle zrozumiała, że wraz z pokochaniem *doggena* odzyskała synka... cudownego i tchnącego grozą. Jego oczy jarzyły się błękitnym światłem. Czasem miał kilka tygodni, a czasem kilka lat. Czasami był starszy od niej, a czasem starszy niż świat. *Każda dusza ma dwoje rodziców. Kto jest drugi przodek? Mój ja?* Jak każde dziecko uwielbiał zadawać pytania.

— Ojciec. Pytasz o swojego ojca — powiedziała Citlali powoli.

Ojciec. Widziałem. Wczoraj — zawibrował *doggen*. — *Niczym zburzony zamek. Jego dusza do Środkowia. Już blisko.*

To był najtrafniejszy opis Harana, jaki słyszała.

— Twój ojciec nazywa się Haran. Jest dzielny, odważny i zły. Masz po nim odwagę i siłę i... więcej niż szczyptę szaleństwa.

Dlaczego teraz sam? Sama? — zaciekawił się *doggen*.

Westchnęła ciężko.

— Ludzie nie zawsze mogą być razem. Ja też muszę się z tobą pożegnać.

Dobrze. Do patrzenia.

Doggen odwrócił się, zamierzał zniknąć. Citlali podniosła głos:

— Odjedź, zanim nastąpi rytuał! Zniknij. Czuję... że Matki coś knują.

Doggen milczał. Sceneria zmieniła się i zamiast bezkresnej szarości Środkowia znaleźli się we wnętrzu wilgotnej od deszczu chmury.

Pod nimi pluskały fale. Na Citlali nie wywarło to większego wrażenia. Morze było puste i szare, podobnie jak jej serce. Chowaniec trzepotał obok.

— Może nasze myśli także przychodzą ze Środkowia? — szepnęła, kierując pytanie w przestrzeń. — To dlatego nie wiesz, co zdecydujesz ani co zaraz zrobisz. Dusza to chaos. Niektórzy się jej boją. Ale ja sądzę, że to właśnie jest piękne.

* * *

Haran przemyślał wszystko i uznał, że zwieje, gdy tylko oddalą się na bezpieczną odległość od pilnowanej przez Kruzów granicy. Po tamtej stronie gór, blisko tikalskich miast-państw, Leyre powinna już być w miarę bezpieczna. I wtedy spokojnie da nogę. Zostawi za sobą królową, Hona, ale... jak miał zostawić Morosa?

Zamyślony, wpadł na grupkę tikalskich kupców w obszernych, kosztownych szatach i wysokich kapeluszach. Drobili zabawnie, jakimś cudem nie przydeptując pierzastych frędzli, które muskały plugawą ziemię miasteczka. Ich karawana właśnie wyruszała razem z kruzańskimi żołnierzami, którzy mieli obsadzić twierdze w granicach Tikal. Ale kupcy wydawali się zadowoleni, na ich twarzach Haran widział ulgę, nie wstyd.

Nie minął dzień od podpisania rozejmu, a już zabiegali o kontrakty handlowe z nowymi władcami Tlaszkali. Wciąż nie był pewny, czy powinien posyłać Leyre do tych tchórzliwych szczurów. Przecież gdy Quinatzin uderzy, najemnicy kupców poddadzą się, nie sięgając po broń. Zwłaszcza po tym, co spotkało Tlaszkalan.

Zapatrzony, nie zwrócił uwagi na obszarpanego żebraka. Zderzyli się i Haran odruchowo uderzył go łokciem. Obdartus potoczył się w pył zakurzonej uliczki. Haran na wszelki wypadek złapał za swoją sakiewkę, a dopiero potem podał rękę gramolącemu się mężczyźnie, choć właściwie to

powinien go kopnąć. Pijany Miecz zawsze powtarzał: „Nigdy nie pomagaj wstać łachudrom, których znów będziesz musiał obalić”.

— Mogło być gorzej, prawda? Instynktowne wybicie oczu... wbicie nosa głęboko do mózgu. Nie powinienem się skarżyć — wymamrotał staruch, któremu w końcu udało się uklęknąć. Krew z przeciętej wargi płynęła w kąciку ust, znacząc czerwoną strużkę na bladej twarzy.

Haran wybałuszył oczy.

— To ty!

— A któż by inny. Musimy pogadać — rzucił szpieg opryskliwie.

Haran zabrał Kilirethę do prostej, żołnierskiej kantyny, w której zaczęło się już intensywne przepijanie wojennych łupów. Słowo „rejwach” nie oddawało panującego tu zgiełku. Na środku izby grubas o smutnych oczach kopał po żebrach klnącego i plującego Taraska, który gramolił się z gracją przewróconego na grzbiet zółwia. Walczących dopingował tłumek przypadkowych i nie do końca przytomnych sekundantów.

W izbie obok trwała walka kogutów, zagłuszana wrzaskami obstawiających i łomotaniem zawziętego, w sztok zalanego grajka, który walił w bęben obity skórą Tlaskalan. Najlepszy cesarski szpicel nie podsłuchałby tu zawodzącego minstrela.

Kret rozejrzał się i przepłukał usta *pulque* przyniesionym przez jednoręką posługaczkę. Postawiła go przed nim z hukiem. Miała tak udręczone i skwaszone oblicze, że Haran pożałował, iż oprawcy nie pozbawili jej głowy.

— Myślisz, że Tikal będzie następne? — zagadnął po pierwszym łyku.

Kiliretha pokręcił głową i splunął łupiną pestki dyni, którymi zagryzał trunek.

— Nie sędę. Quinatzin nie podbije Tikal. Nie zabija się kaczkę, która znosi złote jaja. Zniewoli ich całkowicie, pozwalając dalej bawić się

w kupców, artystów i rzemieślników. W ten sposób tikalskie bogactwo i praca sfinansują jego wielkie wojny. Zobacysz, to dopiero początek.

Haran zamyślił się. To znaczyło, że może bezpiecznie posłać tam Leyre, a samemu wiać jak najdalej. Gdzieś, gdzie nie wiedzą, co to Kruzowie.

Kret przyglądał mu się uważnie spod zmrużonych powiek.

— I co porabiałeś od naszego ostatniego spotkania?

— A ty?

Kiliretha wzruszył ramionami.

— Wciąż węszę. W górach roi się od Zjadaczy, a ja usiłuję odnaleźć ich źródło. Mieli tu kiedyś miasto... podobno od dawna wymarłe. Może miałbym dla ciebie robotę. Przydałbyś się na wypadek, jakbym wpadł na jakiegoś *hikku'tai*.

— Pomógłbym ci, ale jest jeden szkopuł. Wziąłem już jedną robotę. Opiekuję się kimś — powiedział Haran niepewnie.

— Naprawdę myślisz, że tamta fucha przebije moją ofertę? — Kiliretha upił *pulque*, śmiejąc się dobrodusznie.

Haran pochylił się do niego nad stołem.

— Tamta fucha nazywa się Leyre i jest królową Tlaskali — palnął, z przyjemnością patrząc, jak szpieg blednie i krztusi się *pulque*.

Miło jest zaskoczyć Kreta.

— Wiedziałem! Ptaszki ćwierkają, że Quinatzin oszalał, gdy jej nie znalazł. Był tak wściekły, że wymordował karłów, odmieńców, hermafrodytów i rzadką zwierzynę w królewskim bestiarium w Grani. Nie żeby resztę Tlaskali potraktował lepiej. — Kiliretha wzruszył ramionami, siorbnąwszy z wyszczerbionego, glinianego kubka. — Pomogę ci ją ocalić, synu. Jesteśmy sojusznikami.

— Nie szukam ich, Krecie.

— Błąd. Gdybyś wiedział cokolwiek o naszym Zakonie, zrozumiałbyś,

że służymy koronie. A co do Leyre, to dobrze ją znałem, a także jej ojca Zergosa, przywódcę naszego bractwa. Możesz mnie uważać za przyjaciela rodziny.

— Byliście przyjaciółmi? — zainteresował się barbarzyńca.

Kiliretha uśmiechnął się krzywo.

— Tak jakby. Chodzi o to, że ja wciąż służyć Tlaskali, albo temu, co z niej jeszcze zostało. Muszę ją zobaczyć, Haranie. Odpowiadam za nią.

Barbarzyńca pokiwał głową. Może to nie jest zły pomysł? Może właśnie tego potrzebowała ta męcząca, uparta kobieta. Cierpliwego, mądrego lokaja, któremu z życiowych namiętności, pragnień i uczuciowych dramatów została już tylko prostata.

* * *

Kiliretha oczywiście go okłamał. Wbrew temu, co powiedział Haranowi, nigdy nie poznał Leyre osobiście. Kiedy przyszła na świat, wędrował po kraju Inka jako młody szpieg, badacz przyrody i poseł. Gdy poślubiła Papana, wypatrywał wracających okrętów na dalekiej północy, podsycając ogień latarni morskiej. Kiedy wrócił, nie bardzo miał okazję poznawać kogokolwiek. Mimo to Leyre stała się ważną bohaterką raportów podsuwanych mu do analizy.

Oceniał jej duszę, intelekt i ciało, dociekając, czy sprosta wyzwaniom i nie zawiedzie Zakonu.

Przez te wszystkie lata, podczas których z pewnością nie było jej lekko, królowa nigdy się nie skarżyła, a poza romanssem z bohaterem wojennym Szaratangą nie dopuściła się żadnych skandali. A Lew Labiryntu był wtedy tak absurdalnie popularny, że z pewnością wiele kobiet, mężatek, panien i wdów, marzyło o tym, aby się znaleźć w jego ramionach. Zresztą bohater w odpowiednim momencie zszedł ze sceny, dobrowolnie usunął się w cień.

Leyre dalej zaś zasiadała w Radzie Grani, towarzyszyła Papanowi podczas audiencji i coraz bardziej przejmowała od niego władanie krajem. I nikt nigdy nie widział, by w obliczu nadciągającej burzy okazała wahanie czy strach.

Barbarzyńca przedstawił ich sobie, zadowolony, że Leyre może się zobaczyć z rodakiem. Królowa ucieszyła się spotkaniem żywego Kreta. Rozmawiali w jej namiocie. Nieopodal nawoływali się czatownicy Druazzi. W obozie panowało nerwowe poruszenie. Żołnierze wciąż nie wiedzieli, czy wracają do domu, czy też z marszu uderzą na Tikal. Łatwo było tu zarobić cios oszczepem lub strzałą, ale Druazzi rozpoznawali ich już, taką miał przynajmniej nadzieję.

Królowa pytała Kreta o Zergosa, lecz Kiliretha kluczył, omijając temat. Wiedział, jakie przynosi wieści. Dziewczyna paplała coś o partyzantce, sojuszach i odzyskaniu Tlaskali. Równie dobrze mogłaby odzyskiwać księżyc.

Leyre miała łzy w oczach. Kiliretha obserwował ją bez współczucia. Nigdy się nie ożenił i każdego dnia dziękował za to pogodnym bogom lenistwa, pijaństwa i świętego spokoju. Skonstatował, że łzy Leyre miały swe źródło w złości i niechęci, a mowa ciała dziewczyny wyrażała buntowniczy animusz. No cóż. Nikt nie mówił, że będzie lekko, mruknął bizon, siadając na szczurze.

Kret uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. Leyre nie wyglądała za dobrze. Wydała mu się krucha, jakby miała się rozsypać, spopielić razem ze swoim królestwem.

Postanowił odpuścić sobie na razie ceremoniał i niezdarnie otoczył ją ramieniem. Oswobodziła się, uśmiechnęła.

— Przepraszam. Ale Haran na każdym kroku przypomina mi pewną osobę. Bardzo dla mnie ważną. — Pociągnęła nosem.

Kiliretha dałby jej koki, ale od niej zrobiłaby się jeszcze bardziej uparta.

— Szaratangę?

— Zwróciłeś uwagę, że ostatnio zaczęła utykać?

Kiliretha zmarszczył brwi. Rzeczywiście, to dziwne. Najwyraźniej symbioza Harana i tego drugiego jeszcze się pogłębiła. Nie bardzo wiedział, co może poradzić Leyre, jednak czuł, że powinien ją jakoś uspokoić. W końcu jest jego królową, i wszystko wskazywało na to, że ostatnią.

— Czasami... przejmujemy coś od ludzi, którzy nas kształtowali. Haran poznał Szaratangę w młodości i wiele mu zawdzięcza. To, że czasem zachowuje się jak on, jest całkowicie zrozumiałe.

Pociągnęła nosem, lecz tym razem spojrzała na niego z sympatią.

— Dziękuję. Mówisz zupełnie jak mój ojciec. Mam nadzieję, że Zergos zdołał się ukryć — szepnęła.

Kiliretha milczał. Do diabła z procedurami.

— On nie żyje, królowo. Twoi rodzice zginęli podczas zniszczenia siedziby Zakonu. Zrobili to z własnego wyboru. Przykro mi.

Kiwnęła głową, jakby to do niej nie docierało. Jeszcze.

— Wydaliśmy Kretom rozkaz. Papan i ja. Mieli nie dopuścić, żeby Spuścizna dostała się w ręce Kruzów.

— Za żadną cenę — dopowiedział Kiliretha. — Zergos rozkazał wysadzić Skarbiec, gdy stało się jasne, że Quinatzin może opanować mury. Niemal nikt z moich braci nie przeżył. W jakimś sensie oboje jesteśmy sierotami.

W oczach Leyre zionęła pustka.

— Nasz wielki plan... Szaratanga i fałszywe *ilhalli*... nie zdało się to na wiele. Żałuję, że się na to zgodziłam.

— Quinatzina ktoś ostrzegł. Nikt nie mógł tego przewidzieć — powiedział Kret ostrożnie. On przewidział... ale to nie był dobry moment,

by się tym chwalić.

— Nie zostało nam wiele nadziei, prawda?

Popatrzył na nią, zdumiony. Nadzieja? Jego lista nie obejmowała takiej pozycji.

— Dobroczyńcy. Zakon na pewno coś o nich wie. Potrafisz ich wezwać? Żeby wrócili tu wcześniej? — Patrzyła z zapalem, oczami wielkimi i roziskrzonymi jak u gorączkującego dziecka.

Kiliretha pokręcił głową.

— W sprawie Dobroczyńców wciąż wiąże mnie przysięga Zakonu, pani. Staram się nawet nie myśleć o tych sprawach — powiedział smutno.

— Twoi przełożeni nie żyją. Wygląda na to, że teraz odpowiadasz już tylko przede mną. Krecie Kiliretho, zwalniam cię z twojej przysięgi. Mów wszystko.

Uczony zastygł. Chyba zbyt długo milczał. Bał się, że jeśli zacznie mówić, utopi ich oboje w słowach.

A potem opowiedział wszystko.

Podczas ich trzeciej zimy na placówce Oretl znalazł Rozbitka na plaży. Jego statek roztrzaskał się na skałach, to wiedzieli, bo morze wyrzucało na brzeg deski, beczułki i strzępy porwanych lin. Trzeciej nocy mężczyzna, napojony gorącym rosołem z wątroby jelenia, przemówił w ich ojczystej mowie. Mimo to Kiliretha nie od razu zrozumiał wagę tej opowieści. Myślał, że to koszmar wywołany gorączką. Oretl załapał pierwszy i słuchał majaczącego Tlaszkanina jak w transie, wędrując z nim po wszystkich kręgach nieopatrznie odkopanych piekieł.

Rozbitek opowiadał o pustkowiach Iberii i o bielonych wapnem domach pod znajomym, rozjarzonym niebem, pod którym żyły już tylko szczury i pył. O polach Flandrii i skąpanym w toksycznym deszczu Albionie, o leżących na wschodzie kontynentu krainach rozległych nizin, które

szerokim gestem zagarnęła śmierć.

Kiliretha nie na darmo był Kretem. Znał mapy Tamtego Świata, przechowywane w kufrach Skarbca wraz z resztą Spuścizny. Znał zamorską geografie, historię i mity. I nagle pojął, że to nie maligna, gorączka ani obłęd, lecz prawda, najstraszliwsza z możliwych. Kształcono go w rozpoznawaniu nieprawdy, a ten ludzki wrak z całą pewnością nie kłamał.

Nie był też obłąkany, jego relacja zgadzała się z całą wiedzą Kretów. Żeglarz dotarł tam, gdzie wysłał go Zakon, i znalazł tylko chorobę i śmierć. I może to właśnie Zaraza, która zniszczyła Białych, kłębiła się teraz w jego zatrutej krwi.

Kiliretha i Oretl jednak nie zachorowali i to nie zamorska śmierć zacisnęła blade palce na szyi Oretla. Kret pamiętał to teraz bardzo wyraźnie. A tak bardzo chciał zapomnieć...

Oretl zamknął powieki zmarłego Rozbitka, który nigdy nie zdradził im swego imienia. Potem powiedział:

— Muszą się o tym dowiedzieć. Wszyscy. Rozumiesz, co to oznacza? Od stuleci walczymy i ginimy w imię dawno umarłych upiorów. Nasza nadzieja to mierzwa! Ale tym razem Zakon nie zatrzyma tego sekretu dla siebie, żeby dalej kołysać nas kłamstwami. Po moim trupie! — zawołał z pasją.

Kiliretha ważył w swym sercu decyzję. Oretl, jego najlepszy przyjaciel, zawsze był uparty jak muł i Kiliretha wiedział, że nie odwiedzie go od raz powziętego zamiaru. Oretl kochał prawdę. Bardziej niż posłuszeństwo, obowiązek i służbę. Bardziej, niż przystało dobremu Kretowi. Wyjawi rodakom prawdę, choćby ta miała obrócić kraj w popiół.

Potem Kiliretha pomyślał o swojej Tlaskali, jak po prostu poddaje się i gaśnie, jakby nagle ojczyste góry skuł lód. Bez mitu Dobroczyńców i ich wielkiego powrotu nie będą mieli siły do walki. Popatrzył w oczy Oretla i zobaczył w nich żarliwą pewność neofity. Oretl widział przed sobą cel.

Kiliretha mógł sobie wyobrazić to uniesienie, w końcu skosztował w życiu niejednej upajającej trucizny. Czasem lepsza jest chwila nawet szalonej prawdy niż setki lat trwania w rozsądnym kłamstwie.

Wziął zatem nóż i wraził go Oretlowi pod żebro, obracając ostrze, żeby sięgnęło serca. Zostawił jego ciało na śniegu, obok wreszcie umilkłego Rozbitka, i kontynuował podróż. Trwała długo, gdyż tajne przystanie Zakonu wzniesiono daleko od nadbrzeży kontrolowanych i odwiedzanych przez kruzańskie statki. Pół roku później stał już przed obliczem Zergosa, młodego przywódcy Kretów. Opowiedział mu szczerze o wszystkim, gotowy na śmierć i jej stęskniony. Duch Oretla siedział po jego lewicy, patrzący z łagodnym wyrzutem.

Tak, Kiliretha dobrze rozumiał młodego Harana. Za nim także podążał upiór wyrzutów sumienia. Taki stwór nie opuszcza człowieka nawet na chwilę i codziennie wpija mu szpony w serce.

— Jesteś pewien, że ten człowiek nie kłamał ? — spytała Leyre po długim milczeniu.

— Mówił prawdę. Szkolono mnie, bym potrafił to rozpoznać. Zakon opracował procedury ekspedycji i on spełnił je wszystkie. W torbie miał konkretne przedmioty, które nie występują na naszym kontynencie i zniknęły razem z Dobroczyńcami. Migdały. Bursztyn. Nawet pieprzonego szczura — odparł Kiliretha ponuro. — Oni umarli, pani. Co do jednego.

— Co ich zabiło?

— Rozbitek nie mówił o tym wiele. Ale jego ekspedycja dotarła do pewnych zapisków... ostatnich świadectw tej rasy. Wytepiły ich choroby. Epidemie. Zagłada Wielkiego Kontynentu zaczęła się tysiąc lat temu, gdy niedobitki Dobroczyńców uchodziły na statkach przez morze. Zgadzało się to z legendami żółtoskórych przybyszów zza Oceanu Zachodniego, którzy też wspominali o strasznej zarazie. Umarły miliony. Musisz pamiętać, że Wielki

Kontynent jest ogromny, kraina Dobroczyńców to tylko jego niewielki, wysunięty na zachód cypel.

Leyre odwróciła się, przygryzając wargę. Kiliretha zapatrzył się na jej prosty nos i dumny podbródek z dołączkiem, wystające kości policzkowe, posągowe proporcje owalnej twarzy.

Bogowie, gdybym był o pół życia młodszy...

Nagle uświadomił sobie, jak duża domieszka krwi Białoskórych płynie w żyłach tej kobiety. Znał jej ojca, ale w szefie Kretów to starożytne dziedzictwo drzemało, uśpione. Jej twarz miała zaś w sobie coś z greckiej rzeźby, którą przechowywano w Skarbcu. Należała do wymarłej rasy i podobnie jak Haran nie była już częścią tego świata.

— Oni nie wrócą, Leyre. A my musimy żyć dalej. Pogódź się z tym — szepnął. W oczach królowej zaszklily się łzy. Stary szpieg poczuł się głupio i nagle zapragnął coś kopnąć lub rozbić. — Wszyscy musimy. Inaczej... od razu dajmy się zeżreć tym stworom. Sami położmy się na tacy.

* * *

Rano, gdy An'Tai przysła posprzątać jej izbę, Citlali wręczyła jej cenne pióro kwezala, które przezornie zabrała z Czerwonej Świątyni.

— Mam jeszcze dwa takie. Są twoje, jeśli mi pomożesz — powiedziała.

Służąca nie zdołała ukryć zachłannego błysku, który ożywił jej zgaszone, ponure spojrzenie. Za trzy takie pióra jej rodzina mogła wyżyć przez kilka miesięcy.

— Potrzebuję mocnej rybackiej łodzi i kogoś, kto wskaże mi drogę. Ale pamiętaj, nikt w świątyni nie może się o tym dowiedzieć.

Następny dzień upłynął jej na nerwowym oczekiwaniu. Zaufała tej ponurej, zrzędlivej kobiecie. Matki nigdy nie traktowały jej dobrze. An'Tai narzekała na ich wyniosłość i skapstwo, i okropnie się ich bała. Zwycięży

chciwość czy strach?

Pozostawała jeszcze kwestia jej własnych umiejętności. Czy zdoła dopłynąć aż do Przesmyku? Jej lud, Osankowie, słynął z kunsztu żeglarskiego, a wśród wspomnień Citlali z dzieciństwa majaczyły wyprawy wielkimi łodziami i dziadek, który uczył ją wiosłować. Trzymając się blisko brzegu, powinna utrzymać kurs.

O świcie An'Tai zaprowadziła ją nad ocean. Waicuri dysponowało własną przystanią, ale kobiety ominęły ją szerokim łukiem. Ścieżka wiła się rdzawymi od letnich upałów wzgórzami jak drzemiący nad brzegiem wąż. W powietrzu czaiły się zapachy licznych ziół, których aromat uwolni dopiero prażące za dnia słońce.

Citlali kuśtykała, zaciskając zęby. Mimo rannego chłodu jej twarz perliła się od potu. Lewa noga bolała. Dziewczyna czuła się tak, jakby wrzynająca się w kikut proteza miała zęby i kontynuowała powolne zjadanie jej ciała.

Po godzinie dotarły do celu. W osłoniętej zatoczce kołysała się niewielka trzciniowa łódź. Citlali zatrzymała się, rozczarowana. A czego się spodziewałaś? Okrętu z czerwonego cedru malowanego w ochronne znaki, z posągami bożyszcz wysokimi na siedem strzał, z dwudziestoma krzepkimi wiosłarzami i zawodzącym, odczyniającym uroki szamanem, który przywiązany do dziobu statku prycha i krztusi się morską pianą? Łowów na wieloryba? Tubylcy z Waicuri byli biedni, a takie czółno i tak sprawi się lepiej niż dryfująca tratwa. Nie wspominając o kuśtykaniu na jednej nodze. No, może jednej i pół.

— To mój kuzyn, Aykotl. Najlepszy rybak w rodzinie. — Służąca przedstawiła mężczyznę i spojrzała znacząco na dziewczynę.

Pora na moją część umowy, pomyślała Citlali, dobywając noża. Nie miała ochoty tego robić, ale wiedziała, że w przeciwnym razie wystawi się na zbyt duże ryzyko.

* * *

Wróciła do zatoczki w nocy, niosąc wypchany worek z żywnością i wielki dzban wody. W przyrodzie panował niepokój. Dzikie, skaliste wybrzeże Waicuri zmieniało się z chwili na chwilę. Wiatr przepychał po niebie stada wełnistych chmur, zasłaniając i ukazując księżyc. Czasami zapadała grobowa ciemność, a czasami wszystko spowijał biały, upiorny blask.

Citlali zapakowała na łódź tykwy z wodą, suszone mięso i mąkę. An'Tai i jej kuzyn szamotali się skrępowani i zakneblowani, przywiązani do górskiego dębu. Citlali wierzyła, że ktoś ich tu w końcu znajdzie.

Spychała już łódź na wodę, gdy o burtę zagrzechotała strzała.

— Stój! — krzyknął kobiecy głos.

Zignorowała wezwanie. Pospieszyła się jednak za bardzo i straciła równowagę, gdy nieroztropnie stanęła na chorą nogę. Mokra łódź wyslizgnęła jej się i dziewczyna wpadła do wody. Próbowwała wstać, prychając i plując, a na brzegu rozstawiały się już postacie w szarych szatach. Uczy, zdeformowana i wściekła, nienawiść sączyła się z porów jej chorej skóry jak fluidy śmiertelnej choroby. I dwie młode Matki, zdenerwowane i spięte. Rozpoznała w nich swoje troskliwe i życzliwe rozmówczynie. Obserwowały mnie, zdała sobie sprawę. Kilka nowicjuszek z napiętymi, wycelowanymi w nią łukami. I Deregatli, nieprzenikniona jak posąg.

— A gdzie twój demonek, gówniario? — w głosie Uczy pobrzmiwało szaleństwo. — Kto to słyszał wychodzić nocą bez broni.

— Dość. Xotochli kazała doprowadzić ją do Świątyni. Nic więcej — wtrąciła się Deregatli.

Kobieta z nadmiarem skóry zaśmiała się pogardliwie.

— Tylko że Mateczki tu nie ma. Takie sobie umościła gniazdko. Właśnie

dlatego to ja jestem jej potrzebna, a nie ktoś taki jak ty. Chodzi o komplementarność. Bo to, co konieczne i brzydkie, szefowa zostawia mnie.

Citlali cofnęła się, nie spuszczać starszej kobiety z oczu. Powietrze za plecami Uczy zgęstniało. Uśmiech wykrzywił jej groteskowe oblicze, uniosła do góry obwisłe ramiona. Skóra zwisała z nich jak grzebień jaszczura. Spod fałd na piersi znać było żebra.

— Wypędzanie nie będzie konieczne. *Doggen* przypadnie wraz z tobą, mała dziwko. Zapłacisz za moją siostrę — zasyczała wiedźma.

— Nie wąż się — zaproponowała *Deregatli*.

— Wracaj lepiej do swoich zajęć. Przecież ty nawet nie masz *doggena*.

Instruktorka uderzyła Uczy w twarz, posyłając Matkę do wody, i zwróciła się do Citlali:

— Uciekaj!

Brzdęknięła zwalniana cięciwa, ale strzała poszybowała nad głową trenerki. Widać młodsze Matki nie bardzo wiedziały, kogo słuchać. Citlali chwyciła za burtę, podciągając się.

Wtedy ktoś zagotował ocean.

Woda za jej plecami zakipiała i zabulgotała... wciąż dotykając stóp wdrapującej się na łódkę dziewczyny. Protezie nic się nie stało, ale druga... Ból był nie do zniesienia. Krzyknęła, czując, że stopa pęka, a skóra płonie. Ku niebu uniosła się para, ciężki, tłustawy opar rosołu, jakby ktoś właśnie uwarzył kaczkę. Citlali przetoczyła się ciężko po dnie łodzi, mrugając łzawiącymi oczami, przepełniona cierpieniem jak pijak spienionym *pulque*. Zakotłowała się ciemność. Potem coś skoczyło dziewczynie na plecy.

Citlali zakrztusiła się, daremnie chwytając oddech, przygniatana jakimś ogromnym ciężarem. Wiedziała, że jeśli pozwoli się wciągnąć do wody, zginie. Walcząc, prychnąc i sapiąc, wyswobodziła się z uchwytu przeciwnika, po czym zmartwiła ze strachu i obrzydzenia.

Widziała już kilka *doggenów*, lecz żaden nie przypominał tego czegoś. Ogromny stwór, nabrzmiały, z napiętą, pękającą skórą jak na wezbranym ropniu, kołysał się czujnie. To żarłok, Citlali pamiętała opowieści Deregatli. Karmił się ciałem i duszą swej pani.

Potem czas zwolnił i zastygł jak podgrzewany w rondelku syrop, który zamienia się w karmel. Nie mogła oddychać. Patrzyła na własne dłonie. Znaczyła je siateczka zmarszczek, sine, wątrobiane plamy i zgromadzone podczas długiego życia znamiona. Człowiek to zbiór defektów, pomyślała. Oddychanie przychodziło jej teraz z trudem.

Doggen Uczy obserwował ją z sardonicznym uśmiechem. Starzał ją. Robił się coraz większy i coraz ciemniejszy, jak gdyby zasysał światło. Zdawało jej się, że zapadł już zmierzch i słyszy odgłosy walki. Na brzegu ktoś krzyczał i chyba umierał. Cień pochylił się nad nią chciwie, kapiąc kropelkami jadu. Radosny bulgot przeszedł w świst, a ciało demona rozpruł i rozerwał jakiś potężny cios. Uderzenie wyprowadzono od wewnątrz, uświadomiła sobie Citlali, patrząc na wystające z brzuszyska potwora czarne ostrze, które wyglądało jak odprysk ciemnego kryształu. Ukazała się trzymająca broń ręka, coś wykrawało sobie drogę na świat. Łódka zakołysała się, wypełniona rozlaną żółcią i jadem. *Doggen Uczy* zawył, pękając. I szczeł.

Citlali zbudziła się. Jej ręce znów były dłońmi młodej dziewczyny. Szkoda, że z nogą nie stało się to samo. „Znów piękna” – przemówił chełpliwy głos. Uśmiechnęła się, widząc swojego *doggena*, trzepoczącego skrzydłami z dymu w wilgotnym, morskim powietrzu. Jak wtedy, w ich ostatnim śnie.

— Wróciłeś po mnie — szepnęła.

Demon uśmiechnął się tryumfalnie.

Rozejrzała się. Na brzegu, w kręgu martwych ciał, stała samotna Deregatli.

— W łodzi jest wolne miejsce! — zawołała Citlali.

— Chyba jestem za stara na przeprowadzki. Poza tym Xotochli mnie potrzebuje. W końcu zawsze jej wiernie służyłam. Tylko ciebie nie zdołałam złapać! — odkrzyknęła jej Deregatli.

Citlali pokiwała głową.

— Kto was ostrzegł? — spytała.

Mistrzynie wskazała końcem czerwonej klingi na związaną An'Tai i jej bratanka.

— Powiedziała wszystko Xotochli, jeszcze zanim wskazała ci łódź. Ale nie wiedziała, kiedy dokładnie zamierzasz wyruszyć. Mateczka wezwała Uczy, a ta postanowiła, że schwyta cię na gorącym uczynku. Ale potem An'Tai chyba gryzło sumienie. Dlatego ja też wiedziałam.

Citlali roześmiała się.

— Wypuść ich — poprosiła.

Chowaniec wprawił łódź w ruch, najwyraźniej potrafił także wpływać na morskie prądy. Citlali długo machała Deregatli i An'Tai. Potem z ulgą oparła głowę na burcie.

Postanowiła ufać już tylko *doggenom*.

Rozdział 28

*A gdy jasna część nieba milczała,
złamał pieczęć i mówił do ciemnej.*

Lament o Montezumie

Quinatzin zajechał do Yugal z pompą. Towarzyszył mu liczny dwór, doradcy, nałożnice i zwierzęta: oswojone ptaki, jaguary na ozdobnych smyczach, konie z królewskiej stadniny Papana, jego dorodne bydło oraz tuzin bezcennych, najlepszego gatunku jedwabistych lam, sprezentowanych przez inkaskiego ambasadora z Imperium Złotego Słońca.

Tlatoani sprowadził też dwa tysiące doborowej, ciężkozbrojnej piechoty i trzystu Zabójców Gwiazd. Za wojskiem ciągnął niekończący się pochód uwiązanych do żerdzi *Tlaszkalan*. Wojna dostarczyła Przymierzu siły roboczej i łupów. Quinatzin nie zdobył może sekretów, na które tak liczył, jednak i tak mógł dobroić swoją zwycięską armię. Sam złom, metalowy łup zagarnięty ze złupionej *Tlaskali*, pozwoli przygotować broń dla przeszło tysiąca strzelców. Kowale przetapiali miecze, puklerze i zbroje, ponaglani przez króla, który pomstował na ich opieszałość. Wydobyć smaru musiało nadążyć za pracą kuźni.

Arystokratów *Turkusowej Włóczni* traktował z chłodnym szacunkiem, niepozbawionym protekcjonalności. Może lepiej niż nałożnice, lecz na pewno gorzej niż oswojone lamy. *Maczurai*, który w okresie kampanii przyzwyczał się do specjalnego, pełnego szacunku traktowania, na pewno

odbierał jego zachowanie jako upokorzenie. Mimo to wydawał się obojętny, zbyt chory, żeby poważnie się przejąć.

Wszystkich uderzała jego słabość. Dawny czempion areny, wychudły i wynędzniały, powłóczył teraz nogami. Plotki głosiły, że z powodu zakażenia sika żółcią i krwią. Zmobilizował się jednak, żeby chwiejnym krokiem oprowadzić *tlatoaniego* po włościach.

Pierwszego dnia Quinatzin zażyczył sobie inspekcji Dołów. Oglądał właśnie windę i hałdę nasączoną kopalem ziemi, którą wydobyli skazańcy. Tennok towarzyszył mu razem z ojcem.

— Powtarzasz się, Maczuraiu. Muszę obejrzeć kopalnię. Nie obchodzi mnie, że to niebezpieczne — tłumaczył Quinatzin z irytacją.

Stał na dziedzińcu fortecy Turkusowej Włóczni, wpatrzony w zionącą w wapieniu czeluść. Gwardziści przysłuchiwali się sprzeczce z obojętnymi minami, którym przeczyły zbielale, zaciśnięte na włóczniach kłykcie i pulsujące na szyjach żyły. Żaden z tych zaprawionych w masakrach morderców nie pragnął towarzyszyć królowi.

Maczurai podrapał się po przekłutej przetyczką dolnej wardze i posłał dyskretne spojrzenie Hagotłowi, pierwszemu nadzorcy Dołów.

— To niewyobrażalne ryzyko, Władco Światów — odezwał się ten drugi. — Nigdy nie wiadomo, kiedy te bestie uderzą. Nie dalej jak trzy dni temu pożarły dostawę jeńców.

— Mimo to kopalnie wciąż funkcjonują.

— Skazańcy... organizują się. Jednakże śmiertelność jest wśród nich zatrważająca.

— Słyszałem, że skupujecie więźniów z całego imperium?

— Nie mamy innego wyjścia. Pierwszy miesiąc przeżywa jeden na sześciu. Wydaje się jednak, że wśród weteranów śmiertelność gwałtownie spada.

— Adaptacja? — Quinatzin pochylił się nad szybem. Potężne liny nikięły w dalekim mroku. Z czeluści dobiegał stłumiony stukot, który mógł być odgłosem wydawanym przez narzędzia lub... szpony.

— Raczej selekcja. Przeżywają tam tylko niezwykle wytrzymałe jednostki obdarzone potężną wolą życia, panie.

— I dożywają tam swoich dni? Na moje oko to marnotrawstwo. Nie myśleliście o systemie nagród? Amnestii?

— Z całym szacunkiem, królu, to nie byłby dobry pomysł — wtrącił się Maczurai, który z ramionami skrzyżowanymi na piersi przysłuchiwał się rozmowie.

— U nas, w Tollan, ułaskawiamy gladiatorów. Kilku z nich służy w mojej gwardii. Nie spotkałem lepszych wojowników.

— Ci ludzie przesiakają smarem. To trucizna. Na samym początku ułaskawiłem grupkę więźniów. Okazali się obłąkani. Doły to wyrok śmierci i nie ma od tego wyjątków.

Pierwszy nadzorca pobladł, przelękając ślinę. Maczurai uśmiechnął się złośliwie.

— Poprzednik biednego Hagotla miał pecha się z nimi spotkać. Rozszarpali go, gdy tylko platforma dotarła na górę.

— To był mój brat, panie. Od tamtej pory nad wyciąganiem urobku zawsze czuwają łucznicy. I ciężka piechota — dodał zwierzchnik strażników.

Quinatzin wydał w zadumie wargi. Jego na wskroś racjonalny umysł nie mógł się pogodzić z zaprowadzonym tutaj porządkiem – czy raczej jego całkowitym brakiem.

— Nadal nie mogę zrozumieć. Skoro Zjadacze przysparzają wam tylu kłopotów, dlaczego ich nie wybijecie? — *Tlatoani* ugryzł pomarańczę i otarł płynący po brodzie sok.

Nadzorca rozłożył przepaszająco ramiona.

— To nie takie proste. Za czasów Starego Księcia, poprzednika mojego pana, podjęto taką próbę w kopalniach Czterdziestu Krzyków. To w górach nieopodal stąd, na terytoriach plemiennych. Operacja okazała się... kosztowna.

— Operacja? Raczej mała wojna. Ten pyszałek stracił tam prawie sześciuset żołnierzy — prychnął Maczurai.

— Biorąc pod uwagę wartość smaru w Dołach, koszty na pewno się zwrócą — zauważył król. Nie umknęło mu pytające spojrzenie, jakie Hagotl posłał Maczuraiowi, i twardy grymas tamtego.

— Cóż... — Nadzorca przełknął ślinę i znów posłał wodzowi Turkusowej Włóczni rozpaczliwe, błagalne spojrzenie. Równie dobrze mógłby prosić o pomoc skałę. — Wkrótce okazało się, że tamtejsze złoża są na wyczerpaniu. Musieliśmy zamknąć kopalnię. Straciliśmy jedną trzecią sił zbrojnych, co kosztowało nas najazd rodu Szepczących Liści oraz bunt Druazzi...

Maczurai przerwał mu zniecierpliwionym ruchem dłoni, który Quinatzinowi skojarzył się z opadającym ostrzem.

Nadzorca skulił się trwożnie i pospiesznie odsunął od krawędzi szybu. Władca Yugal kopnął kawałek skały, który potoczył się w dół.

— Wierz mi, Władco Świata, że głowimy się nad tym od dawna. System, któremu Przymierze zawdzięcza *braazatal*, okazał się jedynym możliwym.

— Rozumiem. — Quinatzin kiwnął głową. Czuł, że umyka mu coś bardzo ważnego. Odpowiedź trzepocząca jak nieuchwytna ćma. W zamyśleniu potarł szczękę. — Nie musicie wszczynać przeze mnie wojny. Dlaczego po prostu nie spuścicie mnie na dół w zamkniętej, bezpiecznej klatce? Przemyśl to, sojuszniku.

Tlatoani odszedł, nie czekając na odpowiedź gospodarza. Maczurai skrzywił się. Powinien się wyszczać, ale od czasu pojedynku z tym

przeklętym szczeniakiem stanowiło to dla niego prawdziwą torturę. Jednak bardziej drażniły go żądania Quinatzina. Sukinsyn nie zdradził się jeszcze z żadnym konkretnym planem, inkorporacja Yugal nie wyszła poza sferę niepokojących pogłosek. A jednak wszystko wskazywało na to, że *tlatoani* nie zamierza wypuścić już Dołów z rąk. Jeżeli w ich relacji miała być zachowana równowaga – choćby chwiejna – władca Przymierza nie mógł przejąć kontroli nad smarem. Maczurai rozumiał to instynktownie.

Zawsze wiedział, który z rywali i krewnych mu zagraża.

Przystał na zwiększenie produkcji i wpuszczenie do lochów tysięcy Tlaskalan, wiedząc, że Zjadacze w końcu zapchają się i dadzą reszcie spokój. Nie obawiał się braku miejsca, Doły były ogromne. Obawiał się braku kontroli.

Co gorsza, Quinatzin upajał się swoim zwycięstwem i nową bronią, lekceważąc parszywych Druazzi. Maczurai nienawidził i bał się tej leśnej hałasty, pogardzał nią, ale nigdy nie spuszczał z niej wzroku. I jeszcze to sprowadzanie emigrantów... Osiedlanie pod nosem dumnych, wojowniczych barbarzyńców hordy uprzywilejowanych przybyszów było jednak proszeniem się o kłopoty.

Porażał go rozmach, z jakim działał *tlatoani*. Wpakował w Doły kilka tysięcy najsilniejszych z pojmanyh Termitów, lecz nie zamierzał na tym poprzestać. Skoro uparci Druazzi nie chcą pracować pod ziemią, niechże to robi kto inny. Dlatego do Yugal ściągali zachęceni do tego Kruzowie, co umożliwiały nowe drogi, chronione przez wojsko. Odrodzone Przymierze wkraczało w fazę konsolidacji.

Znamienne, że Quinatzin coraz częściej faworyzował i hołubił „starych” Kruzów, zrywając z dotychczasową polityką schlebiania plemiennym mniejszościom. Ideologia imperium zmieniała się, po latach podsycania chaosu, szczucia nowych przybyszów przeciwko kapłanom i starej

arystokracji, Quinatzin znów stroił się w piórka kruzańskiego patrioty. Najwyraźniej przyszła pora na osłabienie sił, na których król się dotychczas opierał.

Spod ziemi dobiegł ich stłumiony krzyk – zapewne jeden z kopaczy dał się zaskoczyć i nie zdążył wbiec do bezpiecznego tunelu. Maczurai pokiwał głową.

— Hag, och, Hag. Przypominasz mi mojego syna.

— Młody ksiązę zrobił ostatnio wielkie postępy, prawda? — zauważył skwapliwie nadzorca.

Maczurai położył mu na ramieniu łapę, ciężką jak sploty pytona.

— On też nie wie, kiedy trzymać gębę na kłódkę. To groźne, szczególnie teraz, gdy król... Nie zauważyłeś, że ten wścibski spryciarz węszy za naszym towarem? Mało brakowało, a Quinatzin dostrzegłby związek między żywicą i Zjadaczami.

— Ja przecież... zwodziłem go, panie. Zwodziłem...

— Tak. Ale jest jeden szkopuł.

— Co takiego?

— Nie jesteś moim synem — zauważył Maczurai i zepchnął nadzorcę w czeluść. — Ciesz się, że nie zjechałeś tam żywy — mruknął, wsłuchany w gasnący krzyk.

* * *

Tennok obserwował uważnie, jak członkowie jego rodziny usiłują się odnaleźć w nowych warunkach. Quinatzin właściwie już ich zdegradował, nie wydawszy jeszcze żadnego oficjalnego dekretu. Przesilenie było kwestią czasu.

Pytanie, co zamierzał ojciec. Maczurai zwłóknął się z barłogu i asystował Quinatzinowi, strasząc wymuskanych dworzan swym oszpeconym obliczem.

Wydawał się wyniszczony i całkowicie bezsilny. Ludzie gadali, że pije od rana do nocy. Być może jedynie opary *pulque* pozwalały mu wciąż odgrywać rolę, do której przyzwyczał świat.

Irdana nie mogła się zdecydować. Próbowwała być niezastąpioną administratorką i nieszkodliwym, czarującym stworzeniem, kokietującym *tlatoaniego* uroczą paplaniną. W obu rolach radziła sobie średnio.

Tennok nie robił nic. Starał się jednak przebywać blisko Quinatzina i jego doradców, nadstawiając uszu. Któregoś razu posłyszał, jak Quinatzin narzeka na pracę kopalnianej windy, napędzanej mięśniami niewolników. Nadworny wynalazca, podejrzany osobnik imieniem Alvaratl, bezradnie rozłożył ręce.

Wtedy Tennok wykonał swój ruch.

Można by zastąpić ludzi końmi, które zdobyto w Tlaszkali. Są przecież dużo silniejsze. Zajmują także mniej miejsca.

Królewscy doradcy patrzyli na niego z obrzydzeniem.

Kruzowie bali się koni, kojarzyły im się z najazdem Białoskórych i piekielną epoką Klątwy. Jednak Quinatzin uśmiechnął się tylko i pogładziwszy wąski, zupełnie nieimponujący podbródek, zapytał Tennoka, jak przyspieszy to wydobywanie. Książę szybko porachował w myślach i podał *tlatoanemu* wynik. Od czasu pobytu w Kolegium Kapłanów jego umiejętności arytmetyczne zdecydowanie wzrosły.

Quinatzin był bardzo zadowolony.

Następnego dnia Maczurai zaprosił Tennoka na kolację. Spotkali się w gabinecie ojca, w którym poza nimi nie było nikogo. Na okrągłym stole z żyłkowanego marmuru parowały ulubione potrawy starego. Tennok przełknął ślinę i poczuł, że traci apetyt. W otworze pośrodku blatu widniała bezwłosa, unieruchomiona w kunsztownym imadle głowa. Wyglądała jak ogromne kacze jajo i należała zapewne do jakiegoś biednego Termita.

Nieszczęśnik żył jeszcze i łytał na nich przekrwionymi, przerażonymi oczami, choć książę był pewny, że kuchmistrz pozbawił go już języka. Tennok poczuł, że zbiera mu się na mdłości.

— Tylko mi tu nie mdlej. Myślałem, że z tego wyrosłeś — warknął ojciec, spoglądając na niego z odrazą.

Tennok opanował się z trudem i nałożył sobie trochę dziczyzny i awokado. Uderzyło go, że stary wygląda dobrze. Może nie kwitnąco, ale na pewno nie tak beznadziejnie jak kilka dni wcześniej. I jeszcze ten apetyt.

Maczurai zmarszczył pozostałość po nosie i uśmiechnął się szelmowsko.

— Dałeś się nabrać — czknął — że niby od tygodni szczam na czerwono, żegnam się z tym światem i w ogóle?

— Wielu w to uwierzyło — zauważył Tennok chłodno.

Maczurai oblizwał palce i zastukał łyżeczką w blat.

— Obyś miał rację. Quinatzin nie może się nas bać, synu. Stąpamy po cienkim lodzie. Słyszałeś, że drań zgładził już starego Szurukana? Ponoć pomagały mu w tym tajne służby. Pozbywa się wszystkich, którzy jeszcze coś znaczą. Musimy być w jego oczach słabi, niegroźni, lecz wciąż użyteczni. Dlatego mam dla ciebie nowe zadanie.

Tennok instynktownie się napiął. W towarzystwie ojca zawsze czuł się w jakiś sposób zwodzony. Jak tuczona na ucztę świnka.

— Wiesz, że biednemu Hagotłowi przytrafił się nieszczęśliwy wypadek? Chcę, byś został nowym nadzorcą kopalni — rozkazał Maczurai i wepchnął sobie do ust połówkę obranego awokado.

Jego syn skrzywił się ironicznie.

— Okładać twoje upiory batem? Podziękuję.

Maczurai zacisnął szczęki.

— Słuchałeś w ogóle, co mówię? Los rodu zależy teraz od Dołów. Musimy okazać przydatność.

— Turkusowa Włócznia jest tylko oprawcą z batem. Na moje oko nie mamy królowi nic do zaoferowania. I rzeczywiście, łatwo nas można zastąpić — zgodził się Tennok.

Maczurai przerwał mu niecierpliwie:

— Jako nadzorca będziesz miał do czynienia z Quinatzinem i tym dziwolągami, Alvaratlem. Może coś zważasz. Coś, co pozwoli nam zyskać przewagę. W końcu czytałeś te wszystkie księgi...

Tennok popatrzył na ojca szyderczo.

— Zaraz. Czy właśnie wyraziłeś się pochlebnie o mojej edukacji? Myślałem, że twoim zdaniem księgi nadają się co najwyżej na rozpałkę.

Maczurai oparł łokcie na stole.

— Jesteś mi potrzebny. Chcesz to na piśmie?

Tennok przełknął ślinę. Kiedyś dałby się pokroić za takie wyznanie. Teraz wolał pokroić awokado.

— Wiedza jest bronią, ojcze. Szkoda, że nie zauważyłeś tego wcześniej. Ale teraz... wcale nie wiem, czy chcę ci pomagać.

— Skoro tak stawiasz sprawę. Zawsze byłeś rozkapryszonym egoistą. Myślałem jednak, że poczuwasz się do rodowego obowiązku... jeżeli nie do wdzięczności — w głosie Maczuraia zabrzmiał nadchodzący sztorm.

Tennok wiedział, że grozi mu katastrofa, lecz nie potrafił się powstrzymać. Może właśnie to mu zostało. Katastrofa. Roześmiał się szyderczo.

— Wdzięczność? Za ból, strach i okadzanie mnie w chilli? Za to, że nigdy nie zadałeś sobie trudu, żeby się dowiedzieć, co naprawdę myślę? Za wszystko, co zdarzyło się potem? Może i byłeś najlepszym szermierzem epoki, tato. Ale na pewno nie byłeś najlepszym ojcem.

Twarz Maczuraia stężała. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Stary opanował się jednak, z powrotem przywołał uśmiech. Sięgnął po miecz

i jednym ciosem odrąbał czubek uwięzionej w imadle głowy.

Tennok pobladł, czując wstrząsające ciężkim stołem drzenie. O ulubionym daniu Maczuraia, specjale z ciepłego ludzkiego mózgu, zwanym „białym awokado”, powiadano, że najlepiej smakuje wtedy, gdy właściciel głowy wciąż jeszcze wierzga w agonii, kopiąc biesiadników po nogach.

Maczurai pochylił się nad czaszką i ze znawstwem smakosza polał jej zawartość pikantnym sosem z czekolady, cytryny i chilli.

— Prześpij się z tym — powiedział i zaczął zajadać.

* * *

Drogi Haranie. A może Szaratango?

Nie szukajcie mnie. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Całe życie grałam znaczonymi kartami i chyba jestem zmęczona. Szkoda, że to nie ja byłam w tej partii szulerką.

Leyre

Zniknęła, przepadła jak kamień w wodę. Został po niej tylko zaadresowany do Harana list, który z zakłopotaniem przeczytał. Niektóre z jego nowych umiejętności były uwłaczające. Jak wszyscy barbarzyńcy, instynktownie wyczuwał degenerację i uwiąd, a czymże innym była znajomość pisma? Toć to żalosna proteza pamięci, namiastka doświadczenia i wrodzonego rozsądku. Wiedział, że znajomość liter zawdzięcza wyłącznie wspomnieniom Morosa-Szara, ale i tak instynktownie nienawidził lektury i bał się jej. Czuł się po niej zbrukany i osłabiony, jak po zepsutym jadle albo przypadkowej, żołnierskiej sodomii. Ale było w tym coś jeszcze.

Ludzie z miast nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo tak zwane „księgi” potrafią być niebezpieczne. Przecież to duchy zaklęte w litery i papier. Wykwity rozbastwionego, często oszalałego umysłu. Rozsądni i porządni

ludzie zawsze unikali lektury. Druazzi lękali się duchów i zawsze opłacali im się godziwym haraczem z tytoniu i sprawionych głów, spiczastych grzybków, kości i świętych pnączy. Haran, gdy tylko przeczytał słowo, też zawsze przekupywał duchy jakimś specjalnym drobiazgiem.

Na przykładzie Tennoka nauczył się, do czego prowadzi intelektualna rozpusta. Czytając, często miał wrażenie, że skończy jako niedorzeczny oszołom, **przepelniony** bełkotliwym osadem z górnolotnych idei i słów. Gdzieś w Zaułku Filozofów, zarażony fałszywymi ideami jak wszami. Bełkoczący czarownik bez wiernych.

Poza tym, lektura osłabia pamięć i oczy. Ślęczenie koślawi grzbiet, co drugi zapalony czytelnik to garbus. Nie wspominając o zdrowym rozsądku!

Stary Hon przeprosił Harana osobiście. Wydawał się zakłopotany, a nie był to częsty widok.

— Moi chłopcy nic nie widzieli. Dziwne. Ślady prowadzą w góry.

Haran poderwał się, ale Hon złapał go za ramię.

— Poczekaj. Zrobiłem już swoje. Wyprowadziłem was poza Tłazkałę. W miasteczku widziano Zabójców Gwiazd. Szukają kogoś. Myślę, że pora, abyś zniknął, synu. A już na pewno nie powinieneś się włóczyć po okolicy jak gdyby nigdy nic.

— Muszę ją odnaleźć, Hon. Nie zatrzymasz mnie.

Weteran prychnął ze zniecierpliwieniem.

— Aż tak ci na niej zależy? Znajdę ci lepszą nałożnicę. Ładniejszą. Milszą. Jak dla mnie, ta panienka to jakaś pokraka. Blade to takie, kościste, z końską gębą i nosem jak hak. Wygląda zupełnie jak... jak...

— Jak ja? — dopowiedział Haran.

Hon wzruszył ramionami.

— Ty to powiedziałaś. Jak dla mnie ta mała wygląda gorzej.

— Nie wiedziałem, że lubisz chłopców, Hon. I to Białoskórych?

— zaśmiał się Haran.

Stary Druazzi spochmurniał.

— Nie pozwalaj sobie. A co do Białoskórych... Nie jestem dumny z tego, co im wyrządziłem... razem z twoim ojcem. Szare Pasy to była obraza dla bogów i myślę, że wiesz, o czym mówię. Ale to jeszcze nie znaczy, że z tego powodu narażę mój lud na zgubę. Nie czuję się aż tak winny.

Dobiegły ich odgłosy sprzeczki. Kiliretha wpadł do namiotu, rozcierając nadgarstek.

— Nic im nie będzie, bez obaw. Wy, barbarzyńcy, naprawdę macie twarde łby. Nadgorliwcy nie chcieli mnie wpuścić — poskarżył się.

— Taki dostali rozkaz — głos Hona był równie twardy jak jego wytrawione wichrami i deszczem oblicze. Bawił się czarnym, rytualnym nożem, jakby świerzbiły go ręce.

Haran przedstawił ich sobie jako swoich znajomych, co niekoniecznie było dobrą rekomendacją. Przy zgrzybiałym Honie Kiliretha wyglądał jak młodzieniaszek. Może właśnie dlatego Kret od razu polubił starego Druazzi.

— Proszę o wybaczenie. Ale znalazłem trop naszej zguby. Leyre udała się na terytorium Zjadaczy. Zapewne bezwiednie, biedactwo.

Haran poderwał się, ale Hon zachował spokój, przypisywany kamieniom i skałom.

— Siedź. Powiedziałem już, że nie będziesz mi się włóczył po okolicy.

— Sam jej nie wytropię. Poza tym w tych górach roi się od Zjadaczy. Musisz mi dać ludzi.

— Tobie? Podaj mi jeden powód, Haranie. Jeden powód, żebym ryzykował gniew Quinzina dla tej kościstej dziewczuchy. Nie licząc tego, że wycierałem ci nos. I inne rzeczy — warknął.

Haran uśmiechnął się.

— Spróbujmy inaczej. Może mam coś, co sprawi, że ruszysz ten zmurszały tyłek, nim sam z siebie rozsypiesz się w proch.

— Kolejna wzruszająca opowieść? Słucham. — Wódz splótł dłonie na potylicy i odchylił się na krześle. Twarz miał niewzruszoną.

— Nasza zguba nazywa się Leyre i jest królową Tlaszkali. Na dziś to najbardziej poszukiwana, najcenniejsza zwierzyna na świecie. A ty właśnie pozwoliłeś jej zbiec. Chcesz, żeby Quinatzin znalazł ją pierwszy i porządnie przepytał?

W namiocie rozległ się huk. Stary Hon przewrócił się z krzesłem.

* * *

Leyre stała nad brzegiem rozpadliny na wysuniętym nad otchłań cyplu wąziutkiej, zdradliwej perci. Jednej z tych, na których nieopatrzny krok sprowadza śmierć.

Wiatr rozwiewał jej włosy, twarz miała spokojną i bladą, choć w głowie szalały myśli, zajadłe jak wilki, które zwietrzyły krew i już nie zostawią zranionej zwierzyny przy życiu. Krakały w jej duszy jak kruki, które pewnie zajmą się nią, kiedy już będzie po wszystkim. W lepszych momentach życia potrafiła je trzymać na dystans. Nie wdzierały się do sekretnej komnaty jej duszy, tej bezpiecznej i wymoszczonej miękkimi dywanami, gdzie paliły się świece, a śmiechy i ciepłe słowa współgrały z muzyką ciszy. To tam znajdowała schronienie, odradzała się i stwarzała na nowo. Podsycała płomyczek nadziei. W jej własnym, wewnętrznym Skarbcu.

Teraz zrozumiała, że przez lata odgrodziła się od swoich kruków fałszywym murem. Nadzieja okazała się zwykłym zaślepieniem.

To właśnie problem z nadzieją, pomyślała. Budujesz coś, opierając się na przyszłości i oduczasz się, jak czerpać otuchę i siłę z terażniejszości. Na naukę było już jednak za późno. Jej terażniejszość zabito, podobnie jak

miłość, a przyszłość nigdy nie miała się ziścić.

Czy Dobroczyńcy istnieli? A jeśli od początku byli tylko snem, jeżeli nigdy nie ocalili nas przed krwawą potęgą Azteków, jeżeli to nie im pomogliśmy, to za co tak bardzo nienawidzi nas świat?

Zaśmiała się gorzko. Bo czy nienawiść kiedykolwiek potrzebowała powodów? Była i jest realna, w przeciwieństwie do ich pieprzonej nadziei, tych żalonych, dziecięcych mrzonek i rojeń. Bajki. Dobroczyńcy nie wrócą, bo wszyscy już dawno wymarli, a nawet jeśli Kiliretha się myli i jakimś cudem znów się pojawią, to po Tlaszkałanach nie zostanie nawet ślad.

Legendy Kruzów zapamiętają nas jako krewniaków Zjadaczy. Złośliwe, skarłale diablęta. Podstępnych szkodników gór, gnieźdzących się w nawiedzonym Labiryncie, by szkodzić Prawdziwym Ludziom.

Leyre dopiero teraz uświadomiła sobie, jak puste było jej życie. Królowa? Chyba upiorów.

Przez całe lata była laleczką uszytą z wyobrażeń innych. Żoną dla Papana, kochanką dla Szaratangi, córką Zergosa, służką Zakonu Kretów. Opoką pałacowych koterii i frakcji, intrygantką, lobbystką, powiernicą. Władczynią zagrożonej Tlaszkali. Żonglowała tożsamościami i powinnościami, kłamstwami i obietnicami. Wymówkami. Zawsze w blasku świateł, zawsze na scenie. Zawsze pierwsza.

Zmobilizowana i pewna siebie, z adrenaliną buzującą w żyłach, uśmiechem nieziemskiej bieli. Z urodą przygotowaną do walki, naostrzoną makijażem i pachnidłami niczym najlepsza broń. Tylko gdzie była w tym wszystkim ona?

Czuła, że występ się skończył.

Stąpnęła miękko i zakołysała się nad przepaścią.

Jeden krok, pomyślała. Jeden krok i powietrze zaczyna hamować na twojej twarzy. Bardzo kuszące, uznała Leyre, rozpamiętując, co ostatnio

straciła. Bilans zysków i strat wyglądał fatalnie. Jednak życie, ten tępy, niepojęty instynkt, nie wypuszczało jej ze swoich kojąco-dławiących objęć. Nie może tego zrobić. Jeszcze nie.

Uśmiechnęła się, czując ulgę i przypływ nowych sił.

Odrodzenie, jakby wypływała spod lodu, widząc rozświetloną przerębę. Odwróciła się od przepaści i zaczęła ostrożnie wracać po zdradliwej, otoczonej otchłanią perci. Czuła się silna.

Wtedy zobaczyła przedzę.

Miała kolor czystego, księżycowego srebra. Nić zafascynowała ją, Leyre nie widziała nigdy czegoś równie pięknego. Przypomniała sobie słowa zasłyszanej w dzieciństwie kołysanki, dzwoniły w jej sercu jak dzwonki.

*Na cmentarzysku księżyców
Światło czeka, aż zjawi się noc
A ty tam nie zachodź, dziecino
Wystrzegaj się śpiewu miesiąca
I zostaw mu jego srebro.*

Przed oczami stanęła jej pochylona nad łóżeczkiem czuła, troskliwa twarz matki. Ta piosenka... Czy kiedyś ją dla niej śpiewała?

Leyre uśmiechnęła się i zaraz gniewnie zacisnęła wargi. Rayla nie śpiewała, była na to za bardzo zajęta. To przecież ona wraz z Zergosem wpakowali ją w Tlaszkę, w to wszystko. Ich mądrość, ich machinacje. Jeżeli miała jakieś dobre wspomnienia, nie dopuściła ich do głosu. Nienawidziła rodziców, i było jej z tym dobrze.

Zignorowała ostrzegawczy głosik, który kazał jej zostawić przedzę i czym prędzej iść dalej. Był taki piskliwy, śmieszny. Uwłaczający godności, bądź co bądź, tlaszkalańskiej królowej. A jeśli to bogowie zesłali jej znak?

Nową nadzieję odrodzoną na niebie jak księżyc? Znak, którego potrzebował jej lud?

Leyre wyprostowała się dumnie, ujęła srebrną nić. Słaby impuls zawibrował na opuszkach palców. Potrząsnęła głową, a potem owinęła sobie końcówkę przędzy wokół nadgarstka i ruszyła jej śladem, motając ją na dłoń jak na szpulkę. Nie wiedzieć czemu, wydało jej się to właściwe. Od kiedy nić ją dotknęła, poczucie pewności rosło w niej niczym drożdże w glinianej dzieży. Spokojnie ruszyła wąską ścieżką między stromymi skałami.

Siedzący na pobliskim kikucie drzewa sęp przekrzywił łysawą głowę i przyglądał się Leyre z niekłamaną troską. Szkoda jej. Chuda, bo chuda, ale wisiało na niej jeszcze kilka kęsów.

* * *

Grupa poszukiwawcza składała się z Harana, Kilirethy i pół setki wybranych wojowników, najlepszych tropicieli Druazzi, osobiście wyselekcjonowanych przez Hona. Jak sam wyjaśnił, tyle było w sam raz. Dość, żeby jeszcze jako tako się ukryć i przekraść, i dość, żeby owocnie porzezać, kogo trzeba. Stary wódz uparł się, że pójdzie z nimi.

— A te wszystkie głodne kawałki o odpowiedzialności i losie plemienia? Co będzie, jak jakiś Zjadacz cię złapie i weźmie na ząb? Hę? — Haran nie dawał mu spokoju.

Hon zachnął się i splunął na żwir.

— Jak Leyre spotka kruzański patrol, który wydusi z niej prawdę, jak to sojusznicy Druazzi pomagali królowej Termitów w ucieczce, mój lud nie będzie miał żadnej przyszłości. Zawrzyj ryj.

To Haran odnalazł trop. Nie zwierzał im się z tego, ale wszędzie rozpoznalby jej zapach, zwłaszcza teraz, gdy duch Szaratangi wyostrzył mu zmysły, które drgały teraz jak wibrysy ocelota. Z łatwością odnajdywał

drogę. Ślad prowadził na nieurodzajne pustkowia. Nawet górskie sosny wyglądały jak plugawe i złowieszcze wiechcie ciemności, czarne miotły zatknięte na głazach przez wiedźmy.

Ta część pogranicza zawsze owiana była złą sławą. Przedsiębiorczy Tikalczyki szukali tu złóż metali, ale szybko dali za wygraną, wzmacniając zamiast tego graniczne forty. Szeptano o starożytnym mieście, opuszczonej fortecy Zjadaczy, wokół której wciąż grasują watahy zezwierzęconych *hikku'tai*. Jeśli w ogóle miał kto szeptać, bo kolejne utarczki Kruzów i tikalskich najmitów, odwetowe najazdy i pokazowe pacyfikacje do reszty wyludniły ten dziki, surowy kraj. Gdy tak zagłębiali się w jego posępną czeluść, Kiliretha doszedł do wniosku, że ludzie sami przysłużyli się tutaj Zjadaczom.

Teraz kraina wydawała się dodatkowo złowroga i obca. Wszędzie widzieli oznaki ponurej przemiany.

Czaszki zwierząt i ludzi, szerniałe i jakby zapadłe, wysrane. Dziwne ślady, nienależące do zwykłych myśliwych ani ich zwierzyny. Ohydne, jakby turkusowe odchody, którymi upstrzone były nawet pionowe skały. Opuszczone, zapomniane przez Boga i ludzi kotlinki, porośnięte jałowcem i kwiatami zalatującymi zgnilizną. Rozpadliny, odcisnięte na wysokim płaskowyżu jak ślady pradawnych istot. Samotne głazy o bluźnierczych, obscenicznych kształtach. Wszechobecna, gryząca woń sączącej się w mroku żywicy.

Wszyscy czuli, że dotarli do rogatek ciemności.

A potem spotkali *hikku'tai*.

* * *

Ocknąwszy się, Leyre nie chciała otworzyć oczu. Miała przecucie, że w ten sposób rozgoni i zapełni pustkę, która była już przecież tak blisko.

A Leyre pragnęła jej nadal. Pod powiekami kłębiła jej się ciemność. Pamiętała... cholera, nic nie pamiętała. Tylko moment, gdy wymykała się z obozu Druazzi.

Czy umarła? Zaburczało jej w brzuchu, więc na pewno nie stała się duchem. Nie miała skrzydeł, więc raczej nie była kolibrem. W końcu spróbowała rozchylić powieki, lecz zostały czymś zaklejone. Krew? Podobna substancja zlepiła także jej usta. Zimna i śliska, smakowała jak ziemia i pleśń. Jej prawa ręka także zdawała się unieruchomiona, za to lewą zdołała dotrzeć do twarzy.

Zerwała lepiałą substancję i rozejrzała się. Otaczała ją srebrna sieć, pajęczyna utkana ze światła. Widok uruchomił wspomnienia. Przypomniała sobie wabiącą ją w górach przędzę.

Spostrzegła, że pajęczyna reaguje na jej ruchy, oplątując ją coraz bardziej. Leyre przestała się więc szamotać i tylko dyszała, wpatrzona w rozpalone, spłowiałe od słońca niebo. Pajęczyna nie przypominała niczego, co widziała i o czym uczyli ją mędrzy z Zakonu.

Podejrzewała, że nawet w dżunglach Południa nie ma takich zwierząt. A zatem, czym było to coś? I gdzie, na Zabitego Boga, znajdował się pająk? Rozejrzała się, ostrożnie obracając głowę tak, by nie oblepiła jej przędza. Po prawej, na niewielkim skalnym występie, zobaczyła kobietę. Musiała być bardzo stara.

Rozpuszczone włosy spowijały ją całą, niczym jedwabny płaszcz, rozlewały się po ziemi srebrną falą. Leyre zawołała i kobieta odwróciła się jak ktoś nagle wyrwany ze snu. Królowa krzyknęła głośniej, szarpiąc się rozpaczliwie.

Istota nie miała pękatego odwłoku, żądła i ośmiu włochatych nóg. Jej twarz zasłaniała gładka, kościana maska. Biała i prawie ludzka. Prawie. Pajęczyna wyrastała z czaszki jak lepkie, ruchliwe warkocze. Przędza.

— Długo spałam. Długo nie było jedzenia. Chora — szepnęła.

Potem popatrzyła na Leyre wielkimi oczami, nie wilgotnymi, lecz jakby mechatymi i szarymi. Porastały ją drobne, wirujące włoski. Jej wzrok, oceniający i krytyczny, sprawił, że Leyre nagle zapragnęła poprawić włosy i obciągnąć suknię.

Na twarzy istoty wykwitł upiorny uśmiech.

— Witaj — miauknęła i pomknęła ku niej po srebrnej przędzy.

Rozdział 29

Tennok objął posadę głównego nadzorcy w Dołach. Nie wiedział, czemu się właściwie zgodził. Czy kierowała nim lojalność? Strach? Czy może zwyczajna ciekawość? W końcu doszedł do wniosku, że w jego relacji z ojcem kluczowy był bezwład. Jeżeli raz uległeś, będziesz ulegać zawsze, tak chyba musiało już być.

Pierwszego dnia w nowej pracy porzygał się jak kot. Pijany kot w pierwszym trymestrze ciąży. Zapomniał już, jak działa na niego krew, i myślał, że się przyzwyczał.

To było okropne.

Musiał patrzeć, jak niekończące się tłumy Tlaszkalan upychane są na wielkiej platformie, którą dzięki jego pomysłowi zwiększono i ulepszono. Oznaczało to, że do Dołów zapędzono jeszcze więcej ludzkiego mięsa... które przed śmiercią wydobędzie dla Quinatzina więcej bezcennego smaru.

Musiał oglądać i wachać tych ludzi. Musiał ich popędzać i patrzeć, jak spoceni oprawcy okładają ich batem. Włosy zagłodzonych i brudnych jeńców roily się od wszy, które rozgniatali i zjadali, bez przerwy się też drapali i iskali.

Poruszali się ostrożnie, co chwila krzycząc z bólu. Od siedzenia na deskach i ubitej ziemi nagą skórę znaczyły im liczne otarcia i rany. Tennok doszedł do wniosku, że jak tak dalej pójdzie, chcąc nie chcąc, stanie się ekspertem od anatomii. Spod pokaleczonej, otartej skóry Tlaszkalan przezierały kości oraz drgające postronki mięśni.

Po nogach ciekły im krwawa piana i śluz, ciężkie stadium obozowej czerwonki, pomijanego przez poetów i kronikarzy aspektu wojennej chwały. Statystycznie większość żołnierzy ginie na wojnie, wysrywając własne wnętrzności, a nie bohatersko szarżując na wroga, pomyślał książę. Zawsze lubił umieszczać wszystko w szerszym, filozoficznym kontekście. Ale teraz metoda przestała działać, bo kontekst się nieprzyjemnie przybliżył. Kontekst dygotał ze strachu i płakał, gdy z Dołów dobiegało wycie Zjadaczy.

A Tennok pomagał ten kontekst zabijać.

Z zamyślenia wyrwało go poczucie, że obok ktoś stoi. Odwrócił się i, zdumiony, spostrzegł króla. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiej zadumy.

— Pewnie myślisz, że to okropne i niesprawiedliwe? Cierpienie i ludzka nędza, którą będziesz od teraz zarządzał?

Tennok powoli pokiwał głową. *Tlatoani* uśmiechnął się lekko.

— Pamiętaj, wszystko zależy od ciebie. To wielka odpowiedzialność.

— Nie bardzo rozumiem, panie — powiedział ostrożnie.

Ale król nie zamierzał się chyba rozgniewać.

— Wydobywamy tu broń, która chroni mieszkańców Przymierza. Im więcej wydobędziesz smaru, tym silniejszy stanie się kraj. A gdy pokonamy wrogów, *braazatal* nie będzie już więcej potrzebny. Wtedy skupimy się na poprawie losu każdego z moich poddanych. — Quinatzin urwał i wskazał na tłoczącą się przy windzie masę ludzkiego nieszczęścia. — Tylko ty możesz nadać ich cierpieniu sens.

* * *

Atak *hikku'tai* zawsze cechuje dzika gwałtowność. Przeciwnicy, wykrwawieni i przerażeni ich brutalnością, straszliwym smrodem i wyciem, stają się łatwym łupem. Tym razem reakcja ekspedycji ratunkowej Druazzi

na szarżę Zjadaczy też była podręcznikowa.

Zdjęci lękiem i zabobonną odrazą, cofnęli się i rozpierzchli.

Kiliretha też poczuł ten strach, który podmywał jego opanowanie, owoc treningu Kreta. Nie licząc żywicznych wizji, po raz pierwszy miał przed oczami Zjadaczy. Jeżeli człowiek jego pokroju, który zdeptał mokasynami szmat świata, nie spotkał nigdy tych stworzeń, to naprawdę kiedyś musiały być rzadkie, na krawędzi wymarcia. Ale coś odwróciło ten proces i on, Kiliretha, musiał się dowiedzieć co.

Obdarte, błyskające czarnymi pazurami sylwetki o wygiętych grzbietach i ostrych zębach. Człekokształtne, ale podobne też do kojotów i wilków, tak jak ludzie przypominają małpy. Strzępy zgniłych, cuchnących łachmanów, szara skóra brudniejsza niż ściek. Niektórzy nosili zapleśniałe resztki zbroi, które wyglądały jak wygrzebane z grobowca. Śmierdzieli zgnitym mięsem i przetrawioną krwią. Ich zaropiałe, płonące wściekłością ślepia sklejała żółta wydzielina. Nabrzmiące, pulsujące genitalia, zarówno samców, jak i samic. Szybkie ruchy, gwałtowne jak wściekłość i wrzask. I coś więcej, coś brzydszego niż zwykła brzydota, prawdziwy rozkład przebijający spod parszywej powłoki ich szmat.

Obcy.

Jak zwierzę, nieprzystające do uwarunkowań klimatu i środowiska, polarny niedźwiedź w butwiejącej, parującej dżungli. Włochata małpa wśród śniegów, wąty pismak na zawodach atletów. Jak Białoskórzy po Kłątwie. Nie pasowali i było w nich coś wstrętnego.

Kiliretha szukał właściwego słowa, ale do głowy przyszło mu tylko jedno, zaczerpnięte z tlaszkalańskiego chrześcijaństwa. Bluźnierstwo, w każdym calu.

Ogarnięci popłochem Druazzi nie mieli szans. Potem między nacierających Zjadaczy wpadł Haran. Nie bał się ani nie cofał i to odebrało

im impet, a on bezlitośnie wyzyskał zaskoczenie. Zabijał ich oszczędnymi, krótkimi ruchami, w gardle wzbierał mu nienawistny, zwierzęcy charkot.

Za plecami Harana zawracali, zbierali się w kupę Druazzi, prowadzeni przez starego Hona, który walczył ze ściągniętą, zszarzałą twarzą, sterany jak smagane ulewą skały.

A Haran szedł i zabijał. Dwuręczny miecz górował nad bronią Zjadaczy zasięgiem, proste cięcia okazały się zabójczo skuteczne na ciałach niechronionych przez zbroje. A Zjadacze skupili się na nim i to był ich błąd. Powinni ustrzelić go z łuku.

Gdy jeden z nich zapędził się bliżej, dźgając kamiennym sztyletem, barbarzyńca przyciągnął go lewą ręką i spokojnie, spiłowanymi zębami, przegryzł mu krtań. Czarna krew cuchnęła jak ścierwo nocy, mocz diabła i ropusze mleko.

Kiliretha poczuł, że zgina się wpół. Targany torsjami stary Kret patrzył, jak przez ścisk przebijają się do Harana dowódca Zjadaczy. Miał zdobyczną, tlaszkalańską zbroję i wielkie, płonące obłędem oczy, uśmiechał się do nich z wdziękiem. Haran przyglądał mu się uważnie. Kiliretha uznał, że barbarzyńca musi być zaskoczony wyrafinowaniem jednego ze swych starych wrogów.

W Dołach *hikku'tai* byli już tylko drapieżnikami. Tylko albo aż, bo w końcu to właśnie yugalski Rój jako pierwszy odrodził się po stuleciach letargu. Obudził się, gdy pierwsi górnicy zawitali do yugalskich sztolni po cenny kopal, rozkwitł, gdy zamówienia rządowe przekonały Maczuraia, by rozbudować kopalnie.

Ten Zjadacz wyglądał jednak inaczej.

Wysoki i prosty jak trzcina, nosił hełm z przyłbicą i dziwny, starożytny pancerz. Futrzany płaszcz obszyto skalpami, krój szaty, jej kolory i kształty wydały się staremu Kretowi znajome. Mimo to w napastniku drzemało coś

zbliżonego do człowieczeństwa i Kiliretha poczuł, że z tym Zjadaczem mógłby się ułożyć, pertraktować.

I Haran go zabił.

Znów biegli, przedzierali się przez przemienioną krainę, w której – jak za dotknięciem upiornej różdżki – wyrastały wspomnienia Dołów. Haran czuł się, jakby powrócił do domu. Coś wyrывało się z jego serca, szczerząc kły. Znał to. Pamiętał. Kochał.

Kościane Lasy, w których dudniły oszalałe ze strachu, nanizane na ciernie serca. Niegasnące, płonące obłędem oczy, mrugające na szypułkach z leszczyny. Pajęczyna dziewczęcych włosów oblepiająca ci twarz. Przyroda uformowana z człowieka. Niemilknący, zakłęty płacz dziecka, które jakiś *mo'qun* przeklął i zachował dla własnej rozrywki. Rzeki kipiącej czerni. Niebios w kolorze krwi. Tak właśnie musiała wyglądać Klątwa, jakby sama obecność demonicznych przybyszów przekształcała i wypaczała świat, aż ludzie tracili rozum i wolę do walki.

Ale Haran nie dawał Druazzi zwątpić. Warcząc, grożąc i klnąc, prowadził ich górskimi ścieżkami, co jakiś czas wężąc jak wilk. Bał się, że mogą nie zdążyć. Co z tego, że na zboczach gęstnieje las. Ten sam, który pamiętał z Dołów, Las Nanizanego Człowieka. Jelita zwisają z gałęzi jak liany, ludzkie kości układają się w widmowe ruczaje. Nagie żebra tworzą burty skąpanych w czerwieni okrętów. Wiatrołomy miednic, wodorosty nasiąkłych krwią włosów.

I oczy, wciąż żywe, rozumne, błyszczące potwornym cierpieniem. Błagające ich o cios łaski.

Gdzieniedzie wciąż biją serca.

Rany rozkwitłe jak kwiaty, drżą w słońcu płatami skóry. Powietrze pachnące żywicą.

Mijają rabatki paznokci, grzędy bladych, rozłożystych uszu, falujący

brązowy łań palców.

Gdzieniegdzie widać pęknięte, opróżnione kule, skorupy ogromnych jaj. W tych miejscach smród *braazatalu* jest najsilniejszy. To wygrzebane z podziemi zarodnie, hibernatory z kopalni, z których niedawno wypełzły przebudzone po wiekach bestie.

— Co to jest? — po raz setny zapytał z niedowierzaniem Hon. — Co to w ogóle może być?

— Słyszałem o tym miejscu. Według legend panowała w nim Greisha, jedna z najpotężniejszych Królowych — wyjaśnił Kiliretha.

Haran roześmiał się cicho.

— Honie, staruszk. Całe życie miałeś to pod nosem. A raczej pod własną dupą. A myślisz, że jak jest w Dołach? Że skąd bierze się bogactwo Yugal?

Stary wojownik zadygotał, gdy powiew wiatru strząsnął na niego gęstą ulewę krwi.

— To przyszłość, Honie. Nasza przyszłość. Wystarczy, że zbudzi się więcej Królowych.

W końcu znaleźli się na szczycie długiej i ostrej grani, łączącej dwa większe szczyty. Rozpościerał się stąd widok na całą dolinę. Wypełniały ją zagrzebane w piasku budowle, rąbki murów, iglice strzaskanych wież. Ta architektura drażniła ludzkie poczucie estetyki. Miała w sobie coś niezdrowego, coś spoza ziemskich proporcji. Kopuły dachów, rozrzucone bez ładu, wyglądały jak bąbelki piany albo wrzody na ciele chorego. Wszędzie roily się drobne sylwetki Zjadaczy. Kiliretha wydobyl z sakwy długą, mosięzną lunetę i pokazał, jak regulować ostrość. Zobaczyli, że wielu *hikku'tai* zajętych było naprawą fortyfikacji, inni pracowali przy ogromnych, dymiących kuźniach.

Kiliretha zagwizdał cicho.

— Bogowie. I pomyśleć, że to tylko jedno, pograniczne gniazdo. W każdym kraju jest pewnie kilka takich. Co będzie, gdy zbudzą się wszystkie?

Haran wzruszył ramionami.

— Wkrótce się przekonamy, Krecie. Myślałem, że uciekłem z Dołów... że zostawiłem ciemność. Ale ona wypełzła na górę w ślad za mną.

* * *

Leyre szarpała się w sieci. Przypominało to jeden z tych sennych koszmarów, gdy przeszkoda, błoto lub mgła, ustępuje tylko na pozór, dodatkowo potęgując frustrację. Nie było ucieczki przed sunącą do niej istotą. Zergos opowiadał o nich, nazywając je Pajęczymi Syrenami. Dysponowały mocami, takimi jak *murgha* i inni wysokiej rangi Zjadacze, miały też inne paskudne umiejętności. Pajęcze Syreny uchodziły za śmiertelnie niebezpieczne łowczynie, ale na szczęście nie spotykano ich od czasu Klątwy.

Która najwyraźniej wróciła.

Nagle w pierś stwora z sykiem zapadła się strzała.

Na krawędzi rozpadliny stali Haran, Kiliretha i kilkunastu Druazzi, uzbrojonych w oszczepy i łuki. Na widok intruzów Syrena wybuchła straszliwym, jazgotliwym śmiechem, który szklął duszę i szorował po niej szponami. A potem pokazała im twarz.

Za jej plecami, na smukłym, gibkim ogonie, zakołysał się kolec jadowy. Ale to był jedynie dodatek, miły akcent na balowej sukni.

Pierwszy Druazzi zginął natychmiast, z głupawym uśmiechem na twarzy. Drugi cofnął się, zwiotczał i rozpromienił się. Po twarzy trzeciego popłynęły łzy, ten runął na kolana w pozie skruszonego grzesznika. Modliszka przetrąciła mu kark.

W najlepszych czasach Drzewiska sędziwi, schorowani wodzowie *murgha* odwiedzali jej leże łęgowe po to, by szczeznąć z rozkoszy w kleistych uściskach Pajęczyc. Powiadano, że śmierć od ich jadu jest słodsza niż niejedno dobre życie.

— Do tyłu! Nie patrzcie na nią! — ryknął Haran.

Istota skierowała uwagę na niego. Przymknął oczy i cisnął włócznią w zapamiętanym kierunku. Trafił. Nie dość celnie, by zabić poczwarę, lecz zranił ją wystarczająco dotkliwie, by zbudzić jej gniew. Syrena zapomniała na razie o pozostałej zwierzynie i szybko ruszyła ku niemu.

Instynktownie skierował się do wnętrza opustoszałej budowli, jakby wierzył, że ocali go panujący tam mrok. Musiała to być jakaś ukryta świątynia... może pałacyk myśliwski. Za plecami słyszał zgrzytliwy śmiech Syreny. Potem ciemności rozproszyły się i Haran spostrzegł, że demon rozjarzył się własnym, wewnętrznym blaskiem, zielonkawym odcieniem fosforu i próchna.

Znalazł się w miejscu, które kiedyś musiało być górską fortecą Zjadaczy, startą do fundamentów podczas chaosu Klątwy. Zafascynowany, chłonał dziwną, zepsutą architekturę. Te wszystkie rozległe baseny i fontanny, w których ciągle szemrała woda, sprowadzana z ośnieżonych szczytów. Te wszystkie przerdzewiałe łańcuchy, rzeźby i perwersyjne malowidła, niesamowite, purpurowe morza, powietrzne dżungle i inne obrazy z Drzewiska.

W powietrzu wciąż wibrowała atmosfera zwietrzałej rozkoszy, miejsce zostało nią przesycone. Pałac Ciała.

I dziwna, nielicująca z kamienną budowlą nietrwałość. Zwiewność. Obsceniczne zdobienia i ornamenty, plugawe, zrywające się do lotu gargulce, wypustki i macki zbierające się na kamiennych płaszczyznach jak piaskowe kopczyki na wietrze. Miał wrażenie, że kroczy przez miraż.

Za sobą słyszał nadciągającą Syrenę.

Czy w ogóle miał szansę? Jego druh Szaratanga zranił kiedyś *murgę*, ale Haran czuł, że ta jest groźniejsza. Szybsza i silniejsza, czarny klejnot w upiornej koronie Zjadaczy.

A może Szaratanga po prostu był od niego lepszy?

— Czuję twój zapach — zaśpiewała. — Niepotrzebnie uciekasz. Ty już jesteś nasz, naznaczyło cię piętno kopalu. Niepotrzebnie się wzbranasz przed prawdą. Myślisz, że dla Kruzów i innych jesteś w ogóle człowiekiem?

Haran zamarł, wsłuchany we własny urywany oddech. Kurczowo zacisnął dłonie na rękojeści miecza, jakby chciał udowodnić samemu sobie, że ciało nadal go słucha, że jeszcze do niego należy. Palce lewej ręki pulsowały upiornym gorącem, pokrywający ją szary osad mienił się błuźnierczymi wzorami. Wyglądały jak mroczne arterie, którymi nie płynie już krew, lecz spieniona trucizna.

To *braazatal*, uświadomił sobie. Syrena dosłownie nim ociekała, a jego wygłodzony, uzależniony organizm tak bardzo za nim tęsknił.

— Nie musimy ze sobą walczyć, wojowniku. Przydasz się nam. Tacy jak ty są najlepsi. Zdesperowani, szaleni i wściekli. A myślałeś, że skąd się wzięli *hikku'tai*?

— Kłamiesz! — krzyknął Haran, bezszelestnie zachodząc ją z boku. Usiłował zyskać na czasie, dając się Syrenie upajać własnym głosem.

— To twoi bracia, wojowniku. Twe upodlone rodzeństwo. Pochodzą od Białoskórych, którzy nie chcieli się poddać Kruzom i zamiast tego... oddali się w niewolę nam. A my nakarmiliśmy głodnych i... napoiiliśmy spragnionych.

Haran wyskoczył z ukrycia, zadając Syrenie potężne uderzenie znad głowy. Miecz zazgrzytał o stalaktyty sterczące ze sklepienia jaskini, krzesząc iskry. Dzięki temu Syrena zdążyła odskoczyć i sama zaatakowała

bliźniaczymi, zakrzywionymi ostrzami.

Srebrna przedza schwytała go za ramiona, zlepiała oczy i nos, wdarła się do gardła. Haran zaciskał zęby i warczał jak wściekły pies.

Walczył z zamkniętymi oczyma, instynktownie. Miał wprawę z licznymi utarczkami toczonych w ciemnościach Dołów. Ale Pajęcza Syrena to wyjątkowo niebezpieczny wróg. Nawet potężny *lepowzrok* stanowił tylko jedną z jej rozlicznych broni. Jej szpony i zęby ociekają jadem, włosy są lepkie i ruchliwe, przedza otacza i oplątuje Harana, skutecznie spowalniając jego ruchy.

Drugie złożenie, uderzenia, bloki. Trudno fechtować, gdy się prawie nie widzi wroga, a tak właśnie bije się Haran, po omacku. Syrena jest szybka i silna. Utrzymuje równowagę tam, gdzie Haran zatacza się i potyka. Jej płonący *lepowzrok* tylko czeka, żeby go usidlić. Ciemność nie jest tu żadnym atutem, Syrena jarzy się próchniczą poświatą, wabiąc ćmy i niewinne dusze. Oto gwiazdy Dołów.

Haran wie, że czasem najlepsze, co można zrobić, to umrzeć dobrze. I szybko. Atakuje z brawurą, jego miecz odcina jedną z nóg stwora. Syrena kontratakuję, zakrzywiona broń o włos mija jego aortę. Następny cios chłopak przyjmuje na ostrze. Podkreślony ruch klingi wytrąca mu ciężką broń z rąk. Haran pada, desperacko przetacza się w tył.

Śmiech potwora jest srebrzysty i delikatny.

Haran zamknął oczy. Wiedział, że choćby jedno spojrzenie na jej twarz może się okazać zabójcze. Gdzieś w mroku szemrała fontanna. Odwrócił się i pobiegł w ciemność, wabiony odgłosem wody. Srebrne dzwonki nie ucichły, Syrena ruszyła w ślad za nim.

W mroku widział tylko zarys fontanny. Przypominała ogromne chrzcielnice Białoskórych. Stała na nodze stalaktytu, wypełniała ją lodowcowa, skapująca przez stulecia woda.

Haran podbiegł i chwycił za czarę. Napiął mięśnie i odbił się, bezskutecznie. Syrena była już blisko, śmiech narastał. Tak brzmiała śmierć.

Krew w jego żyłach zapulsowała, ścięgni zapłonęły, jakby miały się zerwać. Czy to jego kości tak trzeszczą? Krzyknął i przewrócił fontannę.

Syrena rozbłysła wśród czerni. Jej twarz jak kropelka ognia.

Haran ciska w nią ciężkim głazem, celuje w rozlaną wodę z fontanny. Czarną wodę, która właśnie rozlewa się wokół jej stóp. Którą teraz wypełnia odbicie srebra.

Syrena napotyka swój wzrok, przekrzywia głowę i tak już zastyga. Po raz pierwszy przygląda się samej sobie. Z jej ust wypływają kropelki śliny, w oczach srebrzą się, zielenią grzyby. Jej ciało zaczyna puchnąć, nagle poczerniała przedza syczy, jej końce kurczą się i skręcają, dymiąc.

Haran pada na ziemię i wsuwa się pod czarę fontanny.

W ruinach rozlega się huk.

* * *

Nieopodal ruin Hon i jego żołnierze uformowali się w rozpaczliwe półkole, broniąc się zajadle przed dziesiątkami *hikku'tai*. Zawodziły piszczałki z puszczeli, dudniły bębny z czaszek. Z każdą chwilą ściągali nowi Zjadacze.

Nikt nie dawał pardonu, nikt także nie prosił o łaskę. Kiliretha patrzył na to z rozpaczą, gotowy do desperackiej ucieczki wraz z Leyre.

Nadciągali już *murgha* i *mo'qun*. Kret czuł, że jego chwile są policzone. Potem *hikku'tai* cofnęły się, zostawiając kłopotliwych intruzów swym władcom.

Zamazane, mroczne sylwetki były coraz bliżej. Wysmukli *murgha* w zasłaniających twarz maskach. Sunący pod ziemią *mo'qun*. Czerniejący posępną bryłą ogromny, samotny Planeta.

Kiedy rozległ się agonalny ryk Syreny, Zjadacze zaczęli uciekać. *Murgha* padli na kolana jak ścięte drzewa, maski zsunęły się z ich martwych, bezsilnych twarzy. *Mo'qun* desperacko próbowali zagrzebać się w ziemi.

Z rumowiska powoli wydobył się Haran. Oślepiiony jaskrawym słońcem, potrząsał grzywą zlepioną krwią. Na białej od pyłu skórze strumyki krwi żłobiły nietrwały wzór. Barbarzyńca stąpał z wyraźnym trudem, z jego oczu zionęło wyczerpanie.

Ocalali wojownicy Druazzi patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami. Chybotła się wśród nich Leyre, podtrzymywana przez Kilirethę. Stary Kret pierwszy wybuchnął śmiechem.

— Wiesz, kogo właśnie zabiłeś? Człowieku, to musiała być Greisha! Załatwiłeś pieprzoną Królową Roju! A my może nawet zdołamy stąd uciec. No, co tak stoicie, głupki? Nie wystarczy wam, że ocalił was Białoskóry? I to, kurwa, najbielszy Białoskóry na świecie?

Tym razem zaśmiali się wszyscy.

Oprócz Leyre. Nie wyglądała na przesadnie radosną. Kiliretha taktownie odwrócił się i zaczął rozglądać po ruinach, podziwiając żółto-purpurowe mozaiki i freski. Druazzi opatrywali rannych, rozmawiając przyciszonymi głosami. Leyre patrzyła na Harana wyzywająco.

— Posłuchaj. Chciałabym, żebyś coś wiedział. Ja...

— To ty posłuchaj — warknął, chwytając jej rękę. — Nie jestem Dobroczyńcą ani twoim wymarzonym kochasiem z za grobu. Jestem tym, czym jestem. Bierz mnie albo nie, Leyre.

— Więc nie kręć i wreszcie to przyznaj. Zależy ci na mnie. Nie na widmach i cudzych wspomnieniach. Na mnie — warknęła, patrząc na niego w napięciu. Haran cofnął się instynktownie o krok. — Lubisz mnie!

— No ba. Inaczej już dawno byś mnie zabiła! — sapnął. A potem ją pocałował. Mocno.

Wyrwała się, czerwona jak rozkrojona papaja.

— Ludzie patrzą. No weź.

— Jacy ludzie? Koledzy — roześmiał się Haran i pocałował ją znowu.

Poza bandą zakrwawionych, dyskretnie rechoczących barbarzyńców, starym wodzem, podstępny Kretem i niewiadomą liczbą węszących w pobliżu demonów nie było już żadnych świadków. Szaratanga miał dość rozumu i taktu, by na ten moment usunąć się w cień.

Może tam zostać, stary, pomyślał Haran. Może zrobiłeś już dość.

* * *

Po powrocie do obozu Druazzi, choć brudni i ledwo żywi, zrobili naradę wojenną. Leyre, Haran i Hon w skupieniu słuchali Kilirethy, który wyjawiał im wszystko, o czym wspominały najtajniejsze archiwa Zakonu. No, prawie wszystko.

Opowiadał o Klątwie, o wymieraniu Dobroczyńców, o oblężeniu Tlaskali. O czasie choroby i głodu. O rozpaczliwym przymierzu, tak zwanym Sojuszu Wrogów, kiedy hordy *hikku'tai* zagroziły wytępieniem ludzkości. O gwałtownym wymieraniu Zjadaczy, dla których adaptacja do ziemskiej atmosfery i klimatu okazała się na dłuższą metę zbyt trudna. O zbudowaniu przez Tlaskalan Labiryntu, za pomocą broni Dobroczyńców i oswojonego Planety. O wijących się głęboko w ciemności korzeniach, zapomnianych załączkach ich świata.

— Królowe Rojów czekały w swoich sarkofagach z kopalni na dzień, w którym jedna z nich wystarczająco się przeistoczy — mruknęła Leyre.

— Adaptacja. Przybysze z Drzewiska są plastyczni. — Kiliretha pokiwał głową. — Z tego, co podejrzewamy, po setkach lat u uśpionej Królowej z Yugal wykształciła się zdolność wydzielania specjalnej, nowej żywicy, być może przy udziale istot nazywanych *mo'qun*. A potem wykorzystwała

zapotrzebowanie na kopal, skamieniałą żywicę, z której kapłani Kruzów sporządzali kadzidła i leki. Rynek na *braazatal* już istniał. W jaki sposób działa? Przede wszystkim chroni i wzmacnia Zjadaczy. Przewycięża zgubny wpływ ziemskiego środowiska. A teraz okazuje się, że kopal może leczyć i wskrzeszać inne Królowe. Wyobraźcie to sobie. Dziesiątki i setki na poły wymarłych hord, uśpionych w ruinach i jamach... Wtedy Królowa z Yugal stanęła przed wyzwaniem. Jak zalać *braazatalem* świat? Jak sprawić, by dotarł nawet tam, gdzie jeszcze nie sięga potęga Kruzów?

— Wojna — skwitował Haran.

— Wielka wojna i cudowna broń. Stara śpiewka — ponuro dodała Leyre.

Jakoś tak wyszło, że wszyscy w końcu rozeszli się, a Haran i Leyre zostali sami. Jakoś tak wyszło, że w jej kwaterze był jeszcze antałek *pulque*. Jakoś tak wyszło, że oboje byli bardzo spragnieni.

— Nadal chcesz, żebym ukryła się w Tikal? — spytała Leyre, spoglądając spod zmrużonych powiek.

Haran oblizwał wargi. Na ustach wciąż czuł smak pyłu. To był męczący dzień.

— Nie ma mowy — wychrypiał. — Tam na pewno nie będziesz bezpieczna.

— Może zdołam to jeszcze przemyśleć. Stanę się posłuszna, i w ogóle. Oczywiście, najpierw musisz ściągnąć mi buty.

Zrobił to, o co prosiła. Jej eleganckie sandałki były już tylko znośnym wspomnieniem. Za to owijacze z węzowej skóry, którymi ją obdarował, zdejmowało się znacznie trudniej.

Haran rozpoznawał ten nastrój.

Słodkie napięcie, gdy już wiecie, że na pewno traficie do łóżka, choćby to łóżko było ostatnim wyrkiem na świecie. Choćby została wam tylko podłoga. Dziwne, że bohaterowie plemiennych pieśni Druazzi nigdy nie

podlizywali się kobietom. Haran podrapał się po głowie i wyszczerzył zęby. Lubił się podlizywać.

Leyre zaczęła rozpinać suknię.

Gdy zobaczył ją nagą, wszelkie postanowienia, obietnice i heroiczne decyzje zachwiały się i spojrzały na niego pytająco. To było niesprawiedliwe. Tyle słów wypowiedział, tyle w nim było stanowczości. Tyle skrupułów, tyle powodów, by odejść. Że dziewczyna przyjaciela, że honor, obowiązek do śmierci i grobu.

Został.

Jej ciało było jednocześnie znajome i nowe. Widział je po raz pierwszy, ale wiedział, jak je dotykać. Całował niewielkie, wzniesione piersi i gładki, rozkosznie sklepiony brzuch. Ona zaś odwzajemniała pieśszoty.

Tak, to byłoby bardzo miłe i właśnie tak Haran wyobrażał sobie ich pierwszą miłosną noc. Rzeczywistość przewidziała jednak dla nich coś innego.

Przede wszystkim, w obozie brakowało wody. Oboje byli niemiłosiernie poharatani i brudni, pokryci pyłem, potem i zaschniętą krwią. Ich wargi piekły, a ciała podczas pieśszot krzeszały iskry protestu. Jego po walce z Greishą pokrywał w dodatku wydzielony przez konającą istotę *braazatal*.

Dosiadła go okrakiem, przeginając się w tył. Jęknęli chrapliwie. *Braazatal* rozpalał i obnażał, odzierał ich ciała i dusze z ostatnich barier ochronnych. Każdy skrawek skóry stał się obszarem rozkoszy. Leyre czuła, że mogłaby szczytować, jedynie mrużąc powieki.

Ich ciała zaczęły się zmieniać, błyskając tęczowymi łuskami i gładkim, nieziemskim pierzem. Haran krzyknął, gdy dłonie, którymi muskał jej piersi, zajęły się chłodnym płomieniem. Jego rozkosz rezonowała z jej doznaniem, potęgując się. Igrali ze sobą, jak nakręcające się nawzajem lustrzane odbicia, zgłodniałe i wyuzdane. Wpił usta w jej głodne wargi i poczuł, jak język

Leyre zespala się z tym, który chyba – miał nadzieję – należał do niego. Uwolnił się i ruszył z pocałunkami niżej. Nie wiedział już, co się z nim dzieje.

Leyre zaśmiała się, a z jej oczu wyrosły kwiaty. Pociągnęła Harana na siebie. Wyglądał jak lew w aureoli płomieni, po brodzie płynął mu spieniony sok.

Ramionami rozchylił jej nogi i pchnął dziko, żeby tylko przedostać się głębiej. Nie miał pojęcia, że kobieta i mężczyzna mogą tak bardzo do siebie pasować. Objęła go ciasno, niczym warstwa oleju na skórze. Poruszał się w niej coraz szybciej, ich ciała zatraciły się w gęstym, zachłannym rytmie. Leyre krzyczała głosem kobiety, wilczycy, jaszczurki, kamienia i drzewa.

Kołysała ich wydzielina Zjadaczy, afrodyzjak, kadzidło i broń. Pozaświatowy koks z gwiazd. Żywica lepiła się na ich skórze, pulsowała w ich rozpalonych wnętrzach, przelewała się, potęgując spalającą ich rozkosz. Może nie był to boski seks, lecz demoniczny na pewno. Duchy syren, bożków z uroczysk i przodków dopingowały ich, przepijając do nich kościanym pucharem krwi.

Haran zadygotał. Kobieta pod nim zmieniała się, znacząc mu plecy szponami gadów i pradawnych bestii. Ostatkiem świadomości dostrzegł rumieniec na jej policzkach, wilgoć ust i czujne, tryumfalne spojrzenie. Ktoś obserwował go bacznie zza zasłony rzęs.

Podobno większość mężczyzn po stosunku od razu zasypia. Tu Haran też był odmieńcem. Choć zmordowany pościgiem, ucieczką i walką, czuł się, jakby lewitował, nie poddając się ciepłym odmętom rozkoszy. I nie chodziło o to, że bolały go liczne rany, z których nadal sączyła się krew. Ani o to, że wciąż słyszał ostatni krzyk Greishy i widział, jak srebrna nić czernieje i zwija się, gasnąc w jej przedwiecznych, złotych oczach o barwie kopalni.

To był nawyk, silniejszy od niego. Seks seksem, walka walką, ale

w Dołach liczyło się jedno. Zasypiało się tylko w wyniku świadomej decyzji, kiedy czujki zostały trzy razy sprawdzone. Blask pokazał mu kiedyś obozowisko górników, którzy nie wystawili wart. Zjadacze pożarli ich żywcem. Dwaj oddychali jeszcze, pełzając na smętnych kikutach, gdy znalazła ich jego ekipa. To była pamiętna lekcja.

Teraz też leżał czujnie na macie obok wtulonej weń Leyre, czekając, aż pozwoli sobie usnąć. Obawiał się, że znowu nawiedzi go Szar, żeby smęcić i wpatrywać się smutnymi oczami psa. Na szczęście jego przyjaciel na tę noc wolał pozostać w grobie. Zamiast niego w sercu Harana przebudziła się martwa, piekielnie zazdrosna kobieta.

Uśmiechnął się niewesoło. Znowu miał obok siebie Citlali, nieokrzesałą, zdziczałą w ogromnym pałacu, rojącą sobie, że jest zapomnianą księżniczką tajemniczego i możnego plemienia Osanków, podczas gdy jej maniery, gesty i tembr głosu kojarzyły się z kuchnią, a o Osankach słyszała tylko ona i jej lubiąca bajanie matka. Lepiej uważać, jakim kłamstwem usypia się dzieci.

Citlali nie wyglądała królewsko. Czasami chrapała, wierciła się i często przywierała do niego w nocy, oblepiając jego lędźwie nagim, wilgotnym od ich soków udem. Czasami naprawdę było im dobrze.

Lubiła wybuchnąć dobrodusznym, pogodnym śmiechem, a kiedy się gniewała, jej oczy krzesały iskry jak w kuźni. Zdarzało jej się krzyknąć z radości, ale i zdzielić go pięścią w plecy. Za to w łóżku nie było w niej nic z wystudiowania i pozy, raczej zaskakująca delikatność, kruchość. A przecież szpiegowska robota Citlali polegała na mizdrzeniu się i uwodzeniu, wdziwaniu fałszywych masek i póz. Może dlatego te drobiny własnego życia, jakie zdołała ocalić, przeżywała z radosną szczerością dziecka.

Czy dlatego przestałem ją kochać?

Citlali nie grała i nie studiowała, przynajmniej dopóki nie przerobiło ją Tysiąc Oczu. Na jej widok nie zamierało mu serce. Być może nie zamierało

nikomu.

Czy to przez to, że jej śmiech nie przypominał dzwoneczków, a z perlnością łączyła go tylko biel zębów? Miłość nie zna sprawiedliwości.

Druazzi mieli nawet takie powiedzenie. „Czy serce mężczyzny jest z wosku, skoro drobiazgi i gesty potrafią je ciąć tak głęboko?”.

Rozdział 30

*Lepiej zginąć i użyźnić ziemię,
niż stać się człowiekiem przydatnym dla głupców.*

Mędrzec Szkotlin,
zwany też Leniwym Psem

Rudery Dzielnicy Leśnej przystroili się na powrót swych obszarpanych rycerzy. Leśny Kontyngent od dawna nie wojował w takiej liczbie, a do miasta dotarły już wieści, że Druazzi odznaczyli się w starciach. Z uliczek zniknęli pijacy, bezpańskie psy i oswojone świnie, a z opuszczonych, odciętych od świata zaułków wywieziono sterty odpadków i gnoju, co nie zdarzyło się jeszcze za życia większości mieszkańców.

Prysnęła atmosfera smutku, która była udziałem Druazzi od czasu, gdy zaraza unicestwiła ich lasy, a oni osiedlili się na wytyczonym z łaski Kruzów terytorium. Kobiety, dzieci i starcy wymachiwali flagami, palemkami i buńczukami. Tak radosnego nastroju dzielnica nie pamiętała od dnia śmierci poprzedniego *tlatoaniego*. Druazzi zawsze hucznie świętowali zgon królów, wychodząc z założenia, że to najlepsze, co może uczynić władca dla poddanych.

Maczurai podzielił zwycięską armię na dwie części i do Yugal Kruzowie i Druazzi dotarli osobno. Inaczej też byli traktowani. Najwyraźniej doradcy wyperswadowali mu wpuszczanie brudnych barbarzyńców za mury Dzielnicy Wewnętrznej. Przelewanie krwi to jedno, ale *pulque* niech każdy

polewa u siebie. Ukłonem w stronę Druazzi było częstowanie biedaków jedzeniem: plackami kukurydzianymi, jajkami, pomidorami, a nawet pieczonym ptactwem. Maczurai nie żałował grosza, nawet stare, pękate wieże zostały przemalowane w wesołe, błękitno-czerwone barwy. Kiedy wyciągnął szyję, Haran widział szkarłatne proporce, łopocące na wzgórzu świątynnym.

Płasko ucięty kopiec roił się jak przydeptane mrowisko. Kruzowie grali na bębenkach, piszczałkach i konchach. Na zblakłym niebie nad miastem wybuchały fajerwerki z *braazatalu*, najnowszy krzyk mody na ziemiach Przymierza.

Ciekawe, czy w Dołach rozdają teraz słodczyce.

Atmosferę festynu psuła nieco widoczna na południe od miasta budowa. Kamieniarze i cieśle stawiali domy dla robotników, sprowadzonych przez króla do pracy w jego bezcennych kopalniach. Skoro Druazzi wzgardzili jego ofertą, Quinatzin postanowił osiedlić w Yugal nowych przybyszów. Do tego czasu łapczywa, nienasycona gardziel Dołów wchłaniała tysiące tlaszkalańskich jeńców, wszystkich, których nie zarżnięto na kamiennych ołtarzach stolicy.

* * *

A w Dołach umierało się jak dawniej. Wieczna ciemność i wieczny smród, lęk niczym mulisty piach w ustach i śmierć, materializująca się w mroku, nagły krzyk szarżujących Zjadaczy i obłęd w oczach ich zamaskowanych władców, to wszystko pozostało po staremu. Mimo to nawet tu, do najgłębszej otchłani piekieł, zawitała zmiana. Jeńcy. Setki, a potem tysiące. Kopalnie, rozległe już w czasach przodków Maczuraia i pogłębione mrówczym wysiłkiem armii niewolników, ledwo wchłonęły taką rzeszę. Zjadaczom aż puchły brzuszyska, a stare, chytne gromady skazańców, takie jak banda Blaska, pod naporem przybyszów traciły terytorium i kryły się,

nasłuchując i węsząc w ciemnościach.

Nowi przybywali całymi oddziałami. Tłaskalnie byli liczni i karni, przenieśli do kopalń wojskowe struktury z powierzchni. Założyli tajną organizację, którą nazwali Państwem Podziemnym, odtwarzając organizację kompanii, batalionów i pułków. Starzy skazańcy byli wobec nich bezsilni, aż do momentu, w którym uświadomili sobie, że znają arenę walk jak własną kieszeń i tym razem to oni mają do dyspozycji labirynt. Podziemia spływały krwią i rozbrzmiały krzykami walczących, a wszystko obserwowały ślepie Zjadaczy i gorszych jeszcze stworów.

Walki ustały, gdy do podziemi zawitało pragnienie i głód; Maczurai nie miał w zwyczaju żywić darmozjadów. Lecz gdy tylko ustaliły się łowiska i strefy wpływów, wrogie hordy podjęły zmagania, biorąc przykład z uporządkowanego świata termitów i mrówek. Szeregowi robotnicy pozyskiwali *braazatal*, ochraniani przez wojowników. W ten sposób obie ludzkie armie zapewniły sobie stałe dostawy jedzenia i wody z góry. Ci, którzy jeszcze mieli wątpliwości, że Doły są piekłem dla żywych, stracili je ostatecznie.

Nadchodziła nowa epoka.

* * *

Tennok był bardzo zajęty. Praca głównego nadzorcy całkowicie go angażowała, nie zostawiając miejsca na cokolwiek innego. Po pierwszym szoku zubożniał i, jakby to powiedział Maczurai, „zmężniał”. Oznaczało to, że los swoich podwładnych miał za nic, nie wspominając już o ludzkiej mierzwie, która harowała w Dołach. Zmęczenie dobrze usprawiedliwia obojętność.

Nie odwiedzał już prawie puciołowatej Salanthe, a podczas nielicznych spotkań jego męskość nie wykazywała dawnego zapału. Jadł za to coraz

więcej i wyraźniej się zaokrąglił, nabierając dostojnego, choć niezbyt zdrowego wyglądu mężczyzny o dekadę starszego.

Każdego dnia Quinatzin podsuwał mu nowe problemy, oczekując błyskotliwych rozwiązań. To wszystko wymagało wysiłku, spokoju i koncentracji. Dlatego podróżując przez miasto w lektyce, dźwiganej przez ośmiu krzepkich tragarzy, zasunął firanki i pogrążył się w rozmyśleniach, ignorując uliczny gwar. Ocknął się z zamyślenia, gdy lektyka stanęła.

Tennok wysunął głowę na zewnątrz i spostrzegł grupkę obdartych Druazzi w podniszczonym wojskowym rynsztunku, którzy tarasowali uliczkę, a teraz wyjątkowo leniwie i opieszale ustępowali mu drogi.

Wpatrywali się w niego bezczelnie. Wysoki, pokryty rytualnymi szramami wojownik w wytartym, jutowym płaszczu, z wystrzyżoną czupryną weterana, rzucił jakąś uwagę i z pogardą strzyknął plwociną w uliczny pył. Koledzy odpowiedzieli rechotem.

Książę poczuł narastającą złość. Ten łajdak ośmielił się nazwać go okupantem. Ci barbarzyńcy mieli obowiązek pokłonić się przed kruzańskim szlachcicem, ale zdawali się o tym zapominać. Po chwili pomyślał jednak, że nie warto tracić na takich łachmytów energii. Gdy obwiesie niechętnie zwolnili przejście, lektyka ruszyła. Tennok zasepił się, wspominając obawy Maczuraia dotyczące nastrojów yugalskich Druazzi. Podobno napływający do miasta Kruzowie i inni przybysze odbierali im pracę, choć zdaniem księcia Druazzi nigdy nie potrafili uczciwie pracować.

Od czasu powrotu Leśnego Kontyngentu na ulicach Yugal widywało się szczególnie wielu próżniaków, a wśród pospólstwa szerzyły się buntownicze nastroje. Druazzi zawsze tak mieli, a teraz, wróciwszy z wojen, dodatkowo zhardzieli i strasznie zeszywniały im karki. Tylko głupiec nie spostrzegłby, że w mieście szykował się tumult.

Lektyka znowu stanęła.

Rozdrażniony Tennok wyjrzał na zewnątrz i spostrzegł, że pojazd zatrzymał wysoki, zgarbiony mężczyzna w powłóczystej, zasłaniającej twarz jaskrawożółtej szacie. Takie stroje nosili Gmutaczi, chorujący na szarą chorobę, która – jak Tennoka straszono od dziecka – przenosiła się z miejskiej biedoty na ludzi.

— Przepędzić mi go, ale już! — wrzasnął na swoich pachółków.

Dwóch rosyłych strażników z pałkami niechętnie ruszyło w stronę żebraka. Potem wszystko rozegrało się bardzo szybko. Strażnicy zwijali się na ziemi, a zamaskowany żebrak zaciskał lewą dłoń na krawędzi jego lektyki. Księżę już miał zagwizdać po posiłki, gdy nagle jego wzrok natrafił na palce żebraka. Poskręcane jak udręczone korzenie, pokryte dziwnym, kamiennym osadem.

Komenda uwięzła Tennokowi w gardle.

— Musimy pogadać — szepnął żebrak.

Księżę zdecydował się szybko. Zatrzymał strażników, którzy spieszyli na pomoc powalonym kolegom.

— Odstąpcie! Nie wiecie, co to miłosierdzie?

Cofnęli się niechętnie. Tennok nie mógł zaprosić go do środka, bo wtedy niechybnie zaczęto by plotkować, że i on choruje. Ale mógł udzielić potrzebującemu pociechy i jałmużny. Wyskoczył z lektyki i stanął obok żebraka.

— Dobrze cię widzieć, Tennoku. Mam ważne wieści — szepnął Haran.

— Przyjdź do domu kupca Yory w Dzielnicy Leśnej. Tam możemy spokojnie pogadać.

* * *

Do spotkania w urządzonej z fatalnym smakiem siedzibie kupca doszło jeszcze tego samego wieczoru. Tennoka do tego stopnia zżerała ciekawość,

że zignorował paskudne wnętrza, tandetne podróbki szlachetnych piór, cuchnące, źle dobrane kadzidła i nieumiejętnie przyrządzoną czekoladę. Tudzież fatalne maniere gospodarza, który zachowywał się groteskowo. Typowy nuworysz. Oczywiście, księżę przybył tu incognito, ale miał podejrzenie, że Yora go rozpoznał, a i on sam widział już kiedyś ambitnego handlarza na dworze Turkusowej Włóczni.

Tennok słyszał o niesławnych dokonaniach swojego dawnego *ursa* i nagrodzie, jaką Quinatzin wyznaczył za jego głowę. I chyba trochę pochlebiało mu, że najbardziej poszukiwany przestępca w Odrodzonym Przymierzu mu ufa. On sam darzył siebie znacznie mniejszym szacunkiem.

Od pierwszej chwili uderzyło go, jak bardzo barbarzyńca się zmienił. Nie chodziło tylko o to, że schudł, a jego rysy wyostrzyły się i nabrały wyrazu udręki. Haran zawsze wyglądał paskudnie, jednak teraz było jeszcze gorzej. Długie, wilgotne od potu włosy lepiły mu się do twarzy, nadając jej niezdrowy, malaryczny wygląd. Nieokiełznana gwałtowność ruchów sprawiała, że księciu zjeżyły się włosy na karku.

Lewa dłoń Harana, ta, która zawsze budziła niepokój, żyła teraz własnym, krnąbrnym i nerwowym życiem i wydała się Tennokowi niepokojąco głodna. Zastanawiał się, kiedy zaciśnie się na najbliższym bezbronny gardle, i coraz bardziej się bał. Ten lęk miał w sobie coś pierwotnego i zabobonnego, coś, co w dawnych czasach pozwalało myśliwym odróżnić zwierzynę łowną od mrocznej, śmiertelnej zguby. Tennok nigdy nie był szczególnie pobożny, ale na widok dawnego *ursa* nagle zapragnął uzyskać od solidnych, godnych zaufania kapłanów zapewnienie o boskiej opiece.

Jeżeli przedtem Haran sprawiał wrażenie człowieka oszalałego, pogruchotanego koszmarem, to teraz przypominał okaleczone zwierzę. I to takie, które nie należy do ziemskiej fauny.

Wojownik opowiedział mu o wielkim spisku Zjadaczy, po czym wyłożył swój plan na obalenie *tlatoaniego*, który też brzmiał jak bełkot szaleńca. Książę oczywiście go wyśmiał. Haran zdaje się zapominać, że on, Tennok, jest mężczyzną, szlachcicem i Kruzem. Nie zdradzi swojego króla, i to teraz, gdy Quinatzin na niego liczy, a od jego uznania zależy przyszłość rodu Turkusowej Włóczni.

Haran przerwał te przechwałki znużonym głosem:

— Właśnie taka jest jego taktyka. Sprawia, że ludzie czują się ważni. Spójrz lepiej, do czego nas doprowadził. Przebudzeni Zjadacze, narastająca tyrania.

Tennok milczał. Ostatnio miał mnóstwo zajęć, a ludzie prawdziwie zajęci nigdy nie roztrząsają, czy ich działanie ma sens.

— Tamta zaszyfrowana kronika, którą dla ciebie tłumaczyłem... pamiętasz ją jeszcze? — zagadnął Haran.

Książę sztywno skinął głową. Odkąd poważnie pracował, poważnie bolała go szyja.

— No i? — W jego głosie zadźwięczała irytacja.

— Traktowała o początkach Kruzów. Nie chciałem ci tego wyjawić, bo wtedy za dużo gadałeś. Otóż Aztekowie zatrudnili Kruzów jako najemników. Zaciężnych barbarzyńców. Potem, gdy zarówno Białoskórzy, jak i Zjadacze zaczęli chorować, Kruzowie skorzystali z okazji.

— To rzeczy powszechnie znane — oświadczył książę z wyższością.

— Nikt nie ukrywa, że moi przodkowie osiedlili się na terenach opuszczonych po najazdach Białoskórych i Kłątwie.

Haran roześmiał się wzgardliwie.

— Opuszczone dopiero się stały. Po tym, jak przedsiębiorczy Kruzowie wybili tych, którym pierwiej przysięgli pomagać. A że Aztekowie ponieśli już wcześniej ogromne straty, to mężczyzn prawie nie było. Więc przeważnie

chodziło o zabijanie bezbronnych kobiet, dzieci i starców. Oczywiście, poza tymi, którzy trafili w niewolę.

Tennok milczał. Pomyślał o tradycyjnych kruzańskich cnotach i stwierdził, że mimo sprzeciwu, jaki w nim budziła, ta opowieść jest wielce prawdopodobna. Haran mówił dalej świszczącym, rwącym się głosem:

— Twoi przodkowie zbudowali imperium na zdradzie, zabijając tysiące niewinnych. „Wyjęli berło Przymierza z trupich palców króla”. Patrz, jednak zapadło mi w pamięć... Ówczesny wódz Kruzów, Hagoszkatl, podobno zapytał: czemu mam dzielić się tym, co mogę po prostu zagarnąć?

— I co z tego? — przerwał mu rozzłoszczony Tennok. — To tylko historia. Ta dziwka zawsze jest brudna. — Księżę już spokojniej wzruszył wąskimi ramionami.

Haran pokręcił głową.

— Należysz do rasy wielkich grzeszników... podobnie zresztą jak ja. To dług. Masz teraz okazję go spłacić.

Tennok sięgnął po fajkę. Palił w skupieniu, patrząc na Harana uważnie.

— Chyba masz mnie za szlachetnego człowieka. To ryzykowna pomyłka, *ursie*. Skąd wiesz, że dla zysku nie wydam cię *tlatoaniemu*?

Haran uśmiechnął się, błyskając resztkami spiłowanych zębów.

— Może znam ciebie lepiej niż ty sam siebie, Tennoku.

* * *

Kilka dni później w Tennoku znów odezwały się wątpliwości. Po części wywołało je spotkanie z Haranem, ale niektóre wątki kiełkowały w jego umyśle już wcześniej, uśpione codzienną krzątaniną. Teraz dorwały się wreszcie do głosu.

Opowieść barbarzyńcy trzymała się kupy i to martwiło go najbardziej. Na własne oczy widział Zjadaczy pomagających Quinatzinowi w kampanii.

Więc może te stwory nie były tak ciemne i dzikie, jak wszyscy optymistycznie sądzili. Ale przypomniał sobie też inne, bardziej niepokojące rzeczy.

Chociażby tego dziwaka Alvaratla. Kilka dni temu, gdy Tennoka męczyła bezsenność, wyszedł pospacerować po wewnętrznym podwórku, blisko wind. To tam spostrzegł królewskiego doradcę. Przechadzał się po pustym dziedzińcu przy zejściu do kopalń, a sandały miał uwalane wilgotnym od smaru piachem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że od dwóch dni nie dotarła do nich żadna nowa dostawa. Czyżby tajemniczy Alvaratl, twórca *braazatalowych* strzelb, swobodnie wędrował po Dołach?

Księżę zawsze czuł się nieswojo w obecności tego śliskiego, opanowanego człowieka, w którym uderzały go dyskretne poczucie wyższości i subtelny zapaszek pogardy.

Ale nie to było zdaniem Tennoka najgorsze. Niezależnie od tego, za czym działał podszeptem, *tlatoani* w ciągu kilku lat całkowicie odmienił Przymierze. Doły to tylko przykład, inna rzecz, że najbardziej wymowny. Księżę zrozumiał, że w tej paskudnej pigułce zawierała się przyszłość znanego mu świata. Czuł, że jest świadkiem czegoś niezwykle ważnego. Czegoś, do czego Quinatzin wciąż wracał, gdy podczas uczt zbierało mu się na budujące przemowy.

Postęp.

Rozważmy go na przykładzie kopalnianej windy, którą Tennok nieopatrznie dopomógł usprawnić.

Ludzi zastąpiły zdobyte w Tlaskali konie, co pozwoliło na wyciąganie większych ilości skały i piachu. Oczywiście, pretekstem i obietnicą było złagodzenie wiecznego ludzkiego znoju, który dręczył pracujących przy windzie niewolników. Jednak suma wysiłku się zwiększyła i nikt nie doznał odczuwalnej ulgi. Kopal wydobywano szybciej, ale i szybciej trzeba go było

poddać wstępnej obróbce. Na innym odcinku ryjący skały kopacze musieli pracować ciężiej, by nadążyć za zmianą tempa. Bo wszystko jest połączone i wszystko wciąż musi rosnać, zwiększać prędkość i wydajność.

Quinatzin wciąż poszukiwał usprawnień, coraz śmielej zrywając ze starymi, kapłańskimi tabu. Ale kto na tym naprawdę korzystał? Skoro wszystko szło ku dobremu, to dlaczego każdemu człowiekowi z osobna żyło się coraz gorzej?

Dlaczego mieszkańcy Przymierza musieli więcej i więcej pracować? Dokąd trafiała zaoszczędzona na usprawnieniach nadwyżka czasu i sił? Te kwestie dręczyły Tennoka bardziej niż baśniowa groza Zjadaczy. Zdołają być może pokonać demony, jednak wprowadzone przez Quinatzina zmiany mogą się okazać trwałe.

W końcu książę doszedł do wniosku, że woli krwawą harmonię pokonanych przez króla kapłanów, z ich odwiecznym cyklem zbiorów, ofiary i wojny. Świat zatopiony w żywicy, skazany na wieczną stagnację, lecz z szansą na równowagę, którą nieuchronnie uniemożliwiał postęp. Kapłani dążyli do czysto religijnego ideału, który można było nazwać urojeniem, jednak książę wolał szlachetne urojenia od obsesyjnej, zachłannej chciwości. Szurukan też był okrutny, lecz przynajmniej mniej zaślepiiony niż król. Uwzględniał w swoich rachubach coś poza własnymi obsesjami, pamiętał o moralności, przyrodzie i świecie.

Celem postępu zaś był tylko sam postęp.

Zrozumiawszy to, Tennok wparował do gabinetu Maczuraia i oświadczył, że rezygnuje. Ojciec zabębnił palcami o stół i poprawił się na plecionym fotelu. Wstydliva rana nadal dawała mu się we znaki. Wzruszył potężnymi ramionami i podsunął synowi kartkę.

Książę wpatrywał się w nią, zdziwiony.

Znajdowały się na niej imiona. Salanthe, ponętna i czuła służka, którą

książę w chwilach melancholii odwiedzał. Gabosha, jego gderliwa, ale oddana piastunka. Klekotlin, nauczyciel pisania, który dostarczał Tennokowi pierwsze książki.

— Wiesz, co to jest? — zapytał ojciec cicho.

Tennok pokręcił głową.

— To gwarancja twojego rozsądku. Nie traktuj tego jak szantaż. W tej chwili przyszłość klanu zależy od twoich sukcesów. — Maczurai posłał mu ciężkie spojrzenie.

— Przeceniasz mnie, ojcze. — Tennok posłyszał we własnym głosie chłód, który go zaskoczył. Dobrze. Nie może okazać Maczuraiowi słabości, pozwolić mu zwietrzyć krew.

— Takie nastały czasy, że zniewieściały tchórz znaczy więcej w oczach innego tchórza niż porządny i honorowy wojownik. Ty i Quinatzin powstaście z jednego błota — zamruczał i potarł krater swojego nosa.

Tennok zadrżał. Jeszcze nigdy nienawiść ojca nie uderzyła go z taką namacalnością. Zrozumiał.

On udawał.

Jeżeli kiedykolwiek okazał ci choć cień, namiastkę litości, udawał. Przyjrzyj mu się uważnie, bo widzisz teraz jego prawdziwe oblicze.

— Wszystko zależy od ciebie. Jeżeli zwiększysz wydobycie, Quinatzin zostawi nas w spokoju. Jeżeli pokpisz sprawę... wtedy zapłacą niewinni. Módl się, by ci się udało. — Maczurai zmiął i podpalił kartkę, po czym cisnął ją do kamiennej misy ofiarnej, jakby słał bogom intencję.

Tennok zacisnął wargi i też posłał bogom mordercze życzenie.

Właśnie do niego dotarło, że niewinni płacą we wszystkich przypadkach.

* * *

Pod koniec męczącego dnia Quinatzin, pokrzepiwszy się winem

i proszkiem z inkaskich listków, rozebrał się i ruszył do łaźni. Yugalscy Kruzowie mogli być skundlonymi parweniuszami zmieszanyimi z Zapotekami i Misztekami, ale potrafili budować. Oczywiście jeżeli człowiek już przyzwyczał się do niepokojących, krętych korytarzy. Ohyda. Jakby zostały zbudowane z myślą o kolonii żmij. Quinatzin niekiedy myślał, że to wpływ Dołów i ich nieludzkich mieszkańców promieniuje na rządzące rodziny Yugal, wypaczając je i degenerując.

Ale łaźnie mieli pierwsza klasa.

Okna błękitno-czerwonej, zdobionej lubieżnymi freskami komnaty wychodziły na górskie zbocze, dając ładny widok na rozległe dorzecze Mys. Woda była naturalnie ciepła, zasilana przez gorące źródła. Zdecydowanie lepsza łaźnia niż ta, którą dysponował w stolicy.

Quinatzin dowiedział się od Tysiāca Oczu, że władca Turkusowej Włóczni zaopatrzył się w te luksusy niedawno, wzbogaciwszy się na handlu *braazatalem*. Król zapamiętał to sobie jako kolejny powód, dla którego ród panujący w Yugal musi zostać zlikwidowany. W swoim czasie. *Braazatal* był jego priorytetem, nie mógł się doczekać dnia, gdy wystawi nowe, przenośne armaty w kampanii przeciwko Taraskom.

Tikal wydawało się spacyfikowane, ale zamierzał co roku przykręcać im śrubę. Wciąż podejrzewał, że sprytni kupcykowie oddają mu za ledwie promil swojego bogactwa. Oczywiście w dalszych planach czekają na niego Inka... chyba że zdecyduje się skierować ekspansję na północ.

Zanurzył się aż po nos, obmyślając i kalkulując.

Dopiero cichy plusk uświadomił mu, że do basenu wślizgnęła się śliczna dziewczyna w skąpej, uwodzicielskiej szacie utkanej ze szkarłatnych piór. Zsunęła ją wdzięcznym, bezwstydnym ruchem. Quinatzin uniósł brwi i uśmiechnął się zachęcająco. Jeżeli tak ma wyglądać korumpowanie władzy, to nie miał nic przeciwko.

Dziewczyna zbliżyła się i *tlatoani* skorygował swoją ocenę. Była mocno zbudowana i coś dziwnego w jej ruchach, w sposobie poruszania się nie kojarzyło mu się wcale z alkową. I jeszcze ta linia szczęki i bolesne napięcie przy twardo ściśniętych ustach. Król sięgnął po sznur wzywający ochronę i służbę, ale nieznajoma była szybsza. Złapała go za dłoń.

— Wsuń mi rękę pod przepaskę. Czujesz?

Instynktownie objął od dołu jej krocze, które ufnie wtuliło się w jego dłoń. Była gorąca i chętna, ale jej oczy pozostały zimne.

— Czujesz?

Kurwa, co ona tam sobie schowała...

Podłużny i twardy kształt na pewno nie był tym, co chciałoby się wymacać w tym miejscu. Usiłował się odsunąć, ale jej uda i zaplecione na jego szyi ramiona trzymały go mocno. Pachniała migdałami i pestkami jabłek. Jej wargi dotknęły jego ucha, a palce musnęły wargi. I to właśnie palce przemówiły, dając Quinatzinowi znaki w migowym, sekretnym języku Kruzów, którego nauczano każde dziecko z dobrego rodu. I którego – jak zawsze mniemał – nie mógł znać żaden obcy.

To nóż. Schowaj go. Ostrożnie. Przyda się.

— Co tu się...

I znowu uchwyt, pocałunek, szyfr:

Nie krzycz. Pomoc nie nadejdzie, twoi ochroniarze nie żyją. Za drzwiami jest wyszkolona zabójczyni. Obserwuj nas.

— Co teraz? — zakwilił król rozpaczliwie.

Nic. Udawaj, że dobrze się bawisz.

Nie było to łatwe. Quinatzin słyszał o ludziach, którym strach dodaje w tych sprawach animuszu. O ludziach, którzy lubią się wieszać i podtapiać. Dają się kęsać owadom i spowiednikom, uwielbiają się nacinać, szczypać i polewać roztopionym woskiem. Kruzowie w ogóle cenili ból, choć

najgorsze i najbardziej zaszczytne zranienia rezerwowali dla *ursów*.

Osobiście miał w tej materii zwykłe, prostoduszne wręcz oczekiwania.

Krew i przemoc kojarzyły mu się z robotą, dworską pompą, bez której nie można było panować. Ukuł nawet na własny użytek termin: „mordy reprezentacyjne”. Środki, a nie cel. Nie wierzył w ukryte motywy, które jakoby kierują ludźmi. Taka teoria jest dobra dla tchórzy, pozwala im zrzucić odpowiedzialność. Dlatego nigdy nie rozumiał perwersji, a połączenie seksu i przemocy wydawało mu się po prostu dziwaczne.

Plecione drzwiczki rozchyliły się i do łaźni wsunęła się druga dziewczyna, obdarzając go promiennym uśmiechem. A potem cisnęła w niego sztyletem.

Quinatzin nigdy nie odznaczał się dobrym refleksem. Zamrugął, gdy jakaś mroczna sylwetka zmaterializowała się przed jego twarzą, chwytając sztylet w locie. Zamrugął drugi raz, gdy *doggen* odrzucił broń, która gładko wbiła się w gardło zabójczyni.

Gdy chwilę później do łaźni wbiegli uzbrojeni po zęby gwardziści, rozsypali się wokół pozostałej przy życiu dziewczyny wachlarzem obnażonych ostrzy. Quinatzin powstrzymał ich krótkim warknięciem.

— Wiesz, kto ją nasłał? — zapytał swą wybawczynię.

Wzruszyła ramionami.

— Masz wielu wrogów. Stawiałabym na kapłanów.

Quinatzin zamrugął trzeci raz, gdy dziewczyna zaczęła się ubierać.

— Nie przyszedł tu, by stać się ozdobą twego łóża, królu — wyjaśniła cicho.

— Więc kim jesteś? I jak ominęłaś strażników? — Jego wizja świata przewidywała dla kobiet stosunkowo niewielki zestaw ról.

— Przyszedłam powiadomić cię o zdradzie. Twoje straże nie były dla mnie przeszkodą.

Quinatzin zaklaskał i Zabójcy Gwiazd niechętnie wycofali się z komnaty. Marmurową posadzkę znaczyły teraz krwawe smugi. Dziewczyna zaczęła mówić:

— Zleciłeś śmierć Szurukana Matkom. One nie chciały tego zrobić, ale i nie odważyły się na otwarty sprzeciw. Zleciły to zadanie nowicjuszcze... i trochę się przeliczyły. Pytanie, co zrobią teraz, do czego pchnie je strach.

Quinatzin popatrzył podejrzliwie. Za plecami dziewczyny znowu skłębiła się ciemność.

— Dlaczego miałbym ci wierzyć?

— Nie musisz... choć wspólni wrogowie sprzyjają zaufaniu. Wystarczy, że mnie wykorzystasz. Ja też mam rachunki do wyrównania. Wystarczy, że wskażesz mi cel.

Na twarzy *tlatoaniego* pojawił się drapieżny uśmiech. Zawsze wolał desperatów niż sytych.

— Może coś dla ciebie znajdę. Jak cię zwać?

Dziewczyna zrobiła minę, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

— Kiedyś miałam na imię Citlali.

Rozdział 31

*Bogowie nie troszczą się o nas,
lecz bardzo lubią nas karać.*

Tacyt

Gdy zjawił się tam ponownie, ludzie Yory nie zadawali wielu pytań. Kazali Tennokowi czekać, a po godzinie w domu kupca pojawił się Haran, który pozdrowił księcia jak gdyby nigdy nic.

— Wreszcie. Myślałem, że nigdy nie przyjdiesz.

— Postanowiłem... że wam pomogę — oznajmił Tennok. — Ponieważ roztropnie przekradł się do Dzielnicy Leśnej po zmroku, dwa razy wpadł do płytkiego, cuchnącego szlamem kanału połączonego z Mys. Skąpany w bagnistej wodzie, przemoczony i brudny, nie wydawał się szczególnie cennym nabytkiem. — Pomogę wam zniszczyć imperium.

Właściwa narada odbyła się w ukrytym na bagnach obozie, w którym ukrywali się dopuszczeni do spisku Druazzi. Haran kazał Tennokowi iść tam z zawiązanymi oczami, co okazało się dość uciążliwe. Wyjaśnił dawnemu panu, że nie ma prawa decydować za wszystkich spiskowców i obawia się zwłaszcza ewentualnych przesłuchań i tortur. Podobno do Yugał dotarli agenci Tysiąca Oczu, nie wspominając o towarzyszących królowi Zabójcach Gwiazd. Tennok świetnie to wszystko rozumiał i nie żywił do barbarzyńcy urazy. Może tylko Haran mógłby szybciej pomagać mu wstać, gdy nic nie widząc, potykał się i upadał.

Gdy zdjęli mu wreszcie opaskę, musiał czekać, aż zejda się uczestnicy narady. Najwięcej do powiedzenia miała starszyzna. Zaciekawiony książę przyglądał się zgromadzonym w lesie dziadkom, którzy – zasiadłszy na matach i poduszkach z trawy, opierając się plecami o pnie czarnych cyprysów i drzew hikorowych – mlaszczącymi głosami wspominali epokę młodości. Czasy, gdy szara choroba lasów była jeszcze odległą pogłoską, zwierzyna sama pakowała się wolnym Druazzi w sidła, a rzeką Mys płynęły *pulque* i miód.

Zgrzybiali i pomarszczeni, z plackami łysiny na czaszkach, przypominali Tennokowi zrudziały, wyschnięty na słońcu mech. Nawet ich tatuaże plemienne zdawały się zatarte, nie wspominając o spiłowanych zębach, które dawno temu wypluli do misek z kleikiem kukurydzianym.

Dlaczego to oni rządzą? Tennok doszedł do wniosku, że mądrość i roztropność nie są tu najważniejsze. Walorem tych żywych skamielin była właśnie zapiekła kłótność. Jeżeli te uparte staruchy w końcu się na coś godziły, musiało to być rzeczywiście konieczne.

* * *

W obozie znajdował się także Dom Wojownika, podłużny, pozbawiony okien budynek na palach, który Druazzi przenieśli z Dzielnicy Leśnej. Właśnie tutaj obradowała starszyzna. Tutaj mężczyźni Druazzi omawiali sprawy polityki, polowań i wojny. Wszędzie wisiała broń, skalpy i najróżniejsze fetysze, a także wysuszone ludzkie głowy, przez gardła i usta nawleczone na linki. Żony, matki i córki Druazzi nie miały tutaj wstępu. Gromadziły się w Domu Kobiet, w którym tradycyjnie rodziły się wszystkie dzieci plemienia.

Haran czuł się tu dobrze, wróciły wspomnienia z dzieciństwa, jeszcze nim roztrzaskało się niebo. Zastanawiał się, czy nie powinien postawić sobie

własnego Domu. Dla odmieńców.

Po długiej dyskusji starcy zdecydowali, że Druazzi muszą wystąpić przeciwko Quinatzinowi, a Tennok został uznany za sojusznika, a nie kłopotliwego świadka, którego najlepiej cichaczem ubić. Teraz Haran mógł wreszcie przedstawić starszyźnie swój plan. Był szalony, brawurowy i stosunkowo prosty – a takie Druazzi lubili najbardziej.

Jako pierwszy roześmiał się Hon, który pośród starszyzny pełnił rolę zapalczywego młodzika.

— Szczerzenie zębów nie jest najlepszym pomysłem, gdy ma się ich tak niewiele — zauważył Haran.

Jego rozmówca otarł kułakiem załzawione oczy i z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Powtórz, bo chyba się przesłyszałem — poprosił.

— To proste. Ty i twoi chłopcy rozpętaacie na ulicach zamieszki, pod jakimkolwiek pretekstem. Na przykład zażądacie zaległego żołdu. Nic politycznego. Ale wystąpienia muszą być na tyle poważne, by Maczurai skupił się na nich i ogołocił swoją fortecę z żołnierzy...

— ... podczas gdy ty dostaniesz się do Dołów jako kolejny skazaniec.
— Hon w dalszym ciągu kręcił z niedowierzaniem głową. W jego wzroku pojawiło się coś dziwnego. Troska.

Haran nagle uświadomił sobie, że dla niego ten uparty staruch najbardziej ze wszystkich istot odpowiada temu, co ludzie nazywają rodziną.

— Tak. Tylko tym razem zrobię to dobrowolnie — przytaknął barbarzyńca.

— Żeby ze sobą skończyć, nie musisz podpalać całej dzielnicy. Są lepsze sposoby. Dam ci motyką w łeb.

— To nie przybliży nas do zemsty.

— A nie prościej zasadzić się na Maczuraia z dmuchawką? — zapytał

jeden ze starców.

Odpowiedziały mu pomruki wyrażające aprobatę.

— Dobrze wiecie, że drań obwarował się w zamku. Poza tym to nie tylko o niego nam chodzi.

Starcy, doświadczeni wojownicy i kilku dopuszczonych do obrad młodzików spojrzęło na niego ciekawie. Haran chrząknął. Czuł, że dobrnął do rozstrzygającego momentu. Pozyska ich teraz w pełni... albo zaraz przypomną sobie, że jest tylko złowróbnym odmieńcem.

— Nie chodzi nam tylko o zemstę. W Dołach zbudziło się zło. To samo zło, które sprowadziło tu szarą chorobę.

Druazzi kiwali głowami i długo mruzcili do siebie.

— Powiedzmy, że nawet masz rację. A twoja wizyta w Dołach? Co nam da? — spytał Hon, targając rzadką, posiwiąłą brodę.

— Jeżeli nic się nie zmieniło, to pod ziemią roi się od zdesperowanych jeńców, którzy nie mają nic do stracenia. Przeszli najtwardszą szkołę, jaką można sobie wyobrazić. A teraz Quinatzin zwiększył jeszcze ich liczebność, żeby przyspieszyć wydobywanie. Uwolnię ich wszystkich... a potem wprowadzę do zamku.

Na pomarszczonej twarzy Hona pojawił się wilczy uśmiech.

— Rozwścieczeni Druazzi na ulicach... i potępieni atakujący zamek tyrana od wewnątrz — mruknął.

— Właśnie tak. Weźmiemy Quinatzina w dwa ognie.

Jeden ze starców, słynący z rozwagi Hagatl, sceptycznie pokręcił głową.

— Nawet jeżeli przeżyjesz, w co wątpię, to według twojego planu Druazzi i tak przyjmą na siebie główne uderzenie Kruzów. Wystawimy się na ogromne ryzyko.

Odpowiedziało mu kilka zgodnych pomruków, jednak ku uldze Harana nie wszyscy Druazzi zdawali się podzielać ten pogląd. Wtedy odezwał się

Tennok:

— Przyłączyłem się do Harana, syna Pęcherza, dlatego, że mówi prawdę. Mój ojciec wydobywa dla Quinatza więcej i więcej tego diabelstwa... a ono budzi kolejne demony.

Uszigi, zwany Kopniętym Przez Węża, który słynął z brawury i nieszablonowych zachowań, roześmiał się chrapliwie.

— Za długo godzimy się z losem — powiedział. — Dzielnica Leśna to umieralnia i hańba. Zdychamy od chorób i nędzy... chyba że Maczurai ciśnie nam trochę ochłapów i poszczuje na kogoś, jak w tej przeklętej Tlaskali. Wtedy hasamy za płotem. Kruzowie zmienili nas w swoje kundle.

Odpowiedziały mu gniewne, ale radosne okrzyki, którym towarzyszyło potrząsanie wszystkim, czym by się dało zabić. Haran patrzył, zdumiony.

Zapomniał już, jak bardzo jego dawne plemię kocha rozpaczliwe bitwy.

* * *

Musiało do tego dojść. W Yugal także rezydowały Matki, ich czujnym oczom nie uszła obecność Citlali w mieście. Zabójczynie podejrzewała, że czekają na polecenia Xotochli.

Kiedy rozkazy nadeszły, miejscowa delegatura Zakonu spotkała się z Quinatzinem, który nalegał, by Citlali była na tym spotkaniu obecna. Dwie starsze kobiety uprzejmie powitały króla, ją traktując jak powietrze. Podczas negocjacji dziewczyna oddychała miarowo, podtrzymując Wież, gotowa w każdej chwili przywołać *doggena*. Czowała, że Quinatzin także nie ufa tym zakapturzonym kobietom, których szaty przesiąkły zapachem mroku i zbutwiałej ziemi oraz innymi, dziwniejszymi miazmatami Środkowia. Skoro z ręki Zakonu mógł zginąć najwyższy kapłan, to dlaczego i nie król? Zwłaszcza po tym, co się stało.

Tak jak się spodziewała, zażądały, by Quinatzin uwięził ją pod zarzutem

zabójstwa Xitzina i czcigodnej Uczy. Wysłuchiwała rytualnej litanii oskarżeń i zarzutów pod swoim adresem. „Niesubordynacja”. „Fatalna amatorszczyzna”. To ostatnie musiało się chyba odnosić do śmierci młodego Xitzina.

Quinatzin wysłuchiwał ich uprzejmie. Potem zaczęły się targi. Stańło na oddaniu Matkom na własność okazałego fragmentu Tlaskali z prawem użytkowania bogatych gruntów uprawnych, nielimitowanych połowów w tamtejszych jeziorach oraz wyrębu lasów.

Citlali zdumiała się. Naprawdę jestem dla kogoś tak cenna?

Gdy delegacja wycofała się, bijąc pokłony, dziewczyna spojrzała na rozbawionego króla.

— Dziękuję — powiedziała. Nie lubiła implikacji, jakie zawsze niosło ze sobą to słowo.

— Drobiazg — odpowiedział z szerokim uśmiechem. — Mam słabość do renegatów i zdrajców... Podejrzewam, że historia mnie do was zaliczy.

Od czasu tego spotkania jej położenie się zmieniło. Do obowiązków Citlali należało asystowanie królowi i okazjonalne przywoływanie *doggena*, który szybko wybijał z rytmu aroganckich arystokratów, generałów i cudzoziemskich posłów. Quinatzin nie oczekiwał od niej myślenia i planowania. Tym zajmowali się Zabójcy Gwiazd, którzy od czasu ostatnich przetasowań wśród Tysiąca Oczu coraz bardziej przyćmiewali swoich starych rywali.

Miała być lalką, piękną i budzącą grozę.

Citlali zaczęła się teraz czuć jak ozdobny element menażerii. Dobrze, że Quinatzin nie założył jej złotego łańcuszka i nie kazał paradować przed gośćmi nago. Nie żądał jeszcze, żeby z nim sypiała, lecz czuła, że obejmuje ją teraz królewskie prawo własności. Po wszystkich buntach i życiowych woltach wróciła do roli trofeum.

Połączenie beczynności i ogólnej frustracji jej nie służyło, zrobiła się opryskliwa i szorstka. Wściekała się na *doggena*, który – jak zawsze beztroski i zajęty tajemniczymi sprawami Środkowia – nie okazywał jej stosownego szacunku ani – do czego nie chciała się przyznać – współczucia.

Podczas jednego z treningów wydarła się na niego i chowaniec oddalił się, urażony i mocno zdeorientowany. Citlali nie dbała o to, w jej położeniu obecność demona oznaczała jedynie dodatkowe obciążenie i wyczerpanie – jakby co dzień zbierało jej się na okres. Relacja z *doggenem* przypominała ustawiczne, bolesne karmienie, przy czym duchowe ząbki demona wołały od jej piersi – duszę. Być może właśnie dlatego Matki, które z jakichś powodów zerwały Więź, najpierw odczuwały z tego powodu ulgę.

Quinatzin nie skomentował nieobecności *doggena* ani jej coraz gorszego nastroju. Odzyskała nieco szacunku do siebie, gdy król oznajmił jej, że Maczurai, wódz Rodu Turkusowej Włóczni i nominalny władca miasta, wyzwał na przyjacielski pojedynek najlepszych żołnierzy Qunatzina. Citlali zgodziła się stoczyć pokazową walkę z czempionem jednego z klanów. Pomyślała, że to dobra okazja, by udowodnić samej sobie, że i bez pomocy *doggena* zdoła sobie poradzić.

Yugalską arenę wypełnił wzburzony, rozochocony tłum. Citlali wiedziała, że nastroje w mieście były ostatnio napięte. Na trybunach wyczuwało się wrogość do Quinatzina, która teraz skupiła się na niej.

Przeciwnik rozgrzewał się. Citlali obserwowała go uważnie, analizując wszystko, co zdążyła się o nim dowiedzieć. Wysoki i nieustraszony, sływał z tego, że gwałtownie piał się na szczyty miejscowych rankingów. Po rdzawej, pierzastej zbroi i hełmie z przyłbicą w kształcie ostrego, zakrzywionego dzioba rozpoznała w nim Orła. A zatem to jeden z weteranów Tizoka, którzy wykrwawili się podczas słynnej Bitwy o Labirynt. Nie słyszała, żeby którykolwiek z nich przeżył. Musiał zatem być piekielnie

twardy lub mieć niezły fart. Podejrzewała, że napędza go osobista nienawiść do Qunatzina.

Z początku nie bała się jego zasięgu, ufając własnej szybkości. Zmieniła zdanie, gdy zobaczyła, że dzierży on ciężki, dwuręczny *macuahuitl*. W rękach silnego mężczyzny stanowił on broń nie do zablokowania, chyba że ktoś uzbroił się w naprawdę solidną tarczę. Citlali nie miała tarczy i raczej nie stosowała bloków. Jej styl opierał się na szybkości, unikach i szczęściu. Najmniejszy błąd mógł być ostatnią pomyłką.

Zaatakowała kamiennym nożem i lekkim stalowym mieczem. Gdy skrzyżowali ostrza, uświadomiła sobie, jak bardzo przeciwnik jest szybki. Nie próbował parować jej ciosów i od razu zepchnął ją do obrony. A ta była znacząco gorsza za sprawą protezy, której jeszcze nie testowała z tak wymagającym rywalem. Co prawda kikut bolał ją teraz mniej, lecz nie odzyskała jeszcze dawnej płynności ruchów. Z nagłą paniką zrozumiała, że musi coś szybko wymyślić, jeżeli zamierza wyjść z tego cało.

Kolejny cios o włos musnął jej głowę. Na trybunach rozległ się szmer. Przeciwnik wyszczerzył do niej zęby i wymownym gestem przejechał sobie palcem po szyi. On walczy, żeby zabić, zrozumiała Citlali, czując narastającą panikę. Jej śmierć będzie nauczka dla Quinatzina. Zaryzykowała i przy kolejnym szerokim cięciu tamtego przemknęła pod jego ciosem, zadając mu pchnięcie mieczem.

Ostrze trafiło w brzuch, ale on nawet nie pisnął, jakby nie zauważył rany. Uwalniając lewą rękę, trzepnął Citlali z góry w nadgarstek, a potem od dołu poprawił w brodę. Przekoziółkowała do tyłu i oszołomiona padła na ziemię, kaszląc i krztusząc się krwią. Potężne ostrze tamtego podążyło w ślad za nią, spadając jak zwalony dąb. Gwałtowny unik Citlali był już tylko rozpaczliwym odruchem.

Deregatli powtarzała jej zawsze, że dobry szermierz jest jak domokrążca

i kaznodzieja w jednym. Nigdy nie zostaje długo w tym samym miejscu i nigdy dwa razy nie ucieka się do tej samej sztuczki. Problem polegał jednak na tym, że ona już żadnych sztuczek nie miała w zanadrzu. Deregatli ostrzegła ją i przed tym. Jednostronny, zbyt ukierunkowany trening sprawił, że zabrakło jej wprawy w walce toczonej bez wsparcia *doggena*. Za to jej rywal ewidentnie zaprawił się jakąś potężną mieszanką. Nieustraszony i zręczny, atakował drapieżnymi, zaskakującymi kombinacjami ciosów, które przywodziły na myśl improwizację wirtuoza.

Mogła się tylko cofać, wściekła i coraz bardziej zdenerwowana. Publiczność wstawiała z miejsc, ochrypla od wrzasków. Nieczęsto zdarzała się okazja, aby oglądać na arenie Matkę, i tłum szalał, spragniony jej krwi. Liczyła jeszcze na to, że Kruz zwolni z powodu bólu i upływu krwi, lecz nic takiego nie miało miejsca. Jego oczy wyglądały jak kałuże mleka, szkliste, pozbawione źrenic.

Sparował jej cios prawą ręką i bez wysiłku przerzucił swą broń do lewej, prawie odrąbując jej ramię. Do uszu dziewczyny dobiegł wysoki, przenikliwy krzyk i kątem oka ujrzała obserwującą ją z trybun kobietę. To była Matka... a gdzieś obok musiał pracować jej *doggen*. Citlali także krzyknęła, z rozpaczą wezwała pomoc, nienawidząc siebie za własną bezsilność.

Wtedy nastąpił przełom. *Doggen* nie objawił się wprawdzie przed ochryplą od wrzasków publicznością, lecz i tak poczuła jego obecność. Czas zwolnił, a potem przyspieszył – tym razem kosztem jej wroga. Zobaczyła, jak kobieta z trybun krzywi się w bolesnym grymasie i zamyka oczy, i pojęła, że jej *doggen* właśnie przepędził innego chowańca.

Potem już tylko się bawił, igrając z coraz powolniejszym Orłem, wokół którego Citlali tańczyła z kapryśną, bezczelną swobodą, a potem odbiła jego miecz własną otwartą dłonią i, jakby od niechcienia, wyrwała mu z gardła tchawicę.

Trzy dni później na ozdobnym stojaku na czaszki, stojącym w komnacie władcy, pojawiły się trzy nowe trofea. *Tlatoani* uznał incydent z areny za konspirację i zdradę. Podczas tortur miejscowe Matki wyznały, że to one zajęły się treningiem Orła, zapewniając mu pomoc swojego jedyne *doggena*. Citali zastanawiała się tylko, jakim cudem Zabójcy Gwiazd nie wpadli na to wcześniej. Miała wielką ochotę asystować przy przesłuchaniach, ale Gwiazdy grzecznie ją od tego odwiodły, zasłaniając się tajemnicą służbową.

Od tamtej pory nie próbowała już więcej odprawiać chowańca. Jednak coś się między nimi zmieniło. Citali coraz łatwiej traciła cierpliwość i złapała się na tym, że spotkania z „dzieckiem” traktuje jak coś, co trzeba odbębnić jak najszybciej i bez zbędnych emocji. Często narastało między nimi milczenie, a ona nie potrafiła ukryć, że nie cieszy się na jego widok. Powoli zaczynała go winić za kierunek, jaki przybrało jej życie.

Na jednej z wystawnych uczt wpadła na Tennoka. Z tego, co słyszała, młody książę spędzał teraz całe dni przy zejściu do Dołów, nadzorując składowanie i obróbkę smaru. Wyglądał na bardzo zabieganego.

Popatrzył na nią przelotnie i zaraz odwrócił głowę. Citali zdumiała się. Nie poznał jej! Pomyślała, że zmyliły go nowe szczegóły. Uszkodzona, powłócząca noga, szary kaptur i złowieszcza aura Zakonu. Mimo to coś nie dawało jej spokoju. Podczas pojedynku obciążana proteza nieźle sponiewierała jej kikut, który zmienił się w opuchnięty kłęb bólu. Citali kuśtykała teraz wręcz teatralnie, jak zabiegająca o litość żebraczka. Powodowana resztkami kobiecej próżności, o którą sama by się nie podejrzewała, po audiencji dowłokła się do swojej komnaty i sięgnęła po czarne, obsydianowe zwierciadło.

Zobaczyła wychudłą twarz, postarzałą o dwie dekady. Wystające kości policzkowe i zastygły wokół ust grymas bólu nadawały jej wygląd

męczennicy. Straciła młodzińczy powab i stała się jedną z tych znużonych, uszlachetnionych cierpieniem kobiet, które wszyscy szanują i... trzymają się od nich z daleka.

Od razu pomyślała o postarzałej Uczy od Fałd, naznaczonej magiczną deformacją. Wspomniała gorzkie słowa swej dawnej nauczycielki.

Każda z nich karmiła upiorne dzieciątko, każda z nich podsuwała mu do ssania swoją duszę. Jej skaza prezentowała się bardziej harmonijnie, lecz Citlali nie miała złudzeń. Od teraz będzie już tylko Matką.

* * *

Istniało wiele sposobów na dostanie się do Dołów. Po pierwsze, wysyłano tam pechowych, buntowniczych i niechcianych więźniów. Inną opcją była zbrodnia ze szczególnym okrucieństwem. Wystarczy, że kogoś zabije, Hon przygotował już listę kandydatów. Ale Haran nie umiał przystać na taki plan. Kiedyś nie miałby nic przeciwko, ale teraz, z Morosem pod czaszką, odmówił.

Co gorsza, teraz był sławny i przy jego charakterystycznym wyglądzie istniało zbyt duże zagrożenie, że ktoś go rozpozna.

Trzecią opcję, najbardziej szaloną ze wszystkich, podsunął Kiliretha.

— Przepytałem okolicznych Druazzi. Fascynujący rozmówcy... jak już przyzwyczaisz się do tych spiłowanych kłów. To mapa miejsc, w których spotykano ostatnio Zjadaczy. Spalony dom... Najechana farma. Spójrz, tu zaginęła cała wyprawa myśliwska.

Haran rzucił okiem na papier z agawy. Obszar aktywności Zjadaczy rozlewał się na niej niczym krwawa plama.

— To sam środek Zgniłego Lasu. Dobry dzień drogi od Yugal — stwierdził.

— Leża Zjadaczy są rozległe. Gniazdo przebadane przez Hakamotla

i Pereirę rozciągało się na wiele dziesiątków mil.

— Nie rozumiem.

— Pomyśl. Stada Zjadaczy zorganizowane są podobnie jak wilcza wataha. Potrzebują rozległego terenu. *Hikku'tai*, którzy grasowali dzień drogi od Yugal, muszą należeć do tej samej hordy co w Dołach. I chyba nie podejrzewasz, że ot tak, wychodzą sobie na polowanie przez kopalnię, a potem Dzielnicę Wewnętrzną i bramy miejskie...

Haran zagwizdał przez zęby.

— Drugie wyjście?

— Właśnie. Być może wytyczone, zanim Maczurai wziął się do dokarmiania demonów.

— Mimo wszystko to rozległy obszar. Znalezienie wejścia nie będzie łatwe. Nawet najlepszym tropicielom zajmie to...

— Poradzisz sobie — uśmiechnął się uczony.

Starszyzna miała jednak jeszcze wiele wątpliwości. Naradę przerywano milczeniem, drzemką i radzeniem się przodków. Aż wreszcie Druazzi, rozgoryczeni niewypłaconym żołdem i – nawet bardziej, niż chcieli to okazać – niesprawiedliwym podziałem łupów z Tlaskali, zgodzili się na otwartą rewoltę.

Młodych wojowników Haran nie musiał przekonywać, po rozpuszczeniu wojska dręczyła ich beczynność i nuda. Nie powiedział im oczywiście wszystkiego. Byli święcie przekonani, że przygotowywane wystąpienie ma na celu zwrócenie uwagi króla.

Yora tymczasem dwoił się i troił, szukając ostatnich wędrownych łowców, którzy pamiętali puszczańskie szlaki plemienia, porzucone, gdy nadeszła zaraza. Pomarszczony leśny przewodnik, jeden z nielicznych Druazzi, którzy nadal mieszkali w puszczy, okazywał swymi wrzodami, że pozostanie w Zgniłym Lesie nie było najlepszą decyzją. Starzec zdumiał się,

że Haran pragnie się dostać tam, skąd pierzchał nawet jaguar i niedźwiedź. Chłopak nie mógł wytłumaczyć mu swoich racji, więc łowca uznał go za miejskiego nowobogackiego głupca, który szuka śmierci.

W końcu udało im się ustalić, że obiecująca jaskinia znajduje się w głębi Gnijącego Lasu, tam, gdzie stary upolował kiedyś siedem japoków.

Pozostawał też problem sprzętu, wszystkie zapasy lin zarekwirovano na potrzeby rozbudowywanych przez Quinatzina kopalni. Ale największym problemem nieoczekiwanie okazała się Leyre.

Haran chciał ją pożegnać, lecz w kryjówce, którą wynalazł im Hon, czekała na niego gradowa burza. Uchylił się przed glinianym kubkiem, ale na tym jej ostrzał się skończył. Potrafiła krzyczeć i kłąć, lecz teraz zmieniła się w zimną, zapiekłą furię.

— Pojmałeś go! Przez ciebie dostał się w niewolę. Patrzyłeś, jak umiera. Jak mogłeś to przede mną ukrywać?

Kto jej powiedział? Ludzie Hona przysięgali milczenie. Haran stropił się i postanowił przejść do ataku.

— Od kogo to usłyszałaś?

— Nieważne. Liczy się to, co zrobiłeś. Myślałam, że byłeś jego przyjacielem. I pomyśleć, że ja... Jak mogłeś?!

Chciał podejść bliżej i przytulić ją, lecz odepchnęła go.

— Zdradziłeś przyjaciela. Zdradziłeś mnie!

Nie oczekiwał może bałwochwalczego szacunku, miłości i posłuszeństwa, ale odrobina wdzięczności by nie zaszkodziła.

— Nadstawiam za ciebie karku! — zaprotestował, czując narastający gniew.

Zaśmiała mu się w twarz.

— Nadstawiasz, bo sumienie cię gryzie. Drapiesz się swoją dobrocią jak kundel, którego kąsają pchły.

Nie uderzył jej, bo bał się, że jak zacznie, nie będzie mógł przestać. Zamiast tego odetchnął głęboko i ruszył w kierunku drzwi.

— Ciebie także gryzą wyrzuty! Wystawiłaś go i do końca ukrywałaś przed Szaratangą swój plan, udając niewiniątko. To robota Rady Grani, a jakże. Ty umywasz ręce. Najlepiej przerzucić całą winę na innych, prawda? — warknął już w progu.

Spojrzała na niego, zdumiona i oburzona.

— Skąd o tym wiesz? Szpiegowałeś mnie? Węszyłeś?

— On wiedział — wyrzucił to z siebie jak przekleństwo.

Leyre zastąpiła mu drogę, jej policzki pokrył rumieniec gniewu, z którym bardzo było jej do twarzy.

— Nienawidzę tych twoich półsłów. Rozmawiaj ze mną jak człowiek!

— Bo ty przecież jesteś ze mną szczerą — zakpił. Chciała go spoliczkować, ale uwięził jej nadgarstek. — Szar wiedział o różnych rzeczach. Na przykład z iloma wpływowymi staruchami się przespał.

Tym razem nie zdążył się uchylić. Rąbnęła go, aż zadzwoniło mu w uszach. Cios mógłby złamać nos, na szczęście spadł na policzek.

— Kurewstwo podszyte ambicją, wyrachowane i skrzętne. Ciekawe, skąd ci się to wzięło. Gdy pojawia się jakiś mężczyzna, zdobywasz go, tak na wszelki wypadek. Jakby to był prowiant na drogę. Skąd w tobie ta desperacja? Założę się, że tatuś nie zwracał na ciebie uwagi.

Tym razem nie próbowała go dzielić. Zamiast tego spojrzała na niego smutno, odgrywając skrzywdzoną sarenkę. To było niesprawiedliwe, u pięknych kobiet smutek miał większą siłę rażenia niż nóż. Biedny Moros...

— Szar wiedział, że posyłasz go na śmierć. Więc nie szafuj wielkimi słowami o winie i zdradzie.

— Sam dokonał wyboru. Był dorosły i odpowiadał za swoje decyzje.

Haran poczuł, że ogarnia go głucha, narastająca gdzieś w głębi trzewi

nienawiść. Splunął i uśmiechnął się pozbawionym radości uśmiechem.

— Bzdura. Wmówiliście mu, że jest niezbędny, a ten głupiec w to uwierzył.

Pamiętał to uczucie aż za dobrze. Duma i przymus, poczucie, że jesteś wybrańcem. To nie wyzwala, nigdy. Przychodzą oczekiwania, innych i samego siebie. Każdy dar domaga się wykorzystania, nawet jeśli miałby cię przy tym zabić. Pamiętał, jak poczuł to po raz pierwszy, w przypadkowej potyczce na skałach, gdy wyprowadził ludzi zapomnianym, nieoznaczonym tunelem.

Tak narodził się Lew Labiryntu. Pamiętał pierwszy dreszcz walki, tej mrocznej namiastki tworzenia. Wykrawania pustki.

A potem Lud Doliny, patrzący na niego z nadzieją i skrywanym lękiem. Bo już tyle razy ich ocalił, a przecież któregoś dnia może mu się nie udać. Dygotanie w ciemności namiotu, gdy wyplukiwał szaleństwo winem, jak czarne, trujące samorodki ze złotonośnego strumienia.

Nagi, bezsilny, słaby. I ta tłumiona wątpliwość, czy naprawdę trzeba być tym, do czego popycha nas instynkt? A jeśli natura nie życzy nam dobrze?

* * *

Prawda wyglądała tak, że Haran od dawna miał ochotę to zrobić.

Zawał umowę z Honem, ale nie zapomniał, ile zła wyrządził mu jego syn. Oczywiście, Yora zdawał sobie z tego sprawę. Łasił się do Harana i obiecywał wszelką pomoc. Przekazał mu też pozdrowienia od Hezy, co Haran skwitował uprzejmym, odrobinę skwaszonym uśmiechem.

Był świadkiem, jak mężczyzna uroczyście przysięgał przed Honem i trzema nestorami z Domu Wojownika, że nie zdradzi nikomu tożsamości i miejsca pobytu Harana. Nawet Yora nie złamałby takiej umowy, inaczej byłby dla swoich ziomków skończony. No, chyba że przedsięwziął już plan

obejmujący także pozbycie się ojca i całej starszyny plemiennej.

Ale mimo to dawne rachunki wciąż domagały się wyrównania.

Biuro Yory mieściło się tuż nad rzeką. Nawet najbogatszy, najczystszy i najbardziej przydatny Druazzi nie mógł liczyć na parcelę w Dzielnicy Wewnętrznej, zamieszkaną przez czystej krwi Kruzów.

Nawet gdy wciąż się uśmiechał. Nawet gdy wciąż się przymilał.

Podobno Yora zajmował się dostawami dla wojska. Wojna sprzyjała koniunkturze; odkąd większość mężczyzn została wysłana na front, praca w tartaku i przy zbiorach kukurydzy nagle stała się opłacalnym zajęciem. Weterani gardzili dekownikami, ale Yora nic sobie z tego nie robił. Nosił kosztowne szaty z najlepszych piór, a kciuki zatykał za pas inkrustowany klejnotami. Jakiś czas temu wziął sobie trzy młode żony.

Haran skierował się na drewniane, świeżo odmalowane schody, które nie trzeszczały i nie były zbutwiałe.

Strażnicy warujący przy drzwiach nosili wysoko upięte włosy i duże, żółte przetyczki w podbródkach. Ich bawełniane kombinezony miały kolor jadowitej zieleni. Wojownik gwizdnął z podziwem. Mały Yora miał jaja, trzeba mu to przyznać. Zatrudnił do swojej ochrony Otomi, którzy od dawna rywalizowali z Druazzi o palmę najtwardszego plemienia Mesziku.

Wiedział, że nie powinien się wdawać w awantury. Pierwszy kruzański patrol może rozpoznać w nim poszukiwanego zbiega. Na razie włóczył się ulicami, zakryty obszernym płaszczem, w jaki chętnie zawijali się okaleczeni weterani i inni włóczędzy. Straż miejska rzadko nagabywała takich ludzi. Ich pięści potrafiły być równie silne jak odór, a trzos tak samo pusty jak brzuch. Poza tym nie mieli już nic do stracenia.

Nie wdając się więc w nużące przemowy, kopnął ochroniarza krótkim, drapieżnym ruchem. Przy odpowiednim opiłowaniu paznokcia przy wielkim palcu u nogi taki cios zastępował uderzenie włóczni. Jego przyjaciel Flak

celował w tej sympatycznej technice, przydatnej, zwłaszcza kiedy straciło się broń. Otomi zwałił się z rozprutym brzuchem, roztaczając woń, o której raczej nie wspominają autorzy epickich pieśni.

Jego towarzysz zdążył sięgnąć po ciężki, kamienny miecz. Na krępej szyi nosił naszyjnik z ptasich szponów, a pod czaszką, sądząc z wyrazu twarzy, podobnej proveniencji mózdzek.

Haran uchylił się przed ciosem, złapał zbira za ramię i odciągnął, popychając go na ścianę. Uderzył jego twarzą o deski i pozwolił mu osunąć się na ziemię. Wycenił ochronę Yory na trzech, czterech ludzi, może jedną przemyconą z Tlaskali kuszę. Tyłu powinien załatwić.

Nie docenił jednak syna Hona. Po schodach zbiegło ich jeszcze czterech i Haran zmuszony był dobyć miecza. Byli naprawdę niezli, Yora nie skąpił na ich wyszkolenie i sprzęt. Pod gradem ciosów wychowanek Druazzi przypomniał sobie, jak podobne opryski osaczyły go, kiedy odwiedził Hezę. Ale Haran stał się od tamtego czasu kimś innym.

Nawet bez Morosa-Szara, prawiącego mu w głowie kazania, jego dusza zahartowała się i oczyściła w ogniu.

Nie miał na barkach matki, ojca i słodkich rodzinnych jadów. Nie nosił w sobie niepewności szarpiącej mu trzewia. Nie odczuwał wątpliwości ani żalu, lecz czystą, skondensowaną nienawiść. Poza tym, hej, od czasu, gdy w jego głowie na dobre zagnieździł się Lew Labiryntu, fechtował z dużo większym polotem. Już w Dołach uzyskał szybkość, wytrzymałość i jakże potrzebny instynkt zabijania, a także intuicję właściwą tym, którzy zbyt długo wdychali opary smaru. Ale pod ziemią nie było warunków na treningi.

Dopiero za sprawą pamięci Morosa-Szara uzyskał prawdziwą techniczną biegłość. W połączeniu z młodością, nieprzewidywalną i nieskażoną rutyną, dawało to piorunującą i niespotykaną mieszankę. Hon, przyglądając mu się na placu ćwiczebnym, powiedział, że Haran bije się jak młody jaguar,

którego mięśnie i ścięgna przechowały najlepsze nawyki starego mistrza.

Po walce ruszył schodami na górę – bo tam, jak wycharczał ciężko ranny ochroniarz, rezydował szef.

Yorę dopadł, gdy ten wyłaził przez okno. Widać było, że wrednemu pokurczowi dobrze się powodzi. Nosił szaty z delikatnej bawełny, godnej tollańskiego szlachcica, ośmielił się nawet przystroić je piórami, za co nisko urodzonym groziła chłosta – chyba że mieli naprawdę możnego protektora. Pod ubraniem odznaczał mu się teraz brzusek, świadectwo życiowego i aprowizacyjnego powodzenia. Tylko twarz wciąż pozostała szczupłą, z ostrymi, chytrymi rysami i ruchliwym nosem, przywodzącym na myśl leśnego gryzonia.

Wciągnął uciekiniera do środka.

— Ja tego nie zrobiłem! — darł się piskliwie Yora.

— Nie wierzę ci. Przyszła z tym do mnie po rozmowie z tobą — warknął Haran.

— Całe miasto wiedziało! Na Ołtarz i Krew, zabiłeś Lwa Labiryntu na oczach tysięcy ludzi!

Haran wstrzymał pięść. Cóż. Co się stało, to się nie odstanie, niech wyniknie z tego przynajmniej coś dobrego. To jego bitwa i stoczy ją po swojemu.

— I tak ci nie wierzę. Musisz się wykupić. I ani słowa staremu.

— Co tylko zechcesz...

— Na początek zaopatrzysz w broń każdego obdartusa w Dzielnicy Leśnej. Potem załatwisz mi sprzęt do wspinaczki, taki, jakiego używają zbieracze miodu. Muszę mieć linę, porządne haki i kolce. Żelazne.

— To czarny rynek. Żelazo jest...

— Wolisz, żebym cię zatłukł i zadowolił się kolcami z kamienia?

Yora przełknął ślinę. Drgająca nerwowo grdyka stanowiła kuszący

widok, lecz Haran powstrzymał palce lewej dłoni. Jeszcze się nasycisz.

— Planujesz wspinaczkę? — zażartował kupiec, lecz zamarł, zgaszony ciężkim spojrzeniem rozmówcy.

Planuję stoczyć się w dół.

Po zmotywowaniu Yory przygotowania ruszyły pełną parą. Spiskowcy czekali na najlepszy moment, żeby maksymalnie wyzyskać element zaskoczenia. Nieoczekiwanie spadła na nich informacja, która zmieniała wszystko.

Quinatzin planował wyjechać.

Najwyraźniej ktoś z jego otoczenia w końcu zaniepokoił się próbą zamachu i dziwną atmosferą w Yugal, która jako żywo przypominała milczenie przyrody przed burzą.

Haran wpadł w furję. Pojmanie albo zabicie Quinatzina było ich głównym celem. Nawet owładnięty żądzą zemsty Hon, który najbardziej pragnął załatwić porachunki z Maczuraiem, nie miał w tej kwestii wątpliwości. Jeżeli *tlatoani* opuści miasto na czele dwóch tysięcy ciężkozbrojnych – tyle doborowych wojsk zabrał ze sobą do Yugal – to już nigdy nie zdołają go powstrzymać.

* * *

Quinatzin zasiadał w sali tronowej. Maczurai udostępnił mu gustowny, wulkaniczny tron z czarnym kruzańskim orłem, przezornie usuwając z sali własne siedzisko.

— Ta kobieta domaga się audiencji — głos gwardzisty brutalnie wyrwał *tlatoaniego* z zadumy.

— Przyślij ją do mnie w nocy, idioto. Nie widzisz, że teraz pracuję? — Król zgromił intruza spojrzeniem przekrwionych oczu i pochylił się nad zamkiem strzelby.

Od trzech dni nie spał.

Życie było zbyt ekscytujące, żeby spać. Praktycznie nie wychodził z laboratorium. Jego wojska przywiozły z Tlaszkali górę złomu. W ogromnych kuźniach jeńcy Termitów przekuwali cały ten metal na lufy dziesiątków strzelb. Robota szła im jednak niesporo.

Czy to za sprawą sabotażu, czy braku wiedzy nowa broń wciąż zawodziła. Quinatzin podejrzewał, że odpowiadała za to siła wybuchu ładunków. Skoro więc nie udało mu się – jeszcze – rozwikłać zagadki metalu Białoskórych, postanowił udoskonalić *braazatal*, tak żeby pasował do dostępnych mu żelaznych garłaczy z odzysku.

— Mówi, że jest królową Termitów, panie. Tą, której wszyscy szukamy.

* * *

Już po krótkiej rozmowie Quinatzin wiedział, że ma problem. Królowa Termitów fascynowała go, a on zawsze wolał sytuacje, w których to on fascynował innych. Dumna i smukła, stała przed nim wyprostowana jak trzcina, z doskonale opanowaną twarzą. Nie dawała po sobie poznać, że wie, iż jedno skinienie Quinatzina dzieli ją od cierpienia i hańby.

Maczurai i Zabójcy Gwiazd przemawiali w tej kwestii jednym głosem. „Ktoś pomógł jej tutaj dotrzeć i dopóki nie poznamy szczegółów, twoja władza nie będzie bezpieczna”. Może. Ale w końcu to Leyre powiedziała *tlatoaniemu* o konspiracji Druazzi, którzy ją przygarnęli i wywieźli z Tlaszkali, a teraz przygotowywali powstanie.

Buntownicy planowali posłużyć się Leyre jako ikoną oporu. Być może spodziewali się, że jako potencjalna władczyni Tlaszkali będzie kartą przetargową w przyszłych układach z Wielkim Tikal i innymi państwami, tradycyjnie sprzymierzonymi z Tlaszkalą. Motywy Druazzi nie wydawały mu się jednak zbyt ważne. Zawsze byli wichrzycielami. Odegrali już swoją rolę,

pomagając mu zreformować imperium. Teraz ich miejscem były mogiły i pieśni, nie potrzebuje w swoim państwie żywych bohaterów. Zachichotał bezgłośnie.

Jego *urs*, który nie miał ostatnio wiele do roboty, właśnie przyniósł im czarki z czekoladą i kukurydzianym napojem chłodzącym. Widok zadowolonego niewolnika skierował myśli króla ku poprzedniemu *ursowi*. Jak on się nazywał? Ważne, że nie miał tyle szczęścia, co jego następcę. Warunki były wtedy zupełnie inne, podobnie jak stopień religijnej żarliwości Quinatzina. Musiał odgrywać przed Szurukanem komedię, plecy niewolnika codziennie spływały krwią.

Przeklęty staruch oczekiwał od władcy Kruzów oddania bogom, a nie aspirowania do ich statusu. W pierwszych latach panowania *tlatoani* co kilka miesięcy musiał wymieniać *ursa*. Bardzo frustrujące, Quinatzin nie lubił wokół siebie nowych twarzy, przywiązywał się do ludzi, papug i psów. Choć trzeba przyznać, że za czasów Szurukana *ursowie* cieszyli się większym prestiżem. Ciekawe, czy ten nowy dobrze wspomina tamte czasy, czy zadowoli się rolą zwykłego lokaja? Pytanie pozornie błahe, w istocie niezwykle doniosłe. Każda władza musi je kiedyś postawić. Czy ambicje poddanych powinny być celowo tłamszone, czy przeciwnie, podsycane i naprowadzane na cel?

Quinatzin podsunął królowej Tlaskalan czarę. Podziękowała mu lekkim skłonieniem głowy, a on zadumał się nad jej niejasnym statusem. Była władczynią państwa, które postanowił na zawsze wymazać z map. Z drugiej strony, dysponowała wiedzą, której od dawna pożałował.

Według raportów jej rodzice byli Kretami. Na pierwszy rzut oka Papan popełnił mezalians, lecz prawda okazała się bardziej złożona.

W Tlaskali panował ustrój zwany merytokracją. O jej przetrwaniu decydowały wysiłki uczonych i supremacja techniczna. Gdy wojna została

przegrana, wszystkie Krety zginęły, popełniając zbiorowe samobójstwo. Zaskoczyli go tym, gest pasował bardziej do fanatycznych kapłanów niż opanowanych mędrców, za jakich ich miał. Choć przecież mówiło się też, że Krety oddają Białoskórym, swoim „Dobroczyńcom”, cześć zbliżoną do boskiej. Cóż, stulecia obłączenia i chowu wsobnego, tudzież niedoborów żywności, musiały doprowadzić do straszliwej ich degeneracji.

Leyre obserwowała *tlatoaniego* spod długich, cienistych rzęs. Wiedziała, jak wykorzystać swoją urodę. Plotki docierające na kruzański dwór sugerowały, że lubiła i potrafiła romansować.

Wydawała się bardzo spokojna, lecz Quinatzin czuł, że pod maską kryje się wulkan, spopielające płomienie. To nie byłoby nudne małżeństwo z rozsądku. Władca Kruzów zadrżał z przeczucia rozkoszy. Odkąd zwyciężył, coraz bardziej doskwierała mu nuda. Ale czy jego lud zaakceptowałby związek z królową czcicieli demonów? W żyłach wysokich rodów Tlaskali płynęła krew Białoskórych, żaden kruzański król nie ośmieliłby się wziąć Tlaskalanki za żonę.

Zaintrygowany, upił łyk gorzkiej czekolady i uśmiechnął się. Tak, to mogło być jakieś wyzwanie. Leyre uśmiechnęła się także. Ale jej oczy były twarde jak obsydianowe ostrze.

— A teraz słuchaj uważnie. Miejscowi buntownicy uknuli pewien plan. Szalony i desperacki, ale możliwy do przeprowadzenia. Mogą ci bardzo zaszkodzić.

Quinatzin wysłuchał ją i postanowił, że jednak nie zaryzykuje podróży do stolicy. Nie ufał Leyre, ale był skłonny uwierzyć, że w Yugal zaległa się niebezpieczna konspiracja. Rozbudowany w ostatnich latach zamek Turkusowej Włóczni zaliczał się jednak do najpotężniejszych fortec imperium. Nawet armia Inków nie mogła mu zagrozić. Tylko głupek porzuciłby go w tej sytuacji na rzecz drogi do Tollan, wijącej się pośród

lasów i bagien.

Oznaczało to jednak, że na miejscu musi wreszcie zapanować ład.

Po południu Quinatzin rozkazał swoim oddziałom uderzyć na Dzielnicę Leśną i wybić wszystkich napotkanych Druazzi. Meldunki, jakie otrzymał kilka godzin później, były co najmniej niepokojące. Barbarzyńcy stawili opór, ale gdy dostali się pod ogień strzelb, porzucili barykady i wycofali na bagna. Na swoim terenie radzili sobie o wiele lepiej i skutecznie wciągali Kruzów w zasadzki. Maczurai sugerował układy i pertraktacje, ale król nie chciał o tym słyszeć. Opór tylko umocnił go w powziętej decyzji.

Druazzi stanowili zagrożenie. Nie będzie tolerował szerszeni we własnym domu, tak samo jak nie tolerował Tlaszkan. Rozkazał sprowadzić do Yugal więcej wojsk.

Tyle, ile będzie potrzeba.

Rozdział 32

Ameryka nie jest młoda: była stara, zdeprawowana i zła jeszcze przed pionierami, przed Indianami. Zło tylko czekało.

William Burroughs, *Nagi lunch*

Wiatr mozolił się, rozganiając duszne wyziewy Mys. Stara rzeka sunęła leniwie, niosąc glony, padlinę i butwiejącą roślinność. Jej wody miały odcień niezdrowej zieleni. Po wartkich wiosennych roztopach i ich buńczucznych pogrózkach nie zostało już nawet wspomnienie.

Czekali na niego nad rzeką: żylasty, wysuszony Hon i jego krępy, korpulentny syn. Znad wody unosiły się szare opary. Mys pluskała na wygładzonych kamieniach, gęźbie rzeki wtórowały żaby, owady i ptaki. Haran zatrzymał się, uderzony nagłym wrażeniem, że to już się kiedyś zdarzyło. Ale w tej scenie czegoś brakowało, jak w świątynnych jasełkach wystawianych oszczędnie i po łebkach. Brakowało ojca.

Raz jeszcze sprawdził swój ekwipunek: sprzęt do wspinaczki, stalowy miecz do zabijania potworów, zapas żywności i specjalne cacko, które podarował mu Kiliretha, tlaszkalańską lunetę z zapasów Zakonu Kretów. Potem ruszyli w głąb Gnijącego Lasu. Symptomy choroby i rozkładu były tu wszechobecne: w dziurawych, postrzępionych liściach i miękkim, pękającym drewnie. Podłoże roiło się od robactwa, butwiejące badyle i pnącza stawiały zajadły opór przedzierającym się ludziom. Poza insektami nie dostrzegali śladów zwierzyny.

Haran widział przed sobą poskręcane, żyłaste plecy Hona, raz po raz ginące w brunatnym gąszczu. Usiłował utrzymać dystans, oczy zalewały mu strugi słonego potu. To właśnie w tej obumarłej, skazanej na rozpad puszczy urodzili się Pęcherz i Heza, w czasach gdy tułający się, wygłodzeni Druazzi wracali jako nędzarze do miasta, którym niegdyś władali. We mgle kryły się widmowe czółna umarłych, zielone okręty z kości. Pasował tu, to była kraina duchów. Jeżeli komukolwiek na nim zależało, jeżeli ktokolwiek życzył mu dzisiaj zwycięstwa, byli to właśnie umarli.

Wciąż myślał o swoim ojcu, czy raczej o dziwnym człowieku, któremu przypadło pełnić tę rolę. Ogarnęła go tęsknota za Pęcherzem, jego zaraźliwym śmiechem i straceńczą, hultajską odwagą. Zmarli pięknieją, ze wszystkich ludzi najbardziej brakuje nam tych, którzy odeszli. Tych, którzy nie mogą nam już nabruździć.

Haran widział między drzewami ich wszystkich. Bliskich. Pamiętliwego, irytująco pryncypialnego Morosa, z jego niezyciowym honorem. Upartą, namiętą Citlali, która zginęła na jakiejś sekretnej misji. Brakowało mu nawet jej paplaniny, panoszenia się i zadzierania nosa.

Gdzie udawali się zmarli?

Nie wierzył w kruzańskie bzdury o ćwierkających przez wieczność kolibrach. Ezoteryczne nauki, wpajane przez starszych plemienia, kazały mu dostrzegać ich w drzewach i skałach, gdzieś w lasach, z których kiedyś wywędrowali Druazzi. Na pewno nie gnieździli się wraz ze szczurami w norach na brzegach Mys, wśród lepianek i ruder Dzielnicy Leśnej. Dla dawnych, wędrujących po puszczy Druazzi rozległe terytorium plemienia składało się z wielu warstw duchowych. Było niebem i piekłem, widmowym pałacem przodków, za którym rozpościerała się pustka. Dlatego tak marnieli, gdy susze, zarazy i głód zmuszały ich do dalekich migracji.

Haran czuł, że bezpowrotnie porzucił tamte plemienne wierzenia. Jest

białoskórym bękartem, a to nie są jego przodkowie.

Kim były te istoty o jasnej skórze? Nie wiedział nawet, w co wierzyli. Przetrwali jako cuchnące resztki, starożytne, zdegenerowane relikty. Kim byli jego nieznani rodzice? Zapewne należeli do jeszcze jednej ukrywającej się grupki, którą w końcu dopadli prześladowcy z Szarych Pasów.

Yora potknął się i przysiadł na czymś omszałym, co mogło być niewielkim głazem albo sporą czaszką. Dyszał ciężko, szczurzą twarz miał czerwoną jak słońce z kruzańskich flag. Poderwał się, zanim uspokoił oddech, strzepując z siebie kęsające mrówki.

Haran stłumił przekleństwo i splunął, celując w środek ich ruchliwej, szerokiej na dłoń procesji. Nie był zadowolony, że Yora z nimi idzie. Powiedział o tym zresztą Honowi, który mimo to nalegał na udział syna w wyprawie. Tłumaczył, że w razie natknięcia się na kruzańskie patrole zdanie Yory znaczyć będzie więcej niż jego. Haran zgodził się, ale w sercu czuł głuchą, tłumioną nienawiść. Ten człowiek zdradził i zamordował Pęcherza, jego obecność była jak obelżywy omen.

Po półgodzinie marszu wiatr przywiał woń spalenizny. Zatrzymali się, zaniepokojeni. Haran szybko wspiął się na stare, oplecione lianami drzewo. Odwrócił się w kierunku, z którego naleciał dym, i musiał się przytrzymać gałęzi, żeby nie spaść. Miał teraz widok na miasto i szeroką nadrzeczną równinę. I na ścianę dzikiego ognia.

Yugal płonęło.

Pożar oszczędził wzgórze i miasto wewnętrzne i srożył się przede wszystkim w Dzielnicy Leśnej. Spomiędzy dymu widać było ludzi biegnących na brzegach Mys. Haran sięgnął po tlaszkalańską lunetę. Cacka, którymi dysponował Kiliretha, nie przestawały go zadziwiać. Wypatrywał oznak walki z pożarem. Zamiast tego dostrzegł błysk wojskowego rynsztunku i wojowników, rozstawiających się w karnym, niemożliwym do

pomylenia szyku. Nad oddziałami powiewały czarne sztandary Kruzów, na których żarzyło się ich szkarłatne słońce. Inne, zbite w kupki, otoczone strażami sylwetki wyglądały na jeńców.

Oddziały wlewały się w wąskie uliczki, atakując prowizoryczne, obsadzone przez łuczników i toporników barykady. Pierwszą sforsowali z marszu. Ale obrońcy wykorzystali minuty wywalczone przez straceńców na pierwszej linii. Druga linia obrony okazała się mocniejsza. Kruzowie odstąpili, zasnuwszy ulicę ciałami. Haran roześmiał się z dumą.

Uśmiech spełził mu z twarzy, gdy ujrzał występujących przed szereg żołnierzy w specyficznych, chroniących twarz hełmach. Wyglądało na to, że Quinatzin znowu powiększył ich liczbę. Palba doleciała do jego uszu nawet tutaj. Obrońców barykady wręcz zmiotło.

Odpalane *braazatalem* kule z łatwością przechodziły przez tarcze, worki i meble, za którymi chowali się buntownicy. Wszystko zasnuwał dym. Korzystając z zamieszania, do ataku ruszyła piechota szturmowa Kruzów. Z tej odległości barbarzyńca nie mógł dostrzec nic więcej, ale jedno wydawało się pewne. Quinatzin wyprowadził na ulice regularne wojsko.

Haran zobaczył już dość. Gwałtownie zsunął się na ziemię, raniąc dłonie szorstkimi włóknami pnącza. Hon i Yora patrzyli na niego uważnie.

— Za wcześnie! Jakiś głupiec sprowokował Kruzów... Zmasakrują ich!
— wybuchnął Haran.

Hon zrobił zdziwioną minę.

— Kazałem im czekać trzy dni. Tak, jak się umawialiśmy...

— To kto powiadomił Kruzów? Szczegóły znaliśmy tylko my trzej
— warknął Haran, spoglądając złowrogo na Yorę, który wytrzymał jego spojrzenie.

— Zapomniałeś o swojej dziewczynie — zauważył.

Haran przestał słuchać. Doskoczył do Yory, zadał mu krótki cios. Potem

zaczął dusić. Hon usiłował go odciągnąć, ale barbarzyńca kopnął go w kolano. Ta część ciała u nikogo nie jest odporna na ból, a już zwłaszcza u wysłużonych starców. Ojciec Yory zawył i zwałił się na ziemię jak kłoda.

— To kapuś. Wydał nas — sapnął Haran, przyciskając ofiarę do pnia.

— To nie ja... — Yora wybałuszył oczy.

— A kto? Sami się zdradzili? A może Kruzowie chcieli sobie manewry zrobić?

— Przysięgam. To nie ja... — charkot Yory cichł, nogi desperacko podrygiwały.

— Zostaw go, proszę! — błagał Hon, czołgając się w ich stronę.

Haran rozluźnił chwyt i zdziwiony, potrząsnął grzywą.

Nie wiedział, dlaczego odpuścił. Kiedyś by tego nie zrobił. Jeżeli zaczynasz, skończ, ta gra nie przewiduje alternatywnych zakończeń. Gnój, którego oszczędziłeś, wyliże się i zacai na ciebie, nie popełni tej samej pomyłki. Blask Twoich Oczu i Flak wyśmialiby go za tę słabość. Co innego Moros-Szaratanga, ten frajer nigdy nie lubił zabijać.

Może dlatego żołnierze tak mu ufali?

Własne miłosierdzie chłopak wytłumaczył sobie koniecznością odnalezienia pieczary. Bez pomocy Hona zajęłoby to więcej czasu.

Cofnął się, uśmiechnął uspokajająco, rozkładając ramiona w pokojowym geście. W końcu jesteśmy prawie rodziną, prawda? Szkoda, że biedna Heza nie może tego zobaczyć. Na pewno by się wzruszyła, może nawet uroniła łezkę. Yora, stary brachu, jak ci się posuwało moją mamę?

Nagły szelest kazał mu się odwrócić. W ostatniej chwili uchylił się przed ciśniętą z miotacza strzałą. Kruzański wojownik w cętkowanym skafandrze Jaguara wyskoczył z zarośli i runął na Harana z bojowym okrzykiem na ustach. Znaleźli ich!

Sparował cios dwuręcznego *macuahuitla* i odepchnął broń przeciwnika,

skrócił jednocześnie dystans i wyprowadził uderzenie. Stalowa klinga Harana ześlizgnęła się po kamiennym ostrzu tamtego, przeciągając Jaguarowi ostrzem po twarzy. Drugiego wroga zatrzymał dalekim sztychem. Kruz zabalgotał i nasunął się głębiej na głównię, chwytając chłopaka za gardło i sięgając ku niemu sztyletem.

Siłowali się, ale przeciwnik – mocno zbudowany, długoręki mężczyzna o fanatycznej twarzy – nie umierał. Czerwona, inkrustowana przetyczka i podgolony wysoko czub wskazywały, że to doświadczony wojownik.

Był dobry. Choć krew wyciekała mu z ust, ignorował ból i przyciągał kark Harana do sztychu swojego noża, dając świadectwo kruzańskiej odwagi i dumy, które kiedyś pozwoliły im stworzyć imperium.

Barbarzyńca splunął mu w twarz, a wojownik odruchowo zamrugął, lekko luzując chwyt. Haran nabrał powietrza i obrócił Kruzowi klingę w brzuchu, po czym pociągnął ku górze. Wojownik osunął się, ale za jego plecami już czekał następny.

Haran puścił zaklinowaną broń i przetoczył się, unikając włóczni. Za wolno. Wróg kopnął go w żebra i uniósł broń, celując mu w gardło. Chłopak pomyślał, że pora powitać zmarłych, o których tyle ostatnio rozmyślał. Wtedy Kruz podparł się na drzewcu, jak znużony starzec, i miękko osunął na ziemię. Z pleców sterczał mu krótki oszczep.

Przed Haranem stał Yora z opuszczonym miotaczem oszczepów. Patrzyli na siebie, zdziwieni, a potem Yora bez słowa podał mu rękę, pomagając wstać. Nigdzie nie widzieli Hona.

Znaleźli go dopiero po chwili. Siedział oparty o pień, zaciskając ręce na paskudnie rozprutym brzuchu. Twarz miał bledszą niż Haran, obok niego leżał zabity Kruz.

— Za wolno. Nie wy... Ja. Należało mi się — wychrypiał.

Haran patrzył, jak Yora klęka obok ojca, przerażony. Chciał pomóc, ale

przecież widywał już takie rany, pamiętał smród żółci i gówna.

Bolesna, szarpiąca śmierć.

Barbarzyńca chciał pożegnać się z Honem, lecz wiedział, że on wolałby spędzić ostatnie chwile z synem. Haran odchodząc, poklepał Yorę po ramieniu i wcisnął mu w rękę nóż. Ten podniósł załzawioną twarz i powoli skinął głową.

Nie trwało to długo. Yora bez słowa oddał mu nóż i usiadł na zwałonym pniu. Haran podał mu bukłak z *pulque*. Yora napił się i ułał z naczynia kilka kropel.

— Zbierajmy się. Lepiej będzie, jak znajdziemy tę pieprzoną jaskinię przed nocą.

* * *

Dzień wcześniej pilnie strzeżoną komnatę w twierdzy klanu Turkusowej Włóczni wypełniali znudzeni, wpływowi mężczyźni. Najbardziej znudzony był król. Obejrzał już freski na suficie, przedstawiające jakieś mitologiczne masakry, zgłębił wzory na draperiach i zacieki w kącie sufitu. Narada przeciągała się.

Quinatzin pomyślał, że brakuje mu Szurukana. Stary pierdziel dodawał do tych spotkań przynajmniej odrobiny pieprzu. Rządzenie bez porządnej opozycji to w sumie żadna zabawa. Niepokoiła go też nieobecność Alvaratla, jego doradca od wczoraj gdzieś się zawieruszył i nie dawał znaku życia. *Tlatoani* przypomniał sobie krążące pogłoski i zmarszczył brwi. Alvaratla fascynowali **tamci**. Było to widoczne, odkąd na stałe znalazł się w pobliżu Dołów. Quinatzin nie dbał o plotki i rozumiał perwersyjne, niezdrowe obsesje. Wynalazca nie powinien jednak zaniedbywać obowiązków. Chyba będzie trzeba nauczyć go szacunku.

Powietrze w Yugal było wilgotne i parne, kraina słynęła z obfitych

opadów. *Tlatoani* czuł, że za moment się zdrzemnie. Słuchał więc jałowych sporów, przybierając na zmianę jedną z trzech masek: klasycznie posepną i srogą, ironicznie rozbawioną bądź ojcowsko zatroskaną. Czasami łączył je wszystkie w pojedynczą, deprymującą enigmę.

Przynajmniej jedną palącą sprawę, wyłonienie nowego Pierwszego Kapłana, udało się dzisiaj załatwić. Następca Szurukana, młody, pulchny mężczyzna o dziewczęcej cerze, idealnie uosabiał popierany teraz przez króla typ kruzańskiego kapłana. Wdzięcznego, że jeszcze oddycha. *Tlatoani* nie zapamiętał jego imienia i uważał, że tak właśnie powinno być.

Potem pojawiła się kwestia wzniesienia w stolicy pomnika generała Tizoka, czego domagali się niektórzy starsi oficerowie. Nikt nie zgłaszał sprzeciwu, gdy Quinatzin zaproponował postawienie statuy w jednej z ubogich, podmiejskich dzielnic, której z pewnością przyda się odrobina sztuki. Następny przemawiał Hirikan. Przywódca Zabójców Gwiazd, metodyczny i skrupulatny, nawet zupełnie pijany jak teraz, przedstawił rzeczowy raport o bezpieczeństwie prowincji.

Gdy zaproponował otoczenie kordonem terenów Druazzi, brutalna twarz Maczuraia sposepniała. Quinatzin przyglądał mu się, rozbawiony. Maczurai musiał odebrać tę propozycję jako wejście w swoje kompetencje:

— Czego konkretnie się obawiasz? Komarów?

— Może tysiące uzbrojonych barbarzyńców, którzy nudzą się i wszczynają burdy? Twój Druazzi to wylęgarnia buntowników.

— W Tlaskali byli jednak dość dobrzy! — zaproponował Maczurai. Odwrócił się w stronę *tlatoaniego*. — Nie powinieneś wysyłać wojsk do Dzielnicy Leśnej bez konsultowania się ze mną. Wciąż jestem tu księciem, a ci ludzie to moi poddani!

Quinatzin wzruszył ramionami, nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Ci ludzie to buntownicy, oskarżeni o knowania przeciwko koronie.

A Yugal zostało ci nadane... tymczasowo. Nie zapominaj o tym.

Maczurai spurpurowiał, lecz skłonił pokornie głowę. Quinatzin uśmiechnął się. Stary bawół dobrze wyczuwał wiatr zmian. Jego pozycja osłabła wraz z sytuacją jego nieposkromionych oddziałów. Barbarzyńcy byli potrzebni, żeby podkopać kapłanów i szlachtę. Ale, na przodków, muszą znać swoje miejsce. Nazywa się rynsztok, nie pałac.

— Niepokoje szerzą się we wszystkich prowincjach, panie. To typowe dla powojennego czasu. Na ulicach kłębią się tłumy zdemobilizowanych żołdaków, odwykłych od pokory i posłuszeństwa. Najgorzej jest w Mieście Trzcina — zauważył nieśmiało Pantokatl, minister spraw wewnętrznych.

Dystyngowany, dobrze urodzony, sprawiał wrażenie przestraszonego. Może miało to coś wspólnego z tym, że głowa jego stronnictwa, Szurukan, został niedawno zaszlachtowany i oprawiony jak jeleni?

— Podaż złota, kosztowności, kakao, niewolników i piór powoduje inflację — podjął. — Spada wartość niewolników i innych towarów. Załamanie uderzyło szczególnie w Kruzów z kasty wojowników. Szlachta narzeka, że wojna ją zrujnowała.

— Czyli zyski szlachty są małe, ponieważ są duże, tak? A wszystko to moja wina? — zapytał Quinatzin uprzejmie.

Dygnitarze zarechotali przymilnie, a Pantokatl się zaczerwienił.

— Wielu zadłużyło się, żeby skompletować rynsztunek na wojnę. Spodziewali się większych zysków i teraz nie mogą spłacić lichwiarzy.

— Znakomicie. Im więcej lichwy, tym lepiej. W moim imperium wciąż za mało jest jeszcze pieniędzy, a zbyt wiele darmowych obiadów. To osłabia ambicję i wolę.

Cnteotl, dowódca Gwardii, przybrał zatroskaną minę.

— Coraz więcej wysoko urodzonych ma długi. Pozbywają się ziemi za bezcen. Dotyka to naszych gwardzistów...

— Narasta konflikt między wojownikami a kupcami — dodał królewski doradca Mazatlan.

Zwykle śmiertelnie skłóceni, dziś obaj dworacy zerknęli na siebie porozumiewawczo. Do wymiany spojrzeń dołączył Varaputl, minister skarbu, zawsze hojnie dotowany przez kupców.

Quinatzin poczuł lekki niepokój. Rywalizacja arystokratów i kupców oraz ich reprezentantów przy dworze stanowiła podstawy imperialnego ładu. Nie byłoby dobrze, gdyby zwaśnione frakcje znalazły nagle wspólny język.

Ale odpowiedź miał przygotowaną:

— Pozwólmy zatem naszym dzielnym rycerzom rozładować gniew. Niech sobie utoczą krwi.

— A nie lepiej... ulżyć ich sytuacji? — zaproponował Hirikan.

Quinatzin westchnął, zirytowany. Zawodowi wojacy to jednak zakute łby.

— Dopiero gdy stracą wszystko. Chcę, by kasta rycerska widziała we mnie swoją jedyną nadzieję. Na razie mają mi za złe otwarcie armii na barbarzyńców. Musimy to zmienić.

— Upokorzeniem? Hańbą? — nie dawał za wygraną Hirikan.

Quinatzin uśmiechnął się.

— Nie nalewa się do pełnego naczynia, kochani. Miłość do władzy przepelni ich serca, dopiero gdy ich trzosa i brzuchy staną się puste.

— Ale za jaką cenę! Wojownicy zastraszają i biją kupców. Naszych najwierniejszych popleczników. Są już ofiary śmiertelne — wtrącił Mazatlan. Wszyscy wiedzieli, że ma rodzinne powiązania z Gildią Kupców i osobiście inwestuje w karawany.

Tlatoani załamał rękę.

— To karygodne. Myślę, że w świetle tych tragicznych wydarzeń Gildia zmieni swój egoistyczny stosunek do królewskiego podatku na wojsko

i straż. Przy obecnym stanie skarbcza nasze siły nie mogą być wszędzie.

— Nawet jeżeli się zgodzi... Gildia będzie się domagać winnych.

— Być może dałoby się podsunąć naszym kupczykom jelenia ofiarnego.

O zabójstwa i niepokoje możemy oskarżyć dzikich — zasugerował monarcha.

Maczurai zmarszczył brwi.

— Doprowadzisz do barbarzyńskiego powstania. Wszędzie!

— Nie musimy podburzać wszystkich — wyjaśnił spokojnie Quinatzin, ale był to spokój, który mroził krew w żyłach. — Otomi nienawidzą Druazzi, za to tolerują Tarasków, prawda? Jest więcej takich podziałów?

— Tak, panie. Muszę o nich pamiętać, kiedy zaciągam i formuję oddziały — potwierdził Maczurai.

— Znakomicie. Odnoszę ostatnio wrażenie, że trochę przesadziliśmy z zaciąganiem dzikusów do armii. Przyda się lekka... korekta. Mazatlan, ty się tym zajmiesz.

— Nie zawiodę cię, panie. — Dostojnik się pokłonił.

— Odczekaj nieco, aż kupcy zgodzą się na podniesienie podatków. Potem wyłoń winnych... i niewinnych... podług plemiennych niechęci i waśni. Zadbaj też, żeby to dzicy pacyfikowali dzikusów. Taniej wyjdzie, a naszych Kruzów wolałbym trzymać do innych zadań.

— A ich długi? — zapytał dowódca Gwardii.

— Gdy już do reszty zbiednieją, uspokoi ich nowa mobilizacja... tym razem przeciwko Taraskom. Wtedy będziemy hojni. Obsypimy ich kukurydzą i złotem. I jeszcze jedno. Wśród yugalskich Druazzi wykryto poważny spisek. Ogłaszam ich wyjętymi spod prawa. Wszystkich. Zadbajcie o to, by znaleźli się po stronie winnych.

— Szkoda. Druazzi to dobrzy żołnierze. Najlepsi zwiadowcy świata — mruknął Maczurai niechętnie.

Quinatzin wzruszył ramionami.

— Spełnili już swoje zadanie. Poza tym ich obecność w pobliżu kopalni mnie niepokoi. Nie będę tolerować skupisk buntowników w pobliżu ośrodków władzy. Wynagrodzę ci to. Obiecuję.

Tym razem Maczurai nie protestował. Sędziwy Ragazatl, namiestnik miasta Tezcoco, który doradzał jeszcze ojcu Quinatzina i zachował wpływy wśród starej szlachty, pokręcił głową z widoczną niechęcią. Głos mu drżał, podobnie jak gruzłowaty palec, który wymierzył w *tlatoaniego*.

— Słucham i uszom nie wierzę... a może nie rozumiem tego nowego języka. Popraw mnie, królu, jeżeli się mylę. Nasi kupcy przestraszą się szlachty i skupią pod twym opiekuńczym, lecz kosztownym skrzydłem. Szlachta popadnie w ruinę, co zachęci ją do ekspansji i służby. Chłopi zbiednieją, bo rynek zaleje tanie zboże z niewolniczych folwarków, które stworzysz w Tlaskali i w Tikal. Barbarzyńcy z plemion zostaną spacyfikowani, by uspokoić nastroje. Czy ktokolwiek w Przymierzu skorzysta na twoich zwycięstwach?

— Ty, Ragazatlu. Ty oraz tobie podobni.

— Nie rozumiem. — Starzec pokręcił głową.

— Pamiętaj, że żaden władca nie osiągnął niczego wielkiego, mając szczęśliwych poddanych. Siła i dobrobyt motłochu zawsze jest klęską władzy. Musimy zaszczuć tych skurwysynów tak, by zebrali o naszą opiekę. Mają płacić za każdą drobinę strawy, za marzenia, pieszczoty i łachy na brudnym grzbiecie. Mają kłębić się w miastach, z dala od swoich pól, które będą uprawiać niewolnicy. Mają stać się bezbronni i nękani, podzieleni i narażeni na przemoc. Mają nienawidzić i łaknąć. A gdy trzeba, stanąć na pierwsze wezwanie boga-króla!

— Więc tak wyobrażasz sobie nasz kraj? To straszne... — wybełkotał siwowłósy szlachcic.

Quinatzin uśmiechnął się słodko.

— Nie. Straszny jest moment, gdy lud zastanawia się: a po co właściwie nam władza? Po co poborcy podatków, biurokraci, kapłani i szlachta? Wystrzegajcie się sytych poddanych, którzy zadają pytania. Wtedy królów przybija się do oparc ich tronów, a królowe pierdoli na śmierć. Wtedy dzieciom następców tronu rozbija się czaszki o stopnie. Obala się posągi i ołtarze. Umiera cywilizacja, a pola zmieniają się w ugór. Świątynie pochłania dżungla. Wiedza o zniewoleniu to klęska. Przed tym was chronię, bracia.

— Zaszczuć ich, powiadasz? Zdesperowani ludzie robią nieprzewidziane rzeczy — mruknął Maczurai, który właśnie sprawdzał opuszką kciuka ostrość stalowego sztyletu. — Niektórzy nie dadzą się zgnoić. Gdy już powstaną... tysiącami... uzbroją się w pałki i włócznie. Nie wymordujesz ich wszystkich.

— I tu się mylisz — roześmiał się Quinatzin. — Tak było, ale wszystko się zmienia. Białoskórzy nazywali to „postępem”. Potrzeba nam tylko więcej strzelb.

* * *

Zejście do podziemi okazało się zwykłą jamą ukrytą na zboczu wzgórza. Już pierwszy rzut oka wystarczył – prowadziło głębiej, nawet jeśli nie znaczyły go czaszki i kości ani żadne złowieszcze ślady.

Haran pamiętał to miejsce, którego mglisty obraz skrywały wspomnienia Morosa. To tędy jego przyjaciel uciekł, zostawiając towarzyszy na śmierć.

Barbarzyńca zawsze myślał, że Moros-Szar zostawił ich w Dołach, bo nie mógł inaczej. Usprawiedliwiał go, nawet kiedy mu złorzeczył. Wyobrażał sobie, że wydostał się tajnym szlakiem, dostępnym dla samych herosów. Ale prawda okazała się inna, tak banalna, że aż bluzgnął wzgardliwym śmiechem.

Chodziło o szanse ucieczki.

Jeden człowiek zdołał się rozplątać w ciemnościach. Setka zbiegów zostałaby zauważona, okrążona i wycięta w pień.

Najwyraźniej słynny Szaratanga ograniczał swe legendarne, ofiarne bohaterstwo do świętej krainy Termitów. Wobec innych kierował się pragmatyzmem. Haran zawsze lubił to słowo, zawierała się w nim cała subtelna dwuznaczność cywilizacji, która – na jego barbarzyński rozum – sprowadzała się do gmerania człowiekowi w kieszeni połączonego z bezczelnym kłamstwem, że właśnie został poważnie obdarowany.

Z dwojga złego wolał zwyczajne kurewstwo.

* * *

Do zejścia do jaskiń Zjadaczy miała posłużyć Haranowi specjalna drabinka przywiązana do wystającego kamienia. Były to właściwie dwie połączone ze sobą liny, gdzieniegdzie zaopatrzone w sznurowe „szczebelki”, na których wspinacz mógł złapać oddech. Za pomocą takiego sprzętu Druazzi wspinali się na najwyższe drzewa w poszukiwaniu miodu, w czasach gdy las ich karmił, odziewał i poił. Pęcherz nauczył go tej techniki. Kolejny przydatny relik. Cóż, jego cel nie będzie niestety tak słodki.

Zaopatrzył się też w pochodnię i mocne, stare raki do wspinaczki, które wytargował od Yory. Ten stał teraz obok z miotaczem oszczepów w ręku. Na policzkach miał smugi zaschniętej krwi, układające się w wojenne znaki Druazzi.

— Na twoim miejscu poszukałbym dobrej kryjówki. Kto wie, co wypełza nocą z tej dziury — mruknął Haran.

Nie była to do końca prawda. Obydwaj widzieli, kto poluje nocami w tych lasach. Yora pokręcił głową.

— Przypilnuję drabinki — powiedział bezbarwnym głosem.

Haran wiedział, że Yora ocalił mu życie, w jakiejś mierze wyrównując rachunki. Życie za życie. Ale Yora stracił ojca, a ludzie różnie reagują na taką stratę. „Poza tym gdybyś nie rozpierdził staremu łękotki, żyłby”. Bezpieczniej byłoby go zabić.

Yora musiał rozpoznać w jego oczach wyrok, bo cofnął się, unosząc atlatl. Po chwili opuścił broń.

— Jeżeli stary miał rację, jesteś naszą jedyną nadzieją. Nie mogę cię zabić — mruknął.

— A jeżeli się mylił? — Haran miał już dość tego gadania. Czy wszyscy powariowali? Czy naprawdę miał zamiar spełznąć z powrotem do Dołów?

Poczuł, że pragnie, by Yora posłał mu celny oszczep. To byłoby domknięcie, śmierć gładsza niż w szponach Zjadaczy.

— Nie dowiemy się, jeżeli nie spróbujesz — zaproponował syn Hona. Rzadkie od potu włosy lepiły mu się do czaszki, nadając jego nieładnej twarzy wyraz bardziej żaloszny niż zwykle.

Haran nie widział nigdy człowieka, który w mniejszym stopniu przypominałby bohatera. Czy mógł mu zaufać? Cóż, nie dowie się, jeśli nie spróbuje.

Lina trzymała mocno, napięta jak jego nerwy. Przypomnił sobie nauki Morosa i wszystko, czego nauczył się w Dołach. Szaratanga też był nie lada wspinaczem, w końcu to wynajdywanie niemożliwych ścieżek i przejść przyczyniło się do jego sukcesów.

Jeżeli on był Lwem Labiryntu, to kimże ja jestem? Wściekłym psem, który ujada na kościach.

— Pożegnaj ode mnie Hezę. I Leyre — zawołał, zsuwając się w ciemność.

Słońce i płatek nieba zamknęły się nad nim jak przestraszone oko. Poczuł znajome powietrze Dołów, zatęchłe i kwaśne, przesycone cierpką wonią

smaru.

Szorował nogami po skałach, badając szerokość komina. Był wąski; nie tak, by się w nim zaklinować, ale pozwalał sięgać rękami do ścian. Po pokonaniu dystansu kilkunastu strzał chłopak owinął dodatkową linę o wystający załom skalny, minimalizując ryzyko przypadkowego przetarcia drabinki. Opuścił się niżej, odbijając się od skały jak dziecięca zabawka z kauczuku. Komin poszerzył się i nagle po bokach nie miał już ścian.

Wokół otwierała się pustka.

Zupełnie jak w nim. Narastał lęk, który do tej pory hamował skupieniem, kontrolą oddechu i mięśni. Coraz bardziej bolały go palce, barki i łokcie także dawały o sobie znać. Komukolwiek służył ten komin, na pewno nie był codzienną trasą Zjadaczy.

Gdzieś nad nim lina zatrzeszczała, szorując o skałę, której oczywiście nie widział. Zacisnął zęby.

W dół.

Obok twarzy przeleciał mu nietoperz, uchylił się instynktownie, zakołysał. Dalej. Bez przeszłości, przyszłości i strachu.

W ciemność.

Świadomość skupił na niewielkim wycinku rzeczywistości, doświadczeniu oddechu i ruchu. Powoli kierował oddech w najbardziej bolesne miejsca. Orzeźwiał je i zasilał, niczym w wewnętrzne paliwo. Skupienie na oddechu i ruchu nieuchronnie przerodziło się w trans, ale wszystko było lepsze niż ten strach. Ocuciło go dopiero gwałtowne szarpnięcie.

Koniec.

Ale tylko liny. Druazzi zaopatrzyli go, jak umieli najlepiej, ale tutaj okazało się to niewystarczające. Najwyraźniej żadne z ich drzew nie wymagało tak długich sznurowych drabinek.

Zaklął przez zęby. Wychylając się na boki i w dół, usiłował rozproszyć mrok pochodnią. Nie miał kresu. Haran chwycił za jeden z noży i upuścił go, czekając na odgłos upadku. Dosłyszał go szybko, lecz wydał mu się bardzo daleki i cichy. Zaklął. Czuł, jak budzi się w nim panika, chór przerażonych impulsów. Jak na złość Moros zamilkł akurat wtedy, kiedy go najbardziej potrzebował. Zupełnie jakby Szar próbował mu dać nauczkę. Chciałeś być dorosły? No to dajesz!

Przeanalizowawszy sytuację, Haran doszedł do następujących konkluzji. Po pierwsze, miał przerąbane. Po drugie i trzecie, patrz punkt pierwszy.

Co zrobisz? Wypełniesz na górę z pustymi rękami, tłumacząc się i dukając, że nie wyszło, że każdemu się zdarza? Za kilka dni nie będzie już kogo przeproszać. A może zostaniesz i podyndasz tutaj?

Wyobraził sobie, jak powoli opada z sił, aż pełzające kształty Zjadaczy odcinają go ze sznura jak pajak pechową muchę. Jeżeli zeskoczy teraz, przynajmniej zdoła załatwić kilka tych bestii. Albo umrze od razu.

Spadł na miękkie, trzeszczące podłoże, wysłane całunem kosteczek i suszonego guana.

Rozdział 33

Szczególną cechą ludzi szlachetnych i dobrych bywa ślepotą na prawdę.

Iczikin, Rozważania o zmięczeniu

Haran ocknął się w absolutnej ciemności. Chwilę trwał nieruchomo, bojąc się, że ruch ściągnie mu na kark Zjadaczy.

Usiłował się zorientować, w której części Dołów wylądował. Czuł się głupio, stojąc w ciemności jak czekający na natchnienie poeta, ale jego sytuacja w ogóle nie należała do komfortowych. Z taktycznego punktu widzenia był zakładnikiem upiora. Zazwyczaj w orientacji pomagały wspomnienia Morosa-Szara, który z zasady nie zapominał niczego. Niestety, z wiedzą tego duchowego pasażera na gapę był jeden problem – pojawiała się nagle i tak samo znikająca, nieprzewidywalna jak deszcz i kobiece nastroje. Haran podejrzewał, że wspomnienia uruchamiały się w nim pod wpływem konkretnych bodźców, zapachów, kształtów i dźwięków.

Tym razem domagał się odpowiedzi na jednoznaczne pytanie. Jak wydostałeś się z Dołów? Ale właśnie tego Moros nie chciał mu nigdy powiedzieć.

Widać naprawdę się wstydził.

Pozostawanie w jednym miejscu nie było dobrym pomysłem. Poruszał się po omacku, idąc za powiewem od szczytu komina. Ruch powietrza wskazywał, że nie trafił do odciętej komory. Szczelina, przez którą się tutaj dostał, majaczyła daleko w górze. Wiedział, że grozi mu śmiertelne

niebezpieczeństwo. Chociaż główne, łowieckie wyjście Zjadaczy leżało gdzie indziej, był pewny, że nie jest tu sam. Znajdował się w obcej krainie i musiał czym prędzej przedostać się do ludzkiej części podziemi. Torturowany Zjadacz wyznał im kiedyś, że bestie nazywały ten obszar Komnatami Zwierzyny.

Pod stopami miał miękki piasek i trzeszczące, pękające kości. Z początku myślał, że to szczątki nietoperzy, ale szybko pojął, że musiały należeć do większych stworzeń. Niektóre przypominały pozostałości człowieka, inne, lżejsze i bardziej kruche, podobne do wydrążonych kosteczek ptaków, były zapewne szczątkami przedstawicieli innego gatunku.

Przed oczami pojawił mu się obraz *murgha*, smukłych i wiotkich, dziwnie kruchych w pomroce podziemi. Unosiły się jak dryfujące wodorosty, bezwodne meduzy i widma poruszane niewidzialnymi prądami, wabiąc niebaczących wędrowców zwodniczą zwiewnością swych ciał. Gdy ścierali się z ludźmi, Zjadacze nigdy nie zostawiali swoich poległych i zawsze zajadle walczyli o zmarłych.

Szkielety pod stopami nie nosiły śladów walki, ich zgon musiał mieć naturalne przyczyny, jeżeli cokolwiek, co dotyczyło *murgha*, mogło być naturalne.

Odnalazł cmentarzysko Zjadaczy.

Zapalił na moment pochodnię i okazało się, że drugie wyjście z komory – wąski otwór w płaskiej, wygładzonej skale – mieści się kilkanaście stóp nad ziemią. Haran próbował posłużyć się hakami wspinaczkowymi, ale ściana okazała się piekielnie twarda. Gdy całkiem już opadł z sił, usłyszał za sobą nieludzki, melodyjny śmiech.

Odskoczył, puszczając haki, i przeturlał się po ziemi. Dobył miecz, zamachnął się nim na oślep, ale klinga tylko przecięła powietrze.

Węszył.

Śmiech znów rozbrzmiał, tym razem bliżej. W ciemności poruszył się jakiś kształt, zbyt szybki, by Haran zdążył zaatakować. Purpurowe źrenice rozbłysły, rozjarzone wewnętrznym blaskiem. Zobaczył upiorne płaszczyzny maski zakrywającej niehumanoidalną głowę istoty.

Uderzył na oślep, dźgając ciemność w gwałtownym wypadzie. Coś musnęło go z lewego boku i nagle ciemność rozbłysła zimnym, niebieskawym światłem. Zobaczył białe, wapienne ściany i zwisające z nich stalaktyty. Gorzkim paradoksem Dołów było to, że wytęsknione, na pół zapomniane światło objawiało się zabłąkanym skazańcom wtedy, gdy dopadali ich *murgha*.

Przed sobą miał przykucniętą, smukłą sylwetkę, która kształtem przypominała skrzyżowanie człowieka i kota. *Murgha*. Haran uderzył w to cudo znad głowy, ale równie dobrze mógłby polować na światło gwiazd. W porównaniu z cuchnącymi *hikku'tai* arystokracja Zjadaczy poruszała się z niezwykłą szybkością i gracją. Istota miała teraz optymalną sytuację do kontry, lecz z jakichś powodów czekała. Gdy Haran zrobił krok w jej stronę, zakwiliła, odsłaniając dziąsła.

Czemu ty... Dziecko smaru. Prawie już... Już nasz – rozbrzmiało w umyśle Harana. Więc tak się porozumiewają. Postanowił skorzystać z okazji i wyprowadził pchnięcie. *Murgha* w ostatniej chwili zrobił unik, a ciężka klinga zamiast serca rozpruła mu bok. Zjadacz kontratakował, uderzając ukrytym sztyletem, który minął oczy człowieka i naznaczył mu szramą policzek.

Przy następnym ataku Haran zastosował zwód, zadając cios w miejsce, gdzie jego przeciwnik miał skoczyć. Tym razem musnął obnażone ramię Zjadacza, który zakwilił i parsknął śmiechem. Haran zaryczał z wyzwaniem i nagłą radością. Pokonać *murgha* w pojedynku... to byłoby coś. Pozdrowił demona i uniósł miecz nad głowę. I wtedy istota zdjęła maskę.

Pod jej rzeźbioną powierzchnią nie ukrywały się rany ani wrzody, łuski czy potworne blizny. Była to tylko twarz, ale jej rysy uderzyły Harana z siłą rozpędzonego bizona. Upadł, przetoczył się ciężko po ziemi. Twarz *murgha* skradła mu powietrze z płuc, a z gardła wydarła szloch. To nie był czysto estetyczny podziw, raczej skondensowane wzruszenie. Zmasowany atak na wszelkie emocjonalne uwarunkowania człowieka. Jakby ktoś jednocześnie szarpnął za struny nadziei i strachu, radości i smutku, rozkoszy i najsilniejszej odrazy. Kakofonia piękna i grozy.

Pod powiekami roiło mu się tysiące sygnałów i znaczeń. Znaki. Analogie. Kombinacje. Wirowały, zmieniając się w dowolne, często bardzo złożone przekazy. To, co czujesz, gdy twoja pierwsza dziewczyna po raz pierwszy rozchyła przed tobą uda oraz to, co czujesz, gdy to robi przed innym. Powrót do domu i twój dom, który akurat się pali. Pierwszy, nieskazitelny śmiech dziecka, i jego śmierć w tym samym momencie. Twoje pierwsze zapamiętane urodziny, z prezentami, czułością i śmiechem, odprawione na jesiennym pogrzebie rodziców.

Rysy obnażonego Zjadacza wykreowały w umyśle Harana to wszystko, dorzucając dodatkowe, potężne wzruszenia, których istnienia nawet się nie domyślał.

Zwykły człowiek by tego nie zniósł. *Murgha* wiedział o tym, w ten sposób załatwił już setki skazańców. Wybił się, sięgając do szyi Harana. Ale ten nie był zwykłym człowiekiem.

Powiadają, że złamane kości zrastają się mocniejsze. Czasami nie zrastają się wcale i wtedy nie ma już czego łamać. W chwili gdy *murgha* gotował się do ataku, barbarzyńca wzruszył ramionami i niczym kundel otrzepujący się z błota, strząsnął z siebie koszmary. W podobnym słodkim piekle żył przecież od lat. Gdy Zjadacz skoczył, Haran nie pamiętał już o tamtej przykrości i po prostu wyciągnął przed siebie miecz.

Dwie siły spotkały się i *murgha* osunął się po stalowej klindze jak pieczone jabłko po rożnie. Haran nie otwierał oczu, twarz owionął mu cuchnący siarką, wanilią i gównem oddech istoty, która skrzeczała teraz z bólu. Jej palce zaciskały się na jego szyi, lecz brakowało im sił. Gdy była już bardzo blisko, Haran odchylił głowę i z całych sił uderzył. Coś chrupnęło, a nos demona ustąpił pod jego czołem. Wszędzie dymiła biała, niehumanitarna krew.

Było nosić maskę.

* * *

Po drodze do Komnat Zwierzyny Haran ledwo uniknął wykrzyčia. Mijani od czasu do czasu Zjadacze krzatali się, zaaferowani i nerwowi, jakby stwory szukały kogoś ważnego. Raz patrol prawie na niego wpadł, lecz choć Zjadacze podejrzliwie węszyli, w końcu odeszli, uznając widać jego zapach za woń jednego z licznych jeńców.

Po raz pierwszy przemierzał ten obszar Dołów i podejrzewał, że niewielu ludzi zapuszczało się tu z własnej woli. Powiedzmy, że nie był ciekawski i starał się nie rozglądać. Drobin obrazów i dźwięków i tak jednak przenikały przez jego filtr ochronny i nawet te kawałeczki wystarczyły, żeby porwać umysł człowieka na strzępy. Ale Haran znał Doły, odbył już suchą zaprawę. Teraz po prostu odgrodził się od wrzasków, smrodów i obrazów wyłaniających się w purpurowych rozbłyskach.

Czasami światło zaskakiwało go i musiał patrzeć; tak stało się, gdy blask ogniska *hikku'tai* zaprezentował mu wizję podziemnych upraw, spiżarni skąpanych w czerwieni, z setkami nanizanych na kościane ościenie istot, ludzi i bestii, wijących się w symfonii wydzielin, bólu i krwi, w oczekiwaniu na powrót apetytu swoich przeklętych władców.

W końcu znalazł się na ziemi niczyjej, pograniczu między terytorium

Zjadaczy i ziemiami ludzkich klanów.

Dotarł już blisko.

Z każdym krokiem poznawał okolice i nie były to miłe wspomnienia. Odnajdywał zapachy i kształty, jego węch, słuch i dotyk przypominały sobie, jak zastępuje się oczy. Najsilniejszą wskazówką była woń. Smród fekaliów był tu wyczuwalny, lecz mniej odstręczający niż w innych korytarzach. Jego klan zawsze starannie zasypywał odchody, Moros miał na tym punkcie obsesję. Teraz Haran wiedział, że przyjaciel kierował się wiedzą wyniesioną z wojska i chronił ich dzięki temu przed chorobami, takimi jak czerwonka. Dobry oficer boi się dezynтерии bardziej niż mieczy wroga.

Nagle zatrzymało go głucho warknięcie.

— Ani drgnij. Ktoś ty?

Haran zastanawiał się, co odpowiedzieć.

— Nowy?

— Chcę mówić z Flakiem.

Szuranie i szybka wymiana szeptów. Odetchnął z ulgą. Ryzykował, stawiając wszystko na jedną kartę. Nadzieja, że jego koleżkowie wciąż żyją, łatwo mogła się okazać płonna, w tym świecie, w którym przetrwanie miesiąca stanowiło niezwykle wyczyn. On wracał po przeszło roku.

— Flak nie żyje. Ale słyszałem o nim. Gadaj, kim, kurwa, jesteś?

— Ja? Dobrym duchem tej ślicznej kopalni, ciołku. Roznoszę górnikom obiadki.

Odpowiedział mu cichy śmiech. Coś zaszeleściło, na szyi poczuł dotyk długiego oszczepu z kości.

— Nie zabijajmy go, Gruz. Blask na pewno chciałby rzucić na to okiem.

Haran odetchnął, lecz mało było w tym ulgi. Blask Twoich Oczu nienawidził go... to znaczy, nienawidził go bardziej niż innych. A rzucanie okiem w jego przypadku sprowadzało się do wrózenia ze swojej kolekcji,

wydarłej z dziesiątków oczodołów. Pięknie.

— Na twoją odpowiedzialność, Koźle — mruknął Gruz.

Haran wyszczerzył zęby i pozwolił włóczni się prowadzić.

Teraz musiał tylko przekonać starego wroga. Człowieka, który nikogo nie lubił, a jego jedyną słabością był afekt do kolekcjonowania ludzkich organów.

* * *

Tennok i jego ludzie już od rana czekali w szopie wzniesionej obok zejścia do Dołów. Trzcinyowy daszek osłaniał przed deszczem i słońcem cztery konie, które trafiły tutaj za sprawą jego świetnego pomysłu. Wprzęgnięte w jarzmo zwierzęta obsługiwały mechanizm windy, którą z kopalni wyjeżdżał urobek.

Ponieważ księżę objął posadę głównego nadzorcy, jego obecność nie budziła tu niczyich podejrzeń. Odprawił też, pod różnymi pretekstami, strzegących windy żołnierzy, zastępując ich swoimi ludźmi. Haran i ten malowniczy weteran, Hon, przydzielili mu siedmiu posepnych, znaczonych bliznami Druazzi, których księżę umieścił w zamku pod pretekstem jakiegoś projektu budowlanego.

Teraz cierpliwie wpatrywał się w ciemną czeluść Dołów, z której dobiegały odległe odgłosy stukania i łupania skał, a czasem złowieszcze szepty. Czas dłużył mu się jak jeszcze nigdy w życiu. Wrażenie uwięzienia potęgowała specyfika tego miejsca, będącego głęboką, wyrytą w wapieniu niecką, nad którą wznosiły się mury i baszty twierdzy Turkusowej Włóczni. Haran miał dać mu znak fajerwerkiem, który ze sobą zabrał, a potem trzykrotnie zapalić i zgasić pochodnię na dnie głównego szybu.

Z tego, co księżę się orientował, wynikało, że inni także realizowali swoją część planu. Królewskie pułki w pośpiechu opuszczały zamek, kierując

się na bagna. Leyre musiała już przekonać Quinatzina, że hordy Druazzi z całego Przymierza gromadzą się na moczarach, by w ferworze uderzyć na Yugal. Dzięki temu u boku króla zostało najwyżej kilkuset gwardzistów.

Dzięki temu spisek miał w ogóle jakieś szanse.

Nagle pojawił się przy nim jeden z Druazzi. Księżę zawsze czuł dreszcz, gdy ci ludzie wyrastali mu za plecami jak duchy.

— Mamy problem — powiedział wojownik cicho. — Twój ojciec chyba coś zwęszył.

* * *

— Wycofujemy się! Słuchajcie mnie, do cholery! — Yora po raz kolejny przeklął swój cienki, piskliwy głos. To, że był niemiłosiernie zdarty od wrzasków, nie pomagało.

Nie pomagał również wzrost i postura zabiedzonego pokurcza. Dowódca nie musi górować nad tłumem, ale to pomaga. Znacznie bardziej niż wspinanie się na palce i żalosne podskakiwanie.

Po odprowadzeniu Harana do jaskiń Yora pogrzebał ciało ojca, żeby nie dostali go padlinożercy. Potem ruszył w stronę ukrytego obozowiska Druazzi. Zgodnie z planem buntownicy mieli się wycofać z miasta. Wywabić Kruzów na bagna, a potem zatrzymać ich tam jak najdłużej, a jeżeli się uda, potopić skurwieli i zniszczyć. Jednak do tej pory nie przypominało to zaplanowanego odwrotu, lecz paniczną ucieczkę.

Wokół kłębili się zmęczeni, spanikowani ludzie. Yora rozumiał ich zniechęcenie i strach. Liczyli, że Kruzowie nie pójną za nimi tak daleko na bagna. Może właśnie na tym polegała legenda o wojennych przewagach Druazzi. Nikt poza nimi nie chciał się taplać w tym przeklętym błocku. Z wyjątkiem Quinatzina. On nie miał takich oporów.

Nie wspominając już o tym, że jego wojska zaatakowały, zanim wszystko

zostało dopięte.

W końcu zdesperowany Yora uderzył najbliższego wojownika w nerkę. Mężczyzna zatoczył się z krzykiem i obrócił ku niemu, wściekły. Yora uśmiechnął się.

— Chcesz żyć?

— Co?

— To pomóż mi ogarnąć ten burdel.

Stopniowo, powoli, zaprowadzili jakiś porządek. Yora żałował, że nie ma tu jego ochroniarzy, ale kochany Haran skutecznie wyłączył ich z akcji. Na szczęście udało mu się znaleźć Kerroka, przywódcę starszyny. Świetnie się bawił, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji. Yora bardzo mu tego zazdrościł.

Kuśtykając na zdrowej nodze, stanął przed tłumem ubłoconych i obszarpanych Druazzi. Jego ludzie nigdy nie byli zdyscyplinowani, a to, że teraz towarzyszyły im kobiety, dzieci i starcy, nie pomagało. Gdzieś tam znajdowała się Heza i ich synek. Na myśl o nich Yora poczuł, jak jego głowa rozjaśnia się. Robił to dla nich. Z daleka dochodziły odgłosy wciąż toczonych walki.

— Druazzi, słuchajcie mnie. Quinatzin to szaleniec i drań. Jeżeli złożycie broń, wszyscy traficie do Dołów. No, może paru naszym dziewczętom się poszczęści i znajdą przytulny kąt w którymś z kruzańskich burdeli.

Odpowiedział mu niechętny szmer. Yora zaczerpnął tchu.

— Wiem, że uważacie mnie za zdrajcę. Ale wszyscy znaliście mojego ojca i szanowaliście go.

Znów szmer, tym razem nasycony szacunkiem i smutkiem. Dobra nasza.

— Zaklinam was, przelećcie część tego szacunku na mnie. Zaufajcie mi. *Aszkatli* Hon i wojownik Haran wiedzieli, jak zniszczyć Kruzów. Plan zakładał, że odciągniemy część ich sił. Quinatzin dowiedział się o tym

i dlatego postanowił nas zniszczyć. Nie spocznie, dopóki nie dopnie swego. Nie odpuści nam.

Oczekiwał okrzyków sprzeciwu albo przynajmniej wściekłości. Wciąż widział w ich oczach nienawiść, ale ku jego zdumieniu, na twarzach niektórych Druazzi pojawiła się... ulga. No tak. Kiedy nie ma już wyjścia, wszystko wydaje się prostsze.

Kerrok, wysuszony na rzemień mężczyzna z antycznym miotaczem oszczepów, który zdawał się pamiętać czasy, gdy Druazzi gnieździli się w górskich jaskiniach, a przepaski biodrowe uchodziły za deprawującą nowinkę, powoli wystąpił naprzód. Yora wstrzymał oddech.

— Nigdy cię nie lubiłem, synu. Nawet zanim okazałeś się wiarołomcą i zdrajcą i doprowadziłeś do upadku naszego *aszkatli*. Nie przerywaj mi. Posłałeś Pęcherza na śmierć, żeby wziąć sobie jego kobietę. Byłeś chciwym, tchórzliwym kutasem, obrazą naszego honoru.

Yora uniósł głowę. Pogarda zgromadzonych okrywała go jak zbiorowe splunięcie. Wytrzymał ich wzrok. Śmierć była blisko, już niedługo dopadnie ich wszystkich. Tym razem nie będzie się bał. Zwłaszcza odrobiny prawdy.

Kerrok wpatrywał się w niego z gąszczu głębokich zmarszczek. Czarne oczy, uważne i ostre, zaśniły jak groty strzał.

— Jesteśmy ubogim plemieniem. Nasze spichlerze są puste, a w naszej mowie nie ma dość obelżywych określeń, bym przekazał ci wzgardę dla tamtych czynów, Yoro, synu Hona. Ale wiem też, że pomagałeś swojemu ojcu w działaniach na rzecz Druazzi. Kiedy Kruzowie nas zdradzili, a my wszyscy straciliśmy głowę, ty wiedziałeś, co robić. Może dlatego, że nie strawiłeś życia na rozpamiętywaniu naszych krzywd, tylko działałeś. Ludzie się zmieniają, *aszkatli*, i wierzę, że to ty poprowadzisz nas teraz w bój. — Mężczyzna z szacunkiem pochylił głowę.

Yora stłumił wzruszenie i wyprostował się. Nie musiał już stawać na

palcach.

— W porządku. A teraz słuchajcie, skurwiele. Oto, co zrobimy...

* * *

— Nie zabiję cię — wychrypiał Blask Twoich Oczu, gdy już skończył okładać powalonego Harana. — Zostaniesz żywą spizarką.

Haran podparł się na łokciu i rozkaszał. Kiedyś Blask miał lepsze wyczucie stylu. Choćby te żywe spizarki. Wiele klanów stosowało tę metodę przechowywania żywności. Zamykano więźniów w specjalnych kojcach, pozbawiając ich wcześniej kończyn i, oczywiście, języków. Za czasów Morosa banda tępiła jednak ten okrutny proceder, nazywając go małpowaniem Zjadaczy. Ich motto w tamtych czasach brzmiało: „Żyjemy i ginimy jak ludzie”.

No cóż, czasy się zmieniły.

Sytuacja nie wyglądała za dobrze. W jaskini majaczyły sylwetki ludzi, których nie znał. A oni nie znali jego. Poza Blaskiem i kilkoma weteranami, którzy wciąż nie wybaczyli Haranowi ucieczki i dali mu to wymownie do zrozumienia.

Bolały go przedramiona, którymi zasłaniał głowę i brzuch. Miał wrażenie, że pękło mu kilka żeber. W ustach czuł słony smak krwi. Blask wciąż go nienawdził, bez dwóch zdań. Nie mógł zapomnieć Haranowi, że poparł Morosa, gdy rywalizowali o władzę. Poza tym pozostawały kwestie urażonej dumy i miłości własnej. Haran widział, jak Moros pokonuje Blaska w upokarzającym pojedynku, po którym na krótki czas przejął rządy nad ich wesołą gromadką. A Blask nienawdził przegrywać.

— Pierdol się — wybełkotał, opluwając się krwią. Wybity lub chwiejące się zęby nie pomagały ripostom.

Blask gapił się spode łba, kompulsywnie gładząc wiszące na szyi

zasuszone trofea, gałki oczne, wydarte z oczodołów wrogów. Haran pokręcił głową z niedowierzaniem. I pomyśleć, że kiedyś walczyli ramię w ramię. Co to za powitanie? A potem się dziwią, że człowiek robi się zgorzkniały.

Blask odcharknął, przemielił pacynę płwociny w ustach i strzyknął, trafiając Harana prosto w poharatane czoło. Wiszące na jego szyi oczy posłały mu potępiające spojrzenia. Jak to robił, że ciągle błyszcząły? Haran wolał nie wiedzieć.

— Popełniasz wielki błąd, Blasku. Chcę was stąd wyciągnąć. Przypomnij sobie to słowo. Wolność. Na niebieskim suficie dynda ci taka złotawa lampka i, ni chuja, nie możesz jej dosięgnąć. Nawet jak stajesz na palcach. I nikt nie próbuje cię zabić. Zajadasz prawdziwe jedzenie, a nie resztki rzucane jak psu. I wszędzie uśmiechnięte dziewczyny. Pamiętacie jeszcze?

W komorze zapadła cisza. Umilkły siorbania, mlaskania i odgłosy iskania pcheł. Nikt nie pierdział, nie wzdychał i nie czał, nikt się nie skrobał po tyłku. Nikt nawet głośniej nie pisnął. Haran założyłby się o dożywotni abonament w burdelu, że dawno nie słyszeli tego słowa.

Wolność.

Blask znowu obrócił w ustach ślinę, ale tym razem plunął daleko od niego. Haran uśmiechnął się słabo. Super. Najwyraźniej zaczęli go słuchać.

— Zawsze dużo gadałeś, dupku. Wszyscy Druazzi tyle gędzą?

Barbarzyńca wzruszył ramionami i potarł zbolaną szyję.

— Że niby porządny dzikus ma tylko gapić się w ogień i mrużyć? A na kamiennej twarzy nie drgnie mu żaden mięsień, nawet jak, kurwa, kichnie? Ulegasz stereotypom, Blasku.

Kilku skazańców zachichotało i spojrzało po sobie ze zdziwionymi minami. Humor nie był częstym zjawiskiem w Dołach. Cóż, mało kto żył tutaj wystarczająco długo, żeby dokończyć dowcip.

— Dlaczego wróciłeś, Haranie? Nagle przypomniałeś sobie o kumplach,

których już raz zostawiłeś? Nie posądzałem cię o taką wrażliwość.

— Zostawiłem? Ja tylko nauczyłem się wspinać. Też mogłeś to zrobić.

Wódz znów potarł naszyjnik, jego twarz spochmurniała.

— Nie, nie mógłbym. Ja nie zostawiam przyjaciół.

Dobra, tu go miał. Rzeczywiście, Haran zostawił ich, próbując ocalić skórę. Jednak nie sądził, że wtedy postąpił źle.

— Dobra, nie zostawiasz. Ale gdzie ich prowadzisz? Do lepszego jutra?

Teraz wszyscy gapili się na niego spode łba. Cóż, to nie była życzliwa publiczność. Zaraz ich straci i skończy skopany na śmierć.

— Tutaj nie można przeżyć — podjął. — Da się tylko odwlekać śmierć i żebrać o ochłapy. Ale z tym też będzie coraz gorzej. Zauważyliście, że spuszczają tu coraz więcej niewolników, prawda? Im więcej Quinatzin rozpęta wojen, im więcej podbije krain, tym więcej sprowadzi jeńców. I tym mniej mu będziecie potrzebni. Szybki przerób. Nie macie już czasu, Blasku.

— No i? Ty będziesz naszym wybawcą, zdrajco?

Haran spokojnie popatrzył mu w oczy.

— Tak. Wróciłem tu, żeby zabrać was z powrotem na górę.

— Niby jak? Poprosisz Kruzów, żeby spuścili drabinkę? — w głosie Blaska wciąż brzmiała bolesna drwina, ale coś zaczynało się kruszyć.

Haran wykorzystał ten wyłom.

— Coś w tym rodzaju. Wyprowadzę was stąd.

Rozległ się szmer. Na twarzach skazańców pojawiła się podejrzliwość.

— Najpierw wyjaśnij, w jaki sposób się tutaj dostałeś. Maczurai pozwolił ci zejść? A może przysłała cię król?

Teraz to Haran się zdumiał.

— Wiecie, że Quinatzin tu jest? Powiedzieli wam nowi więźniowie?

Jego dawni kompani uśmiechnęli się z dumą.

— Zazwyczaj udaje nam się złapać co najwyżej parszywych *hikku'tai* i...

trochę się z nimi pobawić. Ale trzy dni temu naprawdę nam się poszczęściło. Nie uwierzysz, ile to gada i jak dużo wie. — Blask skrzywił się w okrutnym uśmiechu i wskazał Haranowi niewielką, kościaną klatkę.

Kulił się w niej nagi, przerażony człowiek... albo coś bardzo do człowieka podobnego. W ludzkim świecie znano go jako Alvaratla, nadwornego wynalazcę Quinatzina.

— Ten łajdak dużo nam opowiedział... jak już go trochę przypiekliśmy. O wielkiej wojnie i o upadku Tlaskali. Wspomnił też o niejakim Haranie, wielkim wojowniku Druazzi. Powiadają, że kiedyś był w Dołach, a potem służył królowi Kruzów... nim go porzucił i zdradził. Zupełnie jak kiedyś nas. Ciekawe, komu służy teraz? — warknął Blask.

Haran odetchnął głęboko. Wiedział, że drugiej szansy nie będzie.

— Dostałem się tutaj przejściem, z którego korzystają Zjadacze. Powiedział mi o nim Moros. Wielu z was pamięta go jeszcze. Skurczybyk miał nosa do jaskiń.

— To był on? Moros zdradził ci drogę ucieczki? — zachrypiął siwowłosy więzień z palcami jak gruzłowate szpony. Większości palców brakowało, rany i zakażenia nabyte podczas kopania często prowadziły do amputacji.

— Powiedzmy, że podzielił się ze mną częścią wspomnień. Dzięki temu zdołałem się do was dostać — wyjaśnił oględnie Haran. — Ale teraz udamy się prosto do zamku. Wystarczy, że przebijemy się do głównego szybu, gdzie ląduje winda. Moi przyjaciele sprowadzą ją dla nas na dół.

Ciężkie, nieufne milczenie. Mamrotane pod nosem przekleństwa. Haran bezradnie potrząsnął grzywą. Wiedział, jak to brzmi. „Przyjaciele z zamku”. Naprawdę? Porządni ludzie mieli tam tylko wrogów.

Patrzyli po sobie, milcząc. Haran wstrzymał oddech. Wiedział, że plan był głupi, że gdyby dało się tak prosto odwinąć taki numer, nie byłoby tu tylu

więźniów. Lecz poruszył w nich jakąś ukrytą strunę, czuł to. Przebudził uśpioną nadzieję.

— Zadowolony z siebie jesteś? Nakręcisz ich, a potem się znowu zmyjesz. To skurwysyństwo, Haranie.

— Nie, Blasku. To ich jedyna szansa.

— A co, jeżeli wolimy zostać z tym, co przynajmniej znamy? Mówisz, że się przebijemy. Kto odważy się iść z tobą przez ziemie Zjadaczy? Zwłaszcza teraz, gdy te diabły dostały świra? A potem... Choćby udało się dotrzeć na górę, Kruzowie nas zmasakrują. Nawet my wiemy, że Quinatzin ściągnął tu całą armię.

Haran potarł zmęczoną, spuchniętą twarz. Żałował, że nie nosi maski.

— Mógłbym ci tłumaczyć, że armia jest teraz gdzie indziej, że to najlepszy moment. Ale nie o to chodzi. W moim planie nie chodzi o was. Jesteście tylko narzędziem.

Pomruki, zduszone przekleństwa. Spojrzenia pełne pogardy. Haran wbił wzrok w dogasającą pochodnię i odwrócił się do swego plemienia.

— Kiedy ostatni raz byliście komuś potrzebni? Kiedy żyliście dla kogoś innego?

Popatrzyli po sobie, zdziwieni, buczenie uwięzło im w gardłach. Chłopak głęboko odetchnął.

— Nie będziecie walczyć tylko o waszą wolność. Ta wojna to coś znacznie większego. Musimy obalić szalonego króla, by powstrzymać *murgha*. Quinatzin sprzymierzył się z nimi i jeżeli nikt go nie zniszczy, nawet las na powierzchni wyglądać będzie jak to tutaj. I tylko wy, pomiot Dołów, możecie to dzisiaj uczynić. Ocalić ten piękny świat! Uratować ludzkość!

Rozległy się ciche, jadowite chichoty. Wyglądało na to, że Haran dotarł do swej publiczności. Wyrzutki z Dołów bezbłędnie zrozumiały szyderstwo.

Rozbawił ich, nawet jeśli w końcu trochę przesadził. W legendach i mitach bohaterowie zawsze ratowali świat, jak by to była oczywista i prosta decyzja. Pali się, to gasimy. Haran nigdy nie był pewny, czy życie to dobry pomysł, a tygodnie w Zaułku Filozofów nie zmniejszyły jego wątpliwości. Pamiętał za to dobrze konkluzje Morosa-Szaratangi, które teraz stały się jego własnymi.

I tak na końcu w tej grze więcej jest mroku niż światła, a suma bólu wygrywa z sumą radości. Tak już jest, życie to oszukany interes. Gdyby było inaczej, to nasze kolana naprawiałyby się samoistnie, a nie psuły. Kobietom w miarę upływu lat nie opadałyby cycki, a podtatusiałym facetom nie rosły. Każdego dnia budzisz się bardziej znużony, pusty i zmięty jak bukłak, zadając sobie to samo krępujące pytanie.

Po co ja, kurwa, tak biegłem?

I co mi to miało dać?

Czujesz, że nie zrobisz już kroku, lecz na pustyni odpoczynek to śmierć. I dopóki zachowasz w sobie tę pustkę, zachowasz też zdrowy rozsądek, ale niedoczekanie, od razu porywa cię nowe złudzenie, nowe tornado nadziei.

Niemniej wciąż zachodziła w nim zmiana, istniał wybór między piekłem i piekłem. Świat bez Zjadaczy oferował bogatszą paletę cieni.

* * *

Hussup, niegdyś *cuachic* Szarych Pasów, a obecnie oficer Zabójców Gwiazd, nigdy nie pragnął być oficerem, a już zwłaszcza pałacową ozdóbką, która całymi dniami poci się w ceremonialnym pancerzu, a po służbie wyżywa w dworskich intrygach. Wolał prostą, uczciwą robotę w terenie i zawsze powtarzał, że prawdziwego żołnierza powinny boleć trzy rzeczy. Łapy od zabijania, kutas od pierdolenia i bebech od wrednego żarcia. Ale nie łeb. Głowa żołnierza powinna być beztroska, bo od polityki i myślenia jest,

kurwa, kto inny.

Z rozczuleniem wspominał czasy, gdy z Szarymi Pasami terroryzował Tlaskalę. Tamte rzezie były w jakiś sposób uczciwe. Proste. Wszystko zepsuło się, gdy ich oficer oszalał. To wtedy dopadła ich polityka. Wiadomość o pokaraniu i usunięciu zdrazieckiego Harana z ich szeregów dotarła do króla, który nagroził ich i... zapamiętał. Specjalny rozkaz rozwiązał jednostkę i rozproszył ją po innych oddziałach. Hussupa król osobiście wcielił z powrotem do Gwardii. A teraz, w nagrodę za tlaszkalańskie zasługi, zlecił mu pacyfikację dzikusów. I właśnie dlatego teraz, z tęgą miną, której utrzymanie dużo go kosztowało, wiódł karną ekspedycję na bagna.

To akurat go cieszyło, w przeciwieństwie do dworskiej nudy. Tutejsza robota w terenie powoli zaczynała przypominać mu wspaniałe czasy w Tlaskali. Poza tym dobrze było zobaczyć skwaszoną minę Hirikana, którego *tlatoani* zatrzymał przy sobie. Człowiek-rekin może sobie być nominalnym dowódcą Zabójców Gwiazd, ale podczas tej ekspedycji żołnierze nauczą się przyjmować rozkazy od kogoś innego.

Dostał naprawdę znakomitych wojowników, Zabójcą nie zostawało się za nic. Hussup miał cztery setki uzbrojonych po zęby gwardzistów i trzy tysiące zwykłych żołnierzy. Według raportów populacja Druazzi spadła, wykrwawili się potężnie na wojnie. Od czasu konfrontacji z Haranem Bękartem Hussup żywił do puszcząńskiego plemienia osobistą niechęć, silniejszą niż antypatia, jaką obdarzał resztę ludzkości. Nie miał więc nic przeciwko zapisaniu się na kartach historii jako ten, który uwolnił ziemię od tego parszywego ludu. Wręcz przeciwnie.

Na razie prowadził swoich ludzi przez bagna, utworzone przez kapryśne dorzecze Mys. Nie była to urokliwa kraina. Drzewa zgniły, z cyprysów wiotkich jak ramiona sierot zwieszały się smętne namorzyny i liany.

Mętna, cuchnąca woda sięgała do kolan, ale grunt nadawał się jeszcze do przejścia. Przewodnik, szczupły, jednooki Druazzi imieniem Uczgur, prowadził ich pewnie. Hussup zagwarantował sobie jego lojalność, pokazując mężczyźnie rozen, na którym czerniały szczątki dziecka. Był to wypróbowany sposób, a zdaniem Hussupa właśnie znajomość takich sposobów odróżniała fachowca od amatora. Uczgur sam miał piątkę dzieciaków i wszystkie znajdowały się teraz pod pieczę Kruzów. Choć właściwie to obecnie miał czwórkę, bo chłopcy, dla przykładu, jedno mu upiekli.

Gwardziści szli przodem, gotowi do przepuszczenia strzelców. Hussup wiedział, że Druazzi są blisko. Na razie jako przeciwnicy okazali się rozczarowaniem. Bronili się wprawdzie zażarcie i Kruzowie musieli walczyć o każdą rudere Dzielnicy Leśnej, ale pod gradem kul pierzchali tak samo jak wszyscy. Hussup nie mógł wyjść z podziwu nad siłą tej nowej broni, lecz podziw podszyty był stłumioną, niewyartykułowaną urazą. Owszem, strzelby masakrowały wrogów, ale odkąd się pojawiły, wojna zrobiła się nudna. Jak tak dalej pójdzie, ulotni się gdzieś piękno i cała zabawa, pomyślał. Lubił łamać opór z *macuahuitlem* w rękę. Czuć przewagę wyszkolenia i siły, napawać się bezsilnością i strachem podbijanych. A teraz... cóż, Kruzowie zmieniali się w Białych.

Zaprojektowane przez Alvaratla rusznice przypominały w działaniu arkebuzy, stosowane niegdyś przez zamorskich najeźdźców. Podpalony lont doprowadzał ogień do panewki, gdzie czekała mieszanka *braazatalu* i innych, znanych tylko wynalazcy substancji. Sam w sobie *braazatal* jeszcze nie eksplodował, w przeciwnym razie Doły już dawno obróciłyby się w gruzy. Jednak w kombinacji ze składnikami Alvaratla podpalony smar wybuchał i skutecznie miotał pociski.

Hussup z obawą spojrział na niebo. Strzelby nie lubiły deszczu.

W Tlaszkali zdarzało się, że wilgoć moczyła lonty strzelb, uniemożliwiając strzały. Na szczęście dziś niebo było bezchmurne i niezmacone. Piękne.

Strzała nadleciała z najbliższej kępy bagiennych cyprysów i rozpruła gardło gwardzisty idącego obok Hussupa. Za nią pofrunęły kolejne.

— Tarcze! — ryknął, kucając w cuchnącej wodzie. Ciecz dostała mu się do ust i wypłuł ją ze wstrętem. Przypomniawszy sobie, że krainę Druazzi nazywano Zgniłymi Lasami. Cóż, dobre miejsce, żeby umrzeć. I zgnieć.

Potem ostrzał osłabł. Żołnierze z pierwszych szeregów uformowali ścianę tarcz, za nimi gotowali się strzelcy. Hussup odczekał, aż strzały z kolejnej salwy zastukają o drewniane, obleczone gęstymi piórami osłony, i szybko wydał komendę:

— Ognia!

Strzelcy wystąpili naprzód. Chroniły ich pikowane pancerze z bawełny, a na głowach nosili zdobyczne stalowe hełmy, do których rzemieślnicy Kruzów dodali zdobione maski. Wypalili z ogłuszającym hukiem. Hussup wyciągnął szyję. Ten widok zawsze go fascynował. Podczas ostatniej kampanii wynalazca poszerzył zastosowanie *braazatalu* i zaczął wypełniać nim ołowiane pociski.

Druazzi dosłownie eksplodowali. To było gorsze niż starożytna broń Białych. *Braazatalowe* kule potrafiły uśmiercić dwóch, trzech ludzi naraz, lekceważąc okrycia i tarcze, przebijając ciała na wylot. Ci Druazzi, którzy jeszcze trzymali się na nogach, rozbiegli się w poszukiwaniu osłony. Hussupowi było mu ich prawie żal. Powodzenia za tymi rachitycznymi drzewkami.

Pociski ze smarem przechodziły przez deski i belki. Zabójca Gwiazd patrzył, jak wrogowie rzucają na ziemię łuki; nie w głowie już im było strzelanie. Wypełnione *braazatalem* kule eksplodowały w celu, odrywając kończyny i głowy, wrywając dziury w korpusach. Przy eksplozji wydzielał

się trujący, zielonkawy dym, który wypalał oczy i płuca. Powiadali, że w miejscu, gdzie osiadła *braazatalowa* chmura, ziemia na zawsze pozostawała skażona. Druazzi, którzy uniknęli bezpośredniego trafienia, rzucali się teraz w konwulsjach.

Hussup wiedział, że *braazatal* poraził ich mózgi i nerwy, sprowadzając szaleństwo i dziki, paniczny strach. Zobaczył rosłego wojownika, który skowyczał wśród cierni, opędzając się od niewidzialnych węży, a potem zsiniał, daremnie szarpiąc widmową pętlę na gardle. Widział ludzi, którzy kąsali swych towarzyszy, oraz mężczyznę, który wpił palce we własne oczy i sunął chybotliwym krokiem, roniąc czerwone łzy.

W porównaniu z tym ataki tlaszkalańskich łuczników, których kiedyś Kruzowie tak się obawiali, przypominały pieszczotę komarów.

Weteran spojrział na własny miecz i pokręcił głową. Jak tak dalej pójdzie, to dziś sobie nie powalczy. Wzruszył ramionami. Trudno. Nowa epoka wymaga widać nowych sposobów prowadzenia wojny.

— Druga salwa!

* * *

Udobruchany Blask wyzbył się podejrzliwości i zgodził się umówić Harana z wodzem Tlaszkałan. Od czasu podboju byli oni największą zorganizowaną grupą w podziemiach i stale zwiększali swą liczebność.

Swoim zwyczajem Termyty zadomowiły się w skalnych jaskiniach, wysoko położonych i trudno dostępnych. Haran był pewny, że większość z nich służyła w Labiryncie. Z tego, co słyszał, Tlaszkałanie odnaleźli się w Dołach i nierzadko radzili sobie lepiej niż „starzy” więźniowie, tacy jak grupa Blaska. Potrafili znosić pragnienie i głód, do którego przyzwyczaili ich lata kruzańskiej blokady.

Potrzebował ich.

Spotkali się na neutralnym terenie, który stosunkowo rzadko atakowali Zjadacze. Wysłannik obserwował go czujnie. Z okazji spotkania zapalił cenną pochodnię z ludzkiego piszczela. Był to miły gest i Haran uśmiechnął się, najładniej jak potrafił. Wtedy Tlaszkalanin skoczył. Kopnął barbarzyńcę w pierś, trafiając w splot. Na ziemię zwalili się obaj, ale to Haran charczał. Pochodnia potoczyła się w kąt i migotała, bliska zgaśnięcia. Wysłannik siadł na nim okrakiem i pięściami wybijał mu na twarzy werbel zabójczej melodii.

W końcu Haran zdążył odchylić głowę i pięść górala trafiła w kamień. Termit jęknął z wyrzutem, a Haran odwinął się i korzystając z przerwy, wprowadził do kompozycji swój akord, uderzając Tlaszkalanina czołem. Teraz obaj mieli złamane nosy, z których obficie tryskała jucha. Dźwignęli się chwiejnie na nogi i krążyli, wyczekując właściwej chwili.

— Zabiję cię, psie — zadeklarował Termit.

Haran odcharknął krwią i lekko poprawił gardę.

— Poczekaj... przychodzę, żeby...

— Znam cię, Szary Pasie. Zdechniesz!

Szuranie butów oznajmiło, że zeskoczyło do nich więcej ludzi. Rozsypali się wokół, w ich dłoniach majaczyły maczugi i noże z kości. Haran splunął. Odmówiłby jakąś modlitwę, ale w głowie kłębiła mu się tylko sprośna piosenka i kilka wiązanek bluzgów.

— Drań służył w Szarych Pasach. Pamiętam tę mordę — powiadomił kolegów wysłannik. W jego głosie pobrzmiwało oburzenie i niedowierzenie. Odpowiedziało mu kilka przekleństw.

Haran uśmiechnął się przepaszająco. W sumie marny był z niego poseł. A może miał w sobie coś takiego, co prowokowało spuszczenie mu batów? Wiedział, że jeżeli czegoś nie wymyśli, zginie. Słyszał o tym, co Tlaszkanie robili z pojmanymi Pasami, i obawiał się, że pobyt w Dołach nie wpłynął łagodząco na ich obyczaje.

— Poczekajcie. Przysłała mnie wasz dawny dowódca, Szaratanga — wydyszał.

Zanim dowódca Termitów zdążył wybuchnąć śmiechem, Haran uważnie popatrzył mu w oczy.

— Opowiadał mi o tobie. To ty w Dolinie Czarnego Psa poprowadziłeś atak na strzelców z atlatlami i utrzymałeś południowe zbocze do czasu nadejścia posiłków. Generał powiedział ci... jak to szło? Że sierżant taki jak ty wart jest tysiąca wymuskanych paniątek, które odziedziczyły patent oficerski po dziadku.

Tlaskalanin rozdziawił gębę, a Haran był już przy jego koledze, wysokim mężczyźnie z fałdami zwisającej skóry, świadectwem niegdysiejszej tuszy.

— Gotowałeś dla niego w ostatniej kampanii...

I kontynuował spacer:

— Ograłeś go kiedyś w kości... To ty prowadziłeś zwiad...

Zdawało mu się, że ich kupił. Tylko wódz, który przypominał Haranowi zawziętego, szykującego się do szarży odyńca pekari, wciąż wyglądał na dość sceptycznego. I bardzo skorego do mordu. Pewnie był jednym z tych wrednych, złośliwych sierżantów o niewyparzonej gębie, którzy sprawiają dowódcom najwięcej kłopotów i którzy najbardziej przydają się w walce.

Splunawszy, przerwał kolejną scenkę z udziałem dawnego żołnierza Morosa i wzruszających, pożyczonych wspomnień.

— Lwa Labiryntu obdarli ze skóry Kruzowie jeszcze przed ostatnią wojną. A ty gadasz, że ciebie przysłał?

Haran zadumał się. Myśli Szara szemrały w jego umyśle jak strumyk, który schnie, lecz do końca zasila spalone ugory. Kekotl. Ten człowiek nazywał się Kekotl. Widział teraz realne obrazy... apel dla ocalałych po bitwie. Potem złożył dłonie w starym tlaszkalańskim salucie, którym

Szaratanga przed laty uhonorował żołnierza w Dolinie Czarnego Psa. I nawet się wzruszył.

— Wszak żyje on w naszych sercach, Kekotlu.

* * *

Gdy już przełamali pierwsze lody, ochotnicy z obu grup pobiegli powiadomić inne gromady. Tymczasem Haran urządził sprzymierzonym skazańcom odprawę.

— Ruszacie do głównego szybu, w którym ładujecie do windy urobek. Zjadacze nie powinni was zatrzymywać. Przynajmniej dopóki nie zorientują się w sytuacji.

Więźniowie pokiwali głowami. To była prawda, niezależnie od tego, jak bardzo bestie panoszyły się w Dołach, nigdy nie próbowały ich odciąć od głównego szybu.

— Nie zrobią tego, ponieważ zawarli z Quinatzinem przymierze. Ci z was, którzy walczyli w Tlaskali, widzieli to na własne oczy.

Rozległy się gniewne okrzyki. Najgłośniej darł się masywny, zawzięty Kekotl. Haran uśmiechnął się, zadowolony. Ci ludzie nienawidzili Zjadaczy bardziej niż czegokolwiek na świecie i rwali się, dosłownie, do walki. Dobrze będzie przekierować ich pragnienie odwetu na króla.

— Jak już będziecie na miejscu, odpalisz to. — Wręczył Blaskowi podłużną, drewnianą tykwę.

— Co to jest? — Blask skrzywił się podejrzliwie.

— To raca, pamiątka z wojska.

— I co niby robi?

— Blask, przyjacielu. Daje blask. Światło powiadomi naszych na górze. Umówiłem się z nimi, że jeszcze trzy razy pomachasz pochodnią. Wtedy opuszczą windę. Pamiętajcie, księżę Tennok i jego ludzie walczą po naszej

stronie, podobnie jak każdy Druazzi, którego spotkacie na górze.

— Chwila. To ty nie idziesz? — w głosie wodza gromady znowu zabrzmiała podejrzliwość.

Haran pokręcił głową.

— Ktoś powinien się zająć Zjadaczami, inaczej nigdy nie wyprowadzimy stąd wszystkich skazańców. Poza tym, przy całej jego ambicji Quinatzin to tylko kukiełka. Prawdziwym wrogiem są Zjadacze i ich królowa.

* * *

Główny szyb i obsługująca go winda mieściły się w stromym kraterze, na którego dnie piętrzyły się hałdy urobku. Ten krater, czy też niecka, funkcjonował jako wewnętrzny dziedziniec zamku. Z siedzibą Turkusowej Włóczni łączył go tylko jeden korytarz, który księżę obstawił swoimi ludźmi. Pomyślano go tak jeszcze w czasach, gdy dopuszczano myśl, że więźniowie z Dołów zdołają się jakimś cudem wydostać na powierzchnię. Wtedy, w wąskim gardle przejścia, łatwo można by ich powstrzymać.

Teraz role się odwróciły.

Korytarz miał być pierwszym stanowiskiem obronnym powstańców. Gdyby go utracili, Tennok zamierzał zatrzymać napastników na schodach spiralnie oplatających nieckę. Dobrze, że Maczurai nie zdążył przebudować dziedzińca i zaopatrzyć go w nową bramę, którą *tlatoani* chciał wynosić *braazatal* od razu do miasta. Na razie szyb był niemalże osobną fortecą, ukrytą w zamku Turkusowej Włóczni. Księżę podejrzewał, że ojciec celowo zwlekał z udostępnieniem Dołów. Zapewne bał się tego, co dyszało i węszyło w ciemnościach, i wolał jak najdłużej utrudniać dostęp do kopalń.

No cóż. Wyszło no to, że stary miał rację.

Tennok usłyszał znajomy głos; brutalne, wibrujące pogardą szczenięciem. Wiedział, jak powinno się to rozegrać. Konfrontacja, spotkanie twarzą

w twarz. Zemsta za lata hańby. Odkupienie. Honor.

Do czegoś takiego potrzebny był inny książę.

Żołądek Tennoka skulił się, odmawiając współpracy. Jego kończyny zmiękły i zadygotały, szukając oparcia i ciepła. Książę musiał oprzeć się o wyslizganą ścianę korytarza, który nagle wydał mu się klaustrofobicznie dławiący i ciasny. Maczurai zbliżał się do niego, ostrożny, skupiony i spięty. W jego dłoni połyskiwał obsydianowy miecz. Rozluźnił się, gdy Tennok odsłonił twarz.

— Co ty tu robisz? I dlaczego masz na twarzy szmatę? — zapytał chrapliwie.

Książę wzruszył ramionami.

— Jeden z moich ludzi zrobił raban, że w Dołach się strasznie kotłuje. To może być pożar — wyrzucił z siebie.

Maczurai zaklął i spychając Tennoka na bok, ruszył w dół korytarza. Zrobił jeszcze dwa kroki, zwolnił, zatoczył się i chwycił za bok. Jego twarz wyrażała bezbrzeżne zdumienie.

Potem nogi rozjechały mu się i władca Yugal osunął się na ziemię, daremnie próbując przytrzymać się muru i znacząc go krwawym freskiem. Towarzyszący mu przybocznicy zatrzymali się, zdezorientowani, a miny mieli tak głupie, że Tennokowi zachciało się śmiać. Wojownicy Turkusowej Włóczni oprzytomnieli i ruszyli na niego z bronią, ale wtedy korytarz wypełnił się dymem.

Zawarta w *chilli* toksyna nie zadowalała się wywołaniem gwałtownego kaszlu, pieczenia oczu i błon śluzowych, palącego świądu. Wysłała też do mózgu paniczny, rozpaczliwy sygnał, ostrzegający przed zbliżającą się śmiercią. I ten strach dodatkowo paraliżuje zatrutych.

W przeciwieństwie do ludzi ojca, którzy dławili się i krztusili, Tennok nie musiał zwalniać. Mokra tkanina uchroniła go przed trującym oparem,

z łatwością rozprawił się z napastnikami. Wokół rozgrywały się piekielne, spowite czerwonym oparem sceny. W zadymionym przejściu wybuchły gwałtowne i krótkie starcia. Zamaskowani, owinięci mokrymi szmatami Druazzi szlachtowali ludzi Maczuraia jak ogłuszone i przestraszone zwierzęta.

Tennok zatrzymał się przy ojcu. Maczurai kaszłał, prychając bąbelkami krwi, z dłońmi zaciśniętymi na sterczącym mu z boku nożu. Wyglądało na to, że zbiera siły, żeby wyrwać cierń, ale dym mu w tym nie pomagał.

Nie łam się, tato. Nic nie jest jeszcze przesądzone. Może dym cię litościwie udusi, przerwie te męczarnie.

Księżę splunął.

Powinien przy nim uklęknąć, wyszeptać te wszystkie powody, litanie przewin i strat.

Pamiętasz? Czy teraz wreszcie pamiętasz?

* * *

Yora jeszcze nigdy nie czuł się tak wyczerpany. Każdy krok w sięgającym kolan bloku zapowiadał się jako ten ostatni. Trzęsawisko mlaskało zachęcająco, czekając na jego zwłoki. I pomyśleć, że to kraina Druazzi i ponoć miał te przekłete moczary we krwi. Było częściej wychodzić zza biurka, zakpił w nim jakiś szyderczy, przerażony głosik. Było się pod nie wczołgać.

Stał w grupie posepnych Druazzi, którzy łapali oddech, zbierając siły przed kolejną sekwencją rzezi. Kilkadziesiąt strzał od nich toczyły się gwałtowne walki.

— Muszę z tobą pomówić! Wysłuchaj mnie! — wydierał się jakiś mężczyzna.

Yora potrząsnął głową. Wysłuchałby go, owszem, ale nie bardzo miał

jak. Od czasu gdy stojący tuż przy nim wojownik stracił, dosłownie, głowę od eksplodującego pocisku, Yora niewiele słyszał.

— To ja, Kiliretha! Uczony!

Yora roześmiał się. Uczony, a to dobre! W morzu trupów i krwi sam pomysł na cierpliwe szukanie mądrości i wiedzy wydawał się jakże zabawny.

— Wiem, jak ich powstrzymać! — krzyczał starzec.

Yora roześmiał się znowu. To naprawdę zabawne. Po tym, jak wybuchł koło niego zielony obłoczek smaru, Yora miał wrażenie, że niechcący opił się grzybowym wywarem.

— Niby jak? Może zabijesz ich wzrokiem?

— Mam plan. Potrzeba mi dobrych łuczników. Najlepszych, jacy wam zostali.

— Łuków już próbowaliśmy. — Yora machnął ubłoconą dłonią.

— Widziałeś ich wielkie tarcze?

— Nie chodzi o tarcze, lecz o strzelby! Posłuchaj.

Rozdział 34

Nareszcie wypalę w sobie człowieka.

Pedro de Alverado, zwany Słońcem, w momencie przeistoczenia

Gdy jego nowi podkomendni odeszli, Haran zamyślił się. Celowo odprawił wszystkich. W walce o utrzymanie przyczółku przyda się każdy wojownik. Poza tym w jego następnym zadaniu nie pomoże mu nawet najlepsza eskorta.

Garstka, którą wyprawił na górę, liczyła sobie zaledwie dwie setki ludzi. Wystarczy, by utrzymać przyczółek, ale do opanowania zamku z Dołów musiało wyjść znacznie więcej skazańców. Barbarzyńca był jednak pewny, że w międzyczasie Quinatzin podejmie jakieś ruchy. W końcu dysponował tu, pod ziemią, hordą sprzymierzonych, krwiożerczych demonów. Jeżeli mają zwyciężyć, on, Haran, musi powstrzymać Zjadaczy.

Żałował, że nie było tu Kilirethy. Stary Kret zdawał się wiedzieć wszystko o rzeczach, które porządny człowiek instynktownie omija z daleka. Na szczęście przypadek coś mu podsunął.

Alvaratla odnalazł skulonego w klatce, w której chłopcy Blaska trzymali czasem nieszczęśników naznaczonych przez smar, co do których zachowali jeszcze resztki nadziei na wyzdrowienie. Wynalazca nie wyglądał dobrze, dyszał chrapliwie, a jego obrzmiała twarz spływała cuchnącym potem.

Haran ukucnął przed klatką, uśmiechając się mile.

— Nie ma to, jak zamieszkać w Dołach, czyż nie? Zawsze biło od ciebie

odorem podziemi. Założę się, że czekałeś na to od lat.

Naukowiec posłał mu rozbiegane spojrzenie.

— Nie wysilaj się — zaskrzeczał. — Ludzkie zwierzę nie pojmie nigdy moich trudów i tęsknoty.

Haran skrzywił się w wyjątkowo odstręczającym uśmiechu.

— Mylisz się. Podążamy tą samą plugawą ścieżką... lecz ja wchłonąłem już więcej smaru.

Twarz wynalazcy zmartwiała. Zrozumienie ścięło ją niczym mróz.

— Przeistoczenie. Ascensja. Porzucenie człowieczeństwa niczym cuchnącej szaty. Nie o tym zawsze marzyłeś? Ja stoję już w czarnych wrotach. Wystarczy, że nauczysz mnie formuł i zaklęć.

— Po co? Poczekaj, a któregoś pięknego dnia zbudzisz się jako zapluty, węszący za ludzkim mięsem *hikku'tai*. Do tego nie trzeba czarów — zakpił wynalazca.

Haran potrząsnął grzywą i odgarnął splątane kosmyki. Długie pasmo zostało mu w palcach.

Jestem ruiną twierdzy bez murów. Wyłamaną bramą czekającą na szturm wroga.

— Wiesz, że nie o tym mówię. *Hikku'tai* to mierzwa, padlina do łatania szyku. Pragnę się przemienić w *murgha*.

— Łaska Najstarszej spada jak deszcz na pustyni, a ty jesteś moim rywalem. Dlaczego miałbym ci pomóc? — zapytał Alvaratl butnie.

Haran zastanowił się. Tortury, szantaż, przekupstwo, seksualne zauroczenie... Żaden z odwiecznych wabików raczej nie wchodził tu w grę. Chyba że...

— Jeżeli cię teraz zabiję, zginiesz na darmo, prawda? Sam musisz przyznać. Ale jeżeli pomożesz mi w przeistoczeniu, to nie dość, że pozostawię cię przy życiu, ale jeszcze zbliżysz się do tego, na co tak długo

czekałeś. Bo kiedy moc mnie odmieni, może też zdołam ci pomóc, słuگو. Może razem odwiedzimy szare bezmiary Środkowia, a potem Saaratha Ka’Ron.

Alvaratl uniósł się, uczeplił kościanych krat.

— Bluźnierca! Skąd znasz najświętsze sekrety? — zasyczał.

Haran z pokorą pochylił głowę.

— Tak jak ty odwiedzałem je w snach — szepnął. — Nie widzisz, że już spopieliała mnie łaska Najstarszej? — to mówiąc, podwinął rękaw bawełnianej kurty, pokazując wynalazcy lewe ramię, na którym szara, zwęglona zmarzlina sięgała już barku.

Twarz Alvaratla zadrgała tęsknym przecuciem rozkoszy. W zadumie zerknął na własne palce. Haran zorientował się, że ich koniuszki też zagarnęła już szarość.

— Kimże jestem, by stawać na drodze prawdy... — wymamrotał wynalazca.

— ... nawet jeśli miałyby mnie zmiażdżyć — odpowiedział Haran.

Alvaratl zaskamlał cicho. Gdy uniósł wzrok, jego oczy płonęły żółtawym blaskiem i nowym, psim uwielbieniem.

— Pomogę ci, panie.

* * *

Kluczem do przeistoczenia okazała się ozdobna maska, którą Haran zdobył na pokonanym *murgħa*. Pochodziła z Drzewiska i ponoć zawierała w sobie magię umarłego świata. Niektórzy twierdzili, że choć maski przypominały wypolerowaną kość, sporządzano je z mięsistych liści pewnego tajemniczego drzewa, którego odcięte konary nigdy nie schły i nie traciły listowia. Powiadano nawet, że każda prawdziwa maska wciąż żyje, a jej powierzchnię pokrywają tysiące maleńkich, niewidzialnych korzeni,

które sięgają aż do serca i duszy właściciela.

Haran usłyszał o tych mrocznych legendach od Kilirethy, który posiłkował się wiedzą z zakazanych ksiąg zgromadzonych przez Zakon Kretów oraz frenetycznymi wizjami, które sprowadził na niego smar. Gdy szara choroba wyniszczyła już bujne życie prastarego Saaratha Ka’Ron, ostatnie Królowe Rojów pojęły, że i one nie unikną zarażenia. Zebrały więc całą pozostałą im moc i zakłęły w bezcennych maskach.

Spośród przebranych, najdzielniejszych czempionów, rekrutowanych spośród tamtejszych inteligentnych gatunków, narodzili się pierwsi *murgha*. Zakłęcie pozwalało im sprostać atakom choroby i spożytkować upiorną szarość do własnych celów. Ich ciała pokrywały się twardym osadem, który arystokraci Zjadaczy maskowali za pomocą specjalnych bandaży i szarf. Ich skamielina różniła się jednak od zwykłych objawów choroby, której przebiegowi u ludzi, zwierząt i roślin towarzyszyło zazwyczaj zmiękczenie i gnicie tkanek.

Powiadano, że w momencie, gdy choroba docierała do mózgu Zjadacza, otrzymywał on ostatni i najwyższy dar, hipnotyzujące, zastygłe w złym pięknie oblicze. *Braazatal*, który Horen’So stworzyła, by zmagać się z zabójczym ziemskim biotopem i zwiększyć odporność swojego gatunku, też związany był z szarą chorobą, choć natura tych związków nie została jeszcze poznana. Na pewno wpływał na przebieg choroby. Zwykły śmiertelnik z reguły umierał, ktoś przesycony smarem mógł zmienić się w bestię. Lub boga.

Podczas najazdu na Ziemię przybysze z Drzewiska dysponowali kadrami elitarnych wojowników, korpusem, który mógł sprawnie dowodzić pozyskanymi na miejscu *hikku’tai*. Gdy okazało się, że Białoskórzy, z racji cech charakterologicznych, znakomicie nadają się na takich oficerów, Królowe na próbę dopuściły kilku z nich do Ascensji. Ten zaszczyt spotkał

ponoć między innymi najeźdźcę Pedra de Alvarada, zwanego przez Azteków Słońcem, a także – zdaniem niektórych kronikarzy – samego Hernána Cortésa.

Rezultaty procesu przeszły najśmielsze oczekiwania i dziś większą część kadry oficerskiej Zjadaczy stanowili już przekształceni Białoskórzy i ich potomkowie.

Wszystko to wypełniło świadomość Harana w chwili, gdy ośmielił się założyć diabelską maskę. Z nagłą, ścinającą krew grozą poczuł, że jej chłodne płaszczyzny ożyły i niespodziewanie stały się miękkie. Przyłgnęła do jego policzków i czoła z ohydny, chciwym mlaśnięciem, wchłaniając go i przyjmując jak zwilgotniała kochanka. Przed oczami rozbłysło mu białe światło i poczuł, jak coś szorstkiego obraca i oblizuje mu oczy.

Nie wiedział, czy spadło na niego szczęście, czy ohydna groza, wiedza, czy zapomnienie. Rozkoszy towarzyszył ból, palący, jakby jakaś piekielna płaszczka oblepiła mu twarz, a teraz zżerała go żywcem, gruchając do niego chciwie.

Człowieczeństwo to balast, chłopcze. Porzuć tratwę, rozwiń płonące skrzydła.

Alvaratl recytował zaklęcia w bluźnierczej mowie Drzewiska, podniecony i oszalały z ekstazy. Od pięciu stuleci świat nie był świadkiem narodzin nowego *murgha*. Nieliczne podejmowane przez Najstarszą próby zawsze kończyły się fiaskiem, Prawdziwi Ludzie nadawali się tylko na *hikku'tai*, lecz brakowało im drapieżnej determinacji, niezbędnej przy przeistoczeniu. Niektórzy doradcy Horen'So sądzili, że czerwonoskórym tubylcom brakowało zdolności abstrakcyjnego myślenia i byli zbyt związani z własnym ciałem, przez co w momencie Ascensji musieli postradać zmysły.

Haran, z jego połączeniem szczególnych cech Białoskórych i wchłanianej od maleńkości trucizny, okazał się idealnym kandydatem. Uświadomił sobie,

że jego przekłete życie prowadziło właśnie do tego. Że tylko ta chwila nadawała mu godność i sens.

Wyprostował się i swobodnie zdjął maskę. Spodziewał się, że odejdzie razem z ciałem i skórą jak strup, ale nic takiego się nie wydarzyło... albo raczej zdarzyło się wcześniej.

Alvaratl padł na twarz, mamrocząc jakąś plugawą modlitwę:

— O piękny. O potężny. O *murgha*.

Wojownik odrzucił w tył głowę i zaniósł się gromkim śmiechem. Był cały, wreszcie stanowił jedność. Moros-Szar zaskrzeczał w jego duszy i skonał jak zdeptana pluskwa. Podobny los spotkał małego Harana znajdującym się z Dzielnicy Leśnej. Przemierzał wyschnięte ogrody pamięci, pluł na pierzchające, skamlące wspomnienia. Złachany i zaszczany Pęcherz, pokraczna namiastka ojca, odrażający i słaby. I Heza, i Yora, ich także ochoczo zdeptał.

Tennok, Zafajdany Księżę. Stary Hon i szpieg Kiliretha. Citlali o głodnym uśmiechu i sercu łaszczącej się suki, próbująca go usidlić, wstrętne jak miłość człowieka. Leyre, królowa Tlaszkali, dumna i niewiele warta ladacznica.

I tak piełił, karczował i darł, żął, niweczył i unicestwiał, aż dusza w nim stała się naga i wolna.

Wciągnął w płuca ciężkie, gorące powietrze Dołów, które teraz wydało mu się znajome i piękne. Woń Domu, woń zbutwiałych ogrodów Drzewiska. Jego wrażliwy, ruchliwy nos zlokalizował źródło tego cudnego zapachu i Haran Nie-Człowiek ruszył ku niemu z godnością, zstępując w czeluści Dołów.

Alvaratl Pół-Człowiek ujadał za nim ze swojej klatki, dopóki nie pękło mu gardło.

* * *

Książę Tennok musiał podjąć najważniejszą decyzję w życiu.

Zginać?

Czy spierdalać?

Niestety, spierdalać nie było za bardzo dokąd. Chyba żeby rozwrzeszczał się i wybuchnął płaczem, udając porwane przez podziemnych brutali książętko. W końcu ilu królewskich żołnierzy wiedziało, że zabił własnego ojca? Oczywiście, oznaczało to kolejną sromotną zdradę i hańbę, lecz Tennok gotowy był się poświęcić. Heroiczne postanowienia i szlachetne decyzje są dobre, zalecałyby je w ciemno każdemu. Lecz sam zawsze darzył estymą rozsądek.

Atakująca załoga zamku wypierała jego ludzi z tunelu, w którym uśmiercił ojca. Tennok wiedział, że walka zaraz przeniesie się na wąskie kamienne schody, prowadzące w dół krateru, do windy. Za wcześniej! Książę słyszał jęki i skrzypienie windy pracującej na pełnych obrotach. Nadciągająca z Dołów odsiecz powinna tu być za dwie, najdalej cztery minuty. Tymczasem jego ludzie poświęcali wszystko, by tylko utrzymać korytarz.

Tennok trzymał za nich kciuki.

Z półmroku dobiegł go głęboki jęk konającego człowieka. Hon i Haran dali mu siedmiu doborowych wojowników Druazzi – ale Tennok wiedział, że w konfrontacji z doborowym Zabójcą Gwiazd jego ochroniarze nie mieli najmniejszych szans.

Musiał coś szybko wymyślić.

Kolejny zduszony charkot. Książę liczył je pilnie i wiedział, że walka za chwilę się skończy. Wziął głęboki wdech, gryzące powietrze wciąż cuchnęło trucizną, którą pożegnał się z ojcem. Zanurzył się w ciemność tunelu. Wyrosła przed nim zwalista postać zakuta w czarną zbroję z żelaza, pikowanej bawełny i piór ogromnego górskiego kondora. Hirikan o rekinim

pysku, dowódca królewskich gwardzistów. Na widok Tennoka jego zimne, lodowate oczy rozszerzyły się. Zawahał się przez ułamek sekundy – i tyle księciu wystarczyło.

Pociągnął za sznurek, zwalniający ukrytą pułapkę. Tym razem była to umocowana w korytarzu *braazatalowa* strzelba, którą księżę troszeczkę zmodyfikował. Wypaliła z hukiem, spowijając ciasne przejście tumanem zielonego dymu.

Tennok poczuł, że uginają się pod nim nogi, i ze zdumieniem osunął się na ziemię. Po plecach płynęła mu krew.

Plan wypalił, lecz wyglądało na to, że on i strzelba znajdowali się w złym miejscu. Szczegóły, detale, nigdy nie miał do tego głowy. Pole walki to nie miejsce dla wizjonera, pomyślał.

Hirikan uśmiechnął się szeroko i przestąpił nad rannym księciem.

Rozległ się kolejny huk, a na dowódcę Zabójców Gwiazd posypały się fragmenty ściany. Jakiś Kruz stęknął, gdy odłamek ugodził go w czaszkę, ktoś kulił się, zasłaniając głowę. Tłoczący się za nimi żołnierze zatrzymali się, zdezorientowani, i odciągnęli ogłuszonego dowódcę. Ze sklepienia odrywało się więcej kamieni, skutecznie blokując przejście. Księżę zasłonił twarz ręką. Bogom niech będą dzięki. Przynajmniej granat wypalił. Jako główny nadzorca miał aż nadto okazji, by zwędzić odrobinę smaru i ciut przy nim pomajstrować. Gwardziści to odgruzują, ale usuwanie szkód da obrońcom trochę cennego czasu.

Po eksplozji w korytarzu zapadła upiorna cisza i Tennok zorientował się, że nie słyszy już skrzypienia windy. Potem rozległo się chrapliwe wycie, a delikatny nos księcia zaatakowała fala potwornego smrodu. Mimo to uśmiechnął się, jakby oddychał najlepszym kadzidłem.

Z Dołów nadchodziła odsiecz.

Zataczając się, Tennok wypadł z korytarza na schody. W uszach

dzwoniły mu echa eksplozji, w oczach zagnieździł się pył. Osunął się na kolana. W dole, na szerokiej platformie windy, ujrzał przygarbione sylwetki, których przeraźliwie brudne łachmany zdawały się wrastać w ciało. Spowijał je smród nigdy niemytych ciał, nieczystości i ledwo przetrawionego, surowego mięsa. Niektórych znaczyła szara choroba i inne, bardziej niepokojące deformacje. Zaczęli wyskakiwać na dziedziniec i schody. Ich oczy płonęły furją, zbliżali się z niebezpieczną prędkością.

— Hasło „Moros” — wychrypiął dyszkantem Tennok. Żałował, że jego głos nie brzmi, hmm, troszeczkę mniej histerycznie? Mimo to na widok rannego księcia, leżącego w wianuszku zmasakrowanych ciał, więźniowie zatrzymali się z wyraźnym respektem. Tennok uśmiechnął się lekko.

— Odzew „Szaratanga” — usłyszał w odpowiedzi.

W samą porę, pomyślał, bo nie miał nawet sił, by to wyszeptać.

* * *

Quinatzin stracił głowę.

Nie dosłownie, choć i taka możliwość rysowała się, i to wcale nie w bardzo odległej przyszłości. Na razie targała nim zwykła panika. Zbuntowani Druazzi kontratakowali na bagnach, a do zamku Turkusowej Włóczni wdarli się jacyś spiskowcy.

— To jeńcy z Dołów — zameldował Hirikan. Ledwo trzymał się na nogach. Nie zdążył zmyć z siebie szarego pyłu, który w połączeniu z oblepiającą go krwią robił makabryczne wrażenie. Wyglądał jak flaga Tlaskali.

— Przedostają się tu główną windą. Maczurai przypuścił kontratak, ale w korytarzu zatrzymała go jakaś trucizna. Moich zdziesiątkowała bomba.

— Wołaj swojego demona, już! — rozkazał król Citali. — Muszę wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Dziewczyna lekko skinęła głową. Jeden z dworaków syknął na taki brak szacunku, ale Citlali nie zwróciła na niego uwagi. Czas, gdy fukanie głupców ją obchodziło, na szczęście dobiegł już końca.

Skupiła się, szybko splatając Więż. Zdziwiło ją, jak prędko to poszło. Może mały stęsknił się za porządną walką?

Doggen powitał ją radośnie, podskakując jak rozochocony szczeniaczek. Oczy błyszczały mu dziko.

— Co się z tobą dzieje? — zagadnęła go. Nie pamiętała, by wcześniej tak się zachowywał.

On tu. Dalekonie. Jest.

— Kto? — warknęła Citlali. Nie była w nastroju do żartów.

Jest. Blady. Beztwarzy. Już.

Ojciec.

Zabójczyni splunęła na wyslizganą posadzkę. To ostatnie zrozumiała najwyraźniej. Może jakiś dworak skręci na jej płwocinie kark. Ruszyła w stronę wewnętrznego dziedzińca prowadzącego do kopalń.

Przewalający się wszędzie zatroskani i przestraszeni dworacy na jej widok zbijali się w kupki jak ptactwo. Gdyby Citlali miała w zwyczaju syczeć z nienawiści, każda zmija pierzchałaby przed nią z płaczem. Zatrzymał ją korytarz, przed którym kłębili się kaszlący Zabójcy Gwiazd. Hmm, ktoś rzeczywiście rozpylił tutaj truciznę... ale przecież niestraszna nam ona, syneczku. Myślenie o *doggenie* w tych kategoriach stało się dla Citlali czymś nieuniknionym, na przekór wracającym odruchom odrazy i buntu. W jakimś sensie zakorzeniał ją, scalał z przeszłością. W końcu wyrósł z jej dawnego życia jak bochen z zaczynu... zachował je i zniweczył. I każdą kroplę miłości, jaką do niego czuła, przesywał palący ból.

Przeciągnęła się, aż coś chrupnęło.

— Spójrz na mnie, synku — zwróciła się do *doggena*, który rozpromienił

upiorną twarzyczkę. Roślinne, włoskowate ząbki ociekały tęsknotą i jadem. Zdumiała ją skala uczuć, jakie w niej budził. — Chcę, żebyś tam zszedł i odnalazł swojego tatusia. Jeżeli mnie kochasz, zabijesz go tak, żeby cierpiał. Zrozumiałeś?

* * *

Tennok był śmiertelnie zmęczony. Wiedział, że powinien wrócić do korytarza, którego bronili jego nowi żołnierze. Kruzowie zdążyli go już odgruzować i teraz dawali im nieźle popalić. Powinien tam być, w dławiącej ciemności i dymie... lecz za nic nie potrafił się do tego zmusić.

Zamiast tego wdał się w upokarzającą pyskówkę z własną duszą, a raczej jej najplugawszymi frakcjami. Ugodowcy i Pragnący Żyć Wiecznie, Niezłomni i Zbuntowani, Wygodniccy Z Pełnymi Portkami. Czy ktoś powie mu, że dusza jest jedna, że potrafi podejmować spójne decyzje? Pod czaszką ujadał mu pierwotny lęk, instynkty i wola przetrwania. Ale potem, powoli, na plan pierwszy wysunął się inny głos. „Naprawdę musisz być takim tchórzem? Na Krew i Ołtarz, czego się jeszcze obawiasz? I tak wszyscy jesteśmy trupami”.

Wrócił, by załapać się na baty i klęskę. Skazańcy bili się jak wściekłe zwierzęta i nie prosili o łaskę, ale Zabójcy Gwiazd górowali nad nimi liczebnością, wyszkoleniem i ekwipunkiem. Kruzowie nieustępliwie wypierali obrońców. Wyglądało na to, że wkrótce przeniosą walkę na schody, a potem odgrodzą wojowników Tennoka od windy.

Potem walka na chwilę ustała. Obrońców poległo tak wielu, że trupy zatarasowały przejście. Kruzowie też oberwali, Tennok w świetle pochodni widział ich grozę i wstręt. Nawet w agonii chłopcy z Dołów wgrzyzali się w ramiona, tchawice i twarze.

Nie padły słowa o zawieszeniu broni, nie było białych sztandarów. Mimo

to obie strony zaczęły odciągać rannych. Książę wypełził na zewnątrz. Ubranie lepiło mu się do poranionych podczas wybuchu pleców. Zbroja z grubej na cztery palce bawełny była posiekana jak grzbiet pechowego *ursa* i ciążyła mu jak nasiąknięta pielucha. Kaszłąc i z trudem łapiąc powietrze, usiłował ocenić sytuację, połapać się we wszechobecnym chaosie.

Tylko jedna grupa zdołała się wydostać z windy. Spowolnili Kruzów, lecz była ich zaledwie setka. Zbyt mało, żeby opanować zamek. A przecież w kopalniach roiło się od skazańców!

Książę przycupnął nieopodal krawędzi szybu. Rozpaczliwie nasłuchiwał, ale z Dołów nie dobiegały żadne podnoszące na duchu odgłosy. Słyszeli za to upiorne, wygłodniałe wycia i krzyki szlachtowanych. Dowódca jeńców, przerażający stwór zwany Blaskiem, wyjaśnił księciu, że Zjadacze zajęli już główny szyb i odcięli ich od ewentualnych posiłków. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce *hikku'tai* zaczną wpełzać na górę.

Tennok napił się wody i podał tykwę siedzącemu obok mężczyźnie. W przeciwieństwie do zarośniętych kompanów, miał bezwłosą, opaloną głowę.

Niechybnie łuczywem.

Zamruczał coś i w nabożnym skupieniu wpatrzył się w naczynie, jakby po raz pierwszy od bardzo dawna pił czystą i chłodną wodę. I może naprawdę tak było.

Siedząc przy jeńcach z Dołów, Tennok czuł się cokolwiek podle.

Na pierwszym planie był wstyd, że przez całe życie napychał brzuch, żerując na ich znoju i śmierci. Zdawał sobie sprawę, że oni dobrze wiedzą, kim jest. Głębiej skrywała się litość.

Kiedy skazańcy wypadli na zewnątrz, oszołomieni, wynędzniali i brudni, zapatrzyli się na świecący na niebie księżyc i kilku zaczęło płakać. Potem oblizywali te łzy, rozmazując sobie na twarzach zaschnięty pył. Zdumieni, że

jeszcze je mają. Dobrze, pomyślał książę. Noc to najlepsza pora dla tej armii straceńców, południowe słońce zwałoby biednych skurwieli z nóg.

Potem, kiedy zobaczył ich w walce, ze strzępami ludzkiej skóry przyczepionymi do czarnych, spękanych pazurów, jego litość zmieniła się w obrzydzenie i strach. Powiedzmy to sobie szczerze, nie byli już ludźmi.

Jego deliberacje przerwał paniczny kwik koni. Tennok usłyszał świst i instynktownie przetoczył się w bok. Na twarzy poczuł podmuch gorąca. Rozpłaszczył się i przykleił do kamiennej ściany jednego z nielicznych miejsc, gdzie nie mogli go trafić łucznicy. Przedsiónek kopalń mógł być trudno dostępny, ale jak się okazało, nie dotyczyło to wrogich łuczników. Szyli do nich z wież i zamkowych okien, nie zważając na zablokowany korytarz. Powinien to przewidzieć.

Kruzańskie strzały płonęły. Przerażony książę spostrzegł, że zadaszona palmową strzechą szopa, w której zwierzęta pociągowe obsługiwały mechanizm windy, zmienia się w wielką pochodnię. Jeńcy rzucili się koniom na pomoc i sami wpadli pod ostrzał kruzańskich łuczników.

Tennok zastanowił się szybko. Zawsze mogli ruszyć do szalonego kontrataku na korytarz, w którym też zginą, ale przynajmniej nie zostaną naszpikowani jak stado jeżowców. No i zabiorą ze sobą kilku wrogów... jakby miało to jakieś znaczenie.

Ludzie często postępowali w ten sposób, unosząc się chwilową pasją, i był to jeden z powodów, dla których książę przeważnie nimi pogardzał. Mogli też spróbować opuścić windę, w nadziei na dalsze posiłki, które – sądząc po piekielnym jazgocie dobiegającym z Dołów – właśnie umierały z rąk Zjadaczy w głównym szybie.

Jakoś nie sądził, by ktokolwiek z nich chciał uciec na dół.

* * *

Na bagnach także toczyła się bitwa. Hussup miał wszelkie powody do zadowolenia. Takich jatek nie pamiętał od czasu Szarych Pasów i wiedział, że właśnie zdobywa sławę. Podczas gdy ten tępy pyszałek, Hirikan, pierdział w poduszki w pałacu, Zabójcy Gwiazd tworzyli własną legendę. Druazzi cofali się, ponosząc przy tym tak wielkie straty, że grzańskie bagno zmieniło się w wymoszczoną trupami groblę. Próbowali wprowadzić kruzańskie oddziały w topiel, ale Hussup studził zapal swoich żołnierzy. Poleciał zwiadowcom starannie wyszukiwać ścieżki. Potopiło się mniej niż dziesięciu ludzi, trzy razy tyle zginęło od strzał.

Straty wroga były o wiele większe.

Prowadzący Kruzów Uczgur stąpał po ciałach braci z twarzą zszarzałą ze zgrozy. Niektórzy Druazzi mieli w brzuchach dziury tak wielkie, że dałoby się wrzucić tam orzech kokosowy. Niewielu było rannych, w tym sensie broń Quinatzina okazała się dość miłosierna. Kto raz dostał, od razu trafiał do piachu.

Jednak po jakimś czasie Kruzowie poczuli zmęczenie i pierwsze oznaki niepokoju. Mimo znaczących strat, wrogów nie ubywało. Jeden z sierżantów zauważył, że niektórzy z zabitych Druazzi nie wyglądają na tutejszych. Hussup zbeształ go za defetyzm, lecz po cichu musiał mu przyznać rację. W Yugal nigdy nie widział takich malowideł klanowych i blizn, ci ludzie musieli tu ściągnąć z daleka. Po krótkim namyśle rozkazał, by jego oddziały przygotowały się do bitwy obronnej.

Patrzył, jak kolejne bandy Druazzi wyłaniają się z mgły i brodzą po płytkiej wodzie. Jego ludzie rozstawili się na spłachetku solidnego gruntu, strzelcy na przedzie. Żałował, że nie ma tutaj żadnego wzniesienia, z którego mogliby bezpiecznie prowadzić ostrzał. Mimo to Hussup był dobrej myśli. Wprawdzie utrudniona widoczność sprawiła, że wrogowie podeszli dość blisko, lecz miał już okazję oglądać, jak dobrze wymierzona salwa wpływa

na barbarzyńców. Ich atak osłabnie, w szeregi wkradnie się chaos. A miecze dokończą dzieła.

— Czekać — rozkazał strzelcom. — Strzelacie na moją komendę... albo wtedy, gdy wyraźnie ukażą się białka ich oczu.

Druazzi zbliżali się szybko, zbyt szybko jak na tak grząską nawierzchnię. Hussup poczuł, że wnętrzości skręca mu nagły niepokój. Przekłęta mgła. Może powinien zmienić wydane rozkazy. Białka oczu trudno będzie dziś zobaczyć. Zwłaszcza że Druazzi pomalowali sobie twarze na kolor upiornej, przekłętej bieli.

— Te malunki to jakieś diabelskie czary? Co to ma niby znaczyć? — zapytał poirytowany, spoglądając na renegata Druazzi.

Mężczyzna wbił oczy w ziemię.

— To Har’Gatti. Ci, Którzy Nie Wrócą.

— Jak będę chciał usłyszeć poezję, to każę twoim bachorom zaśpiewać — warknął Hussup. — Odpowiadaj jak człowiek.

— To szaleńcy. Napili się starych, zaczarowanych napitków, po których nie boją się śmierci. Zazwyczaj szamani spożywają wywar ze świętych kaktusów i grzybów, wojownicy zaś mogą co najwyżej skosztować ich moczu. Har’Gatti dostają najlepszy, stężony wywar — wyjaśnił Urgacz.

Hussup wyobraził sobie pobożnych wojowników Druazzi ssących święte kutasy swoich starców i zarechotał. Wesołość minęła mu jednak, gdy z moczarów pamięci, niczym opar, wyłoniły się dawne wspomnienia. W jego plemienu także spożywano takie święte wywary... pradawne eliksiry rzezi.

Rezultaty potrafiły być bardzo nieprzyjemne.

Przysłuchujący się rozmowie Asatl, młody zastępca Hussupa, nerwowo przełknął ślinę.

— Wycofaj strzelców — poprosił.

Hussup przecząco pokręcił głową.

— Żeby leśni się rozpędzili i poszarpali nam szyk? Nie ma mowy. Rozproszymy ich — warknął i odwrócił się do coraz bardziej zdenerwowanych strzelców.

Jeszcze chwileczkę. Jeszcze nie.

— Ognia! — ryknął.

Wysunięty szereg huknął i zabłysnął zielonkawym ogniem. Tak jak się Hussup spodziewał, pierwszych Druazzi dosłownie zmiotło. Ale na tym skończyły się jego trafne prognozy. Następstwem salwy powinna być *braazatalowa* panika, szaleństwo i popłoch. Tymczasem wymalowane na biało dzikusy wciąż biegły, nawet ranni, którym kule przed chwilą rozpruły ciała.

Jego strzelcy musieli się teraz cofnąć. Hussup wiedział, jaką powinien wydać komendę. Powtarzał ją sobie w myślach. Tarczownicy do przodu, gotuj się, nastaw włócznie. Zewrzyj pośladki i tarcze. Powiedziałyby to, ale gdy otwierał usta, runęli na nich barbarzyńcy. Krwawa fala sięgnęła cofających się wojowników ze strzelbami, błyskawicznie wdeptując ich w zbryzganą posoką ziemię.

— Gwardia, naprzód — ryknął Hussup i urwał, mrugając, gdy do oka wpadła mu kropelka krwi.

Stojący obok żołnierz zapłakał, rozpruty kamiennym mieczem. Inny padł z oszczepem sterczącym z ust rozwartych w bojowym okrzyku. Zabójcy Gwiazd zachwiali się, lecz utrzymali szyk, odruchowo zbijając się w gromadę. Udaremnili tym samym wycofanie się resztkom strzelców, którzy – pozbawieni tarcz i nieprzygotowani do walki w zwarciu – zostali dosłownie zdziesiątkowani.

Wszędzie srożyła się rzeź. Oszalali z żądy mordy barbarzyńcy wyskakiwali do góry jak gracze w piłkę, spadając w zbity tłum Kruzów. Widział młodego chłopaka, który ochoczo nadział się na wysunięte przez

Zabójców Gwiazd włącznie, umożliwiając kompanom skuteczniejszy i szybszy atak. Hussup wpatrywał się w to, oniemiały. Przyłapał się na tym, że zamiast rzucić się w najbardziej zażarty bój, przezornie zmierza na tyły, osłaniany tarczami przez równie skwapliwych przybocznych. Oczywiście, nie miało to niczego wspólnego z nikczemnym tchórzostwem.

Ktoś musi wydawać rozkazy.

Na szczęście dalsze szeregi Kruzów wciąż stały, a szarża Druazzi powoli wytracała impet. Hussup znał barbarzyńców i wiedział, że przedłużająca się, wykrwawiająca młócka nie była ich ulubioną odmianą wojaczki. Zaczynały się żmudne przepychanki dwóch tłumów. Teraz o wszystkim zadecydują zbroje, liczebność i dyscyplina. A także właściwe manewry.

— Zwiadowca, do mnie! — ryknął, chwytając Uczgura za kark.

Renegat popatrzył na niego tępo.

— Obejdziemy ich. I módl się, żeby to była właściwa ścieżka, bo inaczej wpierdolisz na obiad bebechy własnych bachorów. W czekoladowym sosie, przybrane wisienką żony. No, ruszaj się, kurwa. Zajdziemy tych gównojadów z flanki.

* * *

Wewnętrzny dziedziniec, na którym bronili się buntownicy, cuchnął zwęglonym mięsem. W dymiącym pogorzelisku szopy, w której mieścił się obsługiwany przez konie mechanizm windy, wały się trupy koni. Niektóre musieli dobić sami, gdy ranne, poparzone zwierzęta rozbiegły się. Książę wciąż miał przed oczami upiorną scenę, gdy czarna klacz, której grzywa zajęła się ogniem, z przejmująco świadomym okrzykiem skargi runęła w czarny mrok szybu, znikając jak płonący meteor.

Jednak opętańcze wycie Zjadaczy ustało i jeńcy twierdzili, że z Dołów dobiegają odgłosy ludzi... choć ich kryteria oceny były zdaniem księcia zbyt

łagodnie. Mimo to, wiedziony stracenią nadzieją na sprowadzenie posiłków, znowu spuścił do Dołów windę. Teraz obsługiwali ją ludzie, nie zwierzęta, zasłaniający się zdobycznymi tarczami z drewna, bawełny i piór. Łucznicy wroga wciąż szyli do nich z zamkowych murów i wież. Na wewnętrznym dziedzińcu zostało może dwudziestu obrońców, akurat tylu, żeby poruszyć kołowrót i opuścić ciężką platformę. Oczywiście pod warunkiem, że zdążą.

Tennok, ukryty za wielką, najeżoną strzałami tarczą, obserwował wysiłki jeńców, którzy obracali masywnym kołem.

Nagle zorientował się, że czeka ich kolejny zmasowany szturm. W uszach dzwoniły mu piszczałki i gwizdy, słyszał tupot dziesiątków stóp. Zanim zdążył ostrzec resztę, zwycięzcy Kruzowie wypadli z korytarza. Uderzyli na żalostną garstkę obrońców, którzy zagradzali im drogę do wijących się wokół dziedzińca schodów i wciąż kontrolowali prowadzący do nich korytarz. Ten sam, w którym Tennok ostatecznie uzdrowił swoje trudne rodzinne relacje.

Ktoś musi utrzymać te schody, pomyślał, widząc, jak ostatni obrońcy cofają się, wypierani z korytarza. Inaczej już nie żyjemy. Stłumił przekleństwo. Dziś coś się w nim wypaliło. Nie odczuwał już potrzeby, by mdleć na widok krwi i od dawna nie miał czym rzygać. Skrzyknąwszy kilku odpoczywających, ciężko dyszących żołnierzy, Tennok ustawił się bokiem, blokując wijące się po ścianach dziedzińca schody. Modlił się, żeby Kruzowie nie wpadli na to, by ominąć schody za pomocą sznurów. Na szczęście oblęd i chaos udzielił się także ich wrogom – albo nie mieli pod ręką aż tylu lin, żeby manewr nie zamienił się w samobójstwo. Dołączyli do niego ranni, którzy zdołali wstać.

Jeden z jeńców, przerażające indywiduum zwane Blaskiem, zajął stanowisko tuż za nim, roztaczając fetor swoich gnijących trofeów. Na szczęście to Tennok stał z wiatrem.

— Dam sobie radę. Przypilnuj lepiej kołowrót! — pisnął książę.

— I skradniesz mi całą chwałę? Wal się, szlachetny panie — wyszczerzył się Blask, pocierając wiszącą na szyi obręcz z nanizanych oczu.

Odwrócili się obaj, słysząc ochryple chrząknięcie.

Dowódca Tlaszkalan, Ketotl, wpatrywał się w nich ponuro. Masywny i krępy, uosabiał prastarą maksymę, że niektórych łatwiej przeskoczyć, niż obejść. Z pewnością nie był człowiekiem, którego łatwo usunąć z drogi. W dłoniach dzierżył kościany łuk z cięciwą splecioną z jelit *hikku'tai* i ze strzałami wystruganymi z ich kości udowych. Jego skudlone włosy zdobiła brudna biało-czerwona opaska, którą Tlaszkalanin musiał spleść ze zdobytych na miejscu piór.

— Dobrze, żeby ci nowi, co może wysypią się z Dołów, widzieli, że walczymy razem. Inaczej gotowi się na was rzucić.

To miało sens. Jeżeli jakiegokolwiek posiłki nadejdą, to prawdopodobnie będą się składać głównie z Tlaszkalan, którzy od niedawna stanowili większość podziemnych kopaczy. W Dołach zawsze panowała, jak to określił Maczurai, „szybka wymiana kadr”.

Blask pokiwał głową i skrzywił potworne oblicze w kolejnym uśmiechu. W górze schodów pojawili się pierwsi Kruzowie. Zabójcy Gwiazd, elitarna piechota imperatora. Tennok odetchnął z ulgą. Uwielbiał dumę tych głupców, była jak luka w pancerzu. Rozkochani w swoim szermierczym kunszcie, niechętnie dopuszczali do walki łuczników i strzelców. Uwielbiali potwierdzać swój status i w tym bezprzykładnym narcyzmie kryła się cała nadzieja buntowników.

Kruzowie wydali bitewny okrzyk. Blask odpowiedział im dzikim, jeżącym włosy skowytem. Poklepał Tennoka w ramię.

— Szkoda, że Flak i Pełzacz tego nie widzą. Należałoby się chłopakom. Chciałbym, żeby tu byli, *aszkatli*. Nawet ten, kurwa, Moros.

Chłopak chrząknął i pokiwał głową, powstrzymując się przed klepieniem towarzysza w rozrośnięte, śliskie od krwi ramię.

Potem wróciła śmierć, a bogowie odwrócili wzrok. Inni, zawsze spragnieni takich radosnych widowisk, otworzyli torebki, pełne prażonych uszu, języków i oczu. Działo się, naprawdę się działo. Niektórzy z walczących łkali, inni, na murach usiłowali się modlić.

Pierwszy szturm odparli bez większych kłopotów. Blask wgrzyzał się w twarze ofiar, preferując własne kły i szponiaste dłonie nad kruchą przewagę oręża. Krępy Ketotl bez ustanku szył z łuku, niwelując przewagę wroga. Druga fala Kruzów wyciągnęła wnioski. Gdy wyparli obrońców na poziom gruntu i wysypali się ze schodów na dziedziniec, ruszyli do boju w zbitym szyku, błyskawicznie formując obronny czworobok. Formacja chroniona była przez duże, obite skórami tarcze, które gwardziści połączyli nad głowami, niczym dach. Od frontu chronił ich mur zachodzących na siebie tarcz, zza którego bezkarnie dźgali wojowników z Dołów włóczniami.

Tennok i Blask odbili się od tej ściany. Blask krwawił już z rany na udzie, księciu kamienne ostrze prawie rozpruło brzuch. Cofnęli się w stronę szybu, Kruzowie ostrożnie ruszyli za nimi.

— Zajmij ich czymś — warknął Tennok do wodza Tlaszka.

Łucznik wyszczerzył zęby, pokazując opróżniony kołczan. Zakręcił włócznią i stanął u boku Blaska i kilku pozostałych obrońców, którzy mogli do nich dołączyć, nie osłabiając za bardzo ekipy przy windzie. Kruzowie wciąż napierali.

Tennok przymknął oczy i sięgnął po swój ostatni atut, obarczony wszak pewnym ryzykiem. Ukrytą w wymoszczonej sakwie, cudowną *braazatalową* bombę, której nie miał okazji przetestować.

Bardzo liczył, że jednak zadziała.

Eksplodowała trującą zielenią. Formacja Kruzów od razu stanęła

w ogniu, rozsypując się jak kopnięte kręgle. Ludzie pochodnie i ludzie gałązki, ludzie wrzeszczący z bólu. Tennok, Kekotl i Blask znaleźli się teraz w kręgu wrzeszczących, płonących postaci, a walka zamieniła się w jatkę.

Książę nie silił się na szermiercze popisy, nie mówiąc już o litości. Atakował na oślep, zdając się na wyuczone techniki i instynkt, rozpaczliwie próbując nie myśleć.

Jeżeli trzymający się jeszcze na nogach wrogowie sięgali po tarcze, dźgał ich niskimi sztychami, przecinał ścięgna pod kolanami. Jednemu spryciarzowi po prostu odrąbał po omacku stopę. To była wyrównana walka, bo poparzeni, pokryci zgorzelą przeciwnicy też nie bardzo wiedzieli, co się dzieje. Tennok ich atakował, oszołomionych i bezradnych, sapiąc i skrzecząc do wtóru ich agonalnych charkotów.

Tym razem nie musiał być zręczny, tym razem nie musiał być silny. Bo oni i tak umierali, pokryci bąblami, niezdarni i ohydnie słabi. On też chyba trochę oberwał, miecz lepił mu się do poparzonej dłoni. Ale to wszystko.

Nie zbierało mu się na te żałosne omdlenia, zmienił się i nareszcie zmężniał.

W końcu zabijał jak prawdziwy człowiek.

To było cudowne, upajające uczucie i książę bezwiednie wyszczerzył zęby. Zdobył coś, o czym marzył przez całe życie, tylko nigdy się do tego nie przyznał. Wreszcie stanął po stronie silnych i dumnych. Wreszcie zasłużył na miano prawdziwego mężczyzny i Kruza.

Nawet jeżeli wciąż tliły się w nim jakieś złogi i ścierwa przeszłości, nabyta słabość i wstręt, to teraz nastąpiło przesilenie. Gdyby ojciec mógł go zobaczyć, pomyślał i coś zakłuło go w sercu, lecz tylko na moment, bo teraz potrafił umieścić każde upierdliwe uczucie we właściwej perspektywie i skali. Teraz to on, Tennok, traktowałby Maczuraia z góry, bo tak bardzo się zmienił i dojrzał. Koniec z mdłościami na widok krwi, fochami małego

dziecka. Teraz jego mężnym sercem mogli nawet szlifować kamienie. Książę Tennok nareszcie był zdrowy.

Zabijali ich bezlitośnie, wypierając niedobitki gwardzistów z powrotem na schody i do korytarza w murze twierdzy. Od stóp do głów skapali się w kruzańskiej krwi. Blaskowi dobrze to nawet zrobiło, wykąpany na pewno mniej cuchnął. Atakował wrogów sztyletem i gołą dłonią, w którą wstawił specjalne kościane szpony. Jak zawsze celował w oczy. Ketotl wyrzucił ramiona w górę, rycząc coś w chropawym, górskim dialekcie. Zawtórowali mu jego wojownicy na dole, którzy w pocie czoła obracali górniczy kołowrót.

— Wytrzymajcie! Posiłki są blisko! — krzyknął ktoś do Tennoka.

Książę uśmiechnął się i otarł z twarzy posokę.

Wtedy zagrziała salwa. W górze schodów stanęli kruzańscy strzelcy, w końcu wycofani z bagien, cudowna broń Quinatzina. Pierwszy szereg cofnął się, by przeładowywać strzelby, drugi właśnie przykładał broń do ramienia.

Tennok skulił się w oczekiwaniu na rozrywające klatkę piersiową pociski, ale ku jego zdumieniu wciąż stał. Co jest? Wtedy z dołu rozległy się krzyki i jęki. Książę zrozumiał i włosy zjeżyły mu się na głowie. Kruzowie nie celowali w nich. Wzięli na muszkę skazańców, którzy wciąż wciągali platformę. A przeciwko *braazatalowym* pociskom ich tarcze okazały się równie skuteczne, jak barykada z papieru.

Jeżeli to nie koniec, to Tennok nie wiedział, co jeszcze mogło by nim być. Po kolejnej salwie Blask osunął się, zabity lub ciężko ranny. Wróg kontynuował ostrzał, przy kołowrocie padali kolejni jeńcy. Na szczęście trujące efekty smaru nie robiły na nich większego wrażenia, musieli uzyskać odporność. Nieliczni trzymali się jeszcze na nogach. A on chyba właśnie przestawał... kolana miał miękkie jak wosk...

Wódz Tlaszkalan przytrzymał go mocno za kark.

— Złaż tam! Złaż, bo inaczej to wszystko na chuj. Ja ich zajmę.

Tennok otrząsnął się. I ruszył, nie oglądając się za siebie.

Złapał za wielki kołowrót w momencie, gdy została przy nim już tylko garstka skazańców. Zacisnął zęby i zaparł się, całym ciężarem popychając maszynę. Urządzenie zdierało mu z dłoni poparzoną skórę. Obok napierał na dyszel jakiś jeniec, na oko młody niewolnik z Tlaszkali.

Strzelcy znów wymierzyli broń. Tennok zamrugął bezradnie, gotowy na skok do piekła. Huknęła salwa i książę poczuł, jak płonąca żagiew rozpruwa mu policzek. Dzwoniło mu w uszach. Ledwo słyszał ostrzegawcze okrzyki gwardzistów, jękliwy zgrzyt, znajome skrzypienie lin. Brzmiało to teraz jak odległe pieśni nucone przez bogów.

Tennok powoli tracił przytomność, zanurzając się w rzece bólu i czerwieni, lecz szarpnął się jeszcze i walczył, próbował rozgonić szkarłatną mgiełkę. Widział, jak stojący na schodach oficer Zabójców Gwiazd gestykułuje nerwowo, przekierowując swoich strzelców na nowy cel.

Ujrzał, jak szyk wroga pęka, zasypany włóczniami i strzałami, a na dziedziniec wylewa się z Dołów fala bladych, obdartych skazańców. Druga winda nareszcie dotarła.

I dopiero wtedy z ulgą stracił przytomność.

* * *

Haran stanął przed beczczasowym obliczem Horen'So. Wiedział, że ma przed sobą istotę starszą niż księżyc, choć nie tak wiekową, jak gwiazdy.

Droga nie zabrała mu dużo czasu, choć nie mógł być tego pewny, bo miał jeszcze kłopoty ze swoją nową percepcją. Przeszedł Lasy Kościanej Pieśni, nie zatrzymywany przez strażę. Szlachetniejsi Zjadacze nie zwracali na niego uwagi, cuchnący *hikku'tai* padali przed nim na brzuchy, węsząc piżmową,

majestatyczną woń *murgha*. Traktowali go niczym wracającego do piekła mesjasza. Płaszczący się, rozanieleni pochlebcy powiedli go do rozległej komnaty, w której – otoczona przez przybocznych *murgha*, nielicznych *mo'qun* i mrowie *hikku'tai* – zasiadała na tronie Horen'So.

Nawet nowymi, odmienionymi zmysłami Zjadacza Haran nie potrafił zlokalizować sklepienia jaskini i niknących w oddali ścian. Na twarzy czuł gorący, wilgotny powiew, który przywodził na myśl rozszalałe monsuny i syreny pławiące się w purpurowych falach. Najstarsza w jakiś sposób podtrzymywała w tym miejscu nieziemską pogodę Drzewiska. Wymagało to gigantycznych nakładów mocy, lecz Haran czuł, że królowa zgromadziła jej tu pod dostatkiem.

Tego dnia Horen'So była w doskonałym nastroju. Cieszyła się z realizacji kolejnego etapu ich planu. *Braazatal* z Dołów rozprzestrzenił się na powierzchni wraz z pochodem zwycięskich kruzańskich legionów, budząc uśpione kolonie Zjadaczy. Przebudzenie każdej z pomniejszych królowych przysparzało Horen'So potęgę. W kolejce czekały stare, szacowne roje z północnych równin i z Federacji Wielkiego Tikal, a także dziesiątki pomniejszych, bezimiennych hord. Nieopodal Yugal, na starym pobojuwisku, zwiadowcy znaleźli nawet niekompletnego, roztrzaskanego Planetę, który wkrótce zasili jej rosnącą armię. Alvaratl przebudził Greiszę i choć jej krnąbrna siostra od tygodni nie dawała znaku życia, Horen'So nie przejmowała się tym. Wiedziała, że to do niej podobne. Nawet niepokojące meldunki z Komnat Zwierzyny, gdzie ludzkie klany porwały się do daremnej walki, nie zmartwiły jej zbyt. Liczebność Roju wzrosła do tego stopnia, że garstka ludzkich obszarpańców nie mogła jej zagrozić.

Gdy przybysz podchodził do tronu, uznała, że to poseł od jednego z niedawno przebudzonych Rojów. Pod poszarpaną, bawełnianą zbroją można było dostrzec przemienioną skórę, jeden z efektów Ascensji. W jego

sylwetce i oczach, a także wymiecionej do czysta duszy, nie zostało się już nic, co mogłoby zaniepokoić nieludzkich strażników.

Najstarsza także nie okazała na jego widok zdziwienia. Czytała w myślach, ale przybysz ich nie miał, wyczuwała w nim zionącą, przepastną pustkę. Uspokoiło ją to. Pierwsze, co zawsze wyczuwała u wleczonych do jej leża istot ludzkich, to jazgot niskich, oszalałych myśli, popiskujących jak stado szczurów. Gdyby ktoś ją spytał, z czym kojarzy jej się pokraczny gatunek, który od dawna próbowała zniszczyć, pierwszym skojarzeniem byłoby nieokiełznanie.

Te istoty nie wiedziały, co robią ani czym są. Przypominały jej linoskokczków, którzy siłą nawyku stąpają po drżących linach, nie patrząc na wzburzone bałwany swych jaźni pod nimi. Nie można im było ufać, zresztą oni też nie ufali nawet samym sobie. To dlatego już w latach Klątwy zdecydowała, że nie warto ich ujarzmić. Lepiej zastąpić ich rasą posłuszniejszych, doskonalszych sług.

Przybysz był inny, od razu wyczuła w nim godność Zjadacza. Po jego stronie było piękno i dobro, i prawda. Gdy zdjął maskę, Horen'So ujrzała zszarzałą, upiornie doskonałą twarz *murgha*, zwodniczą i nęcącą jak piekło. Najstarsza nie mogła powstrzymać uśmiechu lubieżnej zachęty. Od dawna nie pozwoliła sobie na porządne gody.

Asceza nie leżała, bynajmniej, w jej naturze. Wynikała z chłodnej kalkulacji. Horen'So wiedziała, że nagroda jej ciała jest zbyt cenna, by roztrwonić ją pod wpływem kaprysu. Zamiast tego prowadziła subtelną grę ze swoimi *murgha*, podsycając ich żądzę, pielęgnując rywalizację i zazdrość. Teraz pomyślała, że przybysz mógłby dodatkowo podsycić ich płomień, a także zjednoczyć skłóconych wasali w nienawiści.

Zresztą, czyż teraz nie zasługiwała po prostu na odrobinę wytchnienia? Niewinne uczczenie zwycięstwa? Zwłaszcza że przybyły także pachniał tak,

jak trzeba, jego woń, wibrująca silnym stężeniem *braazatalu*, wskazywała na całkowite oddanie ich sprawie.

— Witaj — szepnęła do niego z ognia.

Ich spojrzenia spotkały się.

W nieznanym coś drgnęło, ostatnia iskierka woli zapłonęła w jego szarych oczach, i zgasła. Postąpił w stronę Horen'So, bezwolny jak wciągana w zagładę ćma.

W tym momencie z góry spadł ciemny, zamazany kształt.

W komnacie zapanowało pandemonium wrzasków i na oślepiętych miotanych klątw. Chaos. Strażnicy Najstarszej wiedzieli, czym są *doggeny*, między Zjadaczami a dzikimi mieszkańcami Środkowia nie panowała przyjaźń. Kilku *murgha* otoczyło królową pierścieniem ochronnym, inni ruszyli na napastnika.

Haran bronił się przed atakiem *doggena*, jednocześnie próbując zasłonić twarz. Stwór kąsał go po przedramionach, zębki wpiły się w kamienną rękę, która zwykle chroniła go przed każdym atakiem. Nie tym razem. Szczęki demona miażdżyły ją, odgryzając wojownikowi palce.

Haran zawył, zwykły ból przywrócił mu pamięć. Zatoczył się, desperacko wymachując rękami. Odsłonił gardło, napastnik miał teraz sposobność zadania ostatecznego ciosu. Ale chowaniec zwolnił. Unosił się w mroku niczym piekielny koliber, bluźniercza parodia najświętszych meszickich wierzeń. Wpijał w niedoszłą ofiarę wzrok. Wtedy uderzyli *murgha*.

W *doggena* wbiły się ostrza ich mieczy, demon krzyknął, zmieniając kierunek ataku, i Haran zdołał go odepchnąć. Z resztek lewej ręki płynęła krew, ale nie myślał w tej chwili o bólu. W jego sercu kłębił się chaos, lecz inny niż jeszcze kilka chwil temu. Pamiętał już, po co tu przyszedł.

Wiedział, że nie przedrze się przez ochroniarzy Najstarszej. Nie

pokonałby nawet dwóch *murgha*, a królową otaczał już tuzin tych istot. Zważył w dłoniach swój miecz i zawahał się.

— Przekuto cię, byś zabijał potwory — szepnął i cisnął nim niczym włócznią.

Szeroka głownia wbiła się Horen'So w gardło, prawie odrąbując jej głowę. Królowa runęła do tyłu, wyjąc i kopiąc nogami. *Murgha* i *hikku'tai* pierzchli, agonia Najstarszej sprowadziła na nich nagłe szaleństwo. Jeden z *mo'qun* także dygotał i charczał, jakby na jego wiotkiej szyli zacisnęła się delikatna pępowina, łącząca go z konającą istotą.

Haran zdarł z siebie koszulę i porwał ją na pasy. Owinął tym opatrunkiem zakrwawioną ruinę lewej ręki. Potem ukląkł przy ciałku *doggena*. Coś przyciągało go do tej mrocznej istoty, która odwróciła uwagę Zjadaczy. Przyboczni Horen'So porąbali ją na kawałki, na poły widmowe. Dziwne niedorosłe ciało wyglądało jak jedna rozległa rana. Wśród pokwikiwań Zjadaczy Haran kucnął przy drobnej istocie, wpatrzony w bladą, dziwnie znajomą twarz.

Intruz miał miękkie rysy Citali, ale przypominał mu jeszcze kogoś. Kogoś, o kim już dawno zapomniał.

Doggen uśmiechnął się na jego widok.

Ojciecojciec – zaczął. Z jego oczu i ust zaczęły ulatywać pasemka sinego cienia. Oddychał z wyraźnym trudem.

Haran podtrzymał mu głowę. Mamrotał nieartykułowane zaklęcia, bełkotliwe błagania i klątwy. Patrzył, jak dusza istotki odchodzi. Mała łapka delikatnie poklepała jego dłoń.

Witaćżegnać. Świat.

Z gardła Harana wydobył się chrapliwy skowyt. Zamknął oczy, wsłuchany w milknące gdzieś w dali echo, pożegnanie czy może wskazówkę? Widmowa dusza *doggena* pulsowała błękitem, zaproszeniem

wichury i sztormu.

Ten świat. Martwy.

Teraz inne.

Idź.

Warował przy ciele istoty jak skała pośród wzburzonego morza. Zjadacze kłębiący się w bezkresnej sali nie atakowali go. Po śmierci Horen'So ich zdeformowane, na pół obumarłe mózgi rozbryzgały się niczym strzaskane naczynia. Rój Najstarszej przestał istnieć, składające się nań stworzenia rozbiegły się w oniemiałym popłochu. Niektóre – te, których dusze zachowały się tylko w szczątkowej formie – dygotały bezrozumnie, jak kawałki poćwiartowanej dżdżownicy. Niektóre, sprowadzone do gatunkowego rdzenia, instynktownie reagowały na ruch, kąsały i mordowały się z furją.

Tłum oszalałych *hikku'tai* dopadł rośłego *murgha*, który – wiedziony resztkami ambicji i woli – usiłował się przedrzeć do zwolnionego przez Horen'So tronu. Arystokrata odruchowo zdjął maskę, lecz prastara magia nie zadziałała i motłoch rozorał cudowne oblicze na strzępy.

Daleko, w zamieszkanym przez ludzkich więźniów częściach Dołów, które Zjadacze nazywali Komnatami Zwierzyny lub pieszczotliwie Spiżarką, trzoda obróciła się przeciw swym władcom. Oszołomione potwory nie potrafiły się bronić, dla upodlonych nareszcie nadszedł czas pomsty. Skazańcy unicestwiali plugastwo w niemal mistycznym natchnieniu, zmieniając przemoc w modlitwę.

Krok za krokiem wypierali swych wrogów, odzyskując teren i wyrabując krwawą przesiekę do Głównego Szybu, z którego ruszyli na górę.

* * *

Tubylec Uczgur się spisał, najwyraźniej groźba torturowania jego

parszywych potomków okazała się skuteczna. Ścieżka, którą wskazał, wydawała się zupełnie w porządku. Z oddali dobiegały odgłosy bitwy i Hussup zorientował się, że rzeczywiście zatoczyli łuk i wychodzą na tyły wroga. Szli tak szybko, jak pozwalało podmokłe podłoże. Okolice porastał szarawy, gnijący las, ofiara tajemniczej choroby, która od dziesięcioleci trapiła tę część Przymierza.

Zastępca, wyznaczony przez Hussupa do obrony ich pozycji, sumienny nudziarz z obsesją na punkcie kompetencji, procedur i stopni, protestował co prawda i ujadał, domagając się uprzedniego wysłania harcowników i nierozdzielania głównych sił. Wolne żarty, pomyślał Hussup. Szczeniak chce uczyć fachu starego wilka. Zignorował jego obawy i zagroził sądem polowym. W zaistniałej sytuacji trzeba było szybko coś wymyślić, żeby przeważyć szalę. Do takich śmiałych posunięć potrzeba fantazji i talentu, a nie skostniałej rutyny.

Hussup prowadził jakąś setkę najlepszych gwardzistów. Wielu z nich służyło w Szarych Pasach i znało się na walce w takiej dziczy.

Dowódca był pewny, że zdyscyplinowana piechota Kruzów, nawet uszczuplona, utrzyma pozycję. Akurat do czasu, aż oddział Hussupa uderzy i pozbędą się tych cuchnących dzikusów raz na zawsze. Hussup sam był półkrwi Taraskiem, ale nie przeszkadzało mu to gardzić barbarzyńcami. Przyznawał się tylko do kruzańskiej krwi ojca. Po krótkim marszu znaleźli się już na lewej flance wroga.

Uczgur prowadził ich przez zgniły, podmokły las, zręcznie odnajdując groble. Spokojnie wszedł w sięgającą mu do pasa mętną wodę, dając żołnierzom znak, by podążali za nim. Kiedy nikt się nie ruszył, mężczyzna pochylił się, prawie znikając pod wodą. Po chwili wyszarpnął spod wody coś, co przypominało zmurszałą sznurową drabinkę z gęstymi drewnianymi szczebelkami. Hussup zagwizdał z uznaniem. Sprytne. Na co dzień ukryta

pod mętną, zarosłą zielonym paskudztwem wodą podwodna kładka była niezgorszym pomysłem.

— To nasze sekretne przejście. Obcy nigdy by go nie znaleźli. Chodźcie!
— ponaglił ich Druazzi.

Hussup zawahał się. Przypomniały mu się ostrzeżenia zastępcy. Zgodnie z procedurami oraz zwyczajnym rozsądkiem powinien poczekać i najpierw posłać tam czujki. Bał się jednak, że jeżeli będą deliberować i zwlekać, Druazzi atakujący siły główne zniechęcą się i uciekną głębiej na bagna. Tchórzliwy, ślamazarny rozsądek nie zsyła piorunujących zwycięstw.

Przywołał przewodnika i uważnie popatrzył mu w oczy.

— Jeden fałszywy krok i pójdziemy do twoich bękartów.

— Wiesz, że nie uczynię niczego takiego — powiedział Druazzi cicho.

— Oby. Bo jeżeli zdradzisz, uplotę na ich jelitach wiersze supelkowym alfabetem Inków.

Uczgur skulił się i spojrzał błagalnie. Hussup popchnął go z pogardą, spluwając w bagienną wodę. Znał dobrze to upodlone, niewolnicze spojrzenie. Tak właśnie patrzyli na niego w Tlaskali stateczni ojcowie rodzin, gdy losował, która z ich ledwo co rozkwitłych córek pójdzie na pierwszy ogień ich żądy. Ten człowiek był całkowicie złamany.

Ruszyli w ślad za nim po ukrytej ścieżce. Dowódca powoli nabierał otuchy. Droga wyglądała na stary tubylczy szlak, a nie sporządzoną niedawno pułapkę.

Wyobrażał już sobie swoją wojenną chwałę, gdy nagle jego but zapadł się z ohydny mlaśnięciem. Zatopiona kładka najwyraźniej także się zapadała. Ktoś nieodpowiedzialny położył ją na ruchomych piaskach.

Hussup wrzasnął, zawtórowały mu liczne okrzyki. Jego ludzie szamotali się desperacko, pogrążając się coraz głębiej w śmiertelnym mule. Ci, którzy jeszcze mogli się ruszać, chwyтали gałązki drzew. Hussup obrócił się do

przewodnika, który uśmiechnął się do niego słodko. Woda sięgała Uczgurowi do piersi i powoli wspinała się dalej.

Oficer już miał coś powiedzieć, lecz Druazzi uprzedził go:

— Jeżeli wszyscy tutaj zdechniecie, Kruzie, to kto wymorduje mi dzieci? Pomyślałeś o tym? — zapytał.

Hussup otworzył usta.

To był błąd. Cuchnąca, bagienna woda wlała się w nie niczym cofnięte kłamstwo.

* * *

Citlali wiedziała już, że *doggen* nie żyje. Poczuła to tam, gdzie kiedyś nosiła go w sobie.

Na zamierzała go teraz opłakiwać i choć przeczucie podpowiadało, że za jego śmierć odpowiadał także Haran, nie rozmyślała o zemście. Ból wypłukał z niej wszelkie emocje, zostawiając pustkowia i resztki, w których nieliczne uczucia i myśli poruszały się powoli i trwożnie, jak zabłąkani wędrowcy.

Więc tak to jest, kiedy zrywa się Więź.

Citlali po prostu czekała, obojętnie słuchając doniesień z podziemi i bagien, wieści coraz bardziej rozpaczliwych, niemożliwych. Widziała Zabójców Gwiazd, którzy zrzucali z siebie paradne mundury, wdziewając łąchmany zdarte z pomiętych ciał służby. Widziała młode szlachcianki, które przerażeni ojcowie smarowali odchodami i tłuszczem, powtarzając im, na jaką zakaźną chorobę cierpią. Oraz stronników Turkusowej Włóczni, którzy mamrotali rozmówki w dialekcie Druazzi i pocieszali się, że nawet największa dzicz nie obejdzie się bez wykształconych ekspertów.

Wreszcie, jak rosa na krawędzi liścia, w Citlali skropliła się decyzja. Gdy nie masz pojęcia, co robić, pamiętaj o obowiązku, powtarzała jej zawsze Deregatli.

Znalazła go w jego apartamentach, oglądającego najnowszy model *braazatalowej* rusznicy, obywającej się bez lontu i dzięki temu szybkostrzelnej. Quinatzin zamrugął na jej widok. Kilka razy, jak ktoś, kto odpędza uporczywe przywidzenie. Cóż, przynajmniej w ogóle mnie poznał, pomyślała z przekąsem. Nie szukała swojego odbicia w lustrze, ale w prywatnych komnatach władcy nie brakło kamiennych zwierciadeł. W obsydianowej, przydymionej tafli mignęła jej obca twarz. Odruchowo przesunęła palcami po brzdach wokół ust, zmarszczkach w kącikach załamanych oczu. Zwiotczałej, zwiędniętej szyi. Po jej czole czas chyba przeciągnął pług.

Citlali przypomniała sobie obmierzłą Uczy od Fałd i uśmiechnęła się gorzko. Mogła się tego spodziewać. Zerwana Więż oznaczała konieczność uregulowania zobowiązań, zaciągniętych podczas wędrówek przez czas. Jeżeli kilka dni temu wyglądała na przedwcześnie postarzałą, to teraz, po utracie *doggena*, stała się inną osobą, starszą o całe dziesięciolecia.

— Twoje włosy... Czy ty? — wybełkotał król.

Ucięła jego pytania zniecierpliwionym gestem.

— Pofarbowałam je, nie widać? Pofarbowałam na siwo. Specjalnie dla ciebie. A teraz, skoro już się napatrzyłeś, włóż to.

Podąła mu szarą suknię. Spojrzał na nią jak na obłąkaną.

— Mam uciec w kobiecym przebraniu?

— Posturę masz na to w sam raz. Gdybyś był karłem, przebrałabym cię za błazna.

— Żeby stać się pośmiewiskiem? Nigdy. — Zrobił gest, jakby chciał ją odepchnąć.

Władca Świata wyglądał nietęgo, dolna warga mu drżała, ociekając śliną.

— Mój umysł... coś się zmieniło. Nie mogę już myśleć jak kiedyś. Nagle straciłem inspirację. Wizję. Jakby coś we mnie umilkło.

Citlali westchnęła. Jej głos, skrzypiący teraz i raczej chrapliwy, był idealny do gderliwych pouczeń.

— Masz rację, zmieniło się wszystko. Nie wiem, co zostało z oddziałów Hussupa, ale raczej nie szykowałabym dla nich parady zwycięstwa. Z bagien wychodzą Druazzi. Pędzą przed sobą kruzańskich niedobitków i zdobyli już sporą część miasta. Ludzkie wraki, które przez lata niszczyłeś, wypełniają z Dołów, szukając zemsty i krwi. Znalazłeś się między żarnami.

Quinatzin pozieleniał na twarzy. Wyglądał, jakby spowiła go mgielka jego własnej *braazatalowej* trucizny.

— Ale Mazatlan... niedawno otrzymałem raport — wyszeptał.

Citlali parsknęła ochryłym śmiechem.

— To suknia służącej z ludu Druazzi. — Podała mu skromne odzienie. — Liczę na to, że matki niektórych barbarzyńców zarabiały na życie w pałacu... i że synowie je oszczędzą. Za to Kruzów...

Tlatoani przebrał się bez dalszych protestów. Z surową twarzą Citlali wyprowadziła go z zamku. Protestował i utyskiwał, ale odgłosy rzezi i daremne błagania o litość, które rozlegały się z komnat, gdzie dotarli już mieszkańcy Dołów, skutecznie zamknęły mu usta.

— Wśród nich są też Tlaskalanie — szepnęła. — I każdy z nich marzy, żeby się z tobą przywitać.

Król wizjoner wymamrotał coś w odpowiedzi. Citlali nie była pewna, czy wielki zdobywca ogarnia skalę katastrofy.

Wyprowadziła go z zamku i znaleźli się na opustoszałych ulicach Wysokiego Miasta. Kruzańscy mieszkańcy barykadowali się w swoich domach. Na murach miejskich toczyły się zaciekle walki. Druazzi nacierali od strony Dzielnicy Leśnej, pędząc przed sobą rozbite oddziały Hussupa. Ocalałych nie było zbyt wielu.

Niedobitki z moczarów zderzały się z wycofującą się z twierdzy załogą

Turkusowej Włóczni, potęgując popłoch. Kruzowie i ich sojusznicy zostali wzięci w dwa ognie.

Citlali widziała, jak dzicy Druazzi wywlekają ludzi z domów. Zaczęło się plądrowanie i gwałty, najwyraźniej barbarzyńcy brali odwet za lata ucisku, upokorzeń i krzywd. Stare Yugal wyglądało, jakby właśnie dobiegał tu końca Cykl. W miejscu, gdzie kruzański garnizon usiłował się przegrupować i stawić opór, zbuntowani Druazzi zajęli stare wieże obronne. Z rzeźbionych w kształt oczu otworów strzelniczych lał się na Kruzów wrzący olej. Łucznicy Druazzi szyli w to ludzkie kłębowisko podpalonymi strzałami. Wszędzie wiły się czerwone jęzory płomieni, którymi zajmowały się kruzańskie zbroje z bawełny i piór. Pożary szerzyły się szybko.

Koniec świata, pomyślała Citlali wesoło. Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Druazzi nie byli bezładną hordą i ktoś chyba nad nimi panował. Gdy uciekinierzy znaleźli się przy wrotach do Górnego Miasta, barbarzyńcy zaprzestali rabunków i rzezi. Citlali i Quinatzin wtopili się w tłum przerażonych kruzańskich cywilów, którym zwycięzcy pozwolili opuścić miasto.

Co chwila musiała popychać i szturchać króla, który – zubożniały i senny – notorycznie zostawał w tyle. Ponaglany, doganiał ją, wdeptując kraj sukni w błoto. Na szczęście kulejąca, sterana Citlali i jej zszokowany, niezbyt przytomny towarzysz nie rzucali się w oczy.

Biadające kobiety taszczyły klatki z domowym ptactwem, bawełniane kołdry, naczynia i zwinięte maty. Mężczyźni nieśli narzędzia pracy i cały dobytek. Panował straszliwy rozgardiasz.

Kiedy tłum wylał się za obręb murów, Citlali chwyciła Quinatzina za łokieć i spojrzała na niego surowo.

— Od teraz radź sobie sam. Mój *doggen* zginął, nie mogę już dłużej cię chronić. Jeśli przeżyjesz... spróbuj być lepszym władcą.

Tlatoani zadygotał.

— Za moją głowę otrzymałabyś pewnie nieliczną nagrodę. Postępujesz... nielogicznie — powiedział zmieszany. — Dziękuję.

W jego ustach to słowo zabrzmiało niezręcznie, jakby nie wypowiadał go często. *Citlali* wzruszyła ramionami.

— Dałeś mi schronienie, pamiętasz? Teraz jesteśmy kwita.

— Ale gdzie... dokąd teraz pójdziesz? — zaciekał się *Quinatzin*.

— Bo ja wiem? — zamyśliła się.

Pomyślała o kraju, gdzie nie ma upałów, a ludzie wznoszą z drewna cedrowego kolorowe fortece, wysmukłe totemy i budują chyże okręty. Kraju, gdzie znad rzek chłodnym świtem unosi się mgła, a w lasach roi się od niedźwiedzi, łosi i borówek. Nawet nie zauważyła, kiedy na twarzy wyrósł jej szeroki uśmiech. Przed oczami nagle stanęły potężne drzewa, sekwoje z lasów *Osanków*. Czy naprawdę sięgają do błękitnych pałaców bogów? W jej snach zmarniały i obumarły, lecz *Citlali* nie wierzyła już nocnym zwidom.

Chyba pora zobaczyć je na własne oczy.

Skinęła młodemu królowi i pokuśtykała przed siebie, ostrożnie stawiając okaleczoną kończynę. Zza pleców wciąż dobiegały ją krzyki, błagania i lament, odwieczna muzyka świata.

Citlali nie patrzyła za siebie.

Epilog

*Kwiat kakaowca łagodnie rozsiewa swój aromat,
Delikatny peyotl opada jak deszcz.
Moja pieśń jest słyszana i rozwija się,
zasadzone przeze mnie słowa kiełkują.
Nasze kwiaty podniosą głowy w deszczu.
Aztecka pieśń o poezji*

Po burzy często nastaje piękna pogoda, jakby znużony świat obmył z siebie codzienny brud. Niestety, nic takiego nie zdarzyło się w Yugal, uznał Tennok, gdy odzyskał przytomność.

Leżał w rozległej sali, w której rozpoznał zamkowy lazaret. Medyk, a raczej znachor Druazzi, zakazał mu wstawać, a przede wszystkim ruszać opatrunku z pajęczyn, ciasta i mchu, który okrywał sporą część jego twarzy. Niech się cieszy, że nie stracił języka i zębów, wkrótce dostanie pierwszy porządny posiłek.

Z tego, co mówił, Tennok zorientował się, że ma go za Tlaszkanina, a w każdym razie jednego ze skazańców, którzy wyrwali się z Dołów. Podobno król każdego z tych bohaterów osobiście odznaczył i o nim też nie zapomni. Wynagrodzi mu te blizny. *Braazatalowy* postrzał nieźle go sponiewierał, wyłączając Tennoka z bitwy zaraz po tym, gdy na górę wjechały posiłki. Rana prawie posłała go do grobu. Nos, kość jarzmowa, prawe oko... o nie lekarze najbardziej walczyli. Wdało się zakażenie, Tennok

majaczył i gorączkował przez siedem długich tygodni, kolebiąc się na krawędzi życia i śmierci.

Gdy medyk nareszcie przestał trajkotać i odszedł, Tennok rozważył swoje położenie. Miał zmiażdżoną twarz i chyba temu zawdzięczał, że położono go wraz ze zwykłymi rannymi i nikt nie rozpoznał w nim dziedzica Turkusowej Włóczni.

Gdy wreszcie stanął na nogi, okazało się, że nie jest już księciem.

W jego rodowym zamku roiło się od Druazzi. Nosili bawełniane zbroje w krzykliwych barwach szkarłatu i świeżej zieleni. Tennok zorientował się, że do ich uszycia zużyto większość starych arrasów i gobelinów, ba, wykorzystano nawet zasłony okienne. Krój tych strojów przywodził na myśl odświętne szaty barbarzyńców, z domieszką krzykliwego bogactwa.

Wszędzie słyszało się gardłowy dialekt mieszkańców puszczy, którzy pokrzykiwali radośnie. Miał wrażenie, że do Yugal ściągnęli Druazzi z całego Przymierza, ich język i szaty różniły się znacznie od tego, co znał z rodzinnego miasta.

Kruzowie, nieliczni i posępni, snuli się oswoiwale w cieniu murów. Na Tennoka nikt nie zwracał uwagi. Raz jakiś rodak musiał rozpoznać jego akcent, bo posłał mu porozumiewawcze i zawstydzone spojrzenie. Jakby łączyła ich hańba.

Ale największe zdumienie przeżył, gdy od strony wewnętrznego dziedzińca twierdzy dobiegło go skrzypienie windy i stłumione, odległe stukanie. Pokuśtykał w dół i zobaczył, że nowi władcy odbudowali szopę. Platforma właśnie wjeżdżała na górę, dostrzegł sterty skał i wilgotnej, przesączonej *braazatalem* ziemi. Kołowrót obracali rośli, pokryci świeżymi bliznami niewolnicy. Coś w ich postawie od razu przywiodło mu na myśl Zabójców Gwiazd.

Strażnicy zerkali na niego podejrzliwie, ale bez jednoznacznej wrogości.

Zdawało mu się nawet, że wyczuwa szacunek. W swoich opatrunkach Tennok wyglądał na jednego z weteranów z Dołów. Główny nadzorca krzyczał coś chrapliwym głosem i z wyraźną rozkoszą smagał niewolników batem. Na jego masywnej szyi widniał znajomy, nikczemny naszyjnik, który teraz dwukrotnie zwiększył swą długość. Najwyraźniej właściciel zebrał ostatnio bogaty plon.

Blask. Ten człowiek nazywał się Blask.

Tennok czym prędzej ruszył na górę, zatrzymując się, żeby zaczerpnąć oddechu. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie. Ozdoby, zapachy i kształty, wszystko inne, a jednocześnie znajome, nosiło piętno złośliwych, trudnych do uchwycenia przekształceń, które czasem wplatają się w osnowę snów. Druazzi zapełnili rodowe gniazdo Turkusowej Włóczni własnymi fetyszami i totemami przodków, nie zrywając jednakże ciągłości z poprzednią tradycją.

Za przykład można podać stojak na czaszki, nabite na żerdź. Kruzowie, podobnie jak ich azteccy poprzednicy, pokrywali je złotem i klejnotami, malowali i zdobili piórami i muszelkami. Ich czaszki miały w sobie jakąś upiorną, wiosenną radość. Wyglądały jak zabawki, barwione farbami jaja. Nowy stojak wyglądał inaczej, artyści Druazzi stawiali na realizm. Obgotowywali i wyprawiali zdobyczne głowy tak, aby zachować rysy. Dzięki temu dało się rozpoznać znajome osoby. Gdy Tennok się zorientował, było już za późno. Natrafił na Maczuraia, którego łeb zastygł w bolesnym, pełnym wyrzutu grymasie na szpetnej, beznosej twarzy.

Tennok patrzył na głowę, zamyślony, drapiąc się po grubym opatrunku. Zastanawiał się, jak będzie bez niego wyglądał. Może wreszcie upodobni się trochę do ojca. Potem długo, bez tchu, wbijał wzrok w zmienione, lecz wciąż dumne oblicze Irdany i dalszych krewniaków z klanu; dorosłych, dzieci i starców. Widział wciąż słodkie rysy swojej kochanki, Salanthe, ścięte śmiertelnym mrozem. Na szczęście nikt z tłoczących się wokół nie mógł

zobaczyć jego twarzy.

W końcu dotarł do Sali Tronowej. Strażnicy w nowiutkich, kosztownych mundurach zagrodzili mu drogę i były księżę zawahał się. Wcale nie wiedział, czy chce, żeby go anonsowali.

Na szczęście wrota rozwarły się, a dmący w konchę herold zapowiedział przybycie królewskiej pary. Tłoczący się zostali łaskawie wpuszczeni do środka. Tennok wtopił się w tłum i długo, w milczeniu się dziwił.

Nowym władcą Yugal okazał się rzutki i energiczny człowieczek, w którym Tennok od razu rozpoznał Yorę, kupca z Dzielnicy Leśnej. Towarzyszyła mu wyższa od niego kobieta, którą Tennok pierwszy raz widział na oczy. Herold nazwał ją królową Hezą. Za dostojną parą dreptał zgięty w ukłonach doradca, w którym księżę rozpoznał starego Myngusa. Aparat władzy najwyraźniej zachował swą ciągłość.

Tennok uśmiechnął się półgębkiem i skrzywił, gdy napięły się świeże szwy i poharatana gęba odmówiła mu posłuszeństwa. Ból przypomniał zamazane szczegóły... detale, które wolałby zapomnieć. Ta krwawa jatka... I zaczadzenie dumą. Tak łatwo mógł się zmienić w swojego ojca? W jego sercu zakiełkowała decyzja.

Tłum nagroził brawami przemowę nowego władcy. Yugalczycy wspierali plany dalszej sprawiedliwej wojny i wyzwolenia innych miast związkowych spod kruzańskiego jarzma. Odrodzone Przymierze ma szczeznąć! Nie można zapomnieć o sprzymierzeńcach, dzielna Tlaskala otrzyma wszelką możliwą pomoc. Na szczęście magazyny Kruzów pełne były broni.

Tennok odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że świat świetnie poradzi sobie bez niego. Cóż, teraz nic nie stało już na przeszkodzie, by odnaleźć mały, odosobniony klasztor, w którym ksiązek jest więcej niż ludzi. Istniała szansa, że nikt go nie rozpozna. Resztę życia poświęcę lekturze, postanowił.

I może solidnej pokucie. Wyrzeczenie, powtarzał pod nosem. Wyrzeczenie.

Ale najpierw musi się porządnie najeść.

Gdy rozochocony tłum wylewał się z pałacu do miasta, zagadnął jednego z wiwatujących dworaków. Tennok przedstawił mu się jako ranny Tlaszkanin, który pragnie się dowiedzieć więcej o Yugal i dzielnych Druazzi, najlepiej przy dzbanie *pulque*.

Dworak, który na szczęście okazał się strasznym gadułą, powitał go jak odzyskanego krewniaka. Od słowa do słowa zaprosił Tennoka do gospody w Wysokim Mieście i ochoczo opowiedział mu, co słychać w Yugal i szerokim świecie.

Podobno Przymierze pękało w szwach i każdy szczep wyszarpywał jak największe kawały królestwa dla siebie. *Tlatoani* niewiele mógł z tym zrobić, bo w Tollan znów wybuchł bunt kapłanów, który musiał tłumić.

Jak tak dalej pójdzie, to zostanie mu pusta stolica. Niektórzy mówią, że czas, aby Druazzi ruszyli na Tollan i założyli własne, Trzecie Przymierze. Bo Kruzowie są skończeni i nastał już czas nowej krwi.

Tymczasem opieszali handlarze z Wielkiego Tikal sięgnęli wreszcie do swoich legendarnych kufrów i wystawili silną najemną armię. Odgrywają się na Kruzach i podobno zabrali im Kraj Totonaków.

Za to król Yora trzyma się z dala od wojny. Dzięki *braazatalowi* zawarł korzystny pokój z Quinatzinem, dwukrotnie zwiększając terytorium Yugal i Kraju Druazzi. Zresztą, o szybko topniejące zapasy smaru zabijają się teraz wszyscy i król sprzedaje go też Tikalczykom.

Najcięższe walki toczą się w spustoszonej Tlaszkali, do której wróciła królowa Leyre na czele garstki żołnierzy, uwolnionych z yugalskich sztolni. Tych, którzy przeżyli, bo większość zginęła podczas walk o zamek. Król Yora robił, co mógł, wbrew temu, co powtarzają oszczercy. Naprawdę się spieszył, ale nim dotarł do murów miasta, większość powstańców zdążyła już

złożyć swe życie w ofierze. Prawdziwi bohaterowie.

Leyre wskrzesiła też podobno Zakon Kretów, którego nowy przywódca, niejaki Kiliretha, zasłynął już z makabrycznych forteli i zbrodni na polu walki. Tysiąc Oczu i Zabójcy Gwiazd ścigają się teraz, by go dopaść. Mówi się też, że Tlaskala zostanie wcielona do Federacji Tikal, ale nie wiadomo na jakich warunkach.

— A czy ty wiesz, przyjacielu, *hep!* — czknął dworak — jakim bohaterem jest Yora? Yora, mówię ci! To on zwyciężył w Bitwie na Bagnach! Ten człowiek ma tęgą głowę...

Jedno było pewne – miejscowi wciąż potrafili robić solidne *pulque*.

Tennok dowiedział się, że nowy władca Yugal swoje rządy rozpoczął od zapędzenia setek kruzańskich jeńców do kopalń i uruchomienia przerwanego wydobywania smaru. Niektórzy twierdzą, że teraz, gdy zabrakło Królowej Roju, a jej dzieci odeszły w najdalsze głębiny, nie będzie już więcej smaru. Inni uważają, że zostało go dość, by wystarczyło jeszcze na lata.

Każdy wie, że praca pod ziemią jest ciężka. Oczywiście, nie można jednak porównywać tego z okrucieństwami, jakie szerzyły się za poprzedniej dynastii.

Warunki w Dołach są teraz inne, zresztą król Yora zakazał używania tej nazwy, bo wprowadza niepotrzebny zamęt. Pozostałości Zjadaczy wycofały się w najgłębsze czeluści podziemnych korytarzy i poza odosobnionymi incydentami nie naprzykrzały się ludziom. To oczywiście zasługa słynnego Harana Druazzi. Wybawca oddał życie, żeby powstrzymać demony, i dołączył do grona największych herosów swojego dumnego narodu. Król Yora wysłał nawet silną ekspedycję do Dołów, która miała go odszukać. Jego albo doczesne szczątki. Niestety, okazało się, że w podziemnych salach Zjadaczy nastąpił jakiś tajemniczy kataklizm, który pogrzebał ich mroczne sekrety, a wraz z nimi słynnego herosa.

Czy cudzoziemiec widział już jego pomnik?

Yora nie żałował grosza, a budowniczowie naprawdę się spieszyli. Podobno wykorzystali cenny, starożytny posąg, zdobyty przez Posiłkowy Kontyngent w Tlaszkali. Król Yora dobrze wiedział, co robi. Kult Harana Śmiałka zjednoczył ludzi, dał im dumę i poczucie misji. No bo czyż to nie wspaniałe, że to właśnie Druazzi ocalili świat, jaki znali?

Tennok pożegnał swojego podpitego kompana, gdy temu do reszty poplątał się język. Doczłapał jakoś na główny plac miasta, słynny Targ Niewolniczy. Na stoiskach prężyli muskuły otępiali, zmalretowani jeńcy, wśród których rozpoznawał Kruzów i przedstawicieli innych, służących imperium ludów. Sądząc z niskich cen, podaż musiała być duża.

Kamienna rzeźba górowała nad targiem, dwukrotnie przewyższając wysokość człowieka. Jej cokół zdobiły wieńce i liczne, bezcenne pióra. Jak wyjaśnił mu jeden z wystających w tym miejscu próżniaków, król Yora złożył je w towarzystwie małżonki, która w ten sposób uczciła pamięć swojego wielkiego syna.

Druazzi lubili malować posągi w wesołe, krzykliwe kolory. Zbawca też imponował śmiałą paletą barw. Artysta przedstawił go w dumnej pozie, dławiącego jakąś bardzo niesympatyczną istotę, która Tennokowi wyglądała na swobodne wyobrażenie Zjadacza, *murgha* w rzeźbionej masce. Wojownik dziarsko wdeptywał go w ziemię.

Tennok spostrzegł, że na szlachetnej twarzy posągu wyryte są głębokie, rytualne blizny. Te same, których jego *urs* nie zdążył otrzymać podczas tradycyjnej inicjacji plemiennej, na co się czasem skarżył. Nie zabrakło za to spiłowanych zębów. Z kolei szpetna lewa dłoń została dyskretnie uzdrowiona i pozbawiona ohydnej, szarej zgorzeli.

Lecz najbardziej zaintrygowała go twarz. Dumna i krągła, w niczym nie przypominała smutnego, końskiego oblicza Harana, które straszło

wydatnym nosem i kanciastą szczęką, znamionami zamorskiego dziedzictwa. W rysach rzeźby nie było nic z Białoskórych. Idealnie wpisywała się w puszczańskie kanony urody, ciesząc oczy szlachetną, śniadoczerwoną karnacją Prawdziwych Ludzi.

Lecz Tennok roześmiał się nie z tego powodu. Ta twarz przypominała mu mgliście jeszcze kogoś. Zagadnął jednego z gapiów, który przysiadł na cokole i przyglądał mu się z uwagą. Chyba szykował się, żeby opchnąć posąg jakiemuś łatwowiernemu ćwokowi, a zaaferowany Tennok wpisywał się w jego wizję łatwego zarobku. Próźniak rzecz chętnie objaśnił – rzeczywiście, zrabowana na wojnie statua pierwotnie przedstawiała Lwa Labiryntu czy jakiegoś innego tlaszkalańskiego chojraka. Choć śmiech zaraz się urwał, bo Tennoka potwornie zakłuło coś w boku.

Zaniósł się uporczywym kaszlem i zaczął mamrotać coś pod nosem. Ludzie na placu, krzątający się wokół swoich codziennych spraw, mijali go, rzucając obojętne, niekiedy współczujące spojrzenia. Jeden z przechodniów wręczył nawet weteranowi kilka ziaren. Wstyd i hańba, że taki ktoś pije na umór i żebrze. Nieborak budził litość, kiedy tak śmiał się i płakał, a jego brudny, sztywny od zaschniętej krwi opatrunek powoli nasiąkał łzami.

— Udało ci się — szeptał księżę bez dziedzictwa. — Wreszcie wróciłeś do domu.

* * *

Arhok sunął przed siebie w ciemności, węsząc i skamląc żałośnie. Żołądek od dawna skręcał mu głód, cierpiał wraz z całym plemieniem. Dawne drogi zostały odcięte i świat znowu srodze ich doświadczał. Arhok wiedział, że Lasy Kościanej Pieśni zostały sprofanowane przez ludzi i nie znajdzie w nich żadnego jedzenia. Także Komnaty Zwierzyny nie były już tym, co kiedyś. W podziemiach spotykało się teraz mniej ludzi i przeważnie

byli to rośli, posepni wojownicy, dobrze wyszkoleni w walce. Wypierali osłabionych *hikku'tai*, tępiąc ich bez litości.

Nie wiedział, co o tym sądzić. Od czasu gdy Najstarsza zginęła, w głowie miał chaos i zgiełk, jakby od wewnątrz obsiadły ją muchy. Jednak w przeciwieństwie do współplemieńców, nie poddał się otępieniu. Niegdyś nie cieszył się z tego, co oni uważali za szczęście, a teraz nie dzielił z nimi rozpacz. Zawsze zadawał zbyt wiele pytań, to dlatego nazywali go *hagari*, dociekliwym. W ustach *hikku'tai* to była obelga.

Nieliczni napotkani pobratymcy szczekali, że sprawiedliwi muszą zaryć się głębiej, że na samym dnie mroku czeka na nich prawdziwe słońce, nie ze wstrętnego światła, lecz z dobrej, kojącej ciemności. Że odnajdą tam opiekę *mo'qun* i świeży, pachnący *braazatal*.

Dlatego Arhok wciąż rył, coraz dalej i dalej od słońca.

Nagle zagruzowany korytarz ustąpił, uwalniając rozległą przestrzeń, w której wyczuł przepływ chłodnego powietrza. Znalazł się w pustej jaskini. Pustej, nie licząc kościanego tronu i zasiadającej na nim rosłej, niemalże olbrzymiej istoty.

Nosiła skórzany rynsztunek i zdawała się w całości stworzona z ostrych, bolesnych kantów, z wychudłymi, choć umięśnionymi ramionami, pociągłą twarzą i brodą wspartą o głowicę miecza. Lewą dłoń pokrywała skorupa blizn i zgorzel szarego kamienia.

Arhok przypadł do ziemi i pełzył, czując uniesienie, gorejące mu w sercu i kroczu. Czy to w ogóle możliwe? Wolał się nie oszukiwać, nie łudzić, ale jego nos nigdy nie kłamał. Nie wszyscy władcy zginęli.

Zjadacz przyczołgał się bliżej i znieruchomiał, nagle strwożony. Czuł, że dokopał się do jednego z Przeistoczonych. Zdziwiło go to, bo od czasu śmierci królowej i chaosu, który po niej nastąpił, nie widział w Dołach żadnych *murgha* i *mo'qun*.

Istota na tronie nie nosiła zbroi, spękana, skruszała szarość była jej własną skórą. Okolona długimi włosami twarz przypominała przepiękne oblicza *murgha*, którymi panowie hipnotyzowali ich i zagrzewali do walki, lecz w przypadku tego władcy słodycz zmieniła się w zgrozę.

Intruz skulił się, oczekując najgorszego. Ale postać na tronie nie poruszała się. Tylko twarz migotała i drgała jak woda, wzburzana głębinowym prądem. Wyrażała emocje, których Arhok nie potrafił wysłowić, gdyż język *hikku'tai* ich nie znał. Przypomniała mu za to zwierzęta, które we śnie przeżywają echa dnia, upojenie pościgu i łowów. Drgające bezwiednie psie łapy. I ten zapach... butwiejący, powabny, daleki. Łapczywie wciągnął go w nozdrza.

Światy dalekie, cudowne, prawdziwe, z których przesącza się magia. Drzewisko, utracone Saaratha Ka'Ron, opisane w *Ahnasai*, Pieśniach Powrotu, które znał każdy *hikku'tai*. Krainy, w których nawet oni byli szlachetni i dumni.

Zjadacz aż zaskamlał z zachwytu.

Władca uniósł powieki i popatrzył niewidzącym wzrokiem na Arhoka, który znowu rozpląszczył się w grozie, ale po chwili ośmielił się unieść odrobinę głowę. Mignęły mu zimne, szaroniebieskie oczy. Potem błękit ustąpił miejsca czerwieni... nie, to nie był żaden ze znanych na ziemi kolorów. Żrenice tej niepojętej istoty migotały szkarłatem i burzą, spiralnymi wirami Środkowia.

Arhok padł twarzą w proch i cofał się, mamrocząc słowa modlitwy. Niepojęte bóstwo zostawił w szacunku za sobą. Na grzbiecie czuł wicher i deszcz. Popełnił świętokradztwo, a przecież dostąpił świętości.

Uchylił rąbka zaświatów.

KONIEC

Spis postaci

W starym Yugal, krainie deszczu i mgły

Cahuotl – mistrz miecza, nauczyciel Tennoka

Kazelqin – młodszy brat Tennoka

Nacetuhotl – młodszy brat Tennoka

Pęcherz – weteran, niegdyś oficer Leśnego Kontyngentu Druazzi

Heza – jego żona i pani domu

Haran – jego przybrany syn

Hon – towarzysz broni Pęcherza

Yora – syn Hona, ma żyłkę do interesów

Izumtuli – młodszy brat Tennoka

Kerrok – członek starszyny Druazzi

Maczurai – głowa rodu Turkusowej Włóczni, pretendent do tronu Yugal

Myfos – jego zaufany doradca

Nacetuhotl – brat Tennoka

Tennok – nieudany syn Maczuraia

Irdana – matka Tennoka, żona Maczuraia

Sippo – *urs*

Stary Książę – obecnie panuje w Yugal

Matki – naprawdę lepiej nie wiedzieć

W Tollan, Mieście Trzciny, stolicy Odrodzonego Przymierza

Azgatlin VI – poprzedni władca Przymierza, ojciec Quinatza

Chimalpopoka – zwierzchnik Tysiąca Oczu, świątynnego wywiadu imperium

Citlali – zbyt ładna córka królewskiej zakładniczki

Herkotl – wydziedziczony ojciec Tizoka

Hirikan – Zabójca Gwiazd, osobisty ochroniarz Quinatзина

Ipozeatl – opat Świątyni Pamięci

Kukaryn – oficer Jaguarów

Kysa – zakładniczka z krainy Osanków

Masztla – szpieg, zastępca Chimalpopoki

Mazatlan, zwany też Mazem – wpływowy doradca *tłatoaniego*

Murrok – skrytobójca z Tysiąca Oczu

Myskanto – człowiek wpływowy, kupiec

Otomotl – pułkownik, zwierzchnik Korpusu Jaguarów

Quinatzin – *Tłatoani*, Cesarz Nowego Przymierza, zwolennik dogłębnych reform

Pantokatl – minister

Potemok – starszy kapłan ze Świątyni Pamięci

Szara Czapla – słynny fechtmistrz i bohater Kruzów, pokonał króla Tarasków

Szurukan Pierwszy Kapłan – głowa imperialnego kultu Tetzalipoki i nominalny zwierzchnik wszystkich kruzańskich świątyń

Tizok – szanowany generał Kruzów, dowódca Armii Północnej i oddany przyjaciel króla

Trzy Psy – Jaguar, dowódca dwudziestki Tennoka i Hatto

Xitizin – błyskotliwy agent Tysiąca Oczu

Yzatlin – weteran korpusu Jaguarów, instruktor

W odgradzonej od świata Tłazkali

Szaratanga – bohater wojenny, zwany też Lwem Labiryntu
Enisha – żona bohatera
Ellatzin – młody dworak, któremu pisana jest świetna kariera
Gmutli – pyzaty ordynans Szaratangi
Hoppe – przyboczny, adiutant Szaratangi
Kiliretha – uczonec, czarownik, łotrzyk
Konakocz – chłopiec, syn Szaratangi
Minotli – dziewczynka, córka Szaratangi
Leyre – młoda i piękna królowa
Myfosso – Najwyższy Kapłan Tlaskali, głowa kultu Zabitego Boga
Osappo – pierwszy generał tlaskalańskiej armii
Papan – król
Pa'uk – oficer, przyjaciel Szaratangi
Rayla – członkini Zakonu Kretów, matka królowej Leyre
Zakkas – młody oficer, zastępca Szaratangi
Zergos – Przywódca Zakonu Kretów, ojciec królowej Leyre
Zillitzin – kanclerz

W Waicuri, nad Morzem Tonących Słońc

An'Tai – tubylcza służąca z Waicuri
Deregatli – Matka, nauczycielka Citlali
Uczl – wpływowa Matka
Xotochli – przywódczyni Zakonu Matek